

A 4154

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ZASYPIE WSZYSTKO,
ZAWIEJE...

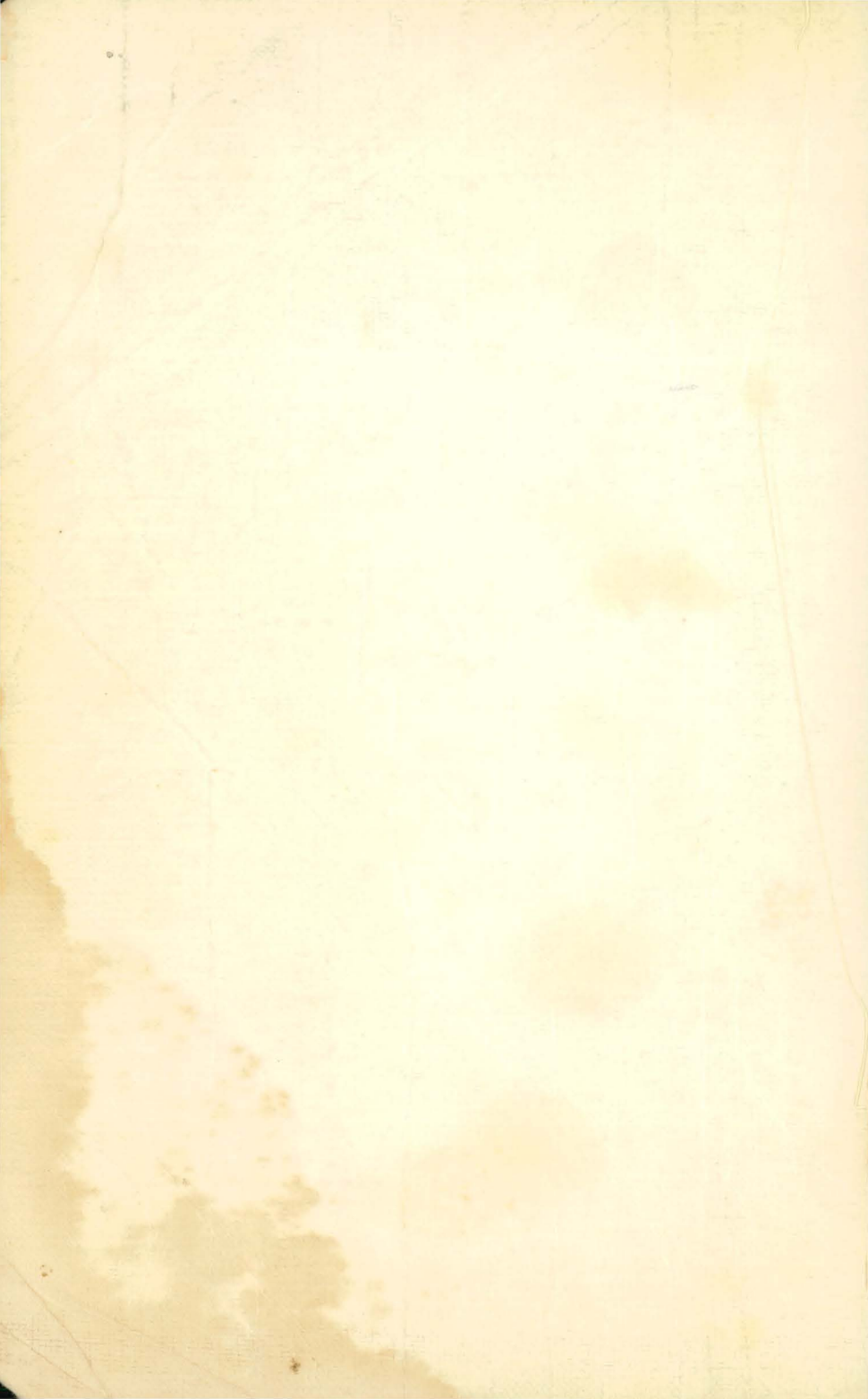
INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1973



П 1990.183 П 1985.064

A.41 54



ZASYPIE WSZYSTKO, ZAWIEJE...

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 240

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ZASYPIE WSZYSTKO,
ZAWIEJE...

POWIEŚĆ

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1973

WOLFFSON, J. (1900-1980)

WOLFFSON, J. (1900-1980)
1957

INSTITUT LITTÉRAIRE
S.A.R.L.

N^o 46561/87 THL
6754

TOM PIERWSZY



I

Wrócił do sypialni i nie podchodząc do łóżka Katarzyny, chciał usiąść na krześle, ale nie siadł, a pozbierał rozrzucone na podłodze części swej garderoby, cofnął się był do sąsiedniego pokoju i nakładając na siebie to wszystko wciąż jak gdyby nie własnymi, zbyt zwolnionymi ruchami, dopiero tam powiedział prawie głośno: „On uciekł dla niej” (tę myśl, którą sformułowaną miał już w głowie, kiedy odkładał słuchawkę telefonu albo nawet pięć minut wcześniej, kiedy posłyszał w niej odległy, pochłaniany szumem i trzaskami linii głos starego Czerestwienskigo) i potem, nie czekając jakiegokolwiek potwierdzenia — bo powiedział to do siebie, Katarzyna spała — ledwo widząc w ciemności jej białe ramiona na pościeli i twarz do połowy przesłoniętą pasmami włosów, patrzył na nią przez otwarte drzwi dobrą chwilę w milczeniu, przekroczywszy dawno tę granicę wyczerpania, poza którą ustaje wszelka zdolność odczuwania krzywdy, bólu i zniewagi; i z prymitywnym, obojętnym zaciekawieniem zastanawiał się nad tym jedynie, co jeszcze będą musiały wytrzymać (zanim kuzyna, Piotra Czerestwienskigo dostanie w swe ręce) jego znieczulone teraz nerwy i co kuzynowi powie, czy właśnie to, iż wie, że uciekł on dla niej; nie domyślając się wcale, że po upływie dwudziestu, dwudziestu czterech, czy iluś tam godzin podnosząc kuzyna, niby padlinę, ze zmiętej otawy w opustoszałej szopie na pasieczyskach za Sertem, i bijąc go w twarz, nie powie mu nic lub prawie nic, myśl tę raz jeszcze tylko powtórzy; bo nie mógł się teraz domyślić, że owych *dwadzieścia, dwadzieścia cztery, czy ileś tam godzin przyszłych* będzie w rzeczywistości o wiele krótsze, niż *dwadzieścia, czy dwadzieścia cztery dopiero co minione*, które zaczęły się rano, kiedy spośród zostawionych przez listonosza w przedsionku listów, wahającym się ruchem wyciągnął ten jeden z nadrukiem „Czerwony Krzyż”

na kopercie, adresowany do Katarzyny i postanowił go jej zawieźć; co sobie powtórnie był przypomniał teraz, już ubrany, wychodząc z pokoju sąsiadującego z jej sypialnią, zamykając jak najciszej drzwi, a później siadając w ciemnej sieni przy stole, ażeby zebrać myśli i coś postanowić.

Był tak opanowany, gdy po omacku związał bibułkę między palcami i nakładał tytoń nie rozsypując na podłogę ani źdźbła, gdyż palce nie drgnęły, że owo przypomnienie — jakby przebyta w trudzie, ale wreszcie wolna od niespodzianek strefa, dość odległa, płynna, żeby nie rozdrażniała, a jednak nie na tyle odległa, żeby zacierały się szczegóły — dotarło do niego niby przefiltrowane przez tafłę szkła, niezłe jeszcze widoczne, choć prawie nie słyszalne, tak że mimo stanu w jakim się znajdował, bo spał dwie, trzy godziny, nie więcej, było (owo przypomnienie) dość łatwe i proste, zwłaszcza, że pamiętał najdokładniej, iż wczoraj z rana, kiedy ten urzędowy list do Katarzyny spośród innych leżących na tacy wyciągnął, nie pomyślał ani o ucieczce z Czupryni swego kuzyna Piotra, gdyż nie mógł myśl byłaby przedwczesna, ani że: „Jednak... coś ich łączy”, bo może i na to było za wcześnie (zresztą nadruk Czerwonego Krzyża na kopercie wyzwolił w nim wówczas zadawnione, tłamszone siłą przypuszczenie nie mające z tym dwojgiem związku, przypuszczenie dotyczące jego samego, które wyrzucił z siebie, jak wydmuchuje się z płuc papierosowy dym), a jedynie pomyślał, że trzeba jej list dostarczyć, ale i tej myśli pozbył się zaraz, gdy tylko wsunął go do kieszeni, jego umysł bowiem zaprzętało już tylko to, czego dowiedział się przed śniadaniem od zbiegłych ze Stoczka chłopów, że zagrody spalili im nocą banderowcy z watachy Gawryluka i że naszli także Hajną i Suche, a potem przyszło mu do głowy, że kto jak kto, ale Piotr Czerestwieski powinien dowiedzieć się o poczynaniach Gawryluka, watażka był przecież bękartem Czerestwieskich i, choć kuzyn, nie mógł ponosić odpowiedzialności za kawalerskie grzechy swego ojca, to jednak trzeba, żeby znał prawdę, on, Piotr Woynowicz, mu to powie, gdyż mimo iż tamto posądzenie, że Katarzynę coś z Piotrem łączy od siebie odsunął, zapiekła od tygodni zazdrość popchnęła go do wyjścia z domu i kazała jechać, aby kuzynowi w oczy Gawryluka wypomnieć, by nim go poniżyć.

I potem był w drodze. Prędzej, o wiele prędzej, niż by wcześniej przypuszczał, tym bardziej, że chodziło jedynie o doręczenie listu, gnał konie do Czupryni Czerestwieskich wpierv tą rozmieloną przez suszę i wozy drogą między żywoplotami owocującego derenia, bo chciał jeszcze we wsi sam się temu przyrzec, o czym mówili chłopci, a co rzucić miał zamiar w twarz

kuzynowi, i zobaczył: fury ustawione na poboczu, zawalone przypadkowym, zgarniętym pośpiesznie w ucieczce, czy wydobytym z popiołów dobytkiem i fury, na których nie było nic prócz przykrytych byle czym trupów i że niektóre sterczące spomiędzy słomy nogi, miały nadpalone stopy, a nawet poczuł przez krótki moment, bo gnał na ile pozwalała na to zbyt lekki koczobryk, tę mdlącą słodkawość i się zdziwił, dlaczego nie zabrano się do grzebania od razu, ale zaraz sobie odpowiedział, że widać niewielu zdatnych do łopaty ocalało, chłopci zaś z Gleb wyszli pewnie wszyscy z rana w pole, „Jest właśnie poniedziałek” przypomniał sobie; już jednak koczobryk miotał się na wyboistej drodze między polami i nie zobaczył nikogo, aż dech zapierało, taka pustka, a przecież słońce stało dość wysoko, powinien zobaczyć, jak pracowali od paru już godzin, wszystkich przygiętych ku ziemi, ale nawet nie zastanawiał się nad tym dziwością natury (jeżeli bowiem był poniedziałek i pora, mierząc od wschodu słońca, tak późna, brak tych jak zwierzęta z ziemią zrosniętych ludzi, musiał być dziwością nie lada), gdyż gnając na złamanie karku konie, znajdował się już daleko od domu i podjeżdżał do nie zamieszkałej teraz, przypisanej przez Kreislandwirta do Gleb słobódki, gdzie nadżarte ogniem albo jedynie mrozem, deszczem, upałem i czasem chałupy straszły pustymi oczodołami okien, do słobódki otoczonej spękaną, występowiałą ziemią, przez którą ciągnące się mocniejsze pasma zieleni znaczyły linie dawnego podziału gruntów, należących do chłopów wywiezionych przez Sowietów w głąb Wschodu w czterdziestym roku, owe linie, owe miedze, pomiędzy którymi leżała cierpliwa gleba czekająca na koniec wojny, powrót ludzi i nowy ich trud; a potem był wreszcie naprawdę step, to znaczy to, co on, Paweł Woynowicz — którego zrodziła ta ziemia, jak zrodziła jego dziadów i pradziadów, jak daleko tylko sięgnąć w pomrokę jej dziejów, bo zawsze byli na tej ziemi, znikąd nie przyszli — zwał stepem, jak wszyscy tutejsi, choć gdzie indziej zwą połonią, pastwiskiem, dziką łąką, ugorem, wertepem, obojętnie zresztą jak, o to samo przecież chodzi: burzan, ostnica, miódunka, byliny, piołuny, mięty, rumian gdzieniegdzie, gdzieniegdzie osty i trawy suche o tej porze roku, sterczące, ostre, kruszące się, sypiące brunatnym pyłem w swym ustawicznym falowaniu, a tylko z rzadka tu i ówdzie wśród pustkowia futor osamotniony i dlatego solidny, prawie że obronny, skąd powinien być z komina bić o tej porze w niebo tęgi dym wskazujący, że gospodyni warzy wcześniejszy posiłek dla rodziny zajętej na roli (bo był przecież poniedziałek); ale nawet dymów, tych tak nikłych, lecz jakże dodających otuchy oznak życia nie ujrzał,

ani nie ujrzał suszącej się bielizny na sznurach rozciągniętych między płotami, ani dzieciarni kłusującej po obejściach, ani koni drepających monotennie za stodołami w kieratach, tych koni poganianych zbyt długim biczyskiem przez ospałych wyrostków, ani zrosniętych ze sobą, nieporuszonych, jeśli patrzeć z pędzącego pojazdu, powszednich symboli tego kraju: podpartych kijem, zapatrzonych w bezkres pastuszków z psem u nogi, obok smutnie przeżuwających stad brunatnoczerwonych, jak ta ziemia, krów, choć gnał te swoje konie bezlitośnie, nie dając im przejść na jedną chwilę w stępa nawet wtedy, gdy z głównego gościńca prowadzącego dalej ku Nikoryczy zбочył na bezdroże, a potem ciągnął jakiś czas na podkrojonej dróżką pasterską krawędzi współzalesionego parowu, chcąc skrótem objechać Mohylną dolinę oraz wieś Tuczapsk w jej pobliżu, i dlatego dużo wcześniej, niż gdyby jechał tamtędy, gdzie zwykle jeździł udając się do Czupryni, dotarł do pasma Motrenieńskiego boru i przejechał przezeń w tym samym szalonym tempie, choć wcale nie musiał, chodziło przecież li-tylko o list do Katarzyny tkwiący w jego kieszeni, o którym dawno już nie pamiętał; i dopiero, kiedy z boru się wydostał, wypadł nagle (tak nagle, że aż trudno mu przyszło zrazu w to uwierzyć i że nawet w zdumieniu powściągnął wreszcie nieco te swoje biedne, zabiegane do ostateczności konie), ujrzał gdzieś dość daleko jeszcze, w pobliżu Czupryni dwa woły sprężnięte w jarzmie, ciągnące wzdłuż pola pług, za pługiem zaś podorywającego nim ściernię, kroczącego miarowo człowieka, pierwszego, jeśli go pamięć nie myliła (ani teraz, ani wtedy) człowieka od wyjazdu z Gleb.

Suchy gorący wiatr wionął z tyłu od lasu, sponad jego wierzchołków i uderzył go w plecy. Już był w Czupryni. Zostawił na boku wieś, bo jechał w dalszym ciągu skrótem, ale dostatecznie blisko, żeby zobaczyć, że tutaj roboczy dzień toczy się normalnie. Widział ludzi, zwierzęta, dymy z kominów, obracanie się kieratów, kiwnięcie się w dół jakiegoś żurawia zanurzającego w otchłani studziennej cebrzyk, i już po chwili, paru wyrostków sterczących na kamieniach przy moście, każdego z wędką między kolanami. Potem przetoczył się przez most na potoku, z ostrym trzaskaniem podków konie wwozły go na dziedziniec i jakiś chłopiec stajenny (dostrzegł go kątem oka, rzucając lejce) podbiegł odprowadzić pojazd, a on, Paweł, patrzył przez chwilę bezmyślnie, chwiał się, czując od długiej jazdy, od tego przedzierania się przez przestrzeń kurcze w nogach, i próbując rozetrzeć łydki potknął się, ciągle jeszcze nie mogąc pojąć po co tak się śpieszył, bo wprawdzie list tkwiący w kieszeni przypomniał sobie wreszcie, natychmiast go jednak pominął, niejako powtórnie wy-

rzucił z pamięci. Aż w końcu znowu nawiedziła go myśl, że przyczyną pośpiechu jest kuzyn Czerestwienski. Ale to już później. Idąc przez dziedziniec słyszał swoje własne obcasy uderzające zbyt silnie w kamienną kostkę i był skupiony, i skrajny, i nagle w szczelinie, jaka tworzyła się między drzewami na skraju parku, gdzie staczał się on w dół prawie do potoku, zobaczył nieruchome sylwetki Teodora Czerestwienskigo, stryja Piotra, i opiekunki Piotra siostry, panny Spang, Niemki zadomowionej tutaj od przedwojennych jeszcze lat (oboje zajętych łowieniem ryb), wyżej zaś, tam właśnie, gdzie ta szczelina między drzewami otwierała widok na ową parę wędkarzy, stojącą bez ruchu swą bratową Katarzynę. (Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że może ten jej bezruch wtedy był tylko jego chwilowym złudzeniem. Prawdopodobnie w tym miejscu przechadzała się po ścieżce i przystanęła, kiedy go spostrzegła. Zrobiła poza tym ruch ręką, jakby witający albo przywołujący, będący być może dalszym ciągiem jakiegoś poprzedniego ruchu). I to była ta chwila, kiedy pomyślał: „Może śpieszyłem się tylko z powodu Piotra”. Nie zwolnił jednak kroku, a szedł dalej, nie oglądając się więcej. I minął główną bramę. I okrążył przed pałacem gazon z wodotryskiem w środku, i już wstępował po kamiennych schodach, już był w drzwiach, bo przypomniał sobie znowu, co miał kuzynowi do powiedzenia o masakrze w Stoczku, i znalazł się był w tym obszernym hallu, w którym przed wojną pod ścianami stały kalekie rzeźby zwiezione z przeróżnych wykopalisk archeologicznych przez Teodora Czerestwienskigo, teraz zbyt pustym, przez to bardziej niż dawniej smutnym, i już ów list dla Katarzyny trzymał w ręku, jak gdyby z kieszeni go wyjął dużo wcześniej, być może wtedy, kiedy bratową zobaczył na skraju parku. Tylko że nawet nie musiał zostawiać listu na stole, czy dawać komuś ze służby. Z piętra schodził właśnie, nie podpierając się laską, rześkim krokiem senior Czerestwienski, Mikołaj Fiodorowicz, który ze wstrzemięźliwym acz przyjaznym uśmiechem odpowiedział na jego, Pawła Woynowicza, krótkie „dzień dobry”: „Dzień dobry, mój chłopcze. Cieszę się, że cię znowu u nas widzę”, i Paweł nie powiedział na to, że cieszy się również, czy że jest mu miło, lub cokolwiek podobnego, ale ten trzymany list, jakby chciał się go czym prędzej pozbyć, wcisnął starcowi w dłoń przemocą, mówiąc: „To dla Katarzyny”, i jednym tchem: „A Piotr? Gdzie Piotr?”, na co z twarzy Mikołaja Fiodorowicza nie spęłzył wprawdzie cały uśmiech, jej rysy jedynie poczęły pokrywać się zwyczajną, codzienną maską nieprzystępności, odpowiedź zaś, że: „Piotr śpi jeszcze. Nie zszedł wcale na śniadanie”, była chłodna, to jednak oczy spoglądające na list, na czarny nadruk warszaw-

skiego Czerwonego Krzyża na kopercie, nie potrafiły ukryć osłupienia. Ale już szedł, biegł po schodach na piętro i, stanawszy przed znajomymi sobie drzwiami, zapukał, naciskając równocześnie klamkę, gdyż był absolutnie pewny, że tylko po to, po nic więcej tylko po to przyjechał, żeby kuzynowi powiedzieć, co zrobił tej nocy Semen Gawryluk w Stoczku, Hajnie i Suchym.

Potem stał nad Piotrem trzęsąc jego ramieniem. Kuzyn spał twardo i nawet, kiedy zaczął trzeźwieć i wreszcie siadł na łóżku nie otwierając oczu, to jeszcze instynktownie bronił się przed zupełnym rozbudzeniem. I wtedy Paweł mu to powiedział. A potem było przedłużające się milczenie (jeszcze teraz dokładnie je pamiętał) i nic się nie stało, i dopiero po jakimś czasie, kiedy Piotr odburnał zaczepnie: „No to co?“, a on podjął ten sam wątek i mówił, mówił długo, pojął, że kuzyn — z trudem powstrzymujący powieki, żeby na powrót nie opadły, choć była godzina dziesiąta albo dalej — zaraz się roześmieje, i aby temu zapobiec, krzyknął: „To przecież Gawryluk, rozumiesz? Gawryluk i jego Ukraińcy urządzili tę masakrę“, i posłyszał słowo: „Drań!“, i od razu pojął również, że ów dziwny grymas na twarzy kuzyna, to żaden śmiech, na pewno zaś nie sam śmiech, ale coś znacznie więcej niż śmianie się tylko, bo słowo, które przed chwilą kuzyn powiedział w owym skrzywieniu, grymasie, czy skurczu mięśni twarzy, z którymi — jak widać — nie może sobie poradzić, jakkolwiek trze policzki dłońmi i wykonuje ustami ruchy, jakby chciał coś mówić bez słów albo jakby oddychał; że owo słowo, pojął, miało więcej znaczeń, czuło się je dotkliwiej, niż gdyby określało wyłącznie to, co zrobił Gawryluk, bo wydobycie się ono z usta Piotra z trudem, jak z dna głębokiej studni. Lecz wreszcie to wszystko minęło i wtedy Piotr powiedział, wykrztusił: „Wiem, że to mój brat, wiem...“. A potem już szybko i coraz szybciej: „Wiem teraz wszystko. Choć tyle lat to przede mną tajono. Jeszcze przed pierwszą wojną, kiedy dziadek dowodził garnizonem w Mohylewie, czy może w Czehryniu, mój ojciec miał go z jakąś tamtejszą Ukrainką. Dziadekłożył na jego wychowanie i szkoły. Wiem wszystko, nie musisz mi świecić nim w oczy. Sprawa między nim a moją rodziną nie ma nic wspólnego z tym, co on teraz tutaj robi. Z jego krwawą robotą. To sprawa między Polakami a Ukraińcami. Ale jeśli myślisz... Jeśli mnie winisz...“, i po chwili zamilknięcia: „Czy po to tylko przyjechałeś?“, a on, Paweł na to: „Mówisz, jakbyś sam nie był Polakiem“, bo zrazu nic lepszego nie umiał powiedzieć, a Piotr: „To zupełnie inna sprawa. Więc co? Przyjechałeś po to, żeby mi powiedzieć, że to mój brat?“, a że milczał, Piotr zapytał jeszcze raz. Jednakże wtedy już wiedział.

Cały czas czuł na sobie uporczywy, obserwujący, pełen domysłów wzrok Piotra, wzrok w którym nic nawet nie drgnęło, w którym nie widać było żadnej popędlowości, ani zaskoczenia, ani zdumienia, czy zawodu, w ogóle nic. Więc wtedy on, Paweł (zanim jeszcze spróbował wyjaśnić, że przywiózł list do bratowej), zrozumiał, że naprawdę przywiodła go do Czupryni Katarzyna i jego własna o nią zazdrość, gdy tymczasem przedtem wciąż myślał coś innego i mówił coś innego. Zrozumiał, że chodziło mu o nią, o tę bliską, równocześnie daleką i niezawisłą kobietę, która była żoną brata. I dlatego prędko powiedział słabo: „Nie chciałem cię urazić”, a kuzyn, jakby mu przerwał ledwo napoczęty wątek myśli, zmarszczył się, spojrział przytomniej i odrzekł: „Sam sobie z Gawrylukiem poradzę. Lepiej, niż ci wasi polscy partyzanci, którzy nie potrafią załatwić jednego niemieckiego lokaja. Ze mną on na pewno zechce gadać”, a on na to zaskoczony, sądząc, że się przesłyszał: „Co ty chcesz zrobić, Piotrze?”, a kuzyn krótko, twardo: „Pójdę do niego na wabia”. I wtedy, czując, że nim też coś takiego, jak tamtym zaczyna wstrząsać, ale żeby to powstrzymać, bo mogło być śmiechem, lecz także czymś więcej, w każdym razie byłoby fatalne, gdyby się uzewnętrzniło, powiedział, krzyknął prawie: „Jesteś szczeniak! Myślałem, że rozmawiam z dojrzałym mężczyzną, ty zaś jesteś szczeniak jeszcze. Trzeba by przestrzec Mikołaja Fiodorowicza, a żeby cię pilnował przed nabiciem sobie guza”, wcale zresztą nie krzycząc dlatego że był zdumiony, osłupiały, czy nawet (przyznawał się teraz skrycie) zawiedziony, nie zdoławszy Piotra upokorzyć, ale dlatego, że rozumiał iż to, co właśnie powiedział, a w co przedtem mimo wszystko wierzył święcie, nie jest prawdziwe: ten siedemnastolatek przestał być chłopakiem, choć był nim przed paroma dniami czy tygodniami zaledwie, a on, Paweł, dobrze zrobił, że przyjechał, bo najwyższy czas, żeby Katarzynę stąd zabrać, aby nie zapomniała, że mimo, iż Aleksego nie ma już od trzech z górą lat, ona ciągle jeszcze jest jego żoną. Tylko że nie zdołał owej myśli dokończyć, Piotr bowiem powiedział doń: „Wyjdz. Proszę cię, wyjdz”, stając, patrząc obraźliwie i zaciskając pięść; powtarzał być może tylko to, co powiedział dużo wcześniej, a czego on, Paweł, nie dosłyszał zajęty tak bardzo swoim odkryciem.

Więc wtedy podniósł się z krzesła i już był za drzwiami. Ale jeszcze na dole w hallu żuł półgłosem, przeżuwał ze złością to słowo: „Szczeniak”. I to było wszystko. Nie kłął, nie musiał. To słowo było daleko dosadniejsze niż przekleństwo, i myślał: „Po co on wrócił z Wielkopolski, gdzie miał, jak u Pana Boga za piecem. Do czego on się tutaj pcha, szczeniak”, tylko że znowu

wiedział, iż nie chodzi mu wcale o kuzyna, że już nawet własne myśli mu kłamią, natomiast jedynie o Katarzynę, że to po nią przyjechał z Gleb, a potem coś się w nim nagle przełamało i postanowił, i był pewny, że zaraz ją stąd zabierze, żeby nie stało się coś, czego by później nie mógł odżałować, gdyż wciąż wierzył, że ma tę możliwość, tę moc zapobieżenia (było to przecież wczoraj przed południem, teraz jednak zdawało mu się, że całe lata temu); i powtarzając prawie że głośno: „Szczeniak”, słysząc wściekłość i udręczenie w swym głosie, że ledwo go rozpoznawał, spostrzegł w amfiladzie otwartych na przestrzał drzwi prawego skrzydła pałacu starą panią Czerestwiewską, babkę Piotra, jak siedziała pochylona przy sekretarce i coś pisała, drugą ręką ocierając chusteczką oczy z łez, i to dopiero zamknęło mu usta. Pomyślał: „Ona jest za stara. Za stara, żeby znieść nowy rodzinny skandal. Ona nie musi wcale wiedzieć, o co posądzam jej jedynego wnuka”, i równocześnie przestraszył się, że go zauważy, przywoła i on się nie wykręci, jeżeli ona naprawdę płacze. Bo jakakolwiek mogła być przyczyna tego płaczu, nie chciał (a nawet wiedział, że nie mógłby) skrzyżować swego wzroku z tym zimnym, jasnyniebieskim, przejrzystością przypominającym łzę spojrzeniem tej kobiety. Przynajmniej nie teraz. I nie mogąc wytłumaczyć sobie swego lęku, tknięty nagłym impulsem (obecnie oczywiście wiedział, że proroczym, ale przecież także już wtedy miał mgliste przecucie, że jest sprawcą wydostawania się na światło czegoś, co może pozostać winno w ciemności) pomyślał, że coś widać tutaj zaszło, coś takiego, co również dotyczyło rodziny Czerestwiewskich, i szybko ruszył do wyjścia. A potem był w parku i poczuł, jak w twarz smagnął go wiatr, który nawet za osłoną drzew wiał z siłą i że bardzo jest gorący. Szedł aleją przez ten wiatr, przez upał, rozglądał się pragnąc odszukać Katarzynę i od niej czym prędzej dowiedzieć się wszystkiego, skoro bowiem zaszło coś, co dotyczyło nie tylko jej, to ona mu to niewątpliwie powie, tak myślał, aż przypomniał sobie list, o którym, nawet mając go w kieszeni, nie chciał jeszcze niedawno pamiętać. I poprzedni nieokreślony lęk sprecyzował się nagle.

Ale byli już prawie w połowie powrotnej drogi do Gleb, minęli las, a dopiero wtedy Katarzyna mu powiedziała. Chociaż wpierw musiał zapytać, bo sama nie odezwała się przedtem ani razu. Ani, kiedy zaszedłszy na opustoszały o tamtej porze folwark Czerestwiewskich, żeby się przekonać, czy zadbano o jego konie, zastał je na powrót zaprzężone, bratową zaś w koczobryku, jakby od dawna czekała na niego, siedzącą w tępych, niemym skupieniu z bezwładnie złożonymi na kolanach dłońmi, których palce pełne odrębnego życia kurczyły się, to znów prostowały i znowu kur-

czyły, że zdanie, którym chciał wyrazić swe zdziwienie (bo przecież to on miał zamiar stąd ją zabrać, tymczasem ona go uprzedziła), zanim jeszcze był je wypowiedział, już samo wtłoczyło mu się na powrót do gardła, i od razu siadł obok niej i ruszyli; ani podczas jazdy wzdłuż poprzeraстанej sadami wsi i dalej rozjeżdżonym czupryńsko-nikoryckim gościńcem, kiedy musieli zmagać się z tą duszną, wysuszającą, drobnozłocistą nawałnicą aż do samego lasu, gdzie dopiero od biedy można było odetchnąć, kiedy skręcili w przetarty chłopskimi furami dukt, po którego bokach skudlona gęstwina tonęła w cieniu i wilgoci, choć i tu w każdą wyrwę wdzierało się z góry oślepiające światło owego przedpołudnia, a gdzie spostrzegł był, że powieki Katarzyny ciężą ku dołowi wcale nie w rytm uderzeń smug światła, ale kierowane jakimś innym, wewnętrznym chyba rytmem, być może rytmem jej myśli, że światłem natomiast nie ma to nic wspólnego; ani też nie odezwała się, gdy się wreszcie z lasu znowu wynurzyli na spopielaną od suszy równinę, gdzie wściekle kłębił się wiatr, którego nie było jeszcze z rana; ani nie odezwała się później, mimo że połowę drogi mieli za sobą, z prawa bowiem, z Mohylnej doliny wychynał samotny futor starego Poczajewa, z lewa za rybnymi stawami zaścianek rusiński Łoszakowskich, a potem prędko ukazały się postrzelane jak sito chaty parcelantów, bo tym razem prowadził konie drogą, jaką jeździło się zawsze, a nie skrótom, i jechali przecież dość długo, żeby odezwała się choć jednym drobnym słowem, że zaczął utwierdzać się w przekonaniu iż coś, co pragnie zataić przed nim, jednak zaszło, nawet przyłapał się był na złośliwym przypuszczeniu: „Poróżniła się z Piotrem. Otóż to: ona ucieka po jakiejś swojej porażce”, i ledwo kryjąc opanowujące go zadowolenie, ale jeszcze niezbyt pewny, raczej nawet mniej pewny niż z początku (kiedy ujrzał ją w tym skupieniu czekającą nań na dziedzińcu folwarcznym), zapytał, zadał w końcu to pytanie, które tak dawno miał na ustach, a wówczas odpowiedziała trzema słowami: „Aleksy nie żyje”, nic więcej, bardzo wolno je wymawiając, z ociąganiem, zdziwiona jak gdyby samym ich brzemieniem, a może nie tyle zdziwiona, ile w krótkim porywie lęku (później zrozumiał, że lęk mógł być reakcją nie na fakt, że Aleksy, jej mąż, nie żyje, lecz na samo przeobleczenie się tego faktu w dźwięki), a on, Paweł, przypomniawszy sobie list, który wiozł, owo urzędowe zawiadomienie, nie uświadamiając sobie tylko zrazu o powtarza, podobnie jak ona bezbarwnie, wolno powtórzył: „Aleksy nie żyje”, słysząc swój głos umykający w wichurze i po chwili, wciąż patrząc na jej bezwładnie leżące na kolanach dłonie, nie na twarz, właśnie na dłonie, jak palce o różanosinych paznokciach wyglądających

niby płomyki gazowe kurczą się i zaciskają, „Mój Boże, mój ty Boże” dodał silniej, jakby to, co od niej usłyszał, dopiero do niego dotarło, zmuszone wpierv pokonać jakąś wielką odległość i czas, a dopiero wtedy pojął wszystko naprawdę.

Właściwie jednak powinien był wiedzieć przedtem. Wiózł przecież list z nadrukiem Czerwonego Krzyża na kopercie, gnając na złamanie karku do Czupryni, gdzie od paru dni gościła u Czerestwiewskich, cały czas nie myśląc o nim, nie chcąc, a potem nie znalazł w sobie dość odwagi, ażeby go osobiście jej doręczyć, więc może istotnie wiedział, wiedząc zaś, wołał chwilę, kiedy będzie musiał fakt śmierci brata przyjąć i uprzytomnić sobie konsekwencje tego faktu, tę chwilę, której oczekiwał przecież od dawna skrycie, dławiąc się wstydem, i której, oczekując, bał się, tę chwilę wołał odsunąć od siebie w czas przyszły, nieokreślony, bo wstyd i ból były dotychczas w nim silniejsze. Ale teraz wszystko stało się od razu jasne. Były to słowa Katarzyny. I jego własne słowa też. Potwierdzały. Powtarzał je wielokrotnie w myślach, prócz tego w głowie nie znajdując nic, podcinając batem konie, żeby zmusić je do prędszego biegu i patrząc wciąż na ręce bratowej zaciśnięte na kolanach brązowych od słońca, obnażonych z sukni przez wiatr i pęd, i na palce, jeszcze naprężone, wpijające się paznokciami w skórę, ale znieruchomiące. Potem spojrzął jej w twarz. To było w tej sytuacji ohydne, aż nim wstrząsnęło, poczuł bowiem fizyczną bliskość kobiety i wydało mu się, że przywierają do siebie w namiętym uścisku (gdzieś z białego, niby piana morska nieba runął stracony wiatrem czarny ptak), i: „On nie żyje, a ja przeżyłem”, przeleciało mu przez myśl, choć nie, nie trzymali się nawet za ręce, ich ręce się tylko przypadkowo zetknęły i Katarzyna nie wiedziała o tym wcale, to on jedynie doznał krótkiego szoku pod wpływem prądu, jaki przeniknął mu przez skórę docierając ostro aż w głąb serca. I zaraz: „Ona też żyje” pojawiła się myśl następna. Tryumfująca, zwycięska, bo wciąż patrzył w jej twarz. I sformułowania jasne, logicznie złożone w zdania: „Zdawało się, że przywykła, że pogodziła się przez lata. Czyż teraz po otrzymaniu urzędowego potwierdzenia, że wygrzebali go w Katyniu musi zmierzyć się z faktem tym na nowo? Może to dla niej tak, jakby haniebnego mordu na Aleksym dokonano po raz drugi?”. I po chwili już nie czuł twardego napierania nawałnicy. Ani gorącego powietrza, pełnego miążkich drobin wciskanych wiatrem we wszystkie pory skóry i w oczy, aż do łez. Coś w nim raptem przycichło. Więc następne zdania poczęły układać się w głowie jeszcze bardziej logicznie, bez poprzedniego trudu: „Nie chodziło mi o masakrę w Stoczku, ani o bat'kę Gawryłuka. Nie miałem nic Piotrowi

do powiedzenia. Chodziło mi jedynie o tę kobietę. Żeby jej Piotr nie zdobył. Chodziło mi o to, żeby ją mieć dla siebie. A wciąż była jeszcze żoną brata. Lecz teraz jest naprawdę wolna. Cień Aleksego nie idzie więcej za nią. Teraz wreszcie mogę. Chcę”.

I zaraz przypomniał sobie pierwszą okupacyjną zimę w Krzyżopolu. Jak bardzo potrzebowała jego opieki i jak od jego opieki była zależna. Te puste pokoje po Ormianach sobie przypominał, gdzie ukrywali się podczas najgorszych wywózek. Jak bała się duchów pomordowanych i warkotu ciężarówek w opustoszałych ulicach, kiedy nocą uzbrojeni po zęby enkawudyści wygarniali ludzi z domów. I jak trzymała go za ręce wpatrzona w ciemność w napiętym oczekiwaniu, że to się wkrótce i z nimi stanie, też sobie przypominał, a potem, jak rano z radości płakała na jego ramieniu, kiedy się nie stało. I wyciągając rękę, już świadomie dotykając jej dłoni chciał to wszystko powiedzieć, nawet zdawało mu się, że mówi, albo że dawno powiedział, lecz naprawdę syknął jedynie na konie, bo zauważył w oczach Katarzyny znajome, szczególne światło, które zawsze go przerażało i nakazywało milczeć, gdy powiedzieć chciał więcej niż to, czego oczekiwała, światło zwrócone jak gdyby do środka czaszki (niby ponuro odpychający odbłask świec płonących u wezłowia zmarłych) i ogarnął go paniczny lęk, że jak kiedyś — kiedy wyrwawszy ją z rąk napastujących ją sowieckich żołnierzy, powiedział słowo, jakiego na pewno nie chciała usłyszeć wtedy — obróci się ono, owe światło jej oczu na zewnątrz i padnie wprost na niego. Odezwał się dopiero, gdy zgasło: „Coś musimy zrobić ze zwłokami Aleksego. Nie powinny zostać tak daleko. W obcej ziemi”, wcale nie słysząc odpowiedzi kobiety, a jedynie własny szept i jak rozmielił go od razu na pył stukot kół, rozgniół głuchy tupot kopyt, a to, co z niego jeszcze pozostało, nędzną tę resztkę rozniosło w niwecz rozfalowane upałem powietrze. I myśląc, wiedząc, że Katarzyna myśli, iż on myśli: „Chciałem tego. Żeby to się wreszcie potwierdziło. Żeby Aleksey wreszcie umarł naprawdę”, powiedział, krzyknął: „Nie! Nie możemy go tam zostawić”. A wtedy dłoń, której dotykał, ona oderwała raptem od jego dłoni i ruchem krótkim, ale ostrym otarła o kraj sukni, i choć otarła tylko raz, kładąc zaraz z powrotem na kolanie, zanim dłoń jej znowu znieruchomiła, wykonywała jeszcze przez chwilę nie kontrolowane świadomością konwulsyjne ruchy, jak gdyby chciała z siebie zrzucić, zwymiotować jego dotyk.

I natychmiast jej słowa, że Aleksey nie żyje, powróciły do niego w zupełnie innym znaczeniu. W związku ze wszystkim, co Katarzynę łączyło przez parę miesięcy z jego bratem, kiedy

byli ze sobą razem, a co w jego, Pawła, umyśle zdołało się w końcu zatrzeć, czy nawet znikło bez śladu świadomie zamordowane, jak gdyby Aleksy nie istniał nigdy (jak, być może w umyśle mordercy znikają bez śladu charakterystyczne cechy ofiary, szczególnie życia, obraz twarzy, widok miejsca zajmowanego wśród żywych), ale że Aleksy istniał i ona wiedziała o tym najlepiej, jej słowa, owe trzy słowa powróciły do niego, jakby je powiedziała po raz wtóry. Mając jeszcze w oczach ten strząsający z siebie jego dotyk ruch jej ręki, pojął, że jakaś cząstka świadomości tej kobiety z tamtego okresu, kiedy mąż jej żył, pozostała do dzisiaj nieporuszona. Pojął również, że jego ręka jest dla niej, jak gdyby nie było między nimi oboma, Aleksym i nim, żadnej różnicy, ręką tamtego, ręką trupa. Wtedy zapragnął znaleźć się jak najprędzej w domu. Sam. Ale dopiero gdzieś po kwadransie trawiaste zbocza urwały się opadając w dolinę i na tle wzdętych wiatrem chmur, za futorami braci Czartoriusów zamajaczyły niepewnie wśród szczytów drzew, kominy Gleb. I nagle poczuł, że Katarzyna drży. Mimo, że nie dotykali się nawet ramionami. Jej ręce, jej kolana, na których przytrzymywała kurczowo dłońmi skraj sukni zdmuchiwanej przez wiatr, w ogóle cała była nieruchoma, a jednak to drżenie czuł cały czas wskroś roztrzęsionego podskakiwania kocobryku na wybojach, aż do miejsca, gdzie skończył się gwałtowny spadek, dolina zaś rozszerzała się lejowato i konie, jak zwykle spłoszyły się, gdyż były tam zbiorowe mogiły z wiosennej pacyfikacji, Żydów i późniejsze partyzantów. Tam wreszcie to drżenie ustało, jakby w niej zaszła jakaś nowa przemiana. I ona patrzyła na wynurzające się spomiędzy zieleni Gleby. Więc pomyślał, iż ona myśli, że teraz nie jest to już dom jej męża, ale jego, Pawła, i zaraz posłyszał swój chropawy, chrypiący głos, jak z wysuszonego, pełnego kurzu gardła dobywa się z trudem, próbujący przekrzyczeć łoskot kół, stukot kopyt i przekonywujący bratową, że: „Trwało to zbyt długo przestań ani małżeństwo ani wdowieństwo wiesz teraz co i jak oni zawsze mordowali jeńców Azjaci to się ułoży jakoś przestań o śmierci Aleksego myśleć nie ma sensu wiedziałaś od paru miesięcy jak przestań och przestań rozkopano te doły nad którymi ich z całą pewnością wiedziałaś jaką śmiercią przestań nic się nie zmienia mamy jeszcze ten dom przestań”, ale wkrótce pojął, że jego słowa w ogóle do niej nie docierają, zresztą podejrzał, że nawet gdyby dotarły, nie usłyszałaby, tak była daleko. Jej szyja prężyła się, skroń pulsowała, usta zaś, dawniej wciąż pełne, wilgotne, były teraz rozchylone, suche, prawie bez koloru. Przyszło mu do głowy: „Nie, ona nie myśli o tym, co się stało. Skoro wiedziała nie od dzisiaj, nie mogło to jej dzisiaj tak zaskoczyć. To nie-

prawda, że jest tak przejęta” i na chwilę poczuł gniew. Ale jej palce znowu spłotły się i rozplotły, i ten gniew od razu wygasł.

Powściągnął ostro konie. W perspektywie alei ukazał się nieościeniony drzewami, zamazany, bez konturów, rozarty dokładnie w jaskrawym słońcu dwór. W nozdrza uderzył duszny zapach igliwia i kory. Od wyniosłych jodeł wystających ponad gęstwinię i od świerków poniósł się szeleszcząco-syczący szum, jednostajnym swym szeptem obejmując ich oboje, a także zszarzały od kurzu koczobryk i spienione konie. Jednakże oddech kobiety, który Paweł usłyszał przed chwilą, był dużo głośniejszy, niż ów szum. Zmrożony podejrzeniem, że to nie potwierdzenie śmierci Aleksego tak bratową przejęło, uprzytomnił sobie, że nigdy jeszcze, nawet w czterdziestym pierwszym roku, kiedy po ucieczce Rosjan powrócili tutaj, nie wydał mu się dom rodzinny aż tak nierealny, zamilkły i osamotniony. Wciąż powstrzymując rwące się do stajni konie, wciągnął w płuca gorzki, cierpki zapach parku i zaraz, czując, jak nie może go więcej znieść, przytając w sobie ze wstrętem oddech, powiedział: „Najgorzej ze zwłokami. To bardzo daleko”. Ale świerki i jodły ustąpiły włoskim topolom po obu stronach alei, więc ten zapach się rozwiął. Koczobryk wtoczył się ze chrzęstem na rozległe, wyżwirowane podejście do ganku, nad którym unosiła się tylko, jak zwykle, zgęszczona do ostateczności woń nagrzaných dachów i Paweł mógł o przerażającym zapachu zapomnieć.

Powiedział do bratowej: „To aż pod Smoleńskiem. Żeby go przywieźć, trzeba by metalowej trumny” głośniej niż musiał, gdyż panowała tak pełna cisza, jak gdyby wiatr wraz z szumem drzew zostawili byli za sobą na jakimś innym świecie. Zatrzymał konie i zeskoczył na ziemię. W głowie znowu kołatało się podejrzenie: „To nieprawda, że ją to cokolwiek obchodzi. Ona nie myśli o Aleksym. Myśli o Piotrze Czerestwienskim”, lecz już bez poprzedniego gniewu, obojętnie, a nawet bez tej poprzedniej pewności, zresztą wydało mu się nagle mało znaczące, czy ma rację, czy się myli. Chciał bratowej podać rękę i pomóc w wysiadaniu, ona jednak wyminęła ją sztywnym ruchem całego ciała, jakby nie dostrzegła owego gestu, albo może dostrzegła, natomiast bała się zetknięcia z jego dłonią, i wysiadła sama. Dopiero, gdy oddaliła się parę kroków, przemógł się, wsiadł na powrót do koczobryku i strzeliwszy batem, zawrócił ku gospodarskim zabudowaniom.

Nim okrążył klomb, ujrzał jeszcze w otwartym oknie na piętrze ciotki, Wiktorię i Felicję, kuzynki matki, uciekiniarki z Wiśniowca, obie znieruchomiłe, jak popiersia wtłoczone w ramę i spoglądające za nim. Katarzyna weszła właśnie na schody,

ciągle tak samo wyprostowana, podana nieco do tyłu, jakimś nie kobiecym zupełnie krokiem. Tam w głębi ganku czekała na nią matka, której zrazu nie zauważył (jak stała trzęsąc swą małą głową, że z oddalenia przypominała przestraszonego ptaka), i tylko popatrzyła na synową, już widać zrozumiała wszystko, bo uniosła ręce i ich nie opuściła, a iść zaczęła za Katarzyną prawie w tej samej chwili, kiedy ta ją minęła, i szła, wciąż nie opuszczając rąk, aż do wejściowych drzwi, gdzie się zrównały. Wtedy matka ujęła głowę młodej kobiety w dłonie, przycisnęła twarz do jej ramienia i zaszlochały. Potem zniknęły wewnątrz domu.

Konie objechawszy klomb ruszyły w głąb topolowej alei i przed stajnią zatrzymały się same, parszkając głośno. Choć zawołał parę razy, nikt się nie zjawił, tak że musiał wyprzęgać własnoręcznie. Pod murem swarzyły się wróble, ponad dachem piszczały jaskółki, poza tym było zupełnie cicho. Dopiero po chwili posłyszał, jak gdzieś wśród pól plasnął pojedynczy strzał; wiatr przygnał zagubione jego echo odbite od skraju lasu, ale od razu znowu uczyniło się cicho jak przedtem, tak że miał wrażenie, iż słyszy, jak topi się na dachu smoła. Powietrze zamknięte, niby w studni zabudowaniami, falowało i przedmioty porzucane beładnie na podwórzu zaczynały poza kształtem własnym wyrażać jeszcze jakieś rzeczy nieuchwytnie i obdarzone odrębnym znaczeniem. Paweł stał dobrą chwilę bez ruchu i zastanawiał się nad czymś, o czym dopiero co myślał, a raptem zapomniał.

Potem był w domu i znowu nie spotkał nikogo, nawet ze służby, jakby wszyscy w pośpiechu uciekli. Ta jakaś zapomniana myśl nie dawała mu wciąż spokoju (na pewno była ważna) i miał niejasne przeświadczenie, że kiedy okrażał klomb patrząc na ciotki, na Katarzynę i matkę, to myśl tę jeszcze pamiętał i że gdyby teraz kogoś spotkał, być może przypomniałby ją sobie. Szedł więc przez puste pokoje i szukał kogokolwiek z domowników, lecz dopiero poza niedomkniętymi drzwiami sypialni matki posłyszał jakiś pierwszy szmer. Kiedy pchnął je bez pukania, zobaczył matkę. I od razu, czując bezcelowość podejmowanego wysiłku, pomyślał, zachnął się: „Ona się modli. Nic nie powie. Nic nie pomoże”. Klęczała bowiem na spłowiałym klęczniku po dalekiej prababce (dość dwuznacznie za młodu łączonej z Taurydzkim księciem, na starość zaś ogłoszonej rodzinną świętą, przetartym, objedzonym przez mole i spłowiałym, który niedawno ku zdumieniu rodziny znieść kazała ze strychu, choć pobożną nie była wcale), skulona, z głową ukrytą w dłoniach, wspartą o pulpity i łokciami jak skrzydła rozstawionymi, jeszcze bardziej, niż przed kwadranssem na ganku przypominając ptaka, tylko że ptaka zranionego albo zziębniętego do ostateczności. „Ona nic mi nie

pomoże” powtórzył. Wtedy mimowolnym drgnieniem w bok żreńić pochwycił, spostrzegł był brak swego odbicia w lustrze stojącym pomiędzy serwantką a oknem, gdyż było czymś osłonięte i jakkolwiek myślał już znowu o Aleksym, że najgorzej jest właśnie z takimi zwłokami, których nie można zostawić samym sobie, bo wewnątrz w nim było jak gdyby dwóch ludzi, każdy zaś z nich myślał o czymś innym, to jednak myśl o lustrze była znacznie bliższa i niepokoiła. Plecy matki podnosiły się i opadały nieregularnym, złagodzonym przez pochylenie ruchem i w końcu pojał, że ona nie modli się, lecz płacze, i zaraz pomyślał, że ona wie, iż on jest w pobliżu, patrzy na nią, a również, że chyba nie ma mu ona nic, zupełnie nic do zakomunikowania, skoro się nie odwraca.

Zamknąwszy za sobą drzwi, zdecydowanym krokiem poszedł w kierunku schodów z zamiarem udania się do siebie na piętro. Zamiast jednak na nie wejść, zobaczył nagle, że je mija i od razu, kiedy tylko je minął, że zagłębia się w korytarz prowadzący na przeciwległą stronę domu. Ułamek sekundy zaledwie trwającym spojrzeniem ponownie wydobyl wtedy z półmroku korytarza lustro osłonięte lnianym płótnem, jak u matki, a choć jego świadomość odnotowała to spostrzeżenie tak, jak poprzednie, z fotograficzną wprost dokładnością, myśl zaledwie musnęła je po wierzchu, ponieważ już stał przed drzwiami pokoju bratowej.

Ustąpiły, gdy zapukał, z cienkim skrzygnięciem, jakby pod samym naciskiem jego knycki (czy też nie uświadamiając sobie siły, nad którą nie panuje uderzył w nie zbyt mocno — nie pamiętał następnie nic a nic), i w szparze, jaka się była uczyniła, ujrzał Katarzynę stojącą w środku pokoju z twarzą pełną napięcia; wyraz jej oczu jednak niewiele miał wspólnego z hałasem, jaki wywołał wchodząc, ani z jego obecnością w drzwiach, bo w dalszym ciągu nic chyba nie słyszała, a jego obecności w ogóle nie zauważyła. Wtedy zrozumiał, że owa myśl, którą był zagubił gdzieś pośród innych — choć jeszcze ją miał, pamiętał, kiedy siedzieli obok siebie w koczobryku, a nawet później też, wyprzęgając konie — ta właśnie myśl nie dająca mu tak długo spokoju, dotyczyła jej, Katarzyny, że chyba o coś chciał ją zapytać, czy coś jej zakomunikować. Równocześnie rozumiał także, że ona wcale nie jest tutaj, gdzie jest, jak gdyby porzuciła to, co stanowiło jej zewnętrzne, cielesne odbicie, przez które była dotychczas więziona, jak to cielesne jej odbicie więziły w Glebach rodzina, konwenans i wspomnienia, wszystko zerwane, nieważne od dzisiejszego ranka, i dlatego ona je porzuciła (to swoje cielesne odbicie), porzuciła bez żalu i odeszła, choć przecież stała ciągle jeszcze na środku pokoju, nie ruszając się wcale, zapatrzona

w okno. Ale to już nie była ona. I już wiedział, że tej niebywale ważnej dla siebie myśli, pytania, czy cokolwiek to było, nigdy nie przypomni sobie do końca, a ona na pewno mu w tym nie pomoże. Coś wtedy w nim jak gdyby pękło na dwoje i, gdy pośpiesznie powrócił do sieni, karafka, kiedy nalewał z niej wody do szklanki, rozdzwoniła się głośno rozdygotanym dźwiękiem, choć kiedy już wypił, a chłodny płyn jął rozlewać się po żołądku wolno, zauważył stępienie bólu, lecz nieznaczące, nikłe, warte najwyżej pogardy.

Siadł w pobliżu ciągnącego chłodem kominka i patrząc na połykliwy w słońcu ruch drobin powietrza, próbował się rozprężyć jakkolwiek bełkotał w nim natrętnie jakiś głos mogący być wprawdzie jego własnym głosem, ale prędzej głosem kogoś innego, bo brzmiał obco, który natarczywym szeptem, chaotycznie i w sposób zawiły dowodził mu, że: „... mogłaby choć raz odpowiedzieć coś trzeba począć ze zwłokami Niemcy sami ludzie tam wożą oczywiście żeby nam pokazać co z nas jak znowu przyjdą psiakrew już tylko ścierwniki kowale i czerwie się nażrą a potem sam popiół ziemia i nawóz a przecież pisał zdrów jestem i wszystko w porządku oczywiście w Kozielsku być może pisał nie to co chciał ale co musiał a przedtem ty się nią opiekuj mówił dobrze i głos miał taki jak co z cierpieniem jakie jej zadał swoim odejściem wszystkie więzy pozrywał ale jakie tam cierpienia one są prędkie teraz zaskoczyła mnie może jeszcze pamięta ale ani słowa ani łzy jednej opalona śliczna jak gdyby nad morzem była a co robiła przez tych parę dni dowiem się jeszcze zabije szczeniaka jak co robiła nie powie że męża wspominała oczywiście...”, a którego próbował nie słuchać, gdyż to, co wszepetywał mu natrętnie w mózg czepiało się go niepełnymi powierzchownymi skojarzeniami, lecz wtedy krótki powiew od otwartych okien przeciągnął przez sień ze szmerem i załopotał nad głową.

Paweł odwrócił się zatrzymując wzrok nad kominkiem, na którym stał zegar, a gdzie z tyłu wisiało wielkie lustro w rokokowej ramie. Powiew jeszcze raz załopotał płótnem, którym było ono okryte, odsłonił zeszlifowany kryształowy brzeg, na moment odbijając w nim rozłamaną przez pół, zniekształconą przeciwległą ścianę, a potem ustał i płótno na powrót opadło na ramę, wygładzając się powoli. Ciało przepełnione miał chłodem: a więc bez wyjątku wszystkie lustra w tym domu były dziś ślepe, choć jeszcze z rana, gdy wyjeżdżał z Gleb do Czupryni z listem dla Katarzyny, nie były. A więc dla niej Aleksy też umarł dopiero teraz. Dla wszystkich. Teraz. Dopiero teraz ten dom był naprawdę domem śmierci.

Mogło to tak trwać z godzinę, jak siedział obok ziębiącego piwnicznie kominka, czekając nie wiadomo na co, mogło trwać więcej godzin. Wraz z powiewami wiatru przez okna nadciągały jakieś nieokreślone, niepokojące dźwięki głuszone wprawdzie bliskim poszumem drzew, mimo to słyszalne. Potem jego przytępiiony słuch, jakby na chwilę się wyostrzył i wyodrębnił spośród nich odległe pojedyncze strzały, ryk bydła i jeszcze coś, czego nie umiał nazwać; przypominał sobie, że Niemcy zapowiadali rekwizycje u zalegających z kontyngentami chłopów i że to zapewne żandarmeria hula po wsi. Uniósł głowę, gdy przez sień z hałasem przeszła dawna Katarzyny piastunka, Paraska. Stara przystała nieopodal bez słowa, spojrzała nań rozmazanym, półwidzącym wzrokiem bez krzty przychylności, jakby czekając, że coś jej powie, i musiał uczynić wysiłek, żeby wytrzymać jej spojrzenie, zastanawiając się z czym przyszła, czy wie, że Aleksy umarł już ostatecznie i obecnie on, Paweł, jest tutaj jedynym panem, co w odniesieniu do żony brata, jej „panienki” też się liczy i ma znaczenie, jeżeli zaś wie, to czy wie również, że on na to czekał. Nie mógł odgadnąć. Mimo chłodu czuł, że się poci nieprzerwanie i równomiernie. Już chciał coś powiedzieć, żeby się jej pozbyć, lecz uprzedziła go, pytając, gdzie podać kolację, gdy zaś odpowiedział, że nie ma na nic ochoty, z ulgą i odprężony iż nie o to jej wcale chodzi, czego się tak obawiał, wzruszając ramionami powiedziała, że znówu był we dworze któryś z tych „leśnych”, co zawsze i że dopytywał o niego. Jej pomarszczoną niby zwiedle jabłko twarz ściągnęło raptem pełne niechęci znużenie; zwracając w stronę kuchni powiedziała jeszcze: „*Kulawyj Antypko joho wydiw w seli. Szczoby tilky Nimciam ne donis*”, dopiero jednak w drzwiach oznajmiła to co najważniejsze, złym jakimś szeptem: „*Jak wernuwsia do lisu, tak joho za riczkoju zarizały. Toho partyzana. Ce buło chiba try hodyny tomu, koły pan z pannoczkoju pryjichały. Stajennyj piszow tam podywytyś, howoryw, uże zarizały na dobre*”. I zaraz kroki starej ścichły, jakby w ogóle jej nie było i natychmiast zapomniał, co mu powiedziała. Dom zachodził już cieniem, kiedy po raz drugi poszedł w stronę pokoju bratowej.

Drzwi, jak je był pozostawił przedtem, stały otworem i miał prawie pewność, że tak samo, jak przedtem, zostanie Katarzynę, jakby przez jakąś obcą, bezlitosną siłę zatrzymaną między fotelem a stołem; już jej tam jednak nie było. Ale nie opuściła pokoju. To coś, co chyba nie ma nazwy, co nie jest nawet szelestem oddechu, ani zapachem, a na pewno istnieje, bo roztacza to wokół siebie każdy człowiek, zwłaszcza zaś kobieta, i co jest ledwo uchwytnie i drażniące, przeniknęło mu raptem przez skórę. Oswo-

iwszy oczy z szarością zmierzchu, zobaczył ją. Siedziała w fotelu twarzą ku oknom, za którymi nie było żadnego widoku, zmatowiała jedynie zieleń wprawiana w ruch przez powietrze odpychane od nagrzanego muru, skupiona i wyprostowana, plecami nie dotykając wcale oparcia, a jej ręce, przygięte w połowie ostro (tak że nie widział dłoni, może zaplotła je na piersiach) i wystające łokciami poza poręczę, zdawały się być jak gdyby wprost zawieszona w tym suchym, niemiłosiernie rozrzedzonym powietrzu, pełnym wirującego prędko pyłu. I nawet nie drgnęła, gdy przystanął za fotelem. Ani nie odwróciła głowy. Aczkolwiek stał dostatecznie długo, aby musiała go zauważyć, lub przynajmniej wyczuć obcą obecność w pobliżu, jeżeli zdolna była czuć cokolwiek.

Więc znowu poczuł swą zbędność i wycofał się w milczeniu. Tylko ona mogła wyjaśnić swoją i jego sytuację, lecz ona odeszła, właśnie tak: o d e s z ł a, mimo że potem, zaglądając do jej pokoju jeszcze parokrotnie, zastawał ją zawsze w tej samej pozycji i tym samym miejscu. Wciąż nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa, które by mógł jej powiedzieć. Wprawdzie już w czterdziestym, najpóźniej zaś w czterdziestym pierwszym roku przestali mieć nadzieję, że Aleksy przeżył, mimo to była dla niego ciągle jeszcze żoną brata. Nawet mimo tego, że jej uczuć do zmarłego nikt w gruncie rzeczy nie znał. (Choć obecnie nie mogły mieć one znaczenia, albowiem ludzie żyjący ze sobą zaledwie parę miesięcy musieliby wiedzieć o miłości zbyt mało, albo zbyt wiele, aby miłość ich trwać mogła poprzez śmierć w postaci nie zmiennej, nie zniszczona bólem, ani zapomnieniem). Jednakże dalej żoną brata być nie mogła. Teraz Aleksy nie żył już „oficjalnie”. Od dzisiejszego dnia była jedynie wdową po bracie. Dlatego jego, Pawła, i jej wzajemna sytuacja musiała zostać wreszcie określona. Przecież nie mogli przebywać odtąd obok siebie ani jak obcy, ani jak krewni, to przerastałoby ich wytrzymałość. I chociaż poprzez uparte milczenie, nie rozpacz, nie obojętność nawet, zwykłe tylko, chłodne milczenie nie potrafił na razie się przedrzeć i nie znajdował do niej żadnego dostępu, wiedział, że jakieś słowa będą musiały być między nimi powiedziane.

Matka ani ciotki nie wyszły ze swoich pokojów, po domu kręciła się teraz tylko jak cienie, bezszelestnie, służba. Cykanie zegarów bezustannie słyszalne w pobliżu (Boże, jak ohydnie powoli), zestrojone w jedno z ciszą nie puszczało go z niewidzialnych kleszczy i współbrzmiało z owym bełkotliwym głosem, który nie milkł w nim ani na chwilę odzywając się coraz to inaczej, jakby za każdym razem należał do zupełnie innej osoby. Teraz właśnie: „... o co chodzi o co chodzi” krzyczał głosem Katarzy-

ny, „... toż to jedynie mój powrót tak zachłannie pożądany przez ciebie a nic więcej nic się nie stało ty głupcze a nie mogłeś do-
czekać się abym dobrowolnie powróciła musiałeś to zawiado-
mienie czerwonego krzyża przywieźć przypomnieć do kogo należą
i teraz mój powrót stworzył tę dawno oczekiwaną przez ciebie
okazję biedaku nie znajdziesz już wyjścia z tej sytuacji nie zwal-
czysz swoich pokus parę lat walczyłeś on stał między nami
o głupcze stać będzie zawsze zawsze zabijałeś go w sobie i we
mnie ale nic się nie może zdarzyć takiego co chciałbyś teraz pró-
bujesz go zabić ostatecznie to gra zbyt dwuznaczna ty głupcze...”.

Jednakże Pawłowi zdawało się, że oprócz bełkoczących gło-
sów w nim samym, słyszy także docierający do jego świadomości
głos z zewnątrz. Był to niski, opanowany głos Aleksego. Brzmiał
tak blisko, jak gdyby Aleksy stał tuż obok albo za plecami i mó-
wił doń spokojnie, przekonywująco: „Czas żebyś Pawle pojął
jakże byliśmy Katarzyna i ja nieobecny wśród was o krok od
katastrofy rozdzielenia na zawsze zanim nie zdecydowałeś się
zastąpić mnie w tym domu oczywiście już stają się wspomnie-
niem choć ciągle dość żywy aby ci pomóc w twojej powłoce
cielesnej przeciwstawić się sile przyciągania innych jak pomaga-
łem ci zawsze odkąd nasz ojciec poszedł wtedy sam na to spotka-
nie w lokalu wyborczym więcej nie wrócił bo ta wojna jeszcze
potrwa dotyczy także Katarzyny choć wydać ci się to może
śmieszne sprawa kobiety jest dość błaha w porównaniu z innymi
których sens mam wrażenie rozumiałeś już w czasie tamtej
poniewierki tułaczki w dwóch pierwszych latach wojny tropiony
jak zwierzę ale kobieta ta należy do nas jest z kręgu naszego
fatalnego losu bronić jej musisz weszła bowiem w nasz dom
stała się mną tobą nami nie możesz jej pozwolić na odejście mimo
tego co już się zdarzyło między nią a Piotrem Czerestwieskim
zdarzy czy zdarzyć może...”. I spod przymkniętych powiek Pawła
wyłonił się ów ranek w końcu tamtego sierpnia, kiedy brat ode-
pchnął łagodnie lecz stanowczo matkę, wybiegł przed dom w mun-
durze już, w rogatywce polowej, oderwał od siebie Katarzynę
(i cofnęła się posłusznie, i oparta o drzwi patrzyła gdzieś przed
siebie, jakby była ślepa), a potem wskakując do bryczki, nachylił
się do niego, Pawła, i powiedział: „Bądź dla niej dobry. Musisz
mnie tu zastąpić”, i konie podcięte z nagła przez strangreta poga-
łowały uwożąc jego ostatnie słowa, twardy ruch warg, jakieś
zadumane spojrzenie, nieokreślony jakiś uśmiech, i on, Paweł,
patrzył za Aleksym długo, aż pojazd spowity kłębami kurzu roz-
płynął się w słońcu, gdy zaś się odwrócił, napotkał wzrok brato-
wej, w którym było tragiczne pogodzenie się, więc ujął ją wtedy
pod ramię i wprowadził do domu bez słowa.

Obraz tamtego poranka z sierpnia trzydziestego dziewiątego roku zbladł nagle i znikł, gdy otworzył oczy. Głos brata jednak dalej słyszał, jak mówił: „Nie jesteś winny Pawle że zostałeś ja odszedłem choć trudno mi przebaczyć Katarzynie a z taką wiarą w jej wierność odszedłem że przygarnięta przeze mnie już zechciała wrócić do obcych za krótko widać ją kochałem mimo wszystko ufam jej że ufam tobie nie muszę zapewniać gdyż to że straciłem zaufanie Katarzyny za prędko odszedłem o Boże nie jest wcale równoznaczne z faktem że ona straciła moje więc ufam jej Pawle że zachowała w sobie nikły odprysk tamtej miłości i potrafisz tak podobny dziś do mnie jakby krew moja po owym strzale w tył czaszki wlała się w całości w twoje żyły wzbudzić w niej na nowo to czym dla mnie pulsowało jej serce nie dopuścić do katastrofy rozdzielenia ze mną na zawsze o bracie gdy mój czas w tym domu skraca się i niknę i odchodzę w ciemność i coraz dalej i dalej...”, aż raptem ów głos przebrzmiał, ostatecznie wtapiając się w ciszę, choć przed chwilą jeszcze rozlegał się tak dobitnie, jakby to naprawdę Aleksy do niego mówił, i mógłby go zobaczyć żywego, gdyby się tylko zechciał odwrócić. Nie odwrócił się; serce by mu pękło.

Wreszcie zmierzch nabrał mocy. Wtedy podniósł się z krzesła; w głębi sieni nie było nikogo. Przewycięzając resztki bezsily zbliżył się do okna i otworzył je na rozścież. Powietrze wciąż jeszcze pachniało rozmielonym, nagrzanym kurzem; czuł jego gęstość na suchych zębach i w zaciśniętej, drewnianej krtani. Musiał kilka razy zwilżyć wargi, żeby pozbyć się bólu. Dostrzegł niewyraźny, roztaczający się szerokim półkolem widnokrąg, mogła to być jednak ściana białodrzewu mającząca na skraju parku. Wiatr ustał nie wiadomo kiedy. Posłyszał, jak trawniki za oknami, odcięte równo od ścieżek szpalerami przystrzyżonej nisko spirei zaczynają pulsować niezmordowanie owadami, pełnymi podniecenia i niezliczonymi. „Tyle zmartwień, tyle paskudnych zmartwień” pomyślał bez większego związku. Spojrzał na wznoszące się w oddali pogodnie sinawe niebo. Ukazała się na nim gwiazda wieczorna i widział jej blask intensywniejący powoli. Jakiś Rusin kłął głośno konia na drodze. Gardłowe końcówki słów zlewały się w jeden podłużny przyśpiew. Od stawów ciągnął rechot zab, a bliżej ciął powietrze przenikliwy pisk nietoperza. Zapalając papierosa ujrzał w świetle zapałki drżenie własnych rąk. Zdawało mu się, że słyszy coś w rodzaju wołania; wprawdzie, że dociera do niego od strony parku, później, że z głębi domu, ale wkrótce zrozumiał, że to tylko w nim samym są znowu te różne cudze głosy, krew wrze mu zbyt hałaśliwie pod skroniami i jest tak, jakby ktoś zgodnie z jej rytmem odzywał się do niego tym razem

głosem nabrzmiałym niedomówieniami i znaczeniem. Gdy w salonie rozległy się metaliczne uderzenia ściennego zegara, spojrzął na niebo i pomyślał: „Jest już chyba jedenasta”. Ale z wolna napłynęło ku niemu jedynie dziesięć miarowych uderzeń i zastanowił się, czy pomylił się w liczeniu, czy rzeczywiście minęła dopiero dziesiąta. Jał nasłuchiwać z niezwykłą uwagą, jakby coś ogromnie istotnego zależało od tego, czy ów metaliczny dźwięk raz jeszcze się odezwie, czy też nie, lecz nie usłyszał ani jednego. Odezwał się dopiero po chwili dostatecznie długiej, aby należała już do czasu zupełnie innego. Choć od tamtych dziesięciu uderzeń, które napłynęły ku niemu z salonu, pomyśleć udało mu się za ledwie: „Coś się stanie”, czyli myśl niebывale krótką, nie wymagającą nawet ułamka sekundy, no, może jeszcze jedną, lub dwie: „Coś się stanie ze mną”, albo: „Coś się stanie z Katarzyną”, jeżeli w ogóle nie była to ta sama myśl sformułowana od razu w trzech wariantach. Zmierch jednak za oknem zdołał się na tyle pogłębić, by na niebie, miast zagubionej w samotności planety Wenus błyszczało już wiele gwiazd, które później, zwykle około północy tak bardzo lubią spadać, ciągnąc za sobą smugę blasku nie wiadomo czy złotego, czy srebrnego. Teraz w jego mózgu nie wołały więcej żadne głosy. Odsunął się więc od okna i po raz któryś znowu ruszył w stronę pokoju bratowej.

Nie szedł nawet szybko. Nie pamiętał, co zdarzyło się pomiędzy czasem dziesięciu uderzeń zegara, a czasem następnego, jednego uderzenia. Jeżeli coś miało się stać, nie potrafiłby temu zapobiec; był słaby, a owa popychająca, nakazująca mu iść siła, aczkolwiek pochodziła od niego samego, to jednak działała samodzielnie i nie miał na nią wpływu. Potem był już w pokoju Katarzyny, nie wiedząc, kiedy go przekroczył. Nie zastanawiał się po co przyszedł i co powie. Spostrzegł, że Katarzyna siedzi dokładnie jak przedtem w fotelu, a resztki rozpraszającego się prędko światła przesiewanego przez listwy żaluzji zatapiają kontury jej postaci w ciemnym powietrzu. Gdy postąpił krok w głąb pokoju, usłyszał jak ona oddycha. Choć właściwie, to mimo mroku, bardziej widział niż słyszał. Oddychały bowiem jej ręce, jej łokcie i ramiona odchylające się na zewnątrz fotela, następnie cofające się krótkimi, ostrymi ruchami, i to było tak, jakby poruszały się w niej w środku nie kontrolowane przez świadomość mechanizmy, od których była zależna, lecz nie wiedziała o nich, będąc wciąż jak gdyby nie tutaj, nie w tym, a w zupełnie innym miejscu. Potem postąpił jeszcze krok, czy dwa, zachodząc z boku, tak że wreszcie zobaczył ją całą nieporuszoną na tle szarego wieczoru, niby bezosobową sylwetkę wyciętą przez jarmarcznego artystę z czarnego papieru, siedzącą sztywno, napiętą, gdyż tak

jak przedtem linia jej wyprostowanych pleców rysowała się równolegle z oparciem, napiętą do ostatnich granic, mimo że nie widziało się tego, a tylko wyczuwało. I stanął pochylony z głową wciśniętą w ramiona, bojąc się unieść ją wyżej, spojrzeć Katarzynie w oczy, wydało mu się bowiem, że czuje na swojej twarzy spojrzenie kobiety niezmiernie obojętne i obce. Gdy się jednak w końcu przemógł i spojrzał, spostrzegł, że ona wcale nań nie patrzy, jakby nie zauważyła nawet jego wejścia. Wtedy zapytał: „Czy jestem ci potrzebny?” i odczekał, a gdy zdanie przebrzmiało, ujrzał całą jej twarz zwracającą się ku niemu wolno, ciemne rozszerzone oczy, z których wyzierało zdumienie, jak gdyby spodziewała się kogoś zupełnie innego, a miast tego kogoś ujrzała jego, albo nie spodziewała się w ogóle nikogo, lub go wcale nie poznała, trudno było dociec, w każdym razie wreszcie widać go poznała, bo owo pierwsze zdumienie wygasło, i widać jego głos w końcu dodrażył się do jej świadomości, bo zobaczył, jak jej oczy napęcznieją się spłoszeniem i zaprzeczeniem, i jak ten wyraz jej oczu zaczyna się rozprzestrzeniać gwałtownie, jak gdyby po całym jej ciele, i powiedziała, właściwie krzyknęła: „Odejdź! Odejdź! Nie teraz! Tylko nie teraz”, ale głosem, który nie miał wcale mocy krzyku, zabrzmiał bowiem głucho, niby wyciśnięty z samego dna ogromnego zamroczenia.

Począł rozpaczliwie cofać się do drzwi potracając stojące na drodze meble i szukając wolnego przejścia. Głos Katarzyny gonił za nim, przetaczając się wskroś mroku poprzez pokój i wzbierając falą różnorodnych ech, choć w gruncie rzeczy wchłonięty przecież został przez otaczającą ciszę od razu, zbyt był głuchy, te echa to wzbudzić mógł jedynie w jego własnym mózgu; i zapewne uciekłyby, gdyby nie zderzył się plecami ze skrzydłem zostawionych otworem drzwi, i gdyby ich trzask wraz z ciszą, jaka zaraz znowu nastąpiła, nie odcięły go od zewnątrz, że znalazł się jak gdyby w potrzasku. Wówczas z głębi przepastnego, czarnego powietrza, z miejsca, gdzie zostawił był siedzącą w fotelu kobietę, dogonił go zadyszany szept: „Duszno. Och, jak duszno”, a równocześnie z szeptem posłyszał, jak odetchnęła (zapamiętał haust głęboki i prędko), potem znowu jej szept: „Podnieś żaluzje, Pawle”, tym razem ani zimny, ani ciepły, raczej zwykły, obojętny.

Gdy podniósł żaluzje, za wsią wisi już żółtoróżowy księżyc przyćmiewający blask planet i gwiazd, choć miał wrażenie, że jego obecność w pokoju Katarzyny trwała zaledwie parę minut. Odwróciwszy się zobaczył, jak promienie światła przenikające przez zieleń zza okien załśniły na twarzy kobiety wysysając z jej skóry w jednej chwili całą czerni powietrza, zostawiając białą

i zimną, jak coś nieżywego albo stearyna, czy słonowa kość. Szybko powtórzył pytanie: „Czy jestem ci potrzebny?”, bo łudził się jeszcze, że istotnie przyszedł, aby jej w czymś pomóc. Lecz odpowiedzi nie posłyszał żadnej. Uniósł tylko głowę wolno, tak wolno, jakby drobny ten ruch wymagał przewyciężenia potężnej siły hamującej i spojrzała na niego wszechobejmująco, jakoś tak, jak to robią zwykle kobiety, gdy chcą wiedzieć albo już wiedzą; a ona już chyba wiedziała. Odezwała się dopiero, kiedy nie mogąc wytrzymać jej spojrzenia, odwrócił twarz: „Nie zdołam sobie przypomnieć, nie pamiętam”. A on prędko: „Nie wiem, o czym myślisz...”. A ona z ociąganiem, jakby broniła się przed wiedzą, jakiej nabyła przed chwilą: „Wiesz dobrze” i zaraz: „Nie pamiętam nawet, jak on wyglądał...”. A on: „Nie miał wtedy więcej, niż ja dzisiaj lat”. A ona: „To nie to samo. Nie zdołam sobie tego przypomnieć”. A on: „Nie musisz”. A ona. „Tak, myślę — nie muszę. Nie powinieneś jednak ode mnie tego żądać”. A on: „Aleksy wcale by nie chciał, żebyś była tak samotna”. A ona: „Nie pamiętam już z tamtego nic a nic...”. A on: „Nie musisz”. A ona: „Nie możesz...”. A on: „Chcę...”, i urwał, bo ona: „Nie!” krzyknęła z rozpaczą i wtenczas on również: „Nie” powiedział twardo, gniewnie, zdecydowanie. Już rozumiał przed czym ona tak uporczywie się broni, wstała bowiem i szła przez pokój w stronę drzwi sypialni, jakby uciekała, bezwiednie powtarzając to swoje: „Nie możesz...” i „Nie”. Nawet, gdy utonęła w miękkim, ciepłym mroku, już w sypialni, skąd jej głos milknący w szept dochodził, niby z drugiego krańca świata, a potem był zaledwie obronnie brzmiącym zawodzeniem, które mieszało się z szelestem jedwabiu odrywanego od skóry, to wciąż jeszcze te słowa słyszał przemieniające się w przeciągły jęk. Ale już nie czuł w sobie cienia współczucia dla niej (jeżeli zresztą kiedykolwiek w nim ono było), ani żalu, ani w ogóle nic, bo ruszył za nią prawie natychmiast, kiedy tylko iść zaczęła, i zobaczył, że ciemność, która zrazu wydała mu się za drzwiami tak miękka, ciepła, spowijająca i gęsta, przepołowiona jest poziomą strugą światła spływającego spod nie spuszczonej do końca żaluzji, i w niej, gdy oswoił z nią wzrok, w tej słabej strudze rozpraszającego się światła, nagle dojrzał, jak Katarzyna zsuwa z siebie suknię, a potem wszystko i jak bezwładnie rzuca się na łóżko. Lecz zaraz przestał widzieć, tak oślepiło go światło (ale nie było to wcale światło, dopiero teraz to rozumiał), natomiast wybuchły w nim dwie myśli równocześnie: „Aleksy tego by chciał”, i: „Jej nie wolno od nas odejść, ani nas zapomnieć” pełne wściekłości, że pewnie byłby podbiegł i ją uderzył, gdyby nie zgasty od razu. I to pozwoliło mu podejść do niej spokojnie. I podszedł.

I ciągle jeszcze nie widząc (tak był oślepiony), wyciągnął przed siebie ręce i natrafiwszy na zimne, napięte oporem ciało, cofnął się ze strachem. Ten szept, który trwał od chwili, kiedy wstała z fotela, choć był taki, jakby to nie ona szeptała, bo zawodząco przetaczał się wokół niej w powietrzu, gdy tymczasem jej zaciśnięte usta milczały, ten szept wtedy raptem się urwał. Powiedziała głośno, bezosobowo, obojętnie: „Zimno”.

Już więc wiedział. Ów blask, jaki zapalił mu się w źrenicach i oślepił go, nie miał nic wspólnego z bladą smugą jasności spod żaluzji rozszczepiającą jedynie pokój w wielowymiarowość. Nie miał może nawet nic wspólnego także z Katarzyną ciałem, przenikliwie białym i zimnym, jeszcze bielszym, niż biel pościeli. Pochodził z niego samego, Pawła, wprost z jego wnętrza. A chociaż nie towarzyszyła mu (temu dziwnemu blaskowi) żadna nowa myśl poza tamtymi dwoma, jakie przemknęły mu przez mózg z wściekłością i zaraz zgasły, pozostawił go jednak opustoszałym do szczytu, bez miłości i bez pożądania. Ale posiadał tę wiedzę dopiero, gdy siedząc na skraju łóżka wyciągnął ręce i dotknął ciała kobiety, a właściwie, gdy je był cofnął ze strachem i zapragnął najbardziej jednego, żeby uciec; wcześniej nie wiedział. Tylko że ona odezwała się właśnie wtedy ponownie: „Zimno. Czy nie widzisz, jak mi zimno?”, mówiąc to z niedostępną niecierpliwością. Wzniosła ramię, powoli i ostrożnie przesunęła je poprzez powietrze, jakby badając odległość, jaka ich dzieliła, a gdy jej dłoń zbliżyła się ku niemu i dotarła wreszcie do jego dłoni, to tak już pozostała, więc było za późno (przypominał sobie teraz, że dłoń ta była wąska, wiotka, że mógł obracać ją w swojej, przginać, ugniatać, nie znajdując w niej żadnego więcej oporu, nawet drobnego znaku życia, samą bezwolność), na pewno za późno, bo nie potrafił się jej pozbyć. I choć trzymał tę znieruchomiałą dłoń w swojej dłoni długo, potem podniósł do ust i całował, aż do zagłębienia pod łokciem, nie wzbudził w niej nic i nic prócz owej martwej, chłodnej bezwolności nie wyczuł, gdyż skóra, mimo że paliła mu wargi żarem, też była chłodna. Była rozpięta na chłodnej nieobecności przesywanej jedynie wewnętrznymi prądami gorączki, o której zapewne ona nic nie wiedziała. I jeszcze raz zapragnął wtedy uciec. I jeszcze raz posłyszał, że jej zimno. Te słowa zresztą nie do niego wcale były kierowane, ale w przestrzeń, gdzieś w pogoni za jej własnym umykającym spojrzeniem. I jeszcze wyraźniej, niż przedtem uświadamiając sobie dojmującą pustkę, tę nicość, w jaką zepchnął go tamten krótki oślepiający blask wypaliwszy wpierw do dna, i że jest wolny od wszelkiej miłości, wszelkiego pożądania, spróbował ją wziąć, zdobyć, posiadać. Spróbował siłą. Całą swoją wolę ze-

środkował na tym jednym pragnieniu, choć nie opierała się wcale, ciągle jakby nieobecna, ani przyzwalająca, ani wzbraniająca. I nie wydała z siebie żadnego głosu, jakby nawet oddychała przez skórę, nie zaś płucami. I była zziębnięta i ziębiąca. I zaraz osunął się na powrót na plecy, drząc każdym włókmem mięśni z osobna, dławiąc się brakiem tchu, wyczerpany śmiertelnie, słaby, tamto poprzednie swoje przerażenie czując jak rośnie w nim na nowo, w miarę jak dopiero co bezwolne, martwe nieomal jej ciało ożywa, wstrząsane śmiechem, w którym nie ma nic ze śmiechu, a który bluznął z jej ust, niby plwocina i jak go nim (tym śmiechem) odziera do naga, jak gdyby już sama męska nagość nie była dość naga, a jeszcze musiała być wychłostana wstydem. I raptem wszystko to się skończyło. Zamilkła w pół dźwięku, w pół oddechu, znieruchomiła.

Potem myślał, że może tej krótkiej chwili wcale nie było, albo wszystko to mu się tylko śniło. Leżeli od siebie daleko, rozdzieleni czarnym, wilgotnym, parnym, dopiero na skórze ziębiącym powietrzem. Widać dawno minęła północ i księżyc wzniosł się wyżej, poprzeczna bowiem smuga światła dobywająca się spod żaluzji opadła ku dołowi. Połyszał, że Katarzyna oddycha równomiernie, z małymi przerwami, ale oddycha, choć jej ciało było, jak przedtem sztywne, zimne i niby z białego kamienia. Chciał coś powiedzieć, tylko że nie miał na to dość siły. Gdy odwrócił w jej stronę głowę, zauważył, że otworzyła oczy, a potem, że są nieco zdziwione, choć także poważne, poważne i pełne skupienia. Wyczuł, że może i ona chciałaby coś powiedzieć. Natężył całą uwagę, ale nie, nie powiedziała nic; czyżby i jej zabrakło siły? Wreszcie, kiedy już jej powieki poczęły się osuwać, lecz zanim zwały się ciężko i szczelnie, połyszał, jak gdyby od ust kobiety oderwał się delikatny szept: „Wciąż jeszcze poniedziałek? Może to następny poniedziałek? Może już tydzień później?”, chociaż nigdy nie zdobył pewności, że to szepnęła ona, a nie on pomyślał, gdyż mogła to być także jego własna myśl o szepcie, którego oczekiwał, lub który przeczuwał, słysząc, jak oddech kobiety zwolna się wyrównuje i że chyba zasnęła. I on zapragnął wtedy snu ponad wszystko. Potem z dworu napłynęła fala ciepła i otuliła ich niby kocem w zimową noc.

A to był jednak ten poniedziałek. Ten, nie żaden inny, myślał teraz, choć chciałby i on, żeby od wczorajszego dnia dzielił go tydzień albo i więcej. Lecz nie mógł na to nic poradzić, bo to był ten sam poniedziałek, który zaczął się wyjazdem do Czupryni z listem od „Czerwonego Krzyża” dla Katarzyny i dopiero obecnie niezmiernie powoli zaczynał się wtorek. Świtało. Dopiero co zziębły w rosie i zamilkły nocne owady, a za oknami rozlegać

się poczęły pierwsze świdrujące głosy ptaków. Papieros, którego jeszcze był zapalił wtedy w ciemności po wyjściu z Katarzyny sypialni i nie widział go, jedynie przez jakiś czas ten nikły odblask żaru, spopielił się nie wiadomo kiedy. Gdy jednak niedopałek rozgniatł teraz w popielnicze, to już go widział nieźle. W świetle świtu widział, że nie tylko jest zimny, ale również czarny i że na palcach zostawia mu brunatny ślad, jak od oparzenia. Potem, gdy podniósł się z fotela, było prawie jasno i ściany błękitniały, jakby odbite w jakiejś wielkiej wodzie. Tylko tej zdolności odczuwania własnej krzywdy, bólu i zniewagi, której pozbył się tamtego dnia, czy nocą — albo pozbywał się przez cały długi dzień i noc bezustannie — nie odzyskał, choć nie tak dawno wydawało mu się, że wystarczy jedynie posiedzieć spokojnie w samotności, zebrać myśli, a wówczas wezbraną falą wszystko w nim powróci i będzie wiedział, co zrobi. Obecnie w dalszym ciągu nie wiedział i przestał się nad tym zastanawiać. Nie odstępowało go jedynie pytanie, zwykłe, obojętne, prymitywne zaciekawienie, ile jeszcze będzie musiał znieść, zanim Piotra Czerestwińskiego dostanie w swe ręce. Aż w końcu przytapał się był na myśli (stojąc zresztą długo już przy oknie i patrząc, jak mgliste światło budzi z uśpienia park), na spostrzeżeniu, że owe zaciekawienie, ono samo już jest w jakimś sensie postanowieniem. Bo przecież zanim nawet przypomniał sobie, że Mikołaj Fiodorowicz prosił, aby Piotra odnalazł, znowu wdarła się do jego świadomości Katarzyna i zaraz to sformułował: „Więc jednak coś ich łączy. Ją i Piotra”, czyli tamto zaciekawienie było już postanowieniem spełnienia prośby starego Czerestwińskiego, odnalezienia kuzyna, jeśli zaś nawet nie postanowieniem, to przynajmniej wskazówką działania. I wtedy cofnął się od okna, zбочył w korytarz, następnie wypróbowanym ruchem okręcił wystający kaflowy gzyms dekoracyjnego przypiecka, otwierając znajdującą się tam skrytkę, którą zawdzięczał prapradziadowi z przedostatniej przebudowy dworu przed wiekiem (nie zlikwidowaną przez Aleksego w czasie przebudowy ostatniej, nim się był ożenił), i nie zaglądając nawet do środka, ruchem kanciastym, udreżczonym wy dobył stamtąd pistolet parabellum. Potem zaczerpnął z pudełka garść zapasowych naboí. A potem schowawszy to wszystko do kieszeni, nie patrząc na matkę, która wówczas właśnie stanęła w drzwiach ubrana, jakby w ogóle całą noc nie spała, nie reagując na jakieś jej pytanie, już po chwili zmierzał prędkim krokiem przez park ku zabudowaniom folwarcznym. I zaraz tam był, i nie wołając nikogo ze stajennych, długo, w ciemnym zamroczeniu, zakładał na konie uprząż i mocował się z bryczką (bo przecież spał w ciągu ostatnich *dwudziestu, dwudziestu czterech*,

czy iluś tam godzin, *dwie, trzy* najwyżej), a później znów znajdował się w drodze. Po raz trzeci w drodze od tamtego ranka, kiedy nadszedł ów fatalny list „Czerwonego krzyża”. I zastanowił się tylko gdzie, w jakim miejscu w czasie była granica, przed którą wszystko, co się działo — działo się w powolnym, rozciągniętym tempie, a od której — zdarzenia nabrały tak okrutnej szybkości.

Potem zobaczył (nie zwalnając, w pędzie) pierwsze dymy snujące się z kominów, chłopów na wpół dopiero ubranych, czerpiących wodę żurawiami do poideł, baby wracające ze skopkami od wczesnego udoju i tamte wozy z rozgromionego Stoczka, czy jeszcze tam skądś, już stojące nie na poboczu pod żywoplotami, jak dnia poprzedniego, kiedy jechał do Czupryni, ale uprzątnięte z widoku, wciśnięte w podwórza i opróżnione. I zobaczył (ani trochę nie zwalnając) obok twarzy znajomych, miejscowych, zmienione rozpazą i tą wyzierającą z krótkich, ledwo dotykających spojrzeń beznadziejnością, obce twarze uciekinierów. Znowu powiało, rzuciło się na niego zatęchłe tchnienie całego ludzkiego upadku i hańby: żywi budzili się ze snu, jak zawsze, krzatali się zapobiegliwie wokół swych codziennych spraw tuż przy swoich upodlonych trupach, przy wciąż nieostygłych mogiłach i nie było żadnej uchwytnej różnicy między dniem pogromu, a dniem po pogromie, wszystko jednako niwelowała codzienność. I pomyślał, jakąś taką otępiałą myślą, że i on jest im podobny, podlega tym samym prawom. A potem przed skrzyżowaniem ku dolinie Męki Pańskiej wjechałszy na krzyżtopolski trakt, zamknął oczy dając się ślepo wieść koniom. Nie usnął. Był na to zbyt zmęczony. Te jego tępe myśli krążyły wciąż wokół tego samego: jakże to się stało, Mikołaj Fiodorowicz powiedział przez telefon tak mało, jakże to, ta dojrzała kobieta, tamten szczeniak, nie do wiary, uciekł dla niej, zdumiewające, co ich oboje łączy, co powie matka, co Czerestwienscy powiedzą... Wciąż krążyły wokół tego jednego tematu ucieczki Piotra z domu. Po wielokroć. Więc na pewno nie usnął. Jednakże stukot podków o bruk musiał mu wżerać się w mózg dłużej, niż gdyby był trzeźwy. Gdy bowiem w końcu oczy otworzył to było tak, jakby z bezdennej toni wypłynął na wierzch i nabrał w płuca świeżego tchu.

Znajdował się na przedmieściu Krzyżtopola. W głębi rynku stały trzy żółte, odrapane autobusy, z których wyładowywali się przybyli do pracy robotnicy, a przed Ortschaftskommendatur oddział Wehrmachtu gotował się właśnie do odmarszu. Słońce już dawno podniosło się ponad płoty i dachy. Zboczyl w jeden z zaułków i zrobił spory objazd, gdyż te puszczone luzem konie zaciągnęły go nie tam gdzie chciał. A potem, zajechawszy przed

obskurną karczmę przy torach, której zewnętrzne ściany oklejone były różnymi starymi i nowymi bekantmachungami, najczęściej o egzekucjach, nad drzwiami zaś widniał skromny napis „Wyszynk”, przystanął i wysiadł. Musiał bębnić pięściami w drzwi dość długo, zanim posłyszał w głębi człapanie i zanim trzasnęły zasuwę i skoble. Upychający jeszcze koszulę w spodnie, czerwony od snu karczmarz otworzył wściekły, z góry nastawiony by okłąć zdrowo niewczesnego intruza, ale połknął to co miał na ustach, kiedy tylko jego, Pawła, był zobaczył. Szerokim gestem ręki zaprosił do wnętrza: „Jaśnie pan nigdy tak rychło. Pan życzy sobie...” i cofał się dając przejście do sporej salki udekorowanej portretami Führera i ukraińskich wodzów z UNO, z bilardem pod jedną ścianą i pod drugą ze stolikami z wklęsłościami na kufle, roboty żydowskiej z Tarnopola. „Jaśnie pan życzy sobie, to coś podam. Ale na razie tylko na zimno” dokończył karczmarz, choć on, Paweł, niczego sobie nie życzył. Powiedział w zamierzeniu głośno i ostro: „Dajcież lepiej temu spokój, Sobiszczuk. Wiecie po co przyjechałem”, tylko że głos jego był cichy, ledwo zaszemrał w pustce wnętrza. A tamten: „Wiem... pan pewnie w tej wczorajszej sprawie...” wydukał, mimo że wszystko w nim gwałtownie trzeźwiało, „A jakże, wiem, wiem...”. I Paweł odpowiedział z ulgą: „Tym lepiej, skoro wiecie”, bo nie miał siły tłumaczyć od początku. Lecz dopiero po dłuższej chwili karczmarz odezwał się znowu: „Mogła być duża bieda”, a Paweł: „Właśnie”. I wtedy karczmarz, cedząc wolno zdania: „Wczoraj już byli ci ruscy starego pana Czerestwińskiego. Jak psy myśliwskie zleźli miasteczko. Lecz młodego nie znaleźli. Żem sobie nawet wprzód pomyślał, że Niemcom znać dadzą, bo Czerestwienscy przecie od innych lepsi, więc Niemcy pomogą im szukać. Ale nie. Chyba Niemcom nie zameldowali. Nie ma pośpiechu, pan rozumie... Pan się czegoś napije?”.

Wtedy Paweł zwołnionym ruchem zdjął ze stolika krzesło, postawił na podłodze i siadł. Karczmarz zakręcił się prędko koło szynkwasu przygotowując spirytusową maszynkę; zatroskany spoglądał wyczekująco. Trzasnęła zapałka, zasyczał niebieskawy płomyk, w kącie zachrobotała mysz. Choć we wnętrzu karczmy panował półmrok, Paweł ciągle jeszcze znajdował się jak gdyby na powierzchni, w jaskrawym świetle i widział, i słyszał wszystko niezmiernie wyraźnie. W pobliżu po torze ze stukotem przejechał pociąg, pod stopami zadrżała podłoga, za ścianą coś się poruszyło i mysz chrobotać przestała, natomiast z szelestem przebiegła pod parapetem, a po chwili jej chrobot rozległ się w przeciwnym kącie. Pomyślał, że nie jadł wcale śniadania i, z powątpiewaniem, czy potrafiłby je przełknąć, następnie, że nie ma co Sobiszczuka

naciskać, bo tyle ile wie, powie, lecz karczmarz jedynie, że pod kuchnią jeszcze nie napalone, a mleko, to może zagotować na maszynie, kobieta krowę zaraz wydoi, na co on, Paweł, odmruknął słabo: „Gdybyście tak mieli kawę...”, później się jednak zdecydował, wyszedł z za szynkwasy i powiedział: „Pańskiego ciotecznego brata wzięli ci z Gwardii Ludowej od Natańczyka. Godzinę temu będzie, jakem stamtąd przyszedł i do poduszki dopiero głowę skłonił, już pan we drzwi wali”, a odczekawszy, jakie wrażenie zrobi jego wiadomość, dorzucił: „Dobrze, że go wzięli. Inaczej pewnie by banderowcom w łapy trafił. Ale Natańczyk, sobaka, nie powiedział, jakem tam przed północnym pytał. Dopiero teraz gada, że z Laudańskiego ludźmi młody Czerestwienski ku Osypczem poszedł. Ale po co? Tego nie gada. Pan słucha?” I wtedy Paweł powtórzył: „Gdybyście tak mieli kawę...”, i nagle jego świadomość znowu przestała reagować na zewnętrzny świat.

Po pewnym czasie poczuł gorzki aromatyczny zapach. Wtedy rozwarł siłą oczy i zobaczył Sobiszczuka tuż nad sobą, zagląającego mu w twarz. Usłyszał jego głos: „Jużem myślał, że pan zasnął, ale oczy otwarte widzę, więc mówię, skoro natańczykowi go ludziom Laudańskiego odstawili, to nic złego nie będzie. Państwo Czerestwienscy, chociaż po niczyjej stronie, jednakże przyzwyczajeni. Młodemu krzywdy nikt nie robi, wszyscy wiedzą”. A gdy za ścianą ponownie coś się poruszyło i brzęknęło wiadro, dotarło do niego wyjaśnienie karczmarza: „To moja kobieta wróciła z obory” i spostrzegł uspokajający ruch jego ręki. „Co z Osypczem?”. „To ja mam wiedzieć?” rozłożył na to ręce karczmarz. „A kto? Mówią przecież...”. „Ech tam panie, ludzie dużo mówią...”. „Ale pewnie słyszeliście niejedno”. „Z tydzień będzie jak w Osypczem zakatrupili trzech od bat’ki Semena Gawryluka, no to i wczoraj z wieczora banderowcy pociągnęli w tamtą stronę w odwecie...”. „To niby ma jakiś związek?”. „A może nie ma? Stoczek wysiekli z przedwczoraj na wczoraj też dlatego, że osada za hardo się stawiała”. „Laudański z Natańczykiem ma odeprzeć atak?”. „Co to, to nie. Oni idą osobno. Pewnie Laudański wziął wszystko na swoją głowę. Natańczykowi komuniści śpią po okolicy spokojnie, panie. Każdy teraz po swojemu teren stara się oczyścić i górę wziąć, gdyby nie daj Panie Boże, Sowietci mieli jeszcze tutaj najść. Tylko czort zna, czyja racja byłaby wtedy lepsza, panie. Mogłoby się okazać, że żadna, bo przywłoką własną, jak w trzydziestym dziewiątym. Natańczykowi ludzie zbierają teraz siły. Na akcje nie wychodzą” wyjaśniał karczmarz z jakąś znużoną cierpliwością i później jeszcze: „To jedynie u nich na kwaterze rozruch jakowys wczoraj był i potem od Laudańskiego przyszli, a może i sam Laudański. Bo Natańczyk zrzuca ma

dostać. Tylko cholera wie skąd, no nie? Człowiek by lepiej pod ziemię wlaźł. Bo co z tego będzie? Nie wiem, czy pan słyszał, Żydów znowu zaczęli własowcy Niemcom zwozić. Do kupy upychają za tartakiem Bohatego. Panie Boże dopomóż, gdzie to się tyle tego jeszcze uchowało. Pewnie na sowieckiej dawnej stronie za Zbruczem. A o szanownym bracie pana, Aleksandrze, słyszałem, współczuję. Było do przewidzenia, że w Katyniu go wykończyli. Teraz to ja chyba plasterek boczku na patelnię rzucę i ze trzy, cztery jajka, co?”. Ale Paweł mimo wypitej kawy, a wydawała się mocna, znowu zapadał w jakąś ciemną toń, aczkolwiek po chwili spotrzegł, że Sobiszczuk jest już do końca ubrany, z zawiązanym pod szyją krawatem, w butach, w marynarce, i usłyszał, jak karczmarz wołał do niego poprzez szerokość salki: „Po bimber mi trzeba w tamtą stronę, więc jak pan swoimi końmi podrzucić zechce, to nie odmówię. Pan też pociągnąć, żeby go znaleźć, nie gdzie indziej musi”. Ten głos jednak wnikał w niego stępiony dokładnie o brzeg jego własnego zamroczenia; dopiero, gdy karczmarz otworzył okno wpuszczając w zaprzały piwno-nikotynowy zaduch wnętrza nieco powietrza, zrobiło mu się lepiej.

Jadł później ów boczek postawiony przed sobą na fajansowym talerzu nie wiadomo kiedy, wraz z sadzonymi jajami i, dogryzając chlebem, wdychał dymny zapach wędzonki. Rozprężył się zwolna. Ale ciągle wiedział, że nie zaśnie, nawet gdyby się był położył. I istotnie, nie zasnął. Nawet wtedy, gdy siedzieli ramię w ramię na bryczce i jechali, Sobiszczuk zaś dalej tłumaczył mu ostatnie zatargi między Laudańskim a Natańczykiem, wszystko to monotonnym, usypiającym głosem: że pewnie poszło im o zbiegłych sowieckich jeńców, co to ich Natańczyk do siebie wziął, a Laudański jest przeciwny takiemu mieszanemu wojsku. Lecz gdy się konie wreszcie zatrzymały, było już dobrze po poranku i jakkolwiek wydawało mu się, że zapamiętał wszystko, o czym informował Sobiszczuk, przebytej drogi nie pamiętał wcale.

Stali obok chruścianego płotu, za którym w głębi widać było chatę, Sobiszczuk zeskoczył i mówił: „Pan nie wstąpi na jednego stagana bimbru? Nieźle tu to robią. Z żyta z dodatkiem melasy”, a on, Paweł, odparł cicho: „Nie” i po chwili zapytał: „To jeszcze daleko?”, Sobiszczuk zaś, jakby dokładnie wiedział, jakie są jego, Pawła, zamiary, wyjaśnił, że będzie ze cztery kilometry tęgim lasem i potem polana, i dalej gajówka, i jeszcze dalej, to nie radzi samotnie, chyba, że ludzie Laudańskiego się znajdują, więc Paweł uchylił czapki, kiwnął głową i zacamoktał na konie. Nie odwrócił

się więcej, ale wiedział, że tamten patrzy za nim z powątpiewaniem pełnym dezaprobaty.

Wciąż jeszcze czuł działanie kawy, chociaż słabnące, ale nie martwił się, był pewny, że ową otchłań wyczerpania, w którą mógłby zapaść, jak w bagno, już przekroczył. Gdy zanurzył się w las ogarnęła go cisza, jakiej przedtem nie słyszał (słyszając i słuchając monologującego karczmarza), pełna idących górą w poszyciu podłużnych, zamierających co jakiś czas poszumów, nieustającego, zadumanego szelestu igliwia, sypkiego szmeru piasku, który osuwał się z kół i miarowego chrzęstu końskich kopyt grzęznących w podłożu. Przypomniał sobie wczorajszy wjazd do glebowieckiego parku, ten zapach, którego nie mógł znieść i przez moment zastanawiał się, czy rzeczywiście pojedzie po ciało brata, lub czy matka tego zażąda (czy potrafi pogodzić się z faktem, że Aleksy może nie spocząć w rodzinnym grobowcu obok ojca i tych wielu o tym samym nazwisku, którzy tam leżeli, i że ona nie będzie mogła przy trumnie swego pierworodnego się pomodlić), lecz przecież nie wspomniała o konieczności podróży ani słowem, a potem myślał o różnych innych sprawach, wciąż uporczywie unikając rejonów obolałych i bliskich, aż raptem posłyszał daleką strzelaninę i jak w sosnach, miast dotychczasowego syczącego szumu, tylko perkoczące echo się niesie. Nie było również sennego szelestu kół i kopyt w piasku drogi, w ogóle nie było jakiegokolwiek ruchu. Bryczka stała na wydeptanej polanie przed gajówką, konie szczypały leniwie liście z krzaków z łbami zwieszonymi poza płot, a on siedział zbyt sztywno, zbyt prosto na koźle i zbyt kurczowo zaciskał w garści lejce, aby mógł uwierzyć, że właśnie w tej chwili dopiero tutaj zajechał. Lecz nie pomyślał nawet: „Spałem”, bo nie uwierzyłby, a tylko, że owe cztery kilometry od chałupy na skraju lasu do gajówki były niezmiernie długie, gdyż słońce stało już na niebie wysoko, a zapach igliwia nie miał nic z gorzkiej wilgotności przypominającej cmentarz. Był rozpalony, suchy, duszący.

Zsunął się z bryczki i wszedł do ogródka. Jeszcze nie zastanawiał się dlaczego drzwi gajówki są otwarte na oścież, tak jak i furtka. Potem wkroczył do wnętrza, obszedł izby i kuchnię, ciągle jeszcze nieśpiesznie, wołając tylko coraz głośniejsze. Ale nikt mu nie odpowiadał. Kłapa w podłodze była podniesiona, w loszku na spodzie coś się poruszało. Może by wołał jeszcze długo, tylko że z tyłu brzęknęła szyba, i odwróciwszy się wolno (bo w dalszym ciągu wszystko w nim miało niezmiernie zwolnione tempo), zobaczył niewielką dziurkę w szkle i rozchodzące się od niej promieniste pęknięcia, a wówczas jakby się przebudził. Ta jedna samotna kula rozbijająca szybę i grzęznąca w belce powały przy-

wróciła mu zdolność refleksji: „Chyba jestem otoczony”. I wyskoczył przed gajówkę. Długimi susami przebiegł ku bryczce, potem już siedział na koźle bijąc batem konie i gnał leśnym przy-cinkiem między świerszczyną, te strzały słysząc i czując za swoimi plecami, choć i przed sobą także i że się do nich przybliża, jednocześnie od jakichś innych oddalając. A później las urwał się nieoczekiwanie, odsłaniając widok na dolinę i płonąca wieś Osypcze.

Konie wcale teraz nie popędzane poniosły go w głąb gryzącego dymu i płomienia, i przez dwie, trzy minuty, a może dłużej czuł powiew gorąca, jak gdyby przeciągnął rozpalonym do białości tunelem. I zobaczył uzbrojonych ludzi. Ale nie mierzyli do niego, jak tamci, widziani w zaroślach. Jeden z nich nawet wyskoczył zza drzewa, spróbował pohamować konie, łapiąc je za pyski, tylko że go odrzuciły, strząsnęły z siebie, jak chrabąszcza. Po chwili jednak same musiały zwolnić, droga bowiem obok cmentarza podniosła się stromo w górę. I był już po przeciwnej stronie wsi. Ktoś zawołał: „Miałeś cholerne szczęście!”. I zaraz posłyszał znowu: „Banderowcy się tędy wycofywali, a pan w sam ich środek”. I poznał ludzi z oddziału podpułkownika Laudańskiego. Ale nie odpowiedział, gardło miał ściśnięte, wysuszone gorącym powiewem, przez jaki przegalopował, zresztą tamten człowiek został w tyle i konie, już nie nabierając poprzedniej szybkości, a idąc nerwowo podrywistym półstępem, półkłusem wyciągnęły zaprzęg ponad dolinę, skąd stratowana przez było równina podchodziła pod sam las. Zobaczył wtedy wozy, a potem ludzi ciągnących przez pastwiska i pola w panicznym pośpiechu ku ścianie kniei: kobiety prowadzące za ręce dzieci, kobiety niosące niemowlęta, tak jak zdążyły je zagarnąć w zapaskę, kobiety dźwigające na plecach pierzyny i sprzęt kuchenny, kobiety prowadzące krowy na łańcuchach, czasem poganiające kijkiem chudego wieprzka; przeważnie kobiety albo mężczyzn starych. I kiedy, niekiedy te jego konie, zupełnie teraz nie kierowane, zwalniały, lub przystawały na chwilę, to słyszał wśród płaczu, grózb, jęków i przekleństw słowa, zdania, jakieś urywki, strzępy zdań albo słów, że banderowcy, że Niemcy, że naszli wieś późnym rankiem, że prowadził bat'ko Gawryluk, że dzięki Bogu sporo ludzi było w polu, że zastrzelili ze czterdziestu mężczyzn, że z chałup od przeciwnej strony lasu, to nikomu nie przepuścili, zakłuwając nawet niemowlęta i że przy cmentarzu część wsi sta-wiła opór i zdążyli nadejść z pomocą partyzanci Laudańskiego — całą tę historię pogromu i odsieczy słyszał rozłożoną na głosy, bo co nie dopowiedzieli jedni, uzupełniali drudzy, a potem był już na skraju lasu, gdzie opatrywano rannych i gdzie leżeli ci, których wyciągnięto z pożogi dając im czas i możliwość, by skonali

wśród bliskich. Później zobaczył pierwsze oddziały wycofujących się partyzantów, jak w odwrocie zajadłe się odgryzali pojedynczymi strzałami, bo banderowcy i Niemcy pojęli najwidoczniej, że nie mają do czynienia z przeciwnikiem licznym i natarli ponownie. Aż wreszcie wjechał w las i tam, mijając wciąż jeszcze tych ciągnących drogą uciekinierów z Osypczy i partyzantów, pytał — napotykając niekiedy kogoś znajomego — czy nie widziano jego kuzyna, Piotra Czerestwińskiego. Ale nie wszyscy rozumieli, o co mu chodzi; zbyt byli zajęci swym doraźnym okrutnym rzemiosłem. A jeszcze później przestał słyszeć za sobą strzelaninę (najwidoczniej oddalił się od miejsca potyczki na dostateczną odległość), choć ci ludzie ciągle szli, ale być może wcale nie ci sami, nie z Osypczy, bo wprawdzie mówili, że banderowcy, że pod bat'ką Gawrylukiem, że wybito do nogi pół wsi i z mężczyzn niewiele pozostało żywych, a zagrody im podpalono, takimi samymi słowami, zdaniem, jakimiś urywkami, strzępami słów i zdań, to jednak że w południe, więc może byli z zupełnie innej spacyfikowanej wsi, mimo że niewiele różnili się od tamtych, też nieśli te swoje rzeczy i przedmioty niby juczne zwierzęta, wlekli za sobą swoją dzieciarnię i swoich starców, gnali bydło, na wozach zaś wieźli swoich rannych i swoje trupy. Aż wreszcie na polanie nad leśnym potokiem trafił na prowizoryczne obozowisko i tam wśród namiotów spostrzegł był młodego Fiodorczuka z Czupryni, którego ojciec służył u Czerestwińskich i pomyślał: „No, to go teraz mam. Bo jeśli Nikolas tutaj, to i kuzynek Piotr musi tu być”. Więc go przywołał, zapytał. Jednakże chłopak zamrugał nieprzytomnie oczyma i wzruszywszy ramionami poszedł sobie, gdy zaś po jakimś czasie powrócił i, jakby się chciał upewnić, że słyszał dobrze, tym razem on zapytał i Paweł powtórzył, że rzeczywiście, Piotr Czerestwiński uciekł z domu, to tamten krzyknął: „Co też pan mówi! To już teraz tylko z Semenem Gawrylukiem będzie sprawa. Bo panicz wie. Panicz wie, że bat'ko, to jego brat”. I zaraz Niko Fiodorczuk znikł z pola widzenia Pawła, konie zaś, wiedzione nieomylnym instynktem, wyprowadziły jego pojazd spośród namiotów, wozów, tłumoków, zwierząt i gęsto biwakujących ludzi, zjechały na poboczne polany nad sam potok, zatrzymały się tuż tuż, pochylając łby, a on, zmęczony do ostateczności, stoczył się na ziemię, jak martwy. Dopiero po długiej chwili zebrał siły i popęzł do wody; począł chciwie pić.

Potem nic nie widział leżąc na płaskim brzegu w słońcu praczącym przez marynarkę, znowu słysząc jedynie przeciągły, wzbijający się w górę, zadumany poszum lasu nad głową. Nie mogły go zagłuszyć porykiwania bydła, rzenie, kwik gryzących się gdzieś

w pobliżu koni, ani mieszający się ze sobą gwar całej doraźnej ludzkiej krzątaniny i rozmów: i polskich, i ukraińskich, i tych w kresowym śpiewnym dialekcie pół na pół, ani nawet krzyk jakiegoś batożonego wiejskiego szpicla. Ten poszum był silniejszy, niezniszczalny, być może to od niego szumiało mu tak w głowie. Później jacyś nowi podjechali blisko na koniach, zwalili się wprost z siodła do wody, pili długo w zupełnym milczeniu, tak długo, że Paweł zdołał zapomnieć o ich obecności, aż nagle posłyszał: „Te, Michał, toż to młody Woynowicz tam zleął”. I zaraz drugi głos, chrząszczący cudzoziemskim, południowym akcentem, po którym rozpoznaliby zawsze, że to major Draża z 27-go pułku ułanów: „Nie widzisz, że śpi”. Na to ten pierwszy, wprowadzie również znajomy, ale trudny do zidentyfikowania: „Znaczyć się nie budzić?”. I znowu tamten, majora: „A po co? Zmordowany. Lepiej zorganizuj czegoś u chłopów, żeby do gęby było włożyć. Od wczoraj nie jadłem”. I ten pierwszy: „Zrobi się, majorze. Poczekać proszę”. A potem głos Draży mówiącego do kogoś innego: „Jak tak dalej pójdzie, to źle pójdzie. Pięć wsi w ciągu tygodnia, a broni wiecznie za mało”. I głos trzeci, zupełnie obcy: „Londyn dał znać, że zrzuty będą kontynuowane”. A potem prędkie zdania, głos w głos, jak rąbane siekierą: „Tyle tego, co kot napłakał”. „Trzeba zrozumieć, panie majorze, odległość...”. „A mnie kto rozumie? Tę nacjonalistyczną swołocz uzbrająją Niemcy, a niejednych nawet Sowietci. Nie dalej, jak sześć dni temu przepędziłem z Hajny bandę Iwana Marki. Uzbrojona była z sowieckich zrzutów”. „Mają bliżej, panie majorze”. „Bliżej, bliżej, majku ti!* To tego Londyn z Sowietami nie potrafi załatwić? Są w końcu aliantami, czy nie?”. „Przecież pan wie, majorze, że po wywleczeniu na światło sprawy katyńskiej Stalin zerwał stosunki dyplomatyczne z naszym rządem...”. „Mało mnie to obchodzi. On dalej na angielskiej i amerykańskiej pomocy jedzie, czy nie? Churchill w zamian takiego drobiazgu nie potrafi na Stalinie wymóc?”. „Proszę mi wybaczyć majorze, jest pan znakomitym żołnierzem, polityka jednak, to zupełnie inna rzecz...”. „Pan ma rację, tylko że za tę waszą politykę my dostaniemy w tyłek. Pan chyba wie najlepiej, na co się tu zanosi”. I głosy, tak ten urażony, gniewny majora Draży, jak i ten drugi, spokojny, zimny, oddaliły się wzdłuż brzegu w górę potoku.

Potem słyszał jedynie zwoływania się ludzi na polanie, rwetes towarzyszący zwijaniu obozowiska, syczenie zalewanych wodą ognisk, łoskot ruszających z miejsca wozów, skrzyp orczyków i szlej. Raptem był już wieczór. Ludzie wciąż jeszcze kręcili się

* Serbskie przekleństwo.

po polanie, a choć pojedynczo i rozmawiali znacznie ciszej, to jednak głosy ich były nieustannie obecne w kręgu Pawła skupionej uwagi, tak iż czuł, że nie jest sam. Nie otwierając oczu myślał o różnych sprawach, o których zwykł zawsze myśleć przed zaśnięciem, aczkolwiek wiedział — jak i przedtem, w czasie drogi — że nie zaśnie, ani że nie śpi. O sprawach własnych i nie własnych, nie mających jedne z drugimi nic wspólnego, a nawet wykluczających się wzajemnie. O Aleksym, Katarzynie, o sobie, o sprawach tej wojny. Później, kiedy ściemniało zupełnie, posłyszał zmierzające w swoją stronę kroki. Błysk światła latarki ręcznej omiatał go przez chwilę wędrując od niego do pochyło stojącej nad strumieniem bryczki, od niej ku drzemiącym ze zwieszonymi łbami koniom i na powrót do niego, a odbity od wody oświetlił na krótko również postać przybyłego z latarką, tak że poznał w nim podpułkownika Laudańskiego. Wtedy posłyszał Laudańskiego głos: „Cóż to tak leży pan w ciemności?”, ale głos był ochrypły, zmieniony, jakby wcale do Laudańskiego nie należał, „Rannyś, człowieku?”. A on na to, podnosząc się wolno z ziemi: „Wszystko w porządku, pułkowniku. Karczmarz Sobiszczuk powiedział mi rano, że Piotr Czerestwiński jest z panem. Rodzina go szuka. Właśnie mnie wysłali z tą misją”. „Odesłałem go ze swoimi ludźmi”. „To w porządku, pułkowniku”. Po chwili Laudański wytłumaczył: „Nie chcę, żeby ten stary Moskał z Czupryni skonał z niepokoju o swojego jedyne go wnuka. W końcu odmierza już ostatnią dziesiątkę do setki. Ale ten młody, pański kuzyn, to jeszcze dobrze zielony”, więc na to on, Paweł: „Tak myślę, pułkowniku. Zielony”, a Laudański z krótkim ponurym śmiechem, że prochu się jednak Piotr nieźle przy okazji nawąchał, na co on, że dobrze to jego kuzynowi robi, a Laudański zaraz zapytał, czy on, Paweł, widział, jak ich gawrylukowa wataha banderowców oporządziła, a on, że tak, że gorąco było, a Laudański: „Sam pan widział?”, a on: „Widziałem, pułkowniku. Choć przecież Draża nadciągnął ze swoimi”, na co Laudański nie zaraz, lecz tak, jakby się namyślał: „Draża nie zdążył. Było po wszystkim”.

Prawie się nie widzieli w ciemności, a dopiero, gdy Laudański wyciągnął papierosy, poczęstował i błysnął zapalką. Przez dwie, trzy sekundy. Powiedział wtedy cicho: „Moją wieś spalili”. „Wiem, pułkowniku” na to on, Paweł. Potem mówili na przemian: „Z futoru już dawno nic nie zostało”. „Pamiętam, pułkowniku”. „A teraz resztę wsi...”. „Rozumiem, to ciężko panu znieść”. „Ciężko”. „Mimo, że prawie cała wieś była ukraińska, to jednak spalili”. „Prawda, ukraińska była”. I po raz wtóry pomilczeli trochę zaciągając się mocno dymem, aż wreszcie Paweł

zupelnie wynurzył się z tej miękkiej, spowijającej, mknącej gdzieś z nim razem, ponadczasowej czarności podobnej do snu (trwało to jednak dość długo, Laudański bowiem skończył już palić, odrzucił właśnie niedopałek) i wtedy prędko zapytał, żeby Laudański jeszcze nie odszedł: „Żydów podobno zaczęli własowcy do Krzyżtopola zwozić?”. „Słyszałem. Źle będzie”. „Natańczyk dostaje zrzuty?” pytał dalej Paweł. „Tak mówią. Ze wschodu. Ale nie chce się bestia dzielić. Powiada, że mu nie wolno. Że Armia Krajowa została wyłączona z tego przydziału”. „Było do przewidzenia”. „Ja myślę”, na to głucho Laudański i nagle, jakby chciał zmienić temat: „Nie jest pan głodny?”. „Nie, pułkowniku, dziękuję”. „Więc co pan zamierza robić?”. „Pojadę dalej, jeśli się dowiem, jaką drogą pan odesłał mojego kuzyna, pułkowniku”. „Na Sert i Seroki. Pan rozumie, tamta teraz ku Nikoryczy, to po dzisiejszym dniu niepewna. Nie przejdiesz. Więc dlatego na Sert i Seroki”. Wtedy Paweł przytaknął: „Oczywiście, nie ma o czym mówić, pułkowniku”, więc Laudański: „To w porządku”, a Paweł: „Miał pan rację, prędzej on do Gleb cało trafi, niż do siebie do Czupryni”, więc Laudański: „Tak też myślałem. Dlatego posłałem go w waszą stronę. Ci ludzie, co tam poszli, mają interes trzasnąć jednego szpicla w okolicy Łoszakowskiego zaścianka. Stamtąd już do was do Gleb blisko”, a Paweł na to: „Tak. Sądzę, że go znajdzie”.

Obaj, nachylając się do przodu, zdawali się zaglądać sobie w twarze, nie mogąc ich jednak dojrzeć. Później znowu pierwszy odezwał się Laudański mówiąc, że powinien dać mu parę ludzi na przeprowadzenie przez las, ale, niestety, nie ma nikogo wolnego pod ręką, a on, Paweł, na to, żeby tym się nie trapił, że da sobie radę i po chwili: „Dobrej nocy, pułkowniku”. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy siedział już w bryczce, widząc tylko zatartą sylwetkę Laudańskiego stojącą nieruchomo nad brzegiem potoku, posłyszał, jak Laudański powiedział za nim cicho: „Dobrej drogi, panie Pawle”.

Ciągnąc przez zupełną ciemność, która go ogarnęła, kiedy tylko zjechał z polany, pomyślał jeszcze: „Ten człowiek też jest zmęczony”, i nagle wydało mu się, jakby przez nieustające poczucie niepokoju, niepewności, tymczasowości (z którym żył od tak dawna) złowroźnie precyzyjnie się na wierzch i zabrzmiał donośnie, zbyt donośnie, aby mógł stłumić w sobie z zimną pogardą, jak to zawsze był czynił, jakiś dźwięk, sygnał alarmowy, zapowiedź, że coś się kończy i że go wciąga, niby wir nie mający dna. Ale spróbował skupić całą uwagę wyłącznie na utrzymaniu równowagi ciała i żeby nie zwalić się z bryczki (bo przecież od poniedziałku rana spał dwie, trzy godziny najwyżej), a ten wstrzą-

sający do głębi dźwięk w końcu opadł, ścisł szmerząc później tylko wraz ze strumyczkami krwi w żyłach, jak coś, co jest już nieodłączne, zawsze towarzyszące, lecz do czego można przywyknąć, i żeby nawet tego nie słyszeć, słuchał różnorodnych głosów lasu i drogi, pustej aż do zakrętu przy spalonej leśniczówce (przed którą rozwidlała się prowadząc jedną odnogą na Hańcza-Czacz, drugą na Seroki), gdzie przejechawszy w pierw szeroką polanę, z mglistego światła księżyca pośpiesznie wy dostał się był, poganiając batem konie, ponownie w ciemność i zagłębił się w nią z niejaką ulgą przy jakimś wyschłym potoku. Gdy jednak wyminał pogorzelę leśniczówki, postyszał z przeciwna łoskot wydawany przez podskakujący na poprzerastanej korzeniami ziemi chłopski wóz. Potem, w miarę posuwania się naprzód słyszał go coraz bliżej, wyraźniej, aż wreszcie zobaczył ten wóz i człowieka również. Zobaczył go w przesączającym się pomiędzy obie ściany drzew nikłym księżycowo gwiezdny blasku w tym samym mniej więcej czasie, kiedy postyszał, że zbliżający się z przeciwna zwalnia i kiedy sam wyczuł, że również machinalnie ściągnął cugłami konie i zwolnił. Podjeżdżali do siebie później — już z daleka zjechawszy obydwa na pobocza, żeby się lepiej wyminąć — tym powściąganym, hamowanym poślizgiem, który nie był poślizgiem, bo korzenie podbijały koła ostro w górę z donośnym łoskotem, lecz gdyby była to droga gładka, równa, można by pomyśleć, że zbliżali się do siebie ślizgając się po niej jak po lodzie. Spozstrzegł wtedy także, jak tamten człowiek kurczy się i jak jego plecy cofają się wyginając w kabłąk, jak gdyby chciał osunąć się poza osłonę zadu swojego konia. Wszystko to jednak trwało chyba dość krótko, byli już blisko, Paweł lewą ręką ścisnął lejce, w prawej odbezpieczony pistolet, a tamten z przeciwny strony też: być może granat, może jeszcze coś innego, w każdym bądź razie prawa ręka tego człowieka była pełna, pełna czegoś; i na sekundę lub dwie zwarli się oczyma w księżycowo gwiezdny ciemności nachylając ku sobie równocześnie głowy, zaraz odwracając je, patrząc do tyłu, jak gdyby bali się rozstać wzrokiem, i przyspieszając pojazdy pociągnięci ostro przez zwierzęta, które same wyczuwały konieczność zwiększania tempa. A potem Paweł widział za sobą wyłącznie plamę, ruch na jaśniejszej smużce leśnej drogi, cień ciemniejszy niż ściana drzew, oddalający się prędko, coraz prędzej skrzyp końskiej skóry trącej się o uprząż, łoskot kół, pisk nienasmarowanej piasty, rozklekotany stukot desek wozu. I oderwał się od tamtej myśli, że coś się bezpowrotnie kończy, wciągającej go za sobą na dno, jak wir, bo może wcale nie była myślą, ale zimnym, oślizgłym, spowijającym wszystkim lękiem, i zostawił ją za sobą, jak również obraz niedawnego

spotkania. Las znowu był pusty, cichy i pola też, aż do miejsca, gdzie teren się obniżał schodząc w dolinę rzeki Sert.

W głowie nie miał dosłownie nic, jak gdyby cały mózg z niego wyjęto. Nawet ten samotny, zwielokrotniający się echem strzał, który pogonił w ślad za nim, wystrzelony gdzieś z przybrzeżnych oczeretów, nie zbudził w nim żadnej nowej myśli. Ani niepewny zawsze odcinek drogi przy moście. Dopiero przebrzaskujący wskroś błędnącego księżyca nowy dzień dodrażył mu się swym mętnym światłem poprzez źrenice w głąb tej jego obojętnej pustki i sprawił, że pomyślał: „Z lewa za Sertem minąłem Seroki. Jeżeli nie zmyliłem kierunku, zaraz powinien być Łoszakowski zaścianek” i po jakimś czasie ze zdziwieniem: „Już dnieje”, bo zdawało mu się wciąż jeszcze, że zaledwie przed chwilą rozmawiał z Laudańskim i zaraz potem było to spotkanie w leśnej głuszy, a tymczasem minąć musiało parę godzin, jeżeli niebo na dobre przecierało się jasnością. Potem pomyślał z ociąganiem: „Więc to już środa”, jak gdyby wymagało to sporego wysiłku, ażeby się z tym zgodzić, gdyż te pierwsze *dwadzieścia, dwadzieścia cztery, czy ileś tam godzin od poniedziałku* rozciągnęły się niemal w nieskończoność i pamiętał z nich każdą minutę, mimo że dawno temu znalazł się był poza granicą odczuwania własnej krzywdy, bólu i zniewagi, a *dwadzieścia, dwadzieścia cztery, czy ileś następnych* przeleciało niby chwila i wszystko, co się na ich przestrzeni wydarzyło, stopiło się w jeden zatarty obraz, z którego poszczególne twarze: karczmarza Sobiszczuka, człowieka łapiącego jego konie za pyski po przegalopowaniu przez płomienie w Osypczem, Nikolasa Fiodorczyka, gdy mówił „Panicz już wie. Wie, że bat’ko Semen Gawryluk jest jego bratem”, podpułkownika Laudańskiego oznajmającego prawie szeptem „Spalili moją wieś”, i inne głosy, dochodzące zawsze z wnętrza ciemności — wyłaniały się w groteskowym układzie, chaotycznie, jakby ów obraz namalowany był przez szaleńca. Lecz w końcu się zgodził: „Tak, oczywiście, na pewno, teraz jest już środa”.

W zsiniałej dali, z mgły świtu, jak z oprzędów kokonu wyłuskiwała się właśnie, tarasując mu drogę, wieś. Przyciągnął koniom wodzy i zatrzymał się przypomniawszy sobie, co powiedział mu Laudański, co jego, Laudańskiego, ludzie mieli tu dziś zrobić. Pomyślał, że szczególnie w takiej chwili jest w tym miejscu zbyt cichy. W którejś z okolicznych zagród piał spóźniony kogut i ponad dachy z twardym łopotem skrzydeł poderwało się stado gołębi. Poza tym nie słyszał żadnego innego głosu, żadnego ruchu w opłotkach, a tylko nad łąką w pobliżu rzeki popiskiwała żałośnie czajka, tu i tam dzwoniły w górze skowronki, gdy zaś dmuchnął wiatr od trawy podniósł się szmer opadającej z źdźbeł rosy.

Niebo, pręgowane jasnymi prądami rozwleczonych obłoków, błękitniało. „Zaraz pokaże się słońce” pomyślał patrząc na wschód, i że on nie może tak dłużej stać na drodze. Na rozległych pasieczyskach ponad doliną rzeki zobaczył pomiędzy jednym a drugim powiewem wiatru, rozgarniającym na krótko gąbczastą mgłę, samotną szopę na bydło. Mgła natychmiast znowu ją przesłoniła, ale tknięty przecuciem, zjechał z drogi i na przetaj przez łąkę skierował konie w tamtą stronę. Wkrótce zobaczył dość świeże zagniecenia na trawie i pociągnął ich śladem. Wpierw widział tylko dach szopy, po chwili wyłoniła się z mgły cała, a wówczas posłyszał chrapanie konia; jego konie parsknęły w odpowiedzi. Dobywając pistolet zeskoczył z bryczki, przebiegł ku wrotom i już był w środku. Żeby uniknąć kuli, uskokzył od razu w bok, ale nie było to potrzebne, znał tych ludzi; wcale nie zaskoczeni podnosili się z rozrzuconej grubo na polepie ściółki, nie łapiąc nawet za karabiny (oni również go znali), przecierali oczy półprzytomnie, zdziwieni, widząc w jego dłoni broń i zapewne zadawali sobie pytanie, co go tutaj przyniosło. Wtedy w głębi, między końmi zobaczył związanego mężczyznę, pamiętał tę twarz, służywał przed wojną za forysia u panów Sas-Terleckich, bliżej zaś leżał na otawie jego, Pawła, poszukiwany kuzyn, Piotr Czerestwienski, i nawet się nie ruszył, kiedy ku niemu szedł. Dopiero, kiedy przełożywszy wpierw broń z ręki prawej do lewej, złapał go za marynarkę i nim potrząsnął, powieki Piotra zadrgały szybko. Stojąc nad kuzynem na rozkraczonych nogach i już czując, jak krew, która przed chwilą spłynęła mu cała w dół, podnosi się teraz wysoką falą i powraca do mózgu, posłyszał wtedy coś, co było być może własnym jego krzykiem, albo tego krzyku odbitym echem. Posłyszał, jak to coś wybrzmiewa wśród drewnianych ścian, zamiera, choć jeśli rzeczywiście był krzyczał, wcale o tym nie wiedział, bo przecież myślał dość spokojnie i słabo: „On uciekł dla niej. Dla Katarzyny”, zdanie sformułowane zresztą znacznie wcześniej, gdy tylko o ucieczce Piotra dowiedział się przez telefon od starego Czerestwienskigo. I następnie, jeszcze to zdanie w myśli powtarzając, spróbował przyzwyczyzyć tę wszechogarniającą go niemoc (która poraziła go już chyba wówczas, kiedy wyszedł z sypialni Katarzyny, albo jeszcze gdy tam u niej był, gdy zbliżał się do jej łóżka), strząsając ją w końcu z siebie ostrym ruchem ciała w dół ku Piotrowi, złapał kuzyna za marynarkę ponownie, uniósł w górę i uderzył w twarz, ciągle z jedną myślą w głowie: „On uciekł dla niej”. Dopiero później, gdy wyprowadził go na zewnątrz, bijąc może dalej, lub może potrząsając nim, żeby wydusić zeń jakieś wyznanie, potrząsając niby pustym workiem, i gdy go popchnął, i zobaczył, jak Piotr

toczy się i pada na trawę plecami, niby strącony z drzewa chrabąszcz, zrozumiał: „On wciąż jeszcze śpi. I nic nie słyszy, ani nic nie czuje. Choć ma otwarte oczy i na mnie patrzy”. Ale wtedy, oprzytomniały już, dźwignął kuzyna i poprowadził do bryczki. Potem posadził go obok siebie i podciął konie. Nie odwrócił się nawet na ułamek sekundy do mężczyzn, którzy wybiegli przed szopę i spoglądali za nim.

II

„Więc wszystko to już się dokonało. Krąg w końcu zwarł się ciasno” pomyślała prawie że apatycznie, przekręcając w sypialni kontakt (jednocześnie długo jeszcze słysząc oddalające się kroki świekry) i wpatrując się w lampkę nad toaletką, której światło nie potrafiło nawet z pomocą lusterek zwielokrotniających blask pokonać ciemności, wypełniając wnętrze marną jedynie, ciekłą posoką, aż wreszcie posłyszała, jak ten ostatni krok świekry wybrzmiał na krańcach korytarza zupełnie, a wtedy zbliżywszy się do łóżka, rzuciła się na nie bezwładnie. To było miejsce, na które nie mogła patrzeć bez zakłopotania, zmieszania i zdumienia. Przez cały dzień. Ale teraz zaczynała się następna noc. A tamta noc i tamten dzień przestały się liczyć: zdarzyły się w innym jak gdyby wymiarze i w innym życiu. Teraz było to zwykłe łóżko znające kształt wyłącznie jej samotnego ciała, a owo nikłe wspomnienie tamtego, wczorajszego zdarzenia, jakie przywodziło jeszcze, przyjmowała wprawdzie z poniżeniem, ale wciąż pełnym dumnej niezawisłości.

Znowu, jak przed nadejściem świekry spróbowała się modlić. Zawsze jednak, kiedy zachodziła konieczność wymawiania owych rytualnych zwrotów, przywykła znajdować się w sytuacji poniżej albo powyżej, w której trzeba było zebrać łaski, prosić o litość, albo odwrotnie: zlorzeczyć lub bluźnić, nigdy w sytuacji neutralnej, a teraz, od razu, kiedy posłyszała wstępne zdania modlitwy wypowiedane w myśli monotennie i bezosobowo, stwierdziła ze spokojnym zdumieniem, że nie umie inaczej, więc nie są nic warte, że nie nadają się i nie potrafią nikogo przekonać, czy nawet zając na małą chociażby chwilę, zwłaszcza Boga, tym bardziej iż trzeba by samemu wierzyć własnym słowom, aby uwierzyć, że może ich On w ogóle słuchać, jeżeli już nie wysłuchać.

Gdy urwała w pół jakiegoś ledwie napoczętego zwrotu, cisza wypełniła się natychmiast głosami minionego dnia, jak gdyby na dobre zapadła noc nie mogła być obszarem neutralnym, na którego brzegu poprzednie zamiary, decyzje i czyny przestają mieć znaczenie, zatrzymując się w pamięci niejako w zawieszeniu, ale musiała wchłonąć w siebie to wszystko raz jeszcze i wyrzucić jak echo na zewnątrz ponownie.

Świekra, odchodząc przed chwilą, powiedziała: „Nie wiem, jak to się skończy. Żeby mu tylko Paweł czegoś złego nie zrobił. Czyż jednak możemy obecnie coś więcej uczynić, niż czekać?”, jak gdyby już wiedziała i jak gdyby w czasie tych paru dni w Czupryni, które ona, Katarzyna, spędziła ostatnio u Czerestwienskich, świekra też tam była i widziała, i wiedziała, co zdarzyć się mogło, lub co się zdarzyło, a również, że nagły wyjazd Pawła dzisiaj o świcie z tamtym jedynie jej pobytom w Czupryni ma związek, z niczym innym. Lecz zgodziła się ze świekrą milcząco, nic innego im kobietom nie pozostaje, niż czekać. Choć wcześniej, jeszcze nim świekra przyszła, wydawało jej się to niesprawiedliwe, żeby Paweł mógł się mścić. W końcu za co? Aleksy nie żył od lat, nigdy nie miała co do tego wielu złudzeń. Straciła dom, zaledwie go w trzydziestym dziewiątym roku zdobywszy. To nic, że znowu w nim mieszkała, to nie był naprawdę jej dom. To właśnie Piotr Czerestwienski był uosobieniem domu prawdziwego. Tego opuszczonego przez nią domu, w którym wyrosła, który pozwolono jej traktować, jak swój i gdzie nikt za włączenie jej w rodzinny krąg niczego od niej w zamian nie żądał, żadnych wyrzeczeń, żadnych danin ani upokorzenia. Dlaczegoż zatem nie miałyby zrobić dla Piotra tego, co było mu potrzebne, żeby stał się mężczyzną? Ale potem, kiedy świekra przyszła i zaczęła się ta długa rozmowa, prędko pozbyła się złudzeń. Świekra bowiem obiecywała: „Wszystko pozostanie tu w Glebach po dawnemu. Wiemy teraz ostatecznie, że Aleksy nie żyje, ale tu nic się nie zmieni”, i dalej, tym samym tonem, może tylko nieco bardziej stanowczo, z przekonaniem o własnej racji: „Bo nie musi się nic zmienić, rozumiesz? Pozostaniesz tu na dawnych prawach. Chcę. Ty też tego chcesz. To zależy od Pawła i od ciebie. Teraz nawet już tylko od ciebie. Nic się nie może zmienić”, a ona: „Wiem, nie musi” odpowiedziała, a świekra, jakby wtedy właśnie wzbudziły się w niej pierwsze wątpliwości, ale jednak, żeby tę decyzję na niej, Katarzynie, wymusić, czy ewentualnie jej ją ułatwić: „W gruncie rzeczy wdową po Aleksym byłaś już od dwóch, albo trzech lat, więc i tak, czy tak przypuszczałam... Przypuszczaliśmy... Że, jak tylko będzie naprawdę wiadomo...”, a ona: „Tak, mamo, od lat”, bo aż za dobrze rozumiała intencje, a świekra:

„Jesteś młoda, silna, możesz zacząć wszystko od nowa”, a ona: „Tak, mam, mogę zacząć od nowa”, a świekra, chyba dopiero w tym momencie naprawdę pojmując jej ukryty opór: „Bo Paweł zostanie wtedy w domu... Na pewno...” powiedziała nieomal błagalnie, a wtenczas ona, Katarzyna, podniosła się z krzesła przy oknie, gdzie cały czas — kiedy świekra mówiła — siedziała mając gasnące światło wieczoru daleko za plecami, twarz zaś w głębokim cieniu, i powiedziała łagodnie: „Nie, mam”. Ale nim jeszcze to „Nie, mam” dokończyła, świekra też się podniosła i: „Co — nie?” zapytała rozpaczliwie, „Przecież on nie da za wygraną. On tego chce. Kocha cię. Ty wiesz o tym dobrze. Przez te wszystkie lata zrosłaś się z nami, jak drzewo. Jesteś młoda, zdrowa, silna, piękna. Możesz dać mu syna... Ty jedna potrafisz zatrzymać go w tym domu na zawsze. Uchronić przed okropnościami tej wojny. Ty wiesz!”. A ona szybko, już bojąc się, że później nie powie, że może nie starczyć jej siły i hartu, powiedziała znowu: „Nie, mam”, na co świekra, po chwili zamilknięcia, kiedy nawet nie patrzyły na siebie: „Nie?” a ona po raz trzeci: „Nie, nie, mam”, i nagle zaczęła mówić pierwszy raz zdecydowanie, bez wahania to, co o tym wszystkim od dawna myślała, jeśli zaś nawet nie myślała zupełnie świadomie, to było w niej gdzieś głęboko ukryte, przytłoczone niechęcią myślenia o tym, ale takie, jakby przemyślane z chłodną rozwagą.

Słyszała siebie, jak mówi głosem przypominającym Pawła, głosem i tonem, jakiego nauczyła się od niego, a który udzieliwszy się jej, stał się najskuteczniejszą bronią przeciwko niemu, zatrzymując go niejako na granicy, jaką podświadomie między nimi nakreśliła i chciała, aby istniała; tym właśnie głosem i tonem mówiła do świekry, jakby ta była mężczyzną, jakby obie były mężczyznami i wszystko, co dotyczyło Pawła, a także jej, Katarzyny i świekry, jego matki było sprawą między trzema mężczyznami, z których tylko przypadkowo jednego teraz zabrakło. Więc powiedziała świekrze zupełnie otwarcie, że gdyby nie przypuszczała od samego początku, że Paweł jej chce (już kiedy ślad po Aleksym zagubił się w obozie kozielskim, równocześnie zaś urzędowa sowiecka kartka z wiadomością, że żyje, czy żył, gdy ową kartkę do niej wysyłał, była jak pożegnalny gest zamierającej samotna, i kiedy ona, Katarzyna, została w rodzinie Woynowiczów do swych opiekunów, Czerestwienskich, nie mogąc wrócić, bo uciekli pod niemiecką okupację), gdyby nie miała pewności, że uważa on za swoje, dane mu przez zgon Aleksego, najszlachetniejsze prawo posiadanie jej; gdyby nie to właśnie, powiedziała świekrze, może potrafiłaby się przełamać, związać z nim, i może zgodziłaby się na wszystko, czego wówczas od niej żądał,

bo przecież nie byłoby to wcale takie trudne, tylko trochę więcej naturalności z jego strony i bez tych nieznośnych pretensji, uroszczeń, że jeśli ona, bez majątku i nazwiska weszła w krąg ich rodziny, to już do końca życia winna losowi swą wdzięczność za wyróżnienie; i trochę delikatności, mówiła, przede wszystkim ważna jest delikatność (bo jak mu się śpieszyło o Boże no nie żeby coś mówił to nie ale w każdym geście najgorzej zaś gdy patrzył oczy jak dwa żółte spodki kiedy indziej ma szare tak szare że prawie mysia skórka a żółte kiedy już pęka w nim wszystko od tego nie zauważyłam u nikogo innego żeby aż w kolorze oczu i jak dwa spodki wodził za mną niby Aleksy miał zawsze ciemnopiwnie Piotr zaś takie niebieskie lubię najbardziej nawet jak ściemniają trochę wtedy nie żółte jak kot przypomina się wtedy wodził spojrzeniem arabskiego paszy moje nogi moje ręce mój brzuch moja głowa moja skóra moje włosy nic już nie moje zawsze czułam że mu się diabelnie śpieszyło jedynie do czego nie muszę świekrze mówić gdy mu tak oczy żółtki miałam najgorsze skojarzenia o Boże chinina dreszcze żółta gorączka Sahara wymarłe wąwozy w upale step wypalony słońcem też milczący Chińczycy widziałam ich w takich knajpkach w Quartier Latin w Paryżu i acetylenowy płomień gdy Niemcy rozcinają potrzaskane wagony żeby wydobyć te swoje trupy gdy partyzanci wysadzają w powietrze albo przed trzema laty jakiś syfilytyk gdy Sowietci zostawili go w szpitalu w miasteczku twarz miał zżartą plaster miodu okropnie nie lubię gdy takie żółte czy ja wiem zresztą jakie tam jeszcze skojarzenia to wywołuje a może się wcale nie bałam ale byłam zimna nie byłam co tu mówić w każdym razie najgorsze skojarzenia nie musiał się wcale tak śpieszyć o Boże jak gdyby od tego głupstwa nie wiem co zależało); więc delikatność miała najwyższą u niej cenę, podkreśliła z naciskiem, bo świekra patrzyła badawczo, jakby nie wierzyła, a to naprawdę o to chodziło, gdyż Paweł najdrobniejszego trudu sobie nawet nie zadał, żeby dowiedzieć się, co ona, Katarzyna, w rzeczywistości myśli, jak jego zamiary ocenia i, czy nie ma przypadkiem zupełnie innych pragnień i nadziei, w końcu czuć się przecież mogła, niby ptak w klatce, czyż wszystko, całe jej życie miało się zamknąć w tym cuchnącym wciąż bratobójczą rzezią zaścianku, jemu zaś wystarczyło, że postanowił wspaniałomyślnie przedłużyć jej kadencję „Pani na Glebach” i już uznał całą rzecz za załatwioną, wyznawała okrutnie otwarcie — wciąż jednak nie podnosząc głosu ani o ton, jakby jej płuca w swym wnętrzu kryły zimny mechanizm, na którym kwestie nagrane zostały niezmiernie dawno, odtwarzane zaś wielokrotnie zdołały pozbyć się wszelkich akcentów emocji — i że czuła tylko, że jest jak przedmiot, można

ją wziąć, odrzucić, odstąpić, nieledwie wymienić części, z chwilą wejścia w ten dom zależna cała, i krwią, i skórą, i mięśniami, ciałem, właśnie ciałem, choć w końcu nie widziała powodu, aby nie pomóc komuś, komu do życia było ono potrzebne, nawet nie musi się kochać, to dość trudne, zbyt wyjątkowo się zdarza, co innego jednak być pomocną, a co innego poddać się narzuconej sobie konieczności, i potem o Piotrze Czerestwieskim też powiedziała — lecz krótko, bez intymnych szczegółów, te stano-
wiły jej przecież własność, zresztą sama nie bardzo rozumiała, co między nią a Piotrem w Czupryni tak niedawno zaszło — nazywając to ogólnikowo, świadomie wykrętnie przywiązaniem, chociaż określenie takie niczego nie wyjaśniało, a świekrze najwyraźniej nie wystarczało, ani ją przekonywało (bo jeszcze w pamięci zapewne miała zacięty wyraz oczu swego syna, gdy rano po telefonie starego Czerestwieskiego zaprzęgnął konie i wyjechał Piotra szukać, ten zacięty wyraz oczu i ust, i milczenie), więc spróbowała świekrze, znowu słuchającej z napiętą wrogością, owo przywiązanie umotywować, mimo że wcale nie było to zadaniem łatwym, musiała się bowiem odwołać do doświadczeń ze swego bezdomnego dzieciństwa, zanim trafiła do Czupryni, i wytłumaczyć musiała, czym stało się dla niej przygarnięcie przez Czerestwieskich, jej, sieroty podejrzewającej skrycie, że wcale sierotą nie jest, dźwigającej w dziecinny sercu piekące poczucie porzucenia, zapomnienia, ponizenia, i spróbowała (z góry zresztą nie wierząc, że próba się powiedzie) świekrę przekonać, że nie tyle jej chodzi o przywiązanie do samego Piotra Czerestwieskiego, ale do jego rodziny, atmosfery ich domu, do tego, co uosabiali, szerokiego jakiegoś, dalekiego świata, skąd przyszli, dokąd odchodzili, powracali i odchodzili, oni, emigranci rosyjscy, ludzie wyzuci ze swej ziemi, ale przez to nie skrępowani żadnymi związkami, w których zatracalały się ich swoboda, a Piotr Czerestwieski był dla niej tylko ostatnią nicią, jaka ją, Katarzynę, po zamążpójściu, jeszcze z tym domem i z nimi łączyła (och nieprawda niewiele się różnią przecież kuzynowie a Piotr zdawał się być inny, gdy pojechałam tam pierwszy raz gdy przyjechał po tych paru latach pamiętam jeszcze sprzed wojny choć dopiero dzieciak to był tylko kraj jego wakacji był im obcy nawet krewnym tym polskim po matce dopiero teraz go wciągnęli jak w bagno w tę krew tutaj wsiąka się jak w bagno zrozumiałam że nie można na niego liczyć jest mężczyzną wszyscy oni tacy tylko im tego co u nas między nogami licho wie na co liczyłam jeszcze gdzieś po północy w tę niedzielę co by go kosztowało powiedzieć że tak wyjedziemy gdzie chcesz gdzieś na zachód chciały-
bym w jakieś miejsce ależ wojna właśnie gdzie nie toczy się

wojna mówił głupstwa mówisz mówiłam zanim przyjdą znowu tamci co zrobią co zrobili w trzydziestym dziewiątym albo jeszcze gorzej co by mu szkodziło mówiłam zabrać mnie ze sobą i tak wiedziałabym nic z tego wszędzie się toczy ale żeby było dalej od tej bratobójczej rzezi tylko że zdążył już ochłonać niewiele mu czasu trzeba było trzy lata minęły jak wyjechał a zmienił się nie do poznania co tam trzy lata przecież gdy pojechałam pierwszy raz gdy przyjechał to jeszcze nie był taki dopiero gdy trzeci raz pojechałam tam do nich tydzień dwa zaledwie starczyło żeby go przekabacili kiedyś mówił nic go nie obchodzi kto tutaj z kim i kto tutaj przeciw a już Niemcy bombardowali drogi tłumy ciągnęły z zachodu na wschód pieszo wozami rowerami samochodami Bóg wie czym jeszcze a potem ze wschodu na zachód bo nie wiadomo co gorsze Sowietci czy Niemcy nic go to nie obchodziło mówił skoro jak ptak och Piotrze ale teraz to już wierzył w te ich patriotyczne tutaj bzdury a dałabym ci tyle rozkoszy ile tylko niech by tak pomyślał czym to się skończy nowym księstwem warszawskim albo żeby spróbował znaleźć się w mojej skórze jak wtedy we wrześniu kiedy przyszli Sowietci ile to się upokorzeń i strachu najadłam każdy co spojrział zaraz by gwałcił nie mogę mówi mi och Piotrze mówi że nie ma wyjścia z takiej sytuacji nie ma ucieczki a ja mówię że jak nie tamto to nas w końcu wytną co do jednego Niemcy z faszystami ukraińskimi do spółki a oni dwaj kuzynowie i Piotr Czerestwieski i Paweł Woynowicz mój Boże to prawda nawet bliscy i podobni i tak czy owak się pozabijają), i choć przez moment miała wątpliwości, czy jej charakterystyka własnego przywiązania, jeżeli nie do Czerestwieskich w ogóle, to przynajmniej do Piotra, jest po doświadczeniach ostatniej niedzieli dziś jeszcze aktualna, wątpliwości już niszczące nadzieje, jakimi żyła przez lata czekania na jakąś zmianę, to jednak pominęła je milczeniem, którego świekra nie mogła zrozumieć, wymagałoby to bowiem wyjścia poza jej egoistyczne zaabsorbowanie własnym synem, ale wystarczyło właśnie tych parę niesprecyzowanych do końca wątpliwości, jakie wcisnęły się przez jakąś szczylinę do świadomości między granicami jednego a następnego oddechu, kiedy zamilkła, aby nieoczekiwanie dla samej siebie (świekra przecież nigdy nie była dla niej powiernicą) przyznała się głośno do tego, co zaszło wczoraj w nocy po powrocie z Czupryni do Gleb, wprawdzie ogłędnie, również bez intymnych szczegółów — jak ogłędnie charakteryzowała przedtem wszystko, co dotyczyło Piotra — nie mniej przyznała się do swej bezsily, rezygnacji z oporu, do zaniku energii, którą jeszcze niedawno czerpała z braku konkretnej wiadomości o losie Aleksego, do tak ogromnego wyczerpania po latach walki

z Pawłem, że w końcu, powiedziała świekrze otwarcie: zrobiłaby to czego chciał, gdyby tylko potrafił dzień, albo dwa poczekać, do tego całego wyczerpania się przyznała, którego miary sama dotychczas nie знаła dokładnie, a dopiero w niedzielę Piotr Czerestwienski jej uzmysłowił, bo odrzucona poczuła się zupełnie ale to zupełnie osamotniona, właściwie zaś uzmysłowił jej ów list Czerwonego Krzyża przekreślający iluzję czekania na Aleksego, i wreszcie padły z jej ust słowa najgorsze, jakie mogą paść między kobietami, zwłaszcza, gdy jedna z nich jest matką a dotyczą uczuć do jej syna, te słowa, które Katarzyna nosiła w sobie zbyt długo, i choć były teraz szczerze, mogły nie paść, skoro powstrzymywała się od ich wypowiedzenia aż trzy lata, nie musiałyby ich później żałować, i świekra, i ona sama też nie musiałyby ich pamiętać, że zostały wypowiedziane, gdy los później tragicznie odwrócił ich sens: „Nigdy go nie pokocham. To niemożliwe. Nigdy nie pokocham Pawła, mamó”.

Cały czas, kiedy mówiła o sobie i Pawle niby o dwojgu bliskich, ale obcych ludziach, głos jej brzmiał równomiernie, spokojnie, zdecydowanie i twardo. Tylko przy ostatnich zdaniach podniósł się niezamierzoną nutą wyzwania i egzaltacji. Może dlatego od razu zamilkła. Zatrzymała się raptownie w swej bezcelowej wędrówce po pokoju i zwróciła całą sobą w stronę świekry. Stały jedna na wprost drugiej pośród mierzchnącego już wieczoru i spoglądały długo na siebie bez słowa. Od drzwi z głębi domu ciągnął chłodny powiew, za oknami słychać było wzmocnione skrzywienie świerszczy. Tym razem świekra nie postawiła nawet pytania i ona nie musiała jej wcale odpowiadać. „Nie myślałam, że z tym smarkaczem z Czupryni tak daleko sprawy zaszły”. „Tak. Myślę, że dość daleko” odparła Katarzyna wstrzeмиęźliwie. Wtedy świekra odchodząc wyraziła swoją obawę, żeby to się źle nie skończyło, żeby mu Paweł czegoś złego nie zrobił i że im, kobietom, nie pozostaje nic innego obecnie, niż czekanie, a potem zaraz odeszła z twarzą zamyśloną, nieprzystępną, pochyloną i jakby już nic nie słysząc, albo niczego nie zdolna usłyszeć, co sobie Katarzyna przypomniwała dokładnie teraz właśnie, leżąc i myśląc, mając aż nadto czasu na myślenie, i wspominając po kolei wszystko, poddając się tym przypomnieniom bezwolnie, cisnącym się zewsząd, jakby to one posiadały moc, moc i wolę, których jej zabrakło.

„Minęło chyba więcej niż dwanaście godzin, jak Paweł odjechał szukać Piotra” pomyślała w pewnej chwili powstrzymując oddech i nasłuchując, czy nie odezwie się gdzieś w pobliżu powracający tętent kopyt zmieszany ze skrzypieniem kół pojazdu. Ale do jej uszu docierały jedynie miękkie odgłosy stąpania psów

po parku, na noc spuszczonej z łańcucha, niekiedy krótkie skomlenie lub skowyt. Potem jeszcze coś. Słyszała to zresztą od dawna, lecz tak dalece leżało w kręgu jej codziennych doświadczeń i tak było przez jej świadomość zasymilowane, że poprzednio nie chciała tego słyszeć, a dopiero obecnie, na skutek wyczekującego wsłuchiwania się w ciszę nocną, zwróciła i na ten dźwięk uwagę. Był to powtarzający się w miarowych odstępach łoskot, jakby coś ledwo rozpoznawalnego (jakaś nierozumna, nieludzka siła) wynurzało się od czasu do czasu spod ziemi w ciemnościach dalekiego pustkowi, pękało z hukiem w powietrzu, a potem zapadało ponownie w głąb. Przez ułamek sekundy zastanawiała się ile tej nocy mężczyzn i kobiet zamknie oczy wcale nie we śnie i nie zobaczy świtu, zaraz jednak usunęła tę myśl spośród innych myśli razem z usłyszonym odległym, powtarzającym się łoskotem. „Już dwanaście godzin, jak Paweł odjechał” powtarzała z pełnym niedowierzania wahaniem. Potem jej ciało, jakby wiodło samoistne życie, drgnęło raptownie, posłyszała ostry, skrzypiący jęk łóżka i zaraz jej pamięć powtórzyła zdanie, jakie świekra wyraziła odchodząc, a raczej własną jej, Katarzyny, tego zdania interpretację: „Oni się pozabijają”, gdyż wiedziała to, czego świekra mogła się zaledwie domyślać: ucieczka Piotra nie była młodzieńczym wybrykiem, formą protestu przeciwko rodzinie, ale że uciekł od dziadków z Czupryni, ponieważ rano nie znalazł jej w ich domu, Paweł natomiast wyjechał na poszukiwanie uciekiniera nie dlatego, że był jego krewnym i przyjacielem, ale ponieważ posądzał, iż ostatniej niedzieli, czy też nocy z niedzieli na poniedziałek zyskał Piotr to, czego jemu, Pawłowi, nie udało się zyskać ani w ciągu trzech ostatnich lat, ani owej wczorajszej nocy, o której przez cały miniony dzień i teraz również, nie mogła myśleć bez zakłopotania, zmieszania i zdumienia.

Raz jeszcze próbowała usunąć obu mężczyzn ze swej pamięci, wvrwać się spod przemocy zdarzeń, które już się dokonały, i głosów, które już wypowiedziały swe kwestie, czując się od snu dalsza, niż przed rozmową ze świekrą, ale pragnąc go i potrzebując w tym samym stopniu w jakim nakazywała swoim myślom zmienić bieg (czego one zdawały się ani pragnąć, ani potrzebować, choć nie znajdowała żadnego powodu na wytłumaczenie ich uporu, skoro krąg zawarł się wokół niej tak ciasno, i nawet przez chwilę nie wierząc, że się jej zamierzenie to powiedzie, bo wiedziała, że będzie czekać, że musi, cokolwiek się stanie), aż nagle odkryła, że stara się w panice obliczyć, jaki jest dzień miesiąca, żeby obliczyć z kolei, jaki był w niedzielę, jak gdyby teraz właśnie miała istotną, nie cierpiącą zwłoki potrzebę, aby odkreślić od tej niedzielnej granicy minione dni miesiąca, i wyżej tej gra-

nicy dni następne, które zbliżały ją nieuchronnie do jakiegoś niewiadomego, przed którym jej kobieca istota drżała, celu, jakiegoś dnia, jakiejś godziny, a może czynności, którą będzie musiała wykonać; licząc skrupulatnie i z uwagą, aby nie odkreślić ich ani za wiele, ani za mało, i poczuła w całym ciele, od stóp do głowy gorąco, jakby stanęła w ogniu. I znowu spróbowała liczyć. Ale potem wszystko to, tak jak się zaczęło, tak minęło w rezygnacji. Ta konieczność, dopiero co niesłychanie pilna, atakująca, rozwiązała się i znowu wydało jej się, że nie słysząc, słyszy, jak wnętrze sypialni zapełniają znajome odgłosy rozmów, pytań, odpowiedzi, słów bez związku, odgłosy, których ukryty sens był w niej samej, cichsze niż własny oddech, i ponownie poza jej wolą przybliżyły one cały miniony wypełniony czekaniem dzień, właściwie obecną noc przeistaczając (te odgłosy) w ów dzień tak całkowicie, że począł dziać się on znowu, po raz wtóry i od samego początku. Od świtu.

Była sama. Wyczuła to, jak gdyby przez skórę, przez wszystkie otwarte i oddychające pory skóry, że jest sama, nie odmykając nawet oczu. Po omacku sięgnęła za poduszkę i natrafiła na zmiętą, wciśniętą w kąt koszulę nocną; włożyła ją. Nieopodal za oknem odzywały się dopiero raz po raz niedonośne, próbne jak gdyby gwizdy ptaków, wiatr jeszcze szeleścił chłodno i wilgotno w zaroślach przepompowując z ogrodu do wnętrza duszącą woń kwiatów maciejki. Gdy oczy otworzyła, ujrzała na moment świt, ledwie wyczuwalny za ciemnością, lecz zaraz je zamknęła na powrót, już wiedząc naprawdę, że jest sama, że pozostał obok niej po Pawle jedynie ślad, podłużne obce zagłębienie w pościeli zachowujące dotychczas wciąż swój pierwotny kształt, od którego odsunęła się widać bezwiednie we śnie, bo było nie zagniecione. Zaciśnąwszy silniej powieki, aż ciemność poczęła pulsować pod nimi ciepło i różowo, wciągała w płuca powietrze rytmicznie, głęboko, wprost do zawrotu głowy. Potem usnęła ponownie. Śnił jej się w pełnym słońcu park Czerestwieskich, paw krzyczący przeraźliwie, tępa białość ścian pawilonu oranżeryjnego, i widziała, jak wciskał się dachem pod niskie gałęzie lip, jak ponad zasłaniające go do połowy krzewy róż i clementisu strzelał w górę smukłymi liniami empirowych kolumnieniek dźwigających czoło płaskiego tympanonu, i już była wewnątrz wśród tej egzotycznej roślinności i pseudoantycznych figur na postumentach, nagle trzymała głowę Piotra w swoich rękach, przyciskając kurczowo do piersi, i już szeptała zadyszanym głosem: „Tak się bałam, tak się bałam, głupia. Ale wiedziałam, że cię odnajdę. Nie chcę, żebyś z nimi konspirował, żebyś mieszał się do tej ich rzezi. To nie twoja sprawa. Nie twoja wojna. Nie twoja

ziemia, ani krew. Chodźmy stąd. Chodźmy!". I już obraz się zmienił: leżała w trawie nad brzegiem potoku, szeptała do Piotra: „Uciekajmy stąd”, i było milczenie wśród przebijającego się przez nie bełkotu wody na porohach i: „Nie chcesz? Och, Piotrze. Przecież nawet taka kobieta jak ja, też musi mieć kogoś bliskiego”, i milczenie, i ten monotonny bełkot wody, i znowu był jej głos: „Więc już jesteś jak oni, Piotrze?”, a potem przenikliwy chłód pełznąć zaczął wolno po skórze i zadrzała, i zbudziła się z krzykiem.

Była gorąca, spocona; mokra koszula lepiła się do ciała. Usiadła na łóżku i zerwała ją z siebie jednym wyrzuceniem w górę ramion. „Jestem szalona” — pomyślała. „Krzyczałam, jeszcze ktoś przyjdzie” pomyślała i wyskoczyła z łóżka. (To było wczoraj, ale przeżywała, jakby zdarzyło się obecnie). Naga podbiegła do okna, aby je zamknąć. Zacisnąwszy oczy, stała chwilę trzymając się mosiężnej klamki. Czuła przenikający do wnętrza dłoni chłód metalu i przywierając policzkiem do szyby, powtarzała wciąż w kółko: „Jestem szalona”. Oddychała głośno i szybko. Żar wypełniający ciało stygł zwolna i wreszcie na powierzchnię skóry wypełził prawdziwy chłód. Poczuła, że cierpnie, a jej biodra, piersi, nogi i ramiona są zmęczone, jakby nigdy nie spała. Z głębi domu dochodziły do jej uszu odgłosy porannej krzątania służby i sprzątania. Przed gankiem wuj August kłócił się z ekonomem, starym Waśkowskim. Powróciła do łóżka. Stała nad nim przypatrując się pościeli: zarówno miejscu na samym skraju, w którym skłębione, wilgotne prześcieradło zdradzało, gdzie przeleżała noc, jak i ledwie poruszonej przeciwnej stronie, gdzie przedtem leżał Paweł, i znajdując w sobie nagle zupełną trzeźwość, pomyślała, że trzeba zaraz wydać polecenie pokojówce Róży, aby zmieniła powleczenie. Potem poszła do łazienki i puściła prysznic. Woda leciała zrazu ciepła, prędko jednak strumień stał się lodowaty, najwidoczniej było dość późno i zawartość bojlera wyczerpali już domownicy. Kuląc się z zimna patrzyła, jak kropelki odbijają się od ramion i rozpryskują na kolorowej wykładzinie posadzki. Pomyślała o Pawle i natychmiast przestała. Woda ściekała z niej mieniącymi się strużkami, krople zatrzymywały się na ściągniętej zimnem skórze.

„Nic się przecież jeszcze nie stało” powtarzała sobie. Mocnym, płaskim ruchem obu dłoni zgarnęła srebrzącą się na ciele rosę i wytarła się ręcznikiem do czerwoności. Wracając do sypialni pomyślała: „Aleksy umarł, powinnam płakać”. Ale nie znajdowała w sobie nic prócz obojętności, żadnego innego uczucia prócz obojętności i jeszcze znużenia. A potem, gdy się już ubrała i siadła przed gotownicą, obejrzawszy wpierw swoją twarz odbiła

w lustrze, nie widząc w niej żadnych zmian, jakichkolwiek drobnych nawet śladów ostatnich przejęć, wpatrując się w swoją twarz bez zmruczenia oczu, spojrzeniem zimnym, jak nieraz kobieta patrzy na kobietę osądzając to, co tamta zrobiła, pomyślała: „Przedwczoraj byłam w ramionach jego kuzyna, Piotra Czerestwińskiego, wczoraj w ramionach jego brata Pawła, a Aleksy umarł. Umarł naprawdę. Nawet mi się nie śni teraz w nocy”. I ostrożnie dotknęła opuszkami palców czoła, policzków, a potem skroni. „Zdaje się, że mnie kochał. I chyba ja jego także. Cokolwiek bym teraz na ten temat powiedziała. Chyba także”. Później, uczesawszy się prędko, wstała i już idąc przez korytarz, powtarzała w myśli: „Nawet nie pamiętam, jak wyglądał. Czasem powraca jakiś szczegół, gest, słowo, oto wszystko, co zostało” i dalej nie czuła nic więcej prócz znużonej obojętności. Dopiero napotkawszy w sieni Paraskę, wydając jej dyspozycje do obiadu i widząc spłoszony, umykający wzrok starej, na nowo przypomniała sobie tamto wszystko. Wtedy nagle na dnie świadomości znalazła (najwidoczniej jednak istniejące, tym bardziej teraz z siłą dające znać o sobie) zmieszanie, zakłopotanie i zdumienie. Ale i tym razem udało jej się zapanować nad tymi uczuciami i powiedziała: „Kaź Róży zmienić u mnie pościel. Zaraz, niezwłocznie”, nawet nieco zaskoczona naturalnym brzmieniem własnego głosu. Potem, nie śpiesząc się, bo było dostatecznie późno, żeby domownicy dawno już rozeszli się do codziennych swoich zajęć, zjadła w jadalni sama śniadanie i wyrzała na taras.

Powietrze miało wciąż jeszcze delikatny smak poranku niby przemyte deszczem. „Którego dziś mamy?” zastanowiła się, czas bowiem utracił raptem swą konkretność, zatarł się, zapomniawszy. Ciągnęło rześkością przesyconą wonią wilgotnej kory, grzybów, rozgrzewającej się z wolna ziemi. Objęła widok długim, zamykającym wszystko spojrzeniem, bezludne alejki wygracowane czysto, zielone soczyste trawniki obok masywu świerków z pniami pełnymi świetlistych pręg albo skąpane w cieniu, gdzie przy beczkowie stała mechaniczna polewaczka, dalej, nieco w prawo, tenisowy kort z uszkodzoną siatką opłotowania, na który zabłąkało się stadko kur z folwarku, bliżej zaś (że przez chwilę zdawało jej się, iż czuje wyraźnie zapach) wodę w wiadrach pozostawionych na ścieżce przez ogrodnika, srebrzystą, miękka i świeżą, natomiast na tarasie, na rozpiętym hamaku, porzucony przez nią przed wyjazdem stary tom kronik Froissart'a, jakby jej nieobecność w domu rzeczywiście nie trwała zbyt długo, aczkolwiek przysięgłaby, że powróciła po latach, a może wcale tu nie była. Potem rozsuwając muślinowe story, cicho wsunęła się wprost z tarasu przez otwarte drzwi do salonu. Postąpiwszy

parę kroków uległa wrażeniu, że całe otoczenie jest jakieś od nowa dla niej swojskie i poczuła, jak topnieje jej serce. Nieopodal, jakby tuż za ścianą, słysząc było niegłośno prowadzoną rozmowę. Głosy brzmiały cierpliwie, zdawały się beznamietne, napływały równomiernie, tak że raptem — aczkolwiek wiedziała, że to kłamstwo, fałsz — połączyło ją z domownikami złudzenie spokoju i przez chwilę poddawała się temu nastrojowi; było tak, jak za dawnych lat, kiedy powracała z Aleksym przez park, wsuwała mu rękę pod ramię i szli krok w krok nie rozmawiając wcale, złączeni poczuciem bezpieczeństwa i trwałości wszystkiego co ich otaczało. Ale równocześnie — i salon, i meble, i wszystkie przedmioty, a nawet owa bezosobowa rozmowa zza ściany były, bardziej niż kiedykolwiek, tak dojmująco obce po jej krótkiej nieobecności w Glebach, w domu do niedawna jeszcze jej i Aleksa, a teraz tylko i ch, Woynowiczów, po owej krótkiej, lecz ostatecznej rozłące z Aleksym, rozłące myśli i ciała, po inności sposobu życia tam u Czerestwienskich, że nagle całe otoczenie, cała atmosfera, jaką tchnęło, uczyniła się nie do zniesienia. Postąpiła jeszcze parę kroków i wtedy: „... nie do zniesienia jest takie życie” posłyszała dość wyraźnie głos świekry skarżący się komuś za pół przymkniętymi drzwiami, „Nie Ukraińcy, — to Niemcy, nie Niemcy, to Ukraińcy. Gdzie się podział? Niechże się wreszcie ten front przewali...”, „O, właśnie! Aby się spełnił ostatni akt dramatu” zadudnił drwiąco głos męski, jednakże nie był głosem Pawła, ani sędziego, wuja Augusta, „Dobrodziejka na co liczy? Na spokojne życie wśród pastuchów w Kazachstanie, czy może w jakimś innym zacisznym kątku?”, na co drugi głos męski: „Panie mecenasie, panie mecenasie...” mitygował, „Tylko bez krakania. Bez proroctw. Nigdy nie wiadomo, czy front zachodni nie ruszy w końcu szybciej. Albo czy nie będziemy mieli wkrótce trzeciego frontu. Przez Bałkany. Przecież nie zostawia nas na pastwę Sowieców. Jesteśmy u siebie. Nie jedną zawieruchę przetrwaliśmy. Daj Boże i tę przetrwamy. Najważniejsze teraz, żeby tu na miejscu nie utoczono nam zbyt wiele krwi. Trzeba się bronić. Orać swoją ziemię i bronić się. Być obecnym. Przetrwać biologicznie. O to teraz chodzi. Nie gdzie indziej, ale tu jest nasz dom” mówił prędko, jakby skandował, pragnąc własnym głosem swój niepokój i swoją rozpacz zagłuszyć, i wówczas skądś, z nieokreślonej strony, bo nie od okien, ani od drzwi, ostro, smagająco powiało ku Katarzynie chłodem.

Więc nic się nie zmieniło? O Boże! Wciąż te same rozmowy! Te same, powtarzane z uporem kwestie dramatu zbliżającego się nieuchronnie do epilogu. Mimo nieustającego koszmaru niemieckiej okupacji wciąż te same lęki, ta sama niepewność, ciągle

pytania. Co przyniesie nawałnica toczącego się coraz bliżej i bliżej wschodniego frontu? Co z ich ziemią, krajem? I z nimi? Co stanie się z nimi? A więc to prawda, wróciłam, znowu jestem wśród nich. Muszę co dzień patrzeć, jak brodzą niby wychudłe żurawie po swoich polach, które przestały już być własnymi polami. Muszę słuchać ich fantastycznych projektów, gdzie posiać pszenicę, gdzie jęczmień, gdzie koniczynę, a gdzie lucernę, mimo że sami nie wierzą, że cokolwiek zbiorą. Muszę słuchać, jak się łudzą: bo chociaż po prześladowaniach, mordach i masowych zsyłkach na wschód za sowieckich rządów, teraz zaś mordach dokonywanych przez Niemców i faszystów ukraińskich, ziemi nie będzie miał kto uprawiać i pożre ją wkrótce step, to przecież ktoś przetrwa, step zamieni się po wojnie w tereny hodowlane i znowu zaczną się niemałe dochody, jakby ten koniec wojny nie był również i końcem ich świata. Muszę patrzeć, słuchać, mówić, muszę żyć z tymi ludźmi spędzającymi dnie na sztucznej ruchliwości jak marionetki, albo trawiącymi je w bezradnej odretwiałości na wciąż podobnych rozmowach w zapuszczonych salonach, gdzie już kury w poszukiwaniu ziarna dziobią wśród rodzinnych sreber, i gdzie czasem w obtłuczonych dzbankach na herbatę znajduje się przechowane w pośpiechu wrześnieowej ucieczki w trzydziestym dziewiątym roku i zapomniane w tej odretwiałości brylantowe naszyjniki babek i prababek, które już chyba nigdy nie odzyskają pierwotnego swego przeznaczenia. „To nie są moi bliscy”, myślała. „Mogę ich widzieć, ale nie wiem, dlaczego robią to, co robią. Dla kogo? Po co? Nie pojmuję ich skomplikowanych intencji i jeszcze bardziej skomplikowanych motywacji ich czynów. Mogę ich słuchać, ale nie rozumiem, co mówią i dlaczego, ani co się w ich słowach kryje, jakby mówili innym językiem. Wiem, że tu się coś stale dzieje poza regularnym spożywaniem posiłków, wzajemnymi odwiedzinami, spotkaniami, zjazdami, orką, siewem, zbieraniem plonów, rodzeniem i umiowaniem, wzajemnym podpalaniem sobie domostw, strzałami zza węgła i strzałami jawnie w twarz, że jakaś rzeka, która wzbierała powodzią od lat, rwie teraz niszczycielsko do przodu i jedni podsycają jej nurt, inni regulują jej bieg, jeszcze inni przegradzają i ogradzają, wszystko to wiem. Ale pozornie, powierzchownie, bez zgłębienia istoty rzeczy. Bo naprawdę nie wiem nic. I nigdy chyba nie będę wiedziała. Nie chcę. Nie chcę, o Boże, nie chcę!” Czuła, że nie może powiedzieć, jak głos zza pól przymkniętymi drzwiami: to jest mój dom. „Och nie, nie! To nie jest mój dom”. Zawsze pragnęła ciszy, spokoju i żeby być sobą bez przybierania kostiumów i masek. Nigdy nie miała wielkich życiowych aspiracji. Nie dane jej było zdobyć innego wykształcenia nad to,

jakie przewidywano dla kobiety, mającej być tylko żoną i panią zapełnionego służbą domu, jakie potrzebne jest kobiecie, aby umiała towarzyszyć mężczyźnie w obchodach salonów, prowadzić eleganckie rozmowy i brać udział w tym wiecznym spektaklu wzajemnego przyglądania się sobie. Wyhodowano ją, wiedziała, jak kwiat cieplarniany, już przed rozwinięciem się z pąka skazany na sztuczną doskonałość kształtu i koloru, na pozbawienie tego jedyne go niepowtarzalnego zapachu, jaki daje naturalne istnienie. Oszlifowano jej ruchy, gesty, chód, spojrzenie, sposób otwierania i zamykania ust, mowę; całą sobą powtarzała, tylko powtarzała to, co przekazała jej kaście tradycja pokoleń. Ale przecież nigdy nie przestała mieć nadziei na własne niezafałszowane życie, w którym by wybór roli należał do niej samej. Przynajmniej od tej ciemnej, brudnej chwili, kiedy dowiedziała się, że dotychczas nie wiedziała nawet gdzie, w jakich okolicznościach została poczęta, gdyż to, co wiedziała przedtem, niewiele miało wspólnego z prawdą; od tej chwili, kiedy powinna być w pełni szczęśliwa, bo już jej ślub z Aleksym postanowiono i była jeszcze ufna, żyjąca w zgodzie z losem i sobą, pozbawiona wątpliwości, wciąż bowiem myślała, że należy do ich kasty i nawet nie wyobrażała sobie przyszłości innej niż ta, jaką jej wyznaczili; od tej chwili, kiedy ciotka Dominika powiedziała jej, czego nie powiedzieli nigdy Czerestwienscy i czego nie powinna była powiedzieć, skoro oni nie uznali za potrzebne; wtedy, gdy przyjechała z Gleb do Czupryni (było to któreś z niedziel pod koniec wiosny trzydziestego dziewiątego roku), siedziała przed lustrem i tym głosem starzejącej się w panieństwie kobiety nie chcącej się przystać do przepelniającego ją zawiścią poczucia życiowej porażki, głosem zaprawionym sztuczną egzaltacją trajkotała: Nie, wcale jej nie zmęczyła długa jazda końmi, *coiffure*'a tylko na tym ucierpiała. U nich w Wielkopolsce odległości między sąsiadami są dużo mniejsze. A z włosami, to w ogóle trudno jej dać sobie radę. „*Et toi comment tu le fais*, Katrin, że masz zawsze tak doskonałą głowę? W karnawale spotkałam twoją matkę na balu... To bardzo nieładnie tak zapomnieć”. Wprawdzie ona, Dominika, ją rozumie, konwenanse, ale przecież można było znaleźć jakieś wyjście. W każdym razie dla Aleksandra to bez znaczenia. Kpi sobie z wszelkich przesądów. „Ale, ale... A co się u ciebie dzieje, Katrin? Od zeszłej zimy nie widziałyśmy się, prawda?”. Ona teraz przyjechała do Gleb na dwa, trzy tylko dni. „Wiesz po co mnie Aleksander wezwał? *Eh bien, devine*”. Przyjechała służyć bratankowi radą przy urzędowaniu ich przyszłych małżeńskich apartamentów. Chciał, aby ktoś jeszcze, prócz jego matki, kobiecy okiem ocenił. Och, jakby jej, Katarzynie, przydała się teraz

rodzona matka. To są takie ważne chwile w życiu dziewczyny, że matka... „Tak, spotkałam ją niedawno na balu. O Boże, zbłądła? Zapomnij kochana, już ani słowa o tym! Ona była młoda, nierozważna, lecz odcierpiała. Nie ma potrzeby, żebyś jeszcze i ty, zwłaszcza nie za swoje winy. Aleksander nigdy ci tego nie da odczuć. Jest taki szlachetny. Żebyś wiedziała, jak się o wszystko martwi. Ten dom! Och, nie wiem czy będziesz zadowolona z tego co wybrałam... Tylko Katrin, *au nom de Dieu*, ani słowa Aleksemu. To niespodzianka!”. Ale ona, Dominika, nie może wytrzymać. *C'est trop fort*. Nie zdradzisz... *n'est-ce-pas?* *Alors...* Z buduaru przebili drugie wyjście na taras, wspaniały rozległy widok! Tylko wiesz... *elle est désolée*, obicie na ściany w sypialni dali może trochę za ciemne. Poza tym łóżko, dwa świeczniki, meluzyna u sufitu przerobiona na elektryczność, lustro na konsolach i obciążony aksamitem karzeł przy łóżku, nic więcej, przestronnie. Elektryczność założyli w całym domu, wiesz? Jakże się dziwić, że Aleksander tak za tobą szaleje. Nic mu nie przeszkadza gadanina zawistników, że mógł sobie znaleźć pannę z nazwiskiem. Serce nie służy. Powinnaś to docenić. Nie znam kobiety, która by była prawdziwiej kochana. Ale co tobie? Naprawdę jesteś blada, kochanie. Źle się czujesz? *Mon Dieu*, nie trzeba aż tak się przejmować. Czas do ślubu prędko zleci i wreszcie będziesz miała ten swój własny dom...”

Pamięć wszystko to teraz rekonstruuje. Noc tężeje. Ciemność wlewa się przez okna, niby gęsta smoła, tylko na widokręgu, zawieszony nisko u skraju nieba rudy poblask, który zamiast unosić się wzwyż opada wolno po bokach i kładzie się na czarnej powierzchni dalekich wertepów, bezsilny i zarazem pozbawiony ciężkości. Łuna gorzejacej gdzieś wsi. A w pobliżu, jakby wszystko umarło. Prócz nocnych świerszczy. Grają niestrudzenie, niez mordowanie. Pamięć zaś rekonstruuje. Miniony ranek. Głosy dochodzące zza ściany do salonu, gdzie ona, Katarzyna, wciąż jeszcze stoi (choć naprawdę, to minął już nie tylko ten spokojny, czysty poranek, ale i cały dzień, a nawet połowa obecnej nocy, i leży nie rozebrana na łóżku czekając na powrót Pawła Woynowicza, wiedząc, że czekać musi, cokolwiek by się miało zdarzyć), wciąż stoi w tym samym miejscu, zatrzymana głosami zza ściany, nie ich brzmieniem (bo już słyszała je przedtem, i wtedy miały znaczenie kojące, na chwilę przynajmniej pozbawiły ją poczucia opuszczenia, łączyły jakimiś nowymi więzami z resztą domowników), ale treścią nagle zrozumianych słów, wśród których padło owo magiczne słowo „dom”; stoi zatrzymana w pół kroku, w samym środku pustej przestrzeni pomiędzy otwartymi drzwiami na taras, a półprzym-

kniętymi drzwiami do pokoju obok; i także rekonstruuje ten cały przypomniany sobie raptem monolog ciotki Dominiki sprzed czterech lat, jej słowa ostatnie: „Czyżbyś nie chciała wyjść za Aleksego, *dis moi?* Czyżbyś nie była szczęśliwa? Co się dzieje, Katrin?”, rekonstruuje pamięć tak wiernie, jakby wypowiedziane zostały dopiero wczoraj, i myśli, że oczywiście, czuła się chyba wówczas szczęśliwa, tylko wiedziała, że prawdopodobnie dom, w który niebawem wejdzie nie będzie nigdy już prawdziwym jej domem po tym, czego się o sobie dowiedziała; a nawet rekonstruuje — jak gdyby była fantastyczną maszyną zdolną przechowywać obok siebie zapisy różnych zdarzeniowych wątków i odtwarzać je potem równolegle — obraz ojca, który wyłaniał się oczom tylokrotnie od czasu tamtej rozmowy z ciotką Dominiką (nie obraz matki, właśnie ojca), że w końcu, po ustawicznych formujących zabiegach wyobraźni, stał się obrazem rzeczywistym, nie budzącym w niej więcej wątpliwości; obraz ojca i te drobne, lecz jakże ważne fakty, z którymi zdradziła się wreszcie, choć tyle lat milczała, Paraska, jej, Katarzyny, dawna niańka, którą po wizycie ciotki zapytała o swe pochodzenie, bo przecież chciała wiedzieć, tyle lat żyła w nieświadomości, tak długo wpajano w nią legendę śmierci rodziców w zawierusze wojny bolszewickiej, że musiała wiedzieć zaraz, wszystko, choć by nawet przez to „wszystko” nie miała nigdy więcej odzyskać pewności, spokoju i świadomości swej przynależności — rekonstruuje pamięć cierpliwie, miarowo i niestrudzenie.

Ojciec teraz znów przyszedł do niej (choć może również w jakimś ułamku sekundy trwającym rozbłysku myśli pojawił się i wówczas, kiedy przykuta do miejsca rozmową za ścianą, stała w środku salonu, bo przecież przywoływała jego obraz często), wyłonił się z głębi bezdusznej ciemności, której sypialnia pełna była po brzegi (lampa bowiem przestała dawać światło, a ledwie żarzące się druciki w żarówkach błyszcząły, niby źrenice zwierzęcia w lesie), wyłonił się z jasną, pogodną twarzą, z ciepłym, serdecznym, szczodrym uśmiechem na ustach, jak uwieczniło go jedyne zdjęcie posiadane przez Mikołaja Fiodorowicza Czerestwieskiego, które podarował jej po rozmowie z nią tamtego lata w trzydziestym dziewiątym roku, wpiersz odpowiedziawszy na wszystkie pytania, to zdjęcie koloru sepia, które oprawione w ramkę wisało dotychczas nad jej biurkiem, z uśmiechem w oczach trzęsącą na tej fotografii zmrużonych i marzycielskich pod wysokim czołem, najwyraźniej kłócącym się z mocnym podbródkiem okolonym szeroką, marynarskiego stylu brodą, jej rodzony ojciec w mundurze kapitana lejbgwardii carskiej z czasów pierwszej wojny, młody i silny, właśnie taki, jakiego przekazywała foto-

grafia oraz wspomnienia Mikołaja Fiodorowicza, którego był jakiś czas towarzyszem broni, i także wspomnienie Paraski, która widziała go ostatnia, jej ojciec, ten zrusyfikowany przez korpus paziów i potem wojsko, kurlandzko-polski szlachcic bez ziemi, większego majątku i ciężaru rodzinnych powiązań, ze swą zgubną wiarą w moc historycznej pamięci i w odradzającą się za sprawą Piłsudskiego polsko-litewsko-ruską unię mającą kontynuować tradycje europejskiego przedmurza na wschodzie wyłonił się, jak gdyby żywy z ciemności, stanął u wężłowania i opowiadał o swoich miłościach i tęsknotach: za kobietą, za umiejscowieniem, znalezieniem własnego dachu nad głową wśród swoich, za ojczyzną.

A przecież nie udało mu się to. Nic mu się nie udało z jego zamierzeń. Kraj znany mu z mglistych relacji wcześniej zmarłych rodziców przyjął go chaosem politycznych walk, nędzą powojenną, zniszczeniami, niechęcią, jaką zwykle ludzie osiadli i zadomowieni darzą tych, co przybywają z daleka zgłaszając się do podziątku i tak chudego kawałka chleba, i wreszcie nowym zagrożeniem ledwo uzyskanego państwowego bytu, nową pożogą wojenną niesioną ze wschodu kopytami końskimi kozaków Budionnego, ową pożogą, która wciągnęła go w swój gorący wir, a zresztą musiała, skoro przybył do tego kraju, przyznać się do więzi z tym krajem i kochał go. Wcześniejsze dzieje ojca zaledwie z trudem dały się zlepzić z nielicznych wiadomości, jakie posiadał o nim Mikołaj Fiodorowicz Czerestwienski. Były to same suche fakty. Urodził się prawdopodobnie w Rydze, w dzieciństwie był świadkiem ruiny majątkowej rodziców i ich śmierci. Jakiś krewny, wojskowy, wystarał się dla niego później o miejsce w petersburskim korpusie paziów, a potem w tej biografii istniała luka, właściwie wiele luk, gdyż dopiero w okresie wojennych klęsk armii carskiej w Prusach Wschodnich, chwyciła Katarzyna z relacji Mikołaja Fiodorowicza dalszą nić ojca losów. Ich spotkanie nastąpiło w okopach, gdy młodego kapitana przydzielono do pułku, którym Mikołaj Fiodorowicz dowodził, choć poznali się nieco wcześniej, prawdopodobnie na jakiejś sztabowej odprawie, ale i to spotkanie poszłoby zapewne w niepamięć, gdyby nie fakt, który tak zaważył po latach na jej, Katarzyny, losach, fakt, że w czasie sromotnego rozgromu pod Tannenbergiem, ojciec jej wyniósł z bagien spod ognia artyleryjskiego ciężko rannego pułkownika, ratując mu życie. To, czego zdołała się poza tym dowiedzieć, pochodziło już tylko od Paraski. W relacjach niania jednak był on od początku nie sam, ale z kobietą, która została później jej, Katarzyny, matką.

Niekiedy wszystko to wydawało jej się mało prawdopodobne przez swe oddalenie w czasie i mgławicowość, ale poświęciwszy

na to nieco wysiłku potrafiła sobie wyobrazić ten ubogi jakiś dwór wśród błot poleskich, udzielający gościny uciekinierom spod rozlewającego się szeroko bolszewickiego zagonu, dwór o którym Paraska jej opowiedziała, bo tam wtedy służyła. Potrafiła wyobrazić sobie również to przybycie polskiego oddziału wojskowego eskortującego kolejną grupę przerażonych uciekinierów, którzy potracili mienie i najbliższych, uciekinierów wyrwanych w ciężkich walkach z czerwonego okrążenia; tę młodą, urodziwą, otaczaną przez kapitana specjalnymi względami, pannę, której rodzina zgubiła się gdzieś po drodze; całą tę biedną, pełną zamieszania, dochodzącej zewsząd wrzawy bitewnej, strachu, niepewności jutra, pośpiesznych decyzji scenę, tę scenę, na której rozegrała się, rozkwitła szybko i szybko zgasła miłość jej ojca i matki, bo że była to miłość, nie miała Katarzyna wątpliwości. Potrafiła sobie nawet wyobrazić jeszcze ten najdziwniejszy z faktów, pośpieszny wojenny ślub, który był ślubem bez księdza i przedstawiciela prawa, w obliczu paru świadków w szarych mundurach, zapewne kolegów, frontowych oficerów z tego samego oddziału, raczej będący zapewnieniem, przysięgą na wierność, żołnierskim słowem honoru, niż ślubem, i nazajutrz smutny odjazd jej ojca na linię ognia, trudniej, a nawet niepodobieństwem było dla niej wyobrazić sobie dalsze koleje tej historii. O, śmierć ojca — tak! Śmierć żołnierska, zanim jeszcze ją zobaczyła jako dojrzała już kobieta na własne oczy, była jej dobrze znana: w cieniu śmierci żołnierskiej wyrasta pod tą szerokością geograficzną każde pokolenie, ludzie mówią o niej przy stole dzieląc się chlebem, wspominają w codziennych modlitwach, zjawia się ona dzieciom w snach, powraca nagłym zamilknięciem kobiet przy przeglądaniu starych rodzinnych albumów, ukazuje się w czasie spacerów porośniętą trawą kopczykiem przydrożnym. Ale jej, Katarzyny, wyobraźnia, wsparta nawet relacjami Paraski, pozostawała nieomal głucha na dalsze dzieje matki. Jeszcze ten okres, kiedy matka czekała i pisała do ojca na front listy najpierw z nadzieją i niepokojem, potem z wezwaniem z głębi serca, potem natarczywie, potem zapamiętałe, w końcu z rozpaczą i może bluźniąc, złorzecząc, przeklinając swój los, wojnę i ludzi, kiedy tak czekała i wypatrywała co dnia powrotu tego, który odszedł, wieści od niego, paru słów na kartce, kiedy rozпинаła, jak na krzyżu spojrzeniem gniewnym powracających i przywołujących listy, kiedy wyczerpała w sobie wreszcie wszystkie uczucia, wypaliła rozpaczą całe swoje wnętrze, już wsłuchując się, jak w nim, w głębi rośnie, jak dojrzewa nowe, nieupragnione wcale życie, zdana w końcu tylko na głuche, ciemne zwątpienie i strach, ten okres jeszcze Katarzyna mogła wyobraźnią ogarnąć,

ponad siły jednakże było dla niej zrozumienie, dlaczego urodziwszy ją, oddała siostronom zakonnym we Lwowie, dlaczego, zapłaciwszy za ich przyszłą nad nią opiekę, uznała, że kończy się na tym rola matki. I dlaczego nigdy więcej nie spróbowała jej, swego dziecka, zobaczyć. Czy działała może pod presją nagle odnalezionnej, surowej, konwencjonalnej rodziny, czy może była kobietą słabą? Oczywiście, sytuacja matki była przecież więcej niż dwuznaczna: ani panna, ani wdowa, w dodatku z dzieckiem — ale dlaczego nigdy nie spróbowała jej chociaż raz jeden zobaczyć? Bo gdyby ona, Katarzyna, umarła? Tam u sióstr chorowała podobno dużo i źle się chowała. Jej rodzona matka nie wiedziałaby o tym nawet. Przecież dziecko poczęte w tak szczególnych okolicznościach i urodzone w takim opuszczeniu, musi zachować się w pamięci. Paraska, która była przy jej, Katarzyny, urodzeniu i opiekowała się nią przez pierwsze cztery miesiące, zanim opieką zajęły się siostry, wspominała o jakimś starszym, o surowej twarzy panu; o długich rozmowach, jakie wiódł z jej matką zamykając się z nią w pokoju i że wyjeżdżał często i powracał, aż w końcu zabrał matkę ze sobą na zawsze. Co powiedział młodej kobiecie? Bo przecież mało prawdopodobne się wydawało, aby sprawę między matką a dzieckiem mógł załatwić na płaszczyźnie konwenansu. Jakie więc w czasie tych rozmów za zamkniętymi drzwiami słowo padło, jakie ważne słowo, które nakłoniło młodą kobietę do opuszczenia dziecka i tak silnie zobowiązało ją na przyszłość, że tego dziecka nigdy już nie spróbowała zobaczyć? Paraska przypuszczała, że owym starszym panem był Katarzyny dziadek. Ale już niczego więcej nie potrafiła dodać do swej opowieści. Wkrótce bowiem straciła ją, czteromiesięczną Katarzynę, z oczu, poszła swoją drogą, na służbę od domu do domu i tylko przypadek sprawił, że spotkały się po latach ponownie. Tym przypadkiem było (kiedy już Paraska dosyć miała miejskiej poniewierki i wróciła na wieś) trafienie na którymś tam kolejnym etapie wędrówki do domu Czerestwien-skich, a właściwie opowiedzenie nowej swej pani dziwnej historii wojennej miłości nieznaney bliżej panny i oficera, tej historii, która ją, Paraskę, dziewczynę z zapadłej wsi poleskiej rzuciła w szeroki świat do miasta. Pamiętała nawet nazwisko tego oficera, nazywał się Mamont, Arkadiusz Mamont, i w ten przypadkowy to sposób, ponieważ nie trudno już przyszło jej nowemu państwu skojarzyć sobie bohatera romansowej opowieści z oficerem, który Mikołajowi Fiodorowiczowi uratował życie pod Tannenbergiem, wpłynęła Paraska na dalsze ukształtowanie się jej, Katarzyny, losu, wyciągniętej wtedy natychmiast od zakonnych sióstr, przygarniętej całym sercem i później wychowywanej,

jak własne dziecko, a nawet — ponieważ Czerestwienscy nie mieli córki, ich synowie zaś dorosli i rozeszli się po świecie — hołubionej i pieszczonej ponad zwykłą miarę. „Mogłam zawsze, do końca mieć swój dom”, pomyślała Katarzyna. „Nigdy bym nie poczuła, że jestem podrzutkiem, nigdy by mi w tamtym domu do głowy nie przyszło, ażeby fakt swego niejasnego urodzenia i porzucenia przez matkę takim słowem nazwać, skrzywdziłabym tych wspaniałych ludzi. Jednakże zapragnęłam domu jeszcze bardziej własnego...”.

Raptownym zagarnięciem dłoni, gestem podświadomym, poza wolą, uwalnia czoło z jakiegoś pasma włosów, właściwie, odgarniając, odpędzając wspomnienia i dźwiga się z łóżka. Opuściwszy nogi na podłogę czuje, jak w zdrętwiałe ścięgną leniwie wlewa się ciepło krwi. Zgina, a potem rozprostowuje palce słysząc miękkie trzaski w łączeniach stawowych. Słyszy je równocześnie z przytłaczającą ciszą pełną jeszcze przed chwilą wrzawy przeszłości wywołanej przypomnieniem słowa „dom”. Słyszy także i tę drugą ciszę, która musiała chyba zapaść w pokoju obok salonu w momencie, kiedy goście świekry poczuli w pobliżu czyją obecność, usłyszawszy może szmer posadzki pod jej, Katarzyny, ścierpiniętymi od długiego stania stopami i zamilkli, tak że się cofnęła i wyszła z powrotem na taras. Podnosi się ze skraju łóżka, zbliża do konsoli pod ścianą, bo światło nad lustrem zgasło już zupełnie, szuka po omacku zapalek i zapala w lichtarzu świecę.

Światło jest bladeżółte, niepewne. Chybot płomyka chwiejnym ruchem przerzuca jej własny, powiększony cień na wypłowiały brokat obicia ściany. Przytrzymując ten swój cień spojrzeniem, cofa się, kuli ramiona i próbuje opanować dreszcze. Poblask łuny na widnokręgu zdaje się gasnąć, za to bliżej, jak gdyby na skraju sąsiedniej wsi, widzi płonący w szczerym polu dom. Strzela w górę, niby samotny stos ofiarny. Daleko na lewo i prawo żalonym wyciem porozumiewają się psy. Przymyka okno i naciąga roletę, choć chłód zdaje się nie płynąć wcale z ogrodu, ciągnie od murów, gdzieś z głębi wyziębionego przez noc serca domu, rozpościerając się dotykającym oparem po całym pustym, lśniącem nieskazitelną czystością wnętrzu, w którym łóżko, toaleta z lustrami, konsola i świeczniki są martwymi wyspami na toni bezmiernego morza, a nawet emanuje na zewnątrz z niej samej, Katarzyny, ciągle jeszcze w czarnej sukni, którą włożyła przed kolacją i nie pomyślała później, żeby zdjąć. Znowu kładzie się na łóżko i naciąga na nogi kołdrę. Ściana rozjaśnia się wtedy, jest czysta, cień znikł. Tylko chybot płomyka świecy ożywia na spłowiałym brokacie zielonkawożółte liście akantu i zawie-

szony na wprost łóżka sielski pejzaż Bogdana Lubienieckiego w barokowej ramie, na którym kapela wiejska przygrywa z hollenderską przyodzianym chłopom do tańca. Znowu przychodzi do niej ojciec. Jest z nim teraz także stary pan Czerestwiński, Mikołaj Fiodorowicz, jest i Aleksander, jej mąż, a nawet, jakby wprost z podróży, wprost z ekspresu Poznań-Lwów-Tarnopol, w szarym kostiumie z angielskiej wełny, rozpychając gromadzących się wokół łóżka mężczyzn, zjawia się ciotka Dominika z jakąś nową rewelacją na ustach. Ale Katarzyna nie chce już teraz słyszeć nic z tego, co podsuwa znużona, a jednak nie potrafiąca zamilknąć, pograżać się we śnie pamięć. Przyryka oczy.

Jest znowu tylko wczorajszy dzień! Słońce zdążyło przesunąć się od pól ponad las, spalając całą świeżość powietrza. Na drodze za parkiem rozterkotał się stary deering, jedyny traktor, jaki ocalał na folwarku. Na chwilę zagłuszył rozmowę, której strzępy przenikały z wnętrza domu, ale gdy tylko przejechał, raz jeszcze poczęły docierać do Katarzyny, teraz jakby zaciętrzewione. Z głębi ogrodu słyhać było głucho uderzający w pulchną ziemię dżagan; ogrodnik widać zabrał się do oczyszczania zdziczałego brzegu stawu, karczując łożynę. Chrupki, stękliwy odgłos pękających korzeni podważanych żelazem niósł się aż do Katarzyny stojącej na tarasie. Boczna alejką do kuchennych drzwi zmierzała jakaś dziewczyna rusińska niosąc napełnioną czymś, prawdopodobnie malinami, kobiałkę. Jej bosc nogi oblepiało igliwie i wilgotny puch kwitnącej po zrębach koprzyny, były drobne, opalone i świeżo zadrapane w ożynach. Katarzyna patrzyła, aż dziewczyna znikła za rogiem domu; nie myślała o niczym. Kos rozdzwonił się na topoli i przysłuchiwała mu się z przyjemnością, ale rozżalony głos świekry był bliższy, narzucał się wprost natrętnie: „Przecież, na Boga, gdzieś musi być sprawiedliwość! Oni idą teraz razem! Więc gdzie jest sprawiedliwość? Nikogo nie spotka kara, nikt nie odpowie za tych deportowanych i pomordowanych? Istnieją jakieś międzynarodowe prawa i opinia? Czy nie istnieją?”, i zaraz głos jednego z mężczyzn: „Wie pani tak samo dobrze, jak i ja, że prawa nic nie znaczą. Czymże jesteśmy? Tylko małym, wielki kłopot sprawiającym narodem. Nie mamy zbyt wielu złudzeń, droga pani. To przecież nie kto inny, ale właśnie sama Europa Zachodnia dla własnej wygody i spokojnego snu doprowadziła do tego wszystkiego. Pozwoliła wyrosnąć na swym ciele tym dwom totalitarnym wrzodom. I kiedy już niewiele więcej, niż twarz ocalić było można, dali się zapędzić w zbyt późną wojnę z jednym z nich. A potem ratując własną skórę musieli sprzymierzyć się z drugim. Tylko że za to armatnie mięso sowieckie ktoś musi płacić. Więc nie oni, oczywiście, ale

my zapłacimy. Sprawiedliwości za naszych zmarłych nigdy się nie doczekamy. Pani wciąż jeszcze rozumuje, jak wielu naiwnych przed wojną”, i głos świekry prawie że błagalny: „Nie! Nie mogą się powtórzyć lata trzydziesty dziewiąty i czterdziesty”, i znowu męski, szyderczy: „Nikt też nie mówi, że się powtórzą. Tym razem przecież nie przetną nam kraju na pół, ale połkną cały. Niech się front przewali, mówi pani? On się przewali, czegokolwiek byśmy sobie życzyli. Tylko że czubaryki gdzie już raz wejda, dobrowolnie nie wychodzą”, a na to świekra szybko, urywanymi zdaniem, jakby tonęła w głębokiej wodzie: „Więc jak tu żyć? O Boże! Niech pan powie... Jak tu żyć? Wieczne poczucie zapędzenia między dwa fronty. I niewiedza, kto jest gorszym wrogiem... Ten otwarty, jawny? Czy ten, który przywdziewa maskę sprzymierzeńca? Nie ma na kim się oprzeć... Kogo słuchać? Kogo się poradzić? Aleksy nie żyje. Przecież zabili mi syna. Co ja sama pocznę?!”. A wtedy Katarzyna powtórzyła w myśli za świekrą bezwiednie: „Tak, to prawda, zabili jej syna”, dopiero jednak po chwili (jakby znowu potrzebowała pewnego czasu na zrozumienie tego faktu) i z niejakim zdumieniem zmieniła pierwotną myśl na: „Zabili mi męża. To prawda, tak, zabili mi męża”. Ale czuła w sobie niezmiennie tylko spokój i chłód. Nawet przez tę jedną chwilę, kiedy ów ponury fakt nazywała po imieniu, przybliżając go niejako do siebie i uświadamiając sobie ponownie, nie poczuła nic więcej nad spokój i wewnętrzny chłód. A przecież tak zawsze nie było. Przecież nim została sama, naprawdę sama, bo pozbawiona nadziei — wcale tak nie było.

Siedząc tam, na tarasie w hamaku, popatrzyła na bezobłoczny błękit w górze i spróbowała poszukać jakiegoś oparcia dla wzroku. Nie znalazwszy zacisnęła powieki. Oczyma wyobraźni znów widziała uliczki owego miasta nad Sanem, gdzie zatrzymali się w trakcie ucieczki w trzydziestym dziewiątym roku. To było już po wszystkim: przekroczyli most na rzece pilnowany przez krasnoarmiejców w spiczastych budionowkach na głowach, którzy nie wyciągnęli ich z tłumu i nie odstawili na kolejową bocznicę, gdzie wyłapanych nieszczęśników ładowano do pociągu odwożącego ten żywy ładunek w strony, skąd prawie nikt nie miał wrócić. Pamięta znajomego spod Trembowli, spotkanego pewnego dnia na miejscowym targowisku. Powiedział, że pułk Aleksandra poddał się „czerwonym” po walkach gdzieś wśród pińskich błot. Że transportowali ich do obozu jenieckiego na północ, ale po drodze paru z nich zdołało zbiec, i chyba był między uciekinierami również i Aleksy, tak mówiono. To wspomnienie chowała w sobie, jak talizman, z uczuciem nadziei dość długo, jak i ów wieczór, kiedy świekra oznajmiła, że otrzy-

mali od Niemców zezwolenie na przejazd przez G.G.* do jej szwagierki, Dominiki, w Warthegau**, a ona, Katarzyna, patrząc przez niezaciemnione czarnym papierem okno na bębniący o bruki deszcz, powiedziała na to, że nie, ona będzie wracać pod sowiecką okupację, Aleksy tam na nią już czeka. I świekra, kiedy tylko Paweł przyszedł z miasta, od razu powtórzyła: „Więc widzisz, wracamy; Katarzyna zadecydowała. Być może Aleksy tam na nas czeka”. A przecież ona wtedy nawet nie powiedziała, że być może Aleksy czeka, ale właśnie, że czeka, bo wierzyła i chciała wierzyć, i później rzeczywiście nie miało to dla nich trojga żadnego znaczenia: czy być może czeka, czy czeka na pewno; później, tej nocy, kiedy przeprawiali się z powrotem przez rzekę wśród jesiennego deszczu z kilkunastoma ludźmi jeszcze, mającymi po co i do kogo wracać, i potem ginęli w nadbrzeżnych szuwarach od kul straży granicznej, która strzelała celnie do przesuwających się cieni. Ale oni nie zginęli. Ani świekra, ani Paweł, ani ona, Katarzyna.

Nawałnica ustała nad ranem, deszcz jednak siekł drobno przez cały następny dzień i następną noc, rozmył do szczytu wszelkie ślady, i kiedy w końcu opuścili kryjówkę w starym młynie, gdzie ich przechowali tamtejsi chłopci, kałuże ściał już cienki, wiśny lód uginający się pod stopami z trzaskiem, oźlodziałe zaś pnie drzew stały w zimnym słońcu, jak płatanina mosiężnych powyginanych rur, na których siedziały wrony dziobami pod wiatr. W tym zimnym słońcu szli wiele dni, a nocami zawsze znajdowali schronienie w krytych słomą chatach chłopskich, których główną izbę najczęściej wypełniał do połowy wielki gliniany piec; spały na nim dzieci, gospodarze w komórcie obok, im zaś, wędrowcom rozścielano na ławach worki wypchane sianem. To były chaty Polaków, Ukraińców, urzędowo, z przedwojenna zwanych jeszcze Rusinami, albo Łemków. Ale w tamtych czasach nikt prócz żołdatów sowieckich, którym schodzili z drogi, nie pytał kim są oni, wędrujący na wschód: ani jakiej narodowości, ani wiary, ani nawet przed kim uciekają, lub dokąd tak uporczywie dążą. I wtedy właśnie na lwowskim trakcie zagarnął ich patrol wojskowy. Bolszewicy wyglądali jak z karykatur, jakie widziała niegdyś w emigracyjnym piśmie rosyjskim u Mikołaja Fiodorowicza: byli w pozał się Boże wystrzępionych u dołu płaszczach, z karabinami na grubych sznurach, od wieszania bielelizny. Oficer nawrzeszczał im od burżujskiego „nasienia” i „szpijonerów”, choć nie wyglądali wcale lepiej od innych wędrujących

* G.G. = General Gouvernement — okupacyjna nazwa centralnej Polski.

** Warthegau — okupacyjna nazwa Wielkopolski.

traktem, potem kazał wleźć na platformę ciężarówki i zabrał do Lwowa na ulicę Łackiego, gdzie było więzienie. Ten tydzień utkwiał jej w pamięci głęboko. Gdyby nie zaciekała obrona Pawła, jeszcze tam na tej platformie byłiby ją zgwałcili, a później w więzieniu, w czasie przesłuchań, gdyby ze świekrą przyznały się kim są, na pewno zostałyby od razu wywiezione na wschód; czarne „worony”^{*} codziennie nad ranem odstawiały z więzienia na stację kolejową parę tysięcy nieszczęśników, których ładowano do wagonów obstawionych strażnikami i wagony plombowano. Ale się nie przyznały. Z uporem utrzymywały, że są rodziną gajowego spod Trembowli, i wkrótce wyszły na wolność. Po czterech dniach puścili również i Pawła, który siedział w NKWD na Pełczyńskiej w gmachu elektrowni, choć — jak świekrze powiedziano — miał być rozstrzelany za ową bójkę z patrolem na ciężarówce. Może jednak zapomnieli? A może się zlitowali?

Pierwsze śniegi zastały ich już w Krzyżtopolu. Właściwie to nawet zaskoczyły ich wcześniej. W czasie podróży. Kiedy wlekli się prawie dwa tygodnie towarowymi pociągami, wysiadając na co większych stacjach i w zimnych, pełnych kocujących między tobołami ludzi, poczekalniach, wypatrywali następnego połączenia. Ale w Krzyżtopolu to był już duży, prawdziwy śnieg. Skrzypiał i chrupał pod nogami, kiedy się szło, a wieczorem tworzyły się na nim szafirowe pasy cienia. Przygarnęła ich znajoma, pani Berger, i od niej właśnie dowiedzieli się, że Gleby nie zostały spalone, ani zniszczone, tylko o Aleksym nikt nigdzie nie słyszał. Wiatry dęły podówczas z północy, zza ciemnych lasów i było coraz zimniej i coraz mniej bezpiecznie. Najpierw w miasteczku wybuchła epidemia tyfusu i grypy. Rozgorączkowane dzieci biedoty trzęsły się na piecach w zakisłym smrodzie, kobiety biegały po domach w poszukiwaniu ziół i malin na poty. Później zaczęły się masowe łapanki i deportacje w głąb wschodu, a przez dawny „Dom Katolicki”, gdzie urzędowało OSO^{*}, codziennie, jak przez maszynkę do mielenia mięsa, przepuszczano kilkudziesięciu ludzi. Nie chciała jednak ruszyć się z miasteczka, mimo że każdej chwili mógł ktoś donieść Sowiетom kim są, i wtedy byłoby już po nich. Ciągle przecież wierzyła i chciała wierzyć, że pewnego dnia ktoś wreszcie przyniesie oczekiwaną wiadomość, jakiś chociażby znak od Aleksego, albo nawet zjawi się on sam.

Gościnny dom pani Berger stał na uboczu za Bazylianami, spowity roztoczą białą i nieogarnioną, chroniąc swe ciepło poza

^{*} Czarne wrony (worony) — nazywano tak ciężarówkę NKWD.

^{*} Osoboje Sowieszczanije — Sądy doraźne Enkawude.

kwieście zamrożonymi szybami. Niekiedy o zmroku rozlegało się umówione pukanie do frontowych drzwi. To przybywali znajomi. Wciąż ich ubywało, ale ten i ów jeszcze pozostał. W sionce długo wyłuskiwali się z kozuchów, z wyleniałych przetartych szub, które dawno nie używane, wyrzucone na strychy nagle przywrócone zostały do łask; takie przyzwanie najmniej zwracało uwagę tajniaków i donosicieli. W drzwiach przybyli znajomi przytupywali, głośno wycierali nosy, mówili, że zimno, a potem, gdy świekra podawała w pokoju gorącą herbatę, milczeli, zwolna jak gdyby topniejąc w ciepłe, chłonąc w siebie atmosferę ułudnego, chwilowego bezpieczeństwa. Przynosili wiadomości wyczytane między wierszami w sowieckich gazetach albo zasłyszane od ludzi na targu, w kolejkach przed sklepami żywnościowymi, na dworcu, czy też w pociągach od tajemniczych podróżnych, którzy zjawiali się skądś i prędko dokądś odjeżdżali, a nikt bliżej ich nie znał. Nie były to jednak wiadomości o Aleksym. Mówiły tylko o śmierci, grabieży, polowaniu na ludzi, o całej grozie i beznadziejności sytuacji przyłączonego do Rosji kraju i że za kordonem pod Niemcami nie jest wcale lepiej. Jednakże w wigilię Bożego Narodzenia, jak dawniej dzielili się przy stole opłatkiem, życzyli sobie rychłego powrotu pod własny rodzinny dach i żeby mogli znaleźć się tam znowu wszyscy razem, również i z Aleksym. Wierzyli bowiem, że życzenie to, zwłaszcza wyrażone w tak uroczystym dniu, wkrótce musi się spełnić. Rano, ukrywający się w miasteczku znajomy ksiądz odprawił w mieszkaniu sąsiadów mszę świętą i długo mówił o ciemności, która nastąpiła, że nie jest wieczna, bo wieczne jest tylko światło płynące od Boga, ono zawsze w końcu rozprasza ciemności, gdyż ciemności są królestwem szatana, a szatan nie może zatryumfować, i że tak jest w pragnieniach ludzi, i tak jest z góry postanowione u Boga. Te proste, pokrzepiające słowa zapadały w serca.

Tego dnia i ona wierzyła głęboko, że Aleksy wróci. Choć, gdy po świętach śnieg zasypał miasteczko, zawiął drogi, ścieżki, przełazy zastodolne i zapłocia, to nikt więcej ze znajomych nie podejżdzał chyłkiem, nikt już nie przychodził z wiadomościami, a oni prawie że przez tydzień nie opuszczali domu pani Berger. W dzień przed Nowym Rokiem jednak wiatr ścichł, chwycił tęgi mróz, twardo ściskając powierzchnię zasp i puszystą pokrywą roli, drogi skuł lodową polepą; trzaskały pękające drzewa w sadach, osędzielina dzwoniła o dyle i płoty, i wtedy znowu ktoś się zjawił. A właściwie to nawet nim jeszcze to się stało, już wiedziała, że otrzyma wiadomość, na którą tak czekała. Było krótko po obiedzie, gdy posłyszała z ulicy dzwonienie janczarów doczepionych do końskiej uprzęży, i ich dźwięk wydał się jej

znajomy. Wyrzawszy przez okno zobaczyła podjeżdżające do domu sąsiada chłopskie sanie. Stał na nich, ściągając lejce, woźnica w futrzanej czapce i tułubie ruskim. Poznała go od razu. Wkrótce potem przybiegli sąsiedzi i przynieśli kartkę, jaką ów chłop przywiózł z Gleb, dokąd zgodnie z adresem przesłała ją sowiecka poczta, tę kartkę od Aleksego pisaną do niej z północy, z obozu kozielskiego, na której donosił, że żyje, że zdrow i że jest w niewoli.

Tego popołudnia nie odezwała się do nikogo jednym nawet słowem. Należało się cieszyć: przecież żył. Prawda, cieszyła się, cieszyła się bardzo, choć nie umiała tego wyrazić. To było dobre, że żył, że przynajmniej jeszcze żył, ale coś, jak gdyby w niej samej nagle umarło. Jak gdyby cała dotychczasowa nadzieja, więcej: wiara, że znowu będą razem, wiązała się wyłącznie z myślą, że zdołał zbiec z transportu. Długo stała w oknie i spustoszone wzrokiem patrzyła przed siebie. Zapamiętała tę chwilę dokładnie, zapamiętała wszystko, co zdołała ogarnąć wtedy wzrokiem, nie mogąc nic ogarnąć myślą. Lasy otaczające horyzont za miasteczkiem tworzyły długie, zastygłe pręgi coraz bardziej błękitne w oddaleniu. Wszędzie leżał głęboki śnieg. Oddalał ludzkie siedliska, oddalał od siebie ludzi. Cały świat robił wrażenie bardzo dalekie i prawie nierealne. Szyby okienne, gdy tak patrzyła, z wolna zamarzały w drobne prążki, arabeski, iskrzącą się mozaikę z gwiazd, lub subtelne akanty świecące srebrno, a w miarę, jak zachodził zmierzch, zabarwiały się różowo i lila. Wkrótce nic już nie widziała. Ten stary chłop z Gleb i sąsiedzi, którzy go przyprowadzili, nie przerwali jej milczenia, w końcu odeszli. I choć kartka jenieckiej poczty wciąż jeszcze leżała na stole, było tak, jakby Aleksy już nie żył, tak jak potem, kiedy śmierć naprawdę zabrała go ku nieznanym brzegom.

A teraz, po latach czuła tylko spokój i chłód. Nawet kiedy własna myśl, czy też takie, jak ostatnie zdanie świekry, wymówione w pobliżu, zmuszały ją do powtórzenia: „Zabili mi męża” — nie czuła nic więcej. Wczoraj jeszcze, przez ten jedyny dzień od czasu tamtego sylwestrowego dnia przed trzema laty, rozumiała ów fakt z całą okrutną wyrazistością. Dzisiaj natomiast ponownie zatarł się w jej świadomości, przybłądł, jak w ciągu ostatnich tygodni, a nawet miesięcy, kiedy na skutek doniesień niemieckich gazet już wiedziała, co zdarzyło się z jeńcami kozielskiego obozu w katyńskim lasu pod Smoleńskiem i jak przez poprzednie lata, kiedy dopiero podejrzewała, z początku tylko nie chcąc (na ów fakt) spojrzeć po prostu, niby na coś oczywistego w sytuacji, gdy dwie siły sprzysięgły się, aby jak najspieszniej zetrzeć z ziemi wszelki ślad po tym, co polskie, nie cofając

się przed masowym zabijaniem bezbronnych jeńców i cywilnej ludności. „Ach, jakże była głupia i naiwna” pomyślała. Bo ileż musiało minąć lat z tym wszystkim krwawym, co przyniosły, aby zdanie: „Zabili mi męża”, nie wywoływało w niej żadnych żywych reakcji. Aby aż tak przywykła do śmierci. Trzy lata. Tak mała, a równocześnie, jakby wieki. Czyżby któregoś dnia w ciągu owych trzech minionych lat przestała Aleksę kochać... Odepchnęła myśl tę od siebie z nienawiścią. Nie dlatego jednak, że nie potrafiłaby znaleźć na pytanie odpowiedzi, może znalazłaby, ale czuła, że owej dalekiej strefy, której na imię było Aleksander i którą tak krótko zaludniali sobą oboje, nie należy dotykać i że musi pozostać ona już taka na zawsze: niejasna, zamglona, wciśnięta w najodleglejszy kąt pamięci. Te trzy minione lata były także latami rosnącego w niej buntu. Ale czy buntu przeciwko Aleksemu? Aby wyzwolić się od niego? Aby uciec stąd? Po części przeciwko niemu. I prawdopodobnie, żeby uciec stąd — z Gleb. To pragnienie jednak nie zrodziło się w niej owego Sylwestrowego dnia, kiedy otrzymała pierwszą i jedyną kartkę od męża, na której wypisany już został przyszły jego los (zresztą może nigdy by się nie zrodziło, gdyby był przy niej), a dopiero znacznie później, kiedy wróciwszy do Gleb bez niego, tylko z jego bratem Pawłem, zmuszona była dzień w dzień zmagać się z nową męską władzą mającą być przedłużeniem władzy tamtej, Aleksandra. To pragnienie zrodziło się, kiedy dopiero ta nowa władza brutalnie jej uświadomiła, że ona, Katarzyna, jest tego domu własnością, że doń przynależy, jak cały nie wyrabowany przez Sowietów i chłopów, ocalały martwy i żywy inwentarz wsi, folwarku i dworu.

Posłyszała znowu urywek rozmowy prowadzonej w pokoju obok (którą słyszała zapewne cały czas, lecz uwagę miała odwróconą), pytanie mężczyzny: „Więc z Czupryni, wczoraj? Dziwna historia” i odpowiedź świekry: „Biedny Piotr. Tak, wczoraj w południe”, ten urywek rozmowy, który jej uwagę ponownie wyostrzył. Bo chociaż w jej myślach często powtarzało się imię Piotra i nazwa Czupryni, to co innego było myśleć, a co innego nagle usłyszeć. Ale głosy za ścianą ścichły i tylko wypowiedziane imię, a zwłaszcza nazwa: Czuprynia, wyrwane z kontekstu reszty rozmowy, pozostały przy niej na tarasie, jakby zawieszzone w powietrzu, ziębiąc niepokojącym tchnieniem.

Tak, cokolwiek by na ów temat myślała i mówiła, chciała przecież stąd, z Gleb odejść. I jeśli nawet nie do Czupryni z powrotem, to poprzez Czuprynię gdzieś dalej. Tak było. Nie potrzebowała wcale analizować ponownie uczuć i zamiarów, jakie żywiła w czasie niedawnego pobytu u Czerestwieskich. Chciała

odejść z domu Aleksego na zawsze, to pewne. Gdzieś, dokądś, któż to potrafiłby jej powiedzieć — gdzie, skoro sama nie wiedziała. W każdym razie stąd chciała na pewno, a wczoraj odeszła tylko stamtąd. I nagle zrozumiała, że ziębiący ją chłód nie jest wcale chłodem powietrza, lecz niejasnym przecuciem, że w swych zmaganiach z władzą nieżyjącego męża, z tą władzą sięgającą poza jego grób, uosabianą teraz przez Pawła, przegrała nieodwracalnie.

Przypomina sobie teraz, że wtedy w południe w tamtym pokoju za ścianą nikt już nie rozmawiał, gdy na ścieżce niżej tarasu rozległo się powolne kłapanie czyichś kroków. Przypomina sobie, jak wychylając się przez balustradę zauważyła Paraskę niosącą z warzywnika garść oblepionej ziemią sałaty, i jak Paraska powiedziała, że z Sud przyjechali dwaj starsi dziedzice, nocą spalono im stogi, potrzebują pomocy, a ona, Katarzyna, zapytała zaraz o Pawła, czy wyjeżdża wraz z nimi, na co Paraska znowu, jak rano, z oczyma pełnymi niepewności: „*To pannoczka ne znaje?*” i jednym tchem, że młody Czerestwienski uciekł z domu, że nocą telefonowali z Czupryni i że dziedzic skoro świt pojechał go szukać, a wykrzyknąwszy to wszystko, odwróciła się i poszła w stronę kuchni. Katarzyna przypomina sobie również, jak przez chwilę siedziała w hamaku bez ruchu, a potem nagłe uderzenie upału, gdy już wybiegła z cienia, gorący, wyczuwalny przez podeszwy piasek na ścieżce, trawnik z bliska wprost żółty od suszy, i myśl: „Oni się pozabijają”. A nawet sobie przypomina, jak próbowała się później okłamywać: „Paweł wyjechał z Gleb z innego powodu, jedno z drugim nie ma związku”. I strach. Bo czuła, że to kłamstwo. Bo wiedziała, że po tym, co zaszło nocą, po jej wzgardliwym śmiechu, który zresztą wcale nie był wzgardliwy, nie miała takiego zamiaru, co najwyżej wzgardliwie zabrzmiał, będąc zwykłym śmiechem, a nawet nie, skądżeby u niej śmiech, który jest zawsze wyrazem wesołości, był raczej dźwiękiem, nad którym nie zapanowała, prostą reakcją po uprzednim milczeniu, wybuchem, przerwaniem jakiejś tamy, dźwiękiem, który musiał znaleźć ujście, inaczej by się zadusiła, w każdym razie jako wzgardliwy śmiech został bez wątpienia przez Pawła zrozumiany, po tym czymś więc, jakkolwiek by to nazwała — Paweł wie już wszystko. I jeszcze swoją drugą rozmowę z Paraską w kuchni sobie przypomina także. Paraska: „*Toj telefon tut wo dzwonyw i dzwonyw. Dzwonyw duże dowho. Na kineć pan didycz wyjšzow wid pannoczki i pidniaw trubku*”. I ona, Katarzyna: „*Szpiegowalaś!*”. A Paraska: „*Ni! Pannoczka znaje, szczo ja nikoły*”. I jak potem Paraska długo głosem bezbarwnym, cierpliwym, rozwlekłym, bez śladu uniżoności mówiła:

że przed nią, starą, niewiele się ukryje, ale żeby musiała szpiegować, to nie, bo jej, panienki, oczy same powiedzą, ot wstała z łóżka, ten telefon przecież tak długo dzwonił i jeszcze, że jak go dziedzic odebrał, to twarz miał straszną, ona zaś, stara, przeczuwała, że coś się stanie, przeczuwała od razu po jej, panienki, przyjeździe z Czupryni, i dalej, coraz cierpliwiej, tą swoją roz-wlekłą rusińsko-polską gwarą, jakby specjalnie nadającą się do tłumaczenia czegoś, co jest trudne, tylko że nie głosem, jakby szmerem i ten szmer z jej ust rozsypywał się w powietrzu, niby szelest suchego papieru, wciąż tym szmerem, robiąc tylko coraz częstsze, rwane przerwy na oddechy, że wszystko złe odkąd przyjechał od ciotek z Wielkopolski młody Czerestwiński, już nie dzieciak jak przed wojną, bo ona, jej panienka, przez to w Czupryni została, a dziedzic tak chodził, tak chodził, miejsca sobie nie znajdował, a potem nawet nie patrzył, kiedy żałoba minie, i zaraz, i w ogóle, tak zaraz po powrocie z tej Czupryni na nic nie zważając, więc ona myśli, że nic innego tylko oni się teraz za łby wezmą, aż Katarzyna się wreszcie przemogła i krzyknęła: „Przestań! Dość już, przestań!” natychmiast ruszając ku drzwiom, gdyż naprawdę nie mogła tego słuchać i nie chciała, ale wszystko wiedzący szept Paraski dogonił ją raz jeszcze na korytarzu.

Świeca w lichtarzu skwierczy i Katarzyna czuje jej zapach, ale nie otwiera oczu, nie podnosi się z łóżka, jest wciąż tam, w drodze między kuchnią, a sienią, potem już w sieni, w półmroku na przeciw siedzącej w skórzanym fotelu świekry i widzi, jak świekra nawet się nie rusza, nawet nie odwraca głowy, jakby jej, Katarzyny, wcale nie widziała, zapatrzona w swoje własne ręce na skraju stołu i dopiero te jej ręce, bardzo białe i bardzo piękne, zamysłone jakieś i milczące, w pewnej chwili zaczynają drgać, jak by to one właśnie ją, Katarzynę, dostrzegły. Wtedy zapytała: „Co on powiedział, kiedy wyjeżdżał szukać Piotra?”. A świekra, podnosząc wzrok i od razu odgadując, wiedzona instynktem, o co jej chodzi, odpowiedziała: „Nic nie powiedział. Ale myślę, że myślał... że zanim chłopaka Ukraińcy gdzieś powieszą, musi mu wybić z głowy...”. A ona: „To okropne! Co?”. A świekra: „Ty wiesz. Chodzi o ciebie”. A ona: „Nie” bardzo cicho. I wtedy świekra nagle: „Chciałabym o was z tobą porozmawiać. Sądzę, że po tej dzisiejszej nocy... Po tym wszystkim lepiej będzie...”. A ona: „Nie, nie” i po raz ostatni: „Nie...” już prawie szeptem, jakby osłabła, odwracając się jednak ruchem zdradzającym jeszcze siłę, gwałtownym, zdecydowanym i poszła. Potem, już u siebie, tylko pomyślała: „Ona tu przyjdzie”. I zaczęła czekać.

Park powoli tonął w sinawym, poroższczępianym świetle,

ptaki odzywały się już z rzadka, ich nieliczne głosy pogłębiały ciszę i w pewnej chwili Katarzyna powiedziała do siebie znowu: „Ona tu przyjdzie”. A potem z nienawiścią: „Będzie chciała wymusić na mnie zgodę na małżeństwo. Teraz, kiedy ma dowód, że Aleksy już nie żyje, nie widzi żadnych przeszkód. Ona nie wypuści z rąk tych pieniędzy zdeponowanych dla mnie w Szwajcarii, o których dowiedziała się od swych krewnych z Wielkopolski”. I krótko zastanawiała się, czy świekra wie, że ona, Katarzyna wie, iż ten stary, surowy, wysoki pan, przez Paraskę nazwany jej, Katarzyny, dziadkiem złożył dla niej w jednym ze szwajcarskich domów bankowych sporą sumę pieniędzy, o czym powiadomiona została przez Mikołaja Fiodorowicza, swego wychowawcę, kiedy doszła pełnoletności, i spróbowała sobie wyobrazić, jakie wrażenie by wywołała, gdyby użyła tego brutalnego argumentu. Siedziała czujna, nasłuchująca, mimo że za drzwiami była cisza; świekra nie nadchodziła. Aż nagle zobojętniało jej co powie, a także co usłyszy w odpowiedzi, i prędko, żeby w ruchu pobudzić krew i się rozgrzać, nie zapalając światła, bo wciąż było dostatecznie widno, zaczęła przebierać się do kolacji. Nie spotkały się jednak przy stole. Dopiero później, znacznie później, kiedy w ogóle nie przypuszczała, żeby cokolwiek zdarzyć się jeszcze mogło prócz powrotu Pawła, dopiero wtedy świekra przyszła i powiedziały sobie wszystko, czego nie powiedziały przedtem nigdy. „Nigdy go nie pokocham...” postyszała znowu swój głos, „Nigdy...”.

Noc zwolna zbliżała się ku brzaskowi. Wciąż nikt nie przybył, nikt nie zatelefonował, że coś się stało. Ani z Czupryni, ani z miasteczka. Ale nie czuje się przez to spokojniejsza. Przecież Paweł nie daruje swej porażki przypisywanej zapewne jej ostatniemu pobytowi w Czupryni. Ale czy zdarzyło się tam coś naprawdę? Czy ów wybuch uczucia Piotra, którego, wydawało jej się przedtem, znała tak dobrze, przekonała się zaś, że wcale, czy ów wybuch namiętności, który ją poraził, miał w ogóle miejsce? Czy nie był li-tylko wytworem wyobraźni? Uśpionego przez lata serca i tęsknoty? Bo przecież tych parę dni w Czupryni już w jej pamięci zwolna się zacierało, stawały się mało realne, gdyż oto jest znowu w Glebach, w domu Pawła, znowu nie ma znaczenia żadnego, który z Woynowiczów został, Aleksy czy Paweł, ona bowiem tak czy owak należy do nich, poddana niepomahowanej, zaborczej ich sile i w swym pełnym znużenia spokoju przeczuwa, teraz nawet wie, że znowu musi im ulec.

Nie może sobie poradzić z tym przenikającym ją do głębi chłodem. Gdyby nie zacisnęła szczęk, dzwoniłaby zębami. Świeca pykająco dogasa, ale już pierwsze jaśniejsze smugi świtu znaczą

ściany. Przymyka oczy. A wtedy rzeczywistość jeszcze raz odsuwa się od niej i, choć nie śpi, wydaje się jej, że śpi. I widzi znowu w upalnym powietrzu Czuprynię. Kamienny dziedziniec pałacowy zatopiony w martwocie falującego nad dachami żaru, nieruchome drzewa. Na dziedzińcu powozy w rzędzie czekające na odjazd gości. Bez koni jednak. I bez woźniców. I nikt jej nie może powiedzieć: co zaszło, gdzie poznikali przystojni tancerze. Choć jeszcze w balowej sali gra orkiestra. To „Pieśń o ziemi” Kleofasa Ogińskiego; więc nie do tańca! I nikt nie nadchodzi, kto by jej powiedział, co stało się z Mikołajem Fiodorowiczem, tym siwym, zaciągającym z rosyjska panem, który przed chwilą, siedząc w fotelu, przypatrywał się strojnemu korowodowi. Ani nie ma nikogo, kto by jej wskazał, gdzie ten wysoki, chudy chłopiec z wątym zarostem na twarzy, którego imię Piotr wymawiała z tak zmiennymi uczuciami od czasów dzieciństwa i które miało tyle różnych dla niej znaczeń, lecz nigdy nie przypuszczała, aby wpleść się mogło w miłosny szept tej niedzielnej nocy nad potokiem, kiedy słuchały ich tylko drzewa, woda i duchy rozległego pustkowia. Gdy jednak rozwarła oczy, wizja przepadła. Żłudną, gorącą biel wywoływał ucisk własnych powiek na źrenice, a ciało dalej przenikał chłód. W sypialni było prawie widno. Usiadła na łóżku spoglądając w okno. Niebo prześwitywało na dobre. Jeszcze stał księżyc w górze, ale bez światła, ziemia słabo majaczyła w dole, ale bez ciemności. Gdzieś nie opodal rozległ się tętent koni i skrzyp kół.

Rzuciła się do okien. Słyszała krew płynącą w swoich żyłach i czuła na zmianę to chłód, to ciepło własnych nozdrzy. Gdy odchyliła firankę, zobaczyła Piotra Czerestwińskiego, a równocześnie i Pawła Woynowicza. Ale najpierw, z przodu, kłusujące w „szydło” jego dwa gniade anglodońce, wałachy kościste, wytrzymałsze niż żelazo; że powoził nimi z jakąś ukrytą zawziętością uzewnętrzniającą się w sposobie, z jakim, rzucając na boki spienioną dolną wargą, ganażowały łbami; i że rwały za sobą z dziką furią ten lekki pojazd (na którym obaj siedzieli zgarbieni, pochyleni do przodu, jak gdyby równoważąc pęd) i potem, jak zatoczywszy pół koła, by ominąć klomb, zbliżyły się do ganku i same zatrzymały, przeżuważając wędzidła. Zobaczyła, jak Paweł coś powiedział do kuzyna i ruszył pierwszy ku dworowi, a dopiero wtedy Piotr również wysiadł i poszedł za nim, starając się nadążyć jej krokom.

Choć szła ku drzwiom zupełnie wolno, napięte pod skórą mięśnie nóg wydały się jej skrecone z tysiąca rzemieni. Łowila uchem każdy odgłos z sieni. Nim usłyszała jednak kroki, usłyszała wpieryw trzask klamki u frontowych drzwi, zbyt ostry i zbyt

głośny na tak wczesną porę (ale pomyślała, że nikt w tym domu teraz nie śpi, każdy słuca), a gdy je w końcu usłyszała, te ich kroki, dudniły już one na schodach i wznosiły się powoli na piętro. Potem się zatrzymali. To była mała chwila absolutnej ciszy, bo nie usłyszała otwierania drzwi, a jedynie ich zamknięcie; zamykający zgrzyt klucza w mechanizmie zamku, wyszarpywanie klucza z otworu. I znowu posłyszała kroki. Ale w dół. A wtedy ujrzała na moment samego Pawła, jak minął się zmierzając ku wyjściu.

Na zewnątrz domu rozległo się przyspieszające się z miejsca stąpanie koni, coraz prędszy, cichnący chrobot osiek, i koczobryk z Pawłem niknął już w bramie na folwark, gdy wyjrzała przez okno. Zrobiła ruch, jakby chciała pobiec na piętro, ale była to może tylko myśl o ruchu, od razu uznała to za bezcelowe, ten zgrzyt klucza ciągle jeszcze słyszała; i następny ruch, wreszcie prawdziwy, to były dwa, albo trzy kroki ku drzwiom na dwór, ten całonocny bowiem koszmar bezsenności, czekania, niepewności, napięcia, lęku, wyczerpania i wstrząsu kazał jej biec za szwagrem, aby się dowiedzieć, aby wiedzieć, co zamierza zrobić z Piotrem Czerestwieskim. Ale nie pobiegła. Wiedziała, że tak naprawdę to nigdy się nie spodziewała, że pobiegnie jak szalona i zapyta natychmiast bez ogródek, musiałaby przecież sama za wiele wyjaśnić. Nie spodziewała się również, żeby Paweł jej odpowiedział. Ani wreszcie, że w ogóle Piotra tutaj przywiezie, że właśnie do Gleb go przywiezie, jakby jej samej pozostawiając rozstrzygnięcie, decyzję i wybór między nimi dwoma. Jej ruchy więc były powolne, może osłabłe, może nawet nieco odprężone po wstrząsie, jeśli nie po prostu zrezygnowane. W swej czarnej, zmiętej sukni, jeszcze z wieczora, którą śpiesznie machinalnie przyglądziła na biodrach wydała się sobie samej jakimś starym, zniszczonym ptakiem. Idąc alejką w stronę folwarku, myślała: „Więc znowu jestem zależna. Jestem wciąż jego bratową. Jestem w jego domu. Piotra przywiózł do swojego, a nie do mojego domu. Mogę jedynie, jak przedtem cierpliwie czekać. Albo prosić”. Potem w bramie, widząc nie wyprzęgnięte jeszcze konie, Pawła zaś, bez marynarki, myjącego ręce w kadzi podstawionej pod rynnę z deszczówką, przystanęła. Ale dopiero, gdy Paweł wziął z rąk stojącego obok stajennego Chrobaka ręcznik, spotkali się wzrokiem przez pół podwórza. Paweł wtedy wytarł się, odwinął rękawy i włożył marynarkę, wszystko jednym, tym samym ruchem, twardym, zdecydowanym, prędkim, jak ruch maszyny, a ona zawróciła ku domowi. I jego kroki posłyszała od razu, kiedy tylko zaczęła iść. Dogoniły ją. I nagle powróciło znowu wszystko tamto: wyczerpanie, niepewność, napięcie, strach i myśl: „Co on

zrobi, mój Boże, co on zrobi?” (oczywiście, nie z nią, co robi z Piotrem? zwłaszcza, gdy widział ją tak rano, w takim stanie), i wbiegając na ganek ciągle to pytanie w myśli powtarzała. Lecz jeszcze zdążyła, nim Paweł stanął tuż za nią, wbiec do sieni. Dopiero wówczas się odwróciła: „Co chcesz z nim zrobić?”. On jednak nie odpowiedział zaraz, tylko patrzył na nią długo. Pierwszy raz spostrzegła, iż jego oczy nie były wcale żółte, jak myślała, a prawie białe i zimne, i zupełnie bez wyrazu, wprost jakby ślepe. Więc krzyknęła po raz drugi: „Co z nim zrobisz! Co zrobisz z nim, powiedz?! Co zrobisz?”, i doskoczyła do niego z zaciśniętymi pięściami. Ale się cofnęła. Może nawet zechciałby odpowiedzieć, gdyby odczekała, choć wyraz oczu mu się nie zmienił. Ale już biegła po schodach w górę, dopadła drzwi, nacisnęła klamkę (tak, nie myliła się: z butną pogardą traktując Piotra, jak szczeniaka, zamknął go na klucz) i biła w nie pięściami, krzycząc. Potem słyszała, jak bez pośpiechu wchodzi za nią na piętro, a potem już był tuż, stanął za jej plecami i ją odsunął. Więc krzyknęła, że się mści, że chce Piotra zabić, chce się go pozbyć. A wtedy odsunął ją jeszcze raz i otworzył z klucza drzwi. Odpowiedział: „Jesteś w błędzie. W gruncie rzeczy kocham go bardziej niż ty. Jak brata. Nie chciałbym, żeby się tak, jak ja, zapłatał. Wolałbym oszczędzić mu tego”, odstępując na bok natychmiast po ostatnim słowie. Więc weszła do środka, wbiegła, wdarła się, choć naprawdę to postąpiła jedynie dwa, trzy najwyżej kroki. Potem posłyszała, jak zamknął za nią drzwi, i już go nie było. Nie było także śladu jego obecności w jej myślach.

Mówiła, krzyczała: „Co ty chciałeś zrobić Pit? Tak się bałam...” do siedzącego na kozetce Piotra, skulonego, jakby spał. Krzyczała, pytała: „Dlaczego uciekłeś? Gdzie się podziewałeś przez te dwa dni i dwie noce? Mogli cię zagarnąć banderowcy. Ze skóry by odarli... Cóż ja jestem winna, że musiałam wyjechać od was? Niemądry, chłopcze, co ja...”, i jeszcze takie różne rzeczy, jakie nieraz potrafi mówić kobieta na skutek nagłego wstrząsu i lęku przeistaczająca się z kochanki w matkę, nie na tyle jednak doświadczona, żeby wiedziała, że gdy już raz (świadomie, czy nieświadomie) to przeistoczenie się dokona, pozostawi ono w niej i w nim trwały ślad w przyszłości nie do ominięcia, ani zapomnienia. I mówiąc te różne, nic poza nimi dwójgiem nie znaczące, rzeczy, przytuliła się do jego kolan. Ale upłynęło sporo czasu zanim w końcu podniósł głowę, zanim ją zauważył. Jakby zbudził się był z głębokiego snu, albo dotychczas znajdował się nie tutaj, a usłyszawszy jej wołanie i że płacze powrócił, czy też zawrócił z jakiejś drogi, którą szedł. I wreszcie na nią spojrzął. Wtedy wskroś swego płaczu powiedziała szeptem: „Prze-

cież nie mogę być teraz z tobą razem, Pit. Zrozum. Przynajmniej nie teraz...". A wtedy odpowiedział: „Wcale nie dlatego uciekłem. Nie o ciebie chodziło” i wstał. I to było tak, jakby ją z siebie strząsnął, odtrącił, choć być może nawet nie zauważył, jak się osunęła z jego kolan, ani że jej usta łapią powietrze, chcąc wyrzucić z wnętrza jakieś słowa, a głos przetaczając się przez gardło milknie na ustach, które nagle straciły cały kolor. Gdy się wreszcie podniosła z podłogi, musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść. I wtedy posłyszała jego opowieść. Była to opowieść o dwóch dniach i nocach, które przewłóczył się po okolicy od Czupryni po Krzyżtopol, od Krzyżtopola po Hańcza-Czac, stamtąd zaś aż po lasy za Sertem, o tej jego ucieczce, którą zapisała błędnie na karb swego niespodziewanego wyjazdu z domu Czerestwiewskich, a w której nie miała w rzeczywistości najmniejszego udziału. Nim nawet przyszło jej do głowy, czy chce słuchać — skoro nie o nią wcale chodziło — to już usłyszała, jak wyrzuczał, jak niemal wyciskał z siebie z wysiłkiem i przewlekłym uporem tę opowieść, chodząc miarowo od okien do drzwi, zdawało się zajęty nie tyle swoją opowieścią, czy nią, Katarzyną, słuchającą nieruchomo pod ścianą, ale własnymi krokami, jakby w myślach je odmierzał i liczył. Mówił:

„Ja się po prostu bałem. Tak długo się bałem przyznać, że mam coś z tym wszystkim, co tu się dzieje, wspólnego, że już chyba przywykłem, że się boję. A oni w niedzielę spalili Stoczek i wycięli, kogo tylko dostali w swoje ręce. Banderowcy spod znaku Semena Gawryluka. A to przecież mój brat. Paweł przyjechał do nas w poniedziałek i powiedział, co w Stoczku się stało. A ja się bałem, żeby dziadek, albo stryj... Ale oni się nie przyznali. A chyba mogłem oczekiwać. I może miałem jakąś małą nadzieję, choć się tak bałem. Że w końcu potwierdzą, że jednak mają z tym coś wspólnego. Nawet nie ma. Bo to przecież właśnie mój ojciec spłodził Gawryluka z jakąś ukraińską dziewczką zza kordonu jeszcze wtedy, kiedy dziadek dowodził tam carskim garnizonem w dziewiątym, albo dziesiątym roku. I to oni ją przywlekli ze sobą wraz z jej bękartem na tę ziemię, która ich gościnnie przyjęła. I wyuczylili go. Niezłe go wyuczylili, skoro stał się najbardziej krwawym atamanem na Podolu od Beskidu po Wołyń. Ale wszyscy mówili, że to nas nie dotyczy. Że to sprawa między Polakami, a Ukraińcami. Nasza nie, my jesteśmy tu obcy. A wtedy Paweł powiedział, że tak. A ja wtedy powiedziałem, że nie. Ale pomyślałem, że jednak — tak. I gdyby tylko dziadek nie powiedział był, że nie, to może dalej mówiłbym spokojnie, że nie. Ale on powiedział właśnie, że nie, i wtedy przestałem się bać, bo jak długo można się bać? Trzeba w końcu prawdzie

spojrzeć w oczy. Zresztą cokolwiek by mnie łączyło z tym watażką, węzły pokrewieństwa, czy nic, jestem Polakiem. Tutaj się urodziłem, tu chleb jadłem, więc z której tylko na to spojrzeć strony, mam z tym coś wspólnego, nawet wiele. I dlatego poszedłem sobie. Oni chcieli we mnie wmówić, że należę do innego świata, a ten niech się nawet wali, nas to ani ziębi, ani grzeje. Bo nasz świat, Czerestwienskich, już się zawalił w osiemnastym roku, a teraz wali się polski świat. My dzisiaj tu, a jutro tam, gdziekolwiek, Włochy, Francja, Szwecja, Anglia, Wyspa Świętego Wszędzienigdzie, byle nie mieszać się do czegokolwiek i ocalić resztki majątku, a wtedy przeżyć można życie względnie wygodnie i nawet wesoło. Dlatego poszedłem. Niko Fiodorczuk ma łączność z oddziałem partyzanckim Laudańskiego. Powiedziałem sobie, odnajdę i odnalazłem. Wczoraj widziałem, jak banderowcy z Niemcami palili Hańcza-Czacz, nasi przyszli z odsieczą za późno. A przedtem nasi w Krzyżtopolu mieli mnie w swojej kwaterze. Wzięli mnie, bo myśleli, że jestem nasłany, ale jakiś tam mnie rozpoznał. A potem byłem z nimi w lasach. Chociaż nie ufają mi. Może jeden Laudański. To przez starą znajomość z Mikołajem Fiodorowiczem. Ale przekonam ich, że się do tego nadaję. Do tego ich życia z karabinem za pan brat. Tylko że muszę mieć teraz nieco czasu sam dla siebie. Muszę to wszystko sobie przemyśleć. Na pewno mogę im się przydać. Minie trochę czasu i będę wiedział jak...” — i dalej w ten sam sposób, nieskładnymi, topornymi zdaniami, jednocześnie odmierzając drogę od okien do drzwi miarowo powtarzanymi krokami i tym własnym krokiem jedynie poświęcając całą uwagę, jakby go w dalszym ciągu wiodły jeszcze po drodze, na jaką wszedł przed dwoma dniami i miały w końcu dowieść do celu wyraźnie już wytyczonego, do którego osiągnięcia na razie mu czegoś zabrakło, siły być może albo wytrzymałości, a może dojrzałości, czy męskiej tężyzny, lub po prostu czasu tylko, ale który to cel zdecydowany był osiągnąć. Ciągnął tę swoją opowieść tak, jakby był idealnie rozdwojony: jedna jego część, to były te kroki i własna droga, którą już dość daleko zaszedł, skoro nie było go dwie doby i znalazł się nieoczekiwanie w Glebach, w rękach Pawła miast u siebie w domu w Czupryni, druga część, to te wszystkie myśli, słowa i zdarzenia, jakie ową drogę były zapoczątkowały, te wszystkie spotkania, rozmowy, obrazy płonących zagród, krzyki zabijanych ludzi, strzały, łuny na horyzoncie i nieufne, obce twarze mężczyzn, do których chciał się zbliżyć, a nie potrafił; tę zawiłą relację o zdarzeniach, jakie miały miejsce od momentu, kiedy w poniedziałek jego dziadek, Mikołaj Fiodorowicz zakomunikował mu, że ją, Katarzynę, zawiadomił właśnie Czerwony

Krzyż o odnalezieniu i zidentyfikowaniu wśród pomordowanych w Katyniu, jej męża Aleksandra, a on, zanim jeszcze to usłyszał, widząc pobladłą twarz dziadka, przypuszczał, że starzec domyślił się tego, czego nie powinien był nigdy i że z właściwą sobie surowością chce jego, Piotra, zawiązujący się romans z żoną kuzyna osądzić, tymczasem zaś Mikołaj Fiodorowicz martwił się jedynie, że bestialskiego mordu dokonali jego rodacy i przeprowadzał arcykarkołomny wywód mający na celu udowodnienie, że Sowietci, to wcale nie Rosjanie, bo Rosjan już nie ma od czasu rewolucji, więc nic go osobiście nie obciąża, nawet wstyd, i wtedy w nim, Piotrze, to wszystko, co wzbierało już od tak dawna, wybuchło oskarżeniem, że to tak samo w wyobrażeniach dziadka, jak z bat'ką Gawrylukiem: nie z ich on rodziny, bo jest Ukraińcem, dlatego są czyści, wcale ich nie obciąża swymi zbrodniami, po którym to oskarżeniu (będącym być może reakcją nawet nie na zachowanie się dziadka, ale odprężeniem po niepotrzebnym lęku), odszedł z domu, aż do momentu przed świtem dzisiaj, tego momentu w jakiejś polnej szopie, w której znalazł go udreżonego wędrowną Paweł Woynowicz i bezradnego, jak nie mężczyznę, zabrał od ludzi jacy go wiedli z powrotem do domu; tę długą, zawiłą relację ciągnął, pomijając zupełnie jej, Katarzyny, milczącą obecność w pokoju, jakby relacja ta jedynie jemu samemu była potrzebna, aby się przed sobą rozliczyć z ostatnich dni, wyłącznie dążąc w swej młodzieńczej zapalczywości i z niepohamowaną siłą do dojścia wreszcie do jakiegoś wytyczonego wcześniej celu na drodze na jaką wkroczył był wtedy jeszcze w Czupryni w poniedziałek po tej utarczce ze swoim dziadkiem. Aż w pewnej chwili, wskroś jego nieprzerwanego ani raz monologu i kroków, akcentujących uparcie zdania i słowa, Katarzyna posłyszała własne słowa: „No, to już dość... Dość... Teraz nic ci już nie grozi. Jesteś wyczerpany, senny... Teraz przestań o tym wszystkim myśleć... Połóż się teraz, zaśnij”.

Były one wypowiedziane cicho, ciepło, z jakąś szczególną opiekuńczą troską w drżącym głosie, tak właśnie, jak je posłyszała, bo zdawała sobie jasno sprawę, że nie wie, kiedy i w jaki sposób ukształtowały się w myśli, ani czy w ogóle chciała je wypowiedzieć; były słowami, jakby innej kobiety, a do niej dotarł jedynie obcy dźwięk głosu zdumiewając swym macierzyńskim brzmieniem. Czekwała, aż Piotr odmierzy jeszcze tych parę ostatnich kroków od okna i zbliży się do niej, czując, jakby serce w niej się obróciło i zastygło w bezruchu. Wtedy powtórzyła: „Połóż się, proszę, nic ci już nie grozi, zaśnij”, i szybko, takim ledwo wyczuwalnym muśnięciem warg pocałowała go w policzek, czego nawet nie zauważył, już ją minąwszy, ciągle nie

mogąc się zatrzymać na tej swojej długiej, dalekiej drodze. Potem cicho wysunęła się z pokoju. Dopiero zbiegając ze schodów, u stóp których w sieni na dole stał Paweł i czekał, wybuchnęła głośnym, nieukrywany płaczem. Kiedy Paweł ujął ją za ramiona i próbował uspokoić, głaszcząc po włosach i coś szepcząc, pozwoliła się prowadzić do swojego pokoju. A później płacz jej nie był już płaczem, ale czymś, co było jednocześnie płaczem pełnym żalu i zawodu, i śmiechem przesyconym ironią i rezygnacją, i nie mogła przestać, nie mogła nad tym zapanować.

Paweł wprowadził ją do jej sypialni, ułożył na łóżku, pomógł zdjąć buciki z nóg i powiedział: „Śpij”, a potem: „Zaraz przyślę Paraskę, żeby cię rozebrała. Śpij”. Ale ten histeryczny, długi, o jednakowym nasileniu dźwięk ciągle ją jeszcze całą wypełniał nie zamierając i wstrząsał nią od stóp do głowy. Gdy dłoń Pawła spoczęła na jej czole, jakby chciała zbadać puls albo temperaturę, przytrzymała ją swoją dłonią. Usłyszała i poznała, że to ona mówi: „Nie odchodź. Zostań. Nie zostawiaj mnie teraz samej, błagam...”.

III

Wpierw był mrok. Spowijał ciało jak czad, dym, jakże by więc mógł przeczuć cokolwiek? Nawet w chwilach, kiedy budził się na krótko, czy też odmykał powieki nie budząc się wcale, słysząc tylko dzwonienie telefonu w sieni, kroki, jakąś niezrozumiałą krzątanicę w swym pokoju, słowa: że sędzia, wuj August coś tam w Krzyżtopolu, że Aleksy, że Durchlassenschein, których sensu nie pojmował: albo wyławiając z grząskości raptem intensywniejszego światła sylwetkę matki, czy pochylając się nad jego twarzą zatroskaną twarz którejś z ciotek. Potem mrok pękł raptem na dwoje, kiedy Róża, pokojówka, wniosła do pokoju tacę ze śniadaniem, stanęła nad łóżkiem, zaczęła przypatrywać się mu z wyrazem zaleknienia w oczach, jak bezradnie wiosłuje rękoma na poduszce, ciągle jak gdyby nie mogąc się ze snu wyrwać, a przez pozostawione otworem drzwi znowu wtargnęły do wnętrza odgłosy nerwowego pośpiechu w reszcie domu, głośniejsze, bardziej natarczywe niż przedtem, choć przecież nie mogło się nic takiego zdarzyć, co by je tłumaczyło (tylko, że on nie starał się dociec czegokolwiek — ani dlaczego ta dziew-

czyna stoi tuż obok, ani dlaczego nie ma zamiaru wyjść z jego pokoju — bo może dalej spać usiłując z trudem wytrzymać jej uważny wzrok), aż wreszcie jego słuch wyodrębnił spośród wszystkich innych dźwięków kroki Katarzyny.

Więc chyba dopiero wtedy coś przeczuł. A właściwie parę sekund później. Kiedy Katarzyna ukazała się na progu, przekroczyła go, mimo że nigdy przedtem tego nie robiła i — znając ją, wiedział — nie powinna była tego zrobić, prawdę zaś mówiąc, to jeszcze później. Kiedy sobie uświadomił, że odgłos jej kroków jest inny, niż zawsze i spostrzegł, jak Róża umyka, jak gdyby zdmuchnął ją przeciąg. Właśnie wówczas już naprawdę to przeczuł. Zanim usłyszał pierwsze z owych dwóch zdań, jakie Katarzyna wypowiedziała (wzburzoną, hamowaną głosem): „Nic w ten sposób Aleksemu nie pomożecie, to nie jest mu potrzebne, a sami możecie nie wrócić!”, po którym spoglądali na siebie w zdumieniu, jak gdyby dopiero teraz nawzajem się zauważyli: ona — jego na łóżku, w rozchełstanej na piersiach piżamie, z tą szklanką po mleku wciąż jeszcze w dłoni, on — ją, pierwszy raz, od kiedy zamieszkała pod glebowieckim dachem przed trzema laty, stojącą w głębi jego kawalerskiej sypialni. A potem padło zdanie drugie: „Zresztą rób, co chcesz, to wasza rodzinna sprawa”, tyle że wypowiedziane już przez nią głosem nie tym samym, lecz zrezygnowanym, pogodzone, prawie że uległym, i zaraz odwróciła się wolno i dotknęła czoła dłonią jednym z owych nieświadomych gestów, które nic nie znaczą, ale które zapamiętuje się na zawsze.

Jeszcze nim wyszła zdążył pomyśleć, że tego drugiego zdania nie musiała wcale powiedzieć. „TO” już w niej było. Przecież przeczuwał, czego żąda od niego rodzina, prócz jej jednej, Katarzyny, której może bardziej niż komukolwiek zależeć powinno na tym, co miał zrobić dla brata. Ale już drzwi się za nią zamknęły. I zaraz, zasypiając powtórnie, świadomość tamtego swojego przecucia w ciemność snu ze sobą zabrał, a odgłosy, jakie do niego później docierały znowu nieprzerwanie: krzątający w głębi domu, telefonów, rozmów, że wuj August w Krzyżtopolu, że Durchlassenschein, że Aleksy, że jakieś tam papiery z Ortskommendantur i że wszystko niebawem będzie gotowe, dalej śnił, aż naprawdę został obudzony, brutalnie z tamtej ciepłej ciemności snu wyrwany, że wszystko gotowe, bo rzeczywiście wszystko już było gotowe: i walizka, i ubranie na drogę leżące obok łóżka na krześle, i dokumenty potrzebne do podróży na wschód, i zezwolenie na pobyt w przyfrontowej strefie, wydane przez Niemców, tak że on wkrótce też był gotów (czy chciał, czy nie chciał, gdyż to musiało go spotkać), już

w bryczce, uwożące go na kolejową stację do Krzyżtopola, siedzącego z matką, wujem i ciotką Felicją, i słuchał tępo pouczeń obu kobiet, tych rozmaitych nieprzydatnych słów, które zwykle mówią sobie ludzie przed rozstaniem, niewiele z nich pojmując. Później, patrząc przez okno swego przedziału, pochwycić zdążył jeszcze bladą próbę uśmiechu na twarzy matki i nieokreślony ruch ręki ciotki, lecz uśmiech matce się nie udał, bo zanim się domyślił, że ma on być uśmiechem, rozpetł się w smutnym grymasie warg, ruchu zaś ciotki ręki w ogóle nie zrozumiał i pomyślał: „Oczywiście, tak musiało być. Tak chciał los. Żebym właśnie w tej, a nie innej chwili spotkał się z Aleksym. Najmniej odpowiedniej. Gdy zabrałem mu żonę”. A jeszcze później kobiety pozostały nieruchome, zastygłe, unieruchomione jego ostatnim spojrzeniem na umykającym do tyłu peronie.

Za plecami posłyszał wdzierający się w wielojęzyczny gwar okrzyk: „Transportführer!”. Gdy się odwrócił od okna, zobaczył ryżego człowieczka, który wyskoczył z gromady spowitych machorkowym dymem robotników i że po chwili cała ta polskorusińsko-besarabska zbieranina ciągnąca zapewne na przymusowe prace w głąb Ostlandu zgarnia niechętnie z ławek liche swe tobołki i przetacza się do wagonu sąsiedniego zostawiając za sobą odór tłuszczu, długo nie mytej w podróży skóry, chleba i fasolowej zupy, a na jej miejsce wkraczają z przedsonka żołnierze węgierscy jakiejś pomocniczej służby. Zajął kąć przy oknie, osłonił się prochowcem, przymknął oczy i udawał, że jest senny, choć obecnie senny nie był. Słyszał, jak wuj August rozmawia z kimś po niemiecku, i głosy Węgrów w tym niepodobnym do żadnego z europejskich języku, i kotłujący się wciąż jeszcze gwar w przedsonku, gdzie bahnschutze rewidowali bagaż i sprawdzali dokumenty, a gdy odmykał powieki, to widział zarośnięte, zielonkawe twarze nędzarzy jadących na handel z tłumokami wypchanymi zapewne marną żywnością, twarze, z których wyzierały wygaśnięte, wycięte w czerwonej otoczce oczy, i jak gdzieś przeganiani nikną z pola widzenia, potem że bahnschutze także nikną, i jak rozlokowani już Węgrzy rozpakowują plecaki, kroją chleb, przydziałową „Gummiwurst” i zaczynają się melancholijnie posilać.

Chcąc się jak najprędzej oddalić od tego miejsca i czasu, powtarzał w myśli: „Tak musiało być. Choć to najmniej odpowiednia chwila, żeby tam jechał”, aż wreszcie poczuł pęd nacierającego szybkości pociągu, który chłodził wewnątrz, mimo że nie był nawet wiatrem, ruchem powietrza zaledwie wpychającym do wagonu żywiczny wiew sosen, szeleszczący i zielony, i to on może właśnie, ten pęd sprawił, że także i to wszystko,

o czym wolał teraz nie pamiętać (o potwierdzeniu zbrodni dokonanej na bracie, o tym, co z jego żoną zrobił, do czego ją doprowadził), oddalać się od niego poczęło w rytmie stukotu kół. I choć jeszcze Katarzyna, gdy się zbliżyła poprzez mgłę pod powiekami, powiedziała: „Sam chciałeś tego. I również, żeby on umarł. Chciałeś” (nie, nie chciał nigdy), to jednak jej twarz oszpecona ironią prędko zatarła się w mroku i później widział tylko wysoko sklepioną głowę kobiety, rozgarnięte białym przedziałkiem włosy łączące się nad karkiem, w swej gładkości i ciężarze, jak płynny mosiądz, w którym zatracają się poszczególne pasma, pozostawiała zaś niewiarygodnie luźna substancja o połyskliwych, metalicznych powierzchniach, wreszcie i głowa zniknęła i posłyszał: „Nie zostawiaj mnie. Nie potrafię być sama”, głos dochodzący z przepastnego wnętrza ciemności, i pomyślał, że kiedy Katarzyna zbliżyła się do niego o świcie naprawdę (nie, nie we śnie, jak teraz, ani wiele razy przedtem, kiedy jej twarz podobnie się zbliżała pochłaniana przez mrok, jej głowa, ręce i ciało) i naprawdę powiedziała: „Nie zostawiaj mnie samej”, to już wtedy przewidywał, że minie bezpowrotnie gorąca wiosna i nastąpi długie lato, nadejdą deszcze i chłody, zanim dopiero powtórzy ona raz jeszcze z taką samą niewymuszoną szczerością: „Nie zostawiaj mnie. Nie potrafię być sama”.

Ocknął się, gdy pociąg ruszał z jakiejś kolejnej stacji. Musieli ujechać spory kawał drogi, skoro przedział tonął już w świetle mierzchnącego dnia. Wuj August z zamkniętymi oczyma siedział naprzeciw, kiwał się w rytm poruszeń wagonu bezwładnie, miękko, podparty sflaczałymi dłońmi i dopiero, gdy on, Paweł, się dzwignął z miejsca, z kieszeni zaś wypadła mu chusteczka, błyskawicznie się pochylił, podniósł ją z podłogi (była to chusteczka Katarzyny, nawet z jej monogramem wyhaftowanym w narożniku) i oddając mu ją spojrzął wzrokiem, jakim już raz o świcie go obrzucił, widząc wybiegającego z tamtej sypialni, tragicznym, wciąż jeszcze pełnym zdumienia, i zapytał: „Więc to musiało się zdarzyć? Teraz?” głosem tłumionym, ale dociekliwym, a on: „Nie”, odrzekł, „Nie. Na pewno nie”, czując dłoń wuja na swojej ręce i słysząc znowu: „Powiedz prawdę. Ja też bym tak może postąpił, gdybym musiał kobietę zatrzymać. Ale czy teraz? Właśnie teraz? Powiedz prawdę”, i wtedy wyszarpnął się od wuja w stronę okna i wyrzucił z siebie ostro: „Daj spokój! Do jasnej cholery, daj mi spokój! To nie miało nic wspólnego z Aleksym”, aż rozmawiający ze sobą półgłosem Węgrzy zamilkli i popatrzyli zdziwieni.

Wsparty łokciami o krawędź opuszczonej szyby, stał plecami do przedziału. Miał przed oczyma ruchomą tylko, przesuwaną

się mglistą głębię i, choć je szeroko rozwierał, nie widział absolutnie nic. Dopiero po jakimś czasie, gdy fala krwi odpłynęła od głowy w dół, mgła zaczęła ustępować i powoli wyłonił się z niej uchodzący do tyłu las poprzetykany zagajnikami, na których skrajach krzewy derenia wyglądały, jak zakonnice idące w przeciwnym niż pociąg kierunku równym szeregami. Cień od drzew stawał się coraz intensywniejszy, tak że gdy wreszcie się odwrócił przedział był prawie niewidoczny; plamka żaru papierosa rozjarzająca się raz po raz czerwono wskazywała jedynie wuja Augusta. Powiedział do niego już spokojnie: „Za cztery, pięć godzin minimy Baranowicze”.

Dopiero jednak gdzieś w połowie nocy postłyszał głos wuja znowu. Huk detonacji wżerający się w uszy wraz z trzaskiem miażdżonego w pobliżu żelastwa poprzedziły być może o sekundę, lub dwie, zajadłe terkotanie karabinu maszynowego; walizki i kuferki spadały z półek. Głos wuja był opanowany, chłodny, inny niż przedtem. Uspokajał któregoś z współpasażerów, że to jedynie na bocznym torze z Ostroga, że dojeżdżają do Krzemieńca i że wszystko skończyło się szczęśliwie, przynajmniej dla nich, tu partyzanci atakują najczęściej. Potem pociąg ponownie zaczął nabierać rozpędu, łuna została w tyle, a ludzie powracali od okien. Słyszał ich trwożne komentarze, natomiast głosu wuja już nie, i myślał: „Gdyby zapytał mnie teraz... I gdybym nie musiał widzieć jego zdumionego, potępiającego wzroku... Może bym mu powiedział dlaczego zrobiłem to teraz. I może zrozumiałby”. Potem długo była głucha cisza, a gdy otworzył oczy, postłyszał gdzieś dalej w przedziale śpiewnie zaciągający z rusińska głos człowieka, który zdawał się mówić do siebie (choć mówił do wuja Augusta, bo papieros sędziego znowu tlił się, ukazując w ciemności jego profil), głos niezmiernie utrudzony, przetrawiony na wskroś rezygnacją i stary: „Razem z Polską, proszę pana, na długo upadła sprawa wolności również dla nas, Ukraińców. Zresztą dla Białorusinów, Litwinów, Łotyszów i Estów tak samo. Jej upadek, proszę pana, stał się największym sukcesem Moskwy. Historia nazwie to najokrutniejszą klęską Europy. I nic się już nie da naprawić. Bo to, co moi rodacy jeszcze tutaj robią, to są szaleńcze tylko zrywy. A najczęściej prymitywne i haniebne, proszę pana. Jedynie Moskwa sowiecka je zdyskontuje. Pochłonie nas wcześniej, czy później. A może i was Polaków też. Choć macie tak stare tradycje państwowe. Nie umieliśmy, proszę pana, zawczasu, ani wy, ani my dojrzeć naszego prawdziwego wroga”, aż dalszy ciąg jego monologu rozmielony został przez dudnienie kół. A później zdradzić się musiał jakimś ruchem, bo głos wuja skierowany do niego zapytał: „Nie śpisz?” i ożywił się myśląc,

że wuj zapyta jeszcze raz o tamto, a on będzie mógł odpowiedzieć zgodnie z prawdą, lecz następne pytanie było obojętne: „Może coś zjesz?”, odpowiedział więc, że nie, że chce spać, pęd zaś i powiew, i szum pędu naprawdę go uspiły.

Potem był już jasny dzień. Stojący z wujem Augustem w drzwiach na korytarz mężczyzna w zgrzebnej popiej sukni rozwodził się o nicości życia i udręce wędrowni po ziemskim padole, a sędzia przytakiwał mu bez większego entuzjazmu. Równina za oknem ustępowała lasom. Wzdłuż torów ukazywały się wyręby i bunkry, było widać niekiedy roztrzaskane, zwalone z nasypu wagony, nad rozgrzaną zaś ziemią, niezbyt wysoko na równie rozgrzanym niebie, przelatowały co jakiś czas stalowosine Storchy. Pociąg był już daleko poza przedwojenną granicą polsko-sowiecką. Paweł przypomniał sobie myśl, z którą, zdawało mu się zasypiał: „Więc jeszcze to mnie czeka. Ciało brata” i dźwignął się z miejsca.

Czuł się niedobrze i bolała go głowa. Wyciągnął z walizki paczkę z zapasami żywnościowymi przygotowaną przez matkę. Zjadł śniadanie. Po paru łykach kawy z termosu poczuł ostrą trzeźwość i pożałował, że jadł. Nie mógł się pozbyć złudzenia dojmującego chłodu. Gdy pasażer z przeciwka obudził się, on udał, że śpi. Trząśnięcie powoli, mocno, równomiernie, czując we wnętrzościach zjedzony przed chwilą chleb z szynką, jeszcze ciepły od kawy, ubity w twardą papkę, która podlegała tym samym powolnym, nieustannym wstrząsom, jak gdyby napełniony po brzegi, obciążony żołądek był w jego ciele niezależną od reszty, obcą rzeczą. Myślał: „Znając matkę, powinienem był przeczuc wcześniej. Że nie zazna spokoju, zanim jej pierworodny syn nie spocznie w poświęconej i prawdziwie własnej ziemi. Ale jaka ziemia jest teraz własna? A nawet jeśli jest, jak długo jeszcze nią pozostanie!” A później myślał, jak będzie musiał wkrótce spojrzeć na sponiewierane, zżarte przez robactwo ciało Aleksego, w te jego puste na zawsze oczodoły, na to ciało, które nie zakończyło wciąż jeszcze swej ziemskiej tułaczki, choć on, Paweł, dawno już chciał sobie zabrać, a nawet teraz zabrał to, co było mu, temu ciału brata, być może najdroższe, i będzie musiał, po raz któryś już z rzędu, znowu zadać sobie pytanie, czy postąpił dobrze. Wiedział, że nic takiemu spotkaniu obecnie nie zapobiegnie. Lecz ból głowy stępiał myśli. Zmysł powierzchownej obserwacji tylko, wyostrojony do granic wytrzymałości (zapewne na skutek działania wypitej kawy), na sekundy zatrzymywał w świadomości przetaczający się za oknem pejzaż, monotonnie niezmienny, lasy, pola dojrzewające do żniw, przeplecione z ugorami, tu i ówdzie ruiny wsi, zabłąkane wśród nich z rzadka całe

domostwa, a także nędzne stacje strzeżone przez żołnierzy w mundurach Ostlegionu albo policjantów białoruskich, niczego jednak nie utrwalając, tak samo jak twarzy zmieniających się w wagonie podróźnych; i słuch wyłapywał zdania wypowiedziane w różnych językach, często również po polsku, nie zachowując w pamięci więcej nad strzępy, choć i to na krótko, że soda w Warszawie kosztuje 11 złotych, w Mińsku 50 Ostmarek, w Smoleńsku aż 65 za kilogram płacą, że najlepiej sprzedaje się drożdże, bo wiadomo, do pędzenia bimbrow, największy zaś popyt jest na cukier. A po jakimś czasie zbliżyła się do niego twarz wuja Augusta. Jego łysa, czerwona, ociekająca strużkami potu głowa pochyliła się nad nim i wuj zapytał, co mu jest, i posłyszał swój własny głos niespodziewanie zrównoważony, chłodny, odpowiadający zupełnie rzeczowo, że nic, że czuje się dobrze, jest tylko jeszcze senny, choć senny nie był ani trochę, i znowu głos wuja: „Za godzinę Mińsk”, i rzeczywiście, wkrótce już był Mińsk, ruiny dworca, barak Czerwonego Krzyża, „Verpflegung und Betreuungstelle”, walające się wszędzie poskręcane, zardzewiałe żelastwo, zerwane przewody, pozginane blaszane beczki po benzynie, puszki po konserwach, zwoje kolczastego drutu, resztki nadpalonych drewnianych słupów, dalej latryny, tłum obładowanych pakami handlarzy nurkujących pod wagony, ażeby umknąć kontroli, aż głos wuja rozległ się znowu: „Ponoć na jednym z bocznych torów mamy coś wkrótce do Smoleńska. Trzeba uważać. Jeżeli przepuścimy ten jedyny dla cywilów pociąg, stracimy cały dzień”, który dotarł do niego z opóźnieniem, kiedy sędziego w przedziale już nie było, niosąc bowiem obie ich walizki przeciskał się do drzwi. I zaraz Paweł przebiegłszy za wujem przez perony, stał przed długim składem wagonów towarowych w ostrym słońcu, czując wciąż jeszcze walenie pulsów w skroniach, tępo przypatrywał się, jak feldżandarmi kontrolują dokumenty, odpowiadał zgodnie z tym, co przecież miał tam napisane: jak się nazywa, skąd jedzie, dokąd, po co i dziwił się dlaczego mówi tak cicho, że sam siebie ledwo słyszy.

Potem był już w wagonie. Leżał na wiązce słomy rozrzuconej między imitującymi ławki deskami zajętej przez nieokreślonej profesji międzynarodową hałastrę spędzoną przez uzbrojonego konwojenta, dalej odpowiadał wujowi, że naprawdę nic mu nie jest, że wszystko w porządku, położył się tylko dlatego, że nie ma gdzie sięść, choć leżał zanim jeszcze zajęto siedzące miejsca, a wilgotny przedburzowy upał i gorący smród wagonu zaciskały mu się na szyi, jak obręcz.

Pociąg przecinał rozległe obszary łąk i lasów, rozlewisk i mszarów: kępy obagnionej łozy, karłowate sosny, olchy, krzaki

bahunu, wokół których błękitniało od jagód pijanic, gęstą siatkę wijących się leniwie strumieni i czarne oka stojącej martwo, czarnej wody. W toczonych przez współpasażerów rozmowach nazwy Smoleńsk, Katyń i Kosogory powtarzały się coraz częściej. Ale wciąż to, co go czekało tam, gdzie jechali, od siebie odsuwał. Dopiero później to się stało. Na jednej ze stacyjek, gdzie stali dłużej, gdyż uprzątno po niedawnym bombardowaniu tory. Gdy wyskoczył z wagonu i pobiegł szukać studni (miast której znalazł strugę wijącą się w bagiennej brzezince) i napiwszy się, zdjął marynarkę i się umył, a potem, stojąc z mokrymi rękami i twarzą, nasłuchiwał odgłosów stacji. To stało się właśnie wtedy. Poczul niepojęty, metafizyczny wprost lęk przed ostrością czegoś, co może niebawem uderzyć gwałtownie i niespodziewanie. Nazwy tamtych miejscowości były dlań dotychczas pojęciami tylko oderwanymi, niezmiernie odległe w przestrzeni, a przez to mało prawdziwe, obecnie zaś czuł ich realność tak samo, jak wówczas, kiedy ktoś mówił: Gleby, Czuprynia, Krzyżtopol, albo Lwów, Warszawa lub Kraków.

Z daleka od torów niósł się stuk łomów o żelazo, nawoływania ludzi, wysoko w górze nie huczały samoloty, kwiliły jedynie gdzieś młode jastrzębie, i tych dwóch nazw: Smoleńsk i Katyń, teraz krzyczących w głowie, słuchał przez długą chwilę w napięciu. Zrazu nie zwrócił uwagi na gromadkę zdziczałych, obszarpanych dzieci, które podeszły i oglądały go z pełnym spłoszenia zaciekawieniem, jedno zaś, śmielsze, dotknęło zdumione jego wiszącej na gałęzi marynarki. Potem jednak zwrócił na nie uwagę. Przyjrzał im się i ten krzyk w głowie, ten niepokój, metafizyczny lęk przed gwałtownością i ostrością czegoś, co niebawem uderzy, na moment przepadły. Przyjął to, był nagle pogodzony ze wszystkim, co go spotka, a w myśli powiedział sobie: „Oni też są biedni. Też zepchnięci na to samo dno”. Wyjął z kieszeni kilka Ostmarek i wyciągnął ku dzieciom rękę, ale cofnęły się nieufne, tak że dopiero, gdy położył pieniądze na ziemi i odstał, najstarszy chłopak zbliżył się ostrożnie i je podniósł. Odchodząc, odwrócił się jeszcze raz. Zobaczył, że chłopak skłonił się za nim głęboko, po chłopsku, po rosyjsku w pas, tym odwiecznym niewolniczym ruchem, a myśl powtarzała mu: „Oni są na dnie od wieków”.

Przed stacyjką zdudzeni Niemcy zabawiali się rzucaniem kamieni w garnki nadziane na sztachety płotu; od nagrzanego podkładów kolejowych zawiewało zapachem kreozotu. Jakiś feldfelbel siedzący na ławce przywołał przechodzącą z malinami dziewczynkę w przetartej męskiej koszuli przepasanej kitajką, zaciągnął ją na kolana i Paweł widział, jak żołdak zabiera się do obma-

cywania ledwo rysujących się pod płótnem piersi małej, jak ta się wyrывa pobekując cicho, wreszcie uderzona w twarz, toczy się pod mur i stoi tam szara, mizerna, z ustami wykrzywionymi, okrągłym czarnym otworem w ramce nadpsutych zębów, rozdziawionym do krzyku, Niemiec zaś odchodzi leniwie ku oczyszczającym tory rosyjskim jeńcom i zabawiający się przy płocie śpiewają za nim ze śmiechem: „*Lass das sein Otto, du bist ein Schwein, Otto...*”. Lecz już był w wagonie, na swojej wiąże słomy, lokomotywa gwizdnęła, ze szczękiem złącz przebiegł do tyłu chrobot osiek, głębokie, powolne sapnięcie pary i pociąg ruszył. Potem Paweł znowu się zdrzemnął. A gdy się ocknął byli już w Smoleńsku.

Słuchając głosu spikera płynącego z głośników wiszących na murach: „*Wir geben die Luftlage... samoloty nieprzyjacielskie nadlatujące z północnego wschodu kierują się na południe...*” przesiani zostali przez sito policyjnej kontroli i po krótkim błędzeniu udało im się wydostać spośród zgłiszczy dworca. Miasto objawiło im się rzędami nagich murów ziejących z wewnątrz pustką, pełną zarazem ciężkiej, głuchej rozpaczki. Szli ulicą o potrzaskanych brukach z zasypianymi czarnym żużlem lejami po bombach, gdzie tu i ówdzie ocalałe trzypiętrowe budynki zdobyły szyldy: Haus Lichtenstein, Haus Sachsen, Haus Brandenburg i jeszcze innych hausów, przyczółków Germanii na Dalekim Wschodzie Europy. Jeszcze dalej baraki z tabliczką „*Feldbauleitung d/Lw. Smoleńsk-Süd*”, a między barakami bunkry zbite z drewnianych bali i obsypane grubo ziemią. Z rzadka przemykający przechodnie odziani w dziwnego kroju kapoty, których zatrzymywali z wujem Augustem, pytając po rosyjsku o miejscowy Touristenheim, odpowiadali niechętnie i lękliwie. Niemców nie było prawie widać. Dopiero u wylotu ulicy zauważyli grupkę żołnierzy ściągających zewsząd do kasyna, okazałego budynku dawnego „*Domu Krasnoj Armii*”, jak głosił nie zatarty jeszcze napis. Szybko zbliżała się godzina policyjna i przechodniów było coraz mniej, daleko zawyła syrena przeciwlotnicza, powietrzem wstrząsnęły detonacje odstrzału artyleryjskiego i wypalone mury odbiły echem zduszonych, ludzkich jak gdyby głosów, jednakże wpadli na niemiecki patrol żandarmerii, który przetrząsnąwszy im walizki, po wysłuchaniu wyjaśnień nie potraktował ich zbyt brutalnie, lecz wskazał drogę na plac przy bizantyjskiej katedrze rysującej się w księżycowej poświacie, niby srebrna góra nad czarnym wąwozem i trafili tam na poszukiwany zespół baraków. Były jeszcze krótkie formalności w biurze meldunkowym. Nawet uśmiech zrozumienia na twarzy Niemca stemplującego im dokumenty, kiedy otrzymał od wuja sędziego odpowiedź, w jakim

celu przybyli, a tęga, o szerokiej, prostacko ładnej twarzy dziewczyna siedząca przy rozdzielniku telefonicznym, zapewne Rosjanka i tłumaczka, obrzuciwszy ich długim spojrzeniem, powiedziała dość poprawną niemczyzną, że mieszka tu także ksiądz z Warszawy, który przyjechał w tym samym, co oni celu i że mogą zabrać się z nim rano na miejsce specjalnym samochodem. Gdy potem Paweł skłonił się lekko i powiedział po rosyjsku: „Dziękuję” odrobinę za głośno, niż było trzeba, ona spojrzała na niego jeszcze raz. Właśnie na niego, nie na wuja. Zauważył, że poruszyła dziwnie głową i nagle wydało mu się, że w jej wzroku pojawił się wyraz, jak gdyby przypominania sobie czegoś, przypominania mimowolnego, wcale nie pożądanego, jakieś niepokojące ją samą cofnięcie się do przeszłości, odwrócenie się i zarazem wysiętek, aby to przypomnienie, wspomnienie, czy cokolwiek to było usunąć z pamięci, odrzucić. Zabrał klucz i chciał odejść z wujem, ale ten wzrok dziewczyny go zatrzymał. To była jednak sekunda tylko albo dwie, trzy, bo już patrzyła wzrokiem znowu pozbawionym głębi; nie wyrażał niczego, ani zainteresowania bądź braku zainteresowania, ani dobroci bądź podłości, niczego w ogóle; oczy jej były jedynie zimne, obojętne, może nieco senne. Znowu powiedział do siebie w myśl, jak wówczas w podróży: „I oni są na dnie. Może nawet o tym nie wiedzą. Ale prze-czuwają”.

W pokoju umył się, bez apetytu przeżuł kawałek chleba, prędko rozebrał nie zapalając światła i wskoczył do łóżka. Leżąc na wznak patrzył przez nie zaciągnięte papierem zaciemniającym okno na dziurawe, okaleczone mury po przeciwnej stronie ulicy, przez które, jak przez sito widać było baniaste kopuły smoleńskiej katedry. Także na niebo zabarwione łuną po niedawnym bombardowaniu i na księżyc. Myślał o rosyjskiej dziewczynie z recepcji i o tym co — wydawało mu się — ujrzał krótko w jej oczach, o jakimś bladym jak gdyby odbłasku poczucia winy, czy wstydu, ale w końcu doszedł do wniosku, że było to tylko jego własne złudzenie. Wuj August, który zaraz po przybyciu udał się na poszukiwanie wspomnianego przez dziewczynę księdza, nie wracał. W korytarzu skrzypiała podłoga, ktoś dzwonił wiadrem. Zza jednej ze ścian dochodziła przyciszona, nabrzmiała pretensją rozmowa kobiety z kobietą i plusk wody w miednicy. Jedną z sąsiadek mówiła po niemiecku, druga do niemieckiego mieszała słowa rosyjskie, kłóciły się, ale wkrótce umilkły i zaskrzypiały sprężyny łóżka. Gdzieś nie opodal na dole wystukiwał o bruk miarowo swe kroki strażnik: w tę i z powrotem, jedyne, zdawało się, odgłosy miasta, prócz trzaskających od czasu do czasu pojedynczych wystrzałów. Zapalając w ciem-

ności papierosa pomyślał o bliskości Aleksego i zaraz, pierwszy raz chyba od wyjazdu z Gleb, o słowach Katarzyny, że Aleksemu nie jest *to*, co chcą zrobić, wcale już potrzebne, i zastanowił się, czy chodziło jej o ich podróż z wujem w ogóle, czy o życzenie matki przywiezienia zwłok brata do Gleb. Nie znajdował na to pytanie odpowiedzi. Palce trzymające papierosa drgały mu drobno i jednostajnie. Gdy wreszcie posłyszał w korytarzu kroki powracającego sędziego, odwrócił się na łóżku do ściany. Nie odezwał się do wuja, kiedy ten próbował go zagadnąć, ani też, kiedy sapiąc ze wzburzenia czy przejęcia, kręcił się po pokoju, usiłując zwrócić na siebie uwagę hałasem. Długo słuchał, jak przewraca się w pościeli, nie mogąc zasnąć. On również nie spał. Nie myślał już o bliskości Aleksego. Myślał o tym do czego onegdaj doszło w Glebach między nim, a Katarzyną, i czy musiało właśnie teraz, jak pytał wuj. Myślał także, że zbyt długie czekanie na kobietę wypala w końcu w sercu wszystko, nawet poczucie spełnienia, jak gdyby nie doszło do niczego. Nad ranem zadrzemał na krótko. Śnił mu się szary deszcz, roztopy wiosenne i szpicel wiejski, Antypko, pławiący w stawie związane w worku szczyenięta. Cienko gdzieś wyła wśród rozłogów osierocona suka.

Był sam w pokoju, kiedy się obudził. Wstał, ogolił się i umył. Był zupełnie spokojny. W recepcji siedziała ta sama młoda Rosjanka, co wieczorem. Zapytał o wuja sędziego i nie posłyszał żadnej odpowiedzi, a jej ręce odebrały klucz od pokoju krótkim, ostrym ruchem, ze złością. Zapytał więc powtórnie, tym razem po rosyjsku, myśląc, że nie zrozumiała, a wtedy odpowiedziała, że ten, o którego pyta siedzi w restauracji, ruchem głowy wskazując boczne drzwi, i że samochód będzie za parę minut. I nagle przypomniał sobie to jakieś, jak gdyby wspomnienie w jej oczach wieczorem, ten parę sekund zaledwie trwający błysk, który od razu zgasiła, bo to wspomnienie, to coś, poczucie winy, czy wstydu, nie umiał tego nazwać, było w oczach dziewczyny teraz też. Pojął, że wystarczyło, ażeby spojrzął jej mimo woli uważniej w oczy, a to tam od razu było, i nawet prędko pojął co: tamte wiosenne dni sprzed trzech lat, dżdżyste zapewne, szare, może jeszcze zwarzone spóźnionymi przymrozkami dni, kiedy przez to miasto przetaczały się zaplombowane pociągi załadowane tysiącami mężczyzn w polskich mundurach, które zatrzymywały się potem za ostatnimi przedmieściami, na następnej stacji, i *oni* tych mężczyzn przeganiali z wagonów do lasku, ażeby zabijając strzałem w tył głowy. Gdy odwrócił się wolno w kierunku wskazanych drzwi restauracji, dziewczyna odprowadziła go wzrokiem. Był teraz, przeciwnie niż z wieczora, pozornie tylko zimny i senny, w istocie bowiem w głębi taił upoko-

rzenie, które nie nikło, przesunęło się, odsunęło zaledwie, w miarę jak on, Paweł, się oddalał, tak że gdy wszedł we wskazane drzwi, dziewczynę zupełnie tracąc z oczu, miał wrażenie, że to jej upokorzenie dalej czuje wokół siebie w powietrzu przywleczone stamtąd. Ale czuł w sobie wciąż spokój.

Siedzący z wujem przy stoliku mężczyzna był zakonnikiem, bernardynem, przedstawicielem Czerwonego Krzyża z Warszawy. Paweł przysiadł się i ciągle z tym nie odstępującym go spokojem przysłuchiwał się rozmowie, a właściwie monologowi zakonnika, jego cichemu głosowi, który szeleścił, zdawało się, beznamyślnie, niekiedy głośniejszy gwarem sali, i słuchając, próbował zrozumieć, o jakich tysiącach zaginionych w głębi Sowietów zakonnik mówi, zaginionych bez śladu i nie znalezionych jeszcze pośród trupów w Katyniu. I naraz wydało mu się, że serce mu krzepnie, ścięgną, mięśnie, jego krew również krzepną, że coś w nim, że wszystko w nim krzepnie i ostre słońce świecące przez okno osuwa się jak gdyby po nim, skupiając, zagęszczając i ścinając mu nawet oddech. Wtedy wstrzymał go świadomie i natychmiast usłyszał, że to nieprawda, że jednak serce tętni mu krwią, w pulsach skroni też mu łomocze, a to tylko wokół niego zaległa cisza, wprawdzie brzmiąca jeszcze głosem zakonnika, ale poza tym wszystko zamarło, okrzepło, tą ciszą skłoniło się nad nim, pochyliło żądając, wołając z wyczekiwaniem na decyzję. „Muszę Aleksę znaleźć. Muszę. To nie ma znaczenia czy wyrządziłem mu jakąś krzywdę, czy nie. Czy on chciałby tego, co zrobiłem z jego żoną, czy nie chciał. Teraz muszę go po prostu znaleźć, bo to jest najważniejsze”. To słowo „muszę” powtarzał z ponurą i nieposkromioną determinacją, niezłomny, rozpaczliwie zdecydowany. I znalazł.

Było to godzinę albo dwie później. Po kilkadziesiąt kilometrów jeździe rozklekotaną półciężarówką prowadzoną przez rosyjskiego szofera, załadowaną do połowy niemłodymi już kobietami i mężczyznami, którzy wyglądali na przybyłych z bardzo daleka (okazało się, że są rodzinami pomordowanych, pochodzącymi aż ze Śląska) i po przejściu ponad kilometra przez pola i las, bo ciężarówka dowiozła ich jedynie do Gniezdowa, osady przystajacyjnej wśród mokradeł, skąd właśnie — jak powiedział ojciec bernardyn — gnano wtedy tamtych na śmierć do katyńskiego lasu. To było już może w samo południe, tak daleki wydawał się Pawłowi ten czas, kiedy zszedłszy do recepcji, rozmawiał z ową roslą dziewczyną rosyjską o umykającym wzroku. To było nawet być może zupełnie inne południe, kiedy wreszcie znalazł. W opieszłym, leniwym, oleistym upale na pagórkowatej, piaszczystej polanie, czy też porębie, pomiędzy

zgnajającymi łopatami wierzchnie warstwy ziemi przygarbionymi jeńcami rosyjskimi, nad którymi stali Niemcy z feldpolizei zasłaniając usta i nosy mokrymi chustkami, nie opodał długiego stołu, przy którym siedzieli protokolanci i kręcili się polscy lekarze sądowi w ochronnych, ceretowych ubraniach, zabrudzeni trupimi wydzielinami po pas i wyżej, w kłiwym, słodkawo mdlącym fetorze unoszącym się z dołów, przesycającym szczelnie całą okolicę, zatykającym oddech, skręcającym krtań i żołądek, jeszcze nim zobaczył, w gęstych wyziewach jakichś chemikaliów, w głębokim dole, w splocie nóg, rąk i głów wystających z grząskiej ziemi spomiędzy liszaj wody czerwonej od rdzy, w palącym, białym świetle słońca, wśród ciał rozrzuconych byle jak, albo poukładanych równo obok siebie twarzami w dół, powiązanych powrozami, lub drutem, wtedy, gdy po raz któryś z rzędu powtórzył, teraz głośno: „Ja muszę go znaleźć” — to wtedy znalazł, choć nie był to wcale Aleksy, jego rodzony brat, ani ktoś podobny, gdyż był to jakiś Aleksy w ogóle, on i jednocześnie każdy inny, zniekształcony, nie do zidentyfikowania, zwielokrotniony, bliski a zarazem daleki, już pogrążony w czas, jak w to bagno, w którym oni wszyscy leżeli, ale przecież z tego samego plemienia, ciało, kość, strzępy ciała i strzępy kości żywe wciąż jeszcze w nim samym, Pawle, stojącym nad dołem, będącym również z tego samego plemienia i nie powtarzającym więcej: „Muszę go znaleźć”, lecz krótkie, ciche, zamierające: „Więc to tak, to tak, to tak...”.

A wtedy postyszał półszepł wuja sędziego: „Tutaj nie ma go. Wygrzebali już przed miesiącem i przenieśli do innej mogiły. Zaraz dowiemy się gdzie. Ale tu go nie ma”, lecz nie zrozumiał. I odwrócił się, i poruszył. Krzyknął: „Co mówisz? Nie ma?”. I wyciągając ręce do szepcącego, znowu krzyczał: „Co, nie ma? Przecież jest!”. I widząc tylko rozgrzebany w ziemi, jak rana, dół, jak ślepiec potoczył się w tym kierunku (na nogach odmawiających mu już posłuszeństwa, zanim się był jeszcze poruszył) i zaczął schodzić w tę ludzką maź i gnilne opary, krzyząc: „Przecież jest! Znalazłem! Znajdę!”, aż jeden z mężczyzn w białym kitlu poderwał się od pobliskiego stołu i go powstrzymał, bo byłby w tym wszystkim na dnie ugrzązał, bo byłby w to runął.

Oprzytomniawszy zobaczył wuja Augusta przy sobie. Twarz wuja była umęczona. Dopiero wtedy tamte jego słowa doń dotarły: że Aleksy został już gdzieś w innym miejscu pochowany. Lecz wciąż jeszcze jak gdyby nie miał dosyć, jak gdyby musiał napatrzeć się na całe przyszłe życie. Bo był już skupiony w sobie, tak silny, że pragnącemu go odciągnąć wujowi wyszarpnął się, krzyząc: „Zostaw mnie! Nic mi nie jest! Zostaw! Odejdź!”.

I stanął nad dołem nieruchomiejąc w pół kroku (zastygając, już prawie po przerzuceniu ciężaru ciała na jedną nogę, z drugą oderwaną niemal od ziemi) i z zimną krwią reportera albo raczej laboranta patrzącego przez szkiełko, badającego, mającego za zadanie utrwalić obraz — utrwał ten obraz w swej pamięci na zawsze: parometrowe złoża zwłok w polskich mundurach oficerskich z zachowanymi nieźle jeszcze guzikami i odznaczeniami, w ciężkich zimowych płaszczach, złoża zwłok zniszczonych w skomplikowanym procesie gnicia a zarazem mumifikacji, zapewne dzięki zawartości piasku w glebie, potem z tej masy, z tej płataniny wyróżnił poszczególne twarze tych, co leżeli zwrócenii przodem ku górze, twarze bez skóry, jamy ustne i oczne przeświecające poprzez błonę muskułów i membran, czaszki zawsze z jednakowym otworem wylotowym od kuli na czole, pokryte włosami, które utraciły już barwę, i zachowane doskonale ręce o nietkniętej skórze i paznokciach, o widocznych liniach papilarnych, aż wuj znowu się odezwał: „Chodźmy. Odejźmy gdzieś na bok. Tu naprawdę go nie ma”. A wtedy dopiero się odwrócił.

Wuj stał przed nim z twarzą białą, jak kreda, zroszoną, z ustami bez krwi. Wzięli się pod ręce i cofnęli od brzegu dołu w głąb polany. Potem stali i oddychali głęboko, nic nie mówiąc i nie patrząc jeden na drugiego. Ten w białym kitlu podszedł do nich ponownie. Też nic przez chwilę nie mówił. Może wuj chciał coś powiedzieć, ale to wyglądało tak, jakby brał w płuca jeszcze głębszy oddech. Wtedy ten w białym kitlu powiedział: „Porucznik Aleksander Woynowicz, proszę panów, musi leżeć, jeśli się nie mylę, gdzieś z samego brzegu. To jedna z tych zbiorowych mogił tam za wzgórzem”. „Chodźmy” powiedział wtedy Paweł cicho. „Jeszcze nie” powiedział wuj. Czy miał lekko przymknięte. „Będę później czekał na panów” powiedział ten w białym kitlu, „Tam w leśniczówce...” wskazał głową za las, „... w magazynie, są te różne drobiazgi znalezione przy zabitych. Niemcy pozwalają je obejrzeć. A to jego numer” i podał karteczkę. Odwrócił się. Już go dawno nie było, a oni wciąż jeszcze stali milcząc i Paweł bezgłośnie powtarzał te cztery cyfry zapisane kopiowym ołówkiem na kawałku papieru wyrwanym z notesu, utrwalając je w pamięci. Potem wypowiedział je głośno, a wuj drgnął i teraz z kolei on powiedział: „Chodźmy”.

Wolno powracali na skraj polany. Nie trzymali się już pod ręce, ale dotykali się ramionami. Omijali wcześniej opróżnione doły, z których jeden w kształcie ogromnej litery L ciągnął się ku najwyższemu ze wzgórz. Tych kilkadziesiąt, a może kilkaset ciał wydobytych tego dnia i złożonych obok siebie na ziemi w długich szeregach, ciągle mieli w promieniu wzroku. Ostry,

wstrząsający powiew stamtąd, szedł bezustannie za nimi, gniotąc piersi (miał iść za nimi jeszcze długo), a pracujący przy ekshumacji Rosjanie odprowadzali ich w milczeniu wzrokiem pełnym jakiejś dociekliwości i upokorzenia zarazem. Skierowali się ku ścieżce prowadzącej na wyższą część polany, ale w połowie drogi wuj zatrzymał się, siadł na zwałonym pniu pod dębami i zgaszonym głosem powiedział: „Gdy siedziałem... gdy byłem... tam, pod Uralem, w tym łagrze... I później na „posieleniu”... A zresztą przedtem też... W czasie tego straszliwego transportu w pięćdziesięciostopniowym mrozie... W ogóle tam, rozumiesz? Tam! Zawsze widziałem wokoło siebie śmierć. Co mówię, śmierć! Wiele śmierci. Naszej, polskiej śmierci. Teraz jednak... Teraz... nie... to zupełnie coś innego...”. A choć Paweł chciał przerwać, nie mógł wydać z siebie głosu. Po chwili sędzia otarł pot ze swej łysej czaszki, bo jego zroszona przedtem, jak łzami twarz (jeżeli to rzeczywiście były łzy) obeschła już wcześniej w słońcu, i dźwignął się z pnia. Wtedy Paweł powiedział cicho: „Tego nie da się z niczym porównać”. Wuj w tym momencie nie powiedział nic. Szli znowu w słodkawej, mdlącej, straszliwej woni, której nie był zdolny odwiać nawet wiatr. Mijali po drodze tylko robotników rosyjskich, którzy dwójkami dźwigali na drewnianych noszach rozpadające się, zniekształcone procesem gnicia zwłoki w mundurach, oblepione wilgotną jeszcze ziemią. Potem wuj odezwał się jeszcze raz: „Masz rację. Tego nie da się z niczym porównać. Tego nawet nie trzeba porównywać z czymkolwiek”.

Wydeptana ścieżka doprowadziła ich w końcu do ciągnących się rzędami kilkunastometrowych mogił. W pobliżu był już las. Paweł przyspieszył kroku, zostawiając za sobą wuję sędziego i to miejsce wkrótce znalazł. Było oznaczone drewnianą tabliczką z numerem. Niczym więcej. Podobne tabliczki, oznaczone tylko numerami wyższymi lub niższymi, tkwiły co kilkanaście centymetrów w ziemi w prawo i lewo, a cała mogiła była obeschnięta w słońcu, popielatoszara, z rozsypującymi się już od trwających upałów krawędziami. Ten numer Aleksego powtórzył Paweł bezwiednie w myśli znowu parokrotnie, jakby to były słowa modlitwy, a nawet wymówił go w pewnej chwili głośno, i to było wszystko: numer składający się z czterech liczb, szara, rozsychająca się mogiła, cząstka, kilkucentymetrowej szerokości cząstka tej mogiły, gorące słońce w górze i tam w głębi pod ziemią, półtora metra w głębi lub dwa, być może jeszcze pod warstwą wapna on, Aleksy, brat.

Było bardzo cicho. Nikt się w pobliżu nie kręcił prócz starego Rosjanina wyglądającego na wieśniaka, wynajętego prawdopodob-

nie do opieki nad cmentarzem w pobliskiej wiosce, który zwoził na taczkach kwadratowe kawałki wilgotnej darni i okładał nimi jedną z mogił. Dopiero dalej, tam gdzie cmentarz się kończył i stał wysoki, z brzozowych pni zrobiony krzyż, widać było kilka kobiet. Stali z wujem znowu nie mówiąc nic, patrzyli na tabliczkę utkwioną w ziemi, patrzyli na te inne, tkwiące z prawa, z lewa, z przodu i z tyłu, tysiącami. Szmer listowia niosący się od skraju lasu był drobny, jednostajny, jakby ktoś bezustannie coś szeptał. Potem zbliżyła się do nich jakaś kobieta. Powiedziała, że ojciec bernardyn odprowadza teraz na miejsce pochówku wydobyte z rana zwłoki i zapytała, czy nie zechcieliby się przyłączyć do pogrzebu; twarz miała szerniałą, pogrążoną w jakiś zawzięty cień padający z oczu. Poszli za nią w milczeniu. A potem byli tam. Na najwyższej części wzgórza. I widzieli ten cmentarz, jak ciągnął się w dole kilkunastometrowymi mogiłami w białawej mgiełce upału, w suchym, rozproszonym zapachu sosen i dębiny, aż po rozległą wyniosłość gęstego lasu, który przekreślał pół horyzontu, a poza tą wyniosłością wyczuwało się jeszcze drugi las, cały tłum sosen i dębów, który nie wznosił się, nie wystrzelał z niej wzwyż, ale jak gdyby wychylał się tylko i nachylał głęboko nad tym przesiąkniętym krwią miejscem.

Zbliżając się, już z daleka posłyszeli litanie za spokój dusz zmarłych odmawianą przez grupkę kobiet i mężczyzn, między którymi stał zakonnik w liturgicznych szatach, i znowu zobaczyli rosyjskich jeńców — głowy mieli obnażone, twarze bez wyrazu. Na drewnianych noszach znosili ciała pokryte teraz płachtami brezentu, stawali nad dołem, przytrzymując brezent przechylali nosze, zsuwali ciało w głąb dołu i zaraz następne, następne, i następne... Ich pogrubiałe od pracy, prawie czarne ręce poruszały się szybko i sprawnie. Potem osuwała się z łopat w głąb dołu ziemia. Osuwała się miękko, bez charakterystycznego stuku, jaki wydaje zwykle uderzając o wieko trumny, ale dość głośno, by wzbudzać głucho echo i szmer lasu wtórował nieustannie głosom modlących się ludzi, tym głosom, które mówiły o sprawach już zakończonych, lecz nigdy obojętnych. Później Paweł usłyszał szepot wuja: „Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci”, i wydało mu się, że jego własny szepot i słowo „amen”, łączą się z szepczeniem wuja nie głośniejszym przecież niż szmer lasu, ale to już był szepot nie wuja ani jego, a zakonnika, który ledwie słyszalnie monotonnym, jakimś zagubionym, pomniejszonym przez szeroki przestwór głosem, przez ogrom powietrza i wysokość bezchmurnego nieba, mówił, szeptał: „...nie zniknęli, tylko po prostu przenieśli się w utysiąkrotnione życie. W pamięć najbliższych, w trwałą pa-

mięć naszego narodu, a także w pamięć tego narodu, który zadaje równie łatwo męczarnie i śmierć innym, jak i sobie samemu. Dla nas pozostaną na zawsze symbolem męczeństwa, dla oprawców wiecznym wyrzutem sumienia i palącym stygmatem wstydu na ich czołach. Dla ich dzieci, i dzieci ich dzieci, aż kiedyś staną twarzą w twarz ze zbrodnią swych ojców i zechcą zrzucić z siebie to hańbiące piętno, i raz na zawsze zejść z drogi barbarzyństwa. I to będzie zasługą tych, których tutaj grzebiemy. Nie płaczcie. Oni są martwi, ale nie umarli. Nie są zamknięci w ziemi, ale wolni od ziemi. Nie ziemią przywaleni na zawsze, ale z jej czarnego wnętrza powstający, by wejść i pozostać w każdym z nas. Rozproszeni w rozkładzie, ale też i w naszym doczesnym życiu, w naszych smutkach, radościach, w gniewie, w łagodności i dobroci, w naszych wzlotach i upadkach, zarówno w naszej podłości i małości, jak i doskonałości, sprawiedliwości, szlachetności i miłości, we wszystkich naszych namiętnościach i czynach, tak we śnie, jak i na jawie. Są również w niezliczonych cząstkach otaczającego nas życia: w mroku i brzasku, w kwiatach i gałęziach, w drobinach powietrza i promieniach słońca, w rosie i deszczu, wietrze, szelestach nocy i dębowych liściach. W nieustającym, niepowstrzymanym życiu, w biegu czasu do kresu barbarzyństwa i do *prawdziwej wolności*. Są we wszystkim stanowiąc z nami, żywymi i tymi, którzy przyjdą po nas, nierozdzielną jedność. Choć już bez serca, które by krwawiło z ran...". A Paweł myślał, jakby na przekór słowom zakonnika: „On jest blisko, jest tutaj gdzieś tak bardzo blisko, że czuję niemal jego oddech, ale tylko tutaj... Tylko tutaj...”, zaciskając w dłoni wilgotną, chłodną grudkę ziemi, zanim ją tam w głąb rzucił.

Później dół był już zasypany, ziemia uformowana w prostokąt, ubita łopatami i ci wszyscy ludzie przybyli tutaj aż z drugiego krańca Polski i towarzyszący w pogrzebowym obrządku, rozchodzili się raz jeszcze do miejsc, gdzie leżeli ich najbliżsi: mężowie, synowie lub bracia. Nastąpiło prawie popołudnie, gdy Paweł z sędzią zeszli ze wzgórza i zanurzyli się powtórnie w tamtą trupią woń. Ten znany im już mężczyzna w białym kitlu, czekał na nich na ścieżce. Poprowadził ich przez las do leśniczówki. Wuj o coś zapytał, czego on, Paweł, nie dosłyszał, usłyszał jednak odpowiedź tamtego. Mężczyzna mówił, że niebawem skończą wszystkie prace, że już tu niebezpieczeństwo, lasy pełne sowieckich partyzantów i front niedaleko. „Niemcy twierdzą, że powinniśmy znaleźć tu jeszcze sponad dziesięć tysięcy zabitych jeńców z obozów Starobielska i Ostaszkowa. Ale nie... Dotychczas znajdujemy w ziemi tylko tych, co siedzieli w Kozielsku. Może będzie ponad cztery tysiące ciał. Żadnych innych. Oczywiście, mówię o na-

szych. Bo obcych tak. Okoliczne lasy pełne są mogił. Gdzie tylko spróbować pokopać, tam ktoś leży. Ale to Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy, no, w ogóle, sowieccy ludzie. Tutaj było miejsce ich kaźni już jakieś piętnaście lat wcześniej. Teren był ogrodzony i należał do enkawude”. Ale na nowej polance ukazała się leśniczówka.

Wartownik przepuścił ich nie legitymując, a dopiero wewnątrz, ten w białym kitlu wytłumaczył jednemu z Niemców, po co ich przyprowadził. Po chwili byli w obszernej, dobrze wybielonej wapnem izbie, wzdłuż stołu stali ludzie przeglądający jakieś papiery, fotografie i przedmioty, ten w białym kitlu wyszedł, zaraz wrócił niosąc podłużną szarą kopertę zaopatrzoną w numer, ten sam, jaki już Paweł znał na pamięć, wysypał zawartość koperty na stół i zobaczyli złożoną na czworo stronicę gazety rosyjskiej, parę monet jednozłotowych, strzęp książeczki wojskowej, na którym wyblakłym, pokrytym zaciekami i plamami pismem widniały wypisane Aleksiego personalia, guzik z orzełkiem od munduru i szerniała, przeżartą korozją papierośnicę. „Żadnych listów?” zapytał wuj. „Nie, żadnych. To wszystko” odparł ten w białym kitlu. Paweł wyciągnął rękę, a ponieważ Niemiec stojący po przeciwnej stronie stołu kiwnął przyzwalająco głową, wziął papierośnicę do ręki. Czuł chłód przenikający od przedmiotu na jego dłoń i myślał z niedowierzaniem, że to właśnie to po Aleksym pozostało: srebrna papierośnica inkrustowana kością słoniową, którą Aleksy zabrał ze sobą w trzydziestym dziewiątym roku idąc na front. Ta pamiątkowa, symboliczna niejako papierośnica z wygrawerowanymi inicjałami pradziadka Stefana z datą tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku, którą po pradziadku otrzymał dziadek, po dziadku ojciec, po ojcu Aleksy, a teraz trzymał ją w dłoni on, Paweł.

Później już sami szli z powrotem. Obok baraku feldpolizei, gdzie znajdowało się zainstalowane laboratorium badawcze, stała gromadka ludzi czekających na obiecaną przez Niemców ciężarówkę. W czasie drogi nikt się już nie odzywał. Kobiety nie płakały, ale ich spojrzenia z uporem powracały do umykającego w dal lasu, do uchodzącej coraz prędzej w tył krętej linii szosy, na kraniec horyzontu przekreślonego roztopiającą się w czerwieni słońca kreską. Mężczyźni patrzyli sobie nawzajem w oczy z niemym pytaniem. Ich twarze były jednakowo zamyślane, nieprzystępne, nachylone wciąż jeszcze w głąb tamtej ziemi, gdzie zostawili swych synów i braci, w głąb czasu, kiedy ich stracili, a może wychylone z tego czasu, z jego głębi w niepewną przyszłość, w okrutną ciemność otwierającą się przed nimi, jak otchłań.

Dopiero w Smoleńsku, już siedząc w pokoju Touristenheimu,

wuj się odezwał: „A twoja matka wyobrażała sobie, że wydadzą nam ekshumowane ciało Aleksego i że będziemy je mogli zabrać”, i w jego głosie była nie tylko tamta groza z katyńskiej polany, ale i jakaś gorzka ironia, bo przecież wszyscy oni w Glebach, choć niby wiedzieli, co i jak się stało, inaczej to sobie wyobrażali. Więc odpowiedział wujowi: „Daj spokój, wuju. Wiem, to niemożliwe”. Rozmawiali monosylabami jak gdyby i z dużymi pauzami: „Spakuję walizki”, „Dobrze, wuju”, „Pociąg do Mińska odchodzi za cztery godziny”, „Tak, wiem, wuju”, „Z Mińska podobno też coś mamy w nocy”, „To dobrze, wuju”. Wreszcie walizki były gotowe, formalności wyjazdowe w biurze załatwione, dokumenty ostemplowane i wuj odkręciwszy termos wypił resztkę zwietrzałej, zimnej kawy jeszcze z Gleb. On, Paweł, leżąc wyciągnięty na łóżku palił papierosa, patrzył na podziurawiony mur po przeciwnej stronie ulicy, jak zaciąga się zwolna szarością cienia, aż w końcu zmierzch napełnił również i wnętrze pokoju, tak że jedynie okna rysowały się na ścianie jaśniejszymi kwadratami. Zbliżała się godzina policyjna.

Przez prawie wymarłe miasto, nad którym unosiła się zwierztała woń spalenizny poszli na dworzec; zewsząd tchnęło grozą i przyczajoną śmiercią, w górze warczały samoloty. Gdy załadowany po brzegi pociąg ruszył, zaczęło się sowieckie bombardowanie magazynów przy torach. Ale wkrótce błyski eksplozji przestały wydobywać z ciemności wnętrza wagonu stłoczonych, miotających się w panicznym strachu ludzi, ich przerażone oczy i twarze, wszystko zniknęło, bo nawet głosy umilkły, że gdyby nie rozklebione wokół oddechy pomyśleć by można, że ci ludzie zostali w Smoleńsku, i Paweł pogrążając się w szybki, narastający rytmicznie stukot kół pędzącego pociągu zobaczył ten miniony dzień raz jeszcze, z góry zresztą wiedząc, że i tak nie zaśnie zanim nie zobaczy, a więc zobaczył raz jeszcze od samego początku godzina po godzinie, minuta po minucie, utrwalając w pamięci wszystkie szczegóły na zawsze.

Dopiero nazajutrz późnym wieczorem byli w Krzyżtopolu, a do Gleb zajechali wynajętymi końmi, kiedy już zmierzchało. Potem nastąpiło to, o czym w czasie całej powrotnej drogi wolał nie myśleć, ale znalazłszy się na ganku i słysząc wołanie którejś z ciotek, że już przyjechali, pomyśleć musiał i myślał przez cały czas, kiedy oni wszyscy zbiegali się z pokoiów do sieni i zatrzymywali, spoglądając na nich obu stojących z walizkami w ręku, zakurzonych, brudnych, zmęczonych, udęczonech, w wymiętych ubraniach, ze zmiętymi twarzami, wszyscy ustawieni półkolem o krok lub dwa przed nimi: ciotki Felicja i Wiktorina, matka, Katarzyna, a z tyłu nawet domowa służba. Wtedy to, co chciał

powiedzieć, co wyobrażał sobie, że powie, bo zdanie po zdaniu obmyślał dokładnie w pociągu, nagle uciekło mu z głowy. Patrzył niemo to na matkę, to na Katarzynę, która raptem dotknęła ręką czoła owym zamyślnym gestem, jaki zapamiętał sprzed podróży, potem tylko na matkę. Dopiero po jakimś czasie usławił się sobie, że czekają, aby powiedział cokolwiek, a nie milczał. „Oni nie wydają cią” powiedział tylko. Z trudem wytrzymywał wyczekujący wzrok kobiet. Wiedział, co myślą. „To wszystko prawda” powiedział jeszcze. Potem się cofnął. Potem znowu się cofnął. I jeszcze się cofnął. Potem szedł już do swego pokoju.

IV

Potem był chory. Zresztą może tylko czuł się chory, a przytrafiło mu się zupełnie coś innego. Żeby choć umiał to właściwie nazwać. Parokrotnie myślał o Katarzynie. Nie wiedział dotychczas, że istnieją kobiety, których pamięć zamyka się, zatrząskuje raz na zawsze wraz ze zniknięciem czyjejs fizycznej obecności. Jeszcze nie tak dawno chciał tego, teraz zaś nie mógł pojąć. Przeleżał noc i dzień bez snu. Tak mu się przynajmniej zdawało, że całą noc i cały dzień i że bez snu, bo może dłużej i może spał, i dlatego niewiele pamiętał. Rozważał wiele rzeczy, które niegdyś miały dla niego znaczenie; gubił się w wielorakich domysłach. Lecz najczęściej przychodziły mu na myśl jedynie codzienne zajęcia gospodarskie, w których dotychczas tonął po uszy i które go czekały w przyszłości: te wieczne użerania się z niemieckimi władzami o zarządzane wciąż nowe kontyngenty, zatargi z chłopami, jak zwykle chcącymi cały ich ciężar przerzucić na majątek, że ten i ów donosi, inny zaś kradnie i że następny sezon będzie gorszy niż obecny, bo głód zajrzy na pewno również do Gieb, wieś była przecież ogoławana coraz systematyczniej dla potrzeb Rzeszy i frontu. Czasem czuł krótki, paraliżujący lęk, przeczucie (które nawiedzało go, to prawda, już i dawniej), że nieuchronnie zbliża się wraz z postępującym od wschodu frontem coś, czego nie przewidział, a może tylko nie potrafił przyjąć, co teraz po powrocie stamtąd, z Katynia stało się tak bliskie. Odszukiwał jak gdyby od myśli o tym, odpychał się, w panicznym pośpiechu powracając do spraw najbliższych, codziennych, powszednich, albo przywoływał w wyobraźni Katarzynę i znowu rozważał te różne

rzeczy, które niegdyś miały dla niego tak ogromne znaczenie, a teraz, to już sam nie wiedział, czy tak, czy nie. Domyślał się, że istnieją prawdopodobnie również kobiety, których pamięć nie zatrząskuje się nigdy, przeszłość jest w nich obecna zawsze i takim kobietom zawdzięcza się trwanie, trwałość rodziny, narodu, gatunku, ale że są nimi tylko matki, czy w ogóle kobiety stare.

Kiedy Katarzyna przyszła nazajutrz i przyniosła mu śniadanie, spojrzała na nią bez specjalnego zainteresowania. Najwidoczniej dostrzegła coś w jego twarzy, bo powiedziała: „Co ci jest? Masz pretensje? Może jesteś niezdrów? Chociaż wyglądasz zupełnie dobrze”, i patrzyła nie zmieszana wcale, ze wrokiem bezlitośnie zdającym się mówić: „Chcesz mnie zmusić do płaczu? Myślisz, że jak zapłaczę, to już później będziesz mnie naprawdę miał?”, a gdy wreszcie odwrócił wzrok, powiedziała zaczepnie i głośno: „O co ci chodzi? Co chcesz? Mam może przywdziać żałobę? Twoja matka chciałaby nowe wesele już wyprawić, a ja mam przywdziać żałobę?”. Ale zaraz przestała mówić, bo on uniósł się na łokciach, i zaczęła się cofać, krew prędko uciekła z jej szyi i twarzy, usta otworzyły się, jak do krzyku, a nawet krzyknęły potem. Musiał dopiero zobaczyć te wyskakujące nagle białosine obwódki wokół swych palców na skórze jej ramienia, gdy zdusił, zacisnął, aż poczuł pod przęającym się rozpaczliwie mięśniami twardość kości, i wtedy oderwał się od niej i puścił. Początkowo przypuszczał, że zwariował, później zaś sam nie mógł zrozumieć, o co mu właściwie poszło.

Leżąc samotnie w półciemności i półświecie wdzierającym się z zewnątrz przez listwy rolet, w upale nie wietrzonego od paru dni pokoju, wchłaniał w siebie duszny zapach domu, pościeli, własnego ciała i samotności próbując jednocześnie przeniknąć przez zaporę ścian do zamiarów i pragnień ludzi, którzy tam poza nimi żyli i coś czuli, ale mu się to nie udawało. Znowu tłoczyły się do głowy myśli o gospodarskich zajęciach, które do niego należały i które będzie musiał wykonywać: żniwa, omłoty, reperacje wozów, odstawę kontyngentów do Nikoryczy, wyjazd na targowisko do Krzyżtopola, i wszystko przeżyło się w nim wewnątrz z fizycznej wprost niechęci i wypierania się, jak gdyby już do niego nie należały więcej; w końcu jednak wstał. Myślał, że tylko znieść nie może dłużej ciszy i samotności, że przed nią ucieka, a nie przed samym sobą, i to dobrze, iż tak właśnie myślał, bo przecież inaczej pewnie by nie wstał. Później w ogóle nie miał już czasu rozmyślać, kiedy spadły mu na barki te najrozmaitsze żmudne zajęcia, które jednak do niego dalej należały. Wnet doszedł nawet do wniosku, że nic się nie wydarzyło takiego, co by go od nich zwalniało. I wcale się nie dziwił, że życie

w domu toczyło się swoim utartym zwykłym trybem, a tylko przy stole unikano rozmów na niektóre tematy. On też ich unikał. Mówił o cenie zboża i mięsa, o spaleniu przez Niemców lub faszystów ukraińskich jakiegoś futoru w pobliżu. Wuj August mówił o kolejnych doniesieniach niemieckich gazet na temat śmierci generała Sikorskiego, komentował je, zastanawiał się, czy wierzyć ich wersji zamachu na życie naczelnego wodza, czy nie i co opowiadają ci, którzy słuchają pokątnie radia Londyn. Śmierć generała budziła nową grozę i troskę, rodziły się różnorakie zwątpienia. Z kolei on, Paweł, mówił o zasłyszanych akcjach partyzantów przeciwko banderowcom i Niemcom, oraz o sen spędzającej ludzom z powiek penetracji terenu przez oddziały bolszewickie. I co na to Akowcy od Laudańskiego, z którymi miał od dawna bliskie kontakty. Że ustosunkowują się nieufnie, wyczekująco, i że Bóg raczy wiedzieć, co będzie dalej.

Gdyby umiał spojrzeć na własną osobę od zewnątrz, zobaczyłby siebie, jak gdyby w nieskończonej ilości milczących, lub — zależnie od sytuacji i konieczności — gadatliwych wcieleń skazanych na ruch, pracę, interesy, krzątanie, staranie się, zapobieganie, na wykonywanie obowiązków, które były niegdyś obowiązkami ojca, potem Aleksego, a teraz jego. Zobaczyłby siebie skazanego na żelazne respektowanie praw życia, które wybrali i do którego przywykli od lat cokolwiek się działo wokoło i miało działać, popychanego przez nawyk, upór i odwagę na przemian opadającej i rosnącej rozpacz, przez rozpaczliwą odwagę, której nie musiał nikt w nim podniecać ani hamować, bo wynikała z doświadczenia zrosniętego z tą ziemią i chociaż nie uświadomiana, była przecież niewyczerpanym źródłem mocy i chęci przetrwania. Bo był zbyt młody jeszcze, aby w owych zapobiegliwych swych wcieleniach dostrzec zwykłą powolną pracę mechanizmu tak dawno temu puszczonego w ruch, że teraz już tylko napędzanego starym nawykiem.

To było już chyba z kilka tygodni po wyprawie z wujem Augustem do Katynia, kiedy zetknął się z Katarzyną znów sam na sam. Po południu rozmieszczał gdzie się dało po okolicy pogorzalców z Herniaków, które powtórnie już w ciągu miesiąca naszli bulbowcy*; część rodzin ulokował u samodzielnych gospodarzy, część w zabudowaniach przyfolwarcznych i u robotników gorzelnianych. Był zmęczony. Tego dnia pracowano na najdalej od Gleb wysuniętych w kierunku lasów polach i mimo ochrony

* Bulbowcy — jedno z faszystujących, nacjonalistycznych ugrupowań ukraińskich.

oddziału „samoobrony”*, który ze skraju lasu strzegł chłopów, doszło parę razy do wymiany strzałów z reżunami. Był bardzo zmęczony.

Po powrocie wieczorem do domu wszedł do biblioteki i zamknął się na klucz. Po jakimś czasie dopiero wziął do ręki książkę. Siedział potem nad nią głodny i zastanawiał się nad skutkami zawiązującego się romansu: „... nie spuszczał uśmiechniętych oczu z twarzy, z szyi, z obnażonych rąk Nataszy. Natasza wiedziała z całą pewnością, że jest nią zachwycony. Było jej przyjemnie, jednakże w jego obecności czuła jakieś przygnębienie i skrępowanie. Kiedy na niego patrzyła, wiedziała, że patrzy na jej ramiona i mimo woli przechwytywała jego spojrzenia, chcąc, by raczej patrzył w jej oczy. Ale patrząc mu w oczy czuła z przerażeniem, że między nim a nią zupełnie nie istnieje ta przegroda wstydlivości, jaką zawsze czuła między sobą a innymi mężczyznami. Po upływie pięciu minut, sama nie wiedząc jak, czuła się przerażająco bliska temu człowiekowi. Kiedy się odwracała, ogarniał ją lęk, by z tyłu nie ujął jej za rękę i nie pocałował w szyję. Rozmawiali o rzeczach najzwyczajniejszych, a jednak czuła, że są sobie bliscy, jak nigdy blisko nie była z mężczyzną. Czasem Natasza oglądała się na Helenę i na ojca, jak gdyby ich zapytywała, co to ma znaczyć; lecz Helena była zajęta rozmową z jakimś generałem i nie odpowiedziała na jej spojrzenie, wzrok zaś ojca nic jej nie powiedział prócz tego, co zawsze powiadał: 'Jest ci wesoło, no to się ciesz'”. I może w tej chwili nie tylko jego myśl była nieobecna, ale on sam także. Powinien był przecież usłyszeć ów dźwięk, który jeszcze przed kilkunastoma dniami zaledwie, byłby przez niego tak oczekiwany i który zelektryzowałby wszystkie jego zmysły, ów dźwięk znany na pamięć, niejako wtopiony w rytm krwi usłyszeć był winien wcześniej nawet niż wówczas, kiedy on naprawdę zabrzmiał, gdyż osoba, od której pochodził, a która go wzbudziła w ciszy, wcale o nią nie dbała, ani również o ostrożność. Może zresztą usłyszał, nie poruszył się jednak. Jego myśl bowiem, wymijając różne zakręty własnych porażek i zwycięstw, powędrowała daleko w głąb lat, kiedy po raz pierwszy jako chłopiec zastanawiał się nad obu mężczyznami w życiu tołstojowskiej Nataszy i zaraz przybiegła z powrotem do rzeczywistości, do tego dnia, nocy, świtu, kiedy ostatnie jego zwycięstwo i porażka zarazem, były najokrutniejsze, a przecież prawie zapomniane teraz, mimo bliskości, choć już słyszał w sobie jakiś ostrzegawczy głos: „Za chwilę będziesz czuł za

* „Samoobrona” — oddziały spontanicznie tworzone po wsiach za zgodą Niemców; otrzymywały od nich pewien przydział broni.

chwilę te słowa nie zostawiaj mnie samej powiedziała wtedy będziesz czuł jak zawsze on jeszcze nie cichnie on nigdy i rozpacz i oczekiwanie i łzy ciepłe słone ustami wszeptywane w nieprzeniknionej ciemności zawsze za chwilę”, a potem poruszył się i chciał wstać. Nie zrobił tego jednak. Ów miękki odgłos stóp w nocnych pantoflach zbliżył się bowiem przez korytarz i wreszcie zmiłkł u drzwi.

Usłyszał chrobot klamki i, nawet nie odwracając się, widział, jak opadała ku dołowi. Także, jak zatrzymała się na chwilę i trwała — natrafiwszy na opór zamka — zatrzymana, jakby w nagłym zdumieniu, może tylko w zadumie, aż w końcu zaczęła się podnosić, powracać do swej dawnej pozycji bez poprzedniego chrobotu, ostrożnie i czujnie. I zaraz ten, co przedtem, głos wrzasnął w nim: „Widzę czuję to więcej to nie jest potrzebne to kiedyś może to nie teraz to nie” i znowu było tamto: „*Hrabianko, przyjdzie pani na wentę? Proszę przyjechać — rzekł i wyciągając rękę do jej bukietu, powiedział zniżonym głosem — Vous serez la plus jolie. Venez, chère comtesse, et comme gage donnez moi cette fleur. Natasza nie zrozumiała, co powiedział, podobnie jak on sam również, poczuła jednak, że w jego niezrozumiałych słowach była nieprzyzwoita intencja. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, odwróciła się, jak gdyby nie słysząc tego, co powiedział. Ale zaledwie się odwróciła, pomyślała, że on jest tuż za nią, tak blisko niej. No i co? Zawstydzony? Rozgniewany? Czy trzeba to naprawić? — zadawała sobie pytanie. Nie mogła się powstrzymać, żeby się nie obejrzeć. Spojrzała mu prosto w oczy, a jego bliskość i pewność siebie, i dobroduszna tkliwość uśmiechu pokonały ją. Uśmiechnęła się zupełnie tak samo jak on i patrząc mu prosto w oczy. I jak poprzednio poczuła ze strachem, że między nim a nią nie ma żadnej przegrody”. A wtedy ponownie posłyszał tamten znajomy dźwięk, choć właśnie „*Kurtyna się podniosła i Anatol wyszedł z łoży spokojny...*”, ale przecież posłyszał go i odwrócił się, tym razem bowiem zabrzmiało on u drzwi łączących bibliotekę z gabinetem, których na klucz był nie zamknął. Stały one teraz już otworem i ona w nich stała, Katarzyna, mrużąc oczy od ostrego światła, ubrana w seledynowy szlafrok w paski przewiązany ciasno w talii, z twarzą cichą, poważną, nawet łagodną. I jeśli jeszcze przed chwilą zdawało mu się, że to wszystko ma dawno poza sobą, niby linią graniczną, odcięte trupem brata, nie wyobrażonym, ale ujrzanym w rozkopanym dole w trupach innych, spadło na niego znowu z taką samą, jak przedtem, siłą, choć powiedział, a właściwie szepnął, sam ledwo siebie słysząc: „Nie, nie teraz, nie”. Ona zaś stała przy drzwiach ciepła, łagodna w świetle, które załamywało się*

miętko, kiedy odsunął gwałtownie lampę nie panując nad rękami, tak łagodna, ciepła, nieuchwytna zarazem, jak może być jedynie sylwetka młodej kobiety przygotowującej się do snu, i patrzyli na siebie dłużej może, niż kilkanaście sekund, nie mogąc oderwać wzroku, oboje w podobnej postawie, tyle że on: z książką w rękę, a ona: jeszcze z dłonią na klamce, aż powiedziała: „Już późno. Po jedenastej”, jak gdyby nie miała mu nic więcej do zakomunikowania nad te dwa niewiele znaczące zdania, których jednak komunikowanie co wieczór do niej już teraz wyłącznie należało. I wtedy powiedział: „Nie mogłem matce w twojej obecności powiedzieć tego co tam widziałem. Nie mogłem przy tobie. Rozumiesz? Inaczej nie mogłem. Po tym wszystkim, co przedtem... między nami... Nie mogłem inaczej” i urwał, zamilkł, bo od razu zrozumiał, że się pomylił sądząc, iż ma to dla niej jeszcze znaczenie, drgnęła bowiem i musiała upłynąć spora chwila zanim stamtąd, dokąd ją owym przypomnieniem Aleksego popchnął, powróciła. Odezwała się, patrząc poważnie: „Sam tego, co zaszło, chciałeś. To przecież ty chciałeś”, spokojnym, trochę gardłowym, głębokim głosem i jeszcze raz: „Już po jedenastej, Pawle”, następnie się cofnęła nie zamykając drzwi. Jej oddalające się kroki zwolna wsiąkały w ciszę i po jakimś czasie postąpiła odległe uderzenia zegara wybijającego kwadrans po jedenastej, potem pół do dwunastej i potem następny kwadrans, a wtedy dopiero zamknęła książkę, choć od momentu, kiedy Katarzyna przyszła, stała w drzwiach i mówiła, że już późno, nie przeczytała ani litery; zamknął zakładając uprzednio skrawkiem gazety stronicę, zgasił lampę, po omacku otworzył z klucza drzwi na korytarz i wyszedł.

Dom był ciemny, uśpiony, miarowo chrobotwały zegary. Nasłuchiwał przez chwilę pełen jeszcze tamtego napięcia i wzburzenia, ale kiedy tak stał bez ruchu, a dom był cichy, tylko te zegary, wszystko się w nim uspokajało. Wiele niedawno tłoczących się do głowy myśli wydało mu się teraz zupełnie niezrozumiałych; znowu jako tako rozumiał tylko te, które dotyczyły jutrzejszych zajęć na folwarku, skąd wziąć parę cetnarów dodatkowo mąki dla pogorzalców z Herniaków, a skąd kocy i sienneików. Zrobił ruch, jakby chciał się zagłębić w korytarz po przeciwnej stronie domu i pójść do swojego pokoju. Lecz zrezygnował. Nie znajdował zresztą żadnego uzasadnienia dla tego przedkierowania, bezszelustnego, lekliwego nieledwie własnego cofnięcia się w głąb sieni, a nawet nie próbował znaleźć, i otworzywszy drzwi na dwór, wyszedł przed ganek. Kiedy się obejrzał za siebie, w jednym z okien płonęło mdłe światło nocnej lampki. Rolety nie były opuszczone, więc zauważył na ścianie cień przesuwającego

jącej się od czasu do czasu kobiety raz w jedną, raz w drugą stronę, w powtarzającym się rytmie kroków, lecz ani razu nie zobaczył jej naprawdę, tylko ten cień. „Ona nie śpi, czeka. Ona nie śpi” myślał, ale już teraz prawie obojętnie. Potem pomyślał, że może to wcale nie krążąca po pokoju Katarzyna, a cień firanki jedynie, chwiejącej się w podmuchach łagodnego wiatru i to go jeszcze bardziej uspokoiło. W końcu tamto światło zgasło. Dom stał się ciemny od krańca do krańca, zmieniając się w bezkształtną bryłę i przestał przyciągać uwagę. Minął park, bramę, wyszedł na drogę i popatrzył na wieś. Też była ciemna, nieprzenikniona, a tylko daleko, gdzieś w przysiółku Czartoriusów, w jednym z ich futorów iskrzyło się odosobnione małe światło. Świerszcze, które cichły gdy szedł, otaczając się nagłym kręgiem tchórzliwego, ostrożnego milczenia, zaczynały natychmiast grać znowu, gdy tylko przechodził dalej, a gdy się był położył w trawie nie opodal stawów, to jeszcze raz zacichły dookoła na chwilę z tą swoją zasłuchaną, wyczekującą czujnością, aż wreszcie przyjęły go i zagrały już głośno i nieokiełznanie.

Nie ruszał się długi czas, później rozpiął marynarkę, przeciągnął się i spojrział w niebo: od jego bezdennej otchłani odpadały co jakiś czas gwiazdy, ale nie wypowiadał w myśli żadnych życzeń, nawet tych opadających i ginących gwiazd nie liczył, po prostu patrzył na nie. Nie odczuwał teraz żadnej przykrości, samotność pierwszy raz od paru dni nie ciążyła wcale. Leżał przylegając do niewidocznej ziemi zwilżającej się nikłą rosą, nie widział wokół siebie nic prócz pokazujących się tu i ówdzie robaczków świętojańskich i wyczuwał ciemność, jak przenikała ku niemu przez marynarkę i spodnie docierając do piersi, pachwin, nóg, rąk i że jest gorąca, gęsta, trochę wilgotna, a gdy przewrócił się na brzuch, ogarnął go prócz tego jeszcze ciężki, tłusty zapach żywej ziemi wyprażonej całodziennym słońcem. Było bardzo dobrze. Ramiona skrzyżował na ziemi i opierał na nich głowę. Wdychał zapach ziemi rozszerzonymi nozdrzami i myślał: „Żebyś mógł tu zostać i nigdy nie wracać do domu. Żebyś choć nie musiał w oczach tej kobiety widzieć swego wstydu. To prawda, jeszcze niedawno chciałem... To prawda. Ja chciałem, nie ona. Jakże byłem głupi, brutalny! Jego śmierć była dla mnie teoretyczna. Cokolwiek sobie myślałem, musiałem dopiero zobaczyć! O Boże, jakże mogłem nie odczekać! Nic tego już nie cofnie. Nawet jeśli teraz nie chcę”. Ale myśli te gasły w nim, zanikały, nawet nie musiały ich tłumić siłą, same zanikały, jak gdyby nocna ciemność miała kojące właściwości. Potem bardzo daleko, dalej, niż migoczące światełko w jednym z czartoriusowych futorów, rozsypała się gdzieś z chrzęstem seria maszynowego pistoletu.

Nie podniósł jednak głowy, aż dopiero, gdy nastała cisza pełna świerszczy tylko i syku trącej się trawy. Nie zobaczył wtedy już nic prócz ciemności i wysoko nad nią roziskrzonego nieba. Poczul się znowu wolny. W końcu zasnął.

Kiedy się obudził, ubranie pokrywał mu jeszcze miękki nalot rosy, krople srebrzyły się w szwach i załamaniach, a bladawa mgiełka zasnuwała powierzchnię pobliskich stawów. Miał uczucie, że jest nadal spokojny, choć coś się w nim stępiło; nie mógł sobie zrazu zbyt dokładnie przypomnieć przyczyny, dla której spał na dworze. Powrócił przez park i wszedł bocznym wejściem, gdzie była kuchnia. Kucharka rozpalała właśnie ogień dmuchając w otwarte drzwiczki pieca i zażawionymi oczyma spojrzała na niego nieco zdumiona, lecz otworzywszy szpiżarnię, sam zabrał się do przyrządzania sobie śniadania. Dopiero znacznie później, gdy podała mu filiżankę gorącej kawy, pojął, że cały czas, kiedy jadł, ona mówiła do niego, był jednak zamyślony, albo po prostu jeszcze nie rozbudzony do końca i musiała parę razy powtórzyć, zanim doszło do jego świadomości, że kuzyn Czerestwienski pojechał wczoraj rano odwiedzić państwa Humięckich z Białej i nie powrócił na noc. Patrzył na nią bezmyślnie, potem wstał; zapomniał o jej słowach natychmiast.

Niebo zaciągnęło się mlecznym oparem, przez który ledwo przezierało słońce, zbierało się na burzę, od strony Tuczapska jechały właśnie wozy, szli też piesi niosący tłumoki, poboczem drogi gnano stadka bydła, a stary stelmach Hanczar pracujący na podwórzu mówił, że ludzie, którzy ciągną przez wieś, uciekają do Hłowki Tatarskiej — stacjonowały tam węgierskie oddziały pomocnicze i przy ich boku wydawało się niejednym bezpieczeństwu. Paweł siadł przy murze ogradzającym folwark, żeby wypalić w spokoju papierosa; myślał o konieczności wzmocnienia w najbliższym czasie miejscowej „samoobrony”. Również, że trzeba co prędzej do Krzyżtopola wysłać wuja Augusta, aby dla „samoobrony” wydusił od Niemców parę dodatkowych sztuk broni i nieco amunicji. Od czworaków zalatywało słodkawockliwie buchtami na drożdżach, kury czochrały się w stosach popiołu pod płotami fernalskich ogródków, a kundle, nieczułe na natręctwo much wążących im do oczu i nosów, śliniąc się z gorąca spały na przychaciach. Gdzieś na widnokregu błysnęło. Ale za wsią, za pasami hreczysk i ogrodowizny kosiarze docinający resztki pszenicy i jęczmienia nie ustawali w robocie, a widoczni tu i ówdzie pojedynczy chłopci, zajęci przierzucaniem pługami wypasionych bydem ściernisk, popędzali tylko niecierpliwiej swe konie i woły. Kiedy tak patrzył teraz na nich, wszyscy ci ludzie jednakowo wydali mu się jacyś wykoszlawieni, pokraczni, zniekształceni pra-

cą, tymi swoimi powolnymi, uciążliwymi zajęciami wiejskimi (oracze z pługiem zadzierający wysoko w górę lewe ramię, gdy tymczasem ich korpus skręcał się ostro w pasie, a także kosiarze, ponieważ przy kośbie trzeba twardo wesprzeć się w ziemię, na kabłąkowatych szeroko rozstawionych nogach, kolanach natomiast ugiętych, nawykłych tak bardzo do rozkroku, że potem przez długie godziny nie będą się chciały zewrzeć na powrót) i robili wrażenie nieomal odczłowieczonych. A jednak zdawał sobie sprawę z tego, że było w nich coś innego również. Gdy szli przez pola pochylając ciało, ogołocając tę żyzną ziemię ze zbóż, z plonu, pod który wysiali ziarno wiosną lub zesłą jesienią, gdy tak posuwali się twardo, rytmicznie i miarowo, to z całej ich postawy emanował jeszcze spokój i pewność. Próbował odgadnąć, który spośród nich, stanowiących nieodłączny element okolicznego krajobrazu, związanych z nim odwiecznym biologicznym rytmem żmudnej pracy od świtu do popołudnia, czy nawet zmierzchu, kiedy umyć i w świeżej koszuli zasiądną dopiero do stołu, a potem siedząc na przyzbie w okrawki gazety skręcać będą machorkę, prostować grzbiety, gadać z sąsiadami o wojnie, jutrzejszej robocie, komunistach, hitlerowcach, antychrystach, aniołach, narodzinach, śmierci i tym, co się we śnie zjawia też — który z nich, myślał, próbował odgadnąć — kiedy już zmrok zapadnie, wyciągnie z za belki na strychu otrzeza, odwinie go ze szmat, złoży i, kazawszy wpierv swej kobiecie od wewnątrz podeprzeć koromystem drzwi, wymknie się z nim chyłkiem w tę ciemną i zacichłą noc, która rozświetni się wkrótce wystrzałami i zrudzieje łuną. Ale nie znajdował odpowiedzi. Naprawdę, to znał paru, może parunastu, reszta zaś stanowiła dłań, choć współżył z nimi od dziecka, bezimienną jak gdyby masę, bez twarzy i wnętrza. I nieodgadnioną, i posepną.

Na odgłos kroków od strony zabudowań folwarcznych, odwrócił się i ujrzał ekonoma Waśkowskiego. Biegł on ku niemu zdenerwowany, jakby miał do zakomunikowania wiele ważnych nowin. Wtedy tknięty jakimś przecuciem, przypomniał sobie, co mówiła rano kucharka, gdy jadł śniadanie. Ze Piotr Czerestwienski nie powrócił na noc, a przecież ubiegłego dnia pojechał był z wizytą do Humięckich do Białej, i zaraz, kiedy to sobie tylko przypomniał, pomyślał: „Katarzyna czekała. Więc to tak, czekała na Piotra...”, i nagle posłyszał swój zduszony, ironiczny, zły śmiech. Potem ruszył naprzeciw staremu Waśkowskiemu; przecucie go nie myliło, to z czym tamten biegł, dotyczyło kuzyna, bo oznajmił mu, że na Humięckich było nocą najście rezunów, że je odparto, a panicz Czerestwienski dopiero co z Białej przyjechał. Ale jego, Pawła, już nie interesował los

Białej, „Czekała! Więc to tak! Czekała! Na tego szczeniaka! A mnie się zdawało...”, i stał, jak rażony prądem, tak że Waśkowski zauważywszy coś w jego twarzy, zamrugnął wypłowiałymi rzęsami i cofnął się zaniepokojony.

Dopiero w domu uprzytomnił sobie, że jakkolwiek myślał ostatnio o wielu rzeczach, to o kuzynie wcale. Usunął go ze swej świadomości zupełnie. I dlatego być może był tak bardzo zaskoczony. Mimo że przecież od razu po powrocie z Katynia dowiedział się był, iż Piotr po tamtej swojej ucieczce przywieziony do Gleb, w Glebach rozgościł się na dłużej. Lecz wówczas w ogóle nie zastanawiał się nad przyczynami Piotra decyzji, być może celowo unikał myślenia o kuzynie. Nawet owego wieczoru, kiedy siedzieli w saloniku w pobliżu lampy w chińskie smoki, której nikt nie zapalił, kiedy wuj August opowiadał głosem pełnym przymusu, przypominającym jemu, Pawłowi, do złudzenia głos poznanego w Smoleńsku zakonnika, matka zaś nie płakała i Katarzyna również nie, on natomiast, Paweł, patrzył w oczy kuzyna wbite w siebie, nieruchome, czarne jak dwa okrągłe otwory, w których nie było odrobiny żalu, ani gniewu, jedynie pokora. I dopiero w tejże chwili błysnęło w jego głowie pierwsze przelotne zainteresowanie, co mogło się dzieć podczas tamtego opowiadania w duszy chłopaka. Lecz natychmiast wygasło ono, bo w ogóle nie było już ważne. I zaraz potem był w pokoju ciotki Felicji, gdy ona to właśnie odemknęła drzwi i poprosiła go gestem dłoni do środka, kiedy tylko do domu wszedł, jakby już tam w tym pokoju na niego od dawna czekała, wiedząc, że przyjdzie. I istotnie. Jej również chodziło o Piotra. Powiedziała mu, że kuzyn Czerestwiński ze swym powrotem do Czupryni wcale się nie śpieszy, bawiąc się w odwiedzanie ocalałych w okolicy sąsiadów; Mikołaj Fiodorowicz telefonował w tej sprawie parokrotnie. I że wprawdzie nie chce ograniczać swobody dorosłego bądź co bądź chłopaka, to przecież ma pretensje o te samotne włóczędzy mogące na jego wnuka sprowadzić Bóg wiedzieć raczej jaką biedę. Wspomniała również o ostatniej nocy. Że co by to było, gdyby Humięckim nie udało się przy pomocy nadbiegłych z lasu partyzantów pogromszczyków odeprzeć. Że trzeba z tymi Piotra wędrownkami skończyć. Paweł jednak, siedząc jak najcierpliwiej naprzeciwko ciotki, słuchał jej niezbyt uważnie. Z trudem myślał: „Ciotka stara się to ukryć przede mną. Ona wie o związku tych dwojga. Ona się boi. Stara się to ukryć przede mną za pomocą słów”. Później jednak myślał tylko jedno: „Mogłaby mi tego oszczędzić”. I wtedy zapytał, co robiła w ostatnim czasie Katarzyna. „Co robiła, kiedy nas z wujem tu nie było”, oto jak zapytał, jeszcze dość spokojnie.

Potem wstał. Wynurzył się z cienia, okrążył pokój. Zapalając w otwartym oknie papierosa, zauważył na wybielonej suszą ścieżce wywróconą konwię do podlewania rabatów; resztką wody przekreśliła zwirowisko ciemną smugą przez pół, a blaszane dno świeciło, niby lustro. Wiedział, że ciotka Felicja nadal siedzi przy stole i mu się przygląda, ale jej odpowiedzi nie posłyszał. Potem sobie uświadomił, że choć przedtem słuchając jej czuł, iż słucha nieuważnie, to jednak usłyszał i zapamiętał wszystko, co mówiła od początku do końca dokładnie, i to go zrazu zdziwiło. Odwrócił się od okna i pytanie powtórzył. Znowu z wysiłkiem, lecz jak najspokojniej, nie podnosząc wcale głosu. I patrzył na ciotkę (jej plecy okrywał kaszmirowy szal skrzyżowany na płaskich piersiach, ręce skrzyżowane miała na szalu, dłonie ukryte w jego fałdach) i myślał: „Ona naprawdę się boi”, bo spoglądała nie wprost, a gdzieś poza niego i tak, jakby odgadła wszystko, ale teraz pod wpływem jego pytania jej oczy zmieniły się i było w nich przekonanie, że należy mu się współczucie, nawet był już w nich lęk jawny, rozbieganie źrenic prędkie, nie ukrywane, kipiące, gdyż jej lęk nabierał, w miarę jak on milczał, odwagi i się przed nim demaskował. Dlatego nie powtórzył pytania po raz trzeci. Nagle coś się takiego stało, że nie chciał słyszeć żadnej odpowiedzi; poczuł znużenie. Nie, nie należało mu się współczucie, cokolwiek Katarzyna robiła, kiedy był nieobecny. Przecież od rana, kiedy przebudził się w trawie, już nie znajdował w sobie poprzedniej szarpaniny i czuł się wolny. Ale mimo to, wychodząc od ciotki (nadal siedzącej bez ruchu ze skrzyżowanymi na szalu ramionami, dłońmi zaś ukrytymi w jego fałdach) pomyślał, że gdyby wtedy w tamtą środę wiedział, że Piotr pozostanie w Glebach po owym dniu, kiedy go przywiózł, znalazłszy w szopie nad Sertem z Laudańskiego ludźmi, to być może nie pojechałby do Katynia wcale, albo może jadąc, wysiadłby w połowie drogi na jakiejś stacji i zawróciłby, „Może pojechałbym gdziekolwiek bądź, byle w przeciwnym kierunku”, oto jak pomyślał błyskawicznie, „Niechby ona pojechała do tych trupich dołów. I niechby zobaczyła, co sama winna była zobaczyć”, ale poruszał się powoli, spokojnie i jego myśli po chwili uspokoiły się także. Potem nawet zrozumiał dlaczego tak się działo. Groza, przez którą musiał niedawno przejść na polanie katyńskiej rozlewała się wciąż jeszcze na ich powierzchni, niby oliwa na powierzchni wzburzonego morza. Choć już teraz wiedział, że pomylił się rano sądząc, że jest wolny. Powtarzał z żarliwością: „Żeby tylko Piotr zdążył sam wyjechać stąd, zanim będę musiał cokolwiek zauważyć i coś z nim zrobić”, mimo że nie miał żadnych złudzeń, że się to samo nie spełni.

Widział matkę przechadzającą się samotnie w głębi ogrodu, która pełna zamyślenia zmierzać właśnie zaczęła cienistą stroną alejki ku domowi. Przypuszczał: niebawem rozlegną się uderzenia gongu wzywające domowników na obiad. Będzie musiał się do stołu, przy którym zasiądą również Katarzyna i kuzyn, i będzie musiał patrzeć na nich oboje razem, już czując, kiedy tylko o tym pomyślał, cały wysiłek, na jaki winien się natenczas zdobyć, ażeby opanować twarz, wzrok i gesty. Matka zapyta pewnie, co robił przez przedpołudnie, czy porozmieszczał gdzieś te nowe partie pogorzalców z okolicy, albo czy rozmówił się był z sołtysem o rozdział na chłopów zbożowego kontyngentu, czy też wreszcie: co zrobi, jeżeli oni odmówią i Niemcy zagrożą karną ekspedycją, i to wydało mu się dobre, że będzie go pytać i z góry zastanawiał się, jakie kłamstwa przygotować na tę okazję. Widział nawet za parkanem warzywnika kuzyna Piotra stojącego na skraju grobli, skąd obrośnięte łożami stawy ciągnęły się aż ku zabudowaniom gorzelni, gapiącego się na wodę i wystające spośród liści białe nenufary, gdy tymczasem z daleka niósł się głuchy pogłos tętentu konia z ciężarem na grzbiecie. Gdy jeszcze bardziej wystawił głowę przez szczyrbę w murze, ujrzął na drodze od Iłłowki Tatarskiej cwałującego jeźdźca. Wyszedł za stajnię, przeskoczył po deskach smrodliwe rozlewisko kałabani i wspiął się na stos wysuszonych dyli, a potem patrzył długo, aż samotny jeździec wynurzył się zza drzew, podjechał do głównej bramy i ściągając wodze, rozejrzał się w krótkim wahaniu. Widział dokładnie kuzyna Piotra tam nad tą wodą i bliżej owego nieznanego widział jeszcze dokładniej: juchtowe, obielone pyłem przydrożnym buty tkwiące twardo w strzemionach, sztruksowe rajtki podszyte ceratowymi flekami, dopasowaną bluzę bez koloru przepasaną na wskos przez pierś kitajką z patronami i otrieb u kulbaki, niczym nie zamaskowany, a także niezbyt rośłego pod jeźdźcem, za to jak ze stali kozackiego mierzyna, który znalazłszy się na odkrytej przestrzeni, chrapnął, zatrząsł grzbietem i zaczął się boczyć, dźgnięty jednak butem pod brzuch, wyrównał i miał wejść w bramę, co zdawało się być zamiarem nieznanego, skreślił na groblę ku kuzynowi Czerestwienskiemu. Tymczasem z głębi podwórza zbliżył się stelmach Hanczar, stanął Pawłowi za plecami i powiedział zaszepiony: „Mówią o czerwonych generała Begmy, proszu ja pana, że zza Zbruczca coraz ich więcej się ku nam pcha. Czy to nie aby jeden z takich?”, i przypatrywali się już obaj, jak jeździec zbliżywszy się do stojącego na brzegu stawu Piotra, zagadał doń z wysokości siodła, ten zaś wyrwany raptem z zadumy, zrobił ruch, w którym była chęć uskoczenia w bok, ale się opanował i coś odpowiedział, a później nieznanomy za-

wrócił koniem w miejscu i od razu przechodząc w rozcapierzony, krótki galop, oddalił się ostro w kierunku skąd przybył. Stojąc wciąż jeszcze na kupie dyli, Paweł zastanawiał się nad dziwnymi odwiedzinami, a następnie, że od trzech tygodni ma nad stajnią ukryte w sianie skrzynki z granatami zdobyte z wykojonego pod Meleczem pociągu, których ludzie Laudańskiego dotychczas nie odebrali i że trzeba się ich pozbyć w pewniejsze miejsce. Aż z zamyślenia wyrwał go głos stelmacha, który stęknął cicho: „O tych od Begmy to powiadają, że pokazali się za Nikoryczą, proszę ja pana. Od strony Sasowa”. Odpowiedział dopiero po chwili: „Ten na sowieta nie wyglądał”, a jego myśli, pierwszy raz po rozmowie z ciotką Felicją poruszone, pchnięte do zadychanego biegu, znowu popłynęły powolnie i równo. Ale już teraz wiedział na pewno, że to się skończy lada chwila.

Powiedział do powracającego od stawów Piotra z pewnym przymusem, że bał się, aby ten jakiś, jak mu tam, co na koniu podjechał, jego, Piotra, nie stuknął. Wciąż panował nad sobą, próbując nadać głosowi naturalne brzmienie. Nawet dorzucił na poły żartobliwie: „Taras Bulba, czy co?”. Nie był przecież rozwścieczony, a tylko wiedział, że jego spokój jest pozorny i będzie musiał coś z Piotrem począć, bo dłuższej sytuacji, jaka się wytworzyła, nie można by znieść. Nawet, kiedy Piotr odpowiedział niezwykle chłodno, że to jeden z Kondratowiczów z tego rusińskounickiego zaścianka Sasowiczów, gdzie przecież jeździli kiedyś na polowania, czyżby zapomniał, to ciągle jeszcze głosem niezmiernie zrównoważonym mówił: „Tak, pamiętam. Jeździliśmy do panów Sas-Terleckich. Jeszcze z naszymi ojcami. Pamiętam dobrze. Chciał pomocy? Nigdy dotychczas tamtych wsi nacjonalisci nie nękali. Tylko że my sami pomocy potrzebujemy”, bo myślał, że o to chodziło nieznanemu. Dopiero później stało się to naprawdę. Tę ciepłą krew napływającą nagle do skroni poczuł, gdy posłyszał Piotra, który z obraźliwym chłodem w twarzy i głosie zapytał: „Bałeś się? Żeby mnie nie stuknął? O mnie się bałeś? Co ty mówisz! O mnie nie trzeba się bać”. Dopiero wtedy. Gdy zrozumiał, że zanim uświadomił sobie istnienie owego chłodu i spokoju w kuzyna twarzy, chciał, ażeby zrodził się w niej jeżeli już nie jakiś lęk, to chociaż niepokój, a kiedy stwierdził, że nic z tego nie znalazł, ani nie znajdzie, przyjął to jak obelgę. Pomyślał wściekły: „On nic nie pojmuje, przekłety paniczek. Nic nie pojmuje, co się tu dzieje” i wybuchnął: „A co ty sądził? Uzbrojony człowiek podjeżdża sobie, to miałem myśleć, że przywiózł zaproszenie na wesele? Tu nie Czuprynia, gdzie siedzicie prawie że ufortyfikowani. I na innych papierach, niż my, że nawet legalnie broń posiadacie. Tu toczy się wojna. Och

ty!”, i zaraz znowu powściąganym głosem: „Co chciał?”, a Piotr: „Pytał o gorzelanego Karpatkę”, a on: „Że co, Karpatka?”, a Piotr: „Powtórzyć mu kazał, że dzisiaj go czekają”, a on: „Jak to czekają? Gdzie?”, a Piotr: „W Sokalim jarze przed północą”, a on: „W Sokalim jarze? Jak to w Sokalim jarze?”, a Piotr: „Sam powinieneś wiedzieć”, już do swojego uprzejmego chłodu mieszając jakiś półśmiech, gdy dodawał: „Co, zawadzam ci tutaj, czy tak?”, to on: „Lepiej by było, żebyś się stąd zabrał, zanim nie będziesz musiał powąchać, jak naprawdę śmierdzi karabin”, tym półśmiechem raptem powstrzymany, jak gdyby wróg, którego był uderzył, stał dalej nie tknięty, przyglądając się mu z zadumą, może pobłażaniem, mówiąc tylko: „Jeśli pozwolisz, zostanie do jutra”, że w końcu: „Jak uważasz” burknął, a potem: „Trudno, żebym mógł mieć coś przeciwko twemu pobytowi tutaj, ale ostrzegałem, pamiętaj”, i już, z tą ponurą zaciętością, tym razem nie ukrywana wcale, bezsilny wobec jego chłodu, spokoju, opanowania, wyniosłości nieledwie, nawet na niego więcej nie patrząc, wyminął go i ruszył ku gorzelnianym zabudowaniom.

Wydało mu się, że obecnie od strony dworu naprawdę słyszy wzywający na obiad głos gongu, ale nie, teraz nie potrafiłby z kimkolwiek z rodziny do stołu nawet zasiąść, a co dopiero rozmawiać.

Stanąwszy na placu przy gorzelni, kazał jednemu z robotników sprowadzić gorzelanego Karpatkę. Potem paląc papierosa czekał, aż wezwany nadejdzie i jego dłoń, trzymająca papierosa, przestanie drżeć. Na widnokręgu błyskało już raz po razie. Pomruki grzmotów toczyły się dołem, jak po grudzie, a na pobliskim polu baby ustawiające stertę zwijały się ze snopami niby szalone. Ścieżką pod płotem przekuszytykał kurcząc się kulawy Antypko, ukłonił się i Paweł zastanawiał się przez chwilę, za czym parszywiec szpicluje. Potem w górze zawarczało i zadarłszy głowę odprowadził wzrokiem trzecią albo czwartą z kolei eskadrę ciągnących ku wschodowi Messerschmittów, a kawki zbałamucone odgłosem burzy zmieszanim z warkotem maszyn wzbity się ponad cmentarz z głośnym wrzaskiem i krążyły nad debrą w pobliżu przysiółka Czartoriusów. Gdy gorzelany nadszedł, Paweł był już prawie opanowany. Poinformował go krótko o niedawnych odwieżynach nieznajomego, że on, Karpatka, ma koło północy stanąć się w Sokalim jarze i zamierzał już sobie iść, ale go zastanowiło, że szef glebowieckiej „samoobrony” nawet słowem nie wyjaśnił, co to za sprawa tam w nocy, o co chodzi, a tylko, że dobrze, że wszystko się zrobi, odpowiedział. Stał więc naprzeciw trochę urażony, przypatrywał mu się z uwagą, a potem przypomniał, że już trzeci tydzień leżą na strychu skrzynki z granatami

spod Melecza, że za dużo tego, trzeba by je w pewniejsze miejsce, chociażby do Czupryni Czerestwieskich podrzucić do czasu, aż je Laudańskiego ludzie zabiorą, ale Karpatka znowu tylko, że dobrze, że się zrobi, ani słowa więcej, jak gdyby i ta sprawa nie była rozmowy warta. Wtedy zadał pytanie zupełnie niepotrzebne, niezręczne, nawet głupie. Czy Karpatka ma jakieś nowe wiadomości o swej żonie. I od razu pytania pożałował. Karpatkowi bowiem uciekła od męża wiosną i jak niektórzy powiadali, wiązała się to w jakiś sposób ze zniknięciem ze wsi najmłodszego Czartoriusa. „Wsiąkła, jak woda w ziemię. Gdyby nie to, że stary Czartorius naprawdę nie wie nic tak o niej, jak i o swoim synalku, futór spaliłbym tej ukraińskiej świni”. I wtedy Paweł znowu niepotrzebnie zareagował: „Niechże pan nie próbuje zaczynać z prywatą, panie Karpatka”. Bo Karpatka na to zaczęła: „Jak mam to rozumieć?”. Więc musiał już dalej w to brnąć: „Pańska żona mogła, przepraszam za wyrażenie, panie gorzelany, zwać i ze mną, i z mecenasem Lipskim, bo przyjeżdżał zeszłego roku do pana niejednokrotnie, a chociażby i z młodym Kaniowskim z Iłowki, zresztą z kimkolwiek bądź”. A Karpatka: „Nie bardzo pojmuję do czego pan zmierza”. Więc musiał jeszcze powiedzieć i to: „Proszę nie udawać, panie gorzelany! Czartoriusowie, to tacy sami tutejsi, jak i moja rodzina. Po co zaraz te epitety. Z jakiej racji, u diabła, właśnie wy, przybysze z zachodu kraju uzurpujecie sobie prawo do lepszego reprezentowania polskości na tej ziemi? Czartoriusowie mówią tym samym, co i pan językiem, choć inaczej chwałą Boga”. A Karpatka na to: „Dobrze, dobrze” niechętnie i jedynie dla odczepienia się, „Tak mi się wyrwało. Pan rozumie, trudno się człowiekowi po tym ciosie pzbierać”. Więc wtedy, żeby zmienić temat, Paweł zapytał: „Po co pana ciągną do Sokalego jaru?”, a Karpatka: „Chodzi o jednego takiego z Łoszakowskiego zaścianka. Trzeba go uciszyć, donosi”, więc on: „Na Boga! Dopiero co kogoś tam rąbnęliście!”, a Karpatka: „Widać o tego właśnie za mało. Tym razem o młodego Poczajewa chodzi, Ostapa”, a on milczał, a Karpatka raz jeszcze: „Tak, o Ostapa”, bardziej dobitnie, i nagle powiedział do Karpatki trochę nazbyt prędko: „To moja rzecz. Ja pojedę. Niech pan pilnuje tutaj spraw „samoobrony”, a tam pojedę ja”, czując, jak na samą myśl, co go czeka, wszystko się w nim w środku aż skręca, Karpatka zaś: „Dobrze”, i jego głos był zimny, już wcale nie niechętny, po prostu bezbarwny, „Niech będzie, że to pańska rzecz, ma się rozumieć”. I tak się rozstali. Pod płótem znowu przekuśtykał drobnym truchtem kulawy Antypko, a Paweł znowu odprowadził go wzrokiem, zastanawiając się za czym szpicluje.

„No więc to tak, trzeba będzie płacić” wypowiedział swą myśl półszepetem. Jeszcze raz błysnęło i grzmot eksplodował prawie tuż nad głową. Natomiast jego zmieniony nie do poznania głos był zupełnie pozbawiony siły, stępiony przez pochłaniające, wsysające wszystko, niby wata, powietrze. „Płacić” powtórzył i przypomniał sobie, jak to pół roku temu ludzie z Małych Sud, na jego samego, Pawła, prośbę przyszli któreś nocy z rozkazem Laudańskiego do Gleb i załatwili niemieckiego konfidenta, diaka Mykietę. Nazajutrz znaleziono podziurawione kulami i utyłane błotem ciało kilometr za wsią w nadrzecznych chaszczach, leżące grzecznie, jakby się tylko diaczyna spił, ale tych, którzy go wyciągnęli z chałupy w ciemność i okrągłymi otworami po kulach wypuścili zeń duszę, nikt z miejscowych nie znał i nie mógł o nich drobnego słowa powiedzieć, więc sprawa Mykiety wkrótce przycichła. Teraz jednak trzeba było tamten dług spłacić innej wsi, nie mogącej się samej uporać ze swoim prowokatorem, i to tylko przypadek sprawił, że on, Paweł, znał Poczajewów osobiście, jeżdżąc bowiem do Czupryni albo stamtąd powracając zatrzymywał się u nich niekiedy. Więc choć już zwyczajowo ze szpiclem rozprawiali się ludzie nieznanymi w jego miejscu zamieszkania, ażeby utrudnić późniejsze dochodzenia i odwet, to przecież teraz nie mógł pozwolić na to Karpatce, Karpatka najmniej miała praw do wyrównywania rachunków krzywd na tej ziemi, szczególnie po tym, co powiedział. Czując coś twardego, co zatyka gardło i podchodzi do ust, zakrzusił się. Zawrócił w stronę domu. W plecy smagnął go chłodny powiew wiatru, a nagły, rozkołysany, powłóczył się syk listowia, silny jak uderzenie fali, mimo że niewidzialny, stawiający opór, niby nurt rzeki, gdy człowiek porusza się w wodzie rozgarniając ją ramionami, owionął go orzeźwiająco. Burza rozszalała się na dobre.

W domu dawno było już po deserze. Przy stole w jadalni siedział tylko sędzia osłonięty do połowy gazetą, a przy oknie dopiero, z boczku, obie ciotki pochłonięte rozmową, którą swym wejściem na chwilę im przerwał. Obrzuciły go zdziwionym, pełnym kobiecych zastrzeżeń i uprzedzeń wzrokiem, lecz usługująca dziewczyna podsunęła mu wazę z zupą, a one nachyliły się znowu twarzami do siebie i przestały go dostrzegać. Głosy napływające z sąsiedniego pokoju: matki, Katarzyny i kuzyna (którzy przeszli tam widać po obiedzie na kawę), wydawały mu się zrazu bardzo dalekie. Nie myślał teraz ani o bratowej, ani co Piotra z tą kobietą łączy, nie znajdował w sobie obecnie żadnej zazdrości. Z rozpaczliwą cierpliwością człowieka, który wie, czym się musi zająć i że naprawdę musi (cokolwiek by stanęło mu przeszkodą na drodze nie mogło być przeszkodą dostateczną, aby zaniechał

swego obowiązku), myślał teraz li-tylko o czekającej go wieczorem wyprawie (uporawszy się jako tako z zupą, lecz przy drugim daniu z ledwością przeżuając i przełykając kęsy mięsa, to zaciskanie krtani czując znowu jak wówczas, kiedy mu Karpatka oznajmił, że to o młodego Poczajewa chodzi), aż sędzia, gdy wreszcie ciotki, podziękowawszy znacząco i zbyt głośno, wyszły, odsuwając płachtę Völkischerbeobachtera, pochylił się w jego stronę przez stół i powiedział: „Nowe walki pod Charkowem. Czytałeś?”. Ale rozmowę z wujem podjął dopiero po pewnym czasie. Dopiero, kiedy od tamtych głosów z sąsiedniego pokoju powtórnie się oderwał. „Tak, czytałem”. A wuj: „A na zachodzie wciąż nic. Jakby Anglicy i Amerykanie ołów mieli miast nóg” szybkim, pełnym przeczuć głosem człowieka, który za dużo widział i za dużo pamięta; jego podtrzymujące gazetę palce zdrząły, srebrna zaś dewizka zegarka chwiała się na kamizelce w rytm oddechu, zbyt prędkiego, jak na kogoś kto siedzi nieruchomo. I wtedy Paweł, choć w pierwszym odruchu chciał wujowi odpowiedzieć że ma coś innego zupełnie na głowie, nagle bezwiednie powtórzył: „Ofensywa. Nowa ofensywa ze wschodu” i ogarnął go chłód. Chwila upływała, ten chłód nie mijał i on już wiedział, co to jest: to był strach. Nie umiałby wprawdzie powiedzieć czego się boi, ale raptem jął widzieć siebie, jakby z wielkiego oddalenia i jakby widział człowieka, którego pochłania grzęzawisko. W błyskawicznym, acz mgławicowym skrócie widział te dni pełne pracy i swoich usiłowań, aby się nie dać wciągnąć bezładowi, niemocy i aby przetrwać. I zaraz, niezupełnie jeszcze jasno uświadomił sobie, że dręczyło go od dawna pytanie, czy potrzebnie. Lecz zaledwie o tym pomyślał, twardy głos odezwał się w nim wewnątrz: „Już czas, żebyś wstał. Powinieneś przygotować się do drogi. I na tego Poczajewa”. Nie ruszył się jednak. Chłód był w nim całym, od stóp do głowy i dalej czuł odrętwiały, suchy ruch swoich warg, powtarzających jak gdyby jakieś słowa, gdy tymczasem wuj August mówił głosem nieomalże zdumionym, iż to, o czym wszyscy wokoło myślą, zdarzy się niebawem: „Czerwoni będą tu wcześniej, rozumiesz? To ja ci mówię. Ty sobie przypomnij, byli tu niepełne dwa lata. A wymordowali i pognali na wyniszczenie w głąb Azji dwa przeszło miliony ludzi. Ich maszyna eksterminacyjna jest szybsza i sprawniejsza od niemieckiej. Pomyśl, co nas znowu czeka. Będą tu wcześniej od zachodnich aliantów. Pomyśl! Ze swoim rewolucyjnym prawem, które głosi, że kto im na drodze, tego trzeba zlikwidować i które polega na wyzuciu nas ze wszystkiego. I ze swoją obłudą, swym kłamstwem. Bo im nie chodzi wcale o odebranie jednym tego,

czego nie posiadają drudzy. Oni muszą wszystkich bez wyjątku obedrzeć do naga, bo nagimi łatwiej rządzić. Muszą upodobnić jednych do drugich. I pod przymusem. Tylko przymus, odebranie wolności, może ludzi zrównać. Im chodzi o uformowanie gołego, ciemnego i posłusznego stada. Żeby osobniki nim rządzące mogły stworzyć nową kastę. Żarłoczną i najbezwzględniejszą w dziejach. Która w swojej nienasyconej chciwości popędzać będzie miliony niewolników do dalszych podbojów. Bo przecież tylko ciągłe podboje pozwalają utrzymywać własny naród w ryzach. Zachód jest ślepy, mój drogi, czy ty to rozumiesz?”

A Paweł siedział głęboko pochylony poprzez stół w stronę wuja, z plecami ugiętymi pod niewidzialnym, dojmującym ciężarem, patrzył w odsunięty od siebie talerz, zaciskał pięści na sztuczu, czuł idący od otwartych okien wiatr, wilgotny, chłodny, jak przelatuje przez jadalnię, smaga od tyłu ostro, gwałtownie, a jednocześnie spokojnie, odwiewając od niego daleko poza rzeczywistość — jak gdyby były śmieciem albo zeszlórocznymi liśćmi — wszystkie niedawne niepohamowane pragnienia, namiętności, miłość, zazdrość i nienawiść też, i choć głosy Katarzyny i Piotra w sąsiednim pokoju jeszcze słyszał, raptem zrozumiał, że słowa wuja cofają go w czasie do tamtego dnia w Katyniu, kiedy stał na polanie nad rozkopaną mogiłą, i również, że jak wtedy jest teraz pełen pustki, nie widząc nic więcej nad to, co widział patrząc na stos splątanych, wygniłych ciał, czy nawet nim je był zobaczył jeszcze, czując już z daleka woń, która była wonią straszliwego przeznaczenia. Potem na dnie tej pustki, którą to coś, wspomnienie, a może głos wuja w nim utworzyły, posłyszał znowu ciężki, wyzwalający w człowieku najgorsze, uporczywy i uparty dalszy ciąg monologu sędziego: „Im nie chodzi wcale o to, co posiadamy, chodzi im o nas. O inteligencję tego kraju. Tę jedyną warstwę organizującą, podtrzymującą tradycje, ideały demokratyzmu, patriotyzm, instynkt wolnościowy i prawdę historyczną. O warstwę, która mimo swej bezbronności, zdolna jest do trwania i dawania odporu. To właśnie dlatego Aleksy i tamci inni z tych jenieckich obozów musieli dostać po kulce. Będą to samo robić, gdy znowu tutaj przyjdą. Muszą zniszczyć mózg i kręgosłup narodu. Ja to już znam. Już byłem raz tam, w tym białym piekle poduralskim. Ty to rozumiesz?”, i wreszcie, jakby wuj August dopiero teraz to sobie przypomniał, choć musiało być odwrotnie, musiał pamiętać cały czas, kiedy do niego, Pawła, mówił, i pewnie dlatego to wszystko mówił, powiedział: „Pewnie nic nie słyszałeś o najświeższym nieszczęściu. Porucznik Gugła, ten wiesz, pseudonim Słoń, poszedł przed kilkoma dniami na naradę do sowieckiego sztabu partyzanckiego Prokopiuka i

więcej nie wrócił. Ludzie Słonia znaleźli ciało swego dowódcy w lesie z przestrzeloną potylicą. To właśnie oni przywlekli się wczoraj sami, bez dowódcy do Herniaków. Zresztą, że się tam przywlekli, to był szczęśliwy przypadek dla Humięckich, bo odpędzili bulbowców. Piotr tam był w tym czasie i z nimi rozmawiał. Czy ty to rozumiesz?”

Potem wuj już milczał, znowu osłonięty płachtą gazety, która drżała tylko i szeleściła silniej, niż przedtem. Paweł podniósł twarz i się rozejrzał. Musiał przetrzeć oczy, tak go piekły; jadłnia wydała mu się zamglona, zatarta w nagle zapadłym mroku. Dopiero po chwili uświadomił sobie ciszę, jaka nastała. Burza przewaliła się nad domem, pognała gdzieś dalej, wiatr wionął po raz ostatni i cofnął się pozostawiając całą rozpacz i beznadziejność, a wraz z nimi razem wszystkie twory wyobraźni, tragiczne, zbytczne, i plany na przyszłość. Po jakimś czasie posłyszał, że i rozmowa w sąsiednim pokoju się urwała. A jeszcze później oddalające się w głąb domu kroki, po których rozpoznał matkę; to one i odległy skrzyp drzwi oznajmiły mu, że stamtąd wyszła. Wprawdzie zrobił wtedy jakiś dziwny ruch, kolana sprężyły się, jak do skoku, ale nim go naprawdę wykonał, przekształcił się on w obojętny gest podniesienia serwetki do ust, bo zaraz posłyszał zbliżające się kroki Piotra Czerestwińskiego, ujrzał go w drzwiach, do drzwi podeszła również Katarzyna, i patrzyli na siebie bez zmrużenia powiek przez długi, choć tylko ułamek sekundy trwający czas, Piotr zaś był w zasięgu krzyżujących się ich spojrzeń. Po chwili Katarzyna cofnęła się z powrotem i wkrótce usłyszał, jak w ślad matki wyszła z pokoju. Wtedy wstał od stołu, odruchowo otrzepując z niewidzialnych okrucichów marynarkę i odwróciwszy się do kuzyna, który przyglądał się przez szybę cichnącej na dworze nawałnicy, zbliżył się do niego wolno. Piotr niczym się nie zdradził, że jego podejście w ogóle zauważył, lecz on powiedział: „Mógłbyś Piotrze, gdybyś chciał, dostać się dzisiaj bezpiecznie do domu”, a potem: „Jadę w tym kierunku na noc. Po spotkaniu w pierw z Laudańskiego ludźmi. Mamy w okolicy Czupryni sprawę. Jeśli cię to urządza, możesz się z nami zabrać”.

Szyba zaszła białawą mgiełką. Niewiele widział, nie mógł też odgadnąć, co widzi kuzyn, tak uporczywie wpatrujący się przez nią na zewnątrz. Gdy otworzył jedno ze skrzydeł okna i wychylił się, lało już od dłuższego czasu, gdyż zagłębieniami po bokach alejek spływała pieniaca się woda. Deszcz był gorący, rześnisty, spłukiwane przezeń liście lśniły, jakby od środka bijącym światłem. Białodrzew w głębi rozpląwał się w pleśni sinawego oparu, a z dala od stawów ciągnął ponury szum.

Siedział przy stole w półciemności (zapewne Hanczar przełączył zasilanie instalacji świetlnej na akumulatory), wsparłszy twarz zaciśniętymi kufakami, w parującej jeszcze z deszczu odzieży, nie zmieniając pozycji od chwili, kiedy wrócił ze stajen, czekając na Piotra i nie myśląc o niczym, pośród pustki, bo zapewne domownicy poszli już spać, i milczenia wypełnionego dawno postanowioną i nie do cofnięcia decyzją. Potem ukazało się przed nim jedzenie pozostawione dla niego z kolacji i odgrzewane widać długo w piekarniku, bo wyschnięte, bez zapachu, zjawiając się raptem w dwóch gibkich, ruchliwych, przestraszonych rękach jakiejś rusińskiej dziewczyny (pokojowa Róża miała dzień wolny), w rękach, które zaraz po rozłożeniu talerzy umknęły z rzuconego na obrus przez lampę marnego kręgu światła w cień, jakby w obawie, że mogą przyciągnąć do siebie i zatrzymać jego wzrok. Wydawało mu się, że nie słysząc, słyszy w sobie, przy sobie i w całym otaczającym go powietrzu — nasyconym ciepłą wilgocią ciągnącą z dworu — swój własny głos powtarzający dawno temu wypowiedziane do kuzyna, oznajmujące, pozornie obojętne zdania: „Wzywa nas Laudański. Mamy tam coś do zrobienia. W pobliżu Czupryni”, zdania jak gdyby przesypane popiołem, warstwami ziemi, grubą powłoką powietrza, zaległe głęboko w złożach czasu zaprzeszczonego, teraz jednak wracające ze wściekłością, niby krzyk, bliższe i głośniejsze, niż odgłosy własnego jedzenia i łykania.

W końcu przyszła mu do głowy zbawcza myśl: Piotr musi z nim jechać nie dlatego wcale, że on, Paweł Woynowicz, powodowany zazdrością o kobietę chce się go pozbyć z Gleb, ale że nie ma potrzeby, aby to, co zrobić musi, robić miał sam, i że Piotr Czerestwiński nie powinien być dalekim tylko i wyniosłym świadkiem tego, co dzieje się na tej ziemi, lecz mieć w tym winien swój fizyczny, bezpośredni udział, bo wszystko co z tej ziemi, na tej ziemi i w tym cuchnącym bratobójczą rzezią powietrzu, dotyczy ich obu po równi. Teraz już wprowadzie było za późno, żeby zaczepić go jeszcze raz i już nie powiedzieć, ale rzucić mu w twarz, krzycząc, że wzywa ich Laudański, że muszą coś zrobić i że w pobliżu Czupryni, cały dom bowiem zdawał się być pogrążony we śnie, zresztą nawet gdyby nie było jeszcze za późno, gdyby nawet mógł mu powiedzieć, nie miał wcale pewności, czy by się na to zdobył. Być może budziłoby w nim odrazę nie samo powiedzenie tego powtórnie, lecz bierność kuzyna, to milczące odwrócenie się od rzeczywistości do wew-

nątrz samego siebie, jak gdyby w własnej słabości i życiowym niedoważeniu, w samej istocie własnego wyobcowania, kosmopolityzmie, w tym przypadkowym, nietrwałym zlianiu się w jedno w jego żyłach krwi różnych narodów chciał złudnie czerpać oparcie do trwania.

Ale odkrył w sobie nagle, że jednak czeka na Piotra. Nie tyle, że ma nadzieję, iż kuzyn jeszcze przyjdzie, ale po prostu, że na niego czeka. A potem, kiedy czas mijał i Piotr nie nadchodził, poczuł, że zrodziła się w jego umyśle jakaś dziwna konieczność. Nie potrafił jej określić. Była jak błotnista magma, jak nie dający się uchwycić ani zaczerpnąć ilt, i nie była jeszcze ani silna, ani słaba. I zapadł wtedy — wciąż siedząc tak w bezruchu, wsparty zaciśniętymi kułakami, w tej wilgotnej i dusznej półciemności — od razu, jak tylko zdał sobie mgliście sprawę z faktu, że ta konieczność w nim się zrodziła, zapadł na krótko, ale głęboko w jakiś stan letargicznej nieomal drzemki. Nie pojawił się w niej żaden sen, żaden obraz, żadna myśl, ani żaden głos. Kiedy się jednak ocknął, ta konieczność była już zupełnie sprecyzowana, jasna i wcale nie dziwna: zanim pojedzie tam, żeby zabić tego przekłętą Począjewa, musi przynajmniej choć raz spojrzeć na Piotra, zajrzeć w jego nie zmienioną żadnym bólem, ani rozpaczą, ani żadnym niepokojem, a spokojnym snem wyglądną dokładnie twarz.

Wtedy wstał. Nawet nie rzucił okiem na zegar, bo poczucie czasu, że pora iść, siadać na konia i tłuc się przez parę godzin w strzemiinach, miał w swych sprężonych mięśniach. Ale jeszcze się powstrzymał. „Jeszcze zdążę” pomyślał i wyszedł z jadalni, minął nieoświetloną sien, po omacku wydobył ze skrytki w obudowie pieca pistolet parabellum, z pudełka zaczerpnął garść zapasowych nabo i wkładając wraz z pistoletem do kieszeni marynarki, już szedł na piętro, i wcale nie pukając przedtem, pchnął drzwi pokoju gościnnego, wszystko na jednej wydłużonej linii, na jednej jak gdyby osi działania i jak gdyby jednym ruchem, czy łańcuchem ruchów zespolonych jednak tym samym nakazem, wciąż jeszcze myśląc, że musi go zobaczyć, nic więcej, jedynie zobaczyć jak śpi spokojnie, oddycha przez sen spokojnie, ma spokojne sny, gdy tymczasem on, Paweł, będzie sobie znowu paskudził ręce, jakby nie dosyć było tego, co się dotychczas już do nich przylepiło. Potem podszedł do Piotra łóżka stojącego w kącie nie opodal okna i nachylił się, bo księżyc na razie nie wzeszedł, lecz wzrok miał już dobrze oswojony z ciemnością, więc od razu zobaczył, że łóżko jest puste, nawet nie rozścielone do snu, i zrozumiał.

I tak samo cicho wycofał się, ale nie idąc, a biegnąc teraz

powściąganymi, sprężonymi, kocimi skokami. I znowu był na schodach, potem w sieni, z sieni przez ganek wydostał się do ogrodu i, stanąwszy zaczajony obok klombu, spojrzął w górę na dom. Okna pokoi zajmowanych przez Katarzynę były ciemne. To sprężone, długo uspięne, a przed chwilą raptem rozbudzone drzenie czując w całym ciele, poszedł wolno (jakby się nigdzie nie śpieszył i w ogóle zapomniał, co miał zrobić, co w końcu zrobić musi, a nawet z jakąś leniwą ociężałością sprzeczną z rozedrganiem mięśni) ku domowi z powrotem i znowu przez sieni i korytarz, aż do drzwi saloniku bratowej, i wszedł, i w tej nieprzeniknionej ciemności, bo żaluzje były opuszczone, intuicyjnie wymijając przeszkody mebli, dotarł do drzwi, za którymi znajdowała się sypialnia, ale które były jednak otwarte na oścież, i zaraz był wewnątrz. Stał nad łóżkiem i spoglądał na śpiącą widoczną na białej pościeli dość dobrze, tutaj bowiem okien nie przesłaniały żaluzje, i czuł jak to drzenie ustaje, jak zmienia się w nagłą, nie do pokonania bezsilę. A wtedy ona otworzyła z wolna oczy. Ale nie, światła było jednak zbyt mało, nie zobaczył, czy odbija się w nich tylko jego zmieniona twarz, czy też źrenice Katarzyny wyrażają coś więcej jeszcze, zdziwienie, lęk, czy obojętność; nic nie zobaczył. Powiedział więc cicho: „Przepraszam cię. Nie myślałem, że śpisz. Wyjeżdżam na noc. Do widzenia. Przepraszam”.

A potem był na dworze, na powietrzu, które wdychał prędkimi, głębokimi haustami i biegł nie zatrzymując się ani razu, nawet kiedy znalazł się był na dziedzińcu folwarcznym, dostrzegł stojącego pod murem stajni gorzelnanego Karpatkę z małym, nątowym światłem w ręku i powiedział mu tym zadyszczanym od biegu szeptem: „No, to czas na mnie. Z tymi skrzynkami, to pan wie, gdybym nie wrócił od razu. Do Czupryni. Ale powinienem wrócić rano”, a nawet wtedy, gdy w stajni na jego widok i gwałtowny pośpiech podniosło się ze skrzyni na obrok dwóch mężczyzn i rzuciwszy ogarki papierosów do ścieku z gnojówką, poszło w stronę boksów; zatrzymał się dopiero, ujrawszy osiodłaną do drogi swą klacz Tamarę i gdy poczuł pod dłonią ciepłą pulsującą sierść. Jeszcze przez chwilę oddychał głośno, szybko, twarz kryjąc w tym jej pachnącym obrokiem, skórą i wiatrem ciepłe tchnącym z zagłębienia przy łęku, później ujął klacz za uzdę i poprowadził. Ci dwaj mężczyźni: Wasylko, syn stelmacha Hanczara, mający nadzór nad stajnią i Chrobak, młodszy glebowiecki stajenny, też poczęli wówczas wprowadzać z sąsiednich boksów konie, wyprowadziwszy zaś nie dwa, lecz trzy, któryś z nich wyjaśnił: „Jedzie z nami młody pan Czerestwiński. Poszedł i powiedział, że poczeka na nas za bramą”.

Więc teraz było już po wszystkim. Nie musiał się nawet zastanawiać dlaczego przedtem pomyślał, że Piotr może mu zagrozić w czymkolwiek i dlaczego aż tak się poniżył, aby go szukać tam właśnie, gdzie szukał, wcale o tym teraz nie pamiętał, usta mając jeszcze pełne jakiegoś żelazistego smaku, który poczuł, kiedy wybiegał z sypialni Katarzyny, i nawet nie spostrzegł niecierpliwych, złaknionych szarpnięć głowy Tamary zdziwionej brakiem pieszczot jego ręki, do których przywykła, albowiem kiedy się tylko znalazł na podwórzu od razu tkwił w siodle, jak gdyby — po tym gwałtownym biegu od domu do stajen — na parę minut był nagle usnął, nie zdając sobie w ogóle z tego sprawy i we śnie dosiadł klaczy, a potem jadąc tym nie śpiesznym półstępem, półtruchtem, w jaki wpadała klacz, kiedy nie czuła jego ręki i nie wiedziała czego od niej żąda, dotarł do bramy w poszczerbionym murze i za bramę. Pierwszym wrażeniem z zewnątrz, jakie przebiło się do jego świadomości, był dopiero skrzyp żwiru pod podszewkami butów Piotra Czerestwińskiego, który wstał z przydrożnego kamienia, aby dosiąść luzaka, a pierwszą myślą: „Nie powinien był wkładać tak jasnego ubrania”, zanim wreszcie sobie z trudem uprzytomnił, że kuzyn od czasu swej ucieczki z Czupryni ciągle nosi to samo jasne ubranie i że on nie zaproponował mu przecież wcale wypożyczenia któregoś z własnych. I już jechali, niebo właśnie się nieco przetaiło, te chmury, które dotychczas przesłaniały gwiazdy wraz z wiszącym nisko rąbkim księżycu, teraz rozstały się spływając na zachód, i ujrzał, że droga leżała przed nimi biała w jego skąpej poświacie, pusta, ginąca w bezmiernej, nieprzeniknionej wrogości czarnych, mokrych po deszczu i pustych pól.

Poza tętentem kopyt, nie budzącym echa w ubitej tłuczce, długo nie słyszał nic, tylko że niekiedy podkova szczęknęła o kamień, i nikt się też nie odzywał z jadących z tyłu. Ten żelazisty smak, którego nie mógł się pozbyć, zwolna przywracał mu trzeźwość, jednakże nie na tyle jeszcze, by mógł zrozumieć, czy zaszło coś, czy też nie, ale raczej nie zaszło, skoro jechał tam, gdzie go wzywano i skoro Piotr mu towarzyszył. Po jakimś czasie jednak do głowy dokołatała mu się słaba myśl, że przecież właśnie chciał od samego początku, żeby kuzyn mu towarzyszył i żeby robił to, co on sam musi od dawna robić płacąc za życie na tej ziemi, i poczuł ulgę i spokój. Był to obojętny, zimny spokój, choć równocześnie zawzięty i pełen zdecydowania.

Jechał teraz pierwszy, za nim pojedynczo inni, a konie szły równym, wyciągniętym kłusem. Po obu stronach rosnący białodrzew pióropuszcami konarów kładł się na niebo zmieniając powoli drogę w ciemniejszy, niż okoliczne pola, dukt, a choć wiatr się

nie ruszył i liście nie drgały, powiał na nich od drzew mocny nieustający zapach przemytej niedawną ulewą zieleni i świeżości. Wkrótce zjechali w bok na mało uczęszczaną ścieżkę zarośniętą zielskiem, raptem przez kontrast z poprzednim mrokiem drogi, ścieżka wydała się jasna, niebo zaś nad nimi rozległe, niezmierne głębokie w miejscach odsłoniętych przez chmury i z prawa zamajaczył las, a na wprost ołowiana tafla wody odbijająca gwiazdy i ten, jak paznokiec, rąbek księżycy, która wypełniała po brzegi wielkie zagłębienie pomiędzy dwoma urwiskami. Tamara przeszła w stępa, wreszcie zatrzymała się zupełnie i parsknęła. „Poczuła zatopiony kamieniołom” powiedział jadący z tyłu stajenny Chrobak i zaproponował obejście wody bokiem, żeby nie płoszyć koni, ale same już wspinać się jeły na zbocze omijając teren opustoszałego kamieniołomu, a potem grunt znowu się obniżył gwałtownie i to był Sokali jar.

Gdy zjechali w dół pomiędzy niezbyt strome, ale podmyte u spodu wiosenno-jesiennymi ulewami ściany wzgórz i przecieli ledwo ciurkającą na spodzie żyłą strumienia, teraz prawie nie widoczną wśród kamyszy, jedynie rozpryski wylatujące spod kopyt zdradzały, że wciąż tam płynie, z mroku, od czegoś jeszcze ciemniejszego niż mrok pod przeciwległą ścianą jaru, oderwała się ludzka postać, podążyła parę kroków w ich stronę, przystanęła i czekała; dopiero całkiem z bliska rozpoznał Paweł mężczyznę w chłopskiej koszuli wyrzuconej na wierzch jasnych lnianych portek. Zobaczył też nieopodal za nim nikłe światełko bijące z odemkniętych wierzei tej prawie rozwalonej pół stodoły, pół szopy, która przed wojną stała w pobliżu obejścia Sokalów, po wywiezieniu zaś ich rodziny w czterdziestym roku przez Sowieców na wschód, spłonęłaby chyba, jak cała zagroda, gdyby ją powódź szczęśliwie była nie uniosła i nie osadziła na tym pustkowiu. Mężczyzna w lnianych portkach sięgnął po uzdę Tamary i powiedział śpiewnie: „Kłaniam się szanownemu panu. Czy mogę odprowadzić konia?”, a kiedy Paweł zeskokczył z siodła, zapytał: „Pan jest z tych, co to posyłał po...”, „Laudański” dopowiedział cicho Paweł, i wtedy mężczyzna: „Tak. Dziękuję” rzekł i pociągnął klacz w stronę zwalistej, bezkształtnej masy budynku.

Potykając się o nierówności gruntu Paweł poszedł za nim, ale dopiero, gdy stanął w wejściu posłyszał, jak z tyłu, za plecami, jego ludzie i Piotr Czerestwienski wyjmują ze strzemion nogi, nieśpiesznie zeskakując z koni i także się zbliżają. Ujrzał trzech mężczyzn, którzy siedzieli na belce na wprost naftowej latarki ustawionej na polepie, pozdrowił ich niegłośno i wkroczył do środka. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, a tylko — kiedy już konie zostały przez tego w lnianych portkach uwiązane —

któryś z siedzących powiedział, jakby wcale nie do niego: „Tak się rzecz ma”, więc powtórzył pozdrowienie, ostrożnie zdejmując równocześnie z rąk skórzane rękawiczki i patrząc, gdzie sadowi się przybyła z nim trójka, a wtedy ów najbliższy, którego twarz wydała się Pawłowi, jakby niepewnym migotaniem światła wywołana została z jakiegoś dalekiego, zamglonego krajobrazu dziecinństwa, uniósł głowę i powiedział, wcale jednak nie patrząc: „Na was jeszcze zbyt wcześnie. Tę robotę z Ostapem, to byłoby wam najporęczniej odwalić dopiero przed brzaskiem. I nikt nie myślał, że was tyłu będzie. Dwóch, to byłoby w sam raz”, a Paweł, obszedłszy ich bokiem, przysiadł na piętach pod zrzuconą byle jak na ziemię kupą okrągłaków, wyjął z kieszeni nie napoczętą paczkę „Juno” i wyciągnął ją w milczeniu do siedzących. Dopiero, gdy odpalili od naftowej lampki i sam również zapalił, zaoponował: „Przed świtem niemożliwe. Muszę być już z powrotem. Przed świtem mam inne rzeczy na głowie”. Lecz na to ten, co poprzednio mówił, powiedział teraz głosem niedopuszczającym sprzeciwu: „W każdym razie musicie poczekać. Tam u nich w sąsiedztwie, u tego jaszczurki Tomczuka wesele córki dzisiaj wyprawiają. To niemożliwe, żeby Poczajew nie poszedł gorzały sobie łyknąć i zatańczyć. No i coś przeweszyć. Okazja. Nie będziecie go przecie wyciągali z tłumu”. I już się nim więcej nie zajmowali.

Więc Paweł pomyślał: „Jeszcze nie teraz, jeszcze mam czas”, zaciągając się głęboko papierosem i wydmuchując głośno dym. Choć wolałby mieć to poza sobą: i tę noc, i to, co go w końcu czeka, mimo że odczuwał to tak, jakby już było po wszystkim, jakby siedząc, patrząc na nieznajomych sobie mężczyzn, spośród których tylko jedną twarz może gdzieś kiedyś widział, i paląc w milczeniu papierosa wspominał jakąś noc znajdującą się daleko od obecnej chwili, i to co było jej, tej nocy, przeznaczone, co ją dopiero miało wypełnić, jako proces li-tylko pamięci.

Ten ze znajomą twarzą mówił właśnie: „Powiedziałem mu zawczasu, że to, co robię, mogę robić wszędzie. Byle nie na darmo, byle by pożytek niejaki był. Jak powiada święty Paweł w liście do Koryntów: bądźcie mocni, nieporuszeni, obfitujący w uczynku Pańskim zawsze, wiedząc, iż praca wasza nie jest daremna... A tu widzi mi się, że ona daremna”. Ten drugi mówił: „Ale zbiory mieliście przecie dobre tego roku”. Na co znowu tamten, ale bez przekonania: „To prawda”. Ale ten drugi: „Więc się wam u nas nie podoba?”, przypierając go, tak że znów tamten, co przedtem, ostrzej: „To nie ma wiele do rzeczy. Podoba, nie podoba, zbiory i tak dalej. To co się tutaj dzieje, nie dla mnie jest interes, ot co” i zamilkł, jak gdyby

szukał odpowiednich słów i, choć rzucił tylko jedno uważne spojrzenie na Pawła, a potem zaraz na powrót opuścił głowę, Pawłowi zdawało się, że mówi także do niego, gdy mówił, ostrożnie dobierając słowa: „Jak mi, dwadzieścia lat temu będzie, ziemię tutaj dano, to to była błogosławiona ziemia. Mój ojciec na Śląsku więcej kamieni na swym spłachciu zebrał, niż zboża. A potem i ten spłacheć hałdy przygniotły. Więc tu była błogosławiona ziemia, nie powiem inaczej. Cztery lata się tłukłem po wszystkich frontach, i mój ojciec, i mój brat. Tom chyba na nią zasłużył. Ale teraz to nie chodzi już o to czy się podoba, czy nie, ani o zbiory”, a wtedy tamten drugi: „O co?”, jakby nie wiedział, mimo że Paweł już wiedział, i ten ze znajomą mu twarzą ze znużoną cierpliwością: „Za dużo swoich grasuje nocą, podpala i zabija, ot co. Nie mówię ja, gdy jeden wróg. Niemce. To wiadomo gdzie strzelać. Ale tu w końcu człowiek we własną matkę zwątpi i strzeli. Tylko dlatego, że inaczej się krzyżem świętym zegna, albo trochę inaczej mówi. Ja nie wchodzę w to, kto więcej drugiemu sadła zalał za skórę. Pismo Święte powiada, nie sądzicie, abyście nie byli sami sądzeni. Ale na jednej ziemi żyjemy od wieków i krew mamy jednaką, jak myślę, w żyłach. Jedni tylko zmienili zakon i mowę, inni przy tamtym pozostali. A zresztą, co ma do tego mowa? Wymieszała się tutaj tak, że trudno dociec, kto jak mówi. Czasem mówi jedną, a drugą myśli. O jaką chodzi? Może o mowę dostatku i mowę biedy? A może tylko jego mowa jest pożądlivością ziemi i cudzego dobra? Nie na mój rozum to pojąć, skąd się tej nienawiści tyle bierze. Poprzez wsie, zagrody, rodziny; brata od brata oddziela. Stała ona przed nami jako ten czarci smok, co stanął przed niewiastą, która miała rodzić, aby skoro by porodziła, pożarł dziecię jej. Są już tacy spośród nas, co powiadają, że nie tkną więcej pługiem tej ziemi, wszystko jedno, choćbyś zabił, nie tknął. Dla niej trzeba strzelać do swoich. Przeklęta od Boga, powiadają”, a wtedy ten trzeci, dotychczas milczący i zasłuchany: „Kto żyje w tych stronach nie ma wyboru” powiedział cicho, znacząco, a na to znowu tamten ze znajomą Pawłowi twarzą: „Pewnie. Toteż doszedłem do tego, że to nie życie. Nic innego ino przekleństwo, i ci, co tu przyszli po pierwszej wojnie, prawdę mówią. Zgnoili tę ziemię Austriacy, zgnoili Moskale, przegnałim ich, ale ono, to przekleństwo pozostało, a ja byłem ślepy, zem tego wcześniej nie widział”, a wtedy ten drugi: „Nie jest aż tak źle”, a ten ze znajomą Pawłowi twarzą z uporem: „Jest gorzej niż myślicie. Przyszedł gniew i czas umarłych, aby byli sądzeni, aby oddać zapłatę małym i wielkim, i aby wytracić tych, co psują ziemię, jak mówi w objawieniu Jan. Te Niemce to też

stąd. Z klątwy boskiej rzuconej na cały nasz kraj. Za bratnią krew, co ją co pokolenie musimy tu na Kresach upuszczać. Tych wszystkich Poczajewów, Iwaniuków, Gawryluków... Żeby oni nam jej nie upuścili. Albo dlatego, że jej upuścili", i wtedy nagle Paweł zobaczył oczy Piotra. To znaczy wyobrażał sobie, że je widzi, bo wiedział, że Piotr siedzi w najgłębszym cieniu pod ścianą obok wrót, siedzi i słucha, i coś, jakiś wewnętrzny mus, kazał mu unieść głowę, zmrużyć oczy, żeby przedrzeć się wzrokiem przez barierę bijącego od lampki światła i żeby zawczasu powstrzymać kuzyna przed czymś, co wydawało mu się, może on powiedzieć lub zrobić. I rzeczywiście, zaraz go zobaczył, jak wychodzi z cienia i, myśląc: „Jaki on jest smutny”, właśnie tak: „Jaki on jest smutny, o Boże!” zobaczył, że Piotr przystaje, łapie przenikliwe spojrzenie mężczyzn, oddycha krótkimi, płytkimi haustami i znowu robi krok albo dwa. Więc żeby nie dopuścić, aby kuzyn coś powiedział i żeby go uprzedzić, sam powiedział prędko: „No, to na nas czas. Nie mogę dłużej czekać” i wstał, a ten ze znajomą mu twarzą wstał zaraz również (był niewysoki, przysadkowaty, śniady, niemal bez rysów, przypominający niedźwiedzia, któremu osadzono na ramionach miast głowy mały orzech, brązowy i twardy), i przypatrując się jemu, Pawłowi, z odrobiną kpiny w oczach, a także żalu, powiedział rzeczowo: „Bóg z tobą młody człowieku, jeśli tak się śpieszysz. W końcu to wasza sprawa, żeby tego Ostapa Poczajewa w łapy dostać”, i wskazując za siebie ręką: „Tomku pojedzie z wami, poprowadzi”, gdy zaś Paweł: „Nie trzeba. Znam drogę” zaoponował, głosem już znowu stwardniałym dorzucił: „Poprowadzi. Tak trzeba”.

I zaraz ten w lnianych portkach, który wyszedł im na spotkanie, gdy przybyli, wyprowadził z głębi stodoły ku wrotom Tamarę i drugiego, obcego konia. Paweł jeszcze tylko w przejściu zatrzymał się czując, że ktoś ujmuje mocno jego dłoń w swoją. Uścisnął ją równie mocno, dopiero po chwili reflektując się, że jest to dłoń mężczyzny ze znajomą mu skądś twarzą. Wtedy postyszał ciche, ostrzegawcze: „Tylko bez pudła, młody człowieku. Żeby robota była czysta”, słowa, które wryły mu się w pamięć, ale znajdował się już na zewnątrz.

Stał nieco odurzony świeżym, chłodnym powiewem poświsującym w bodiakach, Tamara przeginała do tyłu szyję, parszkając niegłośno, i zaciskał popręg, usiłując na próżno zobaczyć twarz człowieka w lnianych portkach, nazwanego przez tamtego Tomku; rysowała się ona w mroku jaśniejszą plamą, ale jej kontury były płynne, nie dawały się określić. Gdy wskoczył na siodło, jeszcze raz na nią spojrzął, potem powiedział cicho: „No to jazda,

chłopaki” i ruszył; tamten ruszył tuż za nim, lecz już go usunął z własnego pola widzenia, nawet ze swoich myśli. Mimo bowiem owego nagłego, a nie rozładowanego spięcia tam, w stodole, kiedy padły nazwiska zdrajców, spięcia, będącego jak rozbłysk zapłaki, nie rozpraszającej wcale ciemności, ale ukazującej na moment naocznie jej zwielokrotniałą grozę, gdy Piotr Czerestwiński oderwał się od ściany i postąpił naprzód, jakby chciał zaprzeczyć lub potwierdzić, a może po prostu przyznać się do współodpowiedzialności, bo przecież jedno z wymienionych nazwisk należało do naturalnego jego brata; mimo więc tego spięcia, ciągle jeszcze nie zdołał powrócić do rzeczywistości, nie zdołał ani nie chciał, choć brał w niej przecież udział, po poprzednim zaś bezruchu (kiedy biernie przysłuchiwał się rozmowie), galopował teraz jak szalony, ciągnąc za sobą kawalkadę jeźdźców podobnych czarnym ptakom dążącym do celu, który na pewno nie był celem jakiejś dawno minionej nocy, ale dzisiejszej i konkretnej. Jednakże ciągle jeszcze uporczywie trzymał się złudnego przeświadczenia, że dąży do dokonania, dokonuje i dokona pewnego aktu woli w pamięci li-tylko (równocześnie zwalniając się od odpowiedzialności, jak gdyby ów akt nie był jego własny, ale zbiorowy i przez to nieokreślony, czując że w tym, czego dotyczy, w tym powolnym dopełnianiu morza krwi tej wojny, ani jego wola, ani wola poszczególnych ludzi się nie liczy), gdyż w pamięci akt woli w gruncie rzeczy nie ma istotnego znaczenia, jak wszystko, co się odbywa w tym mglistym stanie istniejącym poza czasem, i to nie dlatego wcale, żeby naprawdę chciał wierzyć, iż to, co ma być: już było, ani dlatego, żeby nie mógł w żaden sposób uwierzyć, iż: jeszcze nie było, ale że człowiek nigdy do końca nie pozbywa się nadziei, że czyn, który go odpycha, budząc w najgłębszych zakamarkach jego duszy wstręt i przerażenie, że ten fatalny czyn może nie będzie wcale potrzebny, może nigdy nie dokona się w rzeczywistości i że może ów czyn, a raczej zamiar czynu, jest przywidzeniem jedynie, chyba że tę naturalną, ludzką, podświadomą niekiedy nadzieję, sam z góry i świadomie już przekreślił.

Pewne jednak rzeczy, których zrazu nie zauważył albo nie potrafił zauważyć, wkrótce stały się dlań ostrzeżeniem, że się pomylił i zmusiły do powrotu do rzeczywistości, w której był obecny i milcząc galopował w siodle na zmydlonym już z pośpiechu koniu. Zostawiwszy bowiem za plecami zatopiony kamieniołom, wydostali się na płaszczyznę kukurydziano-pszenicznych pól, hreczysk, upraw słonecznika i bakłażanów, zrazu obok drogi nie mijając nic, żadnych chat, ni zagród, a potem je mijając coraz częściej, i od tego miejsca (choć owo miejsce tak w czasie,

jak i przestrzeni nie było zbyt uchwytne, odwrotnie było zbyt płynne, aby dawało się określić) prześwitująca sinawo księżycem ciemność poczęła stawać się mniej spoista, pobłyskiwać poczęła odbiciem dalekich łun, cisza zaś przestała być jednolitą, trwającą niezmiennie, gdyż poza zapóźnionym gdzieś skrzypieniem studziennego żurawia, muknięciem krowy na nocnym pastwisku, czy sennym szczeknięciem psa, które to dźwięki są naturalnym tylko uzupełnieniem wiejskiej ciszy i wcale się jako dźwięki nie liczą — stękała teraz od czasu do czasu, jak w męce odległym, gubiącym się w zakamarkach przestrzeni echem wystrzału. Ale ciągle jeszcze nie spotykali nikogo ani na drodze, ani też w okolicy tych zwalistych, umocnionych mrówczą zapobiegliwością licznej rodziny futorów pachnących już z dala dostatkim, sytością i owocowymi sadami. Nie spotykali również nikogo przy zagrodach przysiadłych nisko wśród ogródków, warzywnych poletek, snującej się w powietrzu jak dym woni biednej chlewni, obornika i suszonego w sągach drewna, przy owych zagrodach, gdzie gnieździł się od narodzin do śmierci wszelkiego rodzaju wyrobnicy, komornicy, pracownicy sezonowi, spółchetkowi dzierżawcy, deputatowi robotnicy folwarczni, fornale, parobki dworskie i popie, wędrowni rękodzielnicy, drobni domokrażcy, ta cała sól tej ziemi dźwigająca od wieków na swych barkach jej gospodarkę w myśl znanego porzekadła, że „tańsza Horpyna, niż maszyna”, ten cały lud, z którego potu wyrosło bogactwo kraju, lud, którego nie dostrzegano, z którym mało kto dotychczas się liczył, od którego odwracano się plecami, aż w końcu on sam plecy pokazał własnej macierzy, ten biedny, ciemny, zbałamucony, ogłupiały w swym poniżeniu lud, rozbity obecnie, podzielony, rozczłonkowany na kilka zaślepionych we wzajemnej wrogości do siebie ludów. Właśnie o tym wszystkim myślał teraz Paweł zaskoczony, czując powracające mu zwolna owe ostre, ostrzegawcze poczucie rzeczywistości. I myślał jeszcze o tej pustce, która ich otaczała i robiła wrażenie nieomal symboliczne, a w której równomierny odgłos bijących o miękką ziemię kopyt końskich, brzmiał, jak dudnienie mokrego, słabo naciągniętego bębna wzywającego ich do działania nakazem z samych głębin piekieł i rzucającego swe złowieszcze wyzwanie całej okolicy.

Ciągle jednak nie spotykali nikogo i nie słyszeli w ogóle ludzkich głosów, choć o tej porze (a nie minęła północ, zresztą nawet gdyby, to o tej porze przecież, w samym szczycie lata, szczególnie w taką noc, i po deszczu, i po burzy, w powietrzu bez krzty upału, pełnym ozonu, zapachu ziemi i zieleni, zaledwie parę lat temu, przed wojną chociażby, cała okolica rozbrzmiewała by dźwiękami harmonii, śpiewami dziewcząt, młodych mężczyzn,

i co krok spotykałoby się ich idących gromadnie lub parami, trzymających się za ręce, splecionych ciasno ramionami, podochoconych wypitym piwem, samogonem albo tylko powietrzem, śpiewem, mrokiem i swoją bliskością; i starszych też by się widziało, stojących u płotów, wspartych o sztachety, mężczyzn, którzy już byli po wieczornym obrządku koni i bydła, ćmiących papierosy, gwarzących o byle czym, i kobiety, które wyszorowały i zapędziwszy do łóżek dzieciarnię przyszyby popatrzyć, posłuchać i pogawędzić; i mało kto by myślał, żeby się położyć, co najwyżej w polu pod stogiem, albo na pachnącym sucho sianie ze swoją dziewczyną), o tej porze właśnie powinni przynajmniej mijać gdzieś jakąś zapóźnioną postać, chyłkiem starającą się jak najprędzej przedostać opłotkami do domu, jednakże naprawdę nikogo nie widzieli, a tylko od czasu do czasu słyszeć się dawały te dalekie, rozbite na strzępy echa pojedynczych wystrzałów i horyzont znaczył odbłask łun. Paweł myślał: „Oni też się boją. Gdziekolwiek i cokolwiek robią, też się boją”. Ale wkrótce pomyślał, że już niebawem będą u celu, bo nisko przy ziemi rysował się czarna kreską Motrenieński bór, z lewa poczęły ciemnieć obejsia zaścianka Łoszakowskiego, a z prawa, nie dalej niż o dwa stajania, na skraju Mohylnej Doliny wyniknęły z mroku dostatnie, solidne zabudowania futoru Poczajewów, który jednak objechali nie zbliżając się doń, gdyż mieszkał tam stary Poczajew, tylko ze swym pierworodnym i jego rodziną, młodszy zaś, Ostap, skłócony z ojcem jeszcze grubo przed wojną, przeniósł się dalej, na północny skraj wsi. I raptem Paweł wyczuł, że ten w lnianych portkach, nazwany Tomku, zajeżdża go z boku, strzemię w strzemię, ocierając się nogą o jego but i posłyszał: „Może lepiej byłoby szanownemu panu zostawić gdzieś tutaj konie?”, i jeszcze nic nie mówiąc, powściągnął Tamarę.

Stępa posuwali się samym brzegiem urwiska. Konie próbowały parskać, ale szarpnięte ostro milkły, kopyta miękko szeleściły w zielskach i trawie mokrych od rosy, trochę skrzypiała skóra siodeł, a zewsząd słychać było niegłośne, znajome bzykanie nocnych owadów. Spojrzał na niebo. Było jaśniejsze, chmury zupełnie się rozpierzchnęły. W sinogranatowym powietrzu gonity puszczyki i nietoperze. „Będzie jeszcze ze trzy godziny do świtu” pomyślał. Wtedy powiedział poza siebie, do tyłu: „Może być tu” i zatrzymali się, i zsiadli przywiązując konie do topoli wśród krzewów. Głosy owadów i dzwoniący poświst trawy stały się zaraz głośniejsze; gdzieś bardzo daleko ujadał pies, a jeszcze dalej słychać było wiejską muzykę. „Wszyscy mają broń?” zapytał nie zwracając się do nikogo bezpośrednio, choć pamiętał, że Chrobak i Hanczar ją mają, a Piotr nie, i ten w lnianych

portkach, jakby rozumiejąc, że o niego tylko chodzi, odpowiedział: „Tak”.

Paweł wiedział, że nikt z jego ludzi nań nie patrzy. Wiedział też, że nawet nie patrzyli nawzajem na siebie. Patrzyli wstecz. Na kamienistą ścieżynę prowadzącą przez Mohylną Dolinę i dalej, na drogę przez pofałdowaną wzniesieniami płaszczyznę, tu i ówdzie poznaczoną zagrodami i wsiami, której teraz nie było w ogóle widać, na tę całą drogę w głębi ciemności, skąd przybyli. Powiedziała: „Jest nas za dużo. Jeden zostanie przy koniach”, a po chwili namysłu, walcząc z nagłym przyływem litości, ale już pokonany: „Piotr, ty pozostaniesz tutaj. Popilnujesz...” dodał słabo. A wtedy posłyszał Piotra tuż przy sobie: „Wolałbym iść z tobą” i poczuł się zaskoczony, jego bowiem głos brzmiał chłodno i zupełnie opanowany. „Wolałbym iść z wami, jeśli pozwolisz...?” powtórzył Piotr i tym razem Paweł uzupełnił jeszcze swoje poprzednie sprostowanie, głos kuzyna brzmiał uprzedzająco grzecznie i był pełen rezerwy. Tamten nieoczekiwany przyływ litości minął mu tak samo niepostrzeżenie, jak się zaczął. Odpowiedział cicho: „Niech będzie. Chrobak zostanie i będzie pilnował. Możesz iść z nami” i nie oglądając się już za siebie ruszył na przełaj przez łąkę w stronę, gdzie spodziewał się wsi.

Nie było tu ani zarośli ani drzew. Trawa, mimo rosy była twarda niby sierść wieprza, ostra, pod stopami czuło się kopce kretowisk, odcisnięte zagłębienia po racicach, twarde, uformowane i Paweł myślał: „Może tutaj wcale nie padało”. Z idących za nim nikt się nie odzywał. Dopiero, gdy potknął się, że byłby upadł i ten w lnianych portkach go podtrzymał posłyszał spokojne i rzeczowe: „Już niedaleko, ta wo”. Odparł: „Wiem, znam drogę” i przekonał się, nie bez pewnego zdziwienia zresztą, że jego własny głos również był spokojny.

Pomyślał, że ta nędzna łąka według wszelkiego prawdopodobieństwa należy do Ostapa, a wkrótce — gdy się skończyła i weszli w kartoflisko, idąc na przełaj środkiem — że to pole także. Ziemia była sucha, spękana, zbita, gruzłowata, ziemniaczane łęty kładły się po niej wśród bujnych pokrzyw, piołunu i lebiody, pełne zwisających, uschniętych w rurki i oklapłych liści; widocznie zielsko zagłuszyło je i zabrało wszystkie życiodajne soki. Patrząc na to źle uprawione, zapuszczone pole poczuł, jak wzbiera w nim do Ostapa uczucie bliskie nienawiści, choć przecież nigdy nic ze sobą nie mieli. Cały czas przedtem, jeśli o nim myślał, to tylko, że najmłodszy Poczajew od roku działa w hilfspolicji i że podobno niejednego z tych, co już ziemię gryzą, ma na sumieniu. Ale nie czuł nienawiści. Raczej obojętność,

może wstręt, jak do każdego, kto prędzej czy później przeznaczony na mierzwę gdzieś w jakimś niewidocznym, ustronnym, mało uczęszczanym miejscu. Myślał przedtem głównie o sobie; myślał z wewnętrznym drżeniem, być może również z litością, że musi w to wszystko się mieszać. Myślał nawet z mdłościami, i nawet ze strachem też. A teraz go nienawidził. Właśnie teraz. Krocząc przez to nędzne, zapuszczone, zmarnowane pole. Gdy za kartofliskiem i wąskim pasem ścierni ujrzał chruściany płot, a w głębi chałupę dobudowaną zrębem do pomieszczonej w jednym obory i chlewni, zapytał: „On mieszka sam? Bo nie pamiętam”, a ten w lnianych portkach stając obok: „Szanowny pan pyta, czy z kobietą? Z rok będzie, jak ta szmata Malecka doń się sprowadziła” powiedział, a Paweł: „Ta co służyła u księdza Sołomianki w Łombrzeżnej? Wdowa po jakimś tam z czterdziestego pierwszego roku?” a tamten: „Szanowny pan widać tutejszy...”, a Paweł: „Z jej strony nie najgorszy to pomysł. Lepiej jeden ogier, niż dać się na śmierć zajeździć wszystkim parobczakom ze wsi”. Wtedy jednak w podwórku zaszczekał pies, a ten w lnianych portkach powiedział: „Zaraz się uciszy” i przeskoczył chrust, gdy zaś Paweł machnął do tyłu ręką, żeby szli za nim i też przeskoczył, głucho ducknięcie zza kupy żerdzi i cichy skowyt, który nagle zmiłkł, oznajmiły mu, że już po wszystkim. Poczul zimny ciężar w lewej wewnętrznej kieszeni marynarki. Dotychczas nie czuł go wcale, dopiero teraz. Ten w lnianych portkach powrócił i powiedział: „Nie powinien nam drapnąć, skatina”, a Paweł do Hanczara: „Zajdziesz chałupę od tyłu. Bacz na okna i wal, jak by co...”.

U drzwi brzęknęło wiadro, o które zawadził ktoś nogą, potem była chwila ciszy, bo nasłuchiwali, aż Paweł pomacał zamek, wyciągnął z kieszeni nóż, otworzył go i wciskając w szparę, ostrożnym ruchem w górę podważył skobelek. Przywarli do ściany po bokach. Ze środka buchnęło zjeżdżającym smrodem, knurzym sadłem, prażuchą, mlekiem, sianem, wonią potu i gorącem. Paweł wyjął z kieszeni parabelkę i odbezpieczył. Było za ciemno, żeby coś zobaczyć. I nagle przypomniał sobie, jaka go ogarnęła nienawiść, gdy szli przez pole. Teraz nie odczuwał zupełnie nic. Omiótł pomieszczenie latarką, gdy weszli do wnętrza. Na stole leżały resztki jadła, chleb, skamieniałe z obiadu ziemniaki w hładuszczyku, na przypiecku w nadprutym sienniku pod skomkanym kocem spała dziesięcioletnia może dziewczuszka. Koszulina podjechała jej pod pachy, mała była spocona i gęsto krostowata. Snop światła zbudził ją, mrużyła więc oślepienie nim oczy, a jej usta ciamkały, jak u oddychającego karpia. „Zobacz dalej” mruknął do tego w lnianych portkach, choć ten wyprzedzając jego

polecenie już był u drzwi prowadzących do izby, i, gdy on, Paweł, zbliżył się, pchnął je gwałtownie, a wtedy wpadli do środka. „Nie ma” powiedział głośno, a tamten: „Widać się wciąż zaprawia u Tomczuka, zołzowata jego mać”, i po chwili, w czasie której snop światła myszkował po przedmiotach, powiedział jeszcze: „To chyba zaczekamy”, a on, Paweł, zbyt głośno: „Nie. Idziemy”. Ale zaraz obojętnie zawrócił.

Światło znowu odśłoniło na moment kuchnię, nieokrytego dzieciaka na przypiecku w niezmienionej wciąż pozycji i przy stole, w poprzek jasnego strumienia latarki, Piotra, który stał bez ruchu i oczy miał jakieś śnięte, jakby mu zaszyły siną, ledwie przeźroczystą błoną, tak że Paweł po raz wtóry tej nocy pomyślał: „O Boże, jakież on smutny”, bo nic innego nie przyszło mu do głowy, a potem powiedział: „Idź już. Mamy nie wiele czasu”, i raptem poczuł w sobie nieodpartą chęć powiedzenia kuzynowi mnóstwa najrozmaitszych rzeczy: za jakie to sprawy tego Poczajewa szukają, z czyjego rozkazu, w ogóle wszystkiego, co tylko zdążyłby jeśli czasu było tak niewiele, i także usłyszenia własnego głosu, ale Piotr już wyszedł. Na podwórzu było cicho, z chlewa dochodził jedynie senny stęk wieprzy, po ciemnych kątach nieprzerwanie czyczyrykały świerszcze i krople wody z zawieszzonego na belce nad studnią wiadra spadały na dno podłużnym wżerającym się w uszy dźwiękiem. „Idziemy dalej” powiedział Paweł niegłośno i ta nieodparta, niepokonana chęć przemówienia do kuzyna, z którą przed chwilą jeszcze nie mógł dać sobie rady, minęła bezpowrotnie.

Skierowali się przełazami w stronę muzyki błędząc wśród przyzm mierzwy, omijając opustoszałe wygony śmierdzące kozimi bobkami i badylaste opłotki, wciąż kierując się na tę muzykę rozbrzmiewającą po przeciwnej stronie wsi, wciąż bliżej, i nagle znaleźli się na miejscu. Ta chałupa była większa niż sąsiednie, ukryta za gromadzką murowaną kooperatywą — teraz widzieli ją jak na dłoni: światło buchało z zapoconych okien rozjaśniając niesymetryczny ogródek, wilce, dzikie róże, żółtański bogatczyk w obdeptanych wokoło kępach, huczała muzyką, przytupami i podpitym pokrzykiwaniem. Na zewnątrz nie widać było żywej duszy. Wówczas Paweł odezwał się do tego w lnianych portkach zduszonym szeptem: „Zachodźcie chałupę od tyłu. Was znają?”, na co tamten oględnie: „Nu... znają”, a potem było tylko jedno odruchowe spojrzenie na niebo pulsujące gwiezdą ciasnotą i do Hanczara: „Ubezpiecz mnie przy drzwiach”. Jeszcze ten w lnianych portkach mruknął niepewnie: „Lepiej by chustę jaką naciągnąć na lico” i: „Z drugiej strony jest także jedno wereto”,

a Paweł: „Nie marudź, u diabła! A wrót pilnuj, twoja głowa” i, jakby na dany znak, odskoczyli od siebie, Paweł już przebiegł ogródek, już był pod oknem, przez wytłuczony narożnik szyby widział wymiecioną z gratów świetlicę, gdzie młodzi w wielkim tłoku kołyszając się na rozkraczonych nogach przyciskali się do siebie, wcierali brzuchy, strute samogonem dziewczyny szcerwieniłe na twarzach przymknawszy oczy gięły się do tyłu, pociągały na siebie parobków, wskroś muzyki co rusz buchał znie-nacka ostry śmiech, przytupy słaby, to znowu wzmagaly się, lecz on mimo to słyszał szelest spódnic, poszczególne słowa, okrzyki, piski, i poczuł zapach blinów, gorzałki, ogórków, potu, i zmy-dlonej szczeci, i siarki, i tarła, w ogóle całe to wnętrze wy-dzielające zmieszana woń człowieczą i zwierzęcą zarazem, aż wreszcie zobaczył również Ostapą Poczajewa, ale tylko dlatego, że wpierw zobaczył tę małą krostowatą, którą zostawili w chałupie rozbudzoną na przypiecku, bo może tak, to nie od razu byłby go rozpoznał, a właśnie zobaczył wówczas, jak dziewczyna nurku-jąc w ciżbie bosa, w tej swojej kusej koszulinie, dobiegła do niego, zszarpnęła go z siłą, jakiej by się nigdy po niej nie spo-dziewał z ramion tęgiej, piersiastej tancerki coś tam mu w tę jego dziobatą, pół przytomną twarz wwrzaskiwała okrągłymi usta-mi, i już obraz się zmienił, Ostap sunął sztywnym, wyszpanowa-nym kroczeniem do tyłu, w tłum stojących pod ścianą gapiów, po chwili zaś miękko cmoknął za chałupą strzał, po nim zaraz drugi i rozległy się krzyki i tupot, zrazu te krzyki zagłuszały ów tupot (w który Paweł wsłuchiwał się, sam biegnąc jak oszalały przez jakieś płoty, kacze doły, zagrody dla kur, i nań, na ów pojedyn-czy, zaszczuty tupot się kierując, dopiero znowu w ciemności spostrzegłszy, że przed nim, jak podniecony wyżeł ciągnie ten w lnianych portkach, a Hanczar i Piotr zachodzą z boku), ale potem to już słyszał tylko wyraźny tupot nóg jednego człowieka, bo ten zbiorowy pozostał daleko w tyle, i jeszcze rzucony przez Hanczara w biegu okrzyk usłyszał, że Ostap zdaje się dostał.

Byli wśród pola kukurydzy i jej ciężkie, objijające się o siebie szeleszczące kolby zdradzały im kierunek ucieczki tamtego, a póź-niej wyskoczyła z prawa jakaś wysoka palisada okólnika i tu już go mieli, dość blisko nawet, bo zboczyć musiał w lewo. Paweł wtedy po raz pierwszy przystanął i, opierając lufę pistoletu o lewe przedramię, wystrzelił, zaraz jednak pobiegł dalej, po czym znowu się zatrzymał, robiąc ten sam wypróbowany ruch i znowu wy-strzelił, a ten w lnianych portkach walił również, tylko że w pe-dzie, i wreszcie go dopadli, bo się dwa razy potknął i legł, wprawdzie żywy jeszcze, ale już drący dłońmi ziemię i chlustający krwią z obydwu dziurek nosa, a kiedy spróbował się dźwignąć

i jeszcze popełził trochę, to Paweł wyharatał do niego zupełnie z bliska i te nieskoordynowane ruchy jego rąk i nóg stały się od razu wolniejsze, aż wyciągnął się na płask i jego bulgoczący oddech też ustał. Ten w lnianych portkach, jak gdyby nie dowierzał, powiedział twardo: „Nie ma siły na takiego. Jak kot” Pstryknął czymś metalicznie, a potem prędko się nachylił chlastając leżącego na odlew przez szyję, i wtedy wiedzieli wreszcie, że na dobre było po wszystkim, bo gdy odszedł na bok i dźgnął parę razy nożem w ziemię, oczyszczając go z krwi, to rzekł apatycznie: „Załatwione. *Z czortom maty ho rodyła, z czortom*”, i było bardzo, bardzo cicho.

Dopiero po jakimś czasie posłyszeli, że od wsi dochodzą pojedyncze, przekrzykujące się nawzajem głosy, długa seria z pistoletu maszynowego zaperkotała za ogrodami, jakaś kobieta wyła, pęczniał rumor, psie ujadania, po przeciwnej zaś stronie, na podmokłych łąbodobowskich kumkały żaby i niżej, przy potoku, zajądło krzyczał tracz. Ostre, gryzący zapach prochu ulatniał się powoli. Teraz w pobliżu pachniało li-tylko dziką cykorią, szczeniakiem zajęczym i połyniem. Od wykoszonych żytnisk zalały wiatr. „Zaraz tu będą z orczykami i kłonicami” wydusił z siebie Paweł. „Nu, idziem” powiedział na to ten w lnianych portkach. A wtedy Wasylko Hanczar, który nie odzywał się prawie przez całą noc, doradził rzeczowo: „Najpewniej będzie obejść krawędzią Mohylnej Doliny. To tak, jakbyśmy poszli im naprzeciw. Do głowy nikomu nie przyjdzie”.

Na leżącego trupa nikt już nie popatrzył. Tym razem Paweł wiedział, że tuż za nim idzie nie ten w lnianych portkach, lecz Piotr i gdy po pewnym czasie (cały rozbudzony rumor wsi zostawili już z boku, jedynie głos dzwonu cerkiewnego rozbałamkał się nad okolicą, jakby na czerwonego kura i ich dogonił), odwrócił się, to rzeczywiście Piotra tuż za sobą zobaczył. Zrównali się i szli milcząc. „Ile moich kul dosięgło tego twardego kota? Czy też w ogóle dosięgła go któraś?” myślał, ale myśli ledwo muskały jego świadomość. Czuł, że chciałby już być sam. Twarz Piotra była przejrzysto blada, polśniewała sinym nierzeczywistym światłem, którym napełniają mrok gasnący księżyc i przebrzaskujący świt równocześnie, i: „On się poci” myślał o kuzynie. Ale zaraz sprostował: „Może to tylko to światło”. Wreszcie ujrzeli topolę wśród zarośli, usłyszeli krótkie, zduszone szybko dłońią człowieka parsknięcie konia i Paweł poznał głos swej klaczy Tamary. Stajenny Chrobak odwiązywał właśnie od drzew wierzchowce i przypatrywał im się nic nie mówiąc. Wszyscy teraz przypatrywali się sobie. Ich słabo widoczne twarze przyciągały

się wzajemnie rozbudzoną uwagą. Były jednak takie same jak przedtem. Ciągłe tylko trzymali jeszcze w rękach pistolety, ale twarze ich nic nie wyrażały, ani niczego nie zdradzały, robiąc wrażenie pustych i anonimowych. Pawłowi zdawało się przez moment, że jedynie te ręce z pistoletami są rzeczywiste i żywe. Żeby pozbyć się wzroku Piotra, wyciągnął z parabelki magazynki i, wyłuskując z kieszeni naboje, począł go dopełniać. Bardzo chciał już być sam. Jeszcze niczego w życiu tak bardzo nie chciał. Czuł senność, a równocześnie twardą trzeźwość. W pewnej chwili Piotr powiedział cicho: „Rzeźnia”, a wtedy on, Paweł kiwnął skwapliwie głową i dopiero, gdy przekonał się, że kuzyn nic więcej nie powie, powiedział: „*Si vis pacem para bellum*”, wbijając z trzaskiem magazynki na powrót w rękojeść parabelki. Krzyk tracza usłyszany przez nich pierwszy raz wtedy tam, na kukurydzianym polu, teraz rozległ się zupełnie blisko z głębi doliny i powtarzał parokrotnie. W górze dzwoniły już skowronki. Dosiedli koni i zjechali ostrożnie w dół pochyłości. Ten w lnianych portkach, kiedy byli już przy potoku, zrównał się z Pawłem i powiedział: „Mnie teraz inna droga, panie”, a Paweł kiwnął w milczeniu głową. „Sława Bohu” powiedział wtedy ten w lnianych portkach. „Sława” odpowiedzieli. Paweł patrzył, jak ostro minął ich i oddał się, galopując dnem doliny, aż sylwetka jeźdźca rozplynęła się stopniowo w mętным półmroku. Podjechali pod przeciwległą pochyłość i potem rozjeżdżoną ścieżyną polną wśród tarniny do głównego traktu. „Będzie lepiej, jeżeli Chrobak cię odprowadzi” powiedział Paweł do Piotra, gdy znowu przystanęli. Patrzył na kuzyna chłodno, obojętnie, nie znajdując w sobie żadnego współczucia, ale również i żadnego zadowolenia. „Nie. Pojadę sam. Do widzenia. Konia ci odeślę. Jedźcie już”, powiedział na to Piotr i odwróciwszy wałacha, skierował go wolno w stronę Montrenieńskiego boru. Paweł rzucił za nim krótkie: „Do widzenia” i ruszył za swoimi ludźmi w przeciwnym kierunku. Obejrawszy się po jakimś czasie, zobaczył na zanikającym rozdrożu, jak Piotr zsiadł i trzymając konia luźno przy pysku, wymiotuje pod drzewo.

Spojrzał na niebo. W górze migotało tylko parę białych gwiazd. Pomyślał: „Jeszcze zdążymy wrócić, zanim się zupełnie zrobi widno”. Pod koszulą na plecach trzepotał mu drobniutki chłód. Lewa wewnętrzna kieszeń marynarki ziębiła przez sukno wetkniętym tam pistoletem. Gdzieś za łoszakowskim zaściankiem przeleciał pociąg na wschód, pewnie w kierunku frontu. Wsłuchiwał się w to jego dudnienie, aż się rozplynęło w oddali i czuł bezużyteczność wszystkich poczynań. Potem popędził Tamarę, żeby przeszła w kłus. Ubrania i twarze wkrótce pokryły im się

dymnym, miękkim nalotem rosy. Szum ptasich rozhovorów rósł. Nie powiedział do swoich nic, poza jednym zdaniem: „Będzie znowu upalny dzień”.

VI

Gdy zobaczyła Pawła tuż przy swoim łóżku nie poruszyła się, to tylko w niej w środku poruszyło się nagle wszystko i cofnęła się, i odskoczyła do tyłu, bo zdało jej się, że wie, czego chce od niej, i cofała się całym ciałem tak długo, jak długo na nią patrzył mówiąc coś do niej, choć dalej leżała na łóżku spokojnie, bez jednego drgnienia mięśni. Potem jednak już Pawła nie było, a później nie mogła sobie przypomnieć, co myślała budząc się i widząc, jak stoi zaledwie o krok.

Sen nie od razu powrócił, ale leżała odrętwiała, jak gdyby uśpiona. Po głowie kołatały się słowa bez związku, które chyba słyszała niedawno, dotyczące czegoś, co było lub miało być przez Pawła zrobione w pobliżu Czupryni, potem okolice tej wsi ujrzała, tor przecinający drogę, drogę przecinającą las, znowu Czuprynię, i czyjeś zapewnienie, że wkrótce wróci posłyszała, lecz w końcu spośród tego wszystkiego wyłonił się obraz jeden: budnik stojący przy torze linii krzyżtopolskiej, opuszczony szlaban, wagony gotowe do załadunku, wokół kręcący się uzbrojeni ukraińscy faszyści, a przed domkiem stacji stłoczeni mężczyźni z okolicy, skazani na zagładę. Ale nie mógł to być sen prawdziwy. Pamięć bowiem jej mówiła, że ten ukraiński tłum chłopów o pogodzonym wejrzeniu, to ostatnia branka do oddziałów spod halickiego lwa widziana przez nią przed budynkiem szupo w miasteczku, a tam, gdzie stał teraz budnik przy podniesionym szlabanie, wywozili zeszałej podjesieni Niemcy zakładników w głąb Rzeszy. Następny jednak obraz wychylił się do niej już wprost z palącego oparu spowijającego głowę i musiał być snem prawdziwym. Była to świeżo wyrębana w lesie przesieka zasłana ostrużynami, wśród których walały się porzucone narzędzia, jakby drwale zajęci tu do niedawna pracą, nagle zbiegli zostawiając w powietrzu echo tupotu swych nóg, krzyki i woń potu, ona zaś uciekała jej środkiem przed kimś niewidocznym, wołając pomocy, choć swego głosu nie słyszała, a tylko świst dobywający się z gardła, jak

gdyby krtań jej przecięto, i chyba by się przebudziła zziębnięta, z bijącym sercem i pełną łęku, gdyby obraz raptem się nie zmienił ukazując w pełnym słońcu tępą białość pawilonu oranżeryjnego w parku Czerestwiewskich, aczkolwiek pamiętała, że spłonął on jeszcze w czasie napadu na Czuprynię bandy Gawryluka, i już wiedziała, dokąd sen dalej ją prowadzi. Poczwała, że zaczyna iść w stronę budynku wychylającego się spośród róż i clementisu smukłymi liniami empirowych kolumnienek, które dźwigały czoło tympanonu. Choć ciągle stała w miejscu na skraju alei. A raczej poczwała, że postępuje krok w krok za samą sobą w pewnym oddaleniu, przenikając na wylot swą własną świadomość, widząc we własnych oczach podniecenie, i w chodzie, i w ruchach rąk, w otwierających się i zaciskających ustach, jakby chciały coś, lecz nie mogły powiedzieć i czując to podniecenie, jak niepoohamowanie przetacza się skroś ciała, już znajdowała się wewnątrz pawilonu (znowu na skutek ostrej zmiany obrazu), stała pośród żardinier z jakimiś zamorskimi krzewami, pośród pseudoantycznych figur, trzymała już głowę Piotra w swoich rękach przyciskając kurczowo do piersi, i już szeptała: „Tak się bałam, tak się bałam, głupia, że uciekniesz do partyzantki”, a potem: „Wiedziałaś, że cię odnajdę. Nie chcę, żebyś mieszał się do tych ich spraw. One nie są twoje. To nie twoja wojna. Nie twoja ziemia, nie twoja krew. Chodźmy stąd. Chodźmy, Piotrze”. I raptem nie było już owej rozpierającej płuca cementarnej, dusznej woni południowych roślin, nie było białych ścian pawilonu, ani nagich figur na postumentach, ani wreszcie szkarłatnego światła zmierzchu, lecz swobodna jedynie, niebosiężna przestrzeń przepływającego nad głowami powietrza, i czuła, i widziała siebie obok Piotra nad brzegiem potoku, jak odpycha jego ręce słysząc niecierpliwy jego szept pomieszany ze swoim: „Och Pit, nie teraz. Nie mogę”, i jego: „Możesz”, i swój: „Tylko nie teraz, kochany”, i jego: „Teraz”, i znowu swój: „Boję się. Dlaczego teraz?”, i jak oba szepty wznoszą się i opadają połączone w powietrzu, i ten cały żar czując, jak się w niej rozlewa napełniając biodra, zwiera i rozwiera przy samej granicy bólu, i długo, i potem jego usta widząc już otwarte, niby do krzyku, poczwała że jej ciało jeszcze powtarzające ostatnie ruchy jego ciała, rozpręża się i znowu swój własny głos usłyszała, ale niepodobny, napływający z niewiarygodnej wprost odległości: „Uciekajmy stąd, Piotrze”, i milczenie wśród przebijającego się przez nie bełkotu wody na porohach, i powtórnie swój głos usłyszała: „Nie chcesz? Och, Piotrze. Przecież nawet taka kobieta, jak ja, też musi mieć kogoś bliskiego”, i milczenie, i ten sam monotony bełkot wody, i znowu swój głos: „Więc już jesteś jak oni, Piotrze?”, i potem przenikliwy

chłód pełzający po skórze poczuła, i zadrżała, i zbudziła się tłumiąc w sobie krzyk.

Przez chwilę walczyła z oddechem, słysząc, jak się wokół niej kłębi, póki nie ucichł, kiedy już prawie straciła wszelką nadzieję, że ucichnie, powtarzając sobie z rozpaczą: „To było dawno. To nie może wciąż powracać”, pełna czystego, bezosobistego oburzenia, jak gdyby wierzyła, że to jej samej nie dotyczy, i prawie że głośno z twardym uporem: „To nie może powracać. To nie może powracać”, i uniosła się na łóżku.

Miała oczy zamknięte. Jej ręka gładziła czoło nieustannie i powoli, i wciąż jeszcze w niej wszystko drżało. Nie dostrzegała tego. Pragnęła pozbyć się sennych majaków z takim samym zdecydowaniem i siłą gotowa stawić czoło temu, czym ją niepokoili, z jakim one upominały się o pamięć; powtarzała sobie, że wszystko czym był dla niej Piotr Czerestwiński nie ma obecnie żadnego znaczenia po tym, co zaszło między nią a Pawłem i czekała nie poruszając się, tylko jej dłoń nie ustawała. Wreszcie usiadła trzeźwiejąc do końca. Pod oknem bowiem rozległ się chrzęst żwiru. Ktoś szedł wolno, przystając, odpoczywając, a nawet wydało jej się, że między prętami żaluzji szybkie światło latarki ręcznej omiotło na krótko firankę. Własna jej ręka na czole zamarła w pół ruchu, a jeszcze później dotarł do jej uszu trzask wejściowych drzwi do sieni, głosy wuja Augusta i czyjeś obce: paru mężczyzn mówiło jednocześnie, starając się mówić ostrożnie, lecz mimo to głosy ich pełne były wewnętrzznego niepokoju, krzyku nieomal, który nie dawał się stłumić. Potem kroki oddaliły się w głąb i zmilkły gdzieś w okolicy kuchni.

Opuściła na podłogę stopy i poszukała pantofli. Jeszcze były w niej tamte resztki snu, ale nagle zupełnie bez znaczenia i nie musiała z nimi walczyć. Poruszała się prawie bezszelestnie w ciemności, bezwiednie skłaniając i wyginając ciało pod swoimi dłońmi, aż poczuła na rozgrzanej skórze śliski, wyiębiony jedwab bielizny, a potem była już w sukni i prędkim muśnięciem palców uporządkowała włosy. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi, ani co chce zrobić, wszystko w jej myślach było osobno, bez wzajemnych powiązań, nieuporządkowane, i nawet ta jedna, uporczywie wplatająca się w tamte myśli, że: „Przyszli po nich. Jezus, Maria, przyszli po nich Niemcy”, też nie była zbyt wyraźna. Dom był pełen szelestów, na górce biegł ktoś boso przez pokój, dotarł do jej uszu głos świąckry mówiącej coś do pokojówki Róży, odpowiedź dziewczyny, potem wyrzwała przez okno i spostrzegła jasną smugę bijącą od facjatki, gdzie mieszkała Paraska, ale na dole w parku nie zauważyła nikogo,

żadnego samochodu, nigdzie Niemców, więc się cofnęła. Ruszyła na osłep korytarzem w stronę, skąd spodziewała się zobaczyć światło i posłyszeć znowu tamte głosy, prowadzona czymś, co przypominało absolutną wiarę w nieomylność własnego instynktu, i zaraz rzeczywiście zobaczyła: sączyło się szparą pod drzwiami, i te głosy posłyszała raz jeszcze: oni mówili nie po niemiecku, a po rosyjsku.

Wtedy pchnęła drzwi, postąpiła naprzód. Wionęło na nią raptem oddechem ciepłego, pachnącego garnkami i wystygłym jadem powietrza oraz wonią zmęczonych mężczyzn, ostrą jak u kozła. Ale nie cofnęła się. Zmrużyła oczy i pomyślała: „Jeśli teraz zrobię choć krok do tyłu, lub poruszę się zbyt gwałtownie, on wystrzeli” z lekkim jedynie zdziwieniem, jakkolwiek patrząc wciąż nieruchomo w głąb światła na rozplywające się w nim niezgrabne brudnoszare bryły nieznanomych, aż wuj sędzie ostrzeżony widać zamilknięciem tamtych, odwrócił się i odepchnął szybko łufę pepeszy, którą jeden z nich poderwał z kolan, gdy stanęła w drzwiach i na nią wycelował. Powiedziała niecierpliwie, zimno: „Co oni tutaj robią, wuju?”, a sędzia na to nie do niej, lecz do nich: „Możecie być spokojni, to swoja”, owo słowo „swoja” podkreślając z naciskiem. Lecz nie czekała już na odpowiedź, poznała. Byli zbiegłymi jeńcami sowieckimi, niejednokrotnie widywała podobnych gnanych przez Niemców do robót przy naprawie kolejowych torów; przynajmniej ci dwaj, którzy stali z tyłu i ten jeden, który leżał na posadzce. Być może tylko siedzący na krześle z pepeszą (trzymał ją teraz niepewnie i patrzył wzrokiem pozbawionym krzty ufności) nie był jeńcem, a jakimś partyzantem, ubranie miał bowiem na sobie cywilne, zdarte i takie, jakie zwykli byli nosić miejscowi chłopci. Pomyślała chłodno: „Swoja? Co to znaczy — swoja?” i myśl się natychmiast urwała. Za plecami w głębi domu znowu szeleściły kroki, gdzieś trzasnęły drzwi, natomiast w kuchni słychać było jedynie owady: zwabione światłem uderzały o lampę niezmordowane i niezliczone. Aż wuj uznał za konieczne wytłumaczyć: „Uciekli z Sud, gdzie pracowali przy moście. Przyszli na folwark. Ten jeden jest ich zwiadowcą z lasu”. A wtedy powiedziała: „Powinni stąd odejść. Tu nie ich miejsce” i własny głos zaskoczył ją, zabrzmiała w nim wrogość. Potem przez chwilę nie słychać było nic poza wytrwałym dzwonieniem owadów o klosz i pojękiwaniem mężczyzny, który leżał płasko na posadzce, tak iż zauważyła go ponownie, że ze swymi ku dołowi zwisającymi dłońmi, mimo że starał się utrzymać je na brzuchu, i ukrytą w cieniu ławy dolną połową ciała, wyglądał, niby żywy tułów z odrąbanymi nogami, i nie słuchając już dalszych wyjaśnień wuja, że oczywiście, że

na pewno sobie pójda skoro świt i że niewiele brakowało, żeby ich Karpatka rozwalił, kiedy się do niego przybliżali, wzięwszy ich widać za własowców, zapytała: „On ranny?”, nie pozwalając wyzwolić się w sobie tej jakiejś zimnej, wrogiej sile, którą przed chwilą poczuła, niszcząc ją teraz w zarodku prędkim szeptem myśli: „O Boże, to byłoby nieludzkie, nie wódz mnie na pokuszenie, o Boże”.

W twarzy wuja widziała pełen spłoszenia (zaprzeczenia także) wyraz i że patrzy to na nią, to na leżącego, i podeszła, i pochyliła się nad rannym, a mimo że w oczach miał nieufność i cofanie się, odgarnęła ręce przytrzymujące brzuch i zobaczyła to wewnątrz napełnione brunatną mazią, jak wznosi się, jak opada, i jak bulgocze czymś pod spodem. Ci trzej jego towarzysze spoglądali na jej ręce uważnie, ciężko, tylko wuj się odwrócił. Wtedy znowu się odezwała: „Jego nie można stąd ruszać, przecież dostał w żołądek”, a tym razem usłyszała w swym głosie pozornie bagatelizujący, lekki jakiś ton nie posiadający żadnej wagi, i — mimo że to cofanie się wciąż jeszcze wypływało, wprost wylewało się ze źrenic leżącego, jego zaś bystra, naga, pomarszczona twarz stała się raptem śliska od potu nabierając ruchliwości reszty członków i brzucha — tym samym tonem dodała: „Trzeba przygotować miednicę z wodą. Zrobię opatrunek”. Potem się wyprostowała. Tamci również się wyprostowali, poruszyli z miejsc, jak ożywione kukły, a ona, nie patrząc więcej na nikogo, skierowała się ku drzwiom. Wprawdzie ten z pepeszą, przebrany w chłopskie łachy zastąpił jej w przejściu drogę, lecz odsunęła go stanowczym ruchem ręki, nawet nie silnym, szybkim tylko, jakby usuwała przedmiot i wuj August zagadał coś do nich po rosyjsku: krótko i szybko. Nie odwróciła się.

Gdy wróciła z bandażami, wuj nalewał już do miednicy przygotowaną wodę. Obserwował ją tak samo jak oni uważnie, wzrokiem pełnym przytajonych, tłumionych domysłów i obaw przed własnymi domysłami, lecz tylko powiedziała do niego, wskazując mężczyznę z pepeszą: „Niech wuj mu powie. Niech mi tym żelastwem nie macha pod nosem. Wystarczyłoby, żebym zawołała, przybiegłby z ludźmi Karpatka i niewiele by z nich tu pozostało. Ale my się tym nie trudnimy”, i wuj to przetłumaczył, a wtedy ten z pepeszą też coś powiedział, i odczekała cierpliwie, aż skończy. Potem podgarnęła leżącemu koszulę i maczając tampon waty w przygotowanym roztworze, zaczęła obmywać wokół rany jego brzuch; oddychał bardzo głośno, coraz głośniej, i tylko to teraz słyszała.

Wreszcie wszystko było skończone, choć oni, ci obcy (wuj

zresztą również), wciąż jeszcze nie spuszczała wzroku z jej rąk, i widziała ich twarze trochę niewyraźnie, trochę jakieś rozmazane w białym świetle sączącym się przez mleczny klosz, i łagodnie dotychczas, lekkie ruchy jej dłoni stały się nagle, jak gdyby nie własne, bo czuła poprzez mięśnie przenikający ją nieznaną prąd i że się w nich coś szczególnego przeży, czego nie może opanować. Ten ranny był już opatrzony, leżał w bandażach wyczerpany, płaski niby padlina, i już wiedziała, że to jej nie ominie, że musi ponownie zobaczyć, tak jak Paweł zobaczył, tamto wszystko w katyńskim lasku pod Smoleńskiem (jak już zobaczyła wtedy, kiedy opowiadał), raz jeszcze swoimi oczami, teraz zupełnie sama, niby na wywołanej w ciemni kliszy fotograficznej: te doły (jak opowiadał, jak widział), wokół których pilnowani przez niemieckich policjantów pracowali z łopatami w dłoniach, i swoich, leżących tam w głębi, splątanych w konwulsyjnych uściskach konania albo tak, jak padli, czy, jak ich na dno dołów martwych rzucono, w najrozmaitszych pozach, wszystkich jednakowo uśmierconych, z tą samą raną wlotową u podstawy czaszki i otworem wyjściowym kuli na czole, jakby to robiła ekipa długo tresowanych do tego zadania specjalistów z najbliższej odległości, i potem zobaczyła, tak jak z góry wiedziała, że zobaczyć musi (bo to jest niezależne od jej woli), tę kliszę, ten obraz w ruchu, jak gdyby puszczone jej przed oczyma starą, niezbyt wyraźną taśmę filmową ukazującą inny, wcześniejszy czas, inną porę roku, innych ludzi, choć to samo śródleśne miejsce: z ciężarówek na skraju polany wyprowadzono polskich jeńców, a oni, ci tutaj, siedzący teraz w środku kuchni, byli nie w ofiarowanych im przez chłopów łachach, ale swoich mundurach. I potem widziała tych oficerów polskich w niczym się jeszcze nie orientujących, niczego nie przeczuwających, tylko oślepionych światłem po ciemności zamknięcia w zaplombowanych wagonach i pod budami ciężarówek, i zdumionych, i być może wstrząśniętych, i oburzonych na niewygodny podróż, na brutalne traktowanie, na poszturchiwania, na gnanie gdzieś w niewiadome w tym zimnie, w dżdżu, czy może nawet i deszczu, i utyskujących na krzyki strażników, i zapewne przypominających im o międzynarodowej konwencji, o humanitaryzmie, o tym, że są wśród nich starsi wiekiem i chorzy, że wszyscy są wojennymi jeńcami, i protestujących, i nagle przed samym wierzchołkiem wzgórza strażnicy wznosząc błyskawicznie elkaemy napierali ze wszystkich stron, odcinając odwrót i tak beznadziejnej ucieczki, i jeszcze kilka kroków... — lecz oto wuj August powiedział spokojnie do Rosjan: „Możecie go zostawić. Tutaj nic mu nie grozi. Jeżeli wyżyje, zabierzecie go po paru tygodniach”, ten zaś z pepeszą

powiedział łamaną polszczyzną: „*Niet, nie nada*. Zabierzemy go od razu”, rzucając na wuja spojrzenie prędkie, badawcze, drugie chyłkiem na nią (twarz miał kostropatą, sinawą od wiatru, wydawała się zacięta, stwardniała), a widząc jej wzrok na sobie, dodał raz jeszcze: „*Niet, nie nada*” i nastała cisza zupełna, gęsta, dusząca, śmierdząca tylko tym zmęczonym ich potem i kłębiąca się znowu oddechami. Więc gdy ona, Katarzyna, przyknęła oczy, to zaraz ponownie byli tam w głębi jej źrenic tamci, swoi. Stali w błocie nad długim świeżo wykopany dołem, już zobaczyli te wielowarstwowe sterty zwłok swych poprzedników, twarze bladły w nagłym zrozumieniu, że to koniec i nie było już na nic czasu, na słowa protestu, nawet na modlitwę, gdyż oto za plecami formował się błyskawicznie rząd katów, z pistoletami doskakiwali blisko, przytykając do czasek lufy, ale wtedy któryś z siedzących w głębi kuchni przybyszy powiedział: „No, może jednak niech zostanie”, choć nie bardzo pewnie i czekał, a wuj tym razem nie mówił nic, także czekał, drugi zaś z nich zapalił wolno papierosa, aż wreszcie ten trzeci powiedział po chwili po polsku, tylko że z obcym akcentem: „Nie ma co długo gadać. Wy burżuje, może faszyci, kto was tam wie. My znamy”, i więcej nikt się nie odezwał.

Żarówka w lampie zamigotała, przygasła, prawie nie dając już światła, jedynie odbłask płomienia dobywający się z otwartych drzwiczek pieca barwił twarze na ciemną miedź. Wuj wyjmował ze spiżarni chleb i wianek kiełbasy, mężczyzna z pepeszą ładował do plecaka. Tamto wszystko bez przerwy przesuwano się przed oczyma Katarzyny: oprawcy w mundurach GPU. Doskok, przytknięcie lufy do tyłu czaszki. Wystrzały, krzyki i wystrzały. Głuche odgłosy brutalnych kopnięć strącających zastrzelonego do masowego grobu. Miękkie odgłosy uderzenia ciała spadającego na ciało. Krzyki tych, co się jeszcze opierali. Którym zarzucano na głowę płaszcze. Których zwalano na ziemię wywieszonymi ruchami przewiązując sznurem. Czasem po dwóch, trzech razem. I znowu były strzały. I jak przedtem, odgłos ciała przy spadaniu. I już tylko oprawców widziała, jak skaczą w głąb jamy, aby równo ułożyć zwłoki na wierzchu poprzedniej warstwy. Jak potem śpiesznie zapalają papierosy, czyszczą płaszcze, butelka gorzałki krąży od ust do ust prędko, bo zimno, deszcz, ostro zawiewa wiosenny wiatr, a na skraj polany pośród szamoczące się w powiewach sosny zajeżdżały już nowe ciężarówki i formował się nowy pochód skazańców. Ale wuj odezwał się teraz głośniej: „Macie iść — to zaraz”, i jego głos podcieniowany był jakąś niezmiernie znużoną powściągliwością, „Później spostrzegą was ludzie ze wsi i będziemy mieli przez was na karku niemiec-

ką policję”, ona zaś uniosła się z ławy, gdzie siedziała na brzeжку cały czas pochylona nad rannym, nawet o tym nie pamiętając (dopiero w tejsze chwili, bo znowu jęknął, wraz zaś z jękiem wypłynęła mu z ust różowo-przejrzysta bańka i pękła) i wyprosiowała się raptem, jakby z ramion zrzuciła jakiś ciężar.

Czuła w umyśle brutalne słowa szeregujące się w zdania tuż za wargami, wymykające się na zewnątrz, a tylko wydusiła z siebie dwa krótkie dźwięki: „Zaraz świt”. Wtedy oni dźwignęli tego rannego z posadzki. Ułożyli go na desce od prasowania zabranej z kąta i poszli ku bocznym drzwiom prowadzącym wprost do małej sionki i na dwór; wuj je wskazał. Ranny oddychał płytko, szybko, i ona stojąc z wujem na środku kuchni spoglądała w głąb mroku, którego pęgający odbłask z pieca nie potrafił rozproszyć. Widziała oczy tego człowieka wciąż pełne jeszcze cofania się i nieufności, i jak konały. Potem wuj poruszył się pierwszy, ona zaś poszła za nim, kiedy już odgłosy nocnych gości dobiegły do niej z zewnątrz. Z progu sionki patrzyli na formujący się pochód: jeden z mężczyzn szedł przodem, dwóch niosło na desce rannego, a ten ich partyzancki komandir kroczył z tyłu. Widziała gruby czarny pręt lufy przecinający na ukos jego plecy, czuła złowrogi powiew obcej siły, która ponownie nadciąga ze wschodu, znanej tak dobrze sprzed paru lat, jak swym tchnieniem ziębi serce i jak to serce kurczy się w niej z lęku z powodu tego, co grozi, jak gdyby już tych paru ścierających się teraz w śmiertelnej nienawiści sił nie było i tak za wiele dla tej biednej, skatowanej okrutnie ziemi. Słyszała oddalający się skrzyp żwiru pod łapciami mężczyzn i że wystające zza białodrzewu pióra świerków zaczynają szumieć syczącym poświstem. W szarym świetle przedświtu błyszcząły nieobeschłe jeszcze po wczorajszej ulewie kałuże, daleko znad stawów kurzył się opar i oni wkrótce zniknęli z jej pola widzenia w jego miękkim wnętrzu. Podniosła w górę głowę, gdy z twardym łopotem skrzydeł przeleciały kaczki; na moment ujrzała ich kropiaste brzuchy.

Potem znalazłszy się u siebie, nie mogła zrozumieć co się stało; może nie stało się nic, może tylko zbyt natrętnie wracać poczęły wspomnienia z trzydziestego dziewiątego i czterdziestego roku, a nie potrafiła się im oprzeć. Księżyc wciąż świecił wprost w okno, ale spłowiwały i niepotrzebny, noc dawno zgasła, a do dnia było jeszcze daleko i zastanawiała się bez ciekawości, co ją w tym domu, w tym okropnym zakątku tego kraju trzyma i czy rzeczywiście trzyma ją cokolwiek. Rozplakała się. Znowu myślała o dniu, kiedy otoczeni zostali z Pawłem i świekrą na trakcie gdzieś między Gródkiem Jagiellońskim a Lwowem, o tym

ołowianym poranku pełnym marznącego na ziemi dżdżu, gdy wpełnięto ich do wnętrza ciężarówka, te poszturchiwania, groźby, drwiące śmiechy, jak podcięli jej kolana, a potem długą, zaciekłą szarpaninę, kiedy Paweł rzucił się na żołdatów i krzyk świekry, kiedy go ośloniła. Później myślała o twarzy przesłuchującego ją oficera śledczego, który wykrywał inteligentów i wrogów „nowego porządku” tym samym zawsze, groteskowym pytaniem: „*Wy Dante znajecie, czytali?*”, o czym uprzedziły ją wcześniej współwięźniarki i że nie miała znaczenia odpowiedź twierdząca, ani przecząca, bo pierwsza była przyznaniem się, druga tylko zatajeniem prawdy, i dlatego jej nie męczył. I o tej zimie u pani Berger myślała jeszcze, o czekaniu na wiadomość od Aleksego i czy ominie ją zsyłka, a także o tym, jak w następnych miesiącach nauczyli się myśleć coś innego i mówić coś innego, i że białe nagle znaczyło czarne, a czarne znaczyło białe; i przez dobrą godzinę nie mogła się uspokoić. Zasnęła dopiero, gdy do pokoju zajrzało słońce.

Zbudziła się z mocnym postanowieniem, że stąd wyjedzie. Nie zastanawiała się jeszcze nad tym, jak uzyska od Niemców zezwolenie na zmianę miejsca zamieszkania, ani dokąd wyjedzie, nie miała przecież w głębi kraju nikogo bliskiego, przynajmniej w tym sensie, ażeby prócz węzłów krwi istniało to konieczne poczucie bliskości, ale wiedziała, że kogoś musi w końcu znaleźć. Zanim wyszła od siebie na śniadanie, poczuła, że jakieś resztki, okruchy dumy rozsypały się zostawiając w niej gorycz i zarazem zdecydowanie, żeby raz jeszcze spróbować pomówić z Piotrem Czerestwieskim, skorzystać ze statusu prawnego, znajomości i stosunków jego rodziny, by wydostać się z tych stron. W jadalni jednak nie zastała nikogo, a wuj August zajęty w sieni pakowaniem sreber do skrzyni, widać domyślając się kogo szuka, powiedział: „Piotr wyjechał. Już wczoraj na noc. Razem z Pawłem”.

I to było tak, jakby wuj odezwał się do niej w obcym języku. Nawet wtedy, gdy już tylko informował, że jedzie do Nikoryczy i przy okazji odda coś niecoś na przechowanie do klasztoru, to te zdania odbijały się od jej świadomości, jak od twardej ściany. Po godzinie, spostrzegłszy wracającego z folwarku Pawła, pomyślała: „On tak chciał, on to zrobił, wyprosił Piotra, wywiół”, i choć wyminął ją wzrokiem, popatrzyła na niego z nieukrywana nienawiścią.

Przez następnych parę dni chodziła, niby we śnie. Pawła prawie nie widywała, wyjeżdżał gdzieś na noc, powracał nad ranem i spał długo, następnie nadzorował polowe prace. Ciotki zajęte robieniem konfitur na zimę, w przerwach zaś rozpamiętywaniem swej zdewastowanej na zawsze ojcowizny pod Wiśniow-

cem, nie narzucały swego towarzystwa. Świekra modliła się teraz częściej, niż dawniej, nie wychodząc prawie ze swej sypialni i też wydawała się, jak gdyby nieobecna w domu. W niedzielę wczesnie rano był telefon od Piotra, który odebrała Paraska. Telefon zdziwił Katarzynę, a nawet zaskoczył. Stara bowiem powiedziała, że dzwonił panicz Czerestwienski i prosił o powtórzenie, że będzie (a może cała ich rodzina będzie) na sumie w Tuczapsku i chciałby (a może chcieliby) się spotkać. Aczkolwiek przecież Czerestwienscy prawosławną cerkiew mieli o wiele bliżej w Nikoryczy. Jednakże postanowili wszyscy pojechać. Więc tego dnia, jak gdyby przebudziła się ze snu. Powiedziała nawet pierwsza „dzień dobry” Pawłowi i, choć unikał jej wzroku, zapytała uprzejmie, czy sądzi, że jazda do osady jest dostatecznie bezpieczna. Odpowiedział, że z granicy Wołynia napłynęło parę nierozpoznanych jeszcze nacjonalistycznych oddziałów ukraińskich, ale chyba Niemcy nie pozwolą na ekscesy, tak sądzi. Śniadanie zjedli prawie w milczeniu, bez wuja Augusta, który nie wrócił na niedzielę z Nikoryczy, bez świekry, która pościła chcąc przystąpić do komunii świętej, i to milczenie przy stole Katarzyna odczuła, jak gdyby świeterko niej się zwracało, jak gdyby jej skryte postanowienie opuszczenia domu na zawsze, stało się własnością ciotek i Pawła, potępili ją za nie, albo wiedzieli coś więcej jeszcze i czekali, aż sama się z tym zdradzi. Widziała ich, jak siedzieli, jedli i przyglądali się, odgrodzonych wprawdzie od siebie stołem, to jednak ta przestrzeń nabrała wkrótce niewymiernej wprost odległości, a wciąż jeszcze oddalali się więcej i więcej na tle wysokiej ściany jadalni obwieszanej obcymi dla niej portretami, stając się jak one obcy, zupełnie obojętni, bo tę najważniejszą obecnie dla siebie decyzję miała już za sobą.

Później siedziała w powozie obok świekry, na koźle tkwił stajenny Chrobak, który odwracał się często, błyskając bez uśmiechu białymi jak emalia zębami i pytał, czy im wygodnie, przodem zaś w pękatej bryce jechał Paweł, ekonom Waškowski z żoną i jakiś nieznajomy mężczyzna, prawdopodobnie jeden z uciekinierów z pobliskiej okolicy, w Glebach znajdujący teraz schronienie. Mohylna Dolina rozwierała się w ich stronę ścianami o konturach rozartych w konwulsjach upalnego powietrza, jakby spoglądając na zbliżające się samotnie pojazdy, zasłuchana w skrzypienie kół nieufnie i nieprzyjaźnie. Katarzyna tknięta niedobrym przeczuciem, ucieszyła się, kiedy wreszcie bryka, gdzie siedział Paweł, skręciła i przełazem dla bydła obok młynówki wydostali się na trakt krzyżtopolski. Występowałe pastwiska urwały się, po bokach traktu zaczęły płynąć w dal nędzne pola niewykoszonego dotychczas jęczmienia i kukurydzy, i w końcu ujrzeli

przed sobą skraj lasu, w jego zaś zielonym cieniu domy, stodoły i płoty znaczące miejsce, gdzie ręka ludzka zacisnęła się jak gdyby obronnie na skrawku tej ziemi, zatrzymując pochód stepu. Wtedy świekra odezwała się. Ten jeden jedyny zresztą raz od czasu, jak wyruszyli z Gleb. Powiedziała, że Paweł przystał już, albo wkrótce przystanie do leśnego oddziału i że chyba one same niebawem też wyjadą z Gleb. „August nie da sobie sam z gospodarstwem rady... Po chłopach nie wiadomo czego się teraz spodziewać można... Trzeba będzie zostawić wszystko własnemu losowi”. W głosie świekry nie było ani odrobiny skargi lub pretensji, co najwyżej rezygnacja. Katarzyna nie przytaknęła, nie zaprzeczyła. Już od paru dni przecież wiedziała, że tak musi się stać, oraz że ona stąd wyjedzie, nie wiedziała jedynie, że podobne myśli nurtują również świekrę. Odczuła przykrość, że źle o niej myślała i chciała to powiedzieć, ale już byli w Tuczapsku. Poniechała tego zamiaru.

Potem wysiedli na placyku między katolickim kościołem, a cerkiewką. Stangret ze stajennym Chrobakiem odprowadzili konie wraz z pojazdami gdzieś za chłopskie chałupy, a Paweł poszedł rozpytywać o Czerestwienkich. Trzymając świekrę kurczowo pod ramię, Katarzyna rozglądała się wśród ludzi zgromadzonych na obu krańcach nieocienionej jednym marnym drzewkiem przestrzeni placyku; czekała, czy ktoś się zbliży, albo czy sama kogoś z mieszkańców Czupryni wypatrzy, ale nie, nie mogła. Aż w końcu świekra uwolniła swe ramię od jej dłoni i poczęła iść w kierunku kościoła. Więc ruszyła za nią oglądając się za siebie, wciąż jeszcze zwalniając, próbując z całym rozmysłem przyhamować zawrotny pęd czasu, w którym pomiędzy obu wiejskimi świątynkami poruszał się obcy, świątecznie ubrany i uroczysty tłum, ludzie kłaniali się, witali, rozmawiali, lub tylko przypatrywali się sobie, ona zaś nie widziała nikogo bliskiego. I czuła, że pęd tego czasu zaczyna ją nagle unosić coraz dalej i dalej od spełnienia niedawnych postanowień, pomimo że w myśli nie ustawała w powtarzaniu sobie: „Przecież telefonował. To on wyznaczył spotkanie w połowie drogi pomiędzy Czuprynią a Glebami. Przyjadą. Przynajmniej Piotr przyjedzie. Muszę z nim raz jeszcze pomówić. Musi mi pomóc. Nie może mi nie pomóc. Teraz będzie suma, potrwa ponad godzinę. Jeszcze zdąży”, ale nie można było dłużej zwlekać i znaleźli się wewnątrz kościoła.

Nie potrafiła zliczyć minut, które upłynęły, ale chyba było po „ofiarowaniu”, kiedy świekra nachyliła się do niej: „Co z tobą? Masz dreszcze?”, a ona dopiero w tym momencie pojęła, że jest już tak późno i odpowiedziała prędko: „Coś się stało. Wiem,

mamo, coś się straszego stało”, a świekra: „O czym ty mówisz? Co się stało? Co miałoby się stać? Co z tobą? Przecież cała się trzęsiesz...”, a ona: „Cicho, mamo, cicho, nic nie mów”, ale nie mogła nic poradzić na to, że się trzęsie, bo czyż zdolna była uwolnić się od słabości i od żalu również? Zaczęła bowiem rozumieć, że realizacja jej postanowienia odejścia, ucieczki z Gleb nie była wcale od niej zależna, że w swym postanowieniu nie wzięła w rachubę własnej niesamodzielności, choć przedtem przez krótki czas wydawało jej się wszystko to takie łatwe, a ponad to zrozumiała, że żywiła wciąż jeszcze podświadomą nadzieję, iż Piotr jej nie tylko wysłucha i powie, że podjęła słuszną decyzję, ale że może cofnie bolesne słowa odmowy wypowiedziane zaprzeszłego tygodnia.

Starła się oddychać głęboko, rytmicznie, aby zmusić do uległości swe ciało. Ostra czerwień światła osuwała się z witraży i przesuwała w stronę lewej nawy, skupiała się zwolna i zagęszczała, a ona cały czas patrzyła na to światło z jednakową nienawiścią, dopóki nie uświadomiła sobie, że to jedynie okrzepł tak jej własny oddech, jej serce, krew, że coś w niej, że wszystko w niej okrzepło i że musi wreszcie naprawdę wykreślić Piotra z pamięci. Wstrzymała wtedy na chwilę oddech, a jej serce dalej tętniło krwią i tą ciszą, jaka w niej nagle zaległa pełna jeszcze smutku i rezygnacji; głos przemawiającego z kazalnicy proboszcza przestał do niej docierać. Gdy z kolei Paweł zwrócił się do niej z tym samym, co świekra: „Czy coś się stało? Czy ci niedobrze?”, odpowiedziała bez gniewu, bez niechęci do niego, prawie ze spokojnie: „Wszystko w porządku”, bo wydało jej się, że wszystko dookoła, nawet kamienny strop i ściany, i filary podpierające sklepienie, jak gdyby skłoniły się nad nią także z zapartym tchem, bezstronne, współczujące, mądre i wyczekujące. I te dokuczliwe dreszcze ustały a twarz Pawła przepadła; nie widziała nikogo wokół siebie. Klęczała wpatrzona gdzieś w dal, w jakiś inny punkt, w to coś, co było gdzie indziej, nie tam w każdym razie, gdzie patrzyła, wcale nie w kościele, nawet poza tym kościołem też nie, bo może dopiero na drodze, którą będzie musiała przejść tego albo następnego dnia, następnego miesiąca, albo jeszcze później, w każdym razie na pewno w jakimś czasie, który jednak nastanie, jest jej przeznaczony i który się spełni. I tak na zawsze miało to już pozostać w jej pamięci: rozdzwonione głośno i srebrnie podniesienie, kiedy klęczała w głowę opartą o pulpit ławy, z ukrytą w dłoniach twarzą, z zamkniętymi oczyma, jednakże zapatrzona uparcie w ten bezmiar dali otwierający się przed nią, myśląc że nastąpiła chwila wykreślenia z pamięci po Aleksym również Piotra, nie czując nawet tego smutku, jaki niedawno jesz-

cze czuła dojmująco, oddychając miarowo, rytmicznie i wreszcie spokojnie i czekając aż ten punkt, to miejsce tam gdzieś uwyraźni się i ona je zobaczy. Nie zobaczyła.

Po sumie, gdy wyszli przed kościół, Paweł zapytał, czy wracać do Gleb, czy też jeszcze zaczekać. W jego głosie było ostrożne wyczekiwanie. Zaproponował, że można by posiedzieć u karczmarza, może Czerestwienscy jeszcze przyjadą, może im się tylko przytrafiło coś po drodze. „Nie. Co się mogło przytrafić? Bzdura! Wracajmy” odpowiedziała, „Przecież możesz do nich zatelefonować z domu. Tylko nie zapomnij, że dzisiaj poczta jedynie do trzeciej łączy. Trzeba się pośpieszyć”, i głos miała prawie obojętny. Ale wtedy właśnie usłyszeli ów niewątpliwy, nie dający się z niczym innym porównać, ani z czymkolwiek innym pomylić łoskot kopyt konia, który goni resztkami sił. Tłum rzucił się beładnie do ucieczki.

Gdy z za zakrętu doleciał pierwszy krzyk, stajenny Chrobak, a za nim Paweł pognali między najbliższe chałupy, gdzie zostawili byli pojazdy i konie. Wreszcie tego krzyczącego człowieka Katarzyna zobaczyła. Wynurzył się galopem z uliczki szarpiąc niby szalony swego zmydlonego pianą wierzchowca, spiął go raptem piętami na placyku i, jeszcze wciąż szarpiąc — kiedy już zarył się on kopytami przed kościelną bramą, zwałił na kolana, z kolan zaś na bok, wyciskając z gardzieli ostatni chrapiący oddech — począł krzycząc: „Otoczają wieś! Banderowcy!”. Jego udreconą, czarną, umazaną pyłem, spotniałą twarz zobaczyła przez parę sekund jak gdyby tuż przed swoją twarzą. A wtedy spomiędzy chałup zadudniły pierwsze strzały (widać banderowcy przycałali się także we wsi) i twarz tego przybyłego na koniu człowieka znikła jej z oczu. Ujrzała Pawła, jak pędzi przez placyk ciągnąc za pyski konie zaprzężone do bryki, potem Chrobaka okładającego je batem, a potem jeszcze parę powozów z okolicznych majątków, parę włościańskich perekładni i szarabanów, i breków i że z tego wszystkiego robi się od razu jakaś gigantyczna płatanina pełna krzyku, klątw, lamentu, kwiku koni i że Chrobak wyszarpuje spod siedzenia sztucer i dubeltówkę, ciska ku niej wraz z jakimś tłumoczkim, i posłyszala głos Pawła: „Brać broń, ludzie! Z powrotem do kościoła!”. Jakieś ręce targnęły nią wtedy silnie do tyłu, była nagle znowu w kościele, ten tłum tłoczący się jeszcze zewsząd wrzeszczał jak opętany, aż raptem z hukiem zawarły się drzwi i zamilkł.

Słychać było tylko rozkłębione oddechy, płacz dzieci zrazu cichy, potem coraz głośniejszy, tak że ktoś krzyknął na nie, żeby przestały, i przestały, a z zewnątrz pojedyncze strzały. Potem brzęknęły tłuczone witraże i rozległ się zza dębowych drzwi

rozkaz: „*Wychodyty czwirkami!*”. Ludzie w panice rzucili się ku ścianom. Katarzyna szeptała bezwiednie: „Paweł się wymknął. Sprowadzi pomoc”, a świekra: „Tak, daj Boże. I żeby to się prędko skończyło”, choć chyba w to wcale nie wierzyła. Tymczasem ktoś perswadował: „Po co się zamykać? Pewnie oni tylko kogoś szukają. Jeśli się rezunom zaraz nie otworzy, to i tak drzwi wyważą. I ludzi pomordują”. Ktoś zaś inny oponował: „To głupio tak gadać! Wybiją wszystkich, co do nogi. Tylko na nadejście pomocy możemy liczyć. Z tymi, to czy się poddamy, czy nie, to samo będzie”, jednakże głosy tych, co chcieli otworzyć przeważały. Parę kobiet wraz z gromadą starszych mężczyzn ruszyły do drzwi, żeby wyjść na zewnątrz. A wtedy podniósł się okropny lament, z setka może, albo więcej ludzi, rzuciła się w popłochu przez zakrystię do przymurowanej do kościoła renesansowej plebanii, piętrowej i kamiennej, wyglądającej na małą twierdzę ze swoimi zakratowanymi okienkami, w które ksiądz, kiedy tam wpadli, wstawiał właśnie okiennice i żelazne sztaby. Zobaczyła, że pomagał mu Paweł. „Więc mu się nie udało” pomyślała. „Nie wymknął się. Nie będzie żadnej pomocy”. Ale nie było w niej żalu, ani trwogi, zupełnie nic.

Przygotowywano się gorączkowo do obrony. Ksiądz ze schowka w sieni wy dobył kilka siekier i łomów, widać od dawna przygotowanych na taką okazję, rozdzielił je między tych, którzy nie mieli broni palnej (było jej tyle, co kot napłakał: siedem starych flint i dubeltówek, jeden sztucer Pawła i jakiś długi karabin austriackiego typu, sprzed pierwszej wojny), zaczął rozbierać piec i kamienne posadzki. Lament kobiet, krzyk dzieci i ta bieganina z kąta w kąt w okropnym tłoku, bo plebania była ciasna, wszystko to narastało, hucząc w uszach, lecz wciąż jeszcze nie czuła nic. Musiała pomóc w sprowadzeniu do piwnicy dzieci i zająć się ich uspokajaniem, później Paweł posłał ją na strych, żeby sprawdziła, czy nie ma tam czegoś łatwopalnego, więc nie miała wiele czasu na myślenie. Aż wreszcie ta chwila nadeszła. Ta pierwsza, zaciskająca krtań, jakby kleszczami wprost do bólu chwila grozy. Gdy wyjrzała przez okienko słysząc wrzaski, strzały i jęki, i gdy nagle zobaczyła tych czarnosotennych rojących się, niby robactwo, wokół bramy przykościelnej, wskakujących do środka kościoła, wywlekających za włosy te biedne kobiety, które zdecydowały się nie ukrywać, ale zdać na ich łaskę i pod murem je strzałem pistoletu mordujących. Gdy zobaczyła, jak jednego z nich znęciła widać bluzka wyprowadzanej dziewczyny, więc strzelił jej w brzuch i jeszcze z kopiącej nogami ziemię tę bluzkę ostrożnie, żeby nie zabrudzić ściągnął. I wtedy zakryła dłońmi oczy i stała tak, z twarzą przyciśniętą do futryny długą chwilę,

aż strzelanina na zewnątrz się urwała, a trzy albo cztery razy huknęło od okien zakrystii. Pod murem kościelnym leżała już tylko sterta ciał, niektóre jeszcze drgały, a banderowcy chodzili nad tymi ciałami rozkraczeni i dobijali kolbami.

Potem była na dole. Zza ściany wciąż dochodziło wołanie: „*Wychodyty!*”. Potem rozległo się rąbanie siekier w wejściowe drzwi. Za okiennicą eksplozja granatu zatkniętego w kratę. I czyjś rozpaczliwy krzyk, że to już koniec. I brzęk szyb na piętrze, gdzie nie było krat ani okiennic. Nagle ostrze siekiery któregoś z napastników ukazało się w szparze drzwi, rozwalając deskę na podłużne capki. I celne uderzenie jednego z obrońców w samo ostrze, snop iskier i klątwy stamtąd. Znowu w szparze coś. Lufa. Sypnęła pociskami. Uderzenie siekiery i lufa odpadła zgięta. Ksiądz spowiadał już w kącie pod schodami pierwszych konających, ona zaś stale była zajęta, stale w innym miejscu, raz drąc szarpie z prześcieradeł dla rannych, raz tych rannych opatrując, to znowu nosząc z innymi kobietami cegły na piętro do zrzucania na wdrapujących się na mury, ciągle nie mając czasu na myślenie. Ale zapamiętała wszystko. Wpierw te uderzenia siekier. Z zewnątrz napastników, obronne z wewnątrz. Zajadły, brzęczący metalicznie, śmiertelny pojedynek i serie z automatu w zamek. Że jednak zasuwy i sztaby nie puściły, aczkolwiek drzwi ziały otworami, przez które człowiek by się przecisnął. I jak podziurawiona pociskami ściana sypała odbitym tynkiem, świstały rykoszety, a do środka wpadł pierwszy granat. I tę długą chwilę odrętwienia na twarzach, tę nieruchomość wypreżonych niby struny postaci, to zahipnotyzowanie oczu, jakby nikomu na myśl nawet przyjść nie mogło, żeby przynajmniej rzucić się na ziemię — też zapamiętała. Jak granat kręcił się wokół własnej osi, zwalniał i nagle rozległ się szept, który był wrzaskiem ulgi: „*Niewypał!*” I że ktoś wtedy błyskawicznie chwycił go i z rozmachem cisnął na zewnątrz. I usłyszała sekundy tylko trwający popłoch za drzwiami poprzedzający detonację. I jęki po tamtej stronie. I krzyk tryumfu ludzi zamkniętych na plebanii. I jak później ta przeklęta, jakby wszczęta przez szaleńców, zabawa ciągnęła się całe godziny: granat wlatujący przez któryś z otworów okiennych, gonitwę za nim i ruch odrzucającego granat w stronę napastników ramienia. I że nie zawsze się udawało, więc rannych i zabitych było coraz więcej. Aż banderowcy spróbowali wziąć plebanię ogniem, podrzucając wiązki słomy nasączonej naftą, a oblegani z braku wody oddawali po kolei w wiadra moc, ci zaś, co bronili drzwi i okien polewali płomieniem. Ale widziała to wszystko, jak gdyby obrazy doskakiwały do niej i zaraz odskakiwały z powrotem, zajęta wciąż czymś, choć oszo-

łomiona i półprzytomna, i dusząc się z gorąca, od gryzącego dymu, od pyłu z poszatkowanego kulami tynku, te mdłości od smrodu parującego moczu i płomieni ciągle czując, upadająca ze znużenia, a również trzeźwa, rozważna i silna, bo na pewno były w niej dwie kobiety naraz, jedna drugiej strzegąca, nie pozwalająca się załamać i popychająca jedna drugą do czynu.

Było już chyba popołudnie, gdy proboszcz rozbił zamurowane przejście prowadzące z piwnic plebanii w głąb grobowców pod kościół i znosić do nich kazał rannych. Ktoś zaproponował, że reszta też mogłaby się tam ukryć, zanim nie nadejdzie odsiecz. Gdy pobiegła z tym do Pawła, który był wśród obrońców piętra, krzyknął na nią: „Nie pleć głupstw! Jeśli plebanię zdobędą, wyduszą nas, jak pluskwy, rzucając do lochów granaty” i skwapliwie się z nim zgodziła, tak, trzeba plebanię za wszelką cenę utrzymać, i uwierzyła nagle, że to się uda, tak podziałał na nią zimny jego spokój i spokój tych paru mężczyzn, co rozebrani do pasa stali za osłonami z mebli przy oknach i wychylając się błyskawicznie, na krótko, prawie nie celując, równie błyskawicznie, z owych paru flint i dubeltówek, które mieli, strzelali, każdą jednak kulę ważąc przedtem zazdrośnie w rękach. A gdy uwierzyła, pomyślała, że to dobrze, iż nastąpiło już popołudnie, wieczorem łatwiej będzie się bronić, tamci też się zmęczą, tak pomyślała, patrząc chciwie, jak słońce się obniża. Potem banderowcy podłożyli ogień pod stojącą opodal księżą stodołę mając nadzieję, że płomienie przeskoczą na krokwie dachu plebanii, ale dachówka wytrzymała napór żaru, tyle że na strychu zrobiło się jak w piecu i ci wszyscy ranni, nie zniesieni jeszcze do podziemi wołali: „Pić!” coraz natarczywiej, wody zaś nie było nawet kropli. A potem któryś z kolejnych ataków banderowców pnących się po drabinach do okien, a odpieranych z góry cegłami i siekierami, załamał się z tak znacznymi stratami, że odstąpili na dłużej, więc można było nieco odetchnąć i policzyć pierwszy raz zabitych. I wreszcie był już wieczór. W atakach następowały coraz częstsze przerwy. Milkł chwilami ten ich wrzask „Urrra!”, tylko granaty przelatywały wciąż jeszcze w powietrzu w tę stronę i z powrotem, wybuchając to wewnątrz plebanii, to na zewnątrz. Wtedy w komorze pod schodami natknęła się na ekonoma Waśkowskiego, szukał jej, „Starsza pani ranna w nogę od rykoszetu” powiedział. Więc znowu była przy świerze. Opatrzyła ją i zniosła do grobowców podkościelnych, gdzie stłoczeni w dusznej woni butwienia i zgnilizny kryli się wszyscy słabsi, kobiety, dzieci, starzy, ciężiej kontuzjowani i załamani nerwowo, i histeryzujący, i modlący się o wybawienie lub rychłą śmierć, i ci szlochający, i ci wreszcie, co w przygnębionym milczeniu, bezradnie czekali, aż

się dopełni ich los, obojętnie jaki on będzie. Wieczór już się pogłębił, gdy powróciła do Pawła na piętro.

Wieś poza linią placyku oddzielającego kościół od cerkwi ledwo była w mroku widoczna, bliżej tylko wszystko płonęło i ci strzelcy z Pawłem stali teraz pociski rzadziej, ale jak przedtem chybiając prawdopodobnie rzadko. Powoli zaczęło braknąć do zrzucania cegieł. A nawet tych różnych cięższych przedmiotów znoszonych zewsząd z kątów. Później również braknąć zaczęło młodych silnych mężczyzn do łomów i siekier przy oknach na piętrze. Połowa z nich była ranna, lub nie żyła. I choć natychmiast zastępowały ich kobiety, to jednak o jakiś czas któryś z bandytów wdzierał się do środka i dochodziło do walki wręcz. A jeszcze później usłyszała granat przelatujący tuż nad głową, ktoś rzucił się ku niemu przewracając ją po drodze na podłogę, pochwyił, na chwilę oślepił ją bliski błysk, mokre ciepło bryznęło jej w twarz, i to były strzępy rozerwanego obok niej człowieka, a Paweł powiedział wtedy: „Dość. Nie damy rady. Dość. Już dość”, tak od samego okna — gdzie tkwił za osłoną z mebli — w daleką głąb plebanii, gdyż słysząc go było, aż na schodach, dokąd ją wybuch granatu potoczył, i usłyszeć go musieli inni prócz niej również, ci siedzący tam w mroku, i jak jeszcze: „Trzeba próbować się przebić” dorzucił. Lecz ona w tym momencie już się podniosła, już skoczyła ku niemu nie schylając się wcale, choć z dołu mogli ją dostrzec i postać serię, i łapiąc go za ramię wrzasnęła pełna furii: „A ranni? A dzieci? Och wy, mężczyźni! Tylko o sobie myślicie!”, a on zakrzuszył się, jakby w nagłym ataku kaszlu i: „Nie pleć głupstw” powiedział znowu, lecz już się spod tego okna nigdzie nie ruszył, wystawiając jedynie zza muru niekiedy głowę, celując i strzelając tam, gdzie widział w jasności pożaru bliski, żywy, czarny cel. Więc uwierzyła raz jeszcze, już ostatecznie, że to się wkrótce skończy. I rzeczywiście, tak się niebawem stało.

Wpierw strzały banderowców trzaskały coraz rzadziej, rzadziej, jeszcze parę serii z arkaemów tu i ówdzie i z daleka, aż zmilkły zupełnie. Ale noc już była w pełni. W pobliżu rżały miotające się konie łapane przez napastników na sznury, niebawem i one przestały. Stodoła i zabudowania przyplebanijne dopalały się, jak żagwie w bezwietrznym powietrzu, gasnąc powoli. Raptowna cisza, jaka nastąpiła po bitewnej wrzawie, wydawała się przygniatająca i jeszcze posepniejsza, niż uprzedni szturm. Wtedy Katarzyna posłyszała szklany stuk własnych zębów i musiała zagryźć je aż do bólu, by Paweł nie spostrzegł, jak bardzo się boi. Gdy trzeszczenie ognia ostatecznie ustało i zapadła ciemność, nie odezwały się w niej nocne ptaki, nawet świerszcze. Ludzie po-

śródmurów plebanii stali dalej na swych stanowiskach, jak gdyby wciąż nie mogli uwierzyć, że to już koniec, wpatrując się w ciemność z napięciem, czy nie poruszy się jeszcze czymś żywym, nie huknie nowym wystrzałem, lub nie zabrzmie krzykiem, ale nie, naprawdę milczała. „Pewnie odeszli”, powiedziała Katarzyna do Pawła. Paweł zdawał się spać, dopiero, gdy zapytała, czy nie widział gdzieś Chrobaka, bo może Chrobak padł, nie ma go od samego początku, to odezwał się cicho, jakby naprawdę przez chwilę spał, a teraz się był przebudził, zbierał pośpiesznie siły i myśli, głosem utrudzonym i wciąż napiętym: „Stangreta otoczyli na podwórzu za karczmą, kiedy usiłował wydostać się stamtąd z końmi. Lecz Chrobak chyba umknął. Gdy tylko wydobył spod siedzenia w bryce broń i ci ją podał, już go więcej nie widziałem”. Jeszcze później zapytała, kto to ów mężczyzna, który z Gleb przyjechał z nimi do kościoła, dostał w plecy, odciągnęła go pod schody, a Paweł, że to nauczyciel z Trembowli, i Katarzyna więcej nic nie mówiąc, powoli położyła dłoń na kolbie sztucera opartego o parapet; chłodny dotyk uspokajał. Długą chwilę gładziła wypolerowane drewno, widząc również dłoń Pawła, jak leży na sztucerze gdzieś w okolicy zamka, zwisająca, zmordowana, bez siły, niby kawał mięsa, myśląc, nagle z przejmującym do trzewi smutkiem, że ta dłoń dziś zabijała i zastanowiła się, czy pierwszy raz. W zupełnej ciszy minęło tak następnych kilka minut. Rozwidniało się od księżyca coraz bardziej i w głębi plebanii zaczął się nowy ruch, jak gdyby kietznana długo rzeka znalazła wreszcie ujście. Oto odważniejsi wystawiali przez okna i wyrwy w murze na zewnątrz głowy i cisnęli się, jak stado, do drzwi na dole, ci jednak, co już z początku objęli samorzutnie przywództwo, posiadacze broni palnej, odpychając i kłując lufami, nie pozwalali rozrzucić barykad, aż zapędzili wszystkich z powrotem i opuszczono z góry paru ochotników na linach, by wpierszyć rozejrzeli, jeżeli zaś bandyci odeszli, ażeby każdy biegł dalej do swojej wsi po pomoc. I tak upływały dalsze minuty i zrazu ciszy na zewnątrz nic nie zakłócało, albo więc banderowców już nie było, albo czekali zaczajeni na większą ilość ryzykantów. Ale potem nie dało się dłużej ludzi utrzymać, zgłosiło się znowu paru i po chwili rozległo się z dołu wołanie: „Wychodźcie, nikogo nie ma”. Tak się zaczęła prawdziwa ewakuacja.

Rozległy się jęki wynoszonych rannych, zapłakały taszczone z podziemi dzieci, z których nie jedno zasnęło mimo wrzawy oblężenia, teraz zaś nie dawało się uciszyć, ktoś rozpaczliwie wołał do odchodzących: „Ludzie! Zabierzcie zabitych!”, tylko że nikt go nie słuchał. Gromada z osiemdziesięciu chyba ludzi formowała się pośpiesznie w długi pochód i odchodziła w ciemność. Wtedy

Katarzyna zesła z Pawłem do lochów pod kościołem. Tam właśnie pod ich czarnymi, niskimi sklepieniami, wśród dawno umarłych (leżących w rozsypujących się trumnach ustawionych rzędami na posadzce, lub w ściennych wnękach), leżeli teraz ułożeni byle jak nowi umarli o twarzach najczęściej chłopskich, zgrubiałych, lecz nagle złagodziałych, i Katarzyna pierwszy raz to pojęła: tę zmianę, jaką jest śmierć. Właściwie nawet nie to, że oni, ci zabici, byli już niczym, skórą, kośćmi, mięsem, obojętnym i bez znaczenia, ale że padli, że się więcej z ziemi nie podźwigną i że to ożywiające ich coś, to tchnienie, powietrze, ciepło, ruch, to wszystko, co zwą zwykle duchem, uszło z nich bezpowrotnie w przestrzeń. Przypomniał jej się Aleksy i opowieść Pawła po powrocie z Katynia. Zadrzała.

W świetle woskowej świecy kościelnej objaśniającej wnętrze krypty żółtym blaskiem, ksiądz chodził wśród zwłok, układał je na wznak, a ona stała bez ruchu oparta o filar i nie mogła wydobyć z siebie nawet szeptu. W pewnej chwili posłyszała obok pełen paniki głos starego Waškowskiego: „Prędej! Trzeba uciekać!” i wreszcie udało jej się oderwać od leżących ciał wzrok. Stary ekonom dotykał jej ramienia i naglił: „Prędej, prędzej! Starsza pani przecież ranna, mogą znowu przyjść i będzie z nami koniec”, a świekra, która wyczerpana upływem krwi spała pod ścianą, budząc się teraz, krzyknęła: „Nie zostawiajcie mnie! Tylko nie tutaj! Ja dojdę”. Paweł wychylił się z przejścia i powiedział szeptem: „Oczywiście, że mama dojdzie. Zresztą pójde i spróbuję zdobyć konie. Rana jest lekka. Na pewno mama dojdzie”. Ona, Katarzyna, też wtedy szepnęła: „A ksiądz?”, bo wciąż im się wydawało, że trzeba mówić tylko tak: szeptem. Proboszcz się jednak nawet nie poruszył. Dopiero po chwili odpowiedział: „Ktoś musi pogrzebać poległych. Nie mogę opuścić parafii. Idźcie już, ludzie. Chciałbym zostać sam”, i jak gdyby przestał ich dostrzegać. W wyjściu Katarzyna odwróciła się raz jeszcze. W słabym blasku nakapanej na jednej z trumien świecy zobaczyła, jak ksiądz, trzymając przy twarzy dłoń, klęka i posłyszała, jak zaczyna śpiewać coś po łacinie. Znowu zadrzała. Kamienne sklepienie bowiem zawtórowało mu od razu echem przeciągłym, powtarzającym się po wielokroć. Cofała się tyłem, nie mogąc od tego widoku oderwać oczu, aż potknęła się o stopień, a złamana we dwoje sylwetka nieznanego, klęczącego księdza znikła.

Na górze ktoś jeszcze jęczał. Gdy Paweł wydobył spod schodów bezwładne ciało mężczyzny, zobaczyli trębowelskiego nauczyciela, który wraz z nimi przybył z Gleb i którego Katarzyna sama tam spod kul odciągnęła, a później zapomniała. „Z dwoj-

giem rannych, nawet kilometra nie ujdziemy” powiedział cicho Waśkowski. Ale ranny szepnął: „Ze mną już koniec. Już nigdzie nie ujdę”. Paweł ruchem nie dopuszczającym sprzeciwu wcisnął jej w dłoń sztucer i parę naboí. Rozumiała go i nie zatrzymywała, gdy przepadał w ciemności. Więc potem ona, z tymi dwoma starymi kobietami, Waśkowską i świekłą, która była ranna i dwoma mężczyznami, z których Waśkowski był za stary, żeby mógł być pomocą, drugi zaś, ten z Trembowli, wprawdzie młody, lecz ledwo już oddychał, oczy jego tylko wciąż żyły, otwarte szeroko i czarne niby węgle, nie mogła się dłużej bać. Poszła w głąb domu, gdzie na podłogach leżały trupy mężczyzn i kobiet nie zniesione przedtem do piwnic i szukała czegoś, czym można by objaśnić wnętrze, a nie znalazłszy, wybiegła odważnie na podwórze za plebanią, rozgrzebała resztki żaru po stodole i wróciła niosąc płomień w zwitkach gazet; Waśkowski znalazł w kuchni naftową lampę, zapalili ją i ułożyli rannego nauczyciela na materacu. Nadal miał oczy otwarte i zapatrzone gdzieś daleko poza nich wszystkich, nawet poza księdza, który wyłonił się z piwnicy, stanął w tej swojej zbrukanej krwią sutannie w pobliżu i milczał, bo ranny wyszeptał: „Już mnie ksiądz dzisiaj spowiadał. Już nic więcej nie trzeba”. Gdy spróbowała go opatrzyć, odzyskał jak gdyby nagle siły, wyciągnął dłonie, sam usiłując niesprawnie zrobić coś przy guzikach koszuli, więc go powstrzymała: „Niech pan da spokój. Ja rozepnę”, i prędko przewiązała zakrzepły otwór po kuli, ale potem, gdy znowu go ułożyli i powiódł po ich twarzach wzrokiem, zrozumiała, że się pomyliła, nie potrzebował już nawet tego i nie był wcale młody. Leżał ciemny, spalony od słońca, z przyprószonym siwizną owłosieniem na piersi i brzuchu, przywidły, samotny człowiek bez kogokolwiek bliskiego wśród obcych, wciąż z otwartymi oczyma, chociaż nie patrzył znowu na nikogo, nawet pić nie chciał, gdy Waśkowski przyniósł mu ze studni wody, i wiedział, że umrze. Niebo przebrzaskiwało niebieskawo, lampę zdmuchnięto, w półciemności widać było jego twarz żywą jeszcze, ale nieruchomą i gasnącą. Obie stare kobiety leżały na podłodze zmożone niespokojnym snem pełnym przywidzeń, krótkich przebudzeń i krzyków. Ekonom Waśkowski wraz z księdzem dźwigali ze strychu i piętą wciąż nowe zwłoki i przenosili je do kościoła. Katarzyna chodziła po plebanii i na dwór, gdzie jeszcze pod murem leżeli ci na samym początku pomordowani po otwarciu przez siebie kościelnych drzwi, i wracała z powrotem do sieni, do człowieka na materacu, który już oczu nie otwierał. Gdy pochylała się nad nim i pytała, czy chce wody, nie odpowiadał i prawie nie widać było, że oddycha, potem jednak, kiedy zrobiło się prawie widno,

jeszcze raz podniósł powieki, popatrzył długo, jakby nie tylko patrzył, lecz słuchał i, jakby chciał — zanim znów je przymknie — ogarnąć wzrokiem przez jak najdłuższą chwilę świtające niebo i blask, który ścieka z liści drzew obok kościoła, żeby zapamiętać sobie ten widok nieba, zieleni, kościelnego muru i paru strzech chłopskich dalej, albo może zobaczyć, czy to wszystko, niebo, drzewa, mur, strzechy, czy to wszystko jeszcze tam jest, i tak, jakby tymi swoimi ostro spoglądającymi, przenikliwymi oczyma tam w tę właśnie stronę szedł, a po chwili już nie żył, ksiądz zaś powolnym ruchem dwóch rozstawionych szeroko palców powieki mu zamknął.

Wtedy posłyszała nagle swoje nazwisko. Wpierw myślała, że to przywidzenie, bo jakkolwiek chodziła, dotykała ścian i przedmiotów, brała do rąk sztucer, który zostawił był Paweł i wielokrotnie sprawdzała w nim zamek albo liczyła naboje, patrzyła i nasłuchiwała, to jednak powoli świadomość jej się mąciła i ów głos, który skądś zabrzmiał mógł nie być wcale głosem rzeczywistym, tym bardziej, że się zrazu nie powtórzył, dopiero po dłuższej chwili, gdy już było głośno od ptaków, a skraj nieba dobrze się zaróżowił; tym razem jednak zawołano bliżej, na zapleczu plebanii, i raptem ów lęk, który przepadł, kiedy Paweł pozostawił ją z tamtymi samą, powrócił znów silny, łapiący za gardło. Sciskając broń pobiegła do okna, w krzakach malin dojrzała przez kratę człowieka w kosoworotce, zmierzyla się i byłaby nacisnęła spust, tylko że ten ujrzany przez nią o sekundę wcześniej przypadł do ziemi, jak gdyby z góry wiedział, że ona wystrzeli, a z ziemi zawołał po raz trzeci: „Pani Woynowicz! Chrobak mnie przysłał. Niech pani nie strzela!”. Potem dorosły ten chłop, płacząc jak dziecko, opowiadał im pośpiesznie, jak krążył wokół kościoła z godzinę albo dłużej, bo się bał, żeby czarnosotennych nie spotkać, przecież zagrodę (choć on Rusin) z ogniem by mu puścić mogli, i przeklinał swych pobratymców za trupy i zgliszcza. Już po małej chwili zaturkotała w pobliżu furmanka, którą przyjechał jego brat. Wynieśli z plebanii świekrę, złożyli na słomie, ekonom, jego żona i ona, Katarzyna, też załadowali się szybko, a nieszczęsne pogorzeliśko między kasztanami z niewzruszoną, kamienną budowlą renesansowego kościoła pełną w środku ludzi, którzy niedawno jeszcze cieszyli się życiem, teraz zaś leżeli w podziemiach albo w głównej nawie na zimnej posadzce uciszeni na zawsze, z księdzem, który w milczeniu stał przed bramą unosząc dłoń ruchem jak gdyby krzyża, z twarzą nad tą dłonią zamyśloną i wpoolobecną, wszystko to oddaliło się błyskawicznie. Również zapchany pogruchotanymi brykami i wozami placyk, trupy padłych koni, kałuże czarnej zakrzepłej

mazi rozdeptanej kopytami, pochłaniające światło świtu i lśniące po wierzchu, niczym smoła z mitycznych piekieł, i zaraz furmanka minęła podobne do siebie niby krople wody, chałupy ciągnące się ku drodze (przy nich takie same przechylone pługi pod drzewami, takie same na tych pługach, jak na grzędach, kury czyszczące spokojnie swe pióra), z których to chałup nie wyjrzał nikt, wołac nie wiedzieć kto, ani gdzie jedzie, a potem było jeszcze parę skłębniętych ciał pod krzyżem na rozdrożu, o których dwaj furmaniący Rusini powiedzieli, że wcale nie katolickie, ale nie darowano im, bo ktoś rezunom doniósł, że Lachom pomagali, i już dalej były tylko pola wciąż jeszcze w wilgotnym powietrzu świtu i bezmiar wystepowiałego ugoru; zanim dotarli do Mohylnej Doliny, na drodze ukazała się kawalkada jeźdźców otaczająca parę wozów, i to był Paweł.

Pochwytiła, gdy się z sobą zrównali, krótki, zawzięty błysk jego oczu, jak gdyby zapadłych przez tę noc głęboko w oczodoły. Posłyszała głos zachrypnięty, obcy: „Był również pogrom w Nikoryczy”, jak powiedział do niej, kiedy zaczął przeładowywać z chłopskiej furmanki na koczobryk matkę. Ale natychmiast pojęła, że nie ma co go pytać o cokolwiek, nawet nie usłyszy. Potem z gromady uzbrojonych jeźdźców odłączyło się dwóch, ażeby koczobryk odprowadzić bezpiecznie do Gleb, on zaś z resztą ludzi pociągnął w stronę przeciwną, oddalając się w tumanach pyłu wzbijanego kopytami koni, wprost pod słońce, tak że straciła go wkrótce z oczu. Później zasnęła. Zbudził ją dopiero bezruch, szum świerków, ich silny, wzmocniony porankiem zapach, głosy ciotek wydających bezładne polecenia służbie, i to był już dom, była w swym pokoju, na swoim łóżku, nie rozebrana nawet, wciąż w tej sukni poplamionej krwią i podartej, i więcej nie widziała nic i nic więcej nie słyszała.

Obudziła się dobrze po południu, gdy pokojówka Róża po raz już któryś stanęła nad nią, szarpiąc za ramię, co sobie mgliście przypominała, nie mając sił rozewrzeć oczu, teraz jednak je rozwarła, bo Róża powiedziała: „Niech pani coś wreszcie zje” prawie ze złością. Więc usiadła na łóżku. Była w bieliźnie, suknię z niej we śnie ściągnięto; zauważyła ją rozwieszoną na krzesle, nie odczyszczoną jeszcze z krwi. Odwróciła od tacy z jedzeniem twarz i krzyknęła z odrazą: „Zabierz to zaraz! Prędko!”. Potem znowu wyciągnęła się na wznak. Róża powiedziała: „Wczoraj z pięć tysięcy narodu w Nikoryczy wyrzeczali. Pan sędzia, dzięki Bogu, się uchwował. Wrócił nad ranem”, ale to do niej nie dotarło, dopiero znacznie później, gdy znowu się podniosła i spróbowała jeść. Że w miasteczku też była rzeź, że wuj August wrócił. I przypomniała sobie, że wczoraj w tuczapskim koście-

le spotkać miała Piotra. Więc być może coś takiego jak w Tuczapsku i Nikoryczy, stało się i w Czupryni. Tylko że czuła się tak, jakby była zupełnie ogłuszona i nie potrafiła myśleć. Potem zasnęła ponownie.

Przebudziły ją kroki w sąsiednim saloniku. Ktoś chodził i nakręcał zegary. Leżała bez ruchu i nasłuchiwała. Dom był przepełniony niezwykłym ożywieniem; do jej uszu dochodziły nieznanym dźwięki i obce głosy. Wciąż leżała i nie mogła się ruszyć. Nie była już teraz zmęczona, ale sama myśl, że ma wstać, zobaczyć jacy ludzie kręcą się po domu i rodzinę, a może podjąć z nimi jakąś decyzję, napełniała ją strachem. Wtedy pamięć przywiodła wspomnienie wczorajszego dnia i ostatniej nocy, lecz natychmiast odezwało się w niej silne uczucie niedowierzania, a nawet zapierania się, wypierania, jak gdyby wszystko to nie mogło być prawdziwe. Zamknawszy oczy próbowała z wysiłkiem myśleć o rzeczach jak najbardziej obojętnych, prędko ich jednak zabrakło. I natrętnie poczęło powracać nocne obłączenie kościoła i wcześniejsze postanowienie opuszczenia Gleb. Było w niej, drzemało cały czas, tylko je odsuwała. Teraz, skoro już powróciło wraz z grozą ubiegłej nocy, przyglądała się swemu postanowieniu, jakby było nie własne, a cudze, ona zaś miała je jedynie zatwierdzić albo odrzucić. Ale wciąż nie potrafiła. W końcu przestała myśleć nawet o tym postanowieniu wyjazdu, już nie wydawało się ważne, a tylko, że nie może być sama, bo znowu oczyma wyobraźni ujrzała niedzielę sprzed kilku tygodni, ten wieczór, kiedy po raz ostatni spotkała się w Czupryni z Piotrem, wieczór z niedzieli na poniedziałek i tamtą noc, a potem dzień powrotu do Gleb, i jeszcze jeden dzień, i Pawła sobie przypomniała, jak Piotra przywiózł, ten poranek, i z rozpaczą liczyć zaczęła dni poprzedzające tamten czas od niedzieli do wtorku i zaraz dni następne, i myślała, że teraz sama nie może zostać na pewno, czując, jak własne jej myśli pogrążają ją w lepkiej, gorącej ciemności i powtórzyła szeptem za nimi: „Nie mogę, nie mogę... Nikt nie mógłby mnie oskarżyć, ani potępić. Nawet, gdyby to odkryli... Nawet, gdyby to była prawda. Nie mogę zostać sama”, próbując sobie owym szeptem bezskutecznie dopomóc w oderwaniu się od nich, a potem z uporem słuchając kroków ciotki Wiktorii, która zajrzała do jej sypialni, wycofała się z ociąganiem i odeszła, tych drobnych dziecięcych niemal kroków, które zdawała się słyszeć długo jeszcze po tym, kiedy już wiedziała, że nie może ich słyszeć wcale. Później znowu myślała: „Cofnąć te lata. Cofnąć wszystko, co się zdarzyło. Mieć tamtą niewinność. Nie wiedzieć, co to miłość, rozstanie, czekanie, śmierć wokoło, samotność i ta wieczna ucieczka. Nie wiedzieć.

Nie istnieje nic lepszego na świecie nad nieświadomość”. Aż nagle się roześmiała. Bez wydania z siebie jakiegokolwiek dźwięku, bez jednego poruszenia mięśni twarzy. Bo tamte dawne lata, jakby w oślepiającym rozbłysku światła powróciły w pamięci na chwilę, jak żywe, czyste, przejmująco piękne, ale i niepełne; były w nich tam tylko przeczucia dziwnych półradości, półłęków, półdokonań, półtragedii, niewiele więcej. Nie, już ich nie chciała. Po pewnym czasie pomyślała: „Powinnam na nowo nauczyć się modlić”. Wiedziała, że ta myśl nie nawiedza jej pierwszy raz. Już dawno nie słyszała kroków ciotki Wiktorii, a zupełnie inne. Słońce nabierało koloru miedzi i wieczorne owady zagrały za oknami. „Muszę coś z sobą zrobić” myślała. „Inaczej zwariuję”. I znowu sobie uświadomiła, że myśli tak nie po raz pierwszy. Wreszcie dźwignęła się z łóżka i poszła do łazienki. Gdy po wyjściu ze swego pokoju spotkała w sieni Pawła, który zatrzymując się poinformował, że parę rodzin z uratowanych z pogromu w Nikoryczy zabrał do Gleb, to ona: „Wiem” odparła krótko, jakby nie chciała o tym w ogóle słyszeć, a po chwili dodała bagatelizująco: „Jakoś się przecież pomieścimy”. „To dobrze, że nie masz nic przeciwko temu” powiedział na to i, choć twarz miał napiętą, szerniała i zapadła, nagle mięśnie po bokach ust, jakby mu się nieco rozluźniły. Wtedy poczuła w sobie na moment coś w rodzaju żalu, albo może litości, podziwu jednak również, tego podziwu, który zaskoczył ją już wczoraj w nocy tam, na plebanii w Tuczapsku. Przysłądła mu się przez jakiś czas uważnie. Później zajrzała do świekry. Ciotka Felicja zrobiła jej już opatrunek i zastrzyk, w ogóle wszystko, co trzeba, a ona, Katarzyna, była niepotrzebna. „Tyle przeszłaś, moje dziecko” posłyszała, „Powinnaś się oszczędzać”. Zaoponowała: „Przecież mama przeszła to samo”. A świekra: „Jestem stara. Przed tobą jednak kawał życia jeszcze. Musisz zebrać siły na to, co nadchodzi”. I wówczas, to uczucie litości, czy też żalu, w każdym razie uczucie niejednoznaczne rozciągnęło się jak gdyby na świekrę także. Siedziała przy jej łóżku, milczała i patrzyły na siebie, jakby miały sobie dużo do powiedzenia, ale wstydziły się tego. Tak zastał je Paweł. Przyszedł z wiadomością, że znowu nadciągnęły wozy z uchodźcami i już nie bardzo wie, gdzie ich lokować, więc ona na to, że przecież są jeszcze jej osobiste pokoje, nie musi zajmować wszystkich, wystarczy jej sypialny, wuj, obie ciotki, nawet on sam mogą się do niej przeprowadzić, od razu zwolni się duża część domu, a on, że dobrze, że o tym właśnie myślał, nie śmiał proponować, skoro jednak ona sama..., ona zaś już od drzwi: „Jednakże przez dzień, dwa nie chciałabym tych ludzi widzieć. Ani słyszeć. Proszę cię... Nie mogę... Chociaż wkrótce i nas to

samo czeka...”, tak słabo, z oddali, że nie miała pewności, czy Paweł dosłyszał, i wyszła nie pojmując dlaczego to powiedziała. Wiedziała, że za nią idzie krok w krok przez sieni, że na nią patrzy i czuła tę ostrość jego zapachu, jaka przebijała poprzez zapach koni, zmęczenia, krwi i odwagi, i nie było żadnego cofania się, ani oporu w jej głosie, kiedy powiedziała nie odwracając głowy: „Kaź swoje rzeczy przenieść do mnie. Najlepiej zaraz”, w ogóle nic tam nie było w jej głosie, nawet, gdy zapytała jeszcze, czy gdzieś na noc wyjeżdża, on zaś, że nie, a ona: „To dobrze” na to, nie poznając swego głosu.

Nastał wieczór już naprawdę. Niebo było senne, jeszcze ciepłe. Teraz znowu chciało jej się spać. Nie mogła nawet powstrzymać snu do czasu, aż zje do końca kolację, którą przyniosła Paraska do saloniku obok, gdzie wniesiono już kufry wuja i rzeczy ciotek. Paraska nachylała się nad nią coś perswadując czy o coś łajac, wuj August stał przy drzwiach w czarnych skórzanych sztylpach i zaprasowanych świeżo bryczesach, jakby znowu gdzieś się wybierał, ktoś szarpnął ją za ramię i pomyślała, że to Paweł, ale to nie był Paweł, a wuj i już stał tuż obok i mówił: „Idź spać”, i dopiero po chwili, kiedy uniosła się z krzesła, zobaczyła Pawła opartego o parapet okna, z lekko skłonioną głową, tak że jego krótkie, nierówno przystrzyżone włosy opadły mu na czoło przesłaniając je, i wtedy w ledwo uchwytnym pierzchającym świetle wieczoru dostrzegła sztywny, dziwnie jakiś uroczysty, zatrzymany, znieruchomiły kąt jego ramion, kiedy podniósł rękę wygładzając wyłogi marynarki, a także, iż ma na sobie wieczorowe ubranie i że śnieżna białość kołnierzyka zbyt ostro podkreśla jego ogorzałą twarz. Zdziwiła się, bo dawno już w tym domu nikt nie przebierał się na wieczór. I patrząc na niego pomyślała nagle o Aleksym. Że jeden nie do odróżnienia od drugiego, jakby nałożono na siebie jednakowe klisze, i czy jej się tylko tak wydaje, czy jest tak naprawdę. Lecz pomyślała to, już idąc w stronę sypialni, otoczona przez te odległe spojrzenia wuja i Pawła, zresztą może jedynie spojrzenie Pawła, które za nią biegło pytające i jak gdyby czekające, i wstrzymana przez nie dopiero na samym progu sypialni, gdzie się odwróciła mówiąc: „Dobranoc”.

Nawet nie zamknęła za sobą drzwi. Od razu zasnęła. I sen jej był płytki, powierzchowny, bo dalej słyszała hałas kroków i rozmów, że Tuczapkski, że Nikorycza, że pacyfikacja, że pięć tysięcy, że dziesięć tysięcy wymordowano i że jeszcze sto tysięcy albo może nawet milion, a ten niekończący się pochód ofiar zmierzających gdzieś w głąb nicości ciągnął nieprzerwanie obok niej wśród jakichś dni i nocy nie mających dat ani nazw, otwierając zaś oczy, by sprawdzić, gdzie się znajduje, słyszała tylko zanika-

jący stopniowo ruch w całym domu, jak wszystko pogrąża się w milczenie, w którym wciąż brzmiały dwa głosy: Pawła i wuja Augusta, że Tuczapask, Nikorycza, że rzezie, jak gdyby były dwoma kawałkami syczącego żaru na dnie naczynia wypełnionego odmetem. I zasypiała znowu. Miała jednak wrażenie, że nie spała wcale, gdy obudziła się po paru godzinach wśród płaczu, płaczu zbyt gwałtownego, żeby dał się uciszyć natychmiast.

W łazience paliła się lampa i w prostokacie matowej szyby w drzwiach widziała sylwetkę mężczyzny wycierającego się ręcznikiem. Nie spojrzała w tę stronę drugi raz. Ciemność już nie była tak twarda, ale jakaś jak gdyby ziarnista i nie musiała spojrzeć na okna, żeby wiedzieć na pewno, że zbliża się brzask, zresztą drozd śpiewał w kratęgusach za murem i wielogłosy gwizd innych ptaków w głębi parku wzmagął się coraz bardziej. Nie zamykała oczu, wiedząc, że nie powinna. Ta fala płaczu odpłynęła sama. Słyszała w sobie jeszcze jakieś echo swych dawnych myśli i słów Pawła, które ją od niego odpychały. Słyszała także własne słowa wypowiedziane do świekry, kiedy pojechał ongi na poszukiwanie Piotra, te słowa, że go nie pokocha, ale teraz rozumiała, że nie może być sama. Cofnęła się od tego przypomnienia z lękiem. Gdy skrzypnęły od łazienki drzwi i rozległy się ostrożne, świadomie tłumione kroki, powiedziała: „Ja nie śpię”. Te kroki zrazu się zatrzymały, a potem zbliżyły. Więc znow to było jak przedtem. On się pochylił. Spojrzała w jego twarz. Przyglądała mu się przez chwilę rozważającym, ale nie wyciągającym wniosków spojrzeniem. Mówiła raz jeszcze: „Nie śpię. Widzisz? Wcale nie śpię” w miarę jak się pochylał. I słysząc ten wciągnięty przez Pawła głośno, a zaraz potem nagle zatrzymany haust powietrza, zrozumiała, co to znaczy tego powietrza zapragnąć, kiedy płuca nie znajdują dla siebie wokoło nic do oddychania. I poczuła na ramionach jego ręce. Żyły jak gdyby własnym, oddzielnym życiem, twarde, napięte, i próbowały coś uczynić, co on im od dawna powierzył, co nakazał, aby uczyniły, przed czymś go powstrzymać, albo coś udaremnić, ale zaraz rozluźniły się i zrezygnowały.

VII

Jej głos był spokojny, oznajmiający, nic więcej, zdawało się: obojętnie chłodny. Więc się zbliżył. I spojrzał. Choć już niczego

od niej nie potrzebował. Zwłaszcza po masakrze w Tuczapsku i po poniedziałku, kiedy dowiedział się o Nikoryczy, pojechał i zobaczył skutki rzezi, czego nie powinien był czynić, bo przecież jest jakaś granica jednorazowej ludzkiej wytrzymałości, poza którą wszelka wrażliwość się stępieja. Bo w ciągu doby nie można przeżyć po raz drugi tej samej grozy, lęku, nienawiści, narodzin siły, chęci odporu i odwetu, ani nasycić zemsty także nie można dwa razy. Bo ogień wytrawiający wewnątrz zostawia na czas jakiś śmiertelne jedynie znużenie. Więc nie musiał o niej nawet myśleć, jak o kobiecie. W ogóle nie musiał myśleć. Nie potrzebował. To właśnie ten głos go zmylił. I tylko dlatego spojrzął. A wtedy natknął jej oczy przypatrujące mu się swym poważnym, niemożliwym do odparcia spojrzeniem. I zanim pomyślał jeszcze, że to się zaraz znowu może zacząć, że się na pewno zacznie, pomyślał wprawdzie: „Nie wolno” i po chwili: „Więc być może teraz i ten drugi mężczyzna z jej życia znikł na zawsze. W nikoryckiej rzezi. Ten, na którego liczyła, na którego czekała. A ona jeszcze nie wie. Lecz dowie się niebawem”, zastanawiając się również nad głębią i siłą swego niedawnego pragnienia dowiedzenia się prawdy, co ją z Piotrem Czerestwiewskim łączyło i nad swoją obawą przed dowiedzeniem się tej prawdy, a potem znowu pomyślał: „To się zaraz zacznie” i następnie: „To jest silniejsze ode mnie”, i czuł, że ona widzi, że wie, co tam się dzieje w tym miotającym się jego mózgu, jak szuka on po omacku jakiegoś wyjścia, cofa się, kołuje, aż resztki dumy, tej żalosnej dumy będącej pragnieniem usprawiedliwienia się przed samym sobą, powoli opuszczają go, pozostawiając bezwstydnie nagiego wobec własnego pożądanego.

A przecież nie minęły nawet trzy, najwyżej cztery godziny od chwili, kiedy Katarzyna poszła spać, pozostali z wujem sami i wuj to powiedział: „On, Piotr Czerestwiewski, tam był w Nikoryczy. Nie wiem skąd mógł do was tutaj w niedzielę rano dzwonić i nie wiem, jak się mógł umawiać na sumę do Tuczapska. Może starej Parasce coś się pokręciło. On był w Nikoryczy podczas tej rzezi. Mówiono mi. I Semen Gawryluk dostał go chyba w swe ręce”. A choć on, Paweł, kiedy to usłyszał, nie znalazł w sobie od razu tej odruchowej, instynktownej nieomal chęci zerwania się, wybiegnięcia z domu, zwołania kogo się da z zaufanych ludzi i wejścia znowu na przeklęty gawrylukowy trop, aby się dowiedzieć, co z kuzynem Gawryluk zrobił (był przecież nazbyt znużony, był wyczerpany, wytrawiony w środku, jak kość wyjęta z ognia), to jednak po jakimś czasie, dość długim, to prawda, tę chęć w sobie odnalazł i, mimo że nie była to już chęć instynktowna, raczej przemyślany wewnętrzny nakaz,

akt woli, kiedy się dźwignął z krzesła chcąc iść do drzwi, byłby przecież wybiegł, pojechał, tylko że wuj powiedział prędko: „Siedź spokojnie. Teraz nie da się w ogóle nic zrobić. Trzeba odczekać, aż nadejdą jakieś pewniejsze wiadomości. Jutro może dowiemy się naprawdę”, uprzedzając owymi słowami nawet ten pierwszy jego krok. Więc się cofnął i siadł wtedy ponownie naprzeciwko wuja, jedynie myśląc: „To będzie dla Katarzyny ostateczny cios”, lecz bez jakiegokolwiek satysfakcji, prawie z żalem, ze współczuciem, bo nie chodziło już o nią i o Piotra, o to, co ich łączyło z sobą i co on, Paweł, z tego właśnie powodu był kiedyś przecierpiął, chodziło o samego Piotra, z którym byli przez matki jednej krwi, zżyli się od dziecka, związali węzłami przyjaźni, jakich nawet kobieta nie jest w stanie rozerwać (co sobie uświadomił dużo wcześniej, w swym zaślepieniu jednak nie chciał się do tego przyznać), a i o to mu chodziło, że nie tak dawno dopiero pojął ostatecznie, iż odpychający go niegdyś od Piotra jego kosmopolityzm, wyobcowanie, ten jego w nic nie angażujący się świat, wszystko to przecież było w przeszłości także i własnym jego, Pawła, udziałem, więc nie ma co o to Piotra obwiniać, zwłaszcza iż czas, w którym on żyje cechy te prędko z niego zedrze, jakby zdierał z ciała kawałami nie nadającą się do niczego skórę. Bo przypomniał sobie, jak było z nim samym. To całe własne jałowe dzieciństwo, które tak nazywał, dziś wiedząc na pewno, że było jałowe, niepełne, dostatnie jedynie, wygodne i przez to przeciętne, i wyobcowane z otoczenia, a nawet kosmopolityczne też i w nic się nie angażujące do chwili, kiedy poznał cierpienia matki i ojca, ich przywiązanie do tej kresowej ziemi tak różne, że miał łączyć oboje, rozdzielało, i zarówno ich miłość do tego ludu, jak i nienawiść. I wreszcie to, co zwał później ich tajemnicą i legendą — przypomniał sobie teraz również.

Już wtedy wiedział, że jest dzieckiem rodziców nie młodych, których bardziej wiązało identyczne nazwisko i chęć utrzymania w rodzinie majątku, niż miłość. Wiedział nawet, że matka jest chyba o parę lat od ojca starsza i swego kuzyna pochodzącego ze zubożałych Woynowiczów, zbiegłych kilkadziesiąt lat temu do zaboru pruskiego przed dłużnikami i austriackimi urzędnikami skarbowymi, wybrała sobie dlatego, że on jeden z wziętych pod uwagę kandydatów o tym samym nazwisku (których przegląd robiła długo, jeśli uchowała się w panieństwie aż do trzydziestki) łączył w sobie dwie zalety w jej oczach konieczne, by stać się panem rodowych Gleb, przedłużając na nich dziedzictwo Woynowiczów: posiadał zawód rolnika i żołnierską przeszłość.

Choć o tym żołnierskim stanie swego ojca Paweł miał zrazu

dość mgławicowe pojęcie. Wszystko jednak w jakimś stopniu przecież wiedział albo sądził, że wie żyjąc wtedy w owej cudownej krainie zwanej dzieciństwem pełnej niezamąconej niczym radości, niefrasobliwości zabaw i wyścigu od jednej do następnej przygody. Krainie, która jednocześnie była krainą jałową, bo zrazu nie dane mu było w niej zaznać bólu. Ten zacięty, nieustępliwy, wciąż jak gdyby wypatrujący nadciągających niebezpieczeństw wzrok matki, nic mu nie mówił. Ani niewiele mówił mu wzrok ojca, chłodny, równie nieustępliwy, gdy wracając z objazdu pól albo z zebrań z chłopami, wygłaszał niekiedy to swoje sakramentalne credo „liberała sprzed pierwszej wojny”: „Trzeba ulepszać tutejszą gospodarkę. Trzeba walczyć z ciemnotą i zacofaniem chłopów. Wyrwać ich oświatą z rąk atakującej zewsząd Azji, a nie politykierstwem, rozdmuchiwaniami nacjonalistycznych urazów i potrząsaniem szabelką”, głosem także chłodnym i nieustępliwym, ku jej milczącej, pełnej niedowierzania rozpaczy. Dopiero na dwa albo trzy lata przed ojca śmiercią odkrył odwrotną stronę, podszewkę jak gdyby, ojca postawy. Kiedy dobrał się któregoś dnia do ściennej szafy w gabinecie, zawsze zamkniętej na klucz i niedostępnej, zobaczył jego szary, legionowy mundur, tę szablę ullańską, pas, proste skórzane siodło, ostrogi, olstra, manierkę na wodę i znalazł pudełko z odznaczeniami za udział w walkach o niepodległość kraju, oraz późniejszymi z bolszewickiej wojny w 1920 roku, i kiedy zrozumiał, że ojciec był żołnierzem naprawdę, bo mundur znały stare plamy krwi i uwierzył, że ojciec bił się o tę ziemię w legionach Piłsudskiego, krwią swoją tę ziemię zapłodnił, a tylko tej krwi, tego munduru się wyrzekł, zamknął to wszystko w szafie na klucz, odstawił do świata legend, niepotrzebnych już nikomu rekwizytów, wybierając szarą codzienną pracę z ludem, spośród którego przecież właśnie jego przodkowie wyrosli. Więc to wtedy doświadczył tego bólu. Szarpiącego, ostrego, chcącego się uzewnętrznić, ale nie do uzewnętrznienia. Bo również rozumiał, że może ich oboje utracić. Matkę i ojca, najbliższe sobie na świecie istoty. Że choć są oni jednej krwi i połączyła ich ta sama uparta miłość do tej ziemi, to jednak urodzili się na dwóch różnych krańcach Polski, w kimś innym i gdzie indziej nauczyli się upatrywać wroga i niebezpieczeństw, i choć tego samego przecież pragnęli i do tego samego zmierzali, nie potrafili się zrozumieć. I rzeczywiście ich utracił. Ale zanim to się stało, jakiś czas jeszcze żył i oddychał w tajemnicy przed innymi swoim odkryciem, tą wspaniałą legendą, która wionęła ku niemu dumnie z przepastnej gabinetowej szafy, z zapachu starych papierów, proszku przeciwko molom, zleżałego, niedopranego sukna, którego koszarowookopowej woni

nie są w stanie zagłuszyć lata, i często płakał. Dorobił sobie nawet własnoręcznie klucz do zamku, przychodził pod nieobecność ojca do jego gabinetu, otwierał szafę, wdychał ten zapach, zapamiętany po dziś dzień, gładził swą drobną dłonią szorstki i wytarty materiał munduru albo dotykał ostrza wyjmowanej z pochwy szabli i słyszał wystrzały, niemiecki krzyk komend Austriaków i Prusaków, głośne Urrra! kozaków Budionnego, dudnienie końskich kopyt, granie trąbek, łopot proporczyków, nawoływanie polskich dowódców i wielką, podniecającą wrzawę wielu artyleryjskich szarż. Był po stronie ojca i matce miał dużo za złe, bo wydawało mu się, że ojciec jedynie udaje pracowitego, spokojnego rolnika, chłopskiego działacza i nauczyciela, że coś ukrywa, że ona go do tego zmusza i że są ku temu, że udaje, jakieś ważne przyczyny, ale mimo to kochał przecież matkę i starał się usilnie dociec, co rodziców dzieli naprawdę. A potem ojca zamordowano. To było wówczas, kiedy dał się on wreszcie matce nakłonić do wystawienia swej kandydatury w wyborach do sejmu, jeździł z wiecu na wiec, na których publicznie ścierały się dwa nacjonalizmy: polski z ukraińskim, i przemawiał, w domu bywając w tamtych gorących tygodniach tak rzadko, że Paweł odzwyczaiał się od jego obecności; było to krótko po wyjściu ojca z wyborczego lokalu i oddaniu własnego głosu, gdzieś na ulicy, bo właśnie tam dopadła go kula ukraińskiego nacjonalisty. Paweł zapamiętał ten dzień: wóz jadący przez wieś, chłopów o twarzach, w których nie wiadomo co jest, czy radość, czy żal, i skrawawione ciało ojca, jak je wniesiono do sieni i złożono na stole. A później w nocy woskowe świece palące się przy katafalku okrytym czarnozłotym całunem, ich płomyki poruszane oddechami czuwających domowników, światłocienie pełnzące po jego białej twarzy, i rozchodząca się wokoło ostrą woń świerku i jedliny. Zapamiętał szept modlitw, szelest paciorków różańcowych przesuwanych pomiędzy palcami, oczy matki, jak gdyby oddalone, cofnięte, pociemniałe, suche i nie mrużące powiek, gdy stała w głębi przy zasłoniętym oknie. I znowu korowód chłopów. Jak wciąż jeszcze wchodzili (przystawali przed trupem, spoglądali bez słowa, a twarze mieli już wtedy czujne, uważne, jakieś zamyślane, pełne wahania i wątpliwości), i jak po oddaniu ostatniej zmarłemu dziedzicowi przysługi, tego milczącego pożegnania, korowód ów zawracał i wychodził szurając na ganku butami oddalającym się miarowo szmerem, ciężkim i poważnym. I zapamiętał, jak później zwolna tracić zaczął matkę. Mimo że jeszcze przed śmiercią ojca starał się pojąć swym chłopięcym, niedoskonałym rozumem ich poglądy, przeniknąć różnice i jednocześnie zespolić w swym małym sercu zarówno tę

legendę siły i panowania, której rzecznikiem była matka, a którą ojciec, chociaż był jej prawdziwym bohaterem, odrzucił, pogrzebał, ową legendę przedmurza wiary i europejskiej kultury na kresach Europy, ów pogląd iż tylko nieustająca czujność i walka, gdy trzeba, o stan narodowego posiadania pozwolą trwać na tej ziemi i poglądy ojca wyrażające się w propagowaniu pracy organicznej, w akcjach oświatowych, dawaniu przykładu dobrego gospodarowania i współżycia z ludźmi niezależnie jakiej byli wiary i jakim językiem, czy dialektem mówili. Ale później, znacznie później po śmierci ojca, to stracił i matkę, gdyż nie tylko ojca poglądy, to co próbował on robić, zdewaluował i obrócił w niwecz czas, także jej poglądy okazały się na nic przydatne. Zaczęło się to wówczas, kiedy parotygodniowa kampania wrześniowa zamieniła kraj w perzynę, nastąpiły obie okupacje, obie krwawe i wyniszczające, kiedy zniknął Aleksy i trzeba było miesiącami ukrywać się przed deportacją w głąb Sowietów. Ale nawet, kiedy po wybuchu niemiecko-sowieckiej wojny oni, Woynowicze, wrócili do Gleb i spróbowali odbudować, co się dało, to też ją tracił z dnia na dzień, zostając sam wobec konieczności podejmowania decyzji i wobec czynów, których należało dokonywać. Więc już teraz był pewny, że i kuzyn Piotr będzie musiał wkrótce przejść przez cały ten proces bólu, ten wstrząs, że mu go czas nie oszczędzi skoro znalazł się on w owym krwawiącym, jak rana, zakątku kraju, że będzie tracił po kolei wszystkie złudzenia w jakie obrósł w swym domu, który wyparł się przynależności do jakiegokolwiek nacji, że będzie wyzywał się swojego wyobcowania i że chwila ta jest bardzo bliska, jeżeli jego własny, z nieprawego tylko łoża brat, Semen Gawryluk, jest hersztem jednego z najokrutniejszych ukraińskich ugrupowań w okolicy i on, Piotr, od dwóch lub trzech miesięcy wie, że to jego brat, a także wie, czym gawrylukowa, więc i Czerestwienkich przecież krew płaci temu narodowi za dwudziestoletnią gościnę. Tymczasem wuj August relacjonujący nikoryską rzeź powiedział: „Piotr tam był. Słyszałem od wielu ludzi. I Semen Gawryluk dostał go w swoje ręce”, a on wtedy: „To będzie dla Katarzyny ten ostateczny cios”, musiał pomyśleć bez jakiegokolwiek satysfakcji mimo tego, co ich ostatecznie z Piotrem rozdzielało, ta kobieta, bo przecież kobieta nie jest w stanie rozdzielić dwóch mężczyzn na zawsze. I jeszcze pomyślał: „Więc Piotr nie zdążył spokojnie dorosnąć... dojrzeć... Dojrzeć do tego czasu i wypadków, w których czas wyznaczył mu udział...”, mniej więcej tak, patrząc na wuja z niemyym wyrzutem, że to właśnie on mu to zakomunikował.

I potem musiał myśleć o domu w Czupryni, który, jakkol-

wiek go oceniał, był mu bliski, jak własny, i to nie tylko dlatego, że najmłodsza siostra ojca została Czerestwienką i matką Piotra, ale że wychowali się przecież z Piotrem prawie razem, mimo różnicy wieku przyjaźnili i w domu tym żyła również wiele lat Katarzyna, pierwsza chłopięca miłość ich obu, później zaś żona Aleksego; musiał myśleć o wszystkich tego domu dziwnych mieszkańcach: Mikołaju Fiodorowiczu, tym starym Rosjaninie, twardym żołnierzu, który nie miał na sumieniu żadnych win wobec Polaków i z czystym sumieniem mógł osiąść po rewolucji na tej ziemi, kiedy jego własna się go wyrzekła, o tym starym silnym człowieku, dla którego jedyny wnuk Piotr, był jak gdyby przedłużeniem własnego jego życia poza oczekiwaną spokojnie śmierć, jedynym spadkobiercą nazwiska, rodzinnych tradycji i legendy tamtych dawnych czasów, które były nie tylko czasami carskiego absolutyzmu i tyranii, ale także zrodziły, później dobitą przez bolszewików, demokratycznie i liberalnie nastawioną rosyjską inteligencję, tych czasów, kiedy on, Mikołaj Fiodorowicz, był młody jeszcze i niczym się nie splamił, choć tak było łatwo; o stryjence Małgorzacie musiał myśleć, matce Piotra, której mąż zawiódł nadzieje tak jej własne, żony, jak i swego ojca, Mikołaja Fiodorowicza, płacząc się w mętne, emigracyjne środowisko i niejasne afery współpracy z Niemcami, tragiczny wykołajeniec miotający się od lat między wielkimi zamierzeniami a czynami bez znaczenia, typowy produkt caratu, bez wiary, idei, siły, i że kiedy ją wreszcie zostawił niktą z horyzontu, Piotr i dla niej stał się wszystkim w jej smutnym, na poły wdowim życiu; i myślał również, jak oni ten cios zniosą, zwłaszcza, że Gawryluk jest ich własną krwią, najwstydlivszą tajemnicą, ich hańbą, i co to za nieszczęście, że to właśnie on, Gawryluk, a nie kto inny musiał zrobić; i znowu o tym domu, jak opustoszeje, myślał, o domu już dotychczas tak pełnym pokutujących zjaw przeszłości, nieprzystosowanym do obecnego świata, że skazanym na zagładę, o domu, który Piotr miał ocalić, przedłużając jego istnienie w przyszłość inną, dostosować do życia swojego czasu, sam strząsając z siebie to wszystko, czego oni nie potrafili tymi zjawami skrępowani; i powiedział wtedy nagle do wuja: „Nie, to nie może tak być. On nie może zginąć. On nie mógł zginąć. Nieprawda. To nie było tak. Nie wierzę!”, wcale nie przecząc opowieści wuja Augusta, a jedynie stwierdzając dopiero teraz, iż nie był dotychczas przekonany, ażeby dostanie się Piotra w ręce Gawryluka miało być równoznaczne z Piotra śmiercią.

Chociaż pamięć była nieubłagana. Natychmiast przywiodła mu przed oczy ubiegłoroczny mord w czupryńskiej oranżerii, kiedy to Gawryluk — wykorzystując nieobecność Czerestwien-

skich — urządził zbrojne najście na pałac. I panią Irenę, przyjaciółkę Piotra stryja, Teodora Czerestwińskiego, wpierv żywą sobie przypomniał, jak przed laty po lekcjach francuskiego opowiadała im o wspaniałym dalekim mieście Paryżu (zrazu nie wiedział, co znaczy ta słoność w krtani, bo w pierwszej chwili było jedynie wspomnienie smukłych, pięknych rąk umarłej poruszających się na planie miasta, kiedy pokazywała im i nazywała znane sobie ulice); i jak opowiadała o zamkach nad Loarą, o ruinach Kartaginy, które właśnie rozkopywał Teodor Czerestwiński, gdy go poznała, i o tych najrozmaitszych innych ruinach i szczątkach znajdujących w ziemi Grecji, Bułgarii, Transjordanii, jakie widziała towarzysząc mu w jego licznych podróżach wraz ze swym żyjącym jeszcze wówczas mężem, późniejszym Piotra nauczycielem muzyki; i również, że oczy miała senne, wielkie, takie jakie miewają Rosjanki z dalekiej północy, zmaczone jak gdyby delikatną mgłą, kiedy o tych swoich wędrownkach mówiła. A potem przypomniał sobie panią Irenę skuloną na kamiennej posadzce, tak jak ją znaleziono w części oranżerii, której nie zdołał strawić ogień i jak ją stamtąd wyniesiono ukradkiem, aby zaoszczędzić zwłokom opowieści wśród służby o hańbie, jaką przejść musiała, zanim umarła. I o tym dżdżystym smutku październikowej ziemi, przypomniał sobie jeszcze, o zapachu deszczu i mgły, jaki wionął z otworu mogiły, gdy opuszczano trumnę, a Teodor Czerestwiński schylił się, podniósł wilgotną grudkę i rzucił na niknącą w głębi wieko ruchem powolnym, pełnym zastanowienia. I pomyślał także o chłopskiej dziewczynie z czupryńskiego dworu, zwanej Drugą Julią, córce dawnej kuzyna Piotra piastunki, o tej dziewczynie śmieszce i fantastce, która — kiedy on, Paweł, i Piotr byli jeszcze dziećmi — towarzyszyła im w zabawach rąca, niby żrebię, zwinna, silna i jak powalała każdego z nich w bójce bez trudu na ziemię, a co z nią Gawryluk zrobił; ten jej płacz sobie przypomniał, kiedy minął ją niedawno w czupryńskim parku, płacz niczym uchodzący oddech, i jej twarz, i ciało, i to wszystko, co zdawało się w niej słabnąć — gdy go spostrzegła i że mija ją prędkim krokiem — słabnąć i zapadać w siebie, jak gdyby oderwać się chciało od jego, Pawła, pamięci; i znowu przypomniał sobie, co Gawryluk z nią zrobił, ale jednak: „Nie” pomyślał raz jeszcze, „Nie. To przecież są bracia. Gawryluk nie mógł Piotra zabić. To się nie mogło tak skończyć”.

Wtedy też wuj August, aby niewątpliwie tej jego nadziei nie podważyć, powiedział: „Może masz rację. Może istotnie Gawryluk nie jest zdolny własnego brata zabić. Wkrótce się dowiemy. Ja powtarzam tylko to, co zasłyszałem od ludzi. Wiesz, jak to jest... W ciągu dwunastu, czy piętnastu godzin przeżyli w Nikoryczy

piekło. Każdy teraz mówi coś innego; wszystko im się miesza, relacje nie są pewne. Sami nie wiedzą, co widzieli, a co tylko słyszeli od drugich...” i zamilkł. Jego milczenie i zamyślenie było takie, jak gdyby powtórnie sobie uzmysłowił, gdzie był, co przypadkowo przeżył, a nawet jak gdyby oczyma wyobraźni znowu ujrzał tamto piekło, w którym tak nieoczekiwanie się znalazł (bo został w miasteczku po jarmarku dłużej jedynie dlatego, że nadarzyła się okazja uzyskania od Niemców dodatkowo paru starych karabinów do ochrony przed rabunkiem nagromadzonego na folwarku ich kontyngentowego zboża) i przez dwanaście, czy piętnaście godzin był mimowolnym świadkiem rzezi, zapoczątkowanej nagłym wycofaniem się niemieckiego garnizonu i zostawieniem przez nich bez straży nawet tego tysiąca, czy dwóch tysięcy Żydów sowieckich spędzonych przedtem z za Zbrucza i słończonych za drutami; i jak zaraz z rana zwała się ta bandycka hałastrza Gawryluka, tak że było oczywiste, że to akcja uzgodniona z Niemcami, że woleli zająć się czymś innym, skoro do krwawej roboty znaleźli wyręczycieli; i pewnie znowu widział, jak wszystko się zaczęło: i tych Żydów, co i tak już na ocalenie nie liczyli, może tylko na lżejszą śmierć, a także Polaków (ze dwa tysiące ściągnięto z okolicznych wiosek pierzchając przed pogromami), którzy na ocalenie w miasteczku właśnie liczyli, bo i garnizon strzegący stacji kolejowej był, jaki taki w związku z tym porządek, a że w większej gromadzie — myśleli — to bezpieczeństwo większe; i widział, jak ten parotysięczny tłum wycinany był od niemowląt począwszy, na starcach kończąc, gdyż napastnicy nie przepuścili nikomu kto się z ruska przeżegnać nie potrafił lub po ukraińsku nie mówił, tak że niewielu ocalało, ze trzy albo cztery setki najwyżej, których miejscowi Ukraińcy, którzy z fałszywymi nie chcieli mieć nic wspólnego u siebie przechowali, podobnie jak jego samego, sędziego, o czym Pawłowi już wcześniej powiedział, bo chociaż hasłem było: „Lach, Żyd i sobaka, wse wira odnaka”, to jednak nie każdy je głosił; i jak gdyby raz jeszcze widząc ręce odpychające lufy karabinów, te zimne tępe lufy pistoletów wbijane w brzuchy i plecy, ponad lufami zaś twarze obojętne i oczy zmrużone, szukające jedynie żywego, ruszającego się celu, i słysząc wycie nacierającej zewsząd tłuszczy, krzyk gwałconych przed śmiercią kobiet i dzieci, rzucanych z okien, tę całą straszną wrzawę przytłumioną już oddaleniem w czasie i przestrzeni, jednakże wciąż jeszcze wznoszącą się w powietrze do niewiarygodnej wprost wysokości — zadrżał, zatrząsł się rażony krótkim dreszczem i przetarłszy powieki zacerzawione długim brakiem snu, a może od gorąca tamtego pożaru, którego pewnie miał ciągle pełne źrenice, choć wydawały się puste,

pozbawione wszystkiego poza świadomością, powiedział posępnie: „W każdym bądź razie nie mów na razie Katarzynie. A jeśli musisz, oględnie. Katarzyna tak jest przywiązana do Czerestwienkich. Myślę, że to klęska dla nich. To ją załamie”. Więc on, Paweł, wtedy: „Ma się rozumieć, wuju, oczywiście. Jeśli do jutra nie naprawią przerwanej linii telefonicznej i nie będzie można się do nich dodzwonić, ktoś musi pojechać do Czupryni” i potem: „Żebyśmy tylko poradzili umocnić naszą własną samoobronę... Broni trzeba i ludzi... I tutaj można się każdej chwili spodziewać napadu. Chociaż kontyngenty odstawiamy Niemcom regularnie”. A wuj na to: „Co to pomoże” z krótkim parsknięciem, ze wzruszeniem ramion. A on wtedy również: „Pewnie, co to pomoże” nieuważnie i po chwili wuj znowu podjął z uporem ten sam, co uprzednio wątek, bo mimo że minęła już noc, a później cały dzień, było to tak, jakby wszystko tamto zdarzyło się przed minutami:

„Więc biegł za mną szybko, ale nie widać po nim było, żeby się śpieszył”, bo siedząc naprzeciwko niego, Pawła, w istocie wciąż on jeszcze biegł uliczkami płonącego miasteczka, tamten zaś człowiek, który był młody i nie miał tego uporu, ani determinacji (jakiej sędzia nabył w czterdziestym pierwszym roku zabijając strażnika w sowieckim łągrze i uciekając z oddziału „lesorubów”), też wciąż jeszcze biegł za nim, gdy on, wuj, mówił teraz z odcieniem pobłażliwej pogardy: „Biegł za mną. I nie widać było po nim, żeby się śpieszył. Nie widać było także mściwości, ani że jest wściekły, że mu umykam. Bo on był obojętny. On był pewny, on wiedział, że mnie dostanie, że ja jestem właśnie dla niego; ja, to znaczy 'coś', co on może zabić i wypróbować w ten sposób swą męskość. Bo może jeszcze nie zabijał i to miał być jego bojowy chrzest. I może mu jego atamanowie powiedzieli, że to właśnie tak ma być. Tylko, że on nie wiedział paru rzeczy. Że ja mam też dobre nogi. Że mnie te moje nogi wyprowadziły niegdyś spod Uralu i przez pół sowieckiej Rosji, choć jest tak dobrze strzeżonym więzieniem, i nie wiedział, że ja też się wcale nie śpieszę. Bo w człowieku czasem coś takiego się odzywa: zrobię to jeszcze raz. Zrobię, jak wtedy tam, pod Uralem. Przekonam się, czy nie jestem już do niczego. Więc skoczyłem z klasztornej skarpy, a on za mną. Tylko że jego ten skok uniósł dość daleko w dół, był lekki, nie jak ja, ponad osiemdziesiąt kilo, i nim zdołał się zatrzymać i wspiąć ponownie w górę, ja sobie już przysiadłem, a nawet nabrałem w płuca powietrza. Wiedziałem, że on tak czy owak podejdzie zupełnie blisko i że będzie chciał strzelić między oczy, aby zapamiętać mój wzrok, żeby mógł wspominać później przez całe życie i to,

że zrobił dobrze. Wiedziałem, co myśli. Zdawał się być niezwykcieżony, tryumfujący, choć obojętny, tak pewny był, że mnie dostanie, że ja jestem właśnie 'tym' dla niego, i zaczął biec w górę w tej samej chwili, kiedy tam na dole przyhamował. A potem znalazł się przy mnie i wcale nie przystanął, i niósł w sobie jakąś dziką, naiwną światłość, zwierzęcą jak gdyby, tak jak ogary, gdy idą na niedźwiedzia, choć może je rozerwać. A ja poderwałem się z ziemi dopiero, gdy skierował we mnie swój pistolet. Nie wiem dlaczego się zdziwił. Nigdy nie przypuszczałem, że w jego twarzy odbić się może zdziwienie. Ale to trwało sekundę, bo wtedy ścisnąłem i było po wszystkim. Potem jeszcze pistolet wyjąłem mu z ręki i strzeliłem parę razy za siebie, gdyż nadbiegali już inni. Wiesz, że nie chybiam, gdy jestem spokojny. A byłem bardzo spokojny. Ostatni nabój zostawiłem w lufie. I zaraz znowu pobiegłem. Tam dołem gnało z parę setek naszych. Przez te łoży nad Sertem i przez wodę. Prąd ich znosił, więc się niejedni uratowali. Ale mnie nie zależało. Ciągłe jeszcze myślałem dlaczego on miał taką zdziwioną twarz, kiedy ja uniosłem się z kucek i wyciągnąłem do niego ręce, i dlaczego w tej jednej sekundzie, w tym ułamku sekundy, kiedy mógł jeszcze, nie wystrzelił. A potem — bo jak ci mówiłem, jeden z wcześniej spotkanych chłopów czupryńskich gadał coś o młodym Czerestwienskim, że jest w miasteczku — to myślałem: przecież Gawryluk jest jego bratem, więc jeśli coś nie pomogę, chociaż zobaczę, jak to się skończy. Dlatego chciałem zostać. Musiałem. I wciągnęli mnie do siebie robotnicy z kamieniołomów, ci, wiesz, co chaty mają nad brzegiem rzeki. Greko-katolicy, to ich nie tykali, a jak któryś z hajdamaków wpadał, to wstawiali się za mną i jakoś to uchodziło, tylko że z wieczora jeden się zawziął i przyłaząc coraz to do chaty tego gospodarza, ze zbyt maniakim uporem molestował: „*Szczo z toboju Franko bude, koty jomu prostysz?*”, a do mnie: „*My tebe znajemo, ty Lach, ty suddja, ty katołyk*” i jeszcze z durnymi pretensjami sprzed wojny, gdy go prosiłem szczerze, aby sobie poszedł: „*Teper prosysz, a moi czudowi woły szczo ty na skarb wziaw, szczo z nymy?*”, to ja wtedy drugi raz ścisnąłem i dlatego nie tylko te karabiny, co od Niemców wyhandlowałem i ci przysłałem w sobotę, ale i te pistolety także masz. Bo myślę, że się przydadzą, będzie teraz coraz goręcej. On dalej biegnie. Biegnie za mną, za nami. No, nie ten sam, ale inny. Nawet wielu. Biegnie za nami pozostawiając po drodze swoich pobratymców, takich Rusinów, jak ci biedacy z nadsercia, co mnie ukrywali i osłaniali. Takich, co to spokojnie sobie orzą i sieją, i zbierają plony, i budują chaty, i bronią tych chat i ziemi, tak jak my, przed prawdziwymi wro-

gami. On biegnie i ich wyprzedza, mija, gdyż ma cel, którego oni nie mają. Tylko, że jego cel jest fałszywy. Pistolet, to nie pług, otwiera drogę jedynie do śmierci. Ta ślepa, niczym nie zmacona wiara w słuszność i bezbłądność jego poczynañ, że jak nam podpali dom, zgwałci nasze kobiety, zabije nasze niemowlęta, i nas też zabije, to on będzie szczęśliwszy, wolniejszy, doprowadzi go znowu do mnie albo do ciebie, albo do kogoś jeszcze innego, wszystko jedno kogo, i albo on wpierv strzeli, albo ja ścisnę. O tak, ścisnę...”, i Paweł wydał zduszony okrzyk widząc, jak masywne dłonie wuja sędziego wykonują prędkie ruchy i nie mogą przestać, jego zaś ciemna, przydymiona jak gdyby twarz tężeje, drga i czai się w niej wokół ust jeszcze coś, jakiś cień. Więc pomyślał: „Żebym tylko mógł wydostać się poza zasięg jego głosu, zanim on znowu zacznie swój monolog. Zanim znowu będę musiał słuchać”, ale cofnął się jedynie z krzesłem ku ścianie, a dopiero potem wstał (potem, gdy dłonie wuja wreszcie znieruchomały), wstał i potoczył się na miękkich nogach do łazienki. Myślał, że zwymiotuje. Myślał: „Na Boga, co się dzieje! Na Boga...”, a po chwili: „Chyba za dużo paliłem... Może to zaraz przejdzie”, już stojąc pod prysznicem w strugach zimnej wody, i aż posłyszał, jak wuj ciężko wychodzi z pokoju. Wtedy długo wycierał się do sucha ręcznikiem i żeby wuja przypadkiem raz jeszcze nie spotkać, opuścił łazienkę przez sypialnię Katarzyny.

Więc jeśli zrazu w ogóle coś myślał zatrzymany nagle jej głosem, to: „Dlaczego ona nie śpi?”, gdyż szedł na palcach i zbudzenie Katarzyny wydawało mu się największą krzywdą, jaką by mógł jej teraz wyrządzić. Powiedział sobie przecież: „Prawdopodobnie ten drugi mężczyzna zniknął z jej życia na zawsze. A ona nie wie, lecz dowie się niebawem. I w jaki tragiczny sposób zniknął”. No, może, pomyślał jeszcze, że ona coś przeczuwa i chce, żeby ją uspokoił. Ale nic ponadto. Więc gdy posłyszał jej głos ponownie i ten głos go zmylił, nie brzmiało w nim bowiem nic, żadne zabarwienie emocjonalne, zrobił pierwszy krok w kierunku łóżka. A wtedy wyczuł, że ona na niego patrzy i, miast się natychmiast zatrzymać, szedł dalej i za nim szła fala zdumienia, że wciąż jeszcze idzie, był bowiem śmiertelnie wyczerpany i nie musiał o niej myśleć, jak o kobiecie, wcale nie musiał myśleć, ale szedł i ta fala zdumienia wciąż za nim i zaraz druga, rozpoczynającego się w nim w głębi dzikiego zgiełku, gdy wreszcie zobaczył jej oczy w mroku, przypatrujące mu się swym poważnym, niemożliwym do odparcia spojrzeniem. I słysząc wciąż: „Widzisz, ja nie śpię”, to zdanie, które wymówiła wcześniej, i myśląc: „Nie. Nie wolno”, już wiedział, że ona wie, widzi

go na wskroś, i powiedział cicho: „Stało się coś straszego... W Nikoryczy, wiesz... W czasie pogromu. Stało się...” prawie szeptem, nie szorstko, ale stanowczo i urwał, zrezygnował z powiedzenia prawdy o Piotrze, gdyż dźwignęła się pod jego dłoń, powiedziała nagle znowu: „Ja nie śpię”, więc już nie powtórzył. Po chwili dopiero: „Tak. To dobrze, że nie śpisz” powiedział i w swoim głosie usłyszał głębokie poddanie się, nie wyczerpanie, lecz poddanie się sobie, jak gdyby porzucił zupełnie i zaniechał kurczowego trzymania się jakiejś mieszaniny żalu, litości, wstydu, nawet dumy także, i potem czując ostry ból aż do łędźwi, już odsuwający wspomnienie dawnych porażek, a jednocześnie za każdym ruchem jeszcze je przywodzący, gwałtowny i zarazem łagodny, myślał: „To jest silniejsze ode mnie”, zanim myśleć w ogóle przestał, staczając się na samo dno ciemności, gdzie znowu ten ból poczuł powtarzający się tym razem jak gdyby w niej, aż pogrążył się w ciszy.

Dalej leżeli rzućeni w samo wnętrze gorącej, lepkiej, wilgotnej ciemności, pulsującej i nachylonej już ku przesilającej się równowadze nocy ze wstającym dniem, oboje odarci przez nią do naga i bezsilni, słysząc, jak w nich jednocześnie biją serca, jeszcze ciągle przesyleni nią, jakby swym gorącym, czarnym oddechem wypaliła ich w środku na popiół, nie mogąc z niej odźwignąć się na powierzchnię, gdzie brząsk niebieskawo obrysowywał przedmioty ustawione w pokoju i ściany. A potem pogrążyli się w niej jeszcze głębiej, w jej bezcielesności snu — bez refleksji, bez myśli, właściwie również bez zgody lub niezgody z czyjejkolwiek strony. Po jakimś czasie — w sypialni było prawie jasno — Katarzyna ocknęła się i zapytała (gdy on, Paweł, ocknął się również, a właściwie nawet nieco wcześniej, gdy nie otwierając oczu poczuł jakieś odosobnione drgnienie jej ciała i że wyzwała się z drętwoty snu), lecz przez chwilę nie odpowiadał, tak że najwidoczniej nie mając pewności, czy się przebudził i usłyszał, powtórzyła pytanie, a wtedy odpowiedział niepewnie: „Nie wiem, czy do nich pójde. Nie wiem też, czy zostanę”, jakby rzeczywiście nie wiedział jeszcze, choć przecież wiedział od dawna, że wie, mimo że dotychczas tak naprawdę, to ani raz na serio o tym nie pomyślał, ale przecież musiał wiedzieć, że postąpi tak prędzej czy później, skoro nie miał wyboru, i ona też wiedziała, że on wie, bo powiedziała: „Wiesz. Nie ukrywaj. Nie musisz. Na pewno teraz odejdziesz tam do nich. Nadszedł ten czas”, a głos jej brzmiał słabo, niby z oddali, wcale nie jak wówczas, gdy mówiła: „Ja nie śpię. Widzisz? Ja nie śpię”, mając już teraz barwę jakiegoś ciemnego zamroczenia. I zaraz, nie czekając, aż on zaprzeczy albo przytaknie, powiedziała: „Ty

musisz tam iść, wiem. To nie ma znaczenia dla całej sytuacji, to niczego nie zmieni, wiem, ale musisz iść. Wcale do siebie nie należymy”. I choć wtedy nagle wszystko w nim rozpaczliwie odwróciło się, krzyknął: „Nie! To nie prawda! Nie chcę tego”, gdyż w tejże chwili naprawdę nie chciał spełnienia się przeznaczenia, czując ten cały ból, jaki w nim pozostanie na zawsze, kiedy odejdzie z domu do oddziału, kiedy ją pozostawi, a ona milczała skupiona, doświadczona, świadoma i swą świadomością spokojna i chłodna, aż zapytał jeszcze: „A dzisiaj?”, nie poznając wcale swego głosu, „Dzisiaj? Przecież nie możesz zaprzeczyć. Jeszcze, sądzisz, nie należymy do siebie?”, to tak samo z oddali: „Bo to po raz ostatni” powiedziała, „Chyba ostatni”, już coraz dalsza, już prawie nieuchwytna, już nie pozwalająca sprowadzić się z tego oddalenia i przybliżyć na nowo, kiedy mówiła: „Od samego początku wiedziałam, że po raz ostatni, no, może przeczuwałam tylko, nie wiem. Już może nawet, gdy rozmawiałeś z wujem, gdy wuj opowiadał o Nikoryczy, a może wcześniej, jeszcze tam, w czasie oblężenia kościoła, też tego nie wiem. Ale wiedziałam, że teraz, to po raz ostatni, bo wkrótce odejdiesz do lasu do partyzantki. I wiedziałam, że musisz odejść...”, już tak daleka, że wprost niepoznawalna, wcale nie ta Katarzyna, jaką znał, lecz zupełnie inna. „I że odejdiesz sam, wiedziałam. Bo tam nie zabiera się takich kobiet, jak ja” dodała, a on nie głośno, jednakże tak, że słyszał swój głos wyraźnie, jak brzmi pełen męki, choć pogodzony, czując ciągle ten ból, którego się nie pozbędzie nigdy: „Tak. Myślę, że tak” powiedział. Dopiero po jakimś czasie spostrzegł, że Katarzyna zasnęła i chyba jego słów wcale nie słyszała, jak gdyby się odpowiedzi w ogóle nie spodziewała, nie mogła się ona na nic jej przydać i jak gdyby nie potrzebowała potwierdzenia tego, co przecież wiedziała, z góry tę odpowiedź znając. Lecz mimo to powtórzył raz jeszcze: „Tak. Teraz już nie ma wyboru. Tak, więc wkrótce trzeba będzie iść. Tak. Tutaj we wsi nic już nie można zdziałać. To nie dla mnie miejsce. Nie miejsce dla młodego mężczyzny. Tak, odejdę do oddziału...”.

VIII

Stał i patrzył z tarasu na rozjeżdżoną ciężarowymi wozami wjazdową aleję. Narowiste chabety chłopskie skręcały dyszle,

wyciągając szyje chwytają zżółkłymi zębami trawę z klombów i ślina ściekała im z mięsistych, obwisłych pod wędzidłem warg zielonymi strużkami. Podniósł leżącą u nóg pękniętą doniczkę po kwiatach i cisnął, ale nie przestały. Z dworu wynoszono wciąż nowe worki, tobołki i tłumoki wybierających się z Gleb w dalszą drogę rodzin nikoryckich uciekinierów. Śmukła, czarnowłosa dziewczyna siedząc nie opodal na ławce, przeżuwała słonecznikowe ziarno i bezceremonialnie wypluwała daleko od siebie łupki, a gdy z okna na piętrze głos męski zawołał: „Nastka!” machnęła ręką lekceważąco, nie odwracając nawet głowy. Jakieś nieuczesańe, niedbale ubrane kobiety biegały zaferowane od ganku do wozów i z powrotem, opędzając się od płaczącej się im wokół spódnic dzieciarni, wysoka, koścista starucha zdejmowała ze sznurów rozciągniętych między drzewami przesuszoną bieliznę, a paru mężczyzn stojąc na uboczu, rozprawiało zawzięcie o ewakuacji, gdy tymczasem parobcy pomagali wiązać do kłonic kołdry i lżejsze paki. Paweł patrzył, jakby nic z tego nie widział. Potem zapalił papierosa.

Z salonu słychać było pokojówkę: „Tak jest, proszę jaśnie pani. Oczywiście, proszę pani”, i choć jej głos miał obraźliwie grzeczne brzmienie, był spokojny i krzepiący. Od południa sunęły po niebie białe cumulusy, za nimi czuło się dużo światła i dużo powietrza, przy ziemi było parno, ptaki zamilkły w zaroślach, pachniało siano, ale jego zapach ztracał się w upale. Gdy Paweł zaciągnął się zbyt mocno i zakaszłał, dziewczyna z ławki zwróciła w jego stronę twarz. Przez chwilę przypatrywała mu się z jakimś szczególnym zainteresowaniem, lecz kiedy rozgniół o balustradę papierosa, przestała. Wiatr wiał leniwy, suchy, z pyłem ściernisk, z okwiatem tataraków i uschłych łopianów, puchem gęsim i czymś jeszcze, niepokojącym w powietrzu. W chłodzie pod tarasem po chrzęszczącej trawie włókł się obcy pies, szaroczarny, jakby zakopcony dymem kurnej chaty. Pomyślał: „Przybłąkał się za uciekinierami, albo zdziczały”. W jadalni kończono podawać kompot i słyszał brzęk łyżeczek o szkło, rozmowy nieznanym sobie bliżej ludzi, głosy ciotek, w których była jakaś ponura egzaltacja i nadmierna ilość wykrzykników, za domem w pobliżu szopki ogrodnika ktoś śpiewał, przeraźliwie fałszując i przekręcając: „*U susida breczku sijut', u susida szczastia je, a u mene ani žinki, ani szczastia ni chatynki...*”, a potem w cień na leżak wyniesiono matkę. Powiedział do niej: „Telefon wciąż głuchy. Widać linia przerwana, Niemcom nie zależy na naprawie”.

Matka odruchowo poprawiła włosy, gdy się zbliżył do jej leżaka. Jeżeli zauważył to, albo myślał w ogóle o tym jej ruchu, musiałby również pomyśleć: „Jak tych parę ostatnich dni ja

nagle postarzało”. Oczy jej płonęły i chyba musiała mieć temperaturę. Wyglądała, jakby też przygotowywała się do czegoś, jak on sam. Przez chwilę sądził, że już jej to powiedział, albo że sama powinna się była domyślić, bo jego zamiary na przyszłość i wszystko, co do niedawna w „kospiracji” robił, wydawały się dostatecznie jasne, aby każdy mógł je zrozumieć. Potem powiedział: „Jeszcze z rana posłałem człowieka do Czupryni, żeby się czegoś dowiedział, ale nie wrócił”, a ona: „Boję się o tych uciekinierów. Dasz im chyba jakąś eskortę?” powiedziała spoglądając przez balustradę przed dom, jakby go nie słyszała, zapatrzona w coś, czego on nie mógł widzieć i, gdy w milczeniu skinął głową, dodała: „Przed wieczorem ci ludzie koniecznie powinni być już w Krzyżtopolu”.

Wtedy z salonu wyrzała ciotka Felicja i zapytała, czy nie zechce przyjść na herbatę, ale nie chciał i ciotka odeszła. Obserwował, jak ruszyły pierwsze naładowane wozy i za nimi dołączyły do taboru dalsze. Widział, jak od bramy folwarcznej oderwało się paru jeźdźców i spinając wierzchowce podążyło w ślad za wozami. Dziewczyna żująca słonecznikowe ziarno wstała prędko z ławki i wbiegła na ganek. „Wielu jeszcze zostało?” zapytał matki. „Ci, co w ogóle nie mają się gdzie podziać. Bez krewnych w mieście. Cztery rodziny” odparła. Potem weszła na taras Katarzyna i zapytała ją, czy rana nogi bardzo dokucza, ale matka uśmiechnęła się niewyraźnie i lekceważąco, nie mówiąc nic. Powtórzył Katarzynie to, co powiedział już matce, że wysłanego z rana do Czupryni człowieka wciąż jeszcze nie ma z powrotem. Katarzyna usiadła w trzcinowym fotelu i się nie odzywała. Chwilę spoglądali na siebie, jak dwoje nieznanym sobie ludzi, wyblakłymi oczyma; w jego oczach było zapewne zmęczenie jeszcze, jej na czole leżał jakiś cień. Odwracając się powiedziała: „Nie wiem, czy upiec na jutro szarlotkę, czy placek z brzoskwiniami...”, nic nie wyrażającym głosem i widać było, że wcale o tym nie myśli, ani ją to cokolwiek obchodzi. Założyła nogę na nogę, łokieć oparła o kolano, o dłoń podbródek i patrzyła zamyślona na niebo, jakby śledziła rozwijające się obłoki, lecz wzrokiem człowieka spoglądającego daleko wstecz. Jej stopa w seledynowym buciku drgała w powietrzu, od obcasa wydłużała się lub skracała cienista smuga na płycie posadzki, rytm nie był ostry, ale bezustanny i miarowy, łydka napinała się pod pończochą i rozluźniała, te drgania przechodziły ledwo dostrzegalnie na łokieć, na rękę, na podbródek, a tylko twarz pozostała nieruchoma. Nieruchoma i napięta. Pawłowi ścisnęło się serce.

Górą ciągle wiał nieprędko wiatr, obłoki mijały i mijały bez końca. Białokore drzewa na krańcu parku chwiały się nieustannie,

a dołem przez zarośla i trawę przenikał suchy szelest. Patrzył na Katarzynę i czekał, aż zwróci się ku niemu. Nie chciał, ani nie miał nadziei uniknięcia jeszcze jednej rozmowy. Może zresztą wiedział już o tym w nocy, kiedy jej tamto powiedział. Już wówczas może wiedział, że trzeba będzie do sprawy tej powrócić znowu i to także, że ona musi się również dowiedzieć raz jeszcze, że nawet w pewien sposób ma teraz prawo wiedzieć, iż to, co nastąpi, nie jest wcale takie oczywiste, łatwe, proste, jak wypowiedziane, postanowione pod osłoną ciemności, że trzeba jeszcze wiele do tego dodać, wytłumaczyć, żeby oboje mogli być przekonani do końca, iż nie mają wyboru, ale że jeśli tylko ona tego potrzebuje, pragnie i znajdzie tyle hartu, on chce tak sobie jak i jej dać czas, ażeby mogli przejść przez tę decyzję rozstania oboje razem. Jednakże, gdy zwróciła wreszcie ku niemu twarz, zauważył, że nie było w niej żadnego oczekiwania, spokojne zamyślenie, nic więcej. Z wnętrza domu, gdzieś od kuchni dochodził chrzęst maszynki do kręcenia lodów i głos ciotki Wiktorii łąjącej kucharkę. Za stawami krzyczał derkacz, a poddmuchy wiatru ciągle były jednakowo suche i gorące. Twarz Katarzyny napięła się dopiero, kiedy na drodze zatętnił galop konia. Potem w bramie parkowej ukazał się na koniu jeździec. Ten koń nie biegł teraz nawet kłusem, nogi stawiał sztywno, z męką, oddech miał chrapliwy, urywany, wyciągał do przodu szyję i prawie nieruchomą zupełnie głowę, a jeździec okładał go po tej głowie kawałkiem drewna nie dłuższym, niż pół łokcia, równomiernie, ale bez siły, nieomal odruchowo, jak gdyby wciąż nie wiedział, że jest na miejscu. Jeszcze go bił wyplątując z trudem ze strzemion nogi. Drewno odrzucił dopiero, gdy zaczął biec od konia na ganek, tylko że już wcześniej spostrzegł ich siedzących w cieniu na tarasie, więc zakręcił ostro na pięcie i wtedy, jeszcze, gdy jego stopy uderzały równo i głośno o chodnik, zanim się zdołał zatrzymać, rozdziawionymi, łapiącymi powietrze, czarnymi od kurzu ustami wykrzyknął: „Nieszczęstja! Czuprynia zhorita! Dwir wziały! Wse zniszczeno!” i podniósł do tych czarnych ust obie ręce.

TOM DRUGI

I

Na kamiennym dziedzińcu za domem widać było konie, bryki, parę obłażących z lakieru, ługiem wyszorowanych powozów, zapewne na tę jedynie okazję, jakby uświetnić ją mogły, wyprowadzonych z wozowni, gdzie od miesiący stały w ukryciu przywalone słomą lub wysuszoną mierzwą; i niektórzy stangreci, sztywni i wyprężeni przechadzali się przy zaprzęgach w wyblakłych, tabaczkowego albo mysiego koloru przedwojennych liberiach. Przed frontem skupili się w oczekiwaniu sąsiedzi. Byli to chyba w komplecie ci wszyscy katolicy, którzy jeszcze pozostali w tych stronach i którzy, mimo narastającej rozpacz, wciąż jeszcze nie mieli zamiaru porzucić ojcowizny: mężczyźni twardzi, zawzięci, kobiety dumne i uparte, w otoczeniu gromadki dzieci, przybyli, chociaż w przeszłości Czerestwienscy nie utrzymywali z nimi zażyłszych stosunków towarzyskich, tak że niekiedy twarze, gdy się kłaniali, ledwo Katarzyna kojarzyła z nazwiskami właścicieli, ale najwidoczniej gotowi tą obecnością potwierdzić, zadokumentować swoją z nimi więź. Stali grupkami po trzy, cztery, czasem pięć osób przed podjazdem, ubrani na czarno (wprawdzie ta czerń wydawała się spłowiała, odzież zaś niemodna i biedna), godni, opanowani, rozmawiali nie głośno, oczy niejednych błędziły z uwagą po oknach bez szyb, po świeżych jak rany na szerniejszej cegle śladach od kul, zatrzymywały się na kolumnie, jednej z czterech do niedawna podpierających portyk, rozłupanej na dwoje, zwalonej i już usuniętej, żeby nie zagradzała przejścia, na bok, w zamyśleniu kierowały się na widoczne smugi kopcia pozostawione na ścianie przez płomień i ku wyszczerbionemu, jakby nadgryzionemu dachowi, a niekiedy także wyżej, w bezobłoczne niebo, wysokie i spokojne. Miejscowi chłopcy zgromadzili się nieco dalej. Widać ich było za rozdeptanym gazonom i w podjazdowej alei. Zawczasu już głowy mieli obnażone, czapki

miętosili w brunatnych dłoniach, nieruchomi niby kukły nienaturalnie poprzebierane w świąteczne ubrania do kościoła, jacyś kancjaści, toporni, ale uroczyści i milczący. Katarzyna nie zastanawiała się czy przyszli z ciekawości, czy ze strachu, czy też przywiodło ich naprawdę szczerze współczucie, ważne że byli (bo choć Mikołaj Fiodorowicz twardą miał rękę, rządził tu sprawiedliwie i to mu się od nich należało), a w oddali widziała jeszcze gromadę dzieciarni wiejskiej słończonej po obu stronach otwartej bramy, wyciągającej szyje i gapiącej się w głąb parku. Ale więcej nikt już nie nadjeżdżał ani nie nadchodził.

Właśnie pop zakończyć chyba musiał odprawianie modłów. Z wnętrza hallu, gdzie stał katafalk, przestał napływać niespokojny szmer rytualnych zwrotów wypowiedzianych przez bezpośrednio uczestniczących w prawosławnych egzekwacjach. Zbliżało się długie i parne, znużone i zmartwiałe południe, w którym nawet suche, dobitne furkotanie wróbli, nagłymi podrywami wlatujących w liście na murze, zwykło milknąć i czuło się, że słońce przygniecie wkrótce wszystko gorącym swym ciężarem. Nie było tylko Piotra Czerestwienskiego i Katarzyna wiedziała już na pewno, że go nie będzie. Ale przecież pamiętała, że wtedy, tamtego wieczora przed trzema dniami, kiedy z Pawłem Woynowiczem pędzili z Gleb do Czupryni, łudziła się, miała nadzieję (aczkolwiek rozsądek przywodził wspomnienie posłyszanej rozmowy Pawła z wujem Augustem, że Piotr został w Nikoryczy pojmany, czy też zabity, lecz je w sobie głużyła) i pamiętała, jak później biegła przez spustoszone pokoje czupryńskiego dworu krzycząc do Pawła z furją: „Piotr tu musi być”, jakby to on był winien, że Piotra nie znaleźli, aż powiedział: „Zaczekaj. Tylko przeszkadzasz. Poza tym nie krzycz. Diabli wiedzą kogo sprowadzimy sobie twoim krzykiem na kark. Posiedź tutaj, ja przeszukam sam te wszystkie ich cholerne kąty”, wpychając ją do Piotra pokoju, gdyż już tam dotarli, zostawiając ją i odchodząc. I pamiętała również, jak siadła potem na jakimś przewróconym meblu, nie mogąc zebrać myśli, tego wewnętrznego głosu, że Piotr został w Nikoryczy pojmany, albo może nawet zabity, nie chcąc słyszeć, ale mimo to słysząc cały czas, ukryła twarz w dłoniach i znieruchomiła, aż księżyc za rozbitym oknem zdążył się przejaśnić i pokój stał się nagle dobrze widoczny: rozpruta, zrąbana na drzazgi szafa, wyrzucone z półek książki, tygodniki ilustrowane, sztychy i mapy, wśród których błyszcząły naklejone na czarny karton fotografie.

Wtedy przyklekła na podłodze. Nie wiedziała dlaczego to robi i czy ma to jakiś sens. Ale wzięła do ręki to coś, co niegdyś było Piotra albumem, z którego parę kart wyrwał ktoś bez-

myslnie i rozrzucił, zebrała je razem, poukładała w oprawie i raptem zapłakała. Trzymała album na kolanach, patrzyła na fotografie, choć nie widziała twarzy (zarzasy zaledwie, ciemne plamy na bladym połyskliwym tle, nawet nie starała się ich odgadnąć) i płakała nie głośno, ale w zupełnym zapamiętaniu. Coś w niej, jak gdyby jakaś napięta do ostateczności struna, pękło. Właśnie w tamtej chwili, nie wcześniej. Ani w domu w Glebach, ani w czasie jazdy z Gleb, kiedy kluczyli bezdrożami, żeby nie natknąć się na banderowskie patrole, ani kiedy wjechali w zryty pociskami park w Czupryni pośród porozjeżdżane, stratowane klomby, kiedy ujrzała w wieczornym świetle dom Czerestwien-skich w ciasnych oplotach glicynii, ten mocny, masywny, wielo-wiekowy dom z dala wyglądający na wciąż niepokonany, z bliska zaś, że jest potrząskany wybuchami, podziurawiony żelazem, jed-nak jeszcze cały, i posepny, i wzgardliwy, swądem spalenizny wionący z wnętrza, i rumowiska mebli w pokojach, i sterty po-giętych, potłuczonych i zdeptanych przedmiotów, przez które parła na oślep, wołając Piotra, gdy tymczasem Paweł powtarzał: „Jego tu nie ma. Nie ma go, widzisz...”, ani kiedy wbiegła potem na piętro i do gabinetu Mikołaja Fiodorowicza, już czując tę dziwną, dreszczem przejmującą woń, ani wreszcie, kiedy go tam znaleźli, właśnie tam, siedzącego w fotelu obok biurka, tego starca, Piotra dziadka, plecami wspartego o oparcie, z głową trzymającą się sztywno i prosto, jak gdyby napastnikiem długo spoglądał w oczy, zanim w końcu umarł, i tak zastygł ze źreni-cymi nie zasłonymi bielmem, a czystymi, połyskującymi, w których odbijał się już młody księżyc i było wciąż odcisnięte jakieś życie, zresztą w jego poruszanych przeciągiem włosach, cienkich i sre-brzystych niby pajęczne nitki też, gdy tak siedział unieruchomiony na zawsze i patrzył spowity tą wonią, jaką poczuła wcześniej za drzwiami, choć nie była to wcale woń trupia i wcale nie przykra, bo był wysuszony, prawie zmumifikowany, patrzył zaś jakby znał los wnuka i chciał jej o nim powiedzieć, że wszystko w porządku, ani jeszcze, kiedy ten zimny, nieubłagany i być może również bezwzględny błysk jego źrenic pojęła i pomyśleć zdołała: „On umarł, lecz upewnił się przedtem, że Piotr wyszedł z tego cało”, to nawet wówczas nie zapłakała, ale dopiero klęcząc nad stertą porzuconych książek i papierów, trzymając w dłoniach zamknięty album, jak jakiś kawałek zamkniętego, zatrzaśniętego na wszystkie spusty własnego życia, i przyciskając go kurczowo do kolan. I wśród tego pierwszego, nie mogącego ucichnąć płaczu, pierwszy raz pomyślała: „Jego już nie będzie”. Nie pomyślała, że on, Piotr Czerestwien-ski, umarł, że został zamęczony być może na śmierć, ale właśnie tak: „Jego już nie będzie”, i chyba

nie chodziło już wcale o osobę Piotra, a o ten dom, o tę całą przeszłość, z którą była tak silnie związana poprzez ten dom, o to, co tutaj przeżyła i co przeminęło, o Czuprynię, że to domu tego nie ma, że Czupryni już nie będzie, co teraz półszepceniem powtórzyła stojąc oparta o postrzelany mur, spoglądając w głąb alei, widząc jak tłum przybyłych żałobników poruszył się, rozstąpił przygotowując środkiem wolne przejście, równocześnie słysząc gdzieś opodal kroki Pawła, który zapewne zaraz zechce ją odprowadzić do powozu, żeby towarzyszyć na cmentarzu, że się zbliża tak, jak wtedy, nocą, krokami podobnie brzmiącymi zwierzęco cicho, jak słyszała przez zamknięte drzwi, że się zbliżyły i zawahały, jak gdyby miał jej coś powiedzieć a zaniechał, i jak potem minęły (te kroki), choć ona od razu z klęczek się podniosła, album osunął się z jej kolan na podłogę, i podeszła ku drzwiom, już bowiem wiedziała, co Paweł może jej powiedzieć i była dostatecznie przygotowana. Jednakże nim dotknęła klamki, jeszcze się zatrzymała łowiąc uchem hałaśliwy trzepot własnego serca, jeszcze czekając nie wiadomo na co, ale potem kroki Pawła zabrzmiały znowu, znowu z tym samym krótkim wahaniem, i gdy znowu jeły mijać powoli, nacisnęła zdecydowanie klamkę, szarpnęła do tyłu, on zaś wtedy powiedział: „Nawet śladu po Piotrze nie znalazłem nigdzie”.

Patrzyła na niego poprzez ciemny próg, nie mogąc w żaden sposób przechwycić jego wzroku, aż zapytał: „Chyba nie sądzisz, że cię okłamuję?”, i zaskoczony brakiem odpowiedzi, dodał nieco głośniej: „W ogóle nikogo, prócz trupa Mikołaja Fiodorowicza i paru trupów jego ludzi w piwnicach, tutaj nie ma”. Dopiero po chwili, ciągle bez słowa, cofnęła się o krok, podniosła upuszczony na podłogę album, minęła Pawła i ruszyła przodem wzdłuż korytarza, a potem przez ten wznoszący się wysoko gęsty, krztuszący zmrok sali balowej na dole, gdzie onegdajszy ogień liznął wprawdzie firany, lecz nie uszkodził zaciągniętych stor, i tam wreszcie, nie odwracając się do mężczyzny, powiedziała: „Wiem, że go nie ma. Wiem wszystko. Ale powinien być jakiś ślad” ze ślepych uporem i raz jeszcze, dwa a może trzy razy to powtórzyła, choć siadając obok niej na stopniach prowadzących na podjazd, gdzie tłąca się czerwien księżycą wydobywała na jaw potrzaskany fronton wraz ze skrzącym się szkłem rozbitych szyb, w ogóle całe to opustoszałe i spustoszone do szczytu otoczenie, powiedział, spróbował powiedzieć ponownie to, co mówił już wcześniej, że Piotr Czerestwiński wcale nie znajdował się ostatnio w Czupryni, jednakże tak wtedy, jak i teraz nie dochodziło to do jej świadomości, bo raptem nie to stało się najważniejsze, odsunęło się, jak odsunęły się jej osobiste niedokończone

sprawy, istotniejsza stała się nabyta wiedza, że tego domu nie ma, że na zawsze, ostatecznie nie ma owego jedyne­go miejsca, które mogło jeszcze mieć dla niej znaczenie. Toteż Paweł wówczas zamilkł.

Więc potem siedzieli oboje na schodach obok rozłupanej ko­lun­ny, słysząc jedynie gdzieś nieopodal stukot wiszącego na po­jedynczym zawiasie okna, jak uderza o ramę, głuche dzwoni­enie ciszy grającej świerszczami i jeszcze napływające z dalekich łąk, a może od parowu potoku przeciągłe huuu, huuu, huuu wiatru, jak gdyby ktoś nabierał w płuca powietrza i wydychał je z głębi szeroko rozwartych ust. Ciszę poruszały ich własne tylko oddechy, a oni nie odzywali się do siebie. Mgła wyciągała się włóknistymi oparami z gąszczu drzew za gazonom ku podjazdowi, fosforyzo­wała miriadami świecących robaczków, była lepka i chłodna, oni zaś siedzieli z twarzami martwymi, z oczyma w tych twarzach nie widzącymi, choć mieli je otwarte, z mięśniami rozprężonymi, bez drgnienia, bez ruchu, poza tym jedynie, że oddychali, oboje obcy sobie, a przecież związani ze sobą i w pewien sposób nawet bliscy nie tylko poprzez całkowitą wiedzę o sobie, duchową po­trzebę porozumienia istot skazanych na podobny los i żyjących w zasięgu mocy, którym chcieli się, każde na swój własny rachunek, przeciwstawić, ale silnie połączeni od paru lat jednym dachem nad głową, stołem, używaniem tych samych sprzętów, książek, jedzeniem tego samego chleba, od paru tygodni złączeni jeszcze wspólną sypialnią, bliscy i równocześnie nieznajomi, dalecy, rozumiejący się i nie rozumiejący siebie nawzajem, poszuku­jący jedno w drugim oparcia i odpychający się, czy może nawet nienawidzący, aż Paweł zaczął ponownie zadyszany szep­tem: „O Jezu jeśli to się stało równocześnie z pogromem w Nikoryczy nie mógł tego zrobić Semen Gawryluk był przecież tam dostał Piotra w swoje ręce tak słyszał wuj August a jeśli równocześnie starego Czerestwińskiego zabito musiał to być ktokolwiek byle nie Gawryluk był w Nikoryczy więc nie mógł być tutaj o Jezu...”, a ona przerwała: „Mikołaja Fiodorowicza wcale nie zabito”, a Paweł dalej, bez sekundy nawet przystanku: „Pewnie że nie zabito to tylko tych jego ludzi ciała znalazłem złożone w piwnicy już tutaj ktoś przed nami był zupełnie czysty bez kropli zakrzep­łej krwi tam siedzi w fotelu jakby spał tylko nie dosięgła go żadna kula nóż też nie tylko zabito w nim chęć do życia tak bym to powiedział jeśli to byli ci Rosjanie z ROA* co chcieli żeby współpracował z nimi nie współpracował w tworzeniu ja­kiegoś tam białego rządu tylko to mogli być ci Rosjanie a kiedy

* ROA = Ruskaja Oswoboditielnaja Armia — oddziały rosyjskie, białogwardyjskie współpracujące w latach ostatniej wojny z Niemcami.

padli wszyscy jego ludzie oni się wdarli to on umarł żeby nie widzieć tylko tak myślę mogło być...”, a ona prędko: „Nie” powiedziała, mimo że nie myślała wcale: „Nie, tak nie mogło być”, lecz: „Nie, nie mów już, przestań”, nie mogąc znieść zadyszanego jego szeptu, choć urwała w pół zdania, bo dłoń Pawła spoczywająca dotychczas bezwładnie na jej plecach wykonywać poczęła nagle powolne, miarowo powtarzające się, łagodne ruchy w górę i w dół, i znowu to samo, kiedy ona owo nie powiedziała nie czując, że nie dokończyła zdania, lecz jedynie rękę Pawła, że jest gorąca, sucha i że szeleści o materiał sukni, aż ją z siebie strząsnęła, on zaś jeszcze ciszej niż przedtem mówił: „Jezu nie mówisz niech będzie nie widziałś to prawda ja też nie może być że wcale nie Gawryluk ani ci biali Rosjanie ale Niemcy zostawili na trawnikach ślady po ciężarówkach rozpoznać można roboty nie mieli łatwej nie jeśli się człowiek dobrze przyjrzy gawrylukowi ludzie nadciągnęliby podwodami potem to już nadbiegło różne tałałajstwo nie dla rabunku tego nie robili ci pierwsi bo ci drudzy to tałałajstwo tak a ci pierwsi to może wiedzieli że skrzynki co miałem dla Laudańskiego z granatami tu miałem ktoś doniósł chyba nikt z czupryńskich ludzi prędzej ktoś z naszych nie może nie byłem dość ostrożny może Antypko kręcił się w pobliżu kiedy kazałem Karpatce te granaty tutaj wieść tak jeśli Niemcy to to nic innego tylko to o Jezu...”, a wtedy zwróciła się ku Pawłowi cała i prędko spojrzała mu prosto w twarz.

Nie było w niej kropli krwi. W jego szepczących ciągle jeszcze ustach, w poruszanych rytmem szybkiego oddechu nozdrzach też nie było ani jednej i wargi, i nozdrza zbielewały mu, jak kreda. Dostrzegła, że w niej, w tej twarzy miał jakiś ślad, jakiś bliżej nieokreślony ślad walki z myślą, która nim owładnęła, a którą on siłą odpychał; nic w oczach, nic w głosie, tylko w mięśniach twarzy. I odwróciła się od niego i pomyślała: „Dlaczego on to mówi, co to pomoże...”, nie czując żadnych już pod powiekami łez, lecz zdając sobie sprawę, że znowu bezgłośnie płacze i zapada powoli w jakąś chłodną otchłań, coraz dalsza i dalsza od brzegu rzeczywistości, w której siedziała na schodach przed domem obok nie ustającego mówić Pawła w półświatle i półciemności, w księżycu zacierającym się gęstniejącymi przed brzaskiem oparami mgły, usiłując odtworzyć, jak to wszystko się stało, co było teraz nieodwracalne, cokolwiek by się powiedziało i uczyniło.

Więc wpierv ujrzała Mikołaja Fiodorowicza, jak tam siedział w fotelu żywy jeszcze i czekał nie usiłując robić nic, co należało robić, ażeby się ratować, widać spokojny o Piotra; zawzięty, pogardliwy, tryumfujący błysk, który ujrzała później w jego oczach,

kiedy w tym fotelu znaleźli go martwego, w owym przekonaniu ją utwierdził. Może specjalnie czekał, żeby to, co miało nastąpić, rozstrzygnęło się wreszcie, przypieczętowało jego życie ostatecznie, skoro żył i tak zbyt długo (co miał Piotrowi do przekazania: dumę, pamięć własnych porażek i zwycięstw, legendy, dziedzictwo historii własnych ojców dawno przekazał), a nie chciał więcej uciekać przed swym przeznaczeniem. Mogło być południe albo później, w każdym razie nie wcześniej; ten konny zwiastun nieszczęścia, który przybył do Gleb po obiedzie mówił, że Czuprynia broniła się parę godzin, więc oni, ci napastnicy wdarli się wtedy do wnętrza; a jeśli był to Semen Gawryluk i jego banda, to on, Mikołaj Fiodorowicz, czekał niewzruszony, opanowany i pogodzony, gdyż wszystko, co rosło w tym jego starszym, nieprawego łoża wnuku (kość przeciw z jego kości, ciało z jego ciała), rosło w nienawiści i zniewadze, w nieubłaganej zawziętości i żądzy wzięcia odwetu, gdy tymczasem w drugim jego, młodszym wnuku, w Piotrze (nie tylko kość z jego kości, ciało z jego ciała, ale duch z jego ducha) rosło w spokoju i ciszy, w zadowoleniu i pewności, toteż on dawno temu już wiedział, że w jakimś sensie za całą tę historię ponosi odpowiedzialność, bo spłodził swego syna, jego zaś syn spłodził potem ich obu: Gawryluka z jakąś Ukrainką i Piotra z własną żoną, i on, Mikołaj Fiodorowicz, musi teraz za to zapłacić, gdyż tamten odsunięty, odepchnięty na drugie, poślednie miejsce może, a nawet musi upomnieć się o prawa pierworództwa, o swe dziedzictwo, i wiedział z całą pewnością również, że gdy chwila ta wreszcie nadejdzie, to ten pierwszy, ale odepchnięty wnuk weźmie jego, Mikołaja Fiodorowicza, życie. On by zapewne na tamtego miejscu tak samo uczynił — był zatem od dawna przygotowany. Jak również i na to, że mu stare swoje życie da. Bo w jego mniemaniu winno to Semenowi Gawrylukowi wystarczyć, że wejdzie do niedostępnego dla siebie dotychczas domu i zobaczy jego, tego starego człowieka, którego krew miał w swoich żyłach, jak on, ten stary człowiek, w tej jednej chwili niewątpliwej zgody ustąpi mu miejsca, jakie zawsze zajmował i dobrowolnie umrze. A będąc przygotowany, mógł być także spokojny, bo wiedział, że Piotr tak czy owak nic nie utraci z tego, co mu przekazał, że pójdzie swoją własną drogą w tym kraju, który go przysparzył i uznał za swego, czyniąc przez ów akt uznania obojętnymi, nieistotnymi, a nawet godnymi pogardy wszystkie dawne porachunki i sprawy, jakie on, Mikołaj Fiodorowicz, ciągnął był jeszcze za sobą z głębi tamtego Wschodu, skąd pochodził, z głębi czasu dawno już zmierzchniętego, i które to porachunki i sprawy swym życiem utrzymywał zbyt długo przy życiu. Więc dlatego

zapewne bez jednego drgnienia (bo to było z góry postanowione, już wkalkulowane w to zakończenie) wsypał do szklanki z wodą odrobinę białego proszku przechowywanego zawsze przedtem pod kluczem w ściennej szafce za encyklopediami i wypił słysząc kroki zmierzające do drzwi — zbliżające się tak prędko, jak gdyby tamtemu niezmiernie się śpieszyło do sięgnięcia ręką po to, co usiłował bezskutecznie posiąść od długich lat, i żeby stanąć twarz w twarz z nim, starym człowiekiem, który był jego dziadkiem, dotknąć po raz pierwszy jego dumnej ręki, której dotykał dotychczas tylko ten młodszy, poczuć ten krótki wstrząs, ten prąd tak szybki, że nawet szybszy od słowa, jakie mogłoby być wypowiedziane, ażeby powstrzymać cios, i ten cios zadać — i gdy wypił, odstawił jeszcze szklankę na biurko, te drzwi się być może wtedy właśnie otworzyły, i nawet nie zobaczył już twarzy człowieka, który wszedł, aczkolwiek bowiem go uznał, zgodził się na niego, nie pragnął wcale go widzieć i nim pogardzał.

„A jeśli nie tak to było? Jeśli to byli ludzie z ROA? Tylko jaki mieliby w tym interes...?” Bo przypomniała sobie owe mrzonki emigracyjne (tak zwał Mikołaj Fiodorowicz usiłowania paru wpływowych białych Rosjan, tych sędziwych, zgranych i przegranych polityków, którzy zjechali z różnych stron świata z myślą tworzenia na zapleczu niemieckiej linii frontu rosyjskiego rządu), te wnioski wysnuwane z fałszywych przesłanek, już bowiem dawno minął okres, kiedy we wkraczającej armii niemieckiej prosta ludność sowiecka chlebem i solą witała wyzwolicieli spod bolszewickiego jarzma. Przypomniała sobie wizyty tych ludzi, bo Mikołaj Fiodorowicz miał odpowiednie dla nich nazwisko i z przedrewolucyjnych lat nie zapomniana jeszcze przez wszystkich pozycję, te wizyty, które jego tylko rozczarowywały, w nich zaś budziły gniew i podejrzenia, lecz zabijać człowieka, który dobrowolnie usunął się od jakiegokolwiek publicznej działalności? Więc nie mogąc tego pojąć, widziała ich mgliście i szaro, i płasko jak we śnie, mimo to dostatecznie wyraźnie, żeby wiedzieć, że to oni, w swych mundurach wyciągniętych z lamusa historii, odczyszczonych z pyłu i moli, jak biorą szturmem czupryński dom, wdzierają się do środka, jak on, Mikołaj Fiodorowicz, siedząc w gabinecie w hotelu słucha ich zbliżających się na piętro kroków, czeka, kiedy otworzą się drzwi i oni wejdą, żeby wyrok wykonać na nim, niby na zdrajcy (ich sprawy, nie jego), a potem widziała, jak patrzy w ich blade twarze, kiedy te drzwi stają wreszcie otworem, sam również blade, ale spokojny i ta fala, potężna, długo powstrzymywana, nie pohamowana teraz fala pogardy zalewa go całego i on umiera, umiera z tej wielkiej pogardy.

Lecz oto Paweł zamilkł, a wtedy pamięć Katarzyny, choć zmacona, jak zwierciadło dźwięku powtórzyła wiernie jego bełkot: „To może Niemcy wiedzieli te granaty co miałem dla Lau-dańskiego tu miałem nie byłem być może dość ostrożny Antypko podsłuchał kręcił się w pobliżu jak kazałem do Czupryni te skrzynki z granatami więc Niemcy być może o Jezu...”, i myśl krótka, ohydna, zła, tamująca oddech chwyciła ją za gardło, że Paweł to zrobił celowo: „Chciał się pozbyć Piotra. Sądził, że Piotr będzie tutaj...”, ale zdusiła ją w zarodku: „Nie!” krzyżąc, „Nie, nie!”, i odpychając się od niej z furją, aż wydobyła się z tej wciągającej otchłani na powierzchnię, jakby się przebudziła, spocona i drżąca, słysząc raptem niski, zimny, trzeźwy głos Pawła: „Nie krzycz, ktoś idzie”, widząc obok siebie w rozpraszającym się teraz, barwy chłodnego indygo mroku bez poświaty, jego skuloną sylwetkę i szybki, niezauważalny prawie ruch ręki dobywającej pistolet. Tamtej krótkiej, wstrząsającej myśli już nie pamiętała (przypomniała ją sobie dopiero na nowo w tej chwili, bo Paweł podszedł wreszcie, podał ramię, i choć wydawała jej się ta myśl nie tyle ohydna, co niewiarygodna, kosztowało ją to nie mniej, niż wtedy wysiłku, żeby się z nią uporać i jej się pozbyć), a patrząc na wymierzony w ciemność jego pistolet myślała jedynie: „Oni wracają”, pod o n i zresztą nie rozumiejąc nikogo konkretnego, po prostu o n i, więc mordercy, i nagle zapragnęła uciec, żeby i c h nie zobaczyć i nie dowiedzieć się nigdy kim są.

A szmer, który poderwał Pawła zabrzmiał znowu. Był ostrożny i bliski, i po pewnym czasie coś ciemnego wypełzło spod gałęzi kładących się na ziemię od drzew. To coś przebiegło następnie między krzakami iwiny i przypadło do ziemi. Tylko że ona już: „Nie strzelaj” zdołała wyszeptać, a Paweł wyprostował się raptownie. I wtedy przypadły do ziemi cień, ten nieokreślony zrazu kształt znowu się podniósł, zbliżył ku nim czołgając i postyszeli skomlący dźwięk, a ona odetchnęła i zawołała: „Huk, chodź tutaj, Huk!” poznając spaniela Czerestwienskich. Ruda jak płomień smuga przemknęła wśród mgły: mokry od rosy, zabłocony pies stał naprzeciw węsząc, drżał z podniesioną przednią łapą, przyglądał się nieufnie, niedowierzająco i począł wydawać z siebie pełne próśb, łaszące się piski. Wkrótce jednak zeszytniał, jakby coś usłyszał. Dopiero po długiej chwili posłyszeli w głębi parku stąpanie konia, następnie zaś gdzieś bliżej stuk buta o korzeń i szurnięcie lufy o nawisłe gałęzie. Gdy uskoczyli za kamienny występ balustrady obok schodów, z którejś z niewidzialnych w gąszczu ścieżek wyszedł na środek wiodącej od bramy alei mężczyzna z pręgą dubeltówki na plecach. Stał i patrzył

w kierunku domu. Chwila ta trwała, zdawało się, w nieskończoność. Wreszcie gwizdnął. Pies, mimo że zeszytywniały i z ociąganiem, odwrócił się i posłusznie pobiegł ku niemu. Wtedy człowiek i zwierzę cofnęli się pod drzewa. Pochłonął ich cień i mgła, a później Katarzyna posłyszała jedynie oddalające się dudnienie kopyt konia.

Jakiś czas jeszcze Paweł nasłuchiwał, choć nie było już nic prócz pierwszych nieśmiałych głosów budzącego się ptactwa, wśród których głośniej brzmiał pojedynczy śpiew ortolana, potem szepnął: „To nie był nikt stąd. Widziałaś tę sylwetkę?”, a ona: „Ale pies poszedł za nim. Mnie znał parę lat, a poszedł za nim”, lecz Paweł: „Właśnie dlatego nic nie pojmuję, bo to nie był nikt stąd”, a wtedy za parowem potoku rozległ się nowy tętent, telepanie się na wybojach kół jakiegoś pojazdu, odgłos wzmógł się na drewnianym moście, ścisł znowu na żwirze za murem i w szarym świetle ni to nocy ni dnia ujrzała, jak w przesmyku wjazdowej bramy ukazało się paru ludzi cwałujących wierzchem, za nimi odkryty powóz, Paweł powiedział: „To nasi”, kiedy zaś powóz zatrzymał się przy wodotrysku i mężczyzna zaczął pomagać w wysiadaniu towarzyszącej mu kobiecie, Katarzyna poznała wuja Augusta wraz ze starą panią Czerestwienką.

A teraz właśnie stara pani Czerestwienka ukazała się w drzwiach od hallu. Prowadzili ją pod ramiona synowa, matka Piotra i syn, Teodor Czerestwienki. Wolnym krokiem zeszli wszyscy troje ze schodów, potem usunęli się na bok i zatrzymali patrząc w kierunku domu; ich twarze były jednakowo umęczone i ciemne. Proste pudło trumny wyniesiono z wnętrza domu i ustawiono na wyścielonym całunem podwoziu od kolasy, której wierzch z siedzeniami został przedtem zdjęty. W zaprzęgach stały cztery gniadej maści konie, też okryte żałobnie, a uprząż miały na sobie starej roboty, nabijaną srebrem i perłową masą. Pop w kołpaku i długiej kapie, w otoczeniu diaków cerkiewnych niosących kropidło, misę z święconą wodą i kadzielnicę, wyszedł przed zaprzęg. Na samym przodzie czekał już pyzaty poddiaczek w żółtej sukmanie, dźwigający z przejęciem prawosławny krzyż na wysokim trzonku. Gdy konie szarpnięte przez stajennych za wędzidła ruszyły, z tyłu sformował się długi wąż bryk i powozów; Katarzyna z Pawłem dołączyli w połowie. Wreszcie kondukt wyjechał w aleję i wtedy chłopci stojący po bokach zwarli się w bezładny, posuwający się napród wieloszegowym tłumem póchód, osobno mężczyzn, osobno kobiet.

Zrazu słyhać było jedynie szmer kół grzęznących w żwirze i szurgot butów pieszych. Czasem krótko parsknął jakiś koń,

ściągnięty jednak ostro za uzdę przestawał albo też jego głos zmieniał się w głuche chrapnięcie. Drzewa tylko u wierchołków z lekka kołysały się od sunącego nad nimi wiatru, ale w dół nie docierał szelest ani gałęzi, ani liści; przez park niósł się pojedynczy, powtarzający się śpiew dzwońca. W bramie Katarzyna popatrzyła za siebie i na kamienny dom, który oddalał się w drgającej mgiełce gorączki i świetlistości, żeby go zapamiętać. Prócz niego zapamiętała jeszcze ostrokrzew z przewróconą obok drewnianą ławeczką, wielobarwnego motyla trzepoczącego nad grządką nasturcji i rezedy, i obłazący z zielonej farby, pochylony, zimowy karmik dla ptaków przy murze. Miała przeczucie, że nie zobaczy tego miejsca więcej. Zauważyła, że stara pani Czerestwienska również się obejrzała. Na dom, na park, cienisty, gęsty, zwarty masyw drzew, na mur okalający to wszystko i wydało jej się, że spojrzenie staruszki chwiejnością i rozprzężeniem przypomina głos, który posłyszała wtedy nocą przy powozie w suchym szlochu mówiący: „No widzisz, wyjechałam zaledwie na tydzień do szpitala, a od razu takie nieszczęście” — ten głos bezgranicznie zdumiony i niedowierzający.

Dopiero na drodze nad urwiskiem opadającym w parów potoku, gdzie w milczenie wmieszał się szum bystrzyn goniących się między głazami i tworzących w zagłębieniach bełkotliwe wiry, pop zaintonował czystym, metalicznym głosem pieśń. Pod kopytami koni, pod kołami i butami załomotały suche bierwiona mostu. Od wsi w dolinie załatywało dymem, zakwaszonym w upale obrokiem i zmiędloną słomą. Na skraju pól czupryńskich w stronie Nepohorył trzaskały pojedyncze strzały karabinowe; nie widać było ludzkich postaci, ale trzask dochodził zupełnie wyraźny. To żandarmi polowali na rozbiegłych po nikoryckiej rzezi Żydów. Poza tym nad całą okolicą wiał spokój. Tylko jeszcze ten w cerkiewnym języku śpiew pogrzebowy wiódł na ostatni spoczynek starego Rosjanina odprowadzanego przez miejscowych Polaków i Ukraińców, greko-katolików, rzymsko-katolików i prawosławnych. Szli wszyscy zgodnie, stąpając po wciąż jeszcze swojej wspólnej ziemi jeden obok drugiego skupieni, zamysłeni i jak się jej, Katarzynie, zdawało, uroczyści, jak gdyby nigdy nie było między nimi żadnych urazów ani zwad, ani nieufności, ani zawiści i zdrady. Słuchała melodii, nie słów i suchych, ciągliwych powiewów idących od pól. Koła grzęzły teraz z piasku głębiej, osypywał się ze szprych i porywany wiatrem niósł się żółtym tumanem nad rowami i dalej. Pod lasem, gdzie w gościnniec wrastała dróżka biegnąca od bydłych wygonów, do konduktu dołączyła się jeszcze gromada Starorusów z Łoszakowskiego zaścianka. Potem był cmentarz. W milczeniu wysiadali z bryk

i powozów, ustawiali się za trumną. Z tyłu nieśpiesznie nadciągali wieśniacy. A jeszcze potem była ścieżka zarośnięta murawą pomiędzy niskimi krzakami czarnego bzu, ligustru i przekwitłego jaśminu osłaniającymi proste krzyże drewniane nakryte od góry daszkiem, mogiły zakłębione ze starości i tu i ówdzie świeższe, odarniowane, z glinianką na oliwny kaganek, lub o rozpadających się ze spopielonej ziemi brzegach. Przejścia między mogiłami zatkała kolorowa ciżba bab, ręce zdarte robotą pokładły na brzuchy, stały godne, poważne, gdy tymczasem dziewczęta poprawiając uczesanie cisnęły się do przodu; na ich twarzach malowało się nieukrywane zaciekawienie, ale i niepokój. Najdalej ustawili się chłopci. Gdy trumnę ułożono nad odkrytym dołem na deskach, pop rozejrzał się szybko po zebranych i zaintonował pieśń „Na odejście duszy z ciała”. W powietrzu rozszedł się słodkawy zapach, kadzidło uciekało z kadzielnika wąską przędzą i snuło się ponad konary drzew. Do diacych tenorów dołączył się śpiew prawosławnych Ukraińców. Rozstawiając szeroko nogi bili się często w piersi przygotowując do długiego odprawiania ostatniej posługi. Cmentarz pachniał zgniłymi jabłkami i miodem. Topole przy chruścianym opłotowaniu chwiały się szumiąc drobno, a zwiędłe kwiaty na okolicznych grobach szeleściły smętnie. Jakiś obcy mężczyzna, który przeszedł samotnie przez cmentarz, zbliżył się rozsuwając zebranych ludzi z łagodną stanowczością, popatrzył chwilę i, nim jeszcze ktokolwiek to zrobił, on pierwszy rzucił w głąb dołu na trumnę niewielką polną wiązanekę koniczyny i margarytek. Potem wycofał się podobnie, jak się zjawił; jego długie tabaczne włosy prószył wiatr na wąskie ramiona. Nikt nie miał czasu uważniej mu się przyjrzeć, tylko Paweł wskazał go jej głową; łoskot spadającej na wieko trumny ziemi prawie zagłuszył galop konia, jaki oderwał się po małej chwili od przeciwnego krańca cmentarza.

Katarzyna szeptała coś do siebie. Nie była to modlitwa, bezwiedny ruch warg jedynie, a myśl tymczasem ulatywała od tego miejsca, od czasu, od otaczających ją ludzi i błędziła gdzieś dotykając spraw, które raptem wydały się zupełnie obojętne: „Będzie teraz wielkie pakowanie. Zbieranie rozrzuconych po podłogach papierów, listów, książek... Opróżnianie piwnic i zamurowanych schowków. Będą skrzynki na porcelanę: osobno na Derby, na Maissen, na Spode. Na stłuczki również. Może da się kiedyś posklejać raz jeszcze na nowo. Taszczenie gratów. Meble Jacobe, w *le style de St. Petersburg*. Mahonie nakładane ozdobami z brązu. Nawet te nadpalone, nadržane siekierami i te gdzie brąz oderwały ręce buszującej hołoty. Gruzińska broń. Serwantki z powybijanymi kryształami szyb, z których wnętrza wygarnięto bibe-

loty. Zegary, zegary. Posążki greckie bez nosów. Wazy kreteńskie. I również tureckie dywany i czerkieskie hafty. Sheffieldzkie lichtarze, weneckie lustra i florenckie zyrandole. Cała ta różnorodność zbieranina z wszystkich stron świata, uszczuplana przynajmniej raz co pokolenie w czasach odpowiadających datami datom chłopskich buntów, wojen, spisków, srozenia się władzy, konfiskat i co pokolenie z maniackim uporem uzupełniana. A teraz jeszcze jedno pakowanie, jeszcze jedna wędrówka. Wciąż dalej i dalej. Skrzynie i paki wciąż mniejsze, droga krótsza, nowe miejsce schronienia ciasniejsze, niepewniejsze". Lecz wreszcie wszystko było już skończone. Ziemię uklepaną w podłużny kopczyk obłożono kwiatami. Jeszcze było składanie kondolencji, jeszcze podziękowania tym, którzy przybyli, i krąg znajomych i nieznajomych zmiejszał się powoli, rozpraszając się przy cmentarnej bramie. Katarzyna stała z boku i patrzyła na zapłakaną matkę Piotra. Wiedziała, że nie opłakuje ona tego, którego pochowali, lecz zaginionego syna. Ale ona, Katarzyna, nie myślała teraz o Piotrze więcej. Nie czuła w sobie nic prócz jakiegoś dawno wygasłego żalu, myśli były płynne, nie angażowały świadomości. Paweł, który znowu się zbliżył, żeby odprowadzić ją do powozu, powiedział, że zostaje w Czupryni, aby pomóc Czerestwienskim w ewakuacji, i spojrzawszy uważniej: „Widziałaś przecież człowieka, który pierwszy rzucił kwiaty? To chyba ten sam, co przyszedł przedwczoraj nocą. Ten, co zabrał psa. Musi mieć jakiś związek z Piotrem". Lecz ona nie odezwała się i Paweł, choć z ociąganiem, musiał odejść.

Potem były uciekające w tył kamienie, drzewa, płoty zaścianków, kłęb kurzu spod kół i dopiero w połowie drogi do domu uświadomiła sobie wypowiedziane przez niego słowa. Zapadłe w głąb pamięci nagle powróciły, jak gdyby Paweł znowu stał przy niej, kładł rękę na jej ramieniu, przed którą ona cofała się bezwiednie i mówił jeszcze raz. Wtedy szarpnęła drzemiącego obok siebie sędziego: „Kto to był? Co miałoby to znaczyć? Ten na cmentarzu?", a wuj wymijająco: „Jakiś obcy. Może jeden z naszych? Nie wykluczone również, że od Gawryluka, zważywszy, że to był pogrzeb seniora Czerestwienskiego...", i choć ona: „To byłoby zbyt okropne!" krzyknęła, powtórzył niejasno: „Co my w końcu wiemy, kto z kim trzyma, kto kogo zdradza, albo w najbliższych dniach zdradzi i pozbawi życia...? Może to zresztą ktoś od Piotra? Bo wierzę, że żyje i gdzieś się tylko zasztył". Więc potem nie zapytała już wuja o nic. Myślała o słowie, którego wuj, może mimo woli użył: zdrada. Nocny monolog Pawła brzmiał ciągle w jej pamięci. Nie mogła się zdobyć na żadne więcej słowo.

II

Jeszcze nim z haków zdjęto ramy po wytłuczonych lustrach, już ściany były ślepe. W sieci pajęcze wplątywały się cienie, cięty słońce stiuków na geometryczne płaszczyzny i ściany w pełzającym świetle łójówek osadzonych w lichtarzu poruszały się nieustannie, niczego nie widzące, nie zdolne ukazać odbicia ludzi, ani przedmiotów. Oni też tak się poruszali, nie widząc nawzajem swoich twarzy (choć je przecież widzieli), nie znając, nie czując swoich myśli, intencji wypowiedzanych słów, choć je wypowiadali głośno; nie odzwierciedlały ich myśli, jak gdyby zabrakło nagle tego naistotniejszego czynnika, który niby lustro pozwala przegłądać się człowiekowi w człowieku: szczerości, zaufania i odwagi powiedzenia sobie prawdy do końca.

Paweł powiedział: „Najważniejsze to ponownie trafić na ślad, który prowadziły od miejsca w jakim ten chłop, jak mu tam, Tomecki, stracił Piotra z oczu przed cerkwią. Albo na ów drugi ślad, kiedy ta kobieta ujrzała go za fotelem dziadka. Reszta winna iść gładko”. Teodor Czerestwienski odchodząc od sterty przygotowywanych do zakopania rzeczy, powiedział: „To niczego nie załatwia. On nie ma zamiaru z nami stąd uciekać. Choć nie byłaby to żadna ucieczka. Zmiana miejsca, ot co” i pochylił się nad globusem osiemnastowiecznym — który podczas pogromu dowleczono do drzwi i porzucono, o podstawie z trzech przyciętych z wysiłku marmurowych cyklopów — dotknął dłonią mosiężnej kuli, a potem nieuważnie obracając ją wokół osi spiętej pałką z podziałką, mówił dalej: „A czyżby to był grzech? Czyżby nie wolno nam było pozostać?”, jak gdyby jego myśli krążyły równocześnie wokół dwóch różnych zagadnień niezależnie od siebie, a ręce posiadały własną świadomość i pilnie szukały na globusie jakiegoś odpowiedniego miejsca, w którym wolno byłoby im jednak pozostać, i to naprawdę własnego. Paweł ze zdziwieniem myślał, że mimo sytuacji w jakiej Teodor Czerestwienski znalazł się w tym zniszczonym domu, w wyzieraającej z każdego kąta tymczasowości i wśród czynionych pośpiesznie przygotowań do ewakuacji, jego wygląd zewnętrzny wydawał się bez zarzutu; ubranie na pozór proste, składające się z luźno skrojonej marynarki z alpagowego sukna, czarnej jedwabnej kamizelki i nankinowych spodni było eleganckie, choć stwarzało wrażenie niedopasowania do otoczenia i staroświeckości, a w głosie nie miał wahania, spokój raczej, spokojną docieklivość, gdy mówił: „Czyż nie wolno nam tu pozostać?”, i zaraz dodał: „Może trzeba... Nawet, gdyby to był grzech... Nawet,

gdymy ta ziemia była od Boga i ludzi wyklęta... I to za wasze nieprawości, synów tej ziemi, z czym my, obcy nie mamy nic wspólnego. Nawet wówczas być może nie wolno nam stąd odchodzić i się z nią rozłączać, rzucać jej, potem zaś znowu, kiedy to jest wygodne do niej powracać, i tak bez końca, jak do jakiejś dziewczki. Może trzeba trwać tu niezależnie od tego, co los każdemu z nas gotuje? Myślę, że ojciec mój właśnie z podobnego założenia wychodził, nie ratując się, nie chcąc się ratować. Zgadza się?”

Teraz Paweł mógłby zabrać bez trudu głos zamiast niego. Mógłby oznajmić, że to samo powiedział mu w środku pewnej nocy jakiś sekciarz w głębi Sokalego jaru, a potem go pobłogosławił idącego wykonać wyrok, opróżnić pistolet, który coraz częściej był ostatnio opróżniany. I mógłby powiedzieć również, że z takiej postawy nic nie wynika. Że nie uciekać, nie rozłączać się z tą ziemią, z zamieszkującymi ją ludźmi, którzy mordują i których nawzajem mordować potem trzeba, to jeszcze żaden program; że to zaledwie pół programu albo ćwierć. Bo nie chodzi przecież o stanie na barykadzie, jeśli jest dawno wiadome, że zostanie zdobyta. Trzeba mieć drobną chociażby nadzieję, że zdobyta nie zostanie, a jeśli już tak, to że owo stanie na niej do końca będzie miało jakiś historyczny sens i komuś w przyszłości posłuży. Ale nie mówił. Siedział jak przedtem skulony, zgarbiony, z rękami głęboko w kieszeniach spodni, z wyciągniętymi daleko przed siebie ścierpniętymi w bezruchu nogami, z twarzą pochyloną, zamysloną, jak gdyby tylko nad czubkami własnych butów uwalanych pyłem i dopiero po pewnym czasie powiedział: „Nie wiem” krótko, ostro, sucho.

Nie poruszył się, nie drgnął. Gdy Teodor Czerestwienski spojrział na niego, wytrzymał jego wzrok. Ich oddechy były z lekka przyśpieszone, stężone, głośnie w stężonym, pachnącym kurzem, zleżałymi papierami i ledwo uchwytnym zaprzalym swądem spaliny powietrza. Od momentu, kiedy zegar na cerkwi wydzwonił północ i on, Paweł, powrócił ze wsi od pożaru, upłynęło już sporo czasu. Teodor Czerestwienski rzekł: „Chciałbyś powiedzieć, że wiesz więcej? To też się zgadza. Jesteś młodszy. Może istotnie wiesz więcej. Zapewne ze śmiercią mego ojca było zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażamy, a jeśli chodzi o problem, czy pozostać i jak tu pozostać, masz swoje odrębne zdanie. Dla nas Czerestwienskich, to sprawa raczej sentymentalna, nie jesteśmy stąd, właściwie zaś znikąd. Ty natomiast jesteś tutejszy. Może dla ciebie ta ziemia nie jest wcale przeklęta, i może to sprawa nie miłości czy nienawiści, a życiowych racji. Nie mów tak, albo nie. Mógłbyś skłamać, a ja bym to wyczuł. Nie zaprzeczysz jed-

nak, że racje Czerestwienskich, owe racje być może właśnie sentymentalne, w pewnych specyficznych okolicznościach, w jakiejś jednej chwili mogły zmienić się w inne. Że on, Mikołaj Fiodorowicz, choć miał przeszło dziewięćdziesiąt lat i trzy czwarte z nich spędził setki kilometrów stąd (nie jak ja i mój brat, Piotra ojciec, poza najwcześniejszym dzieciństwem wychowani na zachodzie Europy, ani jak Piotr, urodzony już i wychowany w tym kraju), mógł jednak poczuć się tutaj, jak u siebie. Mógł w jakiś inny jeszcze sposób związać się z tą ziemią bliską mu przecież kulturą i wybujałym indywidualizmem mieszkańców. A nawet mógł zechcieć zidentyfikować się z wami, chociażby przez prostą ludzką solidarność. To mogła być również jego spóźniona miłość. Jakkolwiek on musiał wiedzieć, że to jest miłość bez wzajemności i że przyjdzie dzień, kiedy ta miłość, sprawa tej miłości załatwi się sama, on zaś na swój rachunek wziąć będzie zmuszony winy wasze, właścicieli i panów tej nieszczęsnej ziemi. I zmuszony będzie zapłacić za grabieże, niesprawiedliwość, obudę, butę, ucisk, za waszą dumę, która nie szła, niestety, prawie nigdy w parze z pokorą..." i znowu urwał, gdyż on, Paweł, nagle powiedział: „To wcale nie tak. Przecież dworu nie napadli tutejsi chłopci. Dlaczego pan do tego powraca?”

Teraz zresztą obu im było już wiadomo, że właściwie od dawna nie mówią, a głośno myślą, obaj przeżywając znowu te swoje bezowocne poszukiwania, próby dojścia prawdy, jak zginął Mikołaj Fiodorowicz i kto jest sprawcą, ich słowa zaś mają jedynie za zadanie zagłuszyć ciszę, której by nie zniesli. Więc teraz, gdy po ostatnich słowach Teodora Czerestwienskiego nastąpiło zupełne milczenie, to oni dwaj, ale oni nie w tym czasie i nie tu, w tym zapchanym skrzyniami gabinecie, a oni tam, po południu owego dnia, kiedy Teodor Czerestwienski przybył do Czupryni wezwany telegraficznie ze Lwowa (ciało zaś jego ojca, Mikołaja Fiodorowicza, znajdowało się jeszcze w tym domu, tylko że umyte, przebrane, z ogoloną twarzą zniesione z piętra na dół do balowej sali), oni tam właśnie, w tamtym czasie szli przez wieś: ten siwy, choć wcale nie stary mężczyzna, mocny jeszcze, mocniejszy nawet, niż dawniej, jak gdyby wypadki, które go dotknęły: obecna strata ojca, przedtem zaś ukochanej kobiety, wzmocniły jego wytrzymałość, uodporniły na następne ciosy, a być może wyzwoliły jakiś przez niego samego nie przeczujący hart; i on, Paweł Woynowicz, szli razem przez wieś, zatrzymując się przy chałupach, zaglądali w twarze spotykanych chłopów i pytali.

Te twarze cofały się nieufnie, wykręcały, jakby uniezależnione od woli nie potrafiły opanować miotania się mięśni, albo sztywniały i były kamienne, albo nabierały wyrazu skupienia, po-

wagi, czy wreszcie wyzierała z nich pospolita troska i bliżej nieokreślony żal. Ale odpowiedzi brzmiały identycznie: że napastnicy przyjechali w poniedziałek o świcie dwoma ciężarówkami poprzedzani przez osobowego „Adlera” i że strzelanina wokół pałacu trwała prawie do samego południa. Potem ucichła, tamci zaś odjechali. Kim byli? Każdy mówił coś innego. Bo dopiero później okoliczne taśmofajstwo rzuciło się do rabunku. A kto? Tego również dowiedzieć się nie było sposobu. Być może i niejedni z miejscowych. Wreszcie któryś z gadatliwszych fernali wskazał — rozglądając się czujnie czy ktoś nie słyszy — chatę, gdzie nocować zwykł, bo miał tam kobietę, pewien mężczyzna należący do bandy Gawryluka, więc gdyby go ująć i przycisnąć, wyśpiewałby zapewne niejedno. Ale Paweł powiedział: „Gawryluk nie dysponuje motorowym taborem, skąd ciężarówka i ten Adler? Nie, coś się tu nie zgadza...”, a Teodor Czerestwiński: „Gdyby to zrobił Semen Gawryluk, sprawa byłaby dla nas prostsza...” odpowiedział, więc Paweł przyjrzał mu się uważnie i przytaknął zamyślony, że tak, że nawet dużo prostsza, tymczasem fernal dający do zrozumienia, że owego fatalnego dnia człowiek Gawryluka przebywał we wsi, dostrzegł chyba coś w oczach Teodora Czerestwińskiego, może cień niewiary, może wzgardy, bo cofnął się i prędko oddalił. Potem oni powracali. Paweł powiedział dopiero w domu: „Ów brak u Gawryluka motorowego taboru o niczym być może nie świadczy. Mogli mu wypożyczyć Niemcy”, gdyż w czasie ich milczącej drogi raptem zgodził się, że najprostsze rozwiązanie, zwłaszcza jeśli nie on je podsunął, jest najlepsze. Tylko że Teodor Czerestwiński i tym razem nie powiedział nic, nawet nie popatrzył. Kiedy więc znikł w głębi bocznego korytarza, on, Paweł, zawrócił. Szedł znowu przez park, przez most, później u stóp urwiska dłuższy czas między krzakami i drzewami nie wzbijającymi się tu w górę, nie wznoszącymi, choć wciąż jeszcze trwało lato, a przycupniętymi ociążale pod tumanami pyłu, wściekle skręcającymi swe liście w rurki, by wędznąć za wcześnie w tym zbyt długim przesileniu sierpnia w wrzesień, aż w końcu wspiąwszy się na stok, znalazł się na krańcu gromadzkiego pastwiska.

Do wskazanej przez fernala chaty było stąd najbliżej: stała na skraju wsi w kępie jaworów osłaniających ją prawie całą. Nie widać było wprawdzie ani dachu, ani komina, dostrzegł jednak kłąb dymu przenikający przez liście. Zerwał machinalnie źdźbło trawy, włożył do ust i zagryzł; nie mógł patrzeć w tamtą stronę bez wewnętrznego oporu. Myślał: „Powinienem być już u siebie w domu”, ale równocześnie prędko: „Nie mogę tak tego zostawić”, i licząc miedze prowadzące do jaworowej kępy,

przejścia zapłociami, nawet na oko odmierzając odległość, jaka dzieliła ją od sąsiednich chat, miał wrażenie, iż mimo rosnącego oporu, dalej słyszy w sobie słowa: „Nie sądzę, żeby mi ten gawrylukowy człowiek nie odpowiedział, gdy go zapytam. Nie sądzę, żeby mi nie odpowiedział właśnie tak, jak będzie trzeba, jak będę chciał. Żeby raz na zawsze przeciąć wszelkie wątpliwości i całą sprawę zakończyć” — słowa brzmiące przekonywująco. Potem przeniósł wzrok na odległą posesję dworską, na wystającą ponad park budowlę pałacu, choć nie mógł stąd dojrzeć zwęglonych i niemych pozostałości tego, co było piętrem prawego skrzydła, krokwiami i deskami obłożonymi kolorową dachówką, i pomyślał jeszcze o Mikołaju Fiodorowiczu, o tym biednym, starym człowieku, że gdyby stąd uciekł i zdołał przeżyć z rok jeszcze lub dwa, może znowu powróciłby w to wprawdzie wyniszczone do szczytu miejsce, otoczone wyjąłowioną przez wojnę ziemią, ale miejsce, do którego przywykł tak bardzo, i przez chwilę zdawało mu się nawet, że widzi, że znowu wyczuwa wielki, ludny dom, pełne światła i mroku pokoje, różnorodny gwar gości w dzień, w nocy zaś ściany i stropy rozbrzmiewające głosami odległych pokoleń, uważanych przez tego starego człowieka prawie za własne. Myśl jednak zaraz szepnęła: „A może lepiej, że umarł? Może zaoszczędził sobie bólu? Niemożności powrotu?”, i chociaż ją odrzucił, tamtego wrażenia nie zdołał więcej przywołać. Pozostała wprawdzie przez czas jakiś wizja żyznych pól i łąk rozciągniętych między jarami, gdyż w jego wyobraźni nie mogły być zbyt długo podeptane i jałowe, zmieniły się więc w szumiące złotem pszenicy i soczystą zielenią traw, pełne życia, łagodnych nawoływań, śpiewności rozmów, obecności dzieci bawiących się na przychaciach, dorodnych, płodnych kobiet krzątających się w obejściach, kobiet, których mocne biodra pełnić będą bezpiecznie swe odwieczne przeznaczenie, rodzić bez pośpiechu, nieustraszenie i z radością córki i synów tej pięknej rasy, ale w wizji tej nie ujrzał już ani domu Czerestwiewskich, ani nawet samego siebie. I powtórzył, tym razem głośno: „Biedny, stary człowiek...”, mniej pewnie i z mniejszym zalem. Potem strząsnął z siebie wszystkie te myśli, jak strząsa się z ubrania pył, odruchowo, bez zniecierpliwienia, tyle że stanowczo i jeszcze raz rzuciwszy wzrokiem na chatę wśród jaworów, zawrócił. „Jestem zmęczony”, powtarzał z rozdrażnieniem „Trzeba się śpieszyć, trzeba wziąć się mocno w karby”. Zatrzymał się dopiero, gdy otworzył drzwi do balowej sali.

Była uprzątnięta, ciemne story zakrywające pozbawione szyb okna przyciśnięte czymś ciężkim do parapetów nie falowały już i nie puszczały do wnętrza dziennego światła, w mroku paliły się

dwie świece w kandelabrach, a na wielkiej, bogato rzeźbionej skrzyni renesansowej leżał właśnie on, ten stary człowiek. Woń stamtąd ledwo uchwytna, jednak wstrząsająca do głębi, biła aż do drzewi, mimo kwiatów i jedliny. Poczłł, jak przeciągnął po nim podmuch czegoś zimnego, złego, ale prawie zdecydowanego i — jak mu się zdawało — prawie celowo. Wiedział, że to niechęć do trzeźwiejszej oceny własnego udziału w wypadkach, jakie rozegrały się w Czupryni, obłudna niechęć, i spróbował ją przełamać, nie można być ślepym, lecz nagły, rozchodzący się po ciele podmuch tego czegoś złego nie zwracał na jego wysiłki uwagi, obojętny wobec napomnień. Cofnął się więc, a chociaż owo zimno i zło nie ustawały przezeń przepływać, uspokoił się, bo przestał z nimi walczyć. Zamykając się w pokoju Piotra, czuł celowość własnych zamiarów i przyszłych czynów, oraz zdecydowanie; także dumę z tego powodu. Nie zdjął nawet butów, myśląc: „Gdybym był Piotrem położyłbym się do łóżka. To właśnie zrobiłby Piotr. Położyłby się do łóżka i przedtem dobrze by wypoczął, żeby mieć spokojne ręce”. Ale nie próbował zasnąć układając się na kanapie, mimo że miał dużo czasu, słońce wciąż bowiem stało wysoko. Usnął jednak wkrótce, prawie natychmiast, kiedy tylko zamknął oczy. Gdyby ktoś cichaczem później nadszedł i zatrzymał się nad nim, ujrzałby w świetle bardzo wolno uchodzącego dnia twarz bez kropli potu, matowo-suchą, rozluźnioną, z bezbrzeżnym wprost na niej wyrazem spokoju, a nawet niewinności. Twarz pewną siebie. Ale nikt nie nadszedł, choć gdy obudził go mrok, to miał zrazu wrażenie, że ktoś obcy stoi, a przynajmniej jeszcze niedawno stał blisko niego, kiedy on zagrożony był we śnie, tak że od razu usiadł, gwałtownie opuścił na podłogę nogi i wytrzeźwiał. Dopiero po jakimś czasie pomyślał, że miał sny, tylko że nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć ich treści.

Pewność siebie, to „zło” i zdecydowanie dalej w nim były, a jeśli gdzieś w największej głębi umysłu rodziły się ponownie wątpliwości w stosunku do własnych zamiarów i refleksje, nie musiał z nimi walczyć, bo zaraz same gasły, jakby nie miały żadnej siły. Siedział spokojny, oddychający całym swym mocnym ciałem, spokojnie naprężający się znowu, choć jeszcze nieruchomy i myślał: „Wkrótce będzie noc. Niebo jest czyste” i później: „Pewnie wjeżdże księżyc. Niewiele brakowało a przespałbym odpowiedni moment”, z niejakim poczuciem winy, a jeszcze później: „To Gawryłuk zaatakował Czuprynię. Teodor Czerestwiencki sam tak powiedział i że to byłoby najprostsze. Jeżeli pomogę im wziąć odwet, sprawa będzie zamknięta. Tym lepiej dla mnie”. Cisza za oknami przeciągała szeleszczącym przewiewem liści, za-

pach glicynii gęstniał, gdzieś bardzo daleko był pies. Przez pewien czas musiał iść po omacku, na dole jednak było już trochę światła padającego ze szczeliny, również i teraz odemkniętych drzwi balowej sali. Więc po raz drugi tego dnia ujrzał to wnętrze i że obecnie czuwa przy nieboszczyku starsza pani Czerestwienska siedząc w krześle zgięta we dwoje, mała, niby kamień pochylony nad przepaścią, a służebna krząta się za jej plecami i zapala nowe świece. Ale nie przystanął, nie zwolnił; skrzywił w hallu natychmiast do pokojów po przeciwnej stronie, gdzie w głębi, w jednym z nich się świeciło, a gdzie onegdaj złożył swoje rzeczy przywieszony z Gleb przez gorzelanego Karpatkę. Z kąta za barokową szafą, ze zwiniętego w rulon koca wydobył sztucer, który był jeszcze nie rozładowany, z plecaka zaś wyjął pistolet i mocując się z paskiem próbował zatknąć go za spodnie. Tylko że już nie zdążył.

Kiedy nazajutrz usiłował przypomnieć sobie tę chwilę, zdało mu się, że od samego początku słyszał coś, czego jego słuch nie chciał przyjmować, co odpychał, bo gdyby przyjął, zapewne poczułby się zaniepokojony. Teraz wiedział nawet czym. Teraz, po tych dwóch dniach, jakie minęły od tamtego czasu, gdy mieli już za sobą i pogrzeb, i uroczystość panachidy, i wiele rozmów, a także myśli, które nie zdołały zmienić się w słowa. Więc kiedy przerwał Teodorowi Czerestwienskiemu owym krótkim, ostrym zdaniem: „Nie zrobili tego chłopci. Dłaczego pan, u licha, do tego powraca!”, zdaniem nieco wyzywającym, prowokującym nieledwie i wzrok Teodora Czerestwienskigo stał się natychmiast ciężki i ciemny, to nie dodał do tego, co powiedział przedtem nic więcej (później dopiero, znacznie później), a jedynie podjął ostatnią jak gdyby próbę pozbycia się niepokoju, który w ciągu dwóch ostatnich dni przeobrazić się zdążył w podejrzenie, że właśnie on sam, Paweł Woynowicz, jest winny mordu na Mikołaju Fiodorowiczu; i odwrócił twarz.

Wówczas jednak, kiedy stał w kącie za szafą, w jednej ręce trzymając już sztucer, drugą zaś obluźniając pasek u spodni, żeby zań zatknąć pistolet, jego słuch, jego świadomość nie miały zamiaru przyjmować tego, co słyszały, bo nie chciały się niepokoić. A przecież wpierv było owo wołanie, kiedy spał, które mogło być głosem sumienia, kiedy zaś schodził do hallu i szedł przez pokoje, to był ten szelest nie nadążających za jego krokami kroków, ostrożny, skradający się, mimo że wcale nie usiłował być nie słyszalny, gdy tymczasem on, idąc, powtarzał sobie: „To już załatwione. Postanowione i załatwione. Nawet gdyby nie było tak, a zupełnie inaczej — nie ważne. Zrobił to Semen Gawryluk. Nie potrzebuję siebie przekonywać. Nigdy zresztą nie wie-

rzyłem, że będę musiał. Pozostała tylko sprawa odwetu za tę historię. Ja im w tym pomogę i wszystko będzie przypieczone-owane ostatecznie”, a potem krótko: „Tak trzeba. I mam z głowy”, bo w momencie, kiedy mocował się z paskiem chcąc zatknąć zań pistolet, myślał już wyłącznie o tym, żeby móc wyrwać go stamtąd, gdy zajdzie potrzeba, jednym swobodnym ruchem, o niczym więcej. I właśnie wtedy poczuł na swym ramieniu ciężar cudzej dłoni. Poczuł także ból od ucisku, choć ucisk nie mógł być silny, jedynie stanowczy. Ale nie szarpnął się, ani się nie odwrócił. To jego myśli poruszyły się, pogalopowały i zdołały w owym ułamku sekundy ułożyć się w wiele dobrze brzmiących zdań i odpowiedzi na pytania, jeśliby takie miały paść. Dopiero jednak kiedy ucisk na jego ramieniu zelżał, tamte zaś myśli i zdania w myślach ustąpiły przed jedną: „Powiem mu wszystko”, odwrócił się. Ujrzał twarz Teodora Czerestwińskiego tuż za sobą. Była bez śladu gniewu, bez zawodu nawet, tylko napięta wyrazem surowości, ostrym zdumieniem, niczym więcej, i wtedy to, co chciał już mu powiedzieć, przełknął, bo ten rzekł doń cicho: „Nie będziesz strzelał do naszych ludzi tutaj”, ów zatknięty już pistolet wyjmując mu zza paska, odkładając go i krótkim gestem dłoni odsuwając lufę sztucera, jeszcze nim dodał: „I tego nie musisz brać. Nic nie musisz z sobą brać”. I choć tamto surowe zdumienie nie spełzło mu z twarzy, oczy miał zapadnięte, błyszczące silnie, a jego głos brzmiał dezaprobata, gdy po chwili rzekł doń znowu: „Nie będziesz strzelał — zwłaszcza ty. Nawet jeśli któryś z nich należy do gawrylukowej watahy”.

Więc Paweł wyminał go bez słowa. Idąc przodem przez ciemne pokoje i czując, jak jego stwardniały, uśpiony dotychczas żołądek staje się nabity czymś gorącym, rozpychającym, niby dynamit, myślał: „Więc osiągnąłem już ten punkt, w którym najwyższym ponizieniem, jakie może mnie spotkać, jest pójście do tego gawrylukowego fagasa z pustymi rękoma. Jak gdybym przyznać miał nie tylko przed sobą, ale i przed innymi, że winnych szukać należy gdzie indziej. A może po prostu on sądzi, że to nie jest godne odwetu”. A potem jeszcze, kiedy szli już aleją: „Mój Boże, jakże często nasze czyny nie są nas godne, albo my naszych czynów”.

Krótkie dzwonki zegara cerkiewnego odezwały się, gdy się znaleźli po drugiej stronie potoku; wybiła może jedenasta, może godzina mniej, nie liczył. Szli między prawie uśpionymi chałupami (choć gdzieś jeszcze na odległym przysiółku dudniła stępa, a z folwarcznego czworaku leciał kamienny, hurkotliwy zgrzyt żaren, którymi baby męły na kaszę jęczmień) i szybkość ich

kroków nie dość poruszała powietrze, żeby je łatwiej było wciągnąć w płuca, ale była dostateczna, żeby skóra zaczęła mu się pocić. Noc robiła się widna, niebo jakby zaciągnięte płatem ślazowego kwiatu przeczyściło się z chmur, ziemia zaś oddychała parno, ciepło i rośno. Kurz z drogi i pół już opadł i posuwali się w mglistych oprzędach osiadających na ubraniach, bezszelestnie oplątujących nogi, nie tyle może wstrzymujących ich kroki, ile ostrzegających, pełnych jak gdyby łagodnej, drwiącej perswazji: „Idźcie, idźcie, jeśli musicie. My i tak rozwlecemy to wszystko po niezgłębionej ciemności zapadłej nad tą ziemią. Nie ujrzyście obrazu zdarzeń, który raz już przesłoniła przeszłość, nie odkryjecie twarzy, oczu ani rąk, które pochłonęła tamta noc. Lepiej byłoby zostawić wszystko w spokoju tak, jak jest”, którym on, Paweł, współtowarzyszył myślami: „Jeśli nie ma przemówić pistolet, lepiej nie zakłócajmy ludziom i tak nie bardzo bezpiecznego snu”. Ale szedł dalej i wreszcie zobaczyli tę wskazaną po południu przez fornała chatę i się zbliżyli. Skrzypnęła furtka. Pies wyłaź tylko z budy, popatrzył, nie zaszczekał i schował się z powrotem. Teodor Czerestwienski powiedział: „Ty obejdziesz od tyłu, ja zastukam od frontu”, a on to jego polecenie wykonał. Stał potem przy kuchennych drzwiach z drewnianą zatyczką na sznurku, zatyczka była zdjęta, a drzwi uchylone, i czekał, i myślał, że nie ma tu już nic do roboty, że to sprawy Czerestwienskich jedynie i skoro Teodor ma własne recepty na ich rozwiązanie, niech kończy je sobie po swojemu, ale nie odchodził. Po jakimś czasie te uchylone drzwi odemknął szerzej i wszedł do środka.

Poczuł twardo ubitą polepę pod nogami, w nagrzanym powietrzu zakisły zapach zaczynionego na noc żuru, zrobił trzy, cztery może kroki, nie więcej, wyciągniętą dłonią natknął się na chropowatą ścianę i (widać drzwi prowadzące do izby z powodu duchoty też były uchylone) wtedy to posłyszał. Stał i nie ruszał się. Poznał ten szelest. Suchy, ostry, przykry, przenikliwy, nieledwie złowieszczy, nie podobny w swej rytmiczności do żadnego innego szelestu. I oddechy. Czuł, jak mu przełyk raptownie wysycha i że się dusi — te oddechy wznosiły się coraz wyżej i śpieszyły. Czekał aż się skończą i żeby jak najprędzej. Lecz nie zdążyły. Wcześniej jeszcze rozległ się zduszony krzyk kobiecy, zaraz potem dotarło do jego uszu przytłumione ścianami kołatanie Teodora Czerestwienskiego w drzwi od przodu chaty, a w ciemności o deskę podłogi buchnęły bose stopy, zwałił się z hukiem jakiś stołek i poczuł twarde uderzenie w pierś. Tylko że był na to przygotowany, odparował. Powiedział cicho, z trudem: „Ty, Iwan, czy jak ci tam, idź otworzyć. Pan Czerestwienski przyszedł na słowo” i skrzesał zapałkę. Zobaczył na wprost

siebie nagiego chłopą zakrywającego dłońmi przyrodzenie, pochylonego torsem do przodu, jakby chciał skoczyć ponownie; jego usta dyszały, wydawały się bezkrwiste, a oczy miał jak dwa czarne otwory, które patrzyły na niego, Pawła, z niedowierzaniem, w niemym i wściekłym przerażeniu. Ciało leżącej na posłaniu kobiety było całe drobno osędziaste od potu. Przywierając do ściany, wydała z siebie znowu ten zraniony, beznadziejny, zawodzący krzyk, który raz już słyszał. „Idź otwórz, Iwan, słyszysz przecie!” powtórzył tym razem z naciskiem, przypalając od zapalniczki drugą, a nagi mężczyzna, choć widział, że ma on obie ręce zajęte i nie sięgnie po broń (nawet gdyby ją był posiadał), nachylił się posłusznie nad przewróconym stołkiem, omiął ręką zwalony na podłodze *otriez* i chwycił szybko spodnie. Musiał je zakładać, kiedy on, Paweł, szedł do lampy stojącej na parapacie, zdejmował cylinder, zapalał i podkręcał knot, bo po chwili był ubrany i dokładnie zapięty; kobieta też siedziała z naciągniętym na ciało prześcieradłem, *otriez* zaś, jak przedtem, leżał na podłodze nieruszony. Wtedy ta cała złość, którą pamiętał, jak szumiała mu w głowie, gdy wychodzili z Teodorem Czerestwieskim z pałacu, poprzednie zdecydowanie i poczucie celowości, wszystko to ostatecznie i bezpowrotnie opuściło go. Nawet opuściła go pewność siebie. Czuł tylko ociężałość i zmęczenie. Myślał ciągnącymi się zdania: „Jak najprędzej znaleźć się znowu w Glebach. Wszystko trzeba zacząć od nowa. Okłamywałem się, że Czuprynię załatwiła wataha Semena Gawryłuka. Próbowałem wierzyć, że nie kłamię. Wiedziałem. To tylko moja nieostrożność. Zasypał Niemcom Antypko i sam mu pozwoliłem na to”. I słuchając zgrzytu rygła w głębi chaty, skrzypienia zawiasów, głosu mężczyzny mówiącego coś do Teodora Czerestwieskiego, odwrócił się, żeby uciec od spojrzenia kobiety, gdy pochylała głowę patrząc na niego ponad śniadym ramieniem swą drewnianą teraz zupełnie twarzą. Kroki, te bose, prędkie, cmokające na deskach podłogi i te w trzewikach, powolne i zrównoważone, zbliżyły się nieubłaganie. Więc uniósł lampę wyżej.

Z drzwi wynurzył się Teodor Czerestwieski, potem do izby bokiem wsunął się chłop. Chłop ten coś mówił szybko, beładnie, ale tamten chyba go nie słuchał, szukał bowiem wzrokiem jego, Pawła, jak gdyby właśnie o niego mu chodziło, jak gdyby wiedział, co on wie, co myśli i co czuje, i Paweł nie mógł znieść tego spojrzenia. Kobieta smyrnęła już z wyrka i stała w naciągniętej na siebie kiece; przygładziwszy szybko włosy wyglądała tak, jak powinna była wyglądać, gdyby przybyli tu z wieczora, tylko oczy poszerzone miała bardziej. Po chwili dopiero Teodor Czerestwieski powiedział: „Zaraz sobie pójdziemy, Petrysowa. Idźcie lepiej

spać”, a zauważywszy leżący obok stołka obcięty karabin, dorzucił niegłośno: „Jesteśmy bez broni”, i Paweł spostrzegł, jak po tych słowach twarz kobiety układa się w wyraz pełen skupienia, namysłu, czy też nawet tak, jakby chciała czegoś, co nie daje jej spokoju, dociec.

I znowu odezwał się Teodor Czerestwieski: „Chodźmy”, cofając się do przyległej izby, chłop także się cofnął wtedy, i on, Paweł, musiał z tą lampą ruszyć za nimi. Posłyszał: „Chyba wiesz po co do ciebie zaszedłem, Tomecki?”, i drugi głos: „Nu, wiem, choć nie nasza to robota. Ja, pane, bydło na majdan, co je tam w Nikoryczy wzięlim, gnał”, i ponownie głos Teodora: „Wiesz, jak było”, i ponownie chłopca: „Co ja tam wiem, pane! To był ktoś taki, co inny interes miał, niżli bat’ko Gawryluk by miał. Może on samego najstarszego pana chciał? Czy ja tam wiem co...?”, a potem miał ich w kręgu światła lampy obu dobrze oświetlonych, stojących na środku pustawej, przestronnej izby, za jedyną ozdobę posiadającej ikony rozwieszono na wybielonej murłacie pod powałą: Teodora Czerestwieskiego na wprost tego chłopca, nie więcej może, niż dwudziestoparoletniego, zarośniętego, barczystego, który zatrząsł się, jak gdyby skądś buchnął przeciąg, od chłodu i oczekiwania, z twarzą, która uczyniła się raptem psia i żałosna, gdy Teodor doń mówił z ociąganiem: „Nie pytam gdzieście hajdamaczyli, Tomecki. Kto trzeba zapłaci wam za to. Wiem nawet, że nie wy robiliście ten wypad na nasz dwór”, i Paweł czuł, jak jego samego również przenika dreszcz, bo ten słaby jakiś atut, jaki Teodor Czerestwieski dał mu po południu mówiąc, iż gdyby to zrobił Gawryluk, sprawa byłaby o wiele prostsza, wymyka mu się ostatecznie z rąk, i to zimno, ten niepokój zmieszany z niejasnym wstydem, w każdym bądź razie coś nieokreślonego, a równocześnie niewymiernego przenika go na wskroś. Wtedy sprężył się i skoczył, i z siłą uderzył, a chłop jęcząc potoczył się pod ścianę. Krzyczał: „Na Boga mego, nie my to zrobili, wielmożny pane! Jedne mówią tak, inne siak, ale nie my!”. Lecz Teodor Czerestwieski zasłonił sobą chłopca i powiedział twardo: „Zostaw”, a do tamtego: „Mnie chodzi o panicza, Tomecki. Gdzie nasz panicz się podział masz powiedzieć. Nic więcej. Bo chyba wiesz”, i to coś, ten niepokój, wstyd, niejasny jakiś wyrzut sumienia, a może po prostu zimno, wszystko to razem odpłynęło, przyplływ ulgi natomiast, że Teodorowi chodzi nie o śmierć ojca, a o zaginionego Piotra, był osłabiający wprost do zamroczenia. Chłop mówił: „Ja widział go koło cerkwi w Nikoryczy, pane. W niedzielę, kiedy bat’ko Gawryluk rządził miastem. Ale może to nie był wcale panycz. Bo powiadali też ludzie, że widzieli go razem z Gawrylukiem. Więc to tak, jakby

oni tam rządili po społu. Bo jakże to tak? Może to ludzie tylko tak breszą? Tylko nie bijcie, pane!”, i zamilkł, i zaraz to się stało.

Dopiero jednak po chwili Paweł zrozumiał, że są z Teodorem Czerestwienskim w izbie sami, chłop zaś odskoczył, runął w drzwi do izdebki, gdzie zostawili byli kobietę, ale jeszcze wcześniej (nazajutrz przypomniał to sobie dokładnie, opowiadając stryjen-ce Małgorzacie) rozległ się łomot przewracanego krzesła, zduszony charkot i odgłos czyjejs miękkiej szamotaniny. Tylko że szamotaniny nie ciała z drugim ciałem, a z sobą, z własnymi odruchami, gdy się szamocze nie mogą się uspokoić, zanim się uspokoi. I Teodor, i on, Paweł, twierdzili później, że w sekundę albo dwie po skoku chłopca w drzwi, usłyszeli jednocześnie obaj zgrzyt noża i huk padającego ciała, więc nawet nie pomyśleli, że będzie on do nich strzelał, w tamtej jednak chwili, to chyba Paweł wcale tego nie słyszał. Zobaczył nagle, że chłopca pod ścianą nie ma; nawet nie, że biegnie, a od razu, że go nie ma, potem zaś dopiero, kiedy sam zrobił parę kroków do przodu, ciągle z podniesioną wysoko lampą, i stanął we wnęce drzwiowej, zobaczył, jak pochyła się on nad czymś leżącym na ziemi niby wypchany worek, i jak dźwiga to coś i prostuje. I znowu dotarł do jego świadomości głos Teodora: „Chodzi tylko o panicza, głupcze. O nic więcej, ty głupcze!”.

Później więc, już powracając przez wieś i wciąż nie mogąc się uspokoić, Paweł myślał: „On od pierwszej chwili wiedział, że załatwienie Czupryni, nie Semen Gawryluk i jego ludzie mają na sumieniu. On nawet nie po to szedł do tego chłopca. Dlatego nie pozwolił mi wziąć broni. On od samego początku tropił tylko ślady Piotra. Nigdy nie wierzył, że Gawryluk mógłby Piotra albo Mikołaja Fiodorowicza zabić. Jeśli nie przestanę myśleć o tym, rozkleję się. Przecież nic takiego nie uczyniłem. Nawet jeśli zasypał ktoś z naszych z Gleb, nie mogę mieć z tą sprawą wiele wspólnego. Takie rzeczy się zdarzają”. Potem nie chciał już myśleć o niczym. Na niebie dawno był księżyc i oświetlał drogę, ale przedtem przejście do chaty wdowy Petrysowej nie zajęło im tyle czasu, ile powrót od niej, choć nie rozmawiali wcale. On, Paweł, miał jeszcze ciągle w pamięci szeroko otwarte oczy tamtej kobiety, gdy ją jej kochanek odciął ze sznura, i jej usta poczerniałe, pogryzione, pełne języka i śliny, i bełkot: „Zabiją cię, Franek, zabijają, gdy znajdą!”, i czuł rozpierającą, wprost do bólu nienawiść i wściekłość, choć i bezsilność również. Po wyminięciu bramy Teodor Czerestwienski powiedział do niego wreszcie: „Jutro przyjedzie z rana Piotra matka. To okropne, że tak niewiele mam jej do powiedzenia...”. On na to: „Że syn jej

żyje. To mało? Chociaż ten chłop kręci. Piotr nie mógł być jednocześnie i tam, i tu”. Na to Teodor: „Mógł być w niedzielę tam, a w poniedziałek tutaj. I Tomecki wcale nie musi kręcić. On nie wie tylko, co ma mówić. On nie wie, co my chcemy usłyszeć. Czy, że Piotr został przez Gawryluka pojmany, czy że z Gawrylukiem, jak to on powiedział — razem rządzą miastem”. Na to on: „Bzdura! Wierutna bzdura!”. Ale Teodor Czerestwien-ski nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, więc po chwili wybuchnął: „Ja bym tego bandytę zastrzelił! Nie darowałbym!”. Dopiero wtedy tamten powiedział: „Tak, ty byś go zastrzelił. Choć on mówi twoim językiem. I on też by cię zastrzelił, gdybyście spotkali się w innym miejscu. To straszne. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego”. Przed frontem domu przystanęli.

Patrzyli obaj na wysokie okna balowej sali pozbawione szyb, spod osłaniających je kotar sączący się z wnętrza tu i ówdzie nikły blask i długą chwilę nie odzywali się do siebie, paląc tylko papierosy. Wreszcie Teodor Czerestwien-ski zaczął: „Czasem wydaje mi się, że rozumiem wszystko, czasem, że nic. Oczywiście, tobie zależy na tej ziemi w sensie jak najbardziej dosłownym, bo jej kawałek jest twoją rodzinną własnością od kilku wieków, i także w przenośnym, bo uważasz, że to twój kraj. Ukraińcy mówią, że to wyłącznie ich kraj i macie iść stąd precz. Ale na dobrą sprawę ty i tobie podobni nie jesteście nikim innym, jak Ukraińcami. Czy też Rusinami. W końcu to jedno i to samo. Nie o nazwę przecież chodzi. W którymś tam pokoleniu zmieniliście wyznanie, najczęściej zaś język, czasem i to i tamto równocześnie, nie przestaliście jednak być Rusinami. Jesteście więc wy, mówiący po polsku — dawna szlachta, czy chłopci, wszystko jedno — autentycznymi synami tej ziemi. Zatem o co nienawiść? O język? Też nie. Ten Tomecki, słyszałeś, mówi przecież po polsku, a właśnie on należy do bandy Gawryluka. Natomiast w waszej partyzantce są również ludzie mówiący po ukraińsku. Nie język zatem, ani narodowość rozgranicza. Myślałem dawniej, że nędza i bogactwo. Od wielu lat słyszę świst bata, którym karbowy na polu w sąsiednich książęcych dobrach, kiedy przejeżdżałem tamtędy, zdzielił ciężarną kobietę, gdy nie nadążała z robotą za innymi. Podjechał na koniu od tyłu, zdzielił ją przez plecy, a rzemień owinął jej się wokół ciała. Słyszałem tylko ten świst, bo ona nie krzyknęła nawet, tak była zajęta osłanianiem brzucha. Zdarzyło się to krótko po moim powrocie z Grecji, miałem zostać, zając się rozkopywaniem tutejszych kurhanów. Nie, nie zostałem. Nigdy nie jeździłem już, kiedy powracałem do domu, w tamtą stronę na przejażdżki. To ja odradzałem ojcu, gdy chciał dokupić jeszcze trochę ziemi. Ten świst bata sły-

szalem zawsze, kiedy tylko gdzieś widziałem ludzi w polu, czy na gumnie, na drodze czy na łąkach, ciągnących za wołami i pługiem, koszących zboże, a nawet rozmodlonych w cerkwi. Przekłęty świst! Gdy oni idą rabować wasze dwory, gdy przedtem jeszcze niszczyli te różne żydowskie handełesy okoliczne, karczmy, targowiska po miasteczkach, gdy rozwalają kościoły, wieszają księży, wciąż go słyszę. To haniebne, co oni robią, ale wyciskanie przez pokolenia siódmego z nich potu, musiało zrodzić tę niepohamowaną żądzę posiadania waszych dóbr. Tyle że Tomecki, na przykład, jest jednym z najzamożniejszych chłopów w Czupryni. A znowu w oddziale pułkownika Laudańskiego, który jest, jeśli się nie mylę, drobnym rolnikiem z Osypczy, służy jak wiem, prawie sama nędzota okoliczna. Zaścianek Łoszakowski, choć schłopiały, biedny, jest — poza nielicznymi wypadkami — ostoją porządku i ładu. W Tuczapsku, jak słyszałem, jedynie paru futurozników i pop przyłączyło się do pogromu. A więc ludzie zamożni. W Nikoryczy kto ratował z rzezi? Starorusy znad rzeki. W czasie pokoju koniokrady, grajki weselne, pacykarze cerkiewni, wikliniarze, skowronki boże, co nie sieją a zbierają, w najlepszym zaś razie tragarze, nosiwody i tym podobni golcy za niecałe pięćdziesiąt złotych przedwojennych miesięcznie. Więc i ten podział: nędza — bogactwo niczego nie wyjaśnia. Tylko w tandetnych broszurach tych różnych marksistów sprawy te są jasne. Może przyczyna tego, co tu się dzieje, tkwi gdzie indziej? Może jak mozajka składa się z wielu elementów, których nie umiem poskładać? Ciągłe o tym myślę i nie pojmuję. Wiem jedynie, że mnie to wszystko nie wciągnie, choć potrafi wciągnąć jak wir. Ciemnota, prymityw, barbaria. Kocioł pełen gotujących się, kipiących namiętności. A nad tym kotłem dwóch okrakiem stojących naszych sąsiadów, od zachodu i od wschodu. Każdy z nich proponuje swój prostacki, okrutny i nieludzki ład, wyciągając chciwie łapy, aby dla siebie wyłowić z kotła co lepszy kasek. Dlatego chciałbym odszukać jak najprędzej Piotra. Żeby go stąd zabrać. Ale boję się, że on już dał się wciągnąć w ten szatański wir. Nie wiem, co powiem jego matce, nie wiem...”. I rozgniół butem niedopałek papierosa o stopień schodów, jeszcze raz spojrzawszy na okna balowej sali. Krótko powiedział: „Dobranoc” odchodząc.

On, Paweł, dalej patrzył na potrząskany fronton, na księżyc mieniący się w ostrych niby brzytwy okruchach szyb i, jak przedtem, nie myślał o niczym. Tamta wściekłość ustępowała zwolna. Czuł wilgoć rosy. Niebo było teraz cięższe, chłodniejsze, chmury, które zjawily się na skraju widnokregu, mgliste. Wciąż grały jeszcze świerszcze, wciąż jeszcze trwało lato, ale już wyraźnie

gasło. Daleko za lasem, niby gwiazda rozsypała się w górze rakietą, później zaterkotał karabin maszynowy. Czekał chwilę aż ucichnie, ale nie cichł. Stał z twarzy wilgoć i wszedł na schody. Już w pokoju kuchnia pomyślał: „Ja też nic nie wiem. I nigdy chyba nie będę wiedział. Ale czy muszę? Może wystarczy, że czuję?”. Potem znowu zobaczył wzrok kobiety z chaty na skraju wsi, wypełniony nienawiścią, chytrą i strachem, i jej usta miotające przekleństwa, a równocześnie błagające o litość. Lecz jego własna wściekłość i nienawiść nie powróciły. Wystarczyło powtórzyć sobie: „Skończyłem z tym wszystkim tutaj — to nie moje, to Czerestwienskich sprawy”, aby przypomnienie cofnęło się samo. Zasypiał słysząc ciągle łomot karabinu, chwilami narastający, to słabnący, ale nieustanny, mimo to nie powróciło. Dopiero rano. Kiedy, przywitawszy się z przybyłą z Wielkopolski na pogrzeb stryjenką Małgorzatą, i napotkawszy jej oczy wpatrzone w siebie z jakąś żebrzącą nadzieją, uświadomił sobie, że nic się nie skończyło, odwrotnie: oni wyjdą być może wkrótce na zawsze z tego zdewastowanego domu, rozjadą się po świecie, a cały ciężar wleczenia dalej, rozwiązywania i zmagania się z pogmatwanymi przez nich sprawami, tymi sprawami, które żyć będą dopóki Gawryluk z Piotrem będą żyli pod tym samym niebem, spadnie na jego barki. Później nawet w swoim przecuciu się utwierdził.

Było to zaraz po wczesnym śniadaniu. Drzwi otwarte na rozcież. Ta mizerna, tragiczna twarz starej pani Czerestwienskiej odwracającej się raz jeszcze ku nim od progu i mówiącej: „Zostańcie. Nie przeskadzajcie sobie. Już ja sama przyjmę tych wszystkich zjeżdżających się na pogrzeb ludzi”. Jej wzrok pełen utajonej męki, zahipnotyzowany własną rolą, usta zaciskające się nieubłaganym uporem doprowadzenia osobiście do końca drogi człowieka, w którego cieniu ona, cicha i mała jak lalka, żyła przez tyle lat. I już jej nie było. I drzwi same zamykające się bezszelestnie. I potem oni, siedzący przy małym stoliku, spoglądający na siebie w milczeniu — Teodor Czerestwienski, stryjenka Małgorzata, bratowa Teodora, i on, Paweł, wszyscy troje już przebrani na czarno, czekający na przyjazd reszty rodziny, niewiele mający sobie nawzajem do powiedzenia, zmęczeni wielokrotnym mówieniem o wypadkach sprzed paru dni, przedłużające się milczenie, brzęk łyżeczek o porcelanę, szmer zsypany cukru, znowu brzęk łyżeczek, aż wreszcie Teodor pod jakimś błahym pretekstem wyszedł, a stryjenka Małgorzata powiedziała cicho: „Opowiedz to jeszcze raz”.

A już przedtem — między tymi częstymi falami uporzyczego, cichego płaczu na wspomnienie o przepadłym gdzieś synu i przyływami lęku o zostawioną na drugim krańcu kraju córkę

— spoglądała najczęściej na niego, jakby właśnie od niego oczekując tego, co spodziewała się usłyszeć. Wtedy też, kiedy powiedziała: „Opowiedz to jeszcze raz” spoglądała dobitnie i prosto tymi zaczerwienionymi oczyma, które widziały więcej niż on widział, choć to nie ona, lecz on był nocą w chacie na skraju wsi, i które widziały nawet więcej, niż on mógłby kiedykolwiek w ogóle w przyszłości widzieć, gdyż była kobietą i to dużo mądrzejszą i przenikliwszą od każdego mężczyzny, bo wiedziała, że nic nie może poradzić, gdy mężczyzna raz już z własnej nieprzymuszonej woli wziął do swej ręki karabin. O Piotra ucieczce z Czupryni i pobycie u partyzantów przed paroma tygodniami opowiedziała jej wcześniej stara pani Czerestwienska. I o tym, że on, Paweł, go wówczas odnalazł i sprowadził z powrotem — również. Miała więc nadzieję, że i tym razem pomoże. Lecz kiedy kazała sobie po raz drugi opowiadać o wydarzeniu nocnym oraz nikłym śladzie na jaki natrafili (przedtem opowiadał już jej to Teodor Czerestwienski), zrozumiał, że wcale jej ono, to wydarzenie nie jest potrzebne; mówienie o Piotrze tak, oczywiście, ale nie samo wydarzenie, chce jedynie jego, Pawła, w nie wciągnąć; z chytryością, przebiegłością, też kobietom właściwą chce ponownie pogrążyć go w tamten odmet wywołujący nienawiść, żeby — w jej zamierzeniu — wzbudziła w nim (ta nienawiść) pragnienie odwetu, które być może kiedyś, w jakichś sprzyjających okolicznościach zwróci jej syna, jeśli zaś nie zwróci, to przynajmniej zapewni Piotrowi pomoc; bo ona już wiedziała od dawna, nawet przed przybyciem tutaj, że skoro wypadki potoczyły się tak daleko, jak się potoczyły i jej syn, chociażby biernie w nich uczestniczył, to jest on — jak w nocy słusznie zauważył Teodor — porwany przez ich wir bezpowrotnie i ona go nie odzyska wcześniej zanim on, Piotr, jej syn nie spróbuje się również w tej krwi zanurzyć, gdyż jest mężczyzną.

Lecz nim Paweł powiedział cokolwiek, jeszcze czas jakiś chwilę tę odkładał, myśląc o różnych innych odległych sprawach (świadomie wybierał teraz obojętne), błędząc wzrokiem po jej twarzy i postaci, i usiłując znaleźć to rodzinne podobieństwo do swego ojca, którego rysy zacierały mu się już nieraz w pamięci. Znowu przypomniawszy sobie scenę pogrzebu ojca. Przywiodła mu ją chyba przed oczy suknia stryjenki, czarna, obcisła, z zapięciem ukrytym z boku zwana *princesse*, u góry z inkrustacjami z koronek podszytych falbanką z *mousseline de soie*. Przypomniawszy sobie jakąś fotografię z dzieciństwa ojca i stryjenki. Zdawało mu się, że widzi ich oboje siedzących przy sobie na trawie, nad nimi zaś stojącą kobietę, która była ich matką, a jego, Pawła, babką, w śliskiej czerni jedwabiu, piękną, wiotką, tak jak obecnie stry-

jenka, choć teraz postać stryjenki zdradzała już coś zgaszonego i jak gdyby nie z tego wcale była czasu, staroświeckiego prawie, że pojął nagle dlaczego patrząc na nią oddalił się na moment ku tamtej fotografii i dlaczego w wyobraźni przypląnęła ku niemu epoka sukien do ziemi suto u dołu marszczonych, peruwiańskiego olejku, lawendy, mitenek i czarnych, rypsowych, wyzierających spod falban, trzewików. Potem ta przypomniana z fotografii chłopięca, a już męska postać ojca nałożyła mu się na postać Piotra, czy też odwrotnie: Piotra na postać ojca, i przykuwała na parę sekund jego uwagę, aż wreszcie utrwalone w ich rysach przez bliskość krwi podobieństwo rodzinne kazało mu znowu powrócić do natarczywego pytania stryjenki Małgorzaty, ale zrazu jedynie powiedział: „Nie jestem, stryjenko, przekonany, czy oni cokolwiek więcej wiedzą, niż nam powiedzieli. Oni przecież nie obawiali się posądzenia, że mieli coś wspólnego ze zniknięciem Piotra...”, choć z góry wiedział, że ona również o tym wie i że nie o to jej chodzi, iż wczoraj umknąć coś mogło jego i Teodora uwadze, a o to, ażeby on, Paweł Woynowicz, powrócił tam jeszcze raz, na ten nikły ślad i żeby poczuł tę nienawiść, która być może zaprowadzi go do jej syna i mu pomoże. Więc wpiersz powrócił i znowu z Teodorem Czerestwińskim stali naprzeciwko siebie w chłopskiej izbie w środku wczorajszej nocy, tego chłopca nie było pod ścianą, pod którą dopiero co uderzeniem w pierś go pchnął, zgrzyt noża na czymś twardym, napiętym (przypomnieli sobie ów zgrzyt dopiero później) poprzedził o sekundę lub dwie głuchy huk padającego ciała i już skoczyli w ciemność za chłopem.

Choć może to nie było wcale tak. Być może to tylko Teodor skoczył w drzwi za chłopem, a on, Paweł, uniósł lampę naftową wyżej i zrobił tych parę kroków dzielących go od drzwi, całkowicie panując nad swymi ruchami, kiedy bowiem próg przestał, Teodor już tam w środku był. Stał obok tamtego, dzwignającego z ziemi to coś, miękkie, pełne, jak szmatami wypchany worek i pomagał mu podtrzymać, a była to kobieta, którą kilka albo kilkanaście minut zaledwie wcześniej widział na postaniu, z ciałem nagim, pośniewającym od potu, gorącym i bujnym, przężącym się jeszcze, oddychającym wszystkimi porami skóry, gdy już przywierała do ściany cofając się przed jego wzrokiem, teraz zaś w sukni — bezwolnym, bezkształtnym, przelatującym przez ręce, jak bez kości i kręgosłupa. Lecz wpiersz zobaczył jeszcze prędki, zręczny ruch lewej ręki mężczyzny (w prawej trzymał nóż) jak rozsypał na zsiniałej szyi kobiety zaciśniętą pętlę sznura, potem posłyszał charkot, który i przedtem słyszał, gdy stali w sąsiedniej izbie, choć zdawało mu się, że nie dosłyszał, ale musiał,

bo gdy znowu posłyszał odstawivszy lampę i idąc do nich, wiedział, że jest mu dobrze znajomy. A potem te usta przemówiły. Były pełne śliny i języka. Język był poczerniały i wielki, i obracał się wolno, z wysiłkiem wypychając z ich wnętrza zdania krótkie: „Zabiją cię, Franek! Zabiją, gdy znajdą. Przeklećci! Żeby ich ziemia... pochłonęła! Że też ich wszystkich... nie wyrzeczali!”, zacinające się na każdym poszczególnym słowie.

Później ona leżała na wyrku, ciągle jeszcze rozmiękła, bezwolna, a oni stali nad nią bezradni, trochę ogłupiali. Te jej oczy były już szeroko otwarte, czarne od nienawiści, wzburzenia, a również przerażone i zaszczute, i narastający bełkot jej ust dalej unosił się ku nim: przekleństwa zmieszane z groźbami, jakieś wyjaśnienia, prośby, zapieranie się, znowu przekleństwa; narastający aż do krzyku w miarę, jak ciało jej nabierało życia i także zaczynało się unosić, jak gdyby w ślad za głosem. Lecz nagle męczyzna pochylał się, uderzył i przestała. Uderzył otwartą lewą dłonią płasko od ucha poprzez usta (w prawej wciąż trzymał nóż, którym odciął ją ze sznura) zostawiając na skórze kobiety biały podłużny ślad, i jej naznaczona, rozcięta jak gdyby bielą przez pół twarz od razu się uspokoiła, spokorniała i oczy spojrzały z wdzięcznością. Wtedy dopiero się odezwał. Nie był to już jednak tamten poprzedni, proszący głos chłopca, gdy stali jeszcze w sąsiedniej izbie. Bo teraz, kiedy szedł do skrzyni ustawionej pod oknem, otworzył ją i błyskawicznie wyrzucił z wnętrza począł to, co tam było nagromadzone, mówiąc „*Zaraz zaraz pane powim ona powi ja powim nic nie treba mówić nic my wszystko jak było powim zaraz zaraz pane*” tak prędko, jakby skandował, to ten jego głos był do końca pogodzony z tym, co winno było nieuchronnie nastąpić, choć tak Teodor Czerestwieski, jak i on, Paweł, przyszli bez broni — pogodzony, niewolniczy, zamroczony, ale ani proszący, ani łaszący się, ani nawet żałosny, spokojny jak gdyby, przyjmujący obojętnie wyrok (jak mu się zapewne zdawało) przez nich wydany, i przekonany z góry o jego słuszności, aż Paweł odepchnąwszy Teodora z tą brutalną siłą, jakiej nigdy by się nie spodziewał po sobie, doskoczył do chłopca depcząc po stosie wyrzuconej ze skrzyni garderoby, wśród której poznawał również rzeczy należące do kuzyna Piotra, chwycił go za ramię i bił zaciśniętą pięścią po twarzy, bił tak długo, aż głos znowu mu się zmienił i brzmieć począł, jak przedtem tam, w sąsiedniej izbie, z żalosną, psią pokorą wyduszany z trudem przez trzęsące się ciało. A później on, Paweł, powiedział jedynie: „Puść. Już nie trzeba” do Teodora Czerestwieskiego, który złapał go z tyłu za marynarkę usiłując obezwładnić, i dał mu się odprowadzić na bok. I słyszał także głosy: Teodora i chłopca na

przemian, tak jak je słyszał teraz, gdy powiedział do stryjenki Małgorzaty: „Oni nie obawiali się posądzenia, że mieli coś wspólnego ze zniknięciem Piotra”, zastanawiając się, czy nie popełnia omyłki, ale nie, nie mógł, gdyż słyszał te głosy zupełnie wyraźnie napierające na siebie nawzajem i szybkie, *staccato*: „Więc jednak byliście tam w czasie pogromu, Tomecki”, i zaraz: „Nie na boga mego, niech pan wierzy!”, i: „No dobrze, wierzę”, i zaraz: „To ona! Z głupoty, na boga mego! Jak tamci, co wszystko zrobili, odeszli, a oni przyszli, znaczyć się miejscowi, pane”, i: „Ale po co to wam było?”, i zaraz: „Trudno sia oprzeć na boga. Tyle dobra marnowało sia, pane”, i: „To żadne tłumaczenie”, i zaraz: „Na boga mego, jedni brali, drudzy brali, więc jakże? Ona odniesie, pane”, i: „A ty?”, i zaraz: „Ja w Nikoryczy był, pane, pan wi”, i: „Wiem. Ale nic ponad to nie masz mi do powiedzenia, Tomecki?”, i zaraz jeszcze szybciej: „Pan wi, ja nie, ale ona widziała go, znaczyć się panycza. W pałacu. Cała wieś go widziała. Cała wieś boi sia, pane. Bo on stał tam za plecami najstarszego pana. Stał tam, jak tamci jacyś odeszli, a miejscowi przyszli. Stał i śmiał sia, i nic nie mówił. I od tego jego śmiechu puciekali oni, na boga mego. Nikt go nie ruszył, prawdę mówię. Nikt by nie śmiał. Ale potem znowu przyszli jacyś inni, partyzany pewnie, i on z nimi zabrał sia precz. Nie wim gdzie, pane, niech skonam jeśli breszę. Róbcie teraz co chcecie, na boga mego, jej nie męczcie. Ona z głupoty, pane...”, aż Paweł poczuł jak skręca go żołądek od mdłości, już nie słuchał dalej, odwrócił się na pięcie i wybiegł na zatyle chaty.

Wdychając otwartymi ustami wilgotne, ochładzające się powietrze, zalatującą woń szczeżuj gnijących w martwej sadzawce za brogami, gorzkawą woń jaworowych liści, sieczki i siana, ugniatał dłońmi padolek do bólu tak długo, aż po pewnym czasie to coś mdlącego poczęło odpływać z gardła z powrotem w dół. Nie odwrócił się, gdy Teodor dotknął jego ramienia, a od razu ruszył naprzód słysząc za sobą: „Wiedziałem, przeczuwałem, że Piotr był w Czupryni” głos chłodny, opanowany, jednakże w głębi gdzieś drżący, lecz zapytał tylko: „Więc w końcu kto napadł na dwór, jeśli nie ba'ko Gawryluk? Niemcy? ROA? Zatem Niemcy? Tak?”, a Teodor Czerestwienski z zamyśleniem: „Jak Piotr mógł się tutaj znaleźć? Niepojęte! Czy z napastnikami, czy po nich? I w jakim charakterze?”, a wtedy on z szyderstwem: „To ona wieszła się z powodu paru szmat, które z dworu zabrała podczas pogromu?”, a Teodor zrazu nie odzywał się, dopiero za furtką tego chłopskiego obejścia: „Z rana chyba softys zacznie w imieniu tych i tamtych zwozić, co zrabowali”, tak że jeszcze raz musiał powtórzyć, bo myślał, że tamten pytania nie

dosłyszał, aż mu odpowiedział: „Nie. Myślę, że nie. W jakimś sensie, to Piotr jest przyczyną. Oni tutaj go widzieli i on też ich widział. Wycofali się, kiedy go spostrzegli. A wycofali się, mimo że był sam, rozumiesz? Pewnie pomyśleli, że dopiero teraz rozpocznie się to, co sądzili, iż pogrom zakończył”, a on na to: „Dobrze, dobrze, ale dlaczego ona się wieszła? Przecież połowa, czy nawet cała wieś poszła tam rabować”, już zniecierpliwiony, a Teodor: „Bo los właśnie do niej nas zaprowadził. Jeśli wkrótce nie wyniesiemy się z Czupryni na zawsze, oni ze strachu z dymem ją puszcza, aby tylko sami się w naszych oczach oczyścić. Myślisz, że nie wiedzą, że tu u niej byliśmy? I po co byliśmy? Dziesiątki oczu śledzi nasze kroki z ciemnych okien i słucha ich odgłosów. I dziesiątki tych, co się boją wie, że jesteśmy bez broni. Dlatego ich strach jest jeszcze większy. Ale los wybrał ją. Tak oni myślą. Los, nic nie rozumiesz?”.

Lecz później Paweł do stryjenki Małgorzaty powiedział jedynie: „Ciemny naród, o Boże, jaki ciemny naród! Sami się niszczą”, następnie zaś, aczkolwiek wiedział, że to ciągle nie to, o co jej chodzi, na co ona liczy, nie dodał od razu: „Znajdę go”, a zamilkł. Musiały upłynąć dwie, albo jeszcze trzy godziny. Musiał usłyszeć relację Teodora Czerestwińskiego, któremu znajomy, przybyły do wsi po furaz oficer z 55 węgierskiego pułku honwedów opowiedział, jak to do Białego Kamienia, gdzie stacjonowali, nadciągając zaczęły w poniedziałek niedobitki z nikoryckiej rzezi i rozpoznał w pewnej rannej kobietę czeladną z Czupryni, a ta poprosiła go, żeby dał znać Czerestwińskim, że ich najmłodszy był w czasie pogromu u Bazyliańców, on zaś (ów Węgier), kiedy później honwedzi wyruszyli do miasteczka i dalej za uchodzącym oddziałem Gawryluka, nie znalazł Piotra ani wśród żywych, ani martwych; i także musiał wysłuchać opowieści sołtysa, który przyprowadził do dworu furę z pośpiesznie oddawanymi przez wieś łupami, owej opowieści potwierdzającej pośrednio opowieść chłopca Tomeckiego, tak, iż Paweł zrozumiał, że najprawdopodobniej coś się stało, coś takiego, co kazało watażce wypuścić Piotra z rąk, skoro sam został w Nikoryczy i następnie odstąpił na południe, Piotr zaś w tym samym mniej więcej czasie znalazł się w rozbitym dworze czupryńskim przy trupie swego dziadka; a prócz tego była jeszcze relacja kobiety folwarcznej, która w poniedziałek o świcie widziała wysypujących się z ciężarówek na skraju parku napastników w mundurach feldgrau, a więc nie spod znaku tryzuba, ani halickiego lwa; i wreszcie zdać sobie musiał sprawę z faktu, że skoro już cała okolica wie, iż Czerestwińscy powrócili, to niemożliwe, ażeby Piotr o tym nie wiedział, jeżeli więc nie powraca, to albo nie może,

albo nie chce, mając w tym jakiś cel — wszystko to musiał usłyszeć, przemyśleć, rozważyć musiał wszystko, aby w końcu, już w obecności Katarzyny zdołał oczekiwane przez stryjenkę słowa z siebie wydusić: „Znajdę go. Niech stryjenka będzie spokojna”, zresztą wtedy ostatecznie przekonany, że tak czy owak nigdy nie wyplącze się ze spraw, które były sprawami Czerestwieskich, nie jego, nawet gdyby podeptał rodzinną solidarność nakazującą przyjść im z pomocą. Bo równocześnie zrozumiał także i to, że jeśli najście na Czuprynię przypisać należało Niemcom, to właśnie on je spowodował.

A między pierwszym i drugim śniadaniem, kiedy wrócił z folwarku po rozmowie z tamtą kobietą, zastał stryjenkę Małgorzatę z Katarzyną siedzące w pokoju Piotra i czekające na niego. Usiadł i powiedział: „Chyba zebrałem wszystkie informacje, jakie dało się w obecnej chwili zebrać. Jeśli Piotr był przez tydzień prawie w Nikoryczy, to widać Mikołaj Fiodorowicz przewidywał, co się stanie i sam go stąd do ojców Bazyljanów wysłał. Tutaj w każdym razie powrócił on dopiero po odejściu napastników. Potem przyszli nasi. Mówią, że jakiś oddział porucznika Hułłasa, i to pewnie oni go stąd zabrali. Tylko, że zapadli w lasy, trudno nawiązać z nimi łączność. Ale niech stryjenka będzie spokojna, znajdę go na pewno”. A wtedy Katarzyna podniosła się z krzesła. Jej twarz ukazująca mu się nagle w największym, nadnaturalnym zbliżeniu, piękna, nieruchoma, o szeroko rozstawionych ciemnych oczach i prostym nosie zachybootała na moment, jak na ekranie w białych rażących smugach światła; jej zaciśnięte, wydłużone, zwykle pełne wargi, teraz zwężone w tym zaciśnięciu, nie wyrażały nic, nawet zaciekawienia. Powolnym krokiem opuściła pokój przechodząc do sąsiedniego. Dopiero jednak później uprzytomnił sobie, że wcale nie dlatego, że właśnie tylko na te słowa, jakie wypowiedział, czekała i usłyszawszy je nie widziała potrzeby pozostawać dłużej, odwrotnie: ona obawiała się słów zupełnie innych, przyznania się do obaw z jego strony, których wypowiedzieć nie zdążył, nie mógł, albo w tej chwili nie zechciał.

Po jej wyjściu stryjenka Małgorzata zapytała cicho: „Ty wiesz, co Piotra łączy z Gawrylukiem? Jakie więzy?”, a na to on: „Wiem. Wszyscy wiedzą”, nawet nie z ociąganiem, ale z namysłem i oględnie, żeby jej nie zranić, a stryjenka: „Więc wiesz także, jak komentują chłopci fakt, że widziano ich w Nikoryczy razem?”, a on: „Bzdura! Wierutna bzdura! Któż stryjence takich głupstw naopowiadał? Katarzyna? Stryjenka najlepiej wie, że to nie może być prawdą”, a ona: „Wiem. Więc dlaczego Gawryluk, kiedy oni się tam spotkali, nie... go...”, a on: „Co, kiedy się

spotkali?”, a ona: „Dlaczego on Piotra nie zabił...?”, a wtedy on chwilę się namyślał (ciągle jeszcze mając w oczach tamten chłodny wzrok Katarzyny, zanim wyszła) i powiedział: „Sądzę, że Gawrylukowi nie chodzi o samych Czerestwianskich. Zapewne tylko o ludzi, których oni kochają. Tak było z Drugą Julią, z panią Ireną, tak jest z Kat...” i urwał, bo się przestraszył własnej myśli.

Stryjenka nie mówiła zrazu nic, w jej źrenicach przelewało się jakieś smutne światło. Dłonie złożone na kolanach zaciskały się, to rozluźniały, wydawało się, że odbiega myślami daleko, a patrzyła na drzwi, za którymi zniknęła Katarzyna. I on, Paweł, też tam patrzył. Wiele się mówi o przecuciu, ale on nie miał wówczas żadnego. To milczenie stryjenki i jej uporczywe zaparczenie w drzwi, kazały mu tylko na moment spojrzeć inaczej, niż dotychczas na małżeństwo brata, ścierając nagle z tego krótkiego epizodu w Aleksego i Katarzyny życie cały romantyczny nalot. Przez mgnienie oka oglądał w wyobraźni owo lato tysięcy dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku z okrutną wyrazistością, jak w powiększającym szkłe. Ów późny wieczór po gorącym dniu w tydzień po ogłoszeniu mobilizacji i odjeździe Aleksego do pułku. Ona mówiła o bezdomności niektórych istot i że są bezradne i bezbronne, zanim nie znajdą w kimś oparcia. Że dopiero wsparte przez kogoś drugiego uzyskują siłę. Przechadzali się w cieniu drzew, ona ledwo dotykając jego boku, z głową ledwie sięgającą ponad jego ramię, lecz wysoka i smukła tą smukłością nie kobiety, a młodzieńca, młodego mężczyzny jak gdyby. I silna i pełna uporu też tą siłą i uporem młodego mężczyzny, zdolnego do popełniania czynów szalonych, taka, jakiej jej przedtem nie znał. Na niebie tu i ówdzie sunęły chmury, w prześwitach zaś między nimi widać było niezmierzone obszary mętnoróżowe i szarobłękitne czegoś — w gruncie rzeczy już zanikającego — co prószyło w dół dziwną, prawie niewidzialną i prawie niewyczuwalną substancją, i co opadało bezszelestnymi drobinami suchej mgły na ich twarze i włosy. Szeleściły akacje, a tchnienie wiatru pachniało omdlewająco i gdzieś za dogasającym widnokrzem wyczuwało się inny świat. Przechadzali się dalej w pierzchającym świetle wieczoru, który obejmował wijące się kasztanowate włosy kobiety złocistą łagodną aureolą, bezboleśnie pograżając całą jej postać w nicość; jej twarz była podniesiona wzdornie, jeszcze bardziej w górę ciemnym, niezgłębionym spojrzeniem i dalej mówiła niezrozumiale o sile czerpanej z oparcia o kogoś drugiego, kto jest silny z samej swej natury, o sile, która pozwala oprzeć się agresywności świata. A potem wielki

księżyc w kolorze heliotropu zawisał nad parowem i nad wiejskim krzyżem przy drodze rzucającym wyciągający się ku nim złowieszczy cień (choć jeszcze nie było nigdzie, pod żadnym niebem mogły Aleksego), i później w dłoni wspartej na swoim ramieniu, gdy zaczęła ciążyć coraz bardziej, wyczuł cierpienie i omdlenie zarazem, a ona szepnęła, jakby do siebie: „Dlaczego on musiał odejść. Dlaczego to tak musiało się stać, że on musiał odejść właśnie teraz...?”. Lecz owo omdlenie było jeszcze pełne twardego zdecydowania, bo wierzyła, że Aleksy wróci. A teraz Pawłowi precyzyjnie się do głowy pytanie, czy ona być może nie wyszła za jego brata jedynie dlatego, ponieważ domyśliła się uczuć, jakie ojciec Piotra prawdopodobnie do niej skrycie żywił i że chciała albo musiała z Czupryni uciec. Ale pozostawił je bez odpowiedzi. I z kolei pomyślał o Piotrze. W tym momencie jednak drzwi znowu się otworzyły, Katarzyna powróciła do pokoju, usiadła w fotelu i znowu spojrzała, jak przedtem, chłodno. I pomyślał, że poza chłodem jej oczu, poza tą spokojną twarzą kryć się przecież muszą myśli o twarzy Piotra, tak podobnej do twarzy jego ojca, a także wszystkich twarzy żyjących i nieżyjących Czerestwienskich i Woynowiczów (twarzy jego własnego, Pawła ojca, stryjenki Małgorzaty, Aleksego, a także jego, Pawła, twarzy) upodobnionych do siebie przez wspólny zczyn krwi; i że myśli Katarzyny w tejsze chwili właśnie, w sytuacji, w jakiej kuzyn się znalazł, nie mogą być ani spokojne, ani chłodne, nawet jeśli to, co ją z Piotrem łączyło, było niczym; i poczuł niepohamowane pragnienie, jakąś straszliwą potrzebę przeniknięcia olbrzymim napięciem woli na parę sekund chociażby przez jej spokojną twarz w głąb myśli, aby ujrzeć twarz Piotra, o którego obecności w nich wiedział, jak i to, że owa obecność rzucać będzie na niego, Pawła, zawsze cień, przed którym nie podobna uciec. Lecz stryjenka Małgorzata odezwała się już znowu: „Zostawiłam w domu chorą Konstancję. Nie mogę dziecka zostawiać samego, muszę wracać. Nie wiem, kto doprowadzi to wszystko z Piotrem do końca...”, a Katarzyna odpowiedziała z tą śpieszną, bezgraniczną cierpliwością: „Paweł doprowadzi wszystko do końca, stryjenko. Proszę się nie lękać. Poza tym ja zostaję...”, a stryjenka wtedy: „Nie. Ty w Glebach nie zostaniesz. Pojedziesz ze mną”, a Katarzyna: „Nie. To w Glebach, stryjenko, jest mój dom”, a stryjenka: „Znajdziesz go tak samo u mnie. Dobrze wiesz, że nie będę cię nakłaniać do spotkania z twoją matką. Będziesz u mnie, tam jest bezpieczniej, niż tutaj...”, a Katarzyna raz jeszcze: „Nie, stryjenko. To tu jest mój dom. Zostaję” głosem czystym, nieczułym, jednobrzmiącym, pewnym i z nieustępliwością, jaką winien był przeczuć dawno, już kiedy przywieziono

wieść o zagładzie Czupryni i później, kiedy nie znaleźli Piotra, a przynajmniej przed chwilą, kiedy jej oczy spoglądały na niego tak spokojnie, chłodno, bez żadnego nacisku, choć jasnowidząco. Więc potem nie musiał wcale myśleć o przeniknięciu do jej myśli, aby ujrzeć twarz kuzyna; w ogóle na nią nie spojrzął, wiedząc, że jeśli spojrzy, wszystko, co skończyło się niedawno w ciemności ostatniej, razem z nią spędzonej nocy, znowu się zacznie i znów wstrząśnie nim przeklęty, zdradziecki, mącający, niszczący pokój między nim a Piotrem szok, i wstał, i powiedział: „Tak, ona zostanie, stryjenko. Nikt krzywdy nie da jej tu zrobić. Ja Piotra naprawdę odnajdę”. A wówczas Katarzyna, też na niego nie patrząc: „Tak, odnajdziesz go” powiedziała, choć nie musiała wcale, obiecał, a on ponownie: „Tak” na to, a ona: „Tak, zwłaszcza, że nie zawsze byłeś w porządku” w chłodnym, zamierającym ściszeniu, a on ostatni raz: „Tak” szeptem, tylko wtedy, w tym jednym momencie naprawdę wierząc, że mu się to uda.

Tejże jeszcze nocy spłonęła we wsi jedna z zagród. Nie była to jednak wcale zagroda wdowy Petrysowej, jak zapowiadał Teodor Czerestwienski, a sołtysa, któremu (Paweł był przekonany) nie można by nic zarzucić. Mężczyźni wypadali z cerkwi na majdan do ogradzającego ją płotu, otwartymi ustami brali w płuca powietrze i postękiwali głucho, jak gdyby nigdy jeszcze nie widzieli ognia, ani śmierci. Paweł myślał: „Może to nic nie znaczy, może to przypadek. Dzień był gorący, ktoś zaproszył iskrę i pożar gotowy”. Lecz nie powiedział tego głośno. Nikt nie powiedział głośno nic więcej nad to, że się pali, i gdzie. Nawet ci, którzy pobiegli pomagać w gaszeniu. Ogień grzmiał dźwiękiem donioślejszym, niż głosy ludzkie i o wiele bardziej określonym. Gdy po panichidzie wracali z cerkwi do dworu, a dym po pożarze zanikał, na pogorzelsku miotała się wciąż jeszcze rodzina gospodarza, grzęznąc wśród zwęglonych belek i rozgrzebując popiół. I oni nie mówili nic. Nawet, gdy rano nadjechali żandarmi, a po paru godzinach patrol Niemców, którzy rzadko kiedy interesowali się spalaniem całej wsi, a cóż dopiero pojedynczej zagrody. I nawet, gdy rozpoczęli śledztwo. I dlatego później Paweł wyznał Teodorowi Czerestwienskiemu wszystko, czego wyznać nie mógł wówczas, kiedy jeszcze ciało Mikołaja Fiodorowicza znajdowało się tam na parterze w balowej sali. Że jeśli wykluczyć z udziału w najściu na Czuprynię bat'kę Gawryluka, a napastnikami mieliby być Niemcy, to w jakimś sensie on, Paweł, tu ich sprowadził. Ów pogrom spowodował. A więc i śmierć Mikołaja Fiodorowicza. I wtedy: „Kłamiesz” powiedział Teodor Czerestwienski i natychmiast: „Tylko nie wiem w jakim celu”. Właśnie tak to powiedział — prędko, jednym tchem, jednym

dźwiękiem, przecinając przez pół jego, Pawła, wyznanie tak, jak to jest z nagłym snopem światła, które rozpołowi mrok. Paweł czekał cierpliwie, czy tamten słowa swe powtórzy. Nie, nie powtórzył, a stał pełen napięcia i już w jego twarzy nie malowało się zaprzeczenie, ani niedowierzanie, zdumienie zresztą również nie, lecz coś, co było wyrazem litości i także czegoś w rodzaju uznania, że on, Paweł, ma w sobie jeszcze tę odwagę, ażeby o tym mówić. Aż milczenie Teodora zaczęło krzyczeć i zbyt przepełniło pokój, by mogli to obaj znieść. Więc w końcu Paweł je przerwał. Ta odwaga naprawdę w nim była. I odpowiedział, że przed paroma tygodniami, kiedy omawiał z Karpatką pewien zbrojny wypad do Łoszakowskiego zaścianka, to był tak karygodnie nieostrożny (zaabsorbowany swymi podejrzeniami o Katarzynę też, wspominał o tym, choć nie dlatego, żeby się usprawiedliwić) i lekkomyślny, że zdobyte z pociągu pod Meleczem przez ludzi Laudańskiego granaty, przechowywane w Glebach, polecił Karpacie przewieźć do Czupryni, nie zwrócił przy tym uwagi na kręcącego się na gorzelnianym placu szpicla Antypkę. I to jeszcze opowiedział, jak bardzo pragnął, aby okazało się, iż poniedziałkowa zbrodnia, to Gawrylukowe dzieło. A w miarę, jak mówił, Teodor Czerestwiński, jak gdyby się rozprężył — nic z twarzy, nic z oczu, twarz i oczy były jak przedtem: żal, litość, nieokreślone uznanie, wszystko zmieszane razem, ale jego ciało pod luźną alpagową marynarką zwiotczało znużeniem i bezradnością. Wówczas za niedociągniętą na okno do końca zasłoną zaróżowiło się. Choć właściwie to dużo wcześniej. I dużo wcześniej zauważyli. Tylko że nie przerywali sobie, Paweł wyjaśnień, Teodor cierpliwego słuchania. Potem jednak ciemne niebo, wierzchołki drzew, wszystko to stanęło w odbłasku ognia i Teodor Czerestwiński przemógł się. Podszedł do parapetu, szerzej odchylił zasłonę i wyjrzał na dwór. Powiedział z rezygnacją: „Znowu płonie we wsi. Drugi dzień z rzędu. A i tym razem nie zagroda wdowy Petrysowej”, jak gdyby tamten długi jego, Pawła, monolog jeżeli w ogóle przeniknąć zdołał przez mieszaninę żalu z litością, to nie został uznany za wiarygodny, ani godny uwagi. Wciąż patrzył jedynie na łunę pożaru. W oczach nie miał nic więcej nad tę daleko rozlewającą się łunę i zamyślenie nad nią, więc Paweł przytaknął mu cicho: „Tak, już drugi dzień z rzędu. Wszystko, co tu się dzieje, dzieje się według innego zupełnie szyfru, niż ten, do którego wydawało nam się, że znaleźliśmy klucz. Tak będą podpalać się wzajemnie i jutro, i pojutrze, i nigdy nie będziemy wiedzieli na pewno — dlaczego. Może jesteśmy obcy”, i wyszedł z pokoju.

Po omacku ciemnymi schodami udał się na górę, zabrał pisto-

let (którego tym razem Teodor nie wyjął mu z ręki mówiąc „To niepotrzebne”, bo pozostał u siebie, zapatrzony w rudy odbłask i zamyślony), a potem znowu po omacku zszedł na dół i skierował się do wsi, mimo że wcale nie musiał tam chodzić, ażeby się dowiedzieć. To płonął futor rodziny Tomeckich. Zobaczył, kiedy tylko wspiął się na szutrowisko przeciwległej ściany parowu i stanął na wzniesieniu. Mimo to jednak poszedł tam, wmieszał się w ten tłum, który nie chciał go dostrzec, który ani się nie rozstępował przed nim, ani nie zwierzał za nim, gdy szedł, i odważnie zbliżył się do pożaru, bo chciał to wszystko widzieć z bliska. I patrzył, i widział. Przez dobry kwadrans, albo i więcej. Stał wśród ludzi, którzy jego nie widzieli, aczkolwiek on ich widział dobrze, ścisnął w kieszeni pistolet naprawdę tym razem niepotrzebny i nie ruszał się. Oni, ci ludzie miotali się wśród chruściaków i zabudowań, jak kłębowisko glisid wywleczonych przez ulewę na środek drogi, zaskoczonych tam nagłą suszą i tą suszą poskromionych. Nie było w nich ani krzty siły. Nawet, gdy ocierali się o niego przebiegając, nawet gdy go potracali, też nie było w nich siły. Ani odwagi. Więc nie mogli go widzieć. Aż zbliżył się do niego jakiś staruch. On widział go; przypatrywał mu się przez chwilę nie badawczo nawet, ale otwarcie. Potem dotknął Pawła ramienia dłonią i głosem spokojnym powiedział: „Pane”. Twarz miał równie spokojną, jak dłoń i wzrok, tylko że był w jego twarzy ten sam smutek, z jakim w swoim gabinecie na łunę spoglądał przez okno Teodor Czerestwienski. „Pane”, tak powiedział ten stary chłop, „Lepiej wy idźcie stąd, pane”. Po chwili zaś wskazał na dwór: „Lepiej, żeby państwo Czerestwienscy uszli stąd jak najprędzej. Powiedźcie im to, pane”. I pomilczawszy trochę, dodał już po ukraińsku: „*Wtikajte, bo was pomordujut...*” i zamilkł na dobre. Więc wtedy Paweł odliczył tylko jeszcze uderzenia bijącego właśnie na cerkwi zegara, myśląc: „Teraz naprawdę pora na mnie. Rano trzeba wyjechać z Czupryni. Rano. Ani chwili tutaj dłużej” i wycofał się od pożaru.

Teodor Czerestwienski nie zadał mu żadnego pytania, jakby wcale nie zauważył przedtem jego odejścia, potem zaś przyjsia i, jakby w ich rozmowie nie nastąpiła najkrótsza nawet przerwa. Ocknąwszy się z zamyślenia powiedział: „Być może się nie mylisz. Być może napad na Czuprynię zawdzięczamy Niemcom. Ale w jednym ze schowków piwnicznych te granaty, o których mówiłeś, leżą nietknięte. A inna broń, którą przechowywał tu u mego ojca Laudański, także jest. Niemcy by zabrali. Ci zaś co tutaj byli, nawet nie szukali czegokolwiek. Nie można więc wykluczyć, że popełniasz pomyłkę”. Paweł jednak nie poczuł w tej

chwili żadnej ulgi, nic. Więc później, gdy Teodor Czerestwien-
ski mówił o śmierci ojca, o ostatniej miłości starego człowieka,
może zgola irracjonalnej, ale za którą chyba właśnie zdecydował
się dać głowę, płacąc równocześnie za wszystkie winy ich, Woyno-
wiczów, i im podobnych ludzi, a on, Paweł, mu przerwał, że kto
jak kto, chłopci przecież Mikołaja Fiodorowicza nie wykończyli,
„Już to zdołaliśmy uzgodnić. Dlaczego pan, u licha, do tego po-
wraca?” mówiąc prawie ze złością i zapadło milczenie, Teodor
bowiem nie dodał nic, to wtedy zaczął myśleć o tym, co tamten
nazwał winą. O tym wszystkim niejasnym, ciągle jeszcze wymy-
kającym się ocenie, co jak tłąca się iskra po iskrze rozżarzało
przez lata ogień, aby buchnął teraz pożarem, o czym tak spokoj-
nie miał odwagę mówić mu człowiek bez przynależności do ja-
kiejkolwiek ziemi, z urodzenia Rosjanin, przynajmniej w połowie,
z wychowania Niemiec, z miejsca zamieszkania Polak, jednym
słowem nikt, człowiek którego nie obciążało już nic wobec kogo-
kolwiek, bo za winy własnych przodków zapłaciła jego rodzina
przed dwudziestoma paroma laty w czasie rewolucji. I myślał
o słowach Teodora, że: „Może nie wolno stąd odchodzić, rozłą-
czać się z tą ziemią, rzucać jej, potem znowu, kiedy to jest
wygodne do niej powracać”. I że: „Może trzeba trwać tu niezależ-
nie od tego, co los gotuje, nawet gdyby to był grzech i nawet
gdyby ta ziemia była od ludzi i Boga wyklęta”. A później o Pio-
trze. Że jeśli kuzyn przeżył ostatnie dni, jeśli trwa gdzieś w ukry-
ciu zaszty i czeka na coś, co tylko jemu jest wiadome, to widać
rozważył swą decyzję, uzasadnił ją sobie i to uzasadnienie musi
być głębsze niż jego, Pawła, bo nie jest tak jak on, Paweł, zwią-
zany z tymi stronami i tą ziemią. I czuł żal, nawet zazdrość.
W pewnej chwili powiedział niegłośno: „W każdym razie ja
nigdzie się nie ruszam, zostaję. Nie znajduję, przynajmniej w tej
chwili, żadnego logicznego uzasadnienia dla tego, żeby nie pozo-
stać”, choć nawet dla niego samego nie zabrzmiało to zbyt pew-
nie. Tylko że Teodor Czerestwiencki nie poruszył się, może
w ogóle nie usłyszał. Potem Paweł zasnął na krótko, lecz twardo.
Nie miał żadnych snów i gdy się ocknął, był pokrzepiony. Pod-
kurczył nogi, ostro podciągnął się cały w fotelu i spostrzegł, że
tamten, klęcząc na podłodze, wciąż jeszcze segreguje i upycha
te różne papiery rodzinne do skrzyń stojących pod ścianą szere-
giem. Przez chwilę z zimną uwagą obserwował ascetycznie suche
rysy Teodora wyostrzone niedostatkiem snu i jakąś wewnętrzną
gorączką. Wyraźnie słyszał w sobie słowa: „On też by został.
Tak. Ale nie znajduje dla takiej decyzji racjonalnego uzasadnie-
nia. Bo on to już ma za sobą. Przeżył dwadzieścia parę lat temu
w Rosji, kiedy był chłopcem. I teraz nie chce ponownie. Nie

jest jeszcze dostatecznie stary, żeby znowu kochać jak zwykle kochają tylko bardzo młodzi i starzy ludzie. Nie wiedząc za co się kocha. Choć może do tego kiedyś dojdzie. Za lat dwadzieścia, lub trzydzieści. Jeśli dożyje wieku Mikołaja Fiodorowicza. Stanie kiedyś w oknie, spojrzy na ten nędzny, zakrwawiony skrawek rozciągającej się przed nim ziemi, słuchając nie milknącego i nie mogącego zamilknąć jęku katowanych mężczyzn, szloch zabiedzonych kobiet, głodnych dzieci, tych wszystkich śniących o wolności od pierwszych swych dni, aż do ich kresu. Stanie, popatrzy, posłucha zacinając zęby, żeby własny jęk i szloch zdusić w sobie. I choć mu się on wyrwie, bo będzie odeń silniejszy, powie: „Zostaje. Cokolwiek się dzieje, cokolwiek się jeszcze zdarzy — zostaje, nie odchodzę, nie uciekam”. Powie tak, nawet gdyby przed sobą samym nie potrafił przyznać się, że to miłość do tej ziemi”. Potem pomyślał o człowieku pozbawionym oparcia, jakie dawały mu dotychczas stare prawa, tradycja i obyczaje. Że stanąwszy nagle przed rozpadającym się światem (nad którym już nawet cień Boga przestał się unosić), by spróbować raz jeszcze znaleźć odpowiedź na pytanie o istotę rzeczy, musi czuć się bardzo zagubiony, a jeszcze bardziej — samotny. Miał jakieś złe przecucie. Może perspektyw własnego losu? Ale przecucie to strząsnął z siebie ze złością. Poruszył się hałaśliwie i chrząknął. Odezwał się: „Czy wie pan, że Piotra pan stracił?”. Teodor Czerestwiński zatrzasnął szybko i głośno jedną ze skrzyń. Ale odpowiedział cicho, jakby się bał, że ktoś ich podsłuchuje: „Zapewne Piotr wie więcej ode mnie. Albo nie wie nic. Ale może w takich wypadkach w ogóle nie trzeba wiedzieć cokolwiek”. Drgnęły mu ramiona, gdy w oddali załomotało parę wystrzałów. Odgłosy były przytępione, nadlatywały z przeciwnej strony, niż wieś. Widać zbliżał się świt i ukraińscy żandarmi rozpoczęli z Niemcami nową obławę. Paweł wstał, podszedł do okna i odchylając zasłonę wyjrzał. Drzewa rysowały się na pojaśniałym niebie ciemne, bez śladu odbłasku pożaru. W twarz wionęło mu wilgotnym, parującym ciepłem.

III

O świcie odjechał. Obudził się wraz z pierwszym słońcem i odszedł (jakby odchodził na parę minut zaledwie), najzwyczajniej odjechał nie żegnając się z nikim, ani ze starą panią Cze-

restwienką, ani z Teodorem, ani nawet ze stryjenką Małgorzatą. Odszedł, odjechał tak najzwyczajniej, jak przedtem po powrocie ze wsi od pożaru siedział był w fotelu i, chwilami podrzemując, wiódł przerywaną rozmowę z Teodorem Czerestwienkim, a potem bez skrępowania zasnął na dobre i spał nie zmieniając ani raz pozycji, z podciągniętymi, podkulonymi nogami, skurczony i zgarbiony, z twarzą pochyloną do przodu, wciąż jak gdyby zasłuchaną w kroki krzątającego się opodal mężczyzny, w cały ten rytm pakowania, w szelest papierów, stuk brązów i sreber, w jęk rozpychanych waliz i kufrów, w własne i tamtego myśli, tak podobne do siebie, że stawały się nieomal dosłyszalne, wokalizowały się jednogłośnie w stężonym, dusznym powietrzu pełnym kurzu i ciągle jeszcze uchwytnego swądu spalenizny, w którym ich oddechy, jego, posypiającego i tamtego, czuwającego, też były stężone, duszne i z lekka przyspieszone. Po prostu, gdy obudził się równo z pierwszym słońcem, gdy wstał z fotela i zauważył, że jest sam, od razu wysunął się z gabinetu na palcach nie chcąc niepokoić Teodora Czerestwienkiego (który zapewne położył się w sąsiednim pokoju dopiero niedawno, gdyż wciąż jeszcze dym jego papierosów uchodził powoli ku oknom) i poszedł do pokoju Piotra, rozłożył na części sztucer, zapakował w pokrowiec, a potem pozbierawszy swoje rzeczy, zgarnął je do parcianego węzełka, zawiązał rzemień i wymknął się z czupryńskiego domu. Doświadczył uczucia, jak gdyby nigdy nie miał zostawionych tu ludzi więcej zobaczyć. Ale to nie powstrzymało go nawet na chwilę. Był i tak już ogromnie spóźniony ze wszystkim, co powinien obecnie czynić, powinien się śpieszyć. Lecz gdyby patrzył na niego ktoś z góry, widziałby, że idzie krokiem sprężystym jedynie i pewnym, natomiast wcale nie śpiesznym; w stajni, gdy siodłał Tamarę i zapinał kantar, jego ruchy też były nie śpieszne, a opanowane i dokładnie wymierzone. Dopiero znacznie później, już kiedy Tamara z rozdętymi chrapami ruszyła naprzód w tempie rosnącym stopniowo do cwału, to wtedy dopiero by zrozumiał, że w całym jego, Pawła, zachowaniu był pośpiech od samego początku, tylko że hamowany, przytający, jak gdyby właśnie bał się, że może być skądś obserwowany, a nie chciał się z pośpiechem swym zdradzić. Ale nikt go nie obserwował. Ani z okien, ani na pustym dziedzińcu folwarcznym, ani nawet od strony wsi. A potem był las i wkrótce się weń zagłębił. I wydało mu się, że wie dobrze dokąd się śpieszy, przecież słyszał w sobie ciągle jeszcze głos, który tylokrotnie w nim się odzywał, coraz natarczywszy: „Powiniennem wracać do Gleb. Tu nic po mnie. To wszystko sprawy nie moje, a Czerestwienkich. Powiniennem jechać najpóźniej rano”.

A właśnie było rano. Pędził przez Motrenieński bór właśnie w stronę Gleb, tamten głos swój słysząc nadal wcale nie cichnący. Lecz potem posłyszał również inny, nie własny. Dotarł do niego z owego miejsca, w którym przedwczoraj siedział naprzeciw stryjenki Małgorzaty w chwili, kiedy Katarzyna powróciła z sąsiedniego pokoju i powiedziała: „Odnajdziesz Piotra...”. Dlatego w połowie drogi powściągnął Tamarze wodzy, zboczył stępa na rozległą haliznę nad strumieniem i zsunął się z siodła. Jeszcze niczego nowego nie postanowił, po prostu zsiadł, podprowadził klacz pod drzewo, luźno ją wiążąc, żeby naszczypać sobie mogła trawy i w miejscu odsłoniętym, nagrzanym przez słońce, wyciągnął się na wznak. Białe obłoki miały wolno. Było cicho, po rozszczepionych konarach biegła, jak płomienista smuga, wieiórka, ale i ona wkrótce przepadła. Głosy słyszane w czasie jazdy nie odzywały się w nim więcej, nie pojawiały się też żadne obrazy. Widząc wśród trawy kępkę rozkwitłej po raz drugi tego roku hołowinki, przyłapał się na myśli o opasłym, w płótno oprawnym zielniku prowadzonym dawno temu wraz z bratem Aleksym, kiedy jeszcze był mały. „Centaurea iacea” szepnął i dźwięk ten zabrzmiał, jak pochodzący z innego świata. Czuł, że południe będzie gęste, duszne i uciążliwe. „Jak w trzydziestym dziewiątym roku” powiedział głośno. Właściwie jednak głowę zaprzętał mu chyba w tej chwili tylko głód. I to, że nie prędko ów głód zaspokoi. Po pewnym czasie wolno dzwignął się z ziemi, odroczył od siodła węzełek ze swoimi rzeczami i poszedł nad strumień. Przykucnąwszy, w lustrze wody zobaczył twarz wyczerpaną, lecz spokojną. W zamyśleniu długo tarł dłonią kłujący zarost; zanim skończył golenie, kilka razy się zaciął. Potem wepchnął klaczy wędzisko z powrotem do pyska i odwiązał ją od drzewa. Ale nie skierował jej teraz ku drodze, a poprowadził naprzeciw przez las w stronę przeciwną niż przedtem, w ogóle przeciwną, niż z rana zamierzał. Potem jechał godzinę, albo więcej. Czasem wydawało mu się, że nie jest sam, że równoległe z nim, osłonięty zaroślami przedziera się przez las ktoś jeszcze, ale dźwięki, jakie dochodziły do jego uszu, nie wiele miały z odgłosami kopyt końskich czy ludzkich stóp, wspólnego. Aż dotarł do duktu.

Chociaż nie wyszedł mu tutaj naprzeciw żaden dźwięk, prócz tych wszystkich, które nie mogły nie być zwykłymi dźwiękami kniei, zatrzymał się. Wciąż osłonięty gałęzmi słuchał dość długo, potem dopiero zsunął się z klaczy i prowadząc ją za uzdę wkroczył w otwartą przestrzeń. Szedł prawie nieuważnie, ale nie czynił żadnego hałasu. Koń też nie. Mimo to niewiele więcej niż dziesięć metrów przed przeciwległą ścianą zieleni posłyszał

ten cichy, charakterystyczny szczełk, na który jak gdyby czekał. Przystanął dopiero, gdy rozległ się krzyk: „Stój!”. Tylko że nie był on ku jego zdumieniu krzykiem naprawdę, raczej wołaniem, w którym kryło się nieufne pytanie.

Nie ruszył się, tylko mięśnie miał naprężone i gotowe do skoku. Chwila czekania była na tyle długa, że poczuł w łydkach pulsujący szybko ból. Wreszcie posłyszał: „Ty kto?”. Ale nie odpowiedział patrząc w miejsce skąd szedł głos tak uparcie, aż w końcu zobaczył pomiędzy liśćmi oczy; same oczy nic więcej. Ani czoła, ani twarzy. I że są ciemne, nieco wyłupiaste. Dopiero potem, nieco z boku i niżej, ujrzał jeszcze coś, niby metalowe oko, lufę karabinu. Więc, gdy ten głos stamtąd powtórzył: „Ty kto?”, tym razem natarczywiej i głośniejsze, pomyślał, że odezwanie się owego człowieka po polsku nic nie znaczy, mógł być równie dobrze Ukraińcem, jednakże odpowiedział mu i to także po polsku: „Jadę do gajówki na Perczaty”, a głos po krótkiej przerwie zapytał, właściwie zaś powiedział: „Na Perczaty... ho... ho... Po co do gajówki na Perczaty...”, jak gdyby odpowiedź wcale nie była potrzebna. Mimo to znowu mu odpowiedział: „Czy ja pytam, po co w krzakach siedzisz i celujesz do mnie? Na Perczaty, moja rzecz!”, a wtedy milczenie zapadło dłuższe, niż uprzednie, po którym tamten, jak gdyby jeszcze nie będąc pewny, już namyśliwszy się, powiedział burkliwie: „*Czort z toboju!* Zjeżdżaj na prawo. Tu na Perczaty nie przejeździesz. Jeśli nie chcesz dostać po głowie, zjeżdżaj w bok. Na Perczaty powiada! Mądrala! Szkoda z wami howoryty!” i to metalowe oko poniżej tamtych, żywych, czarnych, wyłupiastych cofnęło się między liście. Więc dosiadłszy klaczy cmoknął i pokłusował skrajem lasu w prawo, nie oglądając się za siebie. Nic się nie stało. Tylko pogłos kopyt bijących w pulchną glebę rozchodził się głucho. Dopiero po kilometrze albo i więcej, obejrzał się na krótko. Też nic się nie stało; kłusował na odkrytym terenie wzdłuż duktu zupełnie samotnie. Wreszcie przyhamował. Zmienił kierunek na obrany wcześniej: znowu w linii prostej na przełaj przez las. Już nie było dlań ważne, co się stało, ani co stać się mogło. Okolica zdawała się bardzo cicha, zbyt cicha — o tym myślał. Potem teren podniósł się przerzedzonymi z drzew wzgórzami i poza nimi opadał w parów.

Dnem parowu biegła droga, drogą jechał wóz chłopski ciągnięty przez parę wyleniałych koni pokrytych, niby mąką, kurzem, a poganiał je nie stary, ale i nie młody mężczyzna bez marynarki, w bawełnianej koszuli wyłazającej na spodnie, niegdyś białej zapewne, teraz zaś szarej i poplamionej, i kiedy on, Paweł, począł zstępować ze zbocza w dół, przecinając mu drogę, zoba-

czył, jak na jego widok twarz mężczyzny okolona rudym zarostem posklejanym skrzepłą krwią, nagle stężała i jak gdyby cofnęła się. Dotykając palcami czapki powiedział do mężczyzny niegłośno: „*Stawa Bohu. Wy z widki? Szczo wy tam robyte?*” i wskazał w stronę skąd tamten przybywał, a oczy zatrzymanego (w tej stężalej twarzy również zamarłe, stężałe) poruszyły się, obiegiły jego postać od dołu do góry i padła polska odpowiedź: „Tam strzelają. Niech pan, na Boga miłego, nie jedzie tam, panie Woynowicz” wypowiedziane głosem, który brzmiał, jakby z wysiłkiem unosił się wzwyż z dna wyschniętej doszczętnie studni. Paweł powiedział: „Ja na Perczaty, do gajówki. Chyba zbłądziłem”. Słowa mężczyzny, że gdzieś strzelają dotarły doń, niby przez mgłę; nie słyszał nic prócz tego, że górą nad krawędziami parowu las szumi tak monotennie, jak zwykły szumieć nawet, gdy nie było wiatru i że w tę ciszę ledwo dosłyszalnego jego szumu wmieszało się chrapnięcie któregoś z zaprzęgniętych do wozu koni, a potem, że chrapnęła również Tamara. Aż mężczyzna znowu się odezwał: „Jak pan uważa, panie Woynowicz. Przestrzegalem”, po krótkim zaś namyśle: „Na Perczaty pan powiada? To trzeba jechać tą oto drogą wprost do duktu, tam przez strumień w lewo, no i jest pan w gajówce”, a jego ostatnie słowa stopiły się już w jedno z porywczym chłaśnięciem bata, chrobotem osiek i czymś w rodzaju stęknięcia, jakie wydały z siebie, kiedy konie targnęły do przodu, naprężające się, aż do oporu gawęże chomąt.

I znowu nie było nikogo. Dopiero, kiedy blade kurz zwolna opadł, Paweł zauważył, że środek drogi oznaczony jest rzadkimi śladami kół wozów, licznymi odciskami podków koni i ludzkich obutych oraz bosych stóp. Zauważył także biegnące środkiem podłużne szlaki rozmielonej przez opony motocyklowe ziemi. A potem, że w okolicy panuje tak absolutna cisza, że nawet ptaków nie słyhać. Ruszył we wskazanym przez mężczyznę kierunku i w jakim one, ślady opon prowadziły, a po dziesięciu lub piętnastu minutach, gdy droga skrzyżowała się z duktem, zjechał z niej w bok. Podłużne ślady też w tym miejscu zjeżdżały w bok i już była dróżka i wspomniany mostek przez strumień. Dowiodły go aż do samej gajówki. Tylko że jej niskie zabudowania na środku polany były zanadto spokojne i zanadto opustoszałe, żeby nie powstrzymało to od razu Tamary. Mimo że nie przyciągnął jej wcale wody. A po chwili zastrzygła uszami, ostro skręcając szyję i wtedy spostrzegł był w poprzek ścieżki przez sad wiszącego na gałęzi gruszy starego człowieka, którego bosa stopy zwisały do ziemi prostopadle, białe i ściekające jeszcze czymś jasnym kropla po kropli. I smyrgnął błyskawicznie z siodła

w dół, klacz zaś dała szczupaka między osiki. I pochylony, skacząc jak żaba, pognął do płotu i przez sad, słysząc daleko w lesie, czy może za lasem nawet, strzał jeden, zaraz po nim drugi (nie zatrzymał się), a później przez ścianę, uchodzący w głąb gajówki szloch albo coś w rodzaju psiego skomlenia, wybrzmiewający aż do zupełnego zamilknięcia, tak że zrazu zrobiło się cicho niby makiem zasiał, jeszcze zaś później, kiedy wdrapał się na przychacie próbując odemknąć okiennicę (choć nim tego dokonał, już sama rozwarła się z głuchym łoskotem), to prosto na niego spojrzały stamtąd z dołu, znad podłogi oczy kobiety leżącej płasko w kałuży krwi. Ale był to ułamek sekundy najwyżej. Natychmiast oczy te zaczęły uciekać przed jego wzrokiem, błyskając samymi białkami i uprzytomnił sobie, że tors kobiety unosi się na łokciach i próbuje cofnąć (była prawie naga, suknię miała pociętą w strzępy i paski, jak gdyby ci, co ją oćwiczili, miast batoga użyli kolczastego drutu, i nigdy jej przedtem w tej gajówce nie spotkał), lecz gdy wskoczył do środka, ona wciąż uniesiona na łokciach, nie krzycząc, nie wydając z siebie żadnego głosu, powróciła tymi swoimi zupełnie białymi oczami od tyłu znowu na niego i zatrzymała wzrok. Więc już wiedział, że może pytać i zapytał, a ona odpowiedziała. I drugi raz zapytał, a ona drugi raz odpowiedziała. Tylko że jej głos brzmiał, jakby pochodził z odległych niezmiernie rejonów i jakby przebić się nie mógł stamtąd przez powietrze, tak że w końcu docierał tylko strzęp, pół głosu właściwie, albo najwyżej ćwierć. Mimo to niósł się on za nim, ten głos, długo. Jeszcze wówczas nawet, gdy on sam przedzierał się już znowu przez gęste podszycie lasu w kierunku północnowschodnim. Jednakże tak naprawdę, to później kołacząc się w głowie, niby nakręcony mechanizm, to jego własny głos brzmiał właśnie jak pochodzący z oddali, jak przeżarty i przeżuty na miazgę przez przestrzeń i wiatr: „*Chto tut buw... Chto ce zrobyw?!*”, a jej na odwrót, brzmiał zupełnie blisko, donośnie i realnie: „*Wsi buty. I Polaki, i Nimci, i Ukrainci. Wsi muczyły*”, i znowu jego, jak z oddali: „*Jaki Polaki? Kudy piszły? Jaki Polaki, na Boha ridnoho?*”, a jej głos znowu blisko, realnie: „*Niczoho ne znaju. Odni pytajut za tych, drubiji pro tamtych, a ja niczoho ne znaju. Ne muczte mene*”, potem zaś był tylko jeszcze przetaczający się ciężko, niby kamienie młyńskie, ale również bliski, donośny (choć już wtedy wyskakiwał z powrotem przez okno na dwór) jej krzyk: „*Ne jid'te do Perczat, pane! Tam melnykiwci!*”, który powtarzał się ostrzegawczo, wielokrotnie, jak gdyby cwał konia bijącego kopytami o ziemię wybijał temu krzykowi w jego głowie piekielny jakiś rytm.

I zaraz zobaczył ludzi objuczonych tłumokami, przemykają-

cych przez zarośla; sztucer miał już z pokrowca wyjęty, złożony, nabity i odbezpieczony. Ludzie ci ujrzawszy go odwracali się i zaczęli uciekać, zdając się nie słyszeć jego nawoływań, a później, gdy zostawił już za sobą od gajówki ze dwa kilometry chyba, rozległ się stuk o korzenie, trzask gniecionych kołami gałęzi i na ścieżkę, jaką galopował, wtoczył się wóz z woźnicą siedzącym na oklep na grzbiecie konia. Lecz zawołał doń dopiero, kiedy koń z woźnicą stanęli tuż przed Tamarą zapartą w ziemię rozstawionymi nogami, a stuk i trzask urwały się nagle.

I zaraz sponad chłopskiego mierzyna wychynęła w górę twarz woźnicy, wpatrywała się w niego z grozą, którą on ledwo dostrzegł, i na jego pytanie odpowiedziała: „*Ja z Leżajska, pane*”, więc powtórzył: „*Ne z Perczat?*”, a ta twarz: „*Ne, ja z Leżajska. Perczaty dateko, bude piat' werst*” mówiła poruszając otwartymi szeroko ustami, jakby nie mogła złapać powietrza, i wtedy on: „*Wy Ukraineć?*”, a ten chłop: „*Szczo, szczo? Szczo howoryte, pane? Ne, ne, pane*, więc on: „*Baczyły wy ludej Laudanśkoho? Abo Hułtasa?*”, a chłop: „*Szczo ja baczyw, szczo ja czuw... We-tyka bytwa buła miż waszyny i naszymy, pane. To ja tylky czuw. A teper Nimci...*”. Wtedy on, Paweł, uniósł błyskawicznie prawą rękę w górę, powiedział: „*No to pojichały*”, znieruchomiła zaś w grozie twarz chłopca (choć w niej usta wciąż się ruszały), ręka chłopca dzierząca biczysko rozorywująca skórę konia, wszystko to znieruchomiła (choć owo biczysko wciąż unosiło się i opadało), mimo przetaczania się, mimo ruchu do przodu poprzez łoskot korzeni, trzask rozgniatanych gałęzi i szurgot tratowanej ziemi znieruchomiła w jego, Pawła, oczach idealnie, stanowiące jak gdyby jeden dowód więcej na to, że ruch jest li-tylko inną postacią bezruchu, nagle zniknęło, zostawiając za sobą powiew powietrza napełnionego potem końskim, wyziewami mierzwy, którą oblepiony był wóz i wonią strachu, a on stał ciągle jeszcze, od czasu, kiedy powiedział: „*No to jazda*”, z tą wyciągniętą w górę ręką. Aż wreszcie odkrył, że w niej właśnie trzyma sztucer i dawno już jest sam.

Znowu zobaczył proste szlaki rozmielonej motocyklami ziemi, i przekroczył je błyskawicznie. Las się od razu przerzedził. Zobaczył poza drzewami nachylające się ku następnej partii lasu rżysko, rozcięte na środku błotnistą strugą, nad wodą zabudowania futorów i że między futorami stoją furmanki, a między furmankami biegają uzbrojeni mężczyźni. Więc odstąpił z powrotem w gąszcz, podejmując próbę objechania wsi bokiem, pamiętał bowiem, że gdzieś dalej las zespala się z rzeką Radą, opadając na południu ku dawnej granicy i ciągle wierzył, że gdyby tylko udało mu się przedrzeć do Perczat, na pewno zła-

pałby wreszcie kontakt z oddziałem Laudańskiego. A wtedy, chcąc drobnokamienistym przesmykiem przeciąć podmakającą jarugę, dostał się pod ostrzał.

Szarpnąć zdążył jedynie do tyłu klacz, zwałił się z niej na ziemię, zaraz powtórzył szarpnięcie, zmuszając ją by też się położyła i dopiero wtedy zrozumiał, że strzelają nie z jednej, ale z obu stron i wpakował się w sam środek potyczki; w ludziach zbiegających z prawego zbocza poznał Ukraińców spod znaku Melnyka, na lewym zaś zboczu, choć zrazu nikogo nie widział, ostro zagrały maszynki. Potem owe salwy oddane z lewej krawędzi osadziły atakujących i przyparły do ziemi, a potem zarośla w górze ożyły, kilkunastu mężczyzn strzelając w biegu zsunęło się w dół pochyłości, przetoczyło przez mokradło na dnie jaru, rozbryzgując w biegu wodę i wspięło się na przeciwległe wzniesienie za ustępującymi melnykowcami — wszystko w błyskawicznym, niby puszczone zbyt szybko filmowa taśma, tempie, że choć był pewien, że ci ostatni, to swoi, nie zdołał uchwycić i zidentyfikować żadnej twarzy. Nawet nie zdołał poderwać na nogi Tamary, żeby dosiąść i za nimi pognać, już bowiem odgłosy potyczki przepadły w głębi lasu i zmiłkły, jak gdyby atakujący wraz z uciekającymi przytaili się tam gdzieś razem dla nabrania tchu, tymczasem z tyłu, skąd sam dopiero co przybył, zbliżyć się począł głuchy, ponury warkot motorów. Więc i na ucieczkę było za późno. Ten warkot motorów zbliżał się (aczkolwiek na razie w gardzieli jaru nie widział nikogo) gasnąc momentami, to znów się podrywając, wznosząc ponad wierzchołki lasu, aż nagle posłyszał coś znacznie bliżej, szelest, głos, a może nawet od razu jęk, i to dochodzący z przeciwnej zupełnie strony, więc odwrócił głowę i wtedy tego człowieka zobaczył.

Leżał nie dalej niż piętnaście, dwadzieścia kroków: dłonie zaciśnięte na brzuchu, czapka ze znakiem tryzuba zsunięta na brwi, i jak Pawłowi się zdawało, spoglądał spod jej daszka wprost na niego trzepoczącym się niby nocna ćma, pełnym bólu i rozpaczycy wzrokiem. Ale warkot motorów wdarł się już do wnętrza jaru i ranny Ukrainiec odruchowo przyplaszczając się do ziemi, zamilkł. Jeśli więc teraz również patrzył i widział, to musieli widzieć te wytaczające się z lasu motocykle obaj. I widzieli. Jak wpęzły one do jaru pojedynczo, pomalowane w asymetryczne plamy zielono-żółto-czarne, sunęły w trzy, czterometrowych odstępach od siebie, i Niemców po dwóch na każdym, z których ten na tylnym siodełku trzymał pistolet maszynowy gotowy do strzału. I jak powoli, ociężale, podskakując na korzeniach i z tym krztuszącym się warkotem rozsadzającym mózg, jakby nie dość było skwaru, parły one u stóp przeciwległego zbocza niepowstrzy-

manie naprzód. I w milczeniu patrząc, być może nie tylko obaj widzieli, ale w myślach także liczyli, gdy przesuwali się im przed oczyma, znowu, jak poprzednia potyczka, niczym na scenie, czy ekranie, znowu niby ruchomy, puszczony z taśmy obraz, tym razem jedynie w tempie zwolnionym: jak jakaś uparta, tchnąca grozą, żelazna stratować po drodze wszystko żelazna siła kierowana żelazną wolą i myślą, wyzuta z litości i wyobraźni.

A potem to coś, ten jak gdyby ekran, opustoszał. Niemcy nie zatrzymawszy się ani na chwilę w miejscu niedawnej potyczki (gdzie przecież zostały zapewne jakieś jej ślady) zniknęli na drugim, uchodzącym w górę lasu krańcu jaru. Tylko wibrujący warkot ich motorów rozdzierał dalej powietrze. Był wciąż, był wszędzie, choć on, Paweł, wcale nie miał pewności, czy wszechobecność tego warkotu nie zaznaczyła się jedynie zbyt trwale w jego świadomości, natomiast naprawdę okolica dawno już pograżyła się w ciszę ponownie.

Wtedy ranny Ukrainiec uniósł głowę. Rozkołysał tułów zapierając nogi w darń i siadł kuląc się nad swoim podtrzymanym dłońmi brzuchem z głośnym, przeciągłym jękiem. Jego smagła twarz była szara niczym popiół, skłębiona, wyrażająca odwrócenie się całego odczuwania, wszystkich zmysłów, jakimi obdarzyła go natura, z zewnątrz do wnętrza, w głąb własnego jego ciała. Drżało ono wstrząsane drobnymi paroksyzmami bólu, coraz bardziej nachylając się do przodu, aż głowa stuknęła w podkurczone kolana, plecy zaś spięły się w łuk i utrzymywały tak, bez jednego ruchu, do nowego jęku, który wypłynął mu z ust wraz ze strużką krwi; właściwie jednak przez cały czas, kiedy ów nowy jęk brzmiał, kiedy się natężał nabierając siły i nawet, kiedy wreszcie w najwyższej tonacji przechodząc w pisk, już na samej granicy słyszalności, zaczynał znowu swe powolne opadanie ku dołowi, z powrotem do tonów wzmocnionych i grubych, to te jego plecy pozostawały dokładnie w tej samej pozycji, naprężone do ostateczności, a dopiero z ostatnim akordem jęku poruszyły się dreszczem, zwiotczały, jakby napięta ścięwa łuku została nagle puszczona, i ranny zwał się na ziemię. Później Paweł pośłyszał (choć warkot motorów był w powietrzu, czy też w jego świadomości stale obecny), jak w urwistej gardzieli jaru, skąd przedtem nadjechali Niemcy, zachrzęścił na ścieżce żwir i spostrzegł był pochylonych, czujnie kryjących się za krzakami, przemykających w głąb jaru jeden za drugim ludzi z talerzowymi automatami w rękę, w furazerkach na głowach i czapkach, na których przyczepione mieli gwiazdy. I zobaczył, jak w swych miękkich, sfałdowanych butach po kolana, głuszących kroki, przemaszrowali, przebiegli za Niemcami skrajem mokradła ku prze-

ciwległemu krańcowi jaru, również na chwilę nawet nie zatrzymawszy się w miejscu, które było terenem potyczki. I zniknęli.

Dopiero wówczas, leżące przez ten czas, jak padlina, ciało rannego, ożyło. Zadrżało raz, potem drugi i ponownie wykonało wszystkie te same, co poprzednio, ewolucje. Rozkołysało się do pozycji siedzącej, plecy napięły się w łuk, głowa stuknęła w podkulone kolana, jęk towarzyszący tym ruchom przedzierał się przez usta coraz wyżej i wyżej, aż zabrakło mu siły i jął opadać. I znów zległo płasko na ziemi. Choć tym razem nie rozległ się żaden szmer kroków, właściwie nawet nie zabrzmiał jakikolwiek dodatkowy dźwięk, który temu konającemu człowiekowi nakazałby pokonać własny ból i go przytacić (bo trwał cały czas w powietrzu), lecz teraz naprawdę był bliski i jak przedtem wżerał się w uszy rozpychającym mózg warkotem; i po chwili ujrzał u wylotu do jaru, gdzie (zdawało by się dopiero co) zniknęli sowieccy partyzanci, kłęb kurzu i wracające z Niemcami motocykle, które — jeżeli oddzielony od niego, Pawła, kilkunastometrowym przesmykiem grząskiej topieli, Ukrainiec patrzył — to też ujrzał; i już obaj razem widzieli, jak złożona z jedenastu maszyn kolumna wolno, ale z jakimś bezwzględny uporem przetacza się przez jar z powrotem.

I już znowu przejechali. I zostawili za sobą smród spalin i warkot. Jak przedtem. Tamara pochrapywała rozdętymi nozdrzami, zniecierpliwiona zbyt długim leżeniem na boku, i czuła, opierając głowę na jej brzuchu, szybkie, nerwowe uderzenia jej pulsów. Skłaniające się ku zachodowi słońce wciąż prażyło niemilosiernie, ze stoków opadało duszne, przegrzane powietrze, a ruchy Ukrainka stawały się coraz słabsze, jęki coraz cichsze, aby jednak się doń zbliżyć, musiałby Paweł przepętnać odsłoniętą przestrzeń i przedostać się przez bagno. Cały czas o tym myślał, rozważając wszystkie możliwości, cały czas wypatrywał chwili, kiedy mógłby to zrobić. Ale nie zdążył. Opustoszały bowiem ekran jaru po raz trzeci od czasu tamtej potyczki miotać się zaczął, jak w gorączce, znowu wdarło się nań coś niepokojącego, zrazu niewiadomego, jak gdyby jakaś żółta, rozprażona w tej gorączce śmierć. I po chwili na krańcu znowu zobaczył ludzi. A gdy się zbliżyli, rozpoznał tych samych, co przedtem, sowieckich partyzantów. Więc zaciskając dłoń na Tamary nozdrzach, żeby zwierzęciu nie przyszło do głowy parsknąć, mocniej przywierając do jej szyi, słuchał zanikających głosów wydawanych przez rannego (głosy te zresztą, jak gdyby i on widział ludzi z czerwonymi gwiazdami, kiedy podeszli na odległość, że mogliby usłyszeć, ustały zupełnie) i patrzył, jak mijali krokiem wciąż tym samym półmarszowym, półbiegnąc, na moment nawet nie

przystając, na moment nie ztracając nic ze swej zwierzęcej lekkości, czujni, uważni, wyciągnięci ku przodowi, jakby węszyli ślad i bezustannie nasłuchiwali prowadzeni tamtym oddalającym się warkotem motocykli zataczającym w lesie i za lasem niezrozumiałe meandry. I choć Paweł odnosił wrażenie, że byli już swym wielogodzinnym przekradaniem się przez gęstwinę zmordowani i być może grali na zwłokę, wierząc, iż Niemcy zmordują się i osłabną prędzej (to zmordowanie było w ich ruchach, mimo elastyczności i lekkości), to jednak upór w ich twarzach i oczach zdawał się mówić, że nie spoczną, dopóki nie osiągną swego celu. Lecz w końcu jar opustoszała naprawdę. Zagłębili się, wsiąknęli w las, jak cienie i szmer kroków, jaki zostawiali (może też jedynie w Pawła wyobraźni, bo przecież wydawali się bezszelstni), również oddalił się naprawdę. Nawet oddalił się w końcu także tamten warkot motocyklowych motorów. I wreszcie cisza nastąpiła prawdziwa.

Ale to był już wieczór. Słońce chowało się za drzewa, siewki hałasujące w bagnie milkły jedna po drugiej, niebo ciemniało, jęki rannego ustały również. Jar wydawał się zupełnie pusty, tak samo za jarem las, za lasem zaś pola i za polami step. Wszystko zległo w wszechogarniającej ciszy. Miał wrażenie, iż widzi nawet odległy widnokrąg, za którym rozpościerała się chyba podobna pustka, i dalej, aż pod samą nieskończoność, a nawet jeszcze dalej, nawet poza tę nieskończoność też. Nic, tylko tę odrętwiałą, przytłaczającą pustkę widział, uniemożliwiającą zerwanie węzłów milczenia, które zapadło tak ostatecznie, że byłby się udusił i na zawsze pozostał na jej dnie, tym milczeniem przygnieciony, zmiażdżony, gdyby w pewnej chwili nie ujrzał nad sobą w mroku, jak jasne oko, wznoszącego się wolno księżycy i raptem nie ocknął się i nie zapragnął chociaż raz jeden usłyszeć jeszcze jęk rannego (właśnie jęk, słowa bowiem — jeśli by ów Ukrainiec słowami się odezwał — stanowiłyby przez obcość, wrogość języka zapórę nie do przebycia na drodze od człowieka do człowieka), uświadamiając sobie, że słuchał przedtem nieartykułowanego jego głosu, tego jęku tak, jak gdyby rozbrzmiewał największą prawdą czasu skupiającą niby w soczewce wszystko to, co działo się pomiędzy granicami potyczki w południe, a ciszą nastającą teraz nocy, zresztą w ogóle prawdą całego czasu owej tragicznej i bezsensownej tak dla tamtego, wykrwawiającego się nie opodal, jak i dla niego, Pawła, wojny. Lecz jęku więcej nie usłyszał.

Gdy potem wstał i poderwawszy z ziemi kłacz, brodząc przez mokradło, dotarł do kępy otawy, gdzie Ukrainiec leżał, gdy się nachylił, to ujrzał go w sinosrebrnym świetle wyciągniętego na wznak z twarzą pozbawioną wszelkiej męki, zastygłą na zawsze,

zwróconą prosto ku niebu i z rękoma szeroko rozpostartymi. Podjął go za ramiona, dźwignął i podciągnął pod drzewo. Oparł o nie sztywniejące ciało w pozycji siedzącej, tak że oczy umarłego zdawały się spoglądać na jar, jego zbocza i jeszcze dalej, ku lasom, polom i stepom za lasami, ku całej tej podolskiej ziemi. Nie zastanawiał się, co robi, że „to” robi i dlaczego, dopiero, gdy odruchowo podniósł z ziemi porzucony tam przez Ukrainca *otriez* i przytoczył go do siodła Tamarze, pomyślał: „Trzeba jechać drogą w stronę Leżajska i stamtąd na południe. Tam chyba znajdzie ślad Piotra. Żeby nie wiem co się zdarzyło, muszę dotrzeć do Perczat”. I wskoczył na siodło.

Tak potem myślał: „Zmarnowałem dzień. Wyjechałem o świcie, a nie dojechałem nawet o zmroku”. Zdawało mu się, że nigdzie. Niekiedy wprawdzie myśl cofała się błyskawicznie do bagiennego jaru, ale zaraz odskakiwała stamtąd z powrotem. Ani razu się nie obejrzał. Ciemność była niepełna, dołem pod konarami drzew ciągnęły się księżycowe prześwity i las dymił mgłą. Odgłos kopyt rozchodził się zrazu daleko, gdy zaś zostawił już był za sobą kamienistą ścieżkę, przygłuchł. Nawet oddaliwszy się już spory kawał drogi, też się nie obejrzał. Pomyślał, że coraz częściej nie ogląda się za siebie, choć ciągle teraz coś za sobą pozostawia. Ale potem myśl znowu cofnęła się błyskawicznie i już nie odskoczyła. Raz jeszcze przez ułamek sekundy leżał w jarze, jak leżał po tamtej potyczce w południe, a nie opodał dogorywał ranny Ukrainiec. I pod zboczem przejeżdżali to Niemcy, to przechodzili sowieccy partyzanci. Tamten jęczał i cichł, a on słuchał jego jęku i nawet chciał mu pomóc, lecz nie pomógł. Wtedy, kiedy jeszcze można było coś zrobić, pozostawali rozdzieleni. Nie wrodzy, nie bliscy, po prostu rozdzieleni. Ten ułamek sekundy jednak, w którym powróciło doń w przypomnieniu całe popołudnie, minął. Więc myśl była oderwana od obrazu, kiedy sformułowała się mniej więcej tak: „Nie możemy już im zrobić nic prawdziwie dobrego, ani złego, żeby nie wiem co teraz się działo. Już nie prowadzimy gry. Ani też oni jej nie prowadzą. Dlatego więc oni również nie mogą nam już zrobić nic prawdziwie złego, ani dobrego. Za późno”. Nie wiedział tylko — i czuł, że nie będzie wiedział zanim to, co się ma stać, co symbolizowały tamte dwie siły, wreszcie się nie stanie — jak długi potrwa jeszcze to wzajemne bezmyślne upuszczanie sobie krwi.

Później Tamara potknęła się, on otrzeźwiał i poczuł silny głód. Nie jadł przecież od świtu, właściwie zaś od wczoraj. Nie mógł przez chwilę pojąć, o co mu chodziło, kiedy rano zmieniał kierunek drogi. W końcu, gdy sobie przypomniał o Piotrze,

poczuł się jeszcze gorzej. Samotny, zagubiony, goniący za kimś i za czymś, co nie miało znaczenia wobec spraw, które dokonywały się nieustannie i bez niego; bezradny, jak mężczyzna, który przypadkowo wystąpił z szeregu lub do szeregu jeszcze nie dołączył. Noc tężała, czyniła się czysta i jasna, od kiedy zaś wydostał się znowu na równinę, światło ocierając się po jednej stronie o podnóża pni, wyznaczało prosty przesmyk między drzewami. Odgłos kopyt konia nie rozchodził się teraz dalej, niż sięgało spojrzenie. Czasem nasłuchiwał. Przez spoistą i jak wołok zbitą zieleń nie przenikał jednak żaden szmer. Jak gdyby noc wygasła nie tylko spóźniony upał uchodzącego lata, ale także wszystkie ludzkie namiętności. Wiedział, że to oczywiście fałsz, lecz poddawał się złudzeniu i kołysany miarowym ruchem konia znowu zdrzemnął się w siodle, że nawet nie spostrzegł był, kiedy drzewa się przeredziły, ustąpiły polom i że Tamara stąpa po ścierni. W pewnej chwili wciągnęła głośno powietrze, a on poderwał głowę i ujrzał ciemne brogi w rzędzie, za nimi, we mgle wiszącej nisko łąkę, dalej zaś słomiane poszycia dachów, i to wreszcie były Perczaty.

Wtedy jednak po obu jego bokach coś nagle zakotłowało się, nawet nie zdążył pomyśleć w jaką stronę strzelić, gdy uderzenie w nadgarstek kijem wytrąciło mu pistolet, a Tamara poderwała zad i wierzgnęła, że byłby przeokoziółkował przez jej łeb, gdyby nie został od razu przyciśnięty do siodła. Ci ludzie obwieszeni na nim, ściągnęli go brutalnie na ziemię i już leżał rozciągnięty płasko, ich kolana zaś gniotące mu brzuch, sękaty ich dłonie na szyi wydusiły zeń zdławiony krzyk: „Puście, do cholery!”, nie opodal bowiem posłyszał krótki rozkaz rzucony półgłosem, pół po polsku: „Zwiążcie jeho, chłopci” i: „Łapać konia, ale śpieszno”. Potem zza pobliskiej gruszy, czy może jabłunki, wysunęła się kanciasta postać w rozpiętym szynelu wojskowym i ten sam, co przedtem półgłos powiedział: „Postawcie jeho na nogi, chłopci” trochę bardziej ugodowo. Ta szeroka, wyrastająca z olbrzymiego korpusu twarz mężczyzny nachyliła się nad jego twarzą, przyjrzała ciekawie i zaraz uśmiechnęła. Wówczas dopiero uchwyt trzymających go dłoni rozluźniły się, następnie podniesiony za ramiona stanął na przeciwko przytomniejąc, ona zaś, ta twarz, uśmiechając się jeszcze szerzej, wyjaśniła: „Pan Woynowicz z Gleb, co? Powinienem być wiedzieć. Tu dzisiaj szukał pana jeden jakiś...”, wszystko takim tonem, jak gdyby ludziom, którzy dopiero co go obezwładnili, teraz zaś puścili niechętnie, udał się niezły żart. Więc Paweł tylko przyjrzał się, nie mówiąc jeszcze ani słowa, otaczającym go kręgiem mężczyznom, zatrzymał wzrok na jednym z nich, stojącym nieco dalej, zrobił dwa, trzy kroki

w jego kierunku (widząc równocześnie, jak ten krąg, kiedy postąpił naprzód, zaczął się rozsuwać), znowu mu się przyjrzał i powiedział: „Oddaj”. Wyciągnął rękę i trzymał tak przez chwilę w powietrzu, a następnie, gdy tamten nie poruszył się, nawet nie zamachnąwszy się zbyt mocno, uderzył go zaciśniętą pięścią w podbródek. Gdy schylił się nad leżącym, obmacał mu kieszenie i z jednej wyjął swój pistolet, spoglądał cały czas nad swym podniesionym ramieniem w bok i widział, że stojący mężczyźni nie ruszają się, a nawet, już pistolet schowawszy pod marynarkę, już wyprostowany, też widział, że się jeszcze nie poruszyli, dopiero później. Kanciasty, szerokolicy olbrzym w wojskowym szynelu, nie przestając się uśmiechać, powiedział: „Jeśli pan szuka swoich od Laudańskiego, to byli oni tu wo, ale poszli z wieczora. Ciężki mieliśmy dzisiaj dzień. Laudański kwateruje teraz w gajówce. Z trzy kilometry bude stąd”, i wtedy ci ludzie rozstąpili się do końca, zaczęli rozchodzić, a jeden z nich podprowadził mu Tamarę.

Ale jeszcze jej nie dosiadał, jeszcze czekał; nic się jednak nie stało. Z ziemi nie opodał gramolił się powalony przed chwilą mężczyzna, dalej mamrotał pod nosem ze złością (on dalej nie mógł zrozumieć w jakim języku), ten zaś szerokolicy olbrzym przypatrywał mu się już bez uśmiechu, z zaciekawieniem. Reszta odeszła. Wreszcie się odezwał: „Niewiele brakowało, żeby pana chłopaki moje załatwiły na amen. Tak sam pan jeździ?...”. Lecz Paweł puścił pytanie mimo uszu i sam zapytał: „Ktoś mnie szuka? Dobrze zrozumiałem?”. Olbrzym odpowiedział bagatelizująco: „Jakiś taki, czort go wie. Ludzie Laudańskiego znali go, bo z nim gadali. Cywil” i: „Wolno wiedzieć, gdzie się młody pan wybiera?” z wyraźnym sarkazmem. Odpowiedział ostrożnie dobierając słowa: „Chciałbym przejechać przez wieś i zatrzymać się na noc na plebanii”, ale tamten pokręcił przecząco głową. Nawet nie powiedział tego ostro, przeciwnie, łagodnie, obojętnie, lecz nie dopuszczającym sprzeciwu głosem: „*Nic z tobo*, panie Woynowicz”, ledwo nieco głośniejszym, niż szept i zaraz: „Mogłoby się coś przytrafić, czego pan pewnie wcale nie szuka. Jeśli pan zaraz pojedzie, to swoich spotkać jeszcze może w okolicy gajówki”, do tego zaś, którego Paweł uderzył, a który dalej sterczał w pobliżu: „Odprowadź jeha do drogi, Jegorka”. Potem odwrócił się nie powiedziawszy więcej słowa i odszedł prędkim krokiem w kierunku chałup, rozplywając się w mroku.

Dopiero wówczas Paweł dosiadł klaczy. Z jej grzbietu patrzył, jak mężczyzna nazwany Jegorką, również oddala się nieśpiesznie, kołysząc biodrami, krokiem pełnym ociągania i niechęci, choć nie upłynęła nawet minuta, a z cienia za sadem wynurzył się

na powrót już na koniu i podjechał. Więc Paweł ścisnął kolanami boki klaczy i ruszył, ażeby tamtemu dać fory, żeby mógł go wyprzedzić, ale kątem oka zauważył, że jego towarzysz powściąga wodzy swego konia, świadomie zachowując półtorametrowy między nimi dystans. Nieznacznie włożył wtedy rękę pod marynarkę i zacisnął palce na pistolecie. Lecz wkrótce minęli pole i brogi, i księżyc przesłoniła chmura, tak że jadącego za sobą prawie nie widział, niepewne zarysy, aczkolwiek co jakiś czas zwracał ku niemu twarz i wyteżał słuch, a potem (bo choć tamten nie chciał wysunąć się na czoło, to jednak nadawał kierunek) byli w połowie łagodnego wzniesienia, wyżej ukazała się czarna ściana lasu i wtedy ten mężczyzna się zatrzymał i raptem odezwał po polsku: „Droga, o tam... Zważać trzeba, żeby nie zjechać i się nie zgubić. Do widzenia”, już zwracając ku wsi. Paweł stał bez ruchu, zaciskał palce na pistolecie i czuł, że nagrany od ciepła dłoni metal jest wilgotny. Wyteżał za oddalającym się wzrok, aż zupełnie zniknął mu z oczu. Wreszcie posłyszał. W dolinie, gdzie zostawił był wieś, a gdzie dopiero co umilkł tętent konia człowieka, którego miał niedawno za plecami bojąc się cały czas, że otrzyma od niego kulę między łopatki, odezwał się wpierw strzał jeden, zaraz drugi i jeszcze parę pojedynczych, a po kilku sekundach przerwy zmasowiony ogień karabinowy i długimi seriami rozterkotał się cekaem. Wtedy pomyślał: „Chyba na to czekałem”, lecz nie starał się odgadnąć, kto z kim tam walczy. Tracił Tamarę obcasami i zagłębił się w jaśniejszy od lasu tunel wąskiej drogi. Dopiero gdy odgłosy strzelaniny pochłonął las i odległość, w mroku między drzewami zobaczył przebłyskujące niki światło pełznące po pniach i się zbliżył, i zatrzymał.

Droga rozszerzała się tu w polanę i na jej skraju zobaczył lufy dwóch strzelb opartych o pochyłość gruntu, niżej zaś głowy dwóch mężczyzn nachylone ku sobie nad ogniem. Co pewien czas jeden z nich wstawał, zanurzał się w ciemność, wracał wynurzając się z niej jak duch, ciągnął pień suszu i ciskał w ogień. Kiedy krzyknął do nich, jego krzyk zabrzmiał, jak w próżni, a oni poderwali się, złapali strzelby i skoczyli za drzewa. Ale krzyknął powtórnie i go poznali. „Można by was wygarnąć, jak pisklęta z gniazda” powiedział potem wyplątując ze strzemion nogi. Ten bliżej, już sadowiący się na powrót przy ogniu, nad którym podsmażał przedtem kawał mięsa na patyku, bo trzymał go teraz na wysokości oczu i oglądał, wzruszył ramionami i rzekł: „Dajcie spokój Woynowicz, z melnykowców teren oczyszczony. Nic innego nie robimy od czterdziestu ośmiu godzin. Niemcy zaś w nocy w las za Boga nie wejdą” i po chwili dodał: „Szukają

was, Woynowicz”. Nie zapytał ich jednak zrazu ani kto, ani w jakiej sprawie. Zdjął z Tamary siodło, węzełek, sztucer i *otriez* po zmarłym w jarze, spętał klacz i klepnąwszy w zad puścił na trawę, dopiero potem, stanąwszy nad ogniem (wdychając zapach mięsiwa i czując, że głód znowu powrócił, że z trudem odrywał od niego myśli), spojrzął na zegarek i powiedział: „Posłuchajcie no, Tuchocki, z kwadrans będzie, jak byłem na skraju Perczat. Doszło tam do jakiejś grubszej roboty”, a ten, co już przedtem mówił, podniósł na niego oczy o spełnionych źrenicach mięsożernego zwierzęcia, które tyle już zabijało, że wszędzie wietrzy żer i parszając bez uśmiechu, odrzekł: „Słusznie myślicie, Woynowicz. To Draża rozwała posterunek żandarmski i zastawił tam potrzask na Niemców”. Odezwał się z namysłem po chwili: „W Perczatach o włos nie zostałem załatwiony. Taki jeden dwumetrowy ich zatrzymał. Licho wie swój, czy Ukrainiec. Też mówił, że ktoś mnie szukał. Kazał mnie puścić...”. I znowu ten, co przedtem przy ogniu: „Z gębą, jak tatarska dupa? To wachmistrz Szyły od jazłowieckich. On prędki. Drugi raz, człowieku, nie snuj się, gdzie nie trzeba”, i wyciągnął ku niemu czarno opieczony po brzegach ochłap, mówiąc: „Jedzcie”. Potem gdy wyciął z suszu nowy patyk, zaostrzył, nadział nań drugi kawałek mięsa i zbliżył się z nim do ognia, jeszcze raz się odezwał: „To Wasylko Hanczar was szuka przysłany przez sędziego. Myśleliśmy, że uganiacie się za oddziałem Hułłasa, ale Hułłas odszedł, mówią, na Wołyń. No, a teraz zjeżdżajcie. Laudański też na was czeka”.

Idąc ku gajówce na plecach dźwigał siodło i broń, i jeszcze przeżuwał te parzące usta kęsy pieczeni. Księżyc był teraz na niebie raz zupełnie jasny, raz jak stary miedziak bez blasku, gdyż przesłaniała go chmura, jakby tam wysoko dał mocny wiatr, ale kiedy zatrzymał się przed furtką było właśnie ciemno i to było dobre, bo mógł dojść to mięso nie śpiesząc się, nie patrząc przez płot, tylko do tyłu ku polanie, gdzie na skraju dwie nieruchome postacie, jak kloce drewna siedziały w kucki przy ognisku, a odbicie żaru błądziło im po twarzach, po gliniastym wykrocie za ogniskiem, po czarnych prętach strzelb opartych o pochylność, uchodząc ku górze szpiczastą, ginącą smugą. Odczekał jeszcze dobrą chwilę przełknąwszy ostatni kęs. Nie czuł żadnego przypływu mdłości. Nawet, kiedy księżyc znowu się odsłonił, on zaś wreszcie spojrzął przez płot w głąb sadu, gdzie przedtem nie chciał. Więc wtedy już odemknął furtkę bez oporów, a po paru krokach minął gruszę, na której, jak przed południem, wisił stary mężczyzna, tylko że teraz nie sam, bo obok niego, na sąsiedniej gałęzi wisało także drugie ciało. To była kobieta,

z którą wówczas, przed południem rozmawiał. Potem przestąpił chrapiącego na progu gajówki strażnika, a potem był w środku, w zawieszonym dymie tytoniu, przypalonegojadła, w smrodzie mężczyzn śpiących na ławach i pokotem pod ścianami, w woni opatrunków i środków dezynfekcyjnych, w samym wnętrzu gwaru głosów, które kłębiły się nad stołem, gdzie kilka głów naraz pochylało się nad mapą; i stał chwilę przez nikogo nie zauważony, albo też zauważony i od razu wyrzucony poza nawias świadomości, aż zrobił parę kroków, cisnął tłumoki na wolne miejsce w kącie — choć mdłości dalej się nie pojawiały — zatrzymał się przy Laudańskim i natarczywie zapytał: „Wy tę kobietę powiesiliście?”. Twarz Laudańskiego odwróciła się ku niemu wolno niewyspana i jakaś ogromnie zdziwiona. Usłyszał, jak mówi: „Tę szpiclówkę? Starego gajowego wydała”. Swoją głowę usłyszał zaraz również: „Ostrzegła mnie przed melnykowcami. Że są w Perczatach”. A wtedy twarz Laudańskiego przestała być zdziwiona, stała się obojętna i tylko zmęczona, i Laudański powiedział: „Być może, być może...” nieuważnie, nie niechętnie, po prostu nieuważnie, zapomniawszy już zapewne zupełnie, co powiedział i o jego, Pawła, obecności też. Wówczas dopiero te mdłości złapały go, jak w kleszcze. Ale nie stało się nic takiego, czego się obawiał.

Położył się na podłodze pod ścianą, gdzie wcześniej zauważył był śpiącego stajennego z Gleb, Hanczara; czuł, że jest śmiertelnie senny i gdy zamknął oczy, to od razu wydało mu się, że śpi. Po pewnym czasie, trącony w ramię, podniósł powieki i spojrzął na zegarek. Stwierdził wtedy, że miał oczy zamknięte parę minut zaledwie (zresztą ci mężczyźni przy stole nadal kłócili się nad mapą) i posłyszał, jak Hanczar mówi do niego odległym, dudniącym niby w beczce półgłosem: „Ma pan wracać ktoś doniósł że pan z partyzantami Antypko mówią przyjeżdżali po pana sędzia dwór ewakuować chce państwo Czerestwienscy wyjechali już też byłem tam szukając pana jak tylko wyjechali w jasny dzień przyszli jacyś poprzebierani lochy przeszukali mówi Laudański jest wściekły o Karpatkę że działa na własny rachunek są wiadomości o pańskim kuzynie...”, a chociaż chłopak mówił zapewne zanim on jeszcze podniósł powieki, jak przez mgłę przecież słyszał ten głos dużo wcześniej, to niewiele więcej prócz oderwanych słów doń doleciało.

Teraz nie musiał się nawet odgradzać zamknięciem oczu od wypełnionej śpiącymi rannymi izby. Ani od radzących wokół stołu mężczyzn, ani od ludzi, których widział przez otwarte drzwi, chrapiących w mroku sąsiedniego pomieszczenia. Nie musiał się niczym odgradzać także od Hanczara. Wszyscy oni, otaczający go

ze wszystkich stron, byli raptem zupełnie uciszeni i jak gdyby za taflą szkła. Jeszcze tylko mówił sobie w myślach: „To już dwa, lub trzy dni będą, jak pomyślałem pierwszy raz, że czas wracać do domu. Rano też”. I poddawał się tym słowom, i było dobrze, bardzo dobrze, jednakże to właśnie one przywróciły mu na chwilę trzeźwość. Wprawdzie już powtarzał je wielokrotnie od czasu, kiedy z czupryńskiej drogi skręcił na leśną polanę, zsiadł tam z konia, ogolił się i umył (bo wtedy o nich zapomniał, myśląc o przyrzeczeniu danym Katarzynie i stryjence, że odszuka Piotra), to teraz, kiedy je sobie znowu przypomniał: „Już dwa, lub trzy dni będą, jak pomyślałem pierwszy raz, że czas wracać do domu... Jeszcze dzisiaj rano też...”, natychmiast przypomnieniem owym pozwolił zbliżyć się ku sobie lękowi, przed którym uciekał i pojął nagle, że może go on obecnie dopaść i uwięzić na zawsze, jeśli by tylko dopuścił aby wyobraźni udało podsunąć się przed oczy to, co stać się mogło, kiedy go nie było w domu. I ledwo pomyślał o możliwości uwięzienia przez lęk, szepnął rozpaczliwie: „O nie, nie to, tylko nie to!”, próbując od razu, jak najprędzej wydostać się poza jego zasięg, szarpiąc Hanczara za ramię, wpatrując się w jego usta z nadzieją, że jeszcze coś powie, co pozwoliłoby mu pomyśleć o czymś innym, lecz chłopak spał z półotwartymi oczyma, chrapiąc ciężkim oddechem utrudzonego robotą chłopca. Pojął wtedy, że jeśli go zbudzi, będzie musiał zadać mu pytanie, a jeśli to pytanie zada, Hanczar może powiedzieć coś, czego on, Paweł, nie chce usłyszeć, o czym nie chce się dowiedzieć i wszystko sprowadzi się do tego, co zatrzymał i nie dopuścił do siebie tamtym szeptem: „Nie to, tylko nie to!”. I wyciągniętą już rękę cofnął. W ogóle cofnął od razu całą tę chwilę, jaka miała nastąpić. Zapragnął wrócić do otaczającej go rzeczywistości, przedostać się przez tę, jakby ze szkła taflę, która oddzielała go od śpiących na ławach i pod ścianami, od naradzających się wciąż jeszcze nad stołem, od tego wszystkiego, o czym mówią i próbował znaleźć się po przeciwnej stronie szklanej przegrody, ażeby potwierdzić swoją z nimi tożsamość, by przez nich się umocnić i na zawsze pozbyć lęku. Pomyślał więc: „Jutro znowu akcja. Oczyszczają międzylesie na linii Leżajsk, Perczaty, Łoszakowski zaścianek. Chcą utworować drogę dla ewakuacji cywilów w kierunku Krzyżtopola”, bo słuch jego z wysiłkiem biegł za niektórymi ich zdaniem docierającymi od stołu do niego. Ale mimo, że jego język zdania te z uporem powtarzał, to jakaś druga warstwa myśli pozostawała wciąż przy tamtym niepokoju, przy tamtym lęku i własnym szepcie: „Nie to, tylko nie to!”. Nawet mimo tego, że powtarzane, niby echo, zdania wydłużały się: „Zgarniemy cywilną ludność mówiącą po

polsku do większych ośrodków. Tam łatwiej będzie bronić się przed faszystami ukraińskimi. Niemcy to teraz tolerują. Mają własne kłopoty z pękającym frontem wschodnim. Przecież przy-
mykają nawet oczy na zbrojenie się naszej samoobrony. Aby im tylko zostawić szlaki komunikacyjne w spokoju”. Bo jednocześnie i ta druga warstwa jego myśli, warstwa pełna lęku, zatrzymana szeptem: „Nie to, tylko nie to” rozszerzała się natychmiast w wizję otoczonych Gleb, ucieczki najbliższych, śmierci Katarzyny i matki. Potem nie miał już żadnych wątpliwości, że nie sposób lękowi temu nie ulec, można przed nim najwyżej uciec, zostawiając izbę w gajówce, tych ludzi, i jak najspieszniej wracając do domu.

Więc polana, a potem las i dukt. Od duktu zna już drogę dobrze, choć wtedy, jadąc do Perczat, pobłądził. Jeśli skręci bardziej na południe, może szerokim zakolem ominąć Łoszakowski zaścianek wraz z Mohylną doliną. Od razu za mogiłami partyzantów z czterdziestego roku i mogiłami pomordowanych później Żydów wjechać trzeba na szlak wiodący przez dolinę Męki Pańskiej i stamtąd dalej; choćby z zamkniętymi oczyma — a też trafi. Mija mogiły, gąszcz bylin, ostnicy i mięty, skrzynkę samotnej kapliczki na pochyłym słupie. Przed spękaniem, szorstkim, przez deszcze, słońce i wiatry odartym z polichromii drewnem rzeźby zdejmuje zawsze, gdy mija to miejsce, czapkę. Zastanawia się wtedy, kto przyodziął figurę w świeżą koszulkę; nigdy nie udało mu się tego człowieka podpatrzeć. To, co mu w tej chwili jej widok przypomina, nie ma bezpośredniego związku z jego obecnym powrotem do Gleb. To przypomnienie wielokrotnych powrotów z Czupryni wspólnie z Katarzyną i ich ostatniego powrotu, kiedy zawiózł jej zawiadomienie o Aleksym znalezionym w Katyniu. Przypomnienie jej martwej, zimnej twarzy, zaciskających się wbrew woli, poza wolą nawet na kolanach dłoni o paznokciach, jak płomyki gazowe. A właściwie jest to może przypomnienie jej powrotu do Gleb już bez niego po pogrzebie Mikołaja Fiodorowicza. Ale nie chce zatrzymywać nad tym myśli. Jakby owego samotnego jej powrotu nie było wcale. I mija kapliczkę. I wkrótce płaski obszar wystepowiałych łąk, i nagle wyskakuje przed oczy czerwony komin gorzelni i stawy; woda pełna wodorostów, szerokich liści na sennej toni, zakamarki w sitowiu; właśnie kaczkami obniżają się ze świstem, mącąc lustro i fale odbiegają od ich podbrzuszy długim trójkątem rozszerzającym się coraz bardziej. Za stawami pole, brama, i tu już czuje się ciepły powiew zapachu domu. Tamtą izbę pełną śpiących mężczyzn, stół, nad którym pochylają się oficerowie wpatrzonych w mapy i polanę ma już dawno poza sobą. Już może

zsiąść z konia przed gankiem (zegar na tympanonie wskazuje właśnie kwadrans po trzeciej), już chłodna sień, drzwi do pokoju matki w lewo, drzwi do części zajmowanej przez Katarzynę w prawo. Ale jednocześnie znowu kapliczka w dolinie Męki Pańskiej z poznaczonym szramami Chrystusem obleczonym w lnianą koszulkę. Przecież dopiero co ją minął, tymczasem stare źrenice rzeźby nadal spoglądają nań ze smutkiem. Jakaś siła wciąga go na powrót w głąb lasu na polanę, gdzie stoi gajówka i zacząć musi od nowa, jakby ciążyło na nim przekleństwo niemocy. A więc znowu mogiły partyzantów z czterdziestego roku i późniejsze Żydów. Znowu step i komin gorzelni. Woda w stawach i pod jej powierzchnią drobne ryby. Przez chwilę widzi ich zrywliwy, zwinny cień smyrgający razem z nimi na dnie. Znowu brama, a potem za parkiem ganek. „Boże, już czwarta na zegarze” myśli zeskakując z konia. I sień, i drzwi do pokoju Katarzyny. Łagodny uśmiech na jej wilgotnych ustach. Mówi mu, że bała się, gdy go nie było, bo kiedy on jest nie boi się wcale i że już chciała wyjechać, dość miała wszystkiego, co się wokoło dzieje, ale teraz nie wyjedzie, skoro on tego nie chce. I dotyka jej włosów, twarzy, ramion, czując pulsujące pod skórą ciepło. I do głębi przeniknięty tym otaczającym go zewsząd ciepłem domu i kobiety, wie już dlaczego z takim uporem, w takim trudzie biegł, dlaczego kłusował, jak szalony, wyciskając z konia ostatni dech. Żeby choć na jedną chwilę zanurzyć się w zapachu tego ciepła. Lecz równocześnie widzi i wie, że to nieprawda, bo nawet jeśli szerokim zakolem minął był już Łoszakowski zaścianek wraz z Mohylną doliną, nawet te mogiły później też, to jeszcze spory kawał drogi dzieli go od kapliczki w dolinie Męki Pańskiej. Więc z wysiłkiem dojeżdża do niej, znowu ją mijają; Katarzyna nie powinna wiedzieć, że jest wciąż tak daleko, teraz bowiem cofa się kilka kroków, siada na otomanie i patrzy na niego. Mówi: „Kiedy jesteś tu, jest dobrze”. On też na nią patrzy. Chciałby, zanim się zbliży i stanie przy niej, powiedzieć, że może być spokojna, bo on Piotra znajdzie, jak przyrzekł jej i Czerestwienskim, przerwał swe poszukiwania tylko na krótko, choć czuje, że nie musi wcale mówić, że ona sama wie dobrze i nie należy obecnie Piotra nawet wspominać. Zwłaszcza, że gdyby chciał jej to powiedzieć, musi minąć wreszcie tę przekłętą kapliczkę w dolinie Męki Pańskiej, potem kawałek stepu, komin gorzelni, stawy, za parkiem ganek (zegar na tympanonie wskazuje już w pół do piątej), wejść musi do jej pokoju i zbliżyć się na odległość głosu. Znowu się zbliża. Po raz trzeci, czwarty, albo nawet piąty. Widzi ją. Jej włosy o złotawym połysku rozsypują się ruchliwie na poduszce, gdy dotyka

ich dłonią, trzaskają, jak naelektryzowane, odskakując od palców. I myśli, że nie wie już, czy pożąda jej dlatego, że ją kocha, czy też kocha dlatego, że tak pożąda. I chce ją objąć. A jednak dotychczas jeszcze nie minął kapliczki. Zapominając więc, że trzyma kobietę w ramionach, próbuje ją minąć, dotrzeć do stawów i bramy, i mówi sobie z rozpaczą, że nie może dopuścić, by Katarzyna domyśliła się, że wcale nie powrócił do domu, że nie może wydostać się wciąż jeszcze z tego odcinka drogi między kapliczką w dolinie Męki Pańskiej, a kominem gorzelni i bramą, że nawet nie minął tamtych mogił partyzantów z czterdziestego roku i późniejszych mogił Żydów; nawet zakolem nie objechał jeszcze Łoszakowskiego zaścianka wraz z Mohylną doliną, a nawet z drogi od gajówki przez las się nie wydostał. I nagle zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że nigdy się już z niej nie wydostanie. Z tej krętej, wikłającej się drogi między izbą pełną śpiących obok swoich karabinów mężczyzn, a domem w Glebach. I czuje, że nie ma stąd żadnego powrotu, nawet ucieczki. Naprawdę jest jedynie ta izba, gdzie oni śpią, zanim się nie podniosą i nie pójdą zabijać, i jedynie ten las, przez który wprawdzie wiedzie wiele dróg, ale żadna z nich nie jest tamtą, do domu, a nie wiadomo wcale, czy owe drogi przez las w ogóle wiodą dokądkolwiek. I wtedy postąpił głoś.

Otworzył oczy i zrzucając z siebie końską derkę, usiadł. Był ranek. Obok stał Laudański w rozpiętej na piersiach koszuli, bez butów na nogach, w spodniach obwisających niedbale na biodra, z włosami zmierzwionymi, jak po nocy u dziecka; widać niedawno jeszcze spał, ale oczy miał niewyspane, bez wyrazu, skóra zaś jego twarzy pełna była spękań i pomarszczeń, niby stara, dokładnie wymięta w dłoniach bibułka. W jednej ręce trzymał starty od długiego używania ośniak, w drugiej nie napoczęty bochenek chleba. Odezwał się do niego znowu: „Przespał się pan? No, nieźle. Niechże pan teraz posili się przed dalszą drogą”. Wpierw jednak Paweł zapytał: „Dokąd?”, a potem potarł czoło, żeby pozbyć się resztek snu i przypominając sobie wczorajszy głód, wstał. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Poza nimi dwoma izba była pusta, w sąsiedniej jedynie felczer zmieniał opatrunki rannym, Hanczara także nie było. Dopiero stojąc, począł gorące pieczenie stóp, więc nachylił się i ściągnął buty. Laudański powiedział: „No, to chodźmy” już idąc w kierunku uchylonych, bocznych drzwi, za którymi była kuchnia; odwrócił się wtedy swą masywną twarzą i Paweł zobaczył, jak jego nieduże, nieco opuszczone zewnętrznymi kącikami ku dołowi, blade oczy przemykają się po nim nie bez wyrazu tym razem, a badawczo, przy czym to nie tyle oczy w tym ułamku

sekundy szerzej mu się otworzyły, ile owe małe, zimne, twarde żrenice ściągnęły się na jedno мгnienie w przewiercające na wskroś ostre punkciki. Zapytał: „Przyszedł pan na stałe do oddziału, Woynowicz?”. Teraz to jednak Paweł nie kwapił się z odpowiedzią, czekając aż Laudański przekroczy próg i przestanie na niego patrzeć. Dopiero potem się odezwał: „Tak, na stałe”. Głos brzmiał mu spokojnie, z przekonaniem; z niedawnego snu nie zostało w nim nic: niejasne, prawie puste miejsce w pamięci.

W kotlinie ulepionego z gliny pieca buzował ogień i Laudański nastawił patelnię, rzucił na nią skrojony już przedtem na deseczce boczek, a zanim Paweł zdążył powiedzieć, że nie cierpi smażonych jaj, wlał na skwierczący tłuszcz rozbełtaną zawartość talerza. Nie zajmował się nim więcej. Krojąc przy kuchennym stole chleb na niezbyt grube, równe pajdki, podchodził co jakiś czas do pieca, mieszał w patelni nożem i posapywał krótkim oddechem człowieka chorego na serce. Za oknem kręcili się ludzie, dalej, na środku polany wyładowywano ze sprzętu podwoły, a w sadku na drzewie nikt już nie wisiął. Dopiero, gdy ustało skwierczenie zawartości patelni, w ciszy zabrzmiał głos Laudańskiego znowu: „Jeździł pan podobno do Katynia...”, lecz nie było to pytanie i Paweł nie wyczuł w głosie podpułkownika ani śladu ciekawości. Odwrócił się od okna, gdy Laudański zapytał naprawdę: „Jak tam jest?”. Odpowiedział: „Czytał pan przecież w gadzinówkach. Właśnie tak. Tym razem niczego nie zmyślili”, a Laudański: „Wiem, ale jak? Przeczytać, a widzieć, to nie samo”. Stał teraz nieruchomy w migoczącym blasku szczap płonących pod kotliną, trzymając zdjętą z ognia patelnię z przyskajającym z niej na boki tłuszczem, zmęczony, ciężki, dobrze po pięćdziesiątce mężczyzna i patrzył wzrokiem przenikliwym i jakimś obcym. Wyraźnie czekał, że on, Paweł, odpowie, albo zacznie tę długą opowieść, którą już tyle razy od tamtego czasu różnym ludziom musiał powtarzać. Aż raptem ta przenikliwość jego oczu zgasła prędko, jak się prędko była pojawiła. I poruszył się, i powiedział: „No tak, tak, rozumiem...” ledwo dosłyszalnie, z czymś w rodzaju zażenowania. Odstawił na stół patelnię i zaczął napełniać jajecznicą blaszanki ruchami, których nikt by się po nim nie spodziewał; nie były zbyt szybkie, ale wydawały się niesłychanie sprawne i młode. Zanim Paweł podszedł do stołu, leżały już tam łyżki, w kubkach parowała kawa zbożowa, a skrojony chleb leżał na środku blatu wyłożony na gazetę. Laudański zaprosił: „No więc, możemy jeść” wskazując ręką, a kiedy on jednak tę opowieść o Katyniu zaczął, dodał, jakby jej wcale nie chciał słyszeć: „Chleba jest dość. Proszę sobie nie żałować.

Mamy dobrego dostawcę”, tak że Paweł zamilkł. Potem jednak Laudański znowu podniósł oczy nagle i powiedział ostro: „Tych pomordowanych nic już nam nie wskrzesi”. A potem, jakby zapomniawszy, że mówi do niego, Pawła, który tam był, jakby w ogóle zapomniał, że do kogokolwiek mówi, a wiódł rozmowę z samym sobą, dodał cicho i niewyraźnie: „Dlatego też fatalnie się stało. Gdyby Niemcy ich teraz nie wygrzebali, Stalin nie miałby pretekstu do zerwania z naszymi w Londynie. Tu nie chodzi o pomoc w walce, bo tej nigdy nie spodziewaliśmy się po nim naprawdę. Teraz już chodzi w ogóle o naszą egzystencję”. A wtedy on, Paweł, przestał jeść. Przypatrywał się leśnemu dowódcy z wzrastającą czujnością i uwagą. Wreszcie powiedział: „Znalazłby się inny pretekst”. Laudański przemknął zdziwionym wzrokiem po jego twarzy. Zdając się z trudem wyzwać od jakiejś myśli, powiedział: „Nie wiem... Może. W każdym razie mogłyby inaczej potoczyć się nasze sprawy. Nie byłoby mu tak łatwo. Bo teraz, to on już nas złapał za gardło i nie puści”. „Ale pan przecież walczy!”. „Wszyscy walczymy, każdy jak potrafi” wruszył ramionami Laudański, „Czy pozostaje nam coś innego, co można by zrobić?”. Potem powiedział: „Dlaczego pan nie je? Wystygnie. No, niechże pan je” i raptem wstał, widać w sąsiedniej izbie albo na dworze coś usłyszał, poszedł do drzwi i zaraz za nimi rozległ się chrapliwy, ostry jego szept: „No co?”, i drugi: „Nic nie powiedział. Skończył”, a później były kroki Laudańskiego i jeszcze jakieś inne, które się oddaliły.

Spojrząwszy w okno, do którego siedział plecami, Paweł przekonał się, że niebo zasnuło się sino i już pada. Zaczął jeść. Ze wstrętem przełykał zastygłą maż z zakrzepłymi okami tłuszczu, przegryzał chlebem i z trudem nie poddawał się ogarniającej go niemocy. Aż sobie przypomniał główny cel swego przybycia na leśną kwaterę i że Laudański nie zapytał słowem o Piotra Czerstwińskiego, ani o nim nic nie powiedział. Wówczas dobiegło do niego trzaśnięcie zewnętrznych drzwi gajówki, głośne kroki i zaraz potem Laudański wrócił zapięty na wszystkie guziki, obuty, w oficerskiej kurtce i przyczesany. Stanąwszy nad stołem dopił z kubka kawę i krzywiąc się otarł usta z fusów. Lecz Paweł nie zapytał jeszcze o kuzyna, te myśli bowiem, przedtem tak trudne do uchwycenia, do sformułowania w jednym zdaniu, scaliły się w jedną, banalną wprawdzie w tej sytuacji (wielokrotnie już przedtem pomyślaną) myśl, w pytanie: „Co się z nami stanie, co będzie...?”, ale choć czuł, że odpowiedź może być jeszcze mniej jasna, jeszcze mniej zadawalająca, niż przed paroma zaledwie miesiącami, zwięzający się przecież ustawicznie zakres odpowiedzi był tylko miarą przybywających dni i ubywa-

jącej wraz z nimi nadziei, nie mógł tego pytania nie zadać. Zadał je: „Co się z nami stanie, co będzie?” impulsywnie, impetycznie, naraz zdziwiony (nie jednak z powodu cienia nadziei, który w nim dotychczas był, ale zdziwiony, jak wielką bezradność człowiek jest w stanie znieść) i opuścił oczy. Laudański przecierając błyskawicznie dłonią twarz, cicho powiedział: „Cokolwiek się stanie, naród polski nigdy już nie będzie miał pewności, że nie zostanie zgwałcony, podeptany i upodlony, jak we wrześnie trzydziestego dziewiątego roku i później, zanim naród rosyjski nie uświadomi sobie, co zrobił i zanim nie przyzna się głośno do hańby tego podeptania i gwałtu”. Potem drgnął. Paweł słyszał, jak Laudański oddycha, jak wdycha do samego dna płuc olbrzymie hausty powietrza i następnie wydycha je powściągliwie, powoli, prawie jakby z lękiem. Aż znowu się odezwał: „Żadnej pewności, żadnych gwarancji, zanim naród rosyjski nie przyzna się do masowych mordów naszej ludności cywilnej w więzieniach Lwowa, Tarnopola i wielu innych miejscach. Do zesłania ponad dwóch milionów naszych mężczyzn, kobiet i dzieci w śniegi na wschód. I do hańby mordu na jeńcach. No i, dopóki tej hańby sam nie zechce odpokutować”. I przerwał. Miał jakieś zaśłuchanie na twarzy. Także czujność. Wreszcie i to ustąpiło. Gdy znowu siadł przy stole, było tak, jakby ta rozmowa w ogóle się nie odbyła. Po pewnym czasie powiedział innym tonem: „Mówił mi Hanczar, że pan ponownie ugania się po okolicy za swoim kuzynem. Coś za często ma on szczęście, czy nieszczęście wam ginąć”, a on, Paweł, na to, wyrwany tymi słowami z zamyślenia: „Tak, ale wiemy, że żyje”, a Laudański: „Jest u Hułłasa. To jeden z oddziałów 27 dywizji wołyńskiej AK”, a on: „Pewne że tam jest?”, a Laudański: „Hułłas zapędził się w pogoni za jakąś banderowską bandą w okolice Czupryni i był tamtego dnia po pogromie we dworze. Ustaliliśmy, że zabrał kogoś z rodziny Czerestwienskich. A kogoż by innego?”, a on: „To prawda”, i zaraz: „Przyrzekłem jego rodzinie, że go znowu im w ręce dostawię”, a Laudański ze znużoną cierpliwością: „Dajcież wy mu wreszcie spokój. Ile on ma? Siedemnaście? Osiemnaście lat? Czas, żeby stał się prawdziwym mężczyzną. Jeśli sam się nie zjawił, to widać ma powód. Zresztą Hułłas, licha wie, gdzie teraz się podziewa. Pewnie poluje na niemieckie transporty w okolicy Tarnopola”. I znowu umilkł. Gdy Paweł odsunął od siebie opróżnioną blaszankę, Laudański wstał. Ruszył ku drzwiom na dwór. Na progu dopiero powiedział: „Kto załatwił Czuprynię, tego jeszcze nie wiemy. Ale nie Semen Gawryluk i jego banda. To pewne. Niech pan weźmie swoje rzeczy”.

Paweł dogonił Laudańskiego dopiero w sadku. W głosie Lau-

dańskiego było zniecierpliwienie: „Pojedzie pan teraz do domu. Muszę wiedzieć co z Karpatką, na ślepo kąsa, jak wilk! Albo się podporządkuje rozkazom, albo potraktuję go z tymi jego, czy też pańskimi ludźmi, jak pospolitą bandę!”. Paweł powiedział wtedy: „Dobrze”, tylko że z pewnym zawodem. Laudański zdawał się tego zawodu nie dostrzegać. Powiedział cofając się do gajówki: „Za tydzień, no powiedzmy, dwa też, znajdzie mnie pan gdzieś na styku lasów turchanowskich i pustych jarów nad Radą”. Paweł chwilę spoglądał za nim, potem ruszył ku czekającemu przy koniach Hanczarowi.

Jeszcze nim dosiedli dopędził ich jakiś znajomy skądś człowiek. Paweł przypomniał sobie noc sprzed kilku tygodni, stodołę na pustkowiu, lampę naftową na klepisku i tego człowieka perorującego o Bogu. Uśmiechnął się niewyraźnie i powiedział: „My się znamy. Patrzę i patrzę, a teraz wiem. Spotkałiśmy się w Sokalim jarze”. Mężczyzna nie odwzajemnił uśmiechu. Niezręcznie dosiadając podprowadzonego mu konia, powiedział: „Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pojedziemy kawałek razem. Jedna nam droga przez las”. Hanczar powiedział cicho: „Ten klecha, czy jakiś taki, pan pamięta? Odprawiał nas na młodego Pocziejewa”. Po chwili zrównali się z tamtym, on zaś zwrócił do nich twarz i nie pytany wyjaśnił: „Nazywam się Dolata. To nie pseudo, a nazwisko. Nie muszę się ukrywać. Nie ma nikogo, kogo by za mnie mogli Niemcy rozwalić”. Potem polana i ta setka, czy więcej obozujących pod osłoną lasu ludzi, zapach dymu, gwar i głosy zwierząt pozostały w tyle. Deszcz ustał prawie zupełnie. Minęli ostatnie, milczące strażę i zбочyli ze ścieżki na szerszy, niż ścieżka, przycinek przypominający dno wyschłego strumienia. Na zakręcie natknęli się na partyzancki patrol prowadzący pod karabinami, w tym samym co i oni kierunku, pięciu obszarpanych żandarmów ukraińskich. Objechali ich zakolem, a Dolata zawołał: „Jeszczeście tutaj? Myślałem, że załatwiliście już tę zafajdaną robotę!”. Jeden z idących na przodzie wartowników odpowiedział: „Stary podprowadzić kazał pod samą kolonijkę i tam ich dopiero rąbać”. Wkrótce pieszych zostawili za sobą i zaraz był mostek, a potem szeroki dukt. Paweł znowu zrównał się z Dolatą i zapytał: „Schwytyanych strzelacie?”. Tamten odpowiedział: „Osiem chałup z ludźmi podpalili podpierając drągami drzwi i okna. W kolonijce Białe. Niech was serce nie boli”. Dopiero po dłuższej chwili Paweł na to: „A Bóg, wasz Bóg, co?” i drgnął. Nie znajdował przecież w sobie żadnego odruchu potępienia, czy buntu, a rozpacz była tak częsta, że zaczynała się stępnąć, więc nie mógł zrozumieć dlaczego to powiedział. Gdy z duktu zagłębili się znowu w las, Dolata ściągnął koniowi wo-

dzy. Powiedział nadszpiewanie miękko i ze smutkiem: „Bóg pytaście? Prawdę mówiąc wielki Bóg, młody człowieku, był zawsze bardzo daleko i najzupełniej nam obojętny. Nie robił dla nas nic. Był tylko sam szczęśliwy. A teraz, to i wielki Bóg umarł”.

Stali potem w powłóczystym, niewidzialnym powiewie sosen. Nisko nad ich głowami wciąż jeszcze nawisała bladolina chmura, lecz w południowej stronie nieboskłonu słońce przebiło się na wierzch, rzucając długie smugi ku ziemi. „No, jedźcie już” powiedział Dolata; jego mała głowa tkwiła teraz głęboko, obronnie między szerokimi ramionami, lecz patrzył na nich obojętnie; wskazał ręką: „Najlepiej tą ścieżką prosto do traktu i później nie traktem, ale jarami, bo nadziejecie się na Niemców, albo inną jakąś swołocz. Pański sztucer może więcej zaszkodzić niż pomóc”. Dorzucił jeszcze zdawkowo: „Cześć” i zanurzył się w rozwidlenie wąskiej ścieżki. Paweł obejrzał się na Hanczara. Powtórzył szeptem: „A teraz, to i wielki Bóg umarł”.

IV

Krążył po pokoju prędkimi, skracanymi w miarę zbliżania się do okien, krokami. Po jakimś czasie zdał sobie sprawę z faktu, że zbyt go słyhać; ściągnął z nóg buty od konnej jazdy, cisnął je w kąt i chodził w skarpetkach. Przez okno widział, jak do dworu od frontowej strony przemknąć się próbował stary Waśkowski, ale ukraińscy schutzmanni nie przepuścili go, mimo że coś zawile i długo tłumaczył. I jak ekonom odszedł przeganiany krzykiem. Niemców nie było widać, natomiast głosy niemieckie, strzępy zdań, wybuchy bezceremonialnego, niemieckiego śmiechu, niekiedy gwizdany fragment żołnierskiego szlagieru, wszystko to nachalnie napływało z parteru, który zajęli. Z otwartych okien salonu, jadalni, saloniku matki, z biblioteki, a nawet później z apartamentów Katarzyny również. Potem ktoś niewprawnie próbował grać na fortepianie, lecz wkrótce przestał; znalazłszy patefon, nakręcił go i nastawił leżącą zawsze na wierzchu, ulubioną Katarzyny płytę, bo „Sentymalny koncert” Vivaldiego popłynął stamtąd czystymi, rozkołysanymi dźwiękami na werandę i park. Słuchał krztusząc się ostrym, dzikim, coraz dzikszym śmiechem, który wybuchał z niego, niby pijacka czkawka: coś ponurego, złego, rozsierzonego i rozżalonego zarazem, z czym nie

mógł dać sobie rady, aż zrozumiał, że ten śmiech też mogą usłyszeć i siadł zaciskając palce w uszach, a wtedy muzyka przestała do niego docierać i śmiech w nim ustał. Gdy po długiej chwili, opuszczając dłonie, wstał, już nic więcej nie słyszał.

Potem Paraska przyniosła jedzenie. Nakrywając stół pochlipywała nie głośno, lecz z uporem, po babsku, i choć jej płacz też działał mu na nerwy, nie krzyknął, nie kazał starej odejść, a zniżając uspokajająco głos próbował ją pocieszyć: „*Niczocho. Nu, niczocho, ne płacz. Szcze wse bude dobre, ne bijsia...*”, ale nie miał odwagi zapytać, czy Katarzyna kazała jej coś mu przekazać, lub powtórzyć przed swym odjazdem. Znowu chodził długo po pokoju w tę i z powrotem; jedzenie dawno wystygło. Mówił sobie, że to może lepiej, iż wuj August tak się pośpieszył z odesłaniem kobiet do miasta. Że jeśli odniesiona przez matkę w Tuczapsku rana niezbyt dobrze się goi, a jej stan przez to się skomplikował, to bez wątpienia potrzebuje troskliwej lekarskiej opieki i prawdziwego spokoju. Bo ciotki są stare i niezaradne. Że on sam niewiele może teraz komukolwiek pomóc, skoro osobiście zagrożony jest przez donos do gestapo o kontaktach z partyzantką. Każdej chwili mogą go przecież aresztować. A wreszcie, że coś takiego przeczuwał, iż Katarzyny już w domu nie zastanie. I wszystko to mówił sobie nawet z przekonaniem. Ale przekonanie o słuszności decyzji wuja, to było jedno, a zawód i wściekłość, to było drugie.

Gdy wreszcie przed zmierzchem zjawił się Wasylko Hanczar z wiadomością, że Karpatka wraz z ludźmi „samoobrony” przepadł gdzieś przed dwoma dniami, nie poczuł się zaskoczony. Bo i to nie było obecnie dlań najważniejsze. Tylko że Wasylko o tym nie wiedział zdając relację z sytuacji w Glebach. Więc potem musiał jej wysłuchać. I w ten sposób po kolei dowiadywał się, że owi Niemcy we wsi, to oddział Wehrmachtu, nie grozi mu zatem aresztowanie; przybyli po żywność; zarekwirowali w majątku trzodę wraz z połową bydła, a sędzia wybronić wprawdzie zdołał parę koni zaprzęgowych i pod wierzch, ale cugowe zabrali do podwód ze zbożem. I że część schutzmannów właśnie teraz pociągnęła konwojować zdobycz do miasta, gdyby zatem Karpatka był pod ręką, można by im co nieco po drodze odbić. Słuchał jednak Hanczara nie myśląc o czym on mówi. Dopiero, gdy ten powiedział, że rekwizycja to także skutek czyjegoś donosu, że w śpichrzach za wiele im zostało, zapytał: „Czyjego? Czyjego donosu?”, nie czekając nawet odpowiedzi, bo myśl już dokonywała błyskawicznego przeglądu niepewnych ludzi we wsi, nagle doskoczyła do Antypki i o niego zapytał. „Tak, tak...” powiedział Hanczar i chwilę milczał, a potem: „Widziałem An-

typkę, jak szedł do popa Martynienki. Siedzą tam teraz Niemcy, bo pop wódkę stawia. Przedtem to Antypko kręcił się pono przy futorze starego Czartoriusa. Pewnie prawda, że się, jucha, kręcił, bo zaraz była u Czartoriusów rewizja". Więc Paweł: „Trzeba to sobie zapamiętać” pomyślał i roześmiał się głośno. Nieoczekiwanie poczuł się tak, jakby odnalazł cel na najbliższe godziny, na najbliższe dni, na teraz. Nawet się zdziwił trochę. Bo przecież wcześniej miał cel także, i to nie jeden. Należało odnaleźć kuzyna Czerestwińskiego, a przynajmniej spróbować z nim się skontaktować, uspokoić rodzinę. Należało wyjaśnić, co zamierza Karpatka, dlaczego ogołocił wieś z zorganizowanego z takim trudem oddziału, gdzie z nim odszedł i z kim teraz trzyma. I wreszcie, jak najszybciej należało zabezpieczyć sprawy własnego domu, oraz ratować z dobytku, co się da. Ale wszystkie te cele, bardziej lub mniej odległe w czasie punkty celu, jakie trzymały go w ustawicznym, upartym, zaciętym ruchu rozplynęły się niby mgła, gdy tylko powrócił do domu, właściwie zaś, kiedy zorientowawszy się w porę, że w dworze biwakują Niemcy wraz z ukraińskimi schutzmannami, zostawił konia w najodleglejszym zakątku sadu za folwarkiem, chyłkiem poszedł przez gumna, a tam spotkał ekonoma Waśkowskiego, od którego dowiedział się, że panie starsza i młodsza z oboma ciotkami wyjechały. Jak gdyby ów fakt jednocześnie także tamte inne cele przekreślił. Teraz zaś, kiedy o Antypce pomyślał: „Trzeba to sobie zapamiętać”, to nagle w swoim zagubieniu odnalazł się na nowo. Hanczar patrzył z czujną uwagą, śmiech bowiem, który nim, Pawłem, przy tej myśli wstrząsnął, nawet dla niego samego brzmiący zagadkowo, gdyż tym razem wytrzebiony był z rozżalenia i ponury, zrozumiał najwidoczniej opacznie. Powiedział: „Nie trzeba się tak przejmować, pane. Wszystkich teraz jednak łąpią. Oby życie unieść cało, a już będzie dobrze”. Więc od razu po słowach Hanczara śmiech też w nim ustał, ale już nie musiał wcale wyjaśniać, że nie to miał na myśli, bo Hanczar podniósł się raptownie z brzeźka krzesła, na którym był siedział, już postąpił krok i już powiedział: „Ile to Karpatka się za Antypką nauganiała... Ale trzeba to zrobić ostrożnie... Żeby nie było na nas, ani na wieś”. A wtedy Paweł powiedział cicho: „Dobrze”, a Hanczar krótko: „*Ja zrozumiałem. Panycz wie, gdzie mnie szukać...*”. Już nic więcej nie powiedzieli.

Więc później znowu chodził po pokoju w tę i z powrotem, wsłuchując się w odgłosy domu, w miękki szelest swych stóp w skarpetkach sunących ostrożnie po podłodze, a przez okno widział pręgowane dotychczas jasnymi prądami niebo, jak powoli ciemnieje i że na schodach przed frontem domu usadowiło się

tymczasem dwóch schutzmannów; zapalili grube samokruty w okrawkach gazetowego papieru i w milczącym smutku spoglądali przed siebie w przestrzeń. Też pogonił tam wzrokiem i nie zobaczył nic; ogarnęło go to samo uczucie. Rozważając, jak wyjść z domu, żeby nie być przez nich indagowany, starał się przyzwyczaić, przywiązać do nowego celu, który przy pomocy Hanczara znalazł. Wprawdzie chwilami jeszcze zastanawiał się, czy przypadkiem nie wykonypował go sobie jedynie po to, aby oderwać myśli od czegoś innego, ale wzdrygał się przyznać do tego przed sobą szczerze. Powracał więc do dawnej rozmowy z Karpatką, zapewne przez Antypkę podsłuchanej, do podejrzenia, że Antypko musiał na nich donieść, do najścia na Czuprynię i śmierci Mikołaja Fiodorowicza, ale nie tylko, również do tego, kto na niego teraz doniósł, że kontaktuje się z partyzantką i ile ten, co doniósł naprawdę wie. Myślał także o Niemcach zastanych w Glebach i o dokonanej przez nich rekwizycji, choć przecież, co należało odstawić, dawno odstawił. Jednocześnie z myślą, że dzięki owym lojalnym odstawom majątek egzystował we względnym spokoju, przyplątywały się bolesne refleksje, że przez nie właśnie nienawidzą go zarówno chłopci ukraińscy, jak i polscy, w ogóle prawie cała zabiedzona wieś, jakby to on był winien, że okupant kontyngentny ściągają coraz sroższe. I jeszcze jedna myśl: że cokolwiek by się zrobiło, zawsze będzie źle. Potem jednak w korytarzu zabrzmiały znowu ciche kroki, i to był wuj August.

„Zanosi się, że cała ta banda zostanie na noc” irytował się wuj, „Niemcy bawią się u popa, natomiast Ukraińcy rozpalili w stodole na klepisku ogień, zarznęli parę wieprzy i uczują po swojemu. Jeżeli dalej tak pójdzie, folwark z dymem nam puszcza”. Ale Pawłowi wydało się, że wuj chciał powiedzieć coś innego, coś na co on, Paweł, czekał, bo to coś w spojrzeniu jego było, ten jednak po chwili tylko dorzucił: „Chciałbym, żebyś poszedł i pogadał z Niemcami. Nie mają nic wspólnego z powiatowymi żandarmami, którzy ciebie przedwczoraj szukali. Nic ci chyba nie grozi. Z moją nie najlepszą niemczyzną, to wiesz, z komendantem Liepke w Krzyżtopolu od biedy sobie radzę, kiedy rozmowę ułatwia żywnościowa paczka. Nie z tymi. Młodzi, z góry wrogo nastawieni. Ale mogą powstrzymać schutzmannów...”. Więc przerwał: „Dobrze, pójdę. Jeżeli wuj nic więcej do mnie nie ma...”, a sędzia: „Siadaj. Nie masz się co unosić! Kobiety musiałem wysłać, rozumiesz? Musiałem! W obecnej sytuacji nie mogłem z tym zwlekać ani chwili dłużej. I czekać na ciebie i się radzić”.

Toteż siedzieli później naprzeciwko siebie, jak wtedy w południe, kiedy on, Paweł, powrócił, wsunął się kuchennym wej-

ściem do wnętrza domu, wiedząc jedynie, że one wyjechały; siedzieli rozdzieleni stołem z nie zapaloną lampą po środku, z twarzami zapatrzonymi w siebie z napięciem, tylko że ledwo je nawzajem widzieli. Ukraińcy na schodach przed domem zaczęli nucić niegłośno, monotonna, w jakimś przeraźliwym zapamiętaniu nie znaną, nie z tych stron melodię, Paweł jednak nie wstał i nie poszedł zamknąć okna. Prócz pieśni napływał stamtąd zapach mroku, zieleni i więdnących roślin. Wirujące cienie na ścianie były wielkie niby ptaki. Głos wuja brzmiał spokojnie, ale oschle; był to głos człowieka, który wie, że to co powie, będzie nie tylko nieprzyjemne, także, być może, przyjęte zostanie jako nieprawda: „Jeżeli odejście Karpatki z oddziałem samoobrony jest po prostu zdradą, to można sobie powiedzieć: okropne w tej sytuacji, ale w końcu mało skomplikowane, i darować dalsze myślenie o tym. Lecz jeżeli to nie to? Jeżeli to zmiana pozycji? Wybranie pozycji, które jemu wydają się słuszniejsze? Podobno ostatnio komunizował... Jeżeli tych, zmieniających teraz na gwałt pozycje jest więcej? Bardzo dużo? I jeżeli to nie my, ale oni mieliby mieć w przyszłości rację? W polityce kryteria moralne nie wiele się liczą. Liczy się skuteczność działania. Myślę o tym i nie wiem, jak sobie odpowiedzieć. Sam racji im nie przyznam, nie mogę, ale bardzo chciałbym wiedzieć, czy są szczerami uciekającymi z tonącego okrętu, takimi pospolitymi szczerami, co tylko chcą zabezpieczyć własną skórę, czy też rzeczywiście wierzą, że walczą i wywalczą coś lepszego, niż my. Tak, myślę, że on na pewno ostatnio komunizował...”. Paweł nie przerwał jednak słowem: „Wiem”, nie kiwnął nawet głową, dopiero znacznie później. Dopiero, gdy sędzia zrelacjonował, jak to przed trzema dniami gorzelany zabrał całą przechowywaną broń, dołączył z ludźmi do jakiegoś nieznanego oddziału biwakującego w dolinie Męki Pańskiej, a potem, jak rodziny owych ludzi, co z nim poszli uciekły od razu do Iłłowki Tatarskiej, bo pop Martynienko jawnie teraz ze swoimi zausznikami bandom sprzyja, gardłując za „samostijną Ukrainą”. Paweł powiedział: „Wiem. Być może komunizował. I zapewne w tej sytuacji nie może to być jego osobistą sprawą. Ale czy wuj sądzi, że Karpatka i ci ludzie mają jakiś moralny obowiązek strzec cudzego majątku? Komunizował wuj mówi — słowo, które teraz inaczej brzmi, niż przed wojną... Wiem tylko, że nigdy nie uchylał się od partyzanckich zadań. Nie ze strachu więc odszedł. Zdradził... Czy ja wiem, co teraz jest zdradą, a co nią nie jest...? Coraz głębiej toniemy we mgle”. I raptem zamilkł. Oczy wuja wpatrywały się w niego wzrokiem drwiącym, smutnym i pełnym czegoś jeszcze, czego nie potrafił i nie chciał nazwać. Nawiedziła go upokarza-

jąca myśl, że od kiedy Aleksy naprawdę nie żył, tamtym zawiadomieniem Czerwonego Krzyża uśmiercony ostatecznie, ani jeden jego krok w Glebach, słowo, gest, nawet najtajniejsza myśl, nie zostały przez wuja przeoczone. „Ty też nie wiesz? Też masz wątpliwości...” powiedział wuj cicho. „A wuj nie?”. „Jeśli chodzi o własne pozycje — nie. Ale chyba ty też ich nie masz. Więc dlatego nie wiem dlaczego wzbranasz się nazwać tego zdradą”. A wtedy Paweł podniósł się prędko z krzesła, wuj zaś się roześmiał, lecz on już zamykał okno, by uciszyć wreszcie ten napływający z dołu monotony śpiew. I ucichł on, zamilkł natychmiast. I śpiew tamtych, i także śmiech wuja za jego plecami, jak gdyby były od siebie zależne, i w tej nagłej ciszy odwrócił się i powiedział: „Pójdę, pogadam z Niemcami, jak wuj sobie życzy”. Widział cień sędziego na ścianie, bezkształtny i trochę w swej zwalistości przygarbiony. Potem cień w milczeniu odszedł.

Po jakimś czasie Paweł wyszedł także. Schutzmanni siedzący na ganku nie zatrzymali go; znowu smętnie ciągnęli tę swoją gardłową pieśń. Myślał, że będzie już ciemno, ale nie było ciemno. Zajrzawszy w bramę folwarku cofnął się, bo dziedziniec był oświetlony ogniskami i tych czarnomundurowych, podpitych i krzykliwych kręciło się zbyt wielu. Na tle bezbarwnej teraz i wilgotnej od rosy ziemi, zszarzałych drzew ukazywały się i znikwały jakieś świetliste plamy, ruchliwe, przypadkowe, w gąszczu popiskiwały zamierająco ptaki, a daleko za murem wył muzycki kundel. Poza bramą natknął się na drepczącego do wsi dziada cerkiewnego Filipkę, który uskoczył w bok i dopiero wtedy zaczął czapkować; nie powiedział do starego nic, udając, że nie widzi, jak upycha pośpiesznie za pazuchę krwawy ochłap mięsa. Szli przez pewien czas prawie razem, bo Filipko nie śmiał go wyprzedzić, a bał się zostać w tyle, prawdopodobnie niepewny, czy on, Paweł, widział ten dźwigany z folwarku łup, czy nie. Gdy mijał stawy zawiąło charakterystycznym zapachem końca lata, butwienia, chłodu, gnicia. W paru zagrodach słychać było brzęczenie bandurek, harmonie i śpiewy, i po kilkudziesięciu krokach, odwracając twarz do dziada powiedział „Bawią się”, a ten dodreptał doń szparko przytakując skwapliwie: „*Jak rezuny przyszły i nie rezaju, jest z czego cieszyć sia, wilmożny pane. Horełyci popiju, potancuju i...*” zastanawiał się, aż filozoficznie zakończył: „*Tyli omasty tym ludziom na wsi, co sobi potym w tózku pobrykaju*”. Wtedy Paweł przystanął i powiedział doń: „No, przechodź już stary”, a dziad zgął się w pół i nie przestając się kłaniać zaczął odchodzić; jego szarobrudna czapa z daszkiem unosiła się i opadała wtapiając w pierwsze księżycowe cienie. Przypomniawszy mu się stary chłop w Czupryni przy pożarze, który

doń powiedział ostrzegawczo: „*Wtikajte pane, bo was pomordujut*”. Przypomnienie było zupełnie mechaniczne, ale wydało się złowróżbne.

Przez nie zasłonięte okno kuchenne w plebanii widać było w świetle naftowym krzątające się dwie baby służebne i suchotniczą, kościstą popadię trzęsącą zwiędłym biustem w krzyku na kogoś stojącego w sieni wiodącej na podwórze, ganek zaś, odwrócony ku cerkiewce bokiem, tonął w cieniu, ale czarne postacie, których twarze były biało lśniącymi plamami, wychodziły stamtąd zaczerpnąć powietrza. „Czują się tak pewni, że nawet nie wystawili straży” pomyślał, „Albo są podpici. Gdyby tak rzucić granat”, jednak myśli nie dokończył. Księżyc odsłonił już całą wieś i pola, aż do samego ich zetknięcia się z ciemną ścianą północy. Wewnątrz plebanii zagrała teraz harmonia, rozległ się tupot nóg, więc słuchał chwilę wcale nie słysząc. Potem się przemógł. Zajrzał na podwórze, czy rzeczywiście nikt nie pilnuje; nie pilnował nikt. W drzwiach obory ujrzał tylko debilowatego pastucha Nikitkę, w głębi zaś przeżuujące sennie, wydojone na noc krowy; kuchenne światło, w którym miotała się popadia, zdawało się go śledzić wyzywające i groźne, jak oko, aż do wejścia pod okapem ozdobnego ganku, gdzie na rzeźbionej belce poręczy siedzieli parując z wódki dwóch młodych Niemców, którzy na jego widok przerwali rozmowę. Oddychał teraz tak cicho, że sam nie słyszał swojego oddechu, a znalazłszy się w środku, poczuł, że twarz ma zupełnie spokojną, prawie jak maska, piekły go tylko powieki, jakby od dymu.

Miał wrażenie, że to minęły wieki, tymczasem naprawdę parę sekund zaledwie upłynęło, jak stał w progu przyglądając się izbie wypełnionej ludźmi, potem przesunął się dwa, trzy kroki pod ścianą w bok, znowu się zatrzymał i ciągle jeszcze nie zauważył go nikt. Dwóch Niemców, z których jeden starszy w randze podporucznika, z okularami w srebrnej oprawie na nosie prowincjonalnego inteligenta, drugi młodszy, ale łysy i gruby w randze sierżanta, siedzieli pod przeciwną ścianą ściskając między sobą córkę popa, Łarysę, odpowiadającą na to, co do niej mówili niezmiennie podnieconym chichotem i: „*Ja, ja, gut, natürlich, gut...*”. Pop Martynienko dolewał właśnie z dzbana do blaszanych kwart mieniący się złością spirytus na miodzie, wygłaszając tonem podniosłym po ukraińsku jakąś orację naszpikowaną obficie słowami rosyjskimi, polskimi i, o dziwo, greką też, co Niemców jednakowo nie zdawało się interesować. W środku izby trzech szeregowców w porozpinanych mundurach obracało w tańcu kuzynkami Łarysy w takt zwolnionego hopaka wyciąganego z harmonii przez objazdowego leśnego Slipczuka, oraz

harmonijki ustnej czwartego szeregowca, o chłopięcym wyglądzie, stojącego przy oknie i bez reszty pochłoniętego swą grą. I jeszcze była ściana od ogrodu, gdzie siedziały rzędem na ławach wszystkie służki cerkiewne: diak i poddiaczy z rodzinami. Ale wreszcie został zauważony i gwar głosów, a nawet muzyka harmonii raptem się urwały. Może stało się to w chwili, gdy wyciągał z kieszeni spodni papierosa i, mimo że było jasno, na sekundę, dwie stanął w błysku zapalniczki jeszcze jaśniejszy, jakby dopiero teraz widzialny; może nieco później, gdy potrząsnął nią i zgasił. Bo kiedy jeszcze przyglądał się zanikającemu w powietrzu płomykowi, to gwar i muzyka chyba trwały, dopiero, kiedy zapalniczkę odrzucił, ów charakterystyczny stuk, jaki wydaje ona uderzając o drewnianą podłogę, rozległ się w prawdziwej ciszy, w której tylko harmonijka młodszego Niemca pod oknem rozbrzmiewała dalej. Potem wydało mu się, że słyszy niezliczone głosy, szepty, syki, pomrukiwania i pochrząkiwania i widział, jak pop Martynienko nachyla się do oficera i próbuje mu coś tłumaczyć, czego ten nie może pojąć. Aż ponad wszystko wzbił się podniecony, histeryczny, nietrzeźwy śmiech Łarysy i wtedy Paweł, żeby być poprzez ten jej śmiech dosłyszany, krzyknął do Slipczuka po polsku: „Grajcie dalej!”, ostro i rozkazująco. I poruszył się. I czując na ciele zadymione, zaparowane powietrze izby, gęste niczym oliwa, przepchnął się jednym długim ruchem do przodu i odsunawszy od oficera szczerwieniałego na twarzy popa, przedstawił się rzeczowo, krótko, po niemiecku.

Znowu zapiszczała harmonia, pary na środku izby znowu zakreśliły się w tańcu, oficer zaś zadowolony, że ktoś mówi doń zrozumiałym dla niego językiem, wyjął Martynience z ręki dzban z alkoholem, nalał do kubków i zrobił zapraszający gest. Wtedy dopiero Paweł tego zapalonego na progu papierosa odrzucił. Sięgnął po napełniony dla siebie kubek i wypił duszkiem, jak to robią ci, którzy nie boją się upić w sytuacji w jakiej się znajdują. Powiedział z czym przyszedł. Że jeśli zaraz nie zrobi się porządku na folwarku, ludzie Schupo rozkradną wszystko, albo ogień zaproszyć gotowi i będzie po dostawach dla armii. Na to Niemiec przechylił się do łysego feldfebla poprzez Łarysę i powiedział coś półgłosem krótko. Ten łysy podniósł się z krzesła, krzyknął na żołnierzy, którzy z ganku wkroczyli przed chwilą do izby i stali w pogotowiu, ci zaś zdjęli maszynowe pistolety z haka na belce (harmonia Slipczuka powtórnie zamilkła) i razem z feldfeblem odmaszerowali w czeluść wyjścia. W ciszy, która teraz nastała, jedynie popadianka Łarysa dalej zanosila się prowokującym, hałaśliwym chichotem (jej rozpychający stanik biust trząsał się w górę i w dół), aż Paweł po raz drugi powiedzieć musiał do

Slipczuka: „Grajcie”, tylko że tym razem niegłośno. I znowu porozpinani szeregowcy poczęli obracać się w takt muzyki, dziewczyny znowu spoglądały sponad ich ramion oczyma okrągłymi, których wyzywająca buta walczyła o pierwszeństwo z ciekawością i lękiem, Martynienko znowu coś perorował przesuwając półmiski z blinami, cerkiewne zaś służki huczały ku sobie rzucając ukradkowe, prędkie spojrzenia. I wtedy, choć chciał już przeprosić za przerwanie zabawy i wyjść, nagle coś z nim takiego się stało, że zrezygnował i, jakby przyrósł do ławy, siedział szcypiwszy się z tymi wszystkimi spojrzeniami spoczywającymi na nim prowokująco i ciężko, on sam obecnie nie chcąc ich puścić, mocował się z nimi, aż wreszcie od niego odbiegły i rozbiegły się na boki spłoszone.

Potem dzban z alkoholem zwolna się opróżnił. Rozmowa prowadzona z oficerem toczyła się, jakby w zupełnie innym miejscu i jakby oni byli zupełnie innymi ludźmi. Może by się zresztą sama w końcu wyczerpała. Tylko że śmiech Łarysy poderwał się histerycznie po raz trzeci i ojciec trzepnął ją w twarz. Muzyka zabrzmiała wtedy głośniejsz, a może to w izbie zrobiło się ciszej. I Martynienko, jakby chcąc zatrzeć wrażenie, wykrzyknął jakieś zadziorne: „Hejże, hejże, panowie Lachy!” i odbiwszy się nagle od stołu, skoczył na środek izby, a potem pokrzykując na Slipczuka, rozepchnął tańczące pary i ruszył do solowego tańca. Ale oficer wstał i skierował ku wyjściu, nawet nie obejrzawszy się na popisującego się „swiaszczennika”. Paweł po chwili wstał również. Dopiero jednak, kiedy byli na ganku, tupot wraz z muzyką się urwały, a na ich miejsce bas popa zaintonował złowieszczo, jakby w pogoni za nimi: „*Do Czornoho moria Dnipro ta i pływe, ataman na Moskwu nas wede. Ne straszna w boju smert' — sława Bohu, czest'... Smert' Lacham, smert' żydiwskiej komuni...*” i Paweł, nie ruszając się z miejsca, słuchał tego śpiewu przez dobrą chwilę poprzez skarżący się bełkot Niemca, który trzymając się sztachet płotu nachylał głowę ku ścieżce, między zaś jednym a drugim skurczem wnętrzości, spluwał w kierunku chaty. Chociaż nad wsią wisi już pełny księżyc, w cieniu płotu zbyt było ciemno, aby Paweł mógł dojrzeć, co działo się na jego twarzy. I nagle ta pieśń tam za ich plecami ucichła, jakby ktoś przeciął brzytwą wiele strun.

Potem szli razem i Paweł myślał: „A ja jestem trzeźwy. Trzeźwy jak diabli. I nie będę mógł zasnąć”. Gdzieś za cerkwią, albo za cmentarzem dwa nocne ptaki gwizdały przewlekłe i jękliwe, wzdłuż drogi zalatywało nikłą wonią końskiego amoniaku i stężonym zapachem po wdeptanym w ziemię sianie. Teraz mógł się swemu towarzyszowi przyjrzeć lepiej, niż w chacie popa. Miał

on słabą, czujną twarz jeszcze wciąż przystojnego człowieka, który lubił podobać się niegdyś kobietom, a nagle jakiegoś przypadkowego dnia przestał podobać się nawet sobie. Był bardzo pijany i wydawał się zupełnie bezbronny. Paweł myślał, że gdyby go tak zostawić, mógłby go ktoś zakłuć jak wieprza, a potem wieś poszłaby z dymem, albo dwór, zarzucił więc jego rękę na swoje ramię i taszczył półbezładne ciało, aż na folwarku rozległy się dzikie krzyki pełne nienawiści, kilka serii z automatu, oddanych w górę, załomotało długim jazgotliwym echem o drzewa i o strzechy, zawył gdzieś pies, koń gdzieś kwiknął spłoszony, wrzasnął bity człowiek, a wtedy Niemiec ożywił się, przez chude ciało przebiegł dreszcz, oswobodził ramię i zrazu chwycił się, z każdą sekundą jednak coraz mniej, stanął o własnych siłach. Miał twarz białą, zastygłą, zakrzepłą, nie wrogą, nie nieprzyjazną, również nie nietrzeźwą, jakąś nawiedzoną, nawiedzoną myślą, czy też nagłym uświadomieniem sobie czegoś, a choć Paweł powiedział doń zaraz uspokajająco: „*Gehen wir, das ist schon nicht weit von hier*”, nie zdawał się wcale słuchać, ta jakaś myśl jedynie, czy świadomość czegoś go obchodziły, i z głębi tego swojego zamyślenia odezwał się półszepcetem zdumionym, jakby dokonał odkrycia: „*Schrecklich! So ist jedem Tag. Das ist ja doch wirklich das Ende der Welt*”.

Stali dobrych parę sekund na środku drogi, słuchając zanikającej na folwarku wrzawy. Obaj czekali jeszcze, czy serie załomczą po raz wtóry. Nie odezwały się więcej. Potem Niemiec powiedział zupełnie przytomnie: „*Ja, das ist nicht weit, wir können schon gehen*” i zaczął się śmiać, ale jego śmiech był smutny, a twarz zakrzepła, jak przedtem. I zaraz był odcinek drogi między stawami, a bramą, jeszcze pusty, potem kilkadziesiąt metrów parku, aż do bramy folwarku, i już znaleźli się na skraju dziedzińca oświetlonego ogniskami, z których jedno płonęło na klepisku otwartej na oścież stodoły. I się zatrzymali. W głębi na skraju dziedzińca stali ludzie: z lewa kilkadziesiąt Ukraińców w czarnych mundurach, w jakie zostali przez Niemców przebrani, z prawa zaś ci trzej, których Paweł widział już u popa, wysłani przez oficera dla zaprowadzenia porządku. Niemcy pokrzykiwali: „*Halt! Rus na miejsce!*” do tych na krańcu podwórza, stojąc rozkraczeni szeroko, gotowi do oddania następnych serii, maszynowe pistolety kierując w rozkrzyczany, mrowiący się tłum naprzeciw, zresztą również pod bronią, tylko że zdezorientowany, nie mogący się połapać dlaczego nie zezwalają im na to, co zawsze było im wolno, a wtedy Paweł posłyszał tuż obok metaliczny szczęk i odwrócił błyskawicznie głowę. To stojący przy nim podporucznik wbił magazynek w rękoejęc

swego pistoletu, ten zaś jego śmiech znowu się ozwał, tyle że zaraz zagłuszony strzałami. I zrobiwszy kilka kroków do przodu za Niemcem wrzeszczącym: „*Alle raus! Raus, los, los! Zu Quartieren! Schlafen, Schweinehund!* Raus!” znowu się zatrzymał, przestrzeń bowiem na lewo pod zabudowaniami obór była jakby wymieciona do czysta. Wtedy oficer cofnął się ze wzrokiem ponownie zmętniałym i nietrzeźwym: „*Die artigen Jungen werden jetzt schlafen gehen, und Morgen den verfluchten Banditen nachspüren*”, a po chwili: „*Sie werden jetzt ruhig sein. Brauchen Sie kein Angst haben*”, wybełkotał jeszcze. (Jednakże dopiero nazajutrz miał się Paweł przekonać, co „grzeczni” chłopcy po sobie zostawiają. Folwark był wyrabowany, zdemolowany, paru fernali i chłopów, usiłujących bronić dobytku, pobito do zatury przytomności, a o świcie odjeżdżająca zgraja opróżniła jeszcze kurniki w otoczeniu dworu, w czym sekundowali także Niemcy, i wymiotła z czego się dało chłopskie śpizarnie. Chodząc po wsi w poszukiwaniu Hanczara, żeby się naradzić, i rozglądając się za Antypką, myślał z przygnębieniem, jak wyglądać będzie wieś, kiedy wejdzie któraś z banderowskich band, albo Gawryluk. W oczach miał ciągle Tuczapsk, Nikorycę i Czuprynię. To co tam się stało. Zaszedł potem do skotarza Czugaja, ale i tam Hanczara nie zastał. Stary siedział przy otwartym oknie ponuro spoglądając w stronę, dokąd odeszli schutzmanni z Niemcami, a gdzie w zadymionym niepełnym słońcu wyciągała się pusta, aż w bezkres droga. Jego córka Agrypina, dziewczyna krzepka, pełna, w wysoko zakasanej spódnicy zmywała podłogę i beczała głośno zapuchnięta na twarzy. Stary stęknął i przetarł ławę, żeby Paweł mógł usiąść. Burknął do córki: „Nu, Gapa, przestańże wreszcie. Mdło się robi. I nie zadzieraj kiecki, bezwstydnico! Wielka mi rzecz, zgwałcili. Czy to ciebie pierwszą?”, a gdy dziewczyna rzuciła ze złością szmatę i opuściwszy spódnicę na białe łydki zachlapano wodą, na nowo się rozszlochała, do niego, Pawła: „Widzi pan, tylko do drewnitni za sadem posłał ja ją i nie-szczęście. Wróciła po godzinie obdarta i zadrapaną. Czterech ich było. Pod rewolwerem. Cóżem mógł ja zrobić?”, i jeszcze raz do dziewczyny: „Nu, koniec, wynoś się stąd!”. Westchnął ciężko, gdy nie przestając łkać wyszła. Patrząc osowiałym wzrokiem, powiedział: „Dobrze jeszcze, że nie ubili”. Widać domyślił się na co on, Paweł, czeka. „Hanczar był, obserwował stąd z godzinę” wskazał głową widoczną z okna chatę szpicla, „Tylko że Antypko gdzieś mu zemknął i się zawieruszył”. Potem zaraz powrócił do swoich niewesołych medytacji). A już i teraz, choć po „grzecznych” chłopcach nie było śladu, nie miał złudzeń, żeby ten spokój trwać mógł długo. Łysy feldfelbel uznawszy widać, że

zrobiono, co należało, krzyknął na szeregowców, a ci, hałaśliwie szwargocąc, zarzucili na plecy maszynowe swe pistolety i zawrócili w kierunku wsi.

Podporucznik ponownie uwiesił się na Pawła ramieniu, więc pociągnął go ku bramie. Jeszcze widział, raz się odwróciwszy, jak ze stryszku nad stacją wymyka się po drabinie stajenny Chrobak, rozglądając się podchodzi do ogniska w stodole i gasi je prędko. Potem szli przez ciemny park, Niemiec słabł, ciążył, wciąż łapiąc krótkie momenty trzeźwości i zasypując wtedy Pawła mało zrozumiałym bełkotem, w którym wizje apokalipsy mieszały się z obrazami upadku wszelkiego porządku, szturmu barbarzyństwa na ład, pogrążania się świata w odmęty, przy czym żadna siła, nawet niemiecka, nie uratuje ludzkości. Dopiero w saloniku Katarzyny, dokąd go pociągnął, być może zwabiony światłem w drzwiach, zwalając się połową ciała na wieko fortepianu, zamilkł. Powtórzył prawie trzeźwo swoją kwestię: „*Jetzt wird die Ende der Welt sein*”. Jego szeroko otwarte oczy zatrzymały się na fotografii Katarzyny ustawionej na serwantce, w jego wzroku błysnęła ciekawość i potem wszystko mu się pomieszało. „*Schöne, junge Dame*” szeptał, „*Ihre Frau? Fein! Sind Sie auf sie einfersüchtung? Wo ist sie? Ich habe sie hier nicht gesehen. Ich habe Sie frieher auch nicht gesehen. Woher sind Sie gekommen, verfluchter Kerl!*” i dalej, prawie bez pauzy, ale już łamaną polszczyzną: „On nie ma prawa być zazdrosny! On siedzieć w domu, a my walczyć! On wiedzieć, teraz koniec świata!” krzyczał, aż osunął się na fotel. Gdy Paweł wychodził, chrapał. Gładko wygolona, babska jego twarz w przyćmionym świetle była chorobliwie żółta i zniszczona.

Nie chcąc wpaść na jeszcze kogoś z tej bandy, Paweł poszedł nie do siebie, lecz znowu na górę do pokoju gościnnego i nie zapalając światła, prawie nie rozbierając się, umył się prędko. Cekał, czy przyjdzie wuj, ale wuj nie przyszedł. Wyjrawszy przez okno, zobaczył na ganku tych samych chyba, co przedtem strażników ukraińskich śpiących twardo w pozycji półleżącej, z karabinami odłożonymi niedbale na bok i że park jest pusty i cichy tak, iż nawet szelest przelatujących sów zdawało się słyszeć. Myślał: „Na pewno nie zasnę. Przekłeta historia, na pewno nie zasnę. Nie zasnę...”. I jeszcze o oficerze, którego zostawił w pokoju Katarzyny, i wszystko w nim kurczyło się ze wstretu i złości, gdy powtarzał: „Koniec świata, koniec świata, koniec...”. Dusząc w sobie bezsilę położył się na kozetce i nerwowo zapalił papierosa. Przypomniał sobie zdjęcie Katarzyny tam na serwantce naprzeciw śpiącego Niemca. Starał się nie myśleć o niej, a jednak obraz jej nie ustępował. Przypomniał sobie nagle, jak to krótko

po jego powrocie z wujem z wyprawy do Katynia weszła do jego pokoju i powiedziała coś, czego obecnie nie pamiętał, jakkolwiek zapamiętał, że nie wiele brakowało, żeby ją był wtedy uderzył. Drgnął. Nie miał pojęcia dlaczego mu się to teraz przypomniało i dlaczego naraz wydało tak ważne. Później przypomniał sobie jeszcze, jak jednego z następnych wieczorów siedział nad książką w bibliotece, zamknięty na klucz i uniósł głowę zaskoczony, a nawet wstrzymał oddech, kiedy Katarzynę ujrzał w drzwiach bocznych, które zapomniał był zamknąć. I że nie czuł nic, tylko wielkie zmęczenie, a może lęk. A w końcu przypomniał sobie także, jak po paru dniach zastał ją siedzącą na skraju łóżka w swoim pokoju. Ale zanim to sobie przypomniał, wpieryw pomyślał, czy wtedy, w tamtych dniach nie miała jednak racji, gdy miał przywdziać żałobę po mężu, spakowała jedynie walizki. Czy w ogóle ten piekielny wir i właśnie oni w samym jego środku, ten wir, jakby biblijny koniec świata rzeczywiście już nastał, czy to wszystko jeszcze miało, nawet wtedy, jakiś sens. Wprawdzie od razu, jakby na przekór tej myśli wyłonił się z pamięci dzień pogrzebu Mikołaja Fiodorowicza, kiedy stryjka Małgorzata zaproponowała Katarzynie wyjazd do Wielkopolski, ta zaś odmówiła, nazywając Gleby swoim domem, to jednak wiedział, że ta odmowa była z jej strony odruchem, impulsem, nic więcej. I bez większego znaczenia. Potem pamięć, ciągle się cofając, dotarła znów do dnia po powrocie z Katynia, kiedy usiłował wciągnąć się w rytm gospodarskich zajęć i przypomniał sobie ów wieczór, kiedy Katarzyny nie zastał przy stole, a otwierając drzwi swego pokoju ujrzał ją siedzącą na skraju łóżka zapatrzoną w okno, z rękami sztywno złożonymi na kolanach, które nawet nie drgnęły, gdy wszedł i w pół kroku się zatrzymał zaskoczony. Pamiętał, że zanim wtedy pomyślał, jak niedawno, bo przed paroma tygodniami, przed tą podróżą do Katynia pragnął jej obecności, i, zanim sobie przypomniał wyraźnie, niemal fizycznie tamto sprzed tygodni pragnienie, musiało upłynąć parę sekund. Potem musiało upłynąć następnych parę, zanim wreszcie rzeczowo sformułował w myśli pytanie: dlaczego przyszła po raz drugi. Ale jeszcze nie zdążył znaleźć na nie odpowiedzi, gdy ona spojrzała na niego odwracając od okna twarz. Stało się to w chwili, kiedy miał się poruszyć. Pod wpływem tego spojrzenia zapomniał nagle wszystkiego, co dopiero myślał, a gorąca, lepka, paląca fala czegoś rozlała się mu po ciele. I zrozumiał, że przypomnienie tamtego pragnienia nie było wcale wyraźne, fizyczne niemal, a że tak mu się jedynie zdawało. Dopiero teraz. Gdy ta fala rozlała się i poczuł gwałtowne uderzenie krwi do mózgu oraz jej powolny odpływ. Musiał się przezwyciężyć siłą, żeby, już przecież przedtem

przygotowany krok, zrobić. Przypomnienie bowiem tamtego pragnienia wyzwoliło natychmiast w pamięci inne przypomnienie. Ze w dzień przed wyjazdem do Katynia, a może nawet później, bo w czasie podróży, pomyślał: „Ona zrobiła to z litości”. I zatrzymując się, znowu, jak przedtem pomyślał: „Ona zrobiła to dla mnie z litości. Oddała mi się z litości”, bo miał wrażenie, iż przez cały czas, od kiedy wszedł do pokoju, ona śledzi go z wyraźną, spokojną pogardą. Ale potem jeszcze raz się ruszył, postąpił jeszcze parę kroków i pojął ze wstydem, że się pomylił. Już nie mógł powiedzieć nawet, czy go zauważyła, a co dopiero, czy na niego patrzy, czy nie. Bo choć twarz kobiety zwrócona była ciągle w jego kierunku, to oczy zdawały się zupełnie nieobecne, nieobecne i zamyślane. I pomyślał: „Ona czegoś chce ode mnie” mówiąc głośno: „Jestem. Możesz mówić. Nikt nam nie przeszkodzi”, już wiedząc z całą pewnością: „Ona czegoś chce. Przyszła, żeby mi to powiedzieć. Może tylko to chce, żebym wszystko wiedział o niej”, lecz wcale nie pomyślał wtedy o Piotrze Czerestwieskim, nawet o swym bracie Aleksym i nawet o sobie też nie; był w nim chłód, jak po wypalonym zbyt raptownie i zgąsłym płomieniu.

Upłynęły później ze dwie albo trzy godziny, a ona wciąż jeszcze mówiła. Siedzieli obok siebie na skraju łóżka w ograniczonym świetle zmierzchu i nie dotykali się nawet ramionami. Minęła pora kolacji, nie zauważyli tego. Siedzieli potem w powoli ogarniającej pokój ciemności, a ona powiedziała mu, że nie wie, czy kiedykolwiek kochała dom w Glebach, wie jednak, że był taki czas, kiedy pragnęła tego domu i wierzyła, że będzie on jej. Mimo tego, czego dowiedziała się o swym pochodzeniu krótko przed ślubem wpierv od ciotki Dominiki, a następnie od innych. Ale wówczas, kiedy już go wreszcie miała, stał się jej własnością (jeszcze nie przeczuwając, że jednocześnie sama staje się własnością tego domu), to od razu go utraciła, tak że nawet przywyknąć nie zdołała do myśli, że jest jej. Nie, nie teraz dopiero, gdy Aleksy umarł naprawdę. Już w trzydziestym dziewiątym roku, gdy tylko odszedł, a nie przypuszczała, że odszedł na zawsze. Więc potem, dopóki jeszcze Aleksy nie umarł naprawdę (nie, wcale nie łudziła się przez te lata, że żyje), dopóki nie nadeszło to zawiadomienie Czerwonego Krzyża, ona sama była jakąś cząstką własności Aleksego, co znaczyło tyle, że była także cząstką własności tego domu. Za tamtą krótką chwilę świadomości posiadania swego domu, poczucia, że będzie, czy też, że jest on jej i że będzie, czy że jest ona wreszcie u siebie, płaciła przez następne lata sobą. Przywiązana, przykuta do murów, do ścian, uwięziona w powietrzu zapełniającym przestrzeń pokoi i

przez te wszystkie przedmioty, które należały ciągle jeszcze do Aleksego. Tym bardziej przywiązana i uwięziona, że mury i przestrzeń między nimi, wszystko to dotknięte zostało już groźbą zagłady i śmiercią. „A teraz jakaś nic nagle się zerwała” mówiła głosem zrównoważonym i cichym. Tak mówiła wtedy i teraz też w jego przypomnieniu, gdy leżąc na kozetce w pokoju gościnnym znajdującym się nad jej salonikiem, gdzie spał pijany oficer niemiecki i gdzie zostało po niej jedynie zdjęcie na serwantce, myślał o jej nagłym, bez pożegnania wyjeździe, o odległości, jaka ich teraz dzieli i mówił w myśli jej słowami: „A teraz jakaś nic nagle się zerwała” o sobie. Wtedy, kiedy ona to mówiła nie widział już jej twarzy, miał tylko wrażenie, iż jest ona również spokojna i zrównoważona, jak głos. Źródło dźwięku znajdowało się tuż obok niego, bardzo blisko (czuł nawet ciepło oddechu Katarzyny, gdy mówiła) i pulsowało w tej właśnie, a nie innej chwili, mimo to jednak dźwięk zdawał się spływać ku niemu z jakiejś bezmiernej sennej toni, ogromnie dalekiej, właściwie zaś jak gdyby znikąd i, jak gdyby nie był on, ów dźwięk związany z żadnym czasem.

Podczas, gdy Katarzyna mówiła, nie poruszył się. Patrzył w okno. Widział, jak w jego otwartej, ramami ograniczonej przestrzeni przelatują na dole srebrne, świecące robaczki i, jak w miarę pogłębiania się ciemności, coraz bardziej jaśnieją. Każde słowo zapadało w niego do samego dna poza wolą, poza świadomością nawet. Wiedział, że nie było w tym, co mówiła, żadnej kobiecej chwiejności, żadnej nieśmiałej prośby, czy zamiaru skłonienia go do zrozumienia, lub do jakichkolwiek ustępstw. Mówiłaby prawdopodobnie tak samo, gdyby siedziała w pokoju sama. Patrząc w prostokąt okna, które na zawsze stopiłoby się z czarnymi ścianami, gdyby nie przelatujące ruchliwe robaczki, myślał wtedy: „Jakże mało ją znam. Parę lat pod jednym dachem, a przedtem prawie razem spędzony taki kawał dzieciństwa i tak mało ją znam”. I choć czuł wciąż jeszcze chłód, nie był to już chłód fizyczny, gdyż powiew ciągnący przez okno był ciepły. Słuchając Katarzyny słyszał równocześnie szum drzew, wycie psa na skraju wsi, któremu odpowiadał zaraz inny, skrzypienie wozów na drodze, które cichło, jakiś śpiew, również cichnący zwolna, daleki huk rakiety i senne muczenie krów zostawionych na nocnych pastwiskach. Wszystkie głosy rozległej okolicy. Głos Katarzyny brzmiał wciąż z tą samą niezmienną siłą, ani mocny, ani słaby, cichy, zrównoważony i zapadający w pamięć.

Opowiadała o tym, jak dowiedziała się od ciotki Dominiki, że ma jeszcze matkę. Że jej rodzona matka żyje. Było to dla niej wówczas straszliwym zaskoczeniem, szokiem. Dom Czere-

stwienskich, który traktowała przedtem tak, jakby była ich córką (uczynili przecież wszystko, żeby zapomniała, iż jest tylko córką przybraną i żeby poczuła się w nim, jak w własnym) stał się dla niej nagle domem, w którym znalazła się nie tyle ze zwykłej litości, z samego ludzkiego współczucia dla jej sieroctwa, współczucia tak zrozumiałego i usankcjonowanego przez tradycję tego rodzaju rodzin, że nie wywołującego sprzeciwów nawet u tych, którzy litości i współczucia nie cierpią, ale domem, do którego przygarnięto ją z litości innej, spowodowanej jakąś ciemną, nie dającą się zgłębić i pojąć tajemnicą, jaka zaciążyła nad jej poczęciem, czy też tajemnicą okrywającą stosunek rodzonej matki do niej, porzuconego dziecka. Litość pierwszego rodzaju była do zniesienia, ta druga, kiedy ją sobie uprzytomniła, nie. U podstaw bowiem owej drugiej litości kryć się musiał wstyd wspaniałych tych ludzi, którzy ją przygarneśli, z powodu czynu jej matki. „Więc wydało mi się wtedy, że dom, w jaki wejde, tworząc w nim nową rodzinę, że on dopiero będzie wreszcie naprawdę moim” powiedziała wtedy. Potem dodała, zresztą bez nacisku w głosie, jakby wiedziała, że nie poddaje on w wątpliwość jej słów: „Ale nie, wcale nie dlatego wyszłam za Aleksego. To wszystko z nim zaczęło się przecież wcześniej. Kiedy w rachubę wchodziła tylko zamiana jednego bliskiego sobie domu na inny, równie bliski. Tamta rozmowa z ciotką Dominiką odbyła się krótko przed ślubem i to dopiero wówczas Gleby stały się moją szansą, nadzieją...”. I zaraz wyjaśniła, jak prędko zrozumiała, że swoje nadzieje budowała na kruchych albo w ogóle sztucznych fundamentach. Zrozumiała to już wtedy, kiedy Aleksy odszedł na front. Być może była zbyt przeczulona, oczywiście. Ale to, czego się o sobie dowiedziała, sprawiło, że znowu odżyły w pamięci lata, zanim dostała się do Czerestwienskich: jakieś mieszkanie w mieście, po którym pozostały ledwie mgliste szarobiałe wspomnienia ludzi, mebli, brudnych tapet na ścianach (może nawet wcale nie odcisnięte w pamięci własnej, a istniejące tylko dzięki opowiadaniom Paraski), jakiś sierociniec, również zatarty, i zakład opiekuńczy sióstr. Więc kiedy określiła, kiedy nazwała sobie na swój własny użytek (nie wie do dziś, czy słusznie, czy niesłusznie) ów gatunek litości, jaką kierowali się biorąc ją do siebie Czerestwienscy, to do tamtego korowodu domów, nie jej, nie własnych, dołączyła ich gościnny dom również. A potem jeszcze, kiedy odszedł Aleksy dołączyła i dom w Glebach. Stało się to w pierwszych dniach września, krótko przed ewakuacją, gdy poczuła się źle i położyła do łóżka, a świekra zapytała: „Może jesteś w odmiennym stanie?”, ona zaś odparła: „Nie mam, niemożliwe” i w oczach świekry ujrzała przykry, potę-

piający zawód. Wtedy właśnie uprzytomniła sobie (o tak, na pewno była zbyt przeczulona, nic na to nie mogła poradzić), że dom w Glebach może być jej domem jedynie pod warunkiem przedłużenia istnienia tej rodziny. Pod warunkiem dania im nowego potomka. Później, po powrocie do Gleb z tułaczki — kiedy skończyła się sowiecka, a zaczęła niemiecka okupacja — w przekonaniu tym się utwierdziła. W miarę, jak rosła bezsilna rozpacz świekry, matki nie żyjącego faktycznie, a jednak w jakimś sensie żyjącego jeszcze jej najstarszego syna, którego jałowa żona czekała nie mając na co czekać pod tym dachem, z łonem na zawsze pustym, nie mogącym, nie potrafiącym przedłużyć tego, co trwało, żyło w tych murach od wieków i co żyć powinno dalej. Tak więc ona, Katarzyna, swój dom mogła mieć jedynie za coś. Taki był mniej więcej sens tego, co wtedy pojęła.

Powiedziała z nutą zadumy i niezrozumienia: „Rozważałam to wielokrotnie. Dlaczego, skoro mam mieć swój dom za coś, rośnie we mnie od razu bunt? Przecież może to jest normalne. Bo czyż w ogóle możliwe jest otrzymanie czegokolwiek za nic?”. Odpowiedział dopiero po chwili: „Ten bunt w tobie stąd chyba, że pewnie zawsze musiałaś płacić. Nawet jeśli nie przypominasz sobie tego zbyt dokładnie. U jakichś tam ludzi, których ledwie pamiętasz, płaciłaś koniecznością przymilania się im, w sierocińcu, czy u sióstr tym samym, może specyficznie pojętą przez nie grzecznością i nabożnością, a może nawet zwykłym dziecięcym podlizywaniem się. Żeby tylko dały trochę ciepła potrzebnego dziecku do szczęścia. Żeby pozwoliły poczuć się jak... w domu”. I zamilkł, bo wiedział, że to, co mówi, niczego jej nie wyjaśnia, ale nie znajdował innych argumentów. Ona też milczała, aczkolwiek czuł, jakby nieprzerwanie dalej mówiły jej myśli. Zapytał po pewnym czasie: „Ale u Czerestwieskich? Przecież tego domu nie miałaś za coś. Tam nie musiałaś niczym płacić”. To pytanie jednak pominęła. Po jakimś czasie powiedziała, że nawet próbowała do Czupryni do Czerestwieskich powrócić. I czekał, drżąc lekko, hamując to drzenie, że nastąpi jakieś wyznanie. Ale nie, nie nastąpiło. Zresztą nie chciał tego. A Katarzyna powiedziała tylko, że Czuprynia to już nie było wówczas to, czego pragnęła. Nie było powrotu do tego, co zostało w przeszłości odgraniczone na zawsze ową fatalną rozmową z ciotką Dominiką, od chwili zaś, kiedy śmierć Aleksego potwierdzona przez Czerwony Krzyż przekreśliła jej „przypisanie” do Gleb, jej przynależność do glebowieckiego domu, poczuła się tak, jakby go w ogóle nigdy nie miała. Więc w końcu gdzie jest jej miejsce? Nie tu, na pewno. Ale przecież także nie tam na drugim krańcu kraju przy boku rodzonej matki, która się jej

niegdyś wyrzekła. Bo nawet, gdyby ją teraz uznała (podobno zniszczona wojną, wyzuta z rodziną przez Niemców z wszystkiego kobieta), to już tamtego, co między nimi zaszło, nią Katarzyną, dzieckiem wtedy, a jej matką wtedy młodą, pełną sił kobietą, nie da się naprawić. Zatem i nie tam jest jej dom. A więc gdzie? Czy może są nim pieniądze? Te judaszowe pieniądze (za zdradę dziecka przez matkę) zdeponowane na jej, Katarzyny, nazwisko przez jakiegoś starszego pana, być może dziadka w Szwajcarii? Czy to one tylko zastąpić, czy też stworzyć mogą jej to, o czym marzyła całe życie? A wtedy on, Paweł, odezwał się po raz drugi. Powiedział łagodnie, prawie nieśmiało: „Przecież wiesz, że tak wcale nie jest. Nie musi być”, „A jak?” zapytała zaraz, a on zaraz odpowiedział: „Twoje miejsce, twój dom może być przy mnie. Nawet jeśli nie tutaj. Nawet jeśli odejdziemy z Gleb. Po prostu przy mnie. I wtedy, kiedy ty tego zechcesz”, a ona: „Nie” odpowiedziała krótko i w jej głosie nie było nic kategoriycznego, nawet stanowczego, zwykłe jedynie, trzeźwe zaprzeczenie, gdy „Nie” powiedziała i później dodała tak samo krótko, prędko: „Znowu musiałabym płacić”. Lecz upłynęła długa chwila zanim podjęła tę myśl powtórnie. Powiedziała zmienionym już głosem, z nutą żalu, rezygnacji, smutku chyba także: „Zbyt jesteś podobny do Aleksego. Wszystko, co się między nami zdarzyło, zdarzyło się zapewne dlatego. I dlatego wiem, że byłoby to samo”. Po ponownym zamknięciu dokończyła w zamyśleniu: „Jeśli pokochałam Aleksego, a myślę, że tak, to byłam zupełnie nieświadoma konsekwencji swojego uczucia. Tego, że staję się Aleksego własnością. Dziś wiem. Tacy wy jesteście, Woynowicze”.

Pierwszy raz wtedy, od kiedy tak siedzieli, wpieryw w zapadającym zwolna letnim zmierzchu, następnie w ciemności, ich ramiona dotknęły się. Nie odsunęła się. Potem dotknęły się ich ręce i nie odskoczyły od siebie. Siedzieli w ten sposób bardzo długo. Nie słyszał oddechu kobiety. Swojego zresztą również nie. Ale musiała mu się przyglądać poprzez ciemność. Powiedział mu to później jej głos, gdy się odezwała: „Dlaczego jesteś tak podobny do brata? Dlaczego nie jesteś inny?”. Gdy zacisnęła dłoń na dłoni Katarzyny, poczuł, jak palce jej mdleją, lecz wyswobodziła je po chwili. Wreszcie wstała. Nie powiedziała więcej ani słowa. Słyszał tylko kroki zmierzające ku lampie, nagły trzask kontaktu i zmrzyły oczy od światła. Gdy zaczął znowu widzieć, zobaczył, że stoi z lekka pochylona nad lampą i patrzy wprost na niego: z twarzą posępną i zupełnie nieruchomą. Potem po raz drugi rozległ się trzask kontaktu i światło zgasło. Oddalające się w głąb korytarza kroki kobiety umilkły prędko, upłynęło jednak sporo czasu zanim wzrok ponownie przywykł mu do ciemności, zanim

nie przestała poruszać się czerwonobiałymi punkcikami i zanim wreszcie nie ujrzał w prostokacie czarnego powietrza w ramie okiennej prawdziwych plamek światła: świecących robaczek przelatujących w poprzek. Znowu we wsi wył pies, smutno, głęboko i złowieszczo, natomiast wewnątrz domu było ciche, pełne chrobotu zegarów i, jak zazwyczaj w środku lata, pełne suchego skrzypienia podłóg. Siedział tak bez ruchu jeszcze wówczas, kiedy w tej ciszy ponownie rozległy się kroki zmierzające przez korytarz. Potem gdzieś blisko zatrzymały się, a on wstał. Zapalił światło i zapuścił rolety. Później powrócił na łóżko. Nie myślał o niczym i nie słyszał nic. Ocknął się dopiero, gdy skrzypnęła klamka. Podniósł głowę. To Katarzyna stała na progu zawinięta w szal okrywający nocną koszulę, posępny wyraz jej twarzy, który zapadł mu w pamięć niedawno w rozbłysku lampy pomiędzy jedną, a drugą ciemnością, ustąpił i jej rysy były złączone.

A teraz myślał o tym, że wyjechała bez jednego nawet słowa zostawionego dlań na kartce, aczkolwiek wiedziała przecież dobrze, iż lada dzień może on odejść do oddziału i że mogą się zobaczyć nie prędko, albo wcale. Myślał o tym, że wyjechała tak, jakby jej wówczas nie był powiedział powtórnie, co czuje i jakby nie wiedziała, że niezależnie od wypadków, jakie mogą się zdarzyć i co stanie się z Glebami oraz z tą ziemią (w ogóle z nimi także, gdziekolwiek się w końcu znajdą), to dom, którego tak pragnęła, może mieć przy nim. Jeszcze przez chwilę jej obraz pełen obietnic drżał mu przed oczyma, jak fale gorącego powietrza. W końcu przepadł. Prostokąt okna był teraz jasny, świecący księżycem i odgłosy, które powiew przeciągu nanosił do wnętrza były inne. Daleka muzyka w środku wsi mieszała się z okrzykami, przyśpiewkami, odgłosy te zamierały, to znów się podnosiły. Przenikał go dotkliwy chłód. Pomyślał: „Jedno tylko zapamiętała. Ze jestem podobny do Aleksego. Ale czy rzeczywiście jestem? Czy właśnie o tym myślała wyjeżdżając? Czy musiała?”. Miał rozpaczliwe przeczucie, że był to jej wyjazd ostateczny.

Przenikał go chłód coraz bardziej i coraz bardziej czuł senność. Powiew był już wyraźnie jesienny, czuło się w nim jakiś naturalny, nieuchronny koniec. Nie znajdował jednak w sobie żadnego buntu, jakby od dawna na to czekał. Siedział tak jeszcze długą chwilę nie mając sił się ruszyć, zamknął okna i potem wysiść, zobaczyć, co dzieje się na parterze z zostawionym tam oficerem. Myśli były ciągle bardzo daleko. Ale w końcu wstał. Ujrawszy przez okno, że ukraińscy schutzmanni, jak przedtem, śpią na schodach ganku, zamknął je, ostrożnie zapuścił roletę i nie zapalając lampy stał chwilę w ciemności nieruchomo; od-

dychał spokojnie, równo. Potem po omacku powrócił do kozetki i wyciągnął się na wznak; zasnął prędko.

Nazajutrz rano, obudzony raptownie zbyt głuchą ciszą dookoła, popatrzył na blade słońce, które wślizgiwało się szparami między listwy rolet i półprzytomnie przez chwilę przecierał czoło, próbując coś sobie przypomnieć. Daremnie. Tylko to, że wczoraj byli Niemcy i ukraińscy schutzmanni. Nic więcej nie mógł z pamięci wycisnąć. Jeśli jednak panowała tak wielka cisza, to chyba odeszli. Potem pomyślał, postanowił, że trzeba przygotować ewakuację domu.

V

Z Iłłowki Tatarskiej sędzia przywiózł świeże wiadomości o Piotrze Czerestwienskim. Spotkał się tam był z Nikiem Fiodorczukiem, którego ojciec należał do obstawy Mikołaja Fiodorowicza i zginął wraz z nim. Młody Fiodorczuk próbował odnaleźć Piotra wśród partyzantów i trafił do oddziału Hułłasa. Dowiedział się, że Piotr brał z nimi udział w akcjach pod Zbarazem, gdzie wkrótce zostali przez Niemców rozbici, lecz nie znaleziono go ani wśród poległych, ani niedobitków; przepadł gdzieś, odeszedł, tyle o nim wiadano. Ale o kuzynie Paweł myślał już dużo wcześniej. Zwłaszcza o broni ukrywanej w czupryńskich lochach, której nie zabrano podczas tragicznego napadu, a podobno dopiero później ktoś nieznany przeszukiwał tamtejsze podziemia. Zastanawiał się, czy łączyć to z Piotrem, czy nie i czy broń ta znajduje się tam jeszcze nietknięta, czy też została już przez kogoś zabrana. Zaczęli się bowiem zgłaszać ludzie chcący odtworzyć wiejską „samoobronę”, a broni w Glebach, po odejściu Karpatki, było bardzo niewiele. W gospodarzu, nazwiskiem Pankala, przed wojną zawodowym chorążym, który służył w 12-tej dywizji w Tarnopolu, znalazł Paweł nowego doradcę, pomocnika i towarzysza. W jego domu leżącym nieco na uboczu wsi odbywali z ochotnikami codziennie wielogodzinne narady prowadzające się jednak w końcu zawsze do problemu, skąd i jak zdobyć uzbrojenie. Mówili więc coraz częściej o Czupryni i jej lochach, jako o jedynym możliwym źródle, gdzie można by się być może w nią prędko zaopatrzyć. Ale właśnie w czasie którejś z takich narad do drzwi zastukano natarczywie i wszedł wzburzony stary Czar-torius, właściciel futarów oddalonych o dobry kilometr od Gleb,

oznajmiając zaraz od progu, że wie, iż broni szukają i może im ją dać, jeżeli ona jeszcze, tam gdzie się znajduje, dotrwa do wieczora. Oto po krótkce jego opowieść, zanim poszli załatwić sprawę wiejskiego szpicla, a potem zdołali się bez wyprawy do czupryńskich lochów dozbroić.

W trzydziestym dziewiątym roku stary zakopał parę skrzynek z bronią, zostawionych przez cofające się wojsko, na rodzinnym ich, Czartoriusów, cmentarzyku za futorami. Miał prócz tego jeszcze trochę broni przechowywanej w kupie plew u siebie w stodole, ale, nie będąc pewny schowka, wydobyl ją stamtąd, przeniósł również na cmentarz i próbował zakopać w tym samym miejscu. Przy robocie tej naszedł go Antypko. Szpicel — jak twierdził stary Czartorius — musiał coś od dawna podejrzewać. Może coś podpatrzył, może dowiedział się czegoś od robotników sezonowych. W każdym razie rewizję, którą przed paroma dniami żandarmi zrobili w obejściu Czartoriusów, stary przypisywał Antypce. „No, a teraz, to już zupełnie przepało. Widział mnie przy tym dole ze skrzynkami. Chciałem go załatwić sam, ale mi uciekł. Mój syn z chłopakami baczą na wyjścia ze wsi, żeby się nie wymknął i nie poszedł na posterunek. Ale czy to da się upilnować? Jeśli się go zaraz w ręce nie dostanie, przepało”. Więc wtedy, nie zadając więcej pytań o tę przechowywaną przez Czartoriusa broń, a jedynie, gdzie według niego Antypki szukać i jak, zerwali się z miejsc, by po krótkiej naradzie pójść zrobić to, czego nigdy by nie zrobili w ten sposób, gdyby stawka nie była tak wielka. Poszli to zrobić niemal w samym środku wsi, w biały dzień, bez zachowywania pozorów i nie myśląc o konsekwencjach, jeśli ktoś nazajutrz powiadomi posterunek żandarmski.

Po godzinie albo dwóch było po wszystkim i ruszyli ku Czartoriusowym futorom widocznym na tle wyłysiałych wzgórz za wsią. Wśród opłotków tu i ówdzie tkwiły twarze w ślad za nimi spoglądające uważnie i wtedy ten głos, który cały czas w Pawle wołał: „Zrobiłeś to, zrobiłeś”, oznajmiając jakieś niepojęte rzeczy, ostrzegawczy, szalony, ściskający serce, nagle umilkł; to, co nie wyładowało się do końca w wściekłości przed gankiem Antypkowej chaty, co szumiało jeszcze we krwi, pod wpływem tych spojrzeń uważnych, zamyślonych i odprowadzających długo, ustąpiło zdruzgotane i milczące. Chorąży Pankala wciąż jeszcze wzburzony dogonił ich, zrównał się ze starym Czartoriumem i powiedział: „Jeśli z tą bronią breszesz, panie dzieju, to jak Boga mego, zastrzele. Cała wieś widziała naszą nagonkę. Nikt teraz bezpieczny być nie może”. „Nigdy bym wam tej broni nie dał, panie Woynowicz” powiedział Czartorius na tamtego nie zwracając żadnej uwagi (szedł rozkołysany, trochę jak niedźwiedz,

niezbyt wysoki, masywny, z drapieżnym wyrazem twarzy), „U mnie wiadomo komu służyć by mogła, gdyby ją wydobyć”. „Ma pan jakieś ukryte pretensje, panie Czartorius?” „Ja? Skądże... Nigdy pańskim dawnym ochotnikom broni nie dawałem”, głos jego był wysoki, cienki jak u kobiety, nie licujący z wyglądem, załamujący się jakąś hamowaną nutą, „Ale ludzie... Mało to nawyciągali ze schowków, co kto miał przechowane, tak przed Sowietami, jak teraz Niemcami? Myśleli, że pan za sprawą, albo sędzia stoi, Karpatce by nie dali, a w końcu na co wyszło... Poszedł, wieś ogołocając. I gdzie? Do komuny poszedł”. Tylko że Paweł nie miał siły odeprzeć zarzutu, tamte spojrzenia zza opłotków czuł ciągle na swoich plecach, ze złością zaś wtrącił się Pankala: „Nikt nikogo nie może przymusić! Każdy w pole może iść z kim chce!”, a dopiero potem Paweł: „Może chcieli prawdziwej wojaczki, nie takiego siedzenia za płotem i odgryzania się tylko. Więcej nam czasu schodziło na chronieniu stanu posiadania i bronieniu się przed ukraińskimi nacjonalistami, niż na walce z Niemcami”, i wtedy Czartorius: „Za przeproszeniem pańskim. Wiele pan będzie musiał się jeszcze nauczyć, żeby prawdziwe intencje ludzkie z ich czynów czytać”, już tylko z wyraźnym szyderstwem. Więcej na ten temat nie mówili, lecz to coś niedopowiedzianego, niejasnego, co pozostało po krótkiej tej wymianie zdań, przypominał sobie w nocy, kiedy synowie chorążego zarzuty swoje sformułowali brutalnie.

Już byli przy futorach: na wprost wrót na podwórzu czekał jeden z wnuków starego i wsadziwszy palce w usta gwizdnął; zobaczyli, jak spomiędzy topól rozgradzających oba obejścia wyszedł Czartoriusowy najstarszy, mężczyzna w średnim wieku w wyblakłej, czystej koszuli zielonkawego koloru, w kapeluszu filcowym obwiedzionym przepoconą taśmą, trzymający w jednej ręce dubeltówkę, w drugiej łopatę i oskard, jak ruszył ku nim, robiąc ruch, jakby chciał sięgnąć do nakrycia głowy, spostrzegłszy jednak, że rękę ma zajęta, zrezygnował i posłyszeli jego wstrzeмиęzliwy głos, gdy powiedział: „Będzie roboty na godzinę, nie więcej, jeśli tylko ktoś weźmie jeszcze parę łopat”. Więc wkrótce te dodatkowe łopaty zostały przyniesione i potem w milczeniu, krokiem śpiesznym, ale zrównoważonym poszli suchymi po niedawnych upałach debrami ku wzgórzom i na piargowatej złamanej w połowie pochyłości, za kosodrzewiną, skreścili ku czemuś, co niegdyś może stanowiło ogrodzenie (przypominała o tym furtka o wyszczerbionych sztachetach okrytych powojem), teraz zaś zmieniało się w dziki żywopłot dławiących zmurszałe sztachety ciernistych gałęzi nie przycinanych nigdy ludzką ręką; i minąwszy furtkę szli czas jakiś ledwo widoczną ścieżką pomiędzy nieprze-

bytymi szafkami, pokrzywami i piołunami, pomiędzy których bez ładu i składu sterczały niedbale w ziemię wetknięte krzyże o dawno obłamanych ramionach, wszystkie jednakowo pochylone, niby w głębokim frasunku nad zapomnieniem, tym nieuchronnym skutkiem śmiertelności pogrzebanych ciał, krzyże z wydlubanymi prymitywnie nożem naiwnymi epitafiami, imieniem, datą urodzenia, śmierci, tym samym nazwiskiem Czartorius, albo w wypadku kobiet: z Czartoriusów, czy też z kogoś tam, Czartoriusowa; aż wreszcie pomiędzy świerkami zobaczyli skrawek świeżo zrytej, przerzuconej i uformowanej na nowo ziemi.

Dwóch podrostków młodszego Czartoriusa i on sam, gdy się zbliżyli, już tam stali. Patrzyli to na poruszoną ziemię, to na nich i nie zabierając się jeszcze do kopania, najwidoczniej czekali, co im powiedzą. Stary powiedział znów tym samym głosem, który Pawła przedtem zaskoczył, wysokim, płaskim, silnym i cienkim: „Będzie trzeba odwalić ze dwa metry ziemi. Ruszyć warstwę tamtych ciał z września” i jego małe, jasne, twarde oczka popatrzyły w dół nieomalże z litością, jednakże, gdy Paweł zapytał, czy w grobie leżą żołnierze KOP-pu, bo sobie przypomniał, że jakiś oddział straży granicznej wycofując się ku Rumunii wyginął na pobliskim trakcie, pogrzebany zaś został nie na cmentarzu ogólnym we wsi, posłyszał odpowiedź już spokojnie obojętną: „Tak, tutaj” i po małej chwili: „Jeśli mamy wydobyć wszystko, musimy ich usunąć. Jest jedenastu, skrzynki leżą na samym spodzie. Bierzcie się chłopaki do roboty”. Potem Czartorius sięgnął po kaptur z tytoniem, odszedł na stronę i opierając plecy o pień brzoźki wyrastającej nad dość świeżą jeszcze, nie oznakowaną niczym mogiłą, zapalił. Paweł też zapalił i poszedł za nim. Patrzył na kąpiących i całym wysiłkiem woli starając się zapanować nad raptownym skokiem wyobraźni, nad jej galopadą do tyłu, w niedaleką przeszłość, kiedy w lasu pod Katyniem stał nad dołem podobnym, tylko że większym, już rozgrzebanym w cuchnącym upale, w bzyczeniu rojowisk much, w słodkawomdlącej zawieszinie drgającej nad ziemią, szybko wciągnął dym w płuca raz, drugi i trzeci, aż do łez w oczach i mówił: „Ta broń, jeśli w dobrym stanie, pozwoli nam sformować niezły oddział...”, słysząc swój głos, jak nie swój, sztucznie brzmiący, głuchy, Czartorius zaś: „Przypuszczam, że w dobrym. Zawinąłem w szmaty ze smarem od osiek. Jest tego kilkanaście sztuk. No i dwie skrzynki artyleryjskich pocisków”, na co on: „Pociski dostarczymy do lasu. Są tacy, co przerobią je na granaty”, czując, że podobnie jak on sam, Czartorius stara się mówić rzeczowo, ale nie myśli o tym, co mówi, „W ogóle nie chodzi mu o tę broń, którą pewnie przeznaczył dla kogoś innego, a teraz nam

oddaje za pomoc w pozbyciu się szpicla”, i szybko przypalił od poprzedniego papierosa nowego i z uporem, w uporczywym, zaciekłym pośpiechu powracał stamtąd, z owej niedalekiej przeszłości, znad tamtego dołu w kształcie ogromnej litery L, pełnego pomordowanych, ciągnącego się przez środek tamtej polany w górę wzniesienia po sam las, aż ten nowy papieros również parzyć zaczął palce, a wtedy odrzucił go od siebie i stało się od razu tak, jak gdyby nagle zatrzymał się w miejscu.

Było znowu podjesienne ciepławe jeszcze popołudnie, pełne już nitki babiego lata czepiającego się łądyg uschniętych traw i żółknącej dopiero co lebiody oraz pokrzyw. Pełne także cienie, charakterystycznego poświstu wiatru, po którym poznaje się, jaką porę przywiewa, bo nie napotykając śród pól oporu dźwięczy nie tak, jak każdy inny. Uroczystą ciszę rżysk u podnóży wzgórz za cmentarzem i łąk ciągnących się ku lasom przecinał jedynie bliski, rytmiczny szurgot łąpat o kamienistą glebę, czasem zaś głuche stuknięcie o korzeń. Sięgnął jeszcze po trzeciego papierosa, ale go poniechał, opanował się. W dole, najpierw po kolana, następnie jeszcze głębiej tkwił z jednego krańca ten pięćdziesięcioletni prawie syn Czartoriusa, którego znał tak mało, że imienia jego nie pamiętał (tym różniący się od ojca, że bardziej, niż ojciec stroniący od wsi, tak że nawet raz na miesiąc w niedzielę do cerkwi jeździć zwykł do Iłowki Ruskiej, jak gdyby nie miał jej o ledwie parę kroków na miejscu, i jak ojciec uparty, pamiętliwy, zacięty, mrukliwy, z takim samym krogulczym, dziobatym nosem wystającym z twarzy) i którego on, Paweł, od paru lat pierwszy raz chyba widział z tak bliska, że słyszał jego przyśpieszony oddech (młodszego bowiem, nieobecnego Michała spotykał niegdyś, zanim nie uciekł z Karpatkową, częściej), na drugim zaś krańcu dołu widać było chorążego Pankalę, fizyczne tamtego przeciwieństwo, chudego, wysokiego, aż pochylającego się w plecach, a między nimi dwoma odwalali ziemię najstarszy syn Pankali, Jur i najmłodszy chłopak z rodziny Nestorowiczów, podobni do siebie, jak krople wody, jak gdyby różnica dziesięciu, czy dwunastu lat ich wieku miał podobieństwo zatrzeć, jeszcze je podkreśliła, żeby nikt nie zapomniał, że mimo, iż zrodziły ich nie te same biodra, obu łączy krew jednego ojca; potem już w ogóle kopiących nie było widać, a tylko po bokach dołu wnułkowie starego Czartoriusa pracowicie odgarniali wyrzucaną z głębi ziemię. I nagle Paweł poczuł tę charakterystyczną woń sponiewieranego majestatu wieczystego spoczynku. Zaleciała spod ich łąpat nie zgęszczona nawet, nawet do zniesienia, jeszcze bowiem nie zdążyła w połączeniu z czystym powietrzem nabrać mocy, lecz poczuł dużo wcześniej, niż stary Czartorius, gdyż znał

ją nie tylko tak dobrze, jak znał Czartorius (ten bowiem też musiał ją znać, skoro rano zakopywał broń, przedtem ukrywaną w stodole), ale nad to wiedział przecież to, czego Czartorius nie mógł wiedzieć: że jest to woń jego własnego brata Aleksego, którego zostawił w jednej z mogił na katyńskiej polanie i którego zepchnął do najodleglejszych sfer pamięci, choć przypominać mu się będzie zawsze, dopóki on sam także w tę woń się kiedyś nie zmieni. Dlatego później jedynie stary Czartorius zbliżył się do rozkopanego dołu, on natomiast dalej stał pod brzoźką oparty o pień i patrzył, jak stary pochyla się, zagląda w głąb, coś mówi i pokazuje sękatymi palcami. Potem ręce czarne od wilgotnej ziemi i zabrudzone wyrzucać zaczęły stamtąd na wierzch nadbutwiałe, drewniane skrzynki; najmłodszy odciągał je szybko na bok, a gdy stary Czartorius doń powrócił i odezwał się obojętnie: „Pan widać nie zwyczajny...”, odrzekł mu krótko, trochę zbyt szorstko i jakby nie na temat: „Jeździłem niedawno, wiecie, gdzie mój brat Aleksy... Widziałem ich tysiące...”. Twarz wtedy starego ściągnęła się i przerwał cicho: „Wiem, słyszał ja panie, przepraszam...” i zaraz twarz odwrócił. Wkrótce jednak z dołu nie wyrzucano już niczego więcej. Na stercie ziemi stało obok siebie ustawionych sześć okazałych skrzynek wraz z cienką paką w brezencie. W górę jeden po drugim smyrgnęli Jur Pankala i Nestorowicz, po nich wyciągnęli się na wierzch syn starego Czartoriusa z chorążym, a ziemia z miękkim szurgotem poczęła zaraz zsuwać się z ich łopat i zapadać w głąb na swoje dawne miejsce. Ta straszliwa woń przestała wreszcie napływać, rozrzedziła się, aż zupełnie rozproszył ją wiatr.

Gdy po jakimś czasie od strony wsi nadszedł Hanczar z pozostałymi dwoma Pankalowiczami i powiedział, że z trupem Antypki zmarudzili nieco dłużej, ponieważ z Krzyżtopola przybyli do gorzelnicy ludzie mający ją uruchomić i trzeba było zachować ostrożność, stary Czartorius przykazał synowi uklepać na mogile ziemię, na wierzch dać warstwę darni, do niego zaś, Pawła, wskazując na to, co wydobyli, zwrócił się nie dopuszczającym sprzeciwu głosem: „Dla mnie to, co już przedtem miałem, panie Woynowicz. To w brezent owinięte. No i połowę naboju z większej skrzyni. A resztę bierzcie i Bóg z wami”. Potem przypilnował, aż odbito zasmołowane wieko, rozcięto przesycone smarem szmaty i przesypano do worka połowę zawartości: karabinową amunicję w zapieczętowanych paczkach albo leżącą luźno, widać zbieraną niegdyś na pobojowiskach. Odszedł w milczeniu, skinąwszy im wszystkim na pożegnanie głową. Kiedy Hanczar z Chrobakiem taszczyli skrzynki w głąb żywopłotu, Paweł patrzył za odchodzącymi gromadką Czartoriusami, jak zniknęli na

jakiś czas wśród zarośli cmentarza, następnie za furtką, jak wynurzyli się znowu na stoku i ścieżką wijącą się ponad debrą szli wolno w kierunku futorów, nie dźwigając nic prócz łopat i oskarda, nawet dubeltówki, którą miał przedtem syn starego. W końcu powiedział do Pankali: „Wszystko przejrzy się po przewiezieniu nocą do wsi. Przeliczy, rozsortuje, co trzeba naprawi i zabezpieczy”, i choć synowie chorążego wyraźnie byli innego zdania, sam także poszedł do domu.

Było już późne popołudnie, prawie pora podwieczorku (jakkolwiek nikt mu go nie przygotował, Paraska z pokojową Różą pakowały w kredensie porcelanę), gdy w gabinecie znalazł wuja Augusta wertującego gospodarskie księgi, który — kiedy tylko on, Paweł, stanął w drzwiach — powiedział, że strzelano gdzieś we wsi, a zaraz potem, nie czekając potwierdzenia, czy też słyszał, poinformował o Niemcach, którzy przyjechali do gorzelnicy i że — jak mówi sołtys — posterunek wkrótce ponownie obsadzą granatowi. Paweł kiwnął głową dość obojętnie i siadł. Otarł czoło i kark, schował chusteczkę, wydobył z kieszeni pistolet, wyjął zeń magazynek, znowu sięgnął do kieszeni, przebierał chwilę palcami między rozsypanym luźno bilonem, wyszukał nabój, załadował do magazynka uzupełniając pojedynczy brak, wbił magazynek na powrót w rękojeść i pistolet schował. Dopiero wówczas: „To ja strzelałem tam we wsi” odezwał się do wuja, starając się jednak nie myśleć o samym fakcie. Po małej pauzie dodał, że udało się znaleźć znaczną ilość broni i amunicji. Ale wuj nie pytał o nic. Powiedział jedynie: „Przyniosę ci coś do jedzenia” i wyszedł. Gdy wrócił również nie pytał jeszcze o nic, nawet nie patrzył, jak on, Paweł, odkrawa z bochenka niezbyt równe kawałki, smaruje, obkłada wędliną i je. Kiedy tylko to przyniesione jedzenie przed nim na stole położył, rozejrzał się trochę bezradnie, z serwantki wydobył dwie filiżanki ze spodeczkami z serwisu nie używanego od niepamiętnych czasów, dmuchnął w nie do środka i nalał z czajnika herbaty, to zaraz potem powrócił milcząco do rozłożonych na biurku gospodarskich ksiąg. Wtedy ta odepchnięta przedtem myśl dopadła Pawła, bo gdyby wuj zapytał od razu, może by jeszcze raz ją odsunął. I musiał sam sobie zadać owo pytanie, kiedy to wszystko się zaczęło, kiedy zaczął własnoręcznie wykuwać ten jakiś zwolna oplatający mu serce łańcuch, którego poszczególne ogniwa stanowili ludzie pozbawieni życia. I musiał sam próbować dociec, gdzie w czasie przeszłym lub teraźniejszym umieścić należało ogniwo pierwsze: człowieka, jaki padł wyłącznie od jego kuli, owo pierwsze ciało ludzkie, w którym jego, a żadna inna kula nie tkwiła. W milczeniu jakie nastąpiło, z nikąd nie mógł oczekiwać pomocy, nie

mógł nawet zapytać, czy wuj także kiedykolwiek musiał podobny rachunek robić, choć przecież jak i on, Paweł, wuj strzelał tyłkrotnie. (Ale może tak naprawdę po raz pierwszy zdarzyło się wujowi to dopiero tam pod Uralem, nie wcześniej? Kiedy zacisnął dłonie na szyi sowieckiego strażnika? Może dopiero owo ciało osuwające się wówczas spod wuja rąk, a potem zagrzebane w wilgotnym, przegniłym igliwiu było tym pierwszym na pewno? Tak, jak jego, Pawła, dopiero to kulami podziurawione w Łoszakowskim zaścianku ciało Poczajewa? Zresztą któż wiedzieć może, czy właśnie Poczajewa, strzelało ich przecież paru. Może jedno z ciał, w które celował z okna tuczapskiego kościoła? I co do tego też miał wątpliwości. Lecz dzisiaj, tak, bez wątpienia, tylko on jeden wystrzelił. Więc być może wszystko, co przedtem, nie znaczyło nic? Może to od dzisiaj dopiero zacząć musi ów rachunek fatalny, który nie wiadomo kiedy będzie mógł podsumować?) i zastanawiał się, co czuje. Ale nie czuł nic. Zupełnie nic, choć wiedział, że wuj jednak zapyta go wkrótce. A jeżeli nawet zapyta wyłącznie o to, dlaczego strzelał w biały dzień i w środku wsi, do kogo i z jakim skutkiem, o nic więcej, on i tak będzie musiał odpowiedzieć nie tylko na te pytania.

Więc rekonstruował w myśli minione wydarzenia z napiętą uwagą i — żeby nie pogubić szczegółów — świadomie bardzo powoli, mimo że ich przebieg był tak szybki, że aż niewiarygodny. Rekonstruował tamte wydarzenia w sposób, jakby już wujowi tę relację zdawał, nie przestając ani na chwilę badać, co czuje, wsłuchiwać się w samo brzmienie głosu na swych myśli, równocześnie słuchając, jak mu on, ów głos, wydarzenia te od samego początku opowiada:

... Gdy wybiegliśmy z chaty Pankali, każdy od razu ruszył w inną stronę, żeby nie wzbudzać ludzkiej ciekawości. Tak było wcześniej umówione. Więc stanąłem przed cerkwią. Serce biło mi mocno i czułem pot spływający po plecach; tyle razy na sulkinsyna polowano i nigdy nic z tego nie wyszło. Przez płot zajrzałem na cmentarz, a jeszcze przedtem w głąb popiego obejścia, lecz prócz pastucha Nikitki, który dłubał zamysłony w nosie nad dziobiącymi poślad kurczętami, nie spostrzegłem nikogo. Na cmentarzu też, cerkiew zaś była zamknięta. Pankala z synami szli z prawa poza chałupami, od strony gumien, i tak na przełaj, poprzez zagrody, włączając między płoty, chlewiki, drewnutnie, gnojne przyzmy, obory i stodółki, i pytali o indyczki, co niby miały gdzieś im się zapodziać. Z lewa widziałem Hanczara z Chrobakiem i Nestorowiczem, jak przeczesywali chatki najmitów za gorzelnią, bo stary Czartorius, to pocwałował do przodu już wcześniej, żeby zejść się z wnukami, którzy pilnowali wsi od przeciw-

ległego jej krańca. Ludzie teraz w sam raz przy wykopkach, więc nie wielu widziało się w obejściach, tyle co bab zajętych na przychaciach zmywaniem od obiadu i prażeniem karmy dla świń. U Oźgi jedynie turkotała lada, rżnięto sieczkę i dzieciarnia grała w berka na majdanie. A właśnie niebo zaciągnęło się szaro. Myślałem: lunie. Od doliny Męki Pańskiej szorując ziemię nawisłym brzuchem sunęła wprost na nas ołowiana chmura. Ale potem ledwo co zawadziła o przysiółek, szybko przeskoczyła ponad jarami ku kamieniołomom w kierunku Ruskiej Iłowki i zginęła precz za lasem. Kiedy się zrównałem ze starym Czartoriusem, znowu uczyniło się jasno.

Na wprost, dobrze niby na dłoni, widziało się chatę Antypki w międzysadziu, w wąskim, zarośniętym pokrzywą i łopianem podwórku, które niegdyś, pamiętam przecież, wyglądało, jak u najzamożniejszych, co naprzeciwno cerkwi siedzą: czyste, wybrukowane, z wygracowanymi przejściami ku gliniankom i ku zrujnowanej cegielni leżącej na jego gruncie, gdyż jeszcze wtedy hodował w gliniankach karpie, teraz zaś bruku i ścieżek nie było można pod zielskiem dojrzeć, a dalej, na tych gliniankach, to nie wiem, nie byłem z rok, ale chyba zarosły moczarem. Czartorius powiedział, że jego chłopaki przeszukały już chałupę kuternogi wcześniej, nie powiedziałem na to nic, tylko, żeby pozostał na miejscu, obserwował pola i drogę do przysiółka, i poszedłem raz jeszcze z bliska przyjrzeć się Antypkowej norze.

Na brzeżku sadu stał taki jeden muzyk z kołtunową huczką, który z Antypką najczęściej jeszcze ostatnio przystawał i w sobotę pijał u niego do późna przy łojówce (może Antypko wysłał go na zwiady), lecz zobaczywszy mnie, porwał z ziemi łubiankę z jabłkami i pognał w głąb wsi. Prócz drzemiącego naprzeciwno na przyzbie starego Poczochraja, którego wyciągnięte nogi w chodakach widać było na zewnątrz i ciężarnej Czeptunowej zaganiającej za płotem rozgdakaną kurę do gniazda, najbliższe otoczenie wydawało się zupełnie opustoszałe. Pomyślałem, że może nawet nie stało by się nic złego, gdyby Antypko nam ze wsi do przysiółka drapnął, można by bez hałasu, poza ludzkimi spojrzeciami otoczyć i tam wśród ruin tych chat przycisnąć. Ale potem zrobiło mi się jakoś tak żal czegoś, nie wiem czego; uczucie nie na czasie, głupie. To prawda, trwało parę sekund, no, minutę najwyżej — jedynie czynność powtórnego teraz przywoływania owych chwil w pamięci tak potrafi zwolnić ich bieg — nawet się wówczas zawstydyłem; mimo to uczucie to trwało.

Minąłem zasłaniającą widok od drogi stodołę, zajrzałem poza obwisające na naderwanym trzpieniu wrota i do pustych sąsied-

ków wymiecionych przez myszy do czysta nawet z plew. Sta-
łem na podwórzu. Było, niby brudna spękana ściana, bo ścieżki
biegły przez nie wśród zielska zygzakowato i bez sensu. Patrzy-
łem na stajnię z przydaszkiem, pod którym podstawiona drabina
wskazywała, że strych na siano także przeszukano wcześniej.
Zamyśliłem się. I chyba wtedy właśnie z pamięci wyłoniła się
ta kobieta. Aczkolwiek, prawdę mówiąc, nie musiałem jej sobie
wcale specjalnie przypominać, pamiętałem przecież dobrze, tylko
że o niej nigdy nie myślałem (dawne sprawy, sądziłem, winny
być zapomniane), a jednak, zrozumiałem: było to we mnie utrwala-
ne, świeże, wyraźne, jakby wczoraj. Spojrzenie powędrowało
ponad okap ganku gęsto obrośnięty dzikim winem. Liście już były
żółknące i czerwieniejące. Stamtąd powędrowało ostrożnie na
spadzisty dach pokryty kropiastymi piórami gontów, nad którymi
szeleściła brzoźka, i jeszcze wyżej. Aż do okrągłego w dachu wy-
ziora pozbawionego ram i szyb, przez który widać było kawałek
strychu i belkowanie, gdzie zimą czterdziestego roku, jak mó-
wiono, obwiesiła się na powrozie Antypkowa Zojka. Myśl prze-
mknęła się prędko po wszystkim, co później ludzie opowiadali,
gdy wróciliśmy do Gleb: że Antypko zadenuncjował na NKWD
własnego zięcia, przedwojennego podoficera ukrywającego się w
okolicy, tak prędko się przemknęła, jak gdyby pragnęła całą tę
historię pogrzebać, i natychmiast zawróciła wstecz do ostatnich
dni sierpniowych przed wybuchem wojny, do tego wieczoru,
kiedy odprowadzając przez dziedziniec folwarczny klacz, posły-
załem z obory rozdzierający krzyk kobiety, który musiałem za-
pamiętać, był bowiem przepelniony bólem i tryumfem jedno-
cześnie, i pochodził, i niósł w sobie coś z tych tajemniczych,
nieostępnych dotychczas dla mnie rejonów, w jakie nie zdążyłem
jeszcze wówczas wkroczyć. I owa myśl przypomniała mi, jak od
razu w kierunku tego krzyku pobiegłem. I jak później stałem
nad leżącą na słomie w głębi obory kobietą. Że stołek był prze-
wrócony, obok skopiec również, mleko rozlało się pienistą stru-
gą na mierzwę, krowy rozstały się niespokojnie, a ona, Antyp-
kowa Zojka odczołgała się w pobliże żłobu na czystsza ściółkę,
zległa tam i tam też chwycił ją ten drugi paroksyzm bólu, który
wyraził się znowu krzykiem, jaki przedtem już słyszałem. Że
oczy miała, jak gdyby nic nie widzące. I że następnie nieśliśmy
ją z oborowym wstrząsaną tymi częstymi, nieustającymi drgaw-
kami, lecz nagle ucichła do najbliższego czworaka, i później przy-
biegły już baby z folwarku; jakieś łóżko zasłane stosem pod
sufit sięgających poduszek strąconych na ziemię zostało w pa-
mięci, prześcieradło, para buchająca z miednic i nowy krzyk.

Traf chciał, że właśnie stojąc przed chatą Antypki i patrząc

przez wyzior w dachu na belkowanie strychu, musiałem sobie to wszystko przypomnieć. I równocześnie nie tylko tamten krzyk, ale i młode, zdrowe, pełne tryumfu ciało, w którego trudzie i konwulsjach porodowych był także jakiś spokój, nieulekłość, pewność i radość. I myśl znowu pominęła, zostawiła za sobą to, co mówili ludzie, gdy wróciliśmy na powrót do Gleb w czterdziestym pierwszym roku. Że Zojka po śmierci męża zabiła dziecko własnym zwarzonym, zatrutym żółcią pokarmem, kiedy dowiedziała się, co zaszło i że potem poszła na ten strych i obwiesiła się na jętcę wspierającej dach. Myśl pominęła, zostawiła to z jakimś dziwnym uczuciem zimna, rezygnacji być może nawet, bo w pamięci był tylko tamten krzyk i to młode, silne ciało zmagające się z sobą w trudzie i radości o nowe życie.

Ale z zamyślenia wyrwał mnie wreszcie szmer w środku chaty. Zawołałem: „Hej! Jest tam kto?”. Odpowiedziała mi hucząca cisza i tylko postronne odgłosy: szmer liści brzoźki trących się o gonty dachu, drobny chrobot mysich łapek na deskach, przeciąg, co wionął przez izdebki, przez nie zamknięte drzwi i okna, poruszał okiennicami, kołysał nitkami pajęczyn pod niebieloną od lat powałą, i być może również szelest smukłych stóp tej kobiety, co niegdyś wchodziła tu na strych po schodach (a zanim weszła po raz ostatni — nieświadomie, bez wiedzy, bez żadnej nawet woli ze swej strony — wprowadziła mnie do owych tajemniczych, niedostępnych dla mnie wówczas jeszcze rejonów, w jakie nie zdążyłem przedtem wkroczyć, i uchyliła zasłony, spoza której padł snop oślepiającego światła i stało się tak, jak gdyby była moją kobietą), ów szelest jej cienia, który na zawsze już od tamtego czasu stapać będzie po skrzypiących deskach podłóg i po schodach w głębokiej ciemności, w samotności i w otchłani nieprzerwanego milczenia, dopóki pożar nie strawi tej chaty, albo po prostu w końcu czas.

Potem jednak posłyszałem we wnętrzu kroki naprawdę. Wydobyłem wtedy z kieszeni pistolet i odbezpieczyłem. Ale w otwartym oknie mignęła mi twarz chorążego Pankali, więc pistolet zabezpieczyłem ponownie. Pankala wychylił się do mnie, powiedział, że nikogo i niczego, chyba nawet żywego kota tu nie ma, bo gdy ja stałem pod gankiem, on nadciągnął od tyłu, wszedł wejściem po przeciwnej stronie chaty i przeszukał wnętrze, które i tak parokrotnie było już przez Czartoriusów przeszukiwane. Więc od razu poszliśmy razem przez sad ścieżką ku gliniankom. Zaniósł moczarem, kozuch zieleni ugiął się pod nogami i w miarę, jak schodziliśmy w parów, ludzie na wzgórzach podnosili znad roboty głowy, spoglądali w naszym kierunku i nagle ten pistolet, który niosłem w dłoni, choć na pewno nie mógł być na tę od-

ległość widoczny, wsadziłem pod pachę i... przystanąłem. Od cegielni bowiem biegł nam naprzeciw jeden z młodych Pankalewiczów. Potrząsał dłonią, wskazując coś poza nas, pęd powietrza unosił jego słowa, a gdy odwróciliśmy się z chorązym prawie jednocześnie, zobaczyłem i uświadomiłem sobie, na co gapili się ludzie pracujący przy wykopkach. To przez teren, jaki dopiero co opuściliśmy i od wsi, a także od drogi do przysiółka biegli zacieśniającym się szybko kręgiem Czartorius z wnukami, Hanczar, Chrobak i reszta młodych Pankalów. Po chwili zaś zobaczyliśmy, jak wpadli w Antypkowe podwórze.

Podrywając się z miejsca biegiem, zawróciliśmy, a pistolet trzymałem jeszcze cały czas, kiedy biegłem, zaciśnięty pod pachą; wcale go nie czułem. Nie poczułem go nawet znalazłszy się znowu w obejściu Antypki, gdzie przed chatą stał stary Czartorius, wydzierał się na całe gardło: „Ty hałapupnik! Wyjdi na sere dyn!” a ja syknąłem mu w twarz: „Nie krzycz pan, do diabła! Cała wieś nam tu zlezie!”, gdy tymczasem reszta naszych wpadła do środka. Słysząc było tupot butów po schodach, śpieszne kroki na strychu, potem znowu na schodach i rozchodzące się po chacie, już wolniejsze, pełne zastanowienia i wahania, a stary Czartorius hamowanym głosem kłął: „Sobacz nasienie! Mignął mi w sadzie. Leżał chyba w tamtej kupie chrustu, o wo, i skoczył do chaty. Ślepy to ja przecie nie jestem, ani nie cierpię ja na przywidzenia, sobacz nasienie!” i nasi ludzie wychodzili z wnętrza, jeszcze raz przetrząsali całe obejście, wracali, znowu przetrząsali Antypkową chatę i twarze już mieli nie tylko zmieszane, zawiedzione i zdumione, ale pełne ślepej, zawziętej, narastającej wściekłości. Więc wtedy chyba ten pistolet zaciśnięty pod lewą pachą poczułem. Nie, nie usłyszałem nic, chyba nic, nie pamiętam. Tylko szybkie, płytkie, świszczące oddechy, sapania, czasem pojedyncze słowo, przekleństwo, które padało półgłosem, wcale nie głośniejsze, niż oddechy. Ale rzuciłem się do przodu, jakbym coś posłyszał, właśnie tak, choć głowę dałbym, że nic. Wiem, że poczułem wpiersz ten pistolet, jak wpija mi się w żebra i ścierpięte od zacisku ramię, i zaraz skoczyłem do przodu, wyrwałem go spod pachy krótkim szarpnięciem, odbezpieczyłem i — jakby we mnie była też ta sama, co u nich wściekłość i musiała się w jakiś widoczny sposób nagle wyładować — kierując lufę w górę, strzeliłem pod okap ganku.

Potem — gdy huk wystrzału przebrzmiał, a z nim razem urwały się, jak gdyby zostały przez ten huk przecięte, zmiecione z powierzchni ziemi wszystkie nasze oddechy, słowa pojedyncze i kroki, nawet świr wróbla wśród drzew sadu zamilkł na chwilę i gdzieś nad rolą kraczące wrony poderwały się z twardym łopo-

tem skrzydeł do lotu, w gąszczu winorośli oplatającej ganek i cały okap wraz z kawałkiem dachu, właściwie zaś gdzieś pod tym okapem, pod przydaszkiem, w który winorośl wrastała tworząc coś na kształt zielono-czerwonej pergoli albo raczej powały z pnączy i liści — rozległ się stęk i szelest, zresztą może najpierw szelest, następnie stęk, i podnieśliśmy głowy. Wszyscy jak jeden i chyba równocześnie. Jeśli już zresztą wcześniej, wtedy, kiedy strzeliliśmy, a nim huk przebrzmiał nie mieliśmy ich podniesionych, nie pamiętam. Jednakże wtedy właśnie, to na pewno mieliśmy je podniesione i ja instynktownie odstąpiłem krok do tyłu, ciągle jeszcze trzymając pistolet w dłoni skierowany pod okap, oni zaś postąpili parę kroków naprzód, tak, że staliśmy jakby w jednym rzędzie ze wzrokiem utkwionym tam w górze. Ale ten stęk i szelest, czy cokolwiek to było, nie powtórzył się więcej. Dopiero po chwili, a wydawała się długa, choć nie mogła trwać nad mgnienie oka jedynie, coś plusnęło o stopień i opuściliśmy jednocześnie głowy. Poprzez mrok utworzony przez winorośl obrastającą także całe boki ganku, na samym środku jednej z desek zobaczyliśmy ciemną kropkę z ledwie widocznymi rozpryskami. Potem plusnęło o stopień drugi raz, trzeci i dziesiąty. A potem już raz po razie szybko i w to samo dokładnie miejsce, rozlewając się na desce szeroką plamą, nie wsiąkającą, coraz bardziej czarną i gęstniejącą. A jeszcze potem, to tam w górze, w głębi owej roślinnej powały zakotłowało się, zakotłowało i coś rozdzierać poczęło szczipione ze sobą ciasno pnące i liście. I nagle z głuchym ducknięciem na deski, na tę czarną kałużę krwi upadło, jak worek z ziarnem, ciało mężczyzny, i tak zostało. Już bez ruchu, bez drgnienia nawet, miękkie niby kawał galarety, rozciągnięte płasko, twarzą w dół. Nikt nie potrafiłby rozpoznać, kto to taki, ale wiedzieliśmy na pewno, że to Antypko.

Dopiero po minucie, a może więcej, chorąży Pankala poruszył się pierwszy. Wszedł na stopień pod gankiem, ostrożnie dotknął czubkiem buta leżącego ciała, odwrócił je i odstąpił. Stary Czartorius półgłosem syknął przez zęby: „Sobacze nasienie”, następnie zaś głośniejszym głosem: „No, teraz to pojął ja. Długo szukać można było, skoro on taką skrytkę miał. Nikomu do głowy by nie przyszło”, a jeszcze po chwili do mnie, stając tuż za moimi plecami, że poczułem jego ciepły, tytoniowy oddech: „Aż dziw, jak go pan tam wypatrzył i utrafił”. To zdanie ścisnęło mnie za gardło.

Gdy Hanczar z Chrobakiem odciągali martwe ciało w głąb stajni i stanęliśmy ukryci za nie domkniętymi wrotami, bo na podwórze zwabiony wystrzałem ktoś wszedł, powiedziałem do Czartoriusa szeptem: „Chyba wcale nie zauważyłem go. Może usłyszałem. Może po prostu coś mnie tchnęło, nie wiem. Strzeli-

łem z wściekłości”, bo naprawdę, to ta oślepiająca wściekłość wciąż jeszcze wtedy we mnie była. I jakiś głos, szept, coś w każdym razie zupełnie dotychczas nieznanego, nieokreślonego, nie układającego się w żadne logiczne zdanie, nawet w słowo, w dźwięk najwyżej oznajmiający tylko niepojęte rzeczy, może ostrzegawczy, nie potrafię tego wytłumaczyć. I jeszcze krótko zimny, ściskający serce lęk był we mnie, jak gdybym nigdy przedtem w życiu nie widział trupa. On to właśnie powstrzymał mnie chyba od wykrzyknienia z siebie tamtego głosu. Ale wszystko to zaraz ustąpiło. Później, odczekawszy trochę, czy nie zasną sędziowie (ale nie, w Antypkowie obejście nikt już więcej nie zasnął, tamten zaś jeden wycofał się prędko), powiedziałem, żeby jak najspieszniej pozbyli się ciała, zakopali w sadzie, czy gdziekolwiek, wszystko jedno, byle szybko, i okrążając zabudowania, polem przez ściernisko ruszyliśmy ku Czartoriusowym futorom i na ten ich cmentarz za debrami po ową broń, od której cała ta historia się zaczęła. Więc to było właśnie tak... Mógł być on moim pierwszym. Nikt prócz mnie nie wystrzelił, więc tamci wszyscy przedtem, do których niegdyś strzelałem, może wcale się nie liczą, a dopiero Antypko. I dlatego „Wuj na pewno rozumie, co czuję” myślał, ale najstraszliwsze w tej sytuacji było teraz to właśnie, że nie czuł nic, zupełnie nic, jakby to, co się stało, stało się bardzo dawno, albo w ogóle nie miało miejsca.

W końcu postąpił pytanie. Długo oczekiwane pytanie wuja. Dawno już zjadł podwieczorek, odstawił talerz, wypalił papierosa, a nawet zapalił następnego. I, choć wiedział, że nie ma to większego sensu, odpowiedział. A właściwie opowiedział. Aczkolwiek wcale nie tak, jak spodziewał się, że opowie i jak to był sobie przedtem ułożył. Opowiedział głosem pozbawionym emocji, i nie miało to obecnie żadnego znaczenia, że opowiada tak bardzo dokładnie i z wszystkimi szczegółami, bo w dalszym ciągu nie czuł nic. Wreszcie wuj August zapalił także i zaczął mu się w milczeniu bacznie przypatrywać. Potem powiedział cicho, prawie że do siebie: „No tak, widzisz, jest. To powoli staje się zwykłym rzemiosłem. Doszliśmy do tego, że kto jeszcze nie został zastrzelony, dość często ów fakt zawdzięcza tej okoliczności jedynie, że sam strzelił pierwszy. Na drugi dzień, niekiedy po godzinie już się nie pamięta. Może kiedyś, może po latach, nie wiem...” i zaraz, jakby chciał prędko zmienić temat, skończył: „Teraz chyba zdajesz sobie sprawę, że dalsze twoje przebywanie tutaj...”, a on: „Oczywiście. Trzeba będzie odejść”, a wuj: „Zwłaszcza, że nie wiemy zbyt dokładnie, co ci z powiatowej żandarmerii mieli przeciwko tobie, kiedy tu byli. Bo o kontakty z partyzantką każ-

dego pomawiają. I co naprawdę o tobie wiedzą...”, a on: „Nie ważne. Jeśli to Antypko zasypał, przepadło. Umiał to robić dobrze. Spokoju już nie będzie”, a wuj: „Tak, nie będzie”, więc on: „Ale jutro, no powiedzmy pojutrze i tak znikam. Laudański czeka w turchanowskich lasach, nie mam co zwlekać, o Karpatce i tak nic się teraz więcej nie dowiem. Zresztą jakaś nowa „samoobrona” tutaj, to nie byłoby do pogodzenia z posterunkiem, jeśli rzeczywiście mają go na nowo obsadzić”, wuj zaś na to: „Mimo pozorów, w lesie będziesz bezpieczniejszy, niż tu”.

Po chwili rozległ się szmer kroków na żwirze i alejką pod ścianą domu, niosąc pierożki w wazie, przebiegła w stronę kuchennego wejścia stara Waškowska. Za drzewami suchy wiatr podniósł się i popędził kurz. Na szybach światło zachodu pełzło niby ognista stonoga, choć niebo było mętne. Zrobiło się chłodniej, wuj wstał, zamknął okno, a firanka wyprostowała się i zamajaczyła bladym odbiciem na posadzce. Później siedzieli naprzeciw popijając wystygłą herbatę z filiżanek sprzed stu lat, które nie zdążono jeszcze spakować i po pewnym czasie już najzupełniej obojętnie zaczęli rozmowę o folwarku, który zapewne na krótko Niemcy zabezpieczą, zabezpieczając uruchomioną gorzelnię. Mówili również, że kobiet z Krzyżtopola nie należy ściągać z powrotem (to wuj), i o wozach, które nazajutrz odjadą do miasteczka z dobytkiem, o Węgrach z Iłowki, który zgodzili się ochraniać transport, jeszcze raz o szkodach, jakie wyrządziło najście na Gleby schutzmannów i Niemców, i potem, czy bić pozostałe po ostatniej rekwizycji bydło, by sprzedać, czy się da na czarnym rynku, czy też wstrzymać się na razie (to on, Paweł), a następnie wuj jeszcze raz nawiązał do niedawnego spotkania z Nikiem Fiodorczukiem, do tego, co Niko mu mówił, że Piotra Czerestwińskiego u Hułłasa już nie ma, choć tam był nawet po kłęsce Hułłasowego oddziału pod Zbarażem i nie zginął, ale któregoś dnia znikł. Zapytał wuja, co to znaczy, że Piotr znikł, a wuj powiedział, że Piotr po prostu poszedł, nie wrócił i nikt nie miał mu tego za złe, nikt nie uważał tego za ucieczkę, albowiem nigdy się do nich do oddziału naprawdę nie zaciągnął, ani z nimi nie utożsamiał. Później wuj urwał, przetarł twarz dłonią, zadumał się, a na jego ustach począł błędzić niewyraźny uśmiech i choć w tym uśmiechu był cień sarkazmu, to jednak Paweł miał wrażenie, że aprobeuje on tę jakąś swoją myśl, która przyszła mu teraz do głowy. Ale nie zapytał wuja o nic więcej. Odczekał, aż wuj zapalił jeszcze jednego papierosa i wtedy dopiero powiedział, że zapewne Niko Fiodorczuk pociągnął do opustoszałej Czupryni. „Pewnie się spodziewa i wierzy, że Piotr Czerestwiński musi tam wrócić. Pewnie chciałby się z nim spotkać. Niejedno mają

wspólnie do zrobienia”. „O tak. Tak właśnie twierdził Niko” przytaknął wuj August i zaraz: „Może istotnie się spotkają, skoro mają coś razem do zrobienia? Nawet domyślałem się co”, a ten cień sarkazmu, ale zaciekawienia również, ukrytej satysfakcji i poparcia, nie zniknął mu z twarzy. Paweł wtedy nagle się zachnął: „No i opowiedział wujowi zgrabną bajeczkę! Pewnie, jak to oni we dwójkę zwabią bat'kę Gawryluka i od razu w ten sposób załatwią wszystko, co według nich jest tutaj do załatwienia najpilniejsze. Gawryluk! Jakby to miało teraz znaczenie: jeden watażka więcej, jeden mniej. Myślę, że Czerestwienscy, Piotr i w ogóle wszyscy oni nie wychylili się jeszcze do dziś na krok poza opłotki rodzinnych swoich spraw. Są tak narodowo i społecznie abstrakcyjni, że prawie nieobecni. Ale sądzę, że bajeczka była niezła!”. Wuj jednak nie zareagował. Dalej siedział ciężko za biurkiem zarzuconym gospodarskimi księgami z rubrykami rozchodów i przychodów ostatnio coraz częściej wypełnianymi jego własnym pismem. Patrzył na niebo nad drzewami zaciągające się ciemną chmurą, masywny, wielki mężczyzna, trochę rozmiękły, rozlany, ale emanujący ukrytą siłą i spokojem (tylko ręce wuja, rzekłbyś, ku własnemu jego zdziwieniu, żyły wciąż własnym, odrębnym życiem poruszając się nerwowo), a ten cień sarkazmu wokół ust zmieniał się wolno w wyraz powagi i przekonania. Wreszcie, gasząc o dno popielniczki twardym ruchem papierosa, odparł: „Tak, bajeczka była niezła”, i chociaż zdanie powiedziane było najzupełniej serio, Paweł zrozumiał, że właśnie w nim, w owym jednym zdaniu kryje się kierowana pod jego adresem krytyka i ironia. Czuł, że wuj myśli: „Piotr w to wierzy. A w co ty wierzysz, Pawle?”. Wprawdzie dalej patrzyli na siebie, to jednak oczy wuja zdawały się nie kojarzyć tego, co widziały, jakby zapatrzone w jakąś wewnętrzną, odległą wizję. Poprzeczna zmarszczka przecięła mu czoło i połączyła brwi. Tak została. Zdawało się, że obaj teraz zbyt odczuwają nużące zakłopotanie, które wynika z doznanego zawodu. Po chwili wuj ze spokojną, niewyczerpaną cierpliwością zakończył: „No to po co tracimy czas?” i podniósł się prędko. Gdy wyszedł, mimo zamkniętego okna, firanka zaszeleściła, jak zwiędła trawa.

Niebo było już zupełnie szare i przypominało zmoczony deszczem blaszany dach, a drzewa rysowały się tak czarno na jego tle, że pomyślał: „Nie będzie dziś księżyc, ani gwiazd” i że nocą może znacznie padać. Potem jeszcze, że czas iść, zabezpieczyć broń z cementarzyką Czartoriusów, ale naprawdę, to ciągle przed oczyma wyobraźni miał zagadkowy, sarkastyczny półuśmiech wuja Augusta pełen aprobaty czegoś, co jemu, Pawłowi, wydawało się dziecinne nawet wówczas, kiedy kuzyn Piotr po raz pierw-

szy uciekł z domu (od ludzi, którzy sądzili, że nie mają w tym kraju wobec nikogo obowiązków, ani do płacenia jakichkolwiek długów, gdy tymczasem on, Piotr, najmniej do tego zmuszony się poczuwać, ledwo nieco podrośszy, ledwo wzmocniwszy na tyle mięśnie, żeby władać mogły tymi rozmaitymi narzędziami, jakie zadają śmierć i ledwo na tyle wyćwiczywszy oczy i ręce, żeby działały one celnie, już do takich obowiązków się poczuwał, konieczność zaś spłacania długu, nie swojego przecież, uznał za warunek życia, za ważniejsze niż spokój gdzieś tam, po przeciwnej stronie przepaści, ponad którą chcieli go przenieść oszczędzając mu nie tylko poranienia, lecz nawet zabrudzenia rąk), a co obecnie, kiedy Gawryluków było tak wielu i kiedy grozę sytuacji pogłębiać zaczął zbliżający się front, z dnia na dzień głośniejsze dające znać o sobie inne siły, z którymi być może łączyło się także nagłe odejście Karparki z wiernymi przedtem ludźmi, wydawało się Pawłowi dziecinne jeszcze bardziej. I również myślał o tym, że wczoraj, przedwczoraj, a może już, kiedy w Czupryni wiódł nocą ostatnią z Teodorem Czerestwiewskim rozmowę i powiedział mu: „Pan Piotra utracił”, to wtedy sam też wyraził zgodę na coś, o czym bez wątpienia Teodor Czerestwiewski wiedział, aczkolwiek ze swą wiedzą się nie zdradzał, o czym wiedzieli i Laudański, i Niko Fiodorczyk, skoro uparł się Piotra szukać, i chyba wielu innych także, a co, owo „coś”, które aprobowali, łączyło się z honorem. I czuł — stale ten zagadkowy, sarkastyczny, a pełen aprobaty półśmiech wuja mając przed oczyma — że chyba nie spełni danego kobietom w Czupryni przyrzeczenia. Nie będzie Piotra szukał. Nie będzie starał się sprowadzić kuzyna z drogi na jaką on wszedł. I wydało mu się, że kuzyn, jak gdyby nagle wyprzedził go w pogoni za celem, znalazł ten cel, gdy tymczasem on, Paweł, ciągle jeszcze, choć wiedział co robi, dlaczego i dokąd dąży, nie wiedział ani co przez to osiągnie, ani gdzie ten własny cel, własna zygzakowata droga go doprowadzi. I pozazdrościł kuzynowi. Widział Ukrainca z opowieści wuja Augusta z nikoryckiej rzezi, owego Ukrainca biegnącego do swego celu, co prawda fałszywego, prowadzącego do miejsca, gdzie albo on zabije Lacha, albo Lach jego zabije, to jednak jasno wytyczonego; widział Piotra zmierzającego uparcie poprzez wszystkie klęski własnej młodości do celu, którym był naturalny jego brat Semen Gawryluk, a którego to krwią Piotr zmyć postanowił hańbę, jaka spadła na Czerestwiewskich, i wreszcie siebie widział z celem wielkim przed oczyma, którym była ojczyzna wolna, ale jednocześnie bardziej mglistym obecnie, niepewnym i strasznym, niżli niegdyś w chwili wybuchu wojny.

Z trudem opanowywał nerwy. Długo nie mógł ruszyć się

z miejsca. Potem w drodze do sieni, przechodząc przez bawialnię, zatrzymał się przy matczynym starym melodeonie, którego wieko nie wiadomo kto i kiedy zostawił nie zamknięte, i stojąc nad instrumentem, na chybił trafił dotknął w zamyśleniu palcami paru klawiszy spodziewając się, że usłyszy jakiś znajomy dobrze dźwięk, lecz miast niego odezwał się brzękliwy, nieprzyjemny chrobot, a wieko zapadło się z hukiem. Nasłuchiwał tak długo, aż pogłos zamarł, aż echo pogłosu rozeszło się, aż odeszło zupełnie w głąb domu i pomyślał (zaskoczony dlaczego właśnie myśl ta teraz go nawiedziła), że matka, która grywała na tym instrumencie, gdy był jeszcze dzieckiem, też już odeszła w jakąś przestrzenną, niedosięgalną głębię, choć cicho, niemal bezszelestnie, bez pożegnania i obecnie on tak samo odejdzie.

Jeszcze było dość widno, gdy wychodził z domu i także, gdy kazał zaprzęgać i ruszył przodem, a potem siadł na rowie przy drodze do Iłówki Tatarskiej i czekał na Pankalę w gąbczastej, gęstniejącej mgłę przenikającej chłodem pod ubranie, choć zapiął się na wszystkie guziki, nastawił w górę kołnierz, klapy zaś marynarki podtrzymywał pod szyją, ale kiedy wreszcie zadudniła na wybojach pusta fura, to nie zobaczył jej, zanim koń nie zbliżył się na nie więcej niż odległość ramienia, tak bardzo ciemność stężała; i musiał błysnąć latarką, i skoczywszy z rozbiegu na kozioł, usłyszał: „W porządku?”, i zaraz zamyślony głos Pankali odezwał się znowu: „Myślę ja i myślę... Nie jesteśmy zabezpieczeni w żywność... Należałoby jej trochę porozmieszczać poza wsią”, i natychmiast pojął, że również ktoś drugi zdecydował o opuszczeniu wsi nie widząc nawet potrzeby go o to pytać, przekonany, że on, Paweł Woynowicz, albo już to postanowił, albo w najbliższym czasie postanowi. Zanim zdążył wtrącić chociaż słowo, chorąży zaczął mówić rzeczowo o schowku w opustoszałym przysiółku, gdzie ukrył parę worków mąki, kaszę, sól i suszone mięsiwo i że do miejsca tego jest dostęp bez względu na to, kto będzie miał w rękach wieś, a następnie zauważył, że i z folwarku podrzucić by tam co nieco nie zawadziło, żeby zapasy powiększyć, natomiast ziemniaki zakopować od razu można w lesie, gdzie wiosną składano dla ukrywających się Żydów, sędzia zna to miejsce, i on, mimo że z chorążym się zgodził, dalej się nie odzywał. Dopiero później. Tamten na chwilę przerwał, podał mu lejce, sięgnął po machorkę i skręcił ją po omacku zręcznie, bo gdy skrzesał zapalniczkę, to można było zobaczyć, iż trzyma w ustach samokruta prostego i cienkiego, jakby zrobił go maszynką; więc wtedy dopiero, przypatrzawszy się chorążemu w krótkim świetle, mruknął do niego, że oczywiście, co do tej żywności, to już myślał o tym niejednokrotnie, jutro wujowi po-

wie, nie można przecież liczyć na stały dostęp do wsi, i po pauzie: „Pan, panie Pankala, sądzi, że tym razem, gdy sformujemy oddział, to nie będzie on więcej tkwił w samych Glebach...?” a chorąży szybko: „A pan tak nie sądzi?”, więc już zupełnie bez zastanowienia: „Oczywiście, nic tu po nas. Rozwazałem tę sprawę dawno... Tak, tak, oczywiście” odpowiedział, tylko że nie było w tym krzty prawdy, bo nie rozważył jej nigdy, i pomyślał: „A gdyby tak moje zdanie było inne?”. Ale nie powiedział nic w tym sensie. I nagle, bo dojeżdżali już do celu (skręciwszy uprzednio z gościńca na łąki, z łąk na przełaj przez rzyńska ku wzgórzom nad debrą, aż w nieprzeniknionej ciemności błysnęło przed nimi coś podobnego do tłącego się tuż przy ziemi ogienka) zrozumiał, że dobrze, iż nic takiego nie powiedział, gdyż palnąłby głupstwo. Chorąży dotykając nieomal wargami jego ucha, zapytał świszczącym szeptem: „Spodziewa się pan, że tu jeszcze kiedyś powrócimy?” i to „my” odsunęło wszystkie tamte wątpliwości. Odpowiedział też pytaniem: „A pan, panie Pankala? Czego pan się spodziewa?”, a chorąży: „Ja nie, ja...” i urwał, i po namyśle: „Może synowie, może wnuki wrócą, czy to można wiedzieć? I kiedy? Tylko, że nie trzeba, ażebyśmy tak myśleli. W ogóle o takich sprawach nie za wiele myśleć się powinno. Swoje przecież robić musimy. Pan wie. Ta ziemia nigdy by nam nie wybaczyła. Nie ważne, że ja sam czuję, jak bym wrócić nie miał...”. Więc choć Paweł zdawał sobie sprawę, że ciągle jeszcze nie odpowiedział na pytanie, że może Pankala dalej czeka na odpowiedź, milczał. Gdy zbliżył twarz do twarzy starego, spostrzegł, że ciemność nie zdołała zasłonić jego oczu, bystrych, poważnych i pełnych zdecydowania. Dopiero wtedy powiedział cicho: „No, więc raz myślę, że wrócę, innym razem, że nie. To będzie zależało od Sowietów. Czy do nas dojdą”. Jednakże od razu wiedział, że to co mówi nie jest żadną odpowiedzią; oczu Pankali już nie widział.

A teraz byli naprawdę na miejscu. Koń stanął, zatrząsł uprzężą. W zagłębieniu na płaskim dnie kotlinki dogasało ognisko w kręgu czarnego popiołu, obok zaś Chrobak z karabinem wciśniętym między kolana, siedząc na trawie, spoglądał ku nim w górę w lukę, jaka otwierała się w ciemności. Paweł wydobytych skrzyń nie dostrzegł, natomiast spod stromizny podpierającej żywopłot cmentarny oderwało się trzech mężczyzn, w których dopiero, gdy zbliżyli się do ognia, poznał synów chorążego. Po chwili jeszcze gdzieś z boku, wylazł raptem w krąg światła Nestorowicz, również się zbliżył, Chrobak zaś nie wstając z ziemi, ten karabin trzymany między kolanami oparł o uda, zarepetował i skierował lufą ku młodym mężczyznom, zatrzymując ich w odpo-

wiedniej odległości. „Gdzie są te skrzynki?” zapytał Paweł wcale nie zaskoczony postępowaniem stajennego, trochę zdziwiony, to prawda, nic więcej, a Chrobak na to, że ukryli je w krzakach, więc: „Acha, to dobrze. To dajcie je tutaj. Trzeba załadować na furę” powiedział i nagle pojął, że coś nie jest tak, jak powinno być i zapytał: „A Hanczar?”, bo nie kojarzył młodych Pankalewiczów stojących w niezdecydowaniu z trzymanym w pogotowiu przez Chrobaka karabinem, ale stary Pankala od razu widać skojarzył, zrozumiał co zaszło, zrobił szybki krok ku pierwszemu z brzegu synowi, zamierzył się i wyciąłby mu zapewne policzek, gdyby go Paweł nie złapał za ramię: „Co u diabła się dzieje!? O co chodzi?” i wtedy Chrobak powiedział: „Hanczar pilnuje, żeby te krasie byki nie rozciągnęły. Licho wie, co strzeliło im do głowy...”, a stary Pankala mruknął: „Przepraszam”. Więc mógł złapać chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, rozejrzeć się dookoła, a nawet powtórzyć: „O co chodzi?” już spokojnie.

Upłynęło jednak nieco czasu nim żadaną odpowiedź otrzymał. Wpierw po stromiznie od żywopłotu zjechał na piętach Hanczar, również z karabinem nastawionym do strzału, i zatrzymawszy się obok powiedział szyderczo, że nie wszyscy mogą rządzić, subordynacja być musi, nie można za byle co brać się za łeb, potem Pankala chciał coś odpowiedzieć, a tylko się rozkaszał. Odpowiedzi udzielił ten, który był najbliżej, z czarnym parodniowym zarostem na twarzy, zatrzymany wprawdzie ojca ręką w miejscu, ale wciągający głowę w ramiona i ze złym błyskiem w oczach. Odezwał się w formie pytania: „Żeby było znowu, jak za Karpatki?”. I Paweł cofnął się przed tymi słowami, jeżeli w ogóle można się cofnąć, stojąc równocześnie nieruchomo, niby słup. A oni podchodzili bliżej i mówili jeden przez drugiego: „Żeby folwarku i krów pańskich pilnować?”, „Dworskie powozy eskortować?”, „Karabin trzymać pod pierzyną?”, „Co najwyżej za szpiclami łązić?”, „Majątek i tak szlag trafi, wokoło tylko sami prawie Ukraińcy pozostali”. „Jak ginąć, to naprawdę za coś!”, aż stary, nie przytrzymywany już za ramię, postąpił krok, krzyknął: „Dość! Dość, mówię!” podnosząc powtórnie dłoń, która zwieszona na krótko w ciemnym powietrzu wyglądała okropnie, biała, wielka, nagle znieruchomiła, a oni zamilkli.

Więc była cisza, aż Paweł powiedział: „Przytaszczcie to wszystko” i zaraz: „Jeżeli co widać stamtąd z góry, to rozejrzyjcie się po okolicy, czy spokojnie”, a mówiąc to czuł, że twarz ma ściągniętą i uszy pieką go, jak odmrożone. Potem siedział opodal ogniska, patrzył na znoszących skrzynki synów Pankali obojętnie i nie było w nim nic prócz zamyślenia: „Nie nie nigdy do osobistych celów ani wuj co ja mówię do osobistych ale że eskorto-

wał ten i ów Katarzynę lub matkę o wielkie nieba też coś gdy jeździły do miasta toż to byli ludzie z folwarku płaciło się za to a oddział jako oddział robił co Laudański kazał nie siedzieli z założonymi rękami nie tu cholera niech by postawili przy furze nie tu śmierdzi jak cholera i szli gdzie Laudański wezwał najlepiej od razu na furę rzucić wiele akcji nie było to prawda ale ochranianie wsi to co zaopatrywanie w żywność oddziałów w lesie to może mało a przetrzywanie broni a przechowywanie Żydów i „spalonych” ludzi z miasta czarna robota to dla nich nic”, aż Pankala podszedł bliżej, więc te myśli przestały przez głowę przelatywać. Milczeli obaj do czasu, aż wszystko zostało złożone w kręgu światła. Wtedy wyjął z kieszeni papierosy, poczęstował starego mówiąc: „Proszę”, odczekał aż też — również powiedziawszy: „Proszę” — wyjmie z ogniska płonąca szczapkę, poda mu ogień (sam bowiem zdradziłby się trzęsącą się ręką, gdyby to zrobił) i powiedział: „Dziękuję”. Potem obserwował, jak koń wyciągnąwszy szyję niespokojnie powąchał wieko jednej ze skrzyń, zadrzał, cofnął się chrapiąc, a gdy któryś z młodych doprowadził go tak, żeby łatwiej było ładować na furę, to z kolei zauważył, jak Nestorowicz jedną ręką chwycił lejce, drugą zaś położył na nozdrzach zwierzęcia, gotów zacisnąć. I nagle miał tego dość. Nie czuł dokładnie kiedy to się stało, tyle tylko, że w pewnej chwili uświadomił sobie ponownie wypełniający mu głowę hałas tamtych myśli. Ale przysłuchując się im, jednocześnie myślał: „Żebym mógł odczepić się można cholery dostać odczepić się tylko co mnie to obchodzi niech biorą to można cholery dostać”, i przypatrywał się swemu ciału, jak próbuje wstać z ziemi, unieść się, podciera się rękami i jest mu, temu ciału niezmiernie ciężko. A potem stał na nogach, trzymał się prosto i mówił: „Zaczekajcie. Rozwalcie te skrzynie. Rozdzielimy od razu, co komu się należy i wolna droga”, tylko że chorąży wtedy stał już obok i dotknął jego ramienia. Był to ruch krótki, twardy, niecierpliwy, natarczywy prawie. Ten hałas w głowie nagle umilkł; powtórzył to samo, co przedtem. Stary jednak powiedział po raz drugi: „Nie” dość cicho jeszcze, tylko że nieustępliwie. Po pauzie dodał: „To pan zastrzelił Antypkę”, a gdy on powiedział, jakby nie słyszał: „Daję każdemu karabin, paczkę amunicji, i droga wolna”, to wreszcie Pankala podniósł nieco głos, lecz dalej niezmiernie cierpliwie: „Antypkę pan zastrzelił, tak? Więc pana broń, nie nasza. Mamy, jak złodzieje brać? Rano zaczynaliśmy razem, to i skończymy razem. Nie powinien pan obrażać się o durniów. Zobaczysz taki karabin i łapy śwędzą. Żeby samemu pohajdamaczyć” i przerwał. Umilkł, przerwał, jak gdyby cofnął się w siebie, a nawet cofnął się rzeczywiście, bo Hanczar dorzucił garść suszu

do ognia, płomień buchnął, w kotlinie pojaśniało, teraz więc, oddalony już o parę kroków, stał trochę sztywno i przyglądał się na przemian to jemu, Pawłowi, to swoim synom mając we wzroku zdziwienie i żal. Ten żal był także w jego głosie, gdy zapytał: „Pan każe, żebyśmy już ładowali?”. Prócz tego była jeszcze w jego głosie prośba. Paweł skinął głową.

Gdy zdeptano ogień, w nieprzeniknionej ciemności tylko głos mężczyzny sadowiącego się na kozioł, ozwał się krótkim: „Hej, wio gniady”; nie poznał do kogo ów głos należał. Ośki skrzypnęły, obracać zaczęły się miękko, choć koń ciągnął, że stęp wychodził mu nierówny, wymuszony i jakiś niespokojny; od złożonego na furze ładunku ciągle zalatywał nie zwietrzały jeszcze zaduch, a oni szli wszyscy z tyłu, cały czas w tym zaduchu, milcząc. Paweł czuł ramię starego Pankali tuż przy własnym ramieniu, jak idą obaj prawie krok w krok, mimo że nie dotykali się, lecz jego myśl nie szła wraz z nim, odbiegała uparcie zostawiając za sobą obojętnie sprawy obecnej chwili; miał tylko świadomość, że teraz w głębi jego istoty jest równoczesne poczucie obecności tych wszystkich idących obok lub w pobliżu ludzi i istnienia nie mających z nimi nic wspólnego myśli, które choć przebywają bardzo daleko, to jednak będą musiały wkrótce powrócić. Górą szumiało, przydrożne drzewa kołysały się, zewsząd niósł się szelest liści. Szli wśród lelków, sów, ostatnich nieustępliwych świerszczy, następnie, gdy droga zagłębiła się w wieś, wśród psów zrywających się z ujadaniem spod uśpionych chat i milknących prędko pod opłotkami. Gdy fura wjechała w obejście futoru Pankali, to już zaczęło padać.

W stodole, przy świetle naftowej latarki, odbili potem te skrzynie, odwinęli z przetłuszczonych szmat karabiny, pociski do polowych działek i przeliczyli karabinową amunicję. Stary powiedział: „Jeśli pan jeden karabin zostawi, żebym schować mógł za belkę i mieć gdyby co pod ręką, to byłbym bardzo rad”; tym razem w jego głosie wyczuł tylko trochę ceremonialności i wyczekiwania, nic więcej. Żaden z jego synów nie wtrącił się nawet słowem. Po małej chwili Pankala dodał: „Z całą resztą, to sam pan najlepiej wie, co robić. Powinna być gdzieś w pewnym miejscu złożona, aż się ją przeczyści i sprawdzi. To już, kiedy pan sobie życzy, jutro, pojutrze...” i nagle uprzedniego wyczekiwania w głosie starego nie było, a jedynie zwykła rzeczowość. Paweł znowu prześliznął się wzrokiem po twarzach mężczyzn szybko, jak przy ognisku, zanim je Hanczar rozdeptał, i zapytał: „Tu jakiegoś miejsca, gdzie można by ukryć, nie macie?”, a gdy stary wskazał: „Jest w sąsięku. Mamy zamaskowany wykop”, skinął głową i kazał, żeby Hanczar z Chrobakiem

pomogli nosić. Już nie patrząc na nikogo ruszył ku wrotom i na podwórze w deszcz.

Chłodny wiatr smagnął go, rozwiął mu poły marynarki — nim ją ponownie zapiął, kołnierz podnosząc na szyję — zmoczył mu twarz, ręce i na krótko zatrzymał w miejscu. Spoglądając na migocące światło gorzelni, znowu poczuł obecność starego Pankali, mimo że nie słyszał, żeby ten wychodził za nim na dwór. Myślami wciąż był jeszcze daleko. Powiedział nie odwracając głowy: „Napiłbym się czegoś”, a z prawa, z boku głos tamtego: „Proszę, niech pan zajdzie do domu” zaprosił i sękata, pełna zadziorów dłoń ujęła go za łokieć, poprowadziła przez ciemność po śliskiej, lasującej się szybko ziemi, po namakających deskach stopni, wreszcie puściła (wokóło stało się raptem zacisznie, zapachniało bielonym drewnem), skrzesła zapalniczkę, której płomień ledwo zachybotał w powietrzu niby gorąca łąza, a już zawadził o knot, zapalając go, potem wyciągnęła się ze świecą do przodu i wskazała w głąb, gdzie dostrzegł drzwi do dalszych pomieszczeń.

Wszedł do pokoju przesyconego wonią wyprawionych skór, tytoniu, chyba i gorzałki, na pewno zaś końskiej uprzęży i psów, do pokoju chorążego, którego żona dawna już umarła i w którego domu od pewnego czasu w ogóle nie było kobiet, a żółty pełgający płomyk wszedł zaraz tuż za nim. Gdy się rozglądał, gospodarz od trzymanej w ręce świecy pozapałał w lichtarzu następne (chybot ich wkrótce uspokoił się, zwolna objaśniał wnętrze) i już zniknął w głębi domu. Wdychając woń pokoju, tę woń samotności, lecz jednocześnie i siły, poczuł, jak jego myśli odbiegły bardzo daleko w czasie drogi do wsi, albo jeszcze przy ognisku za cmentarzem, nagle powróciły do otaczającej go rzeczywistości i zaczęły ją przenikać. Jak gdyby jakiś przewód, przerwany wtedy w głowie, został teraz połączony i ponownie przesyłał błyskawiczne sygnały: „On pewnie także na to wygląda och będzie mówił o Karpatce muszę go wysłuchać lecz ileż jeszcze muszę o jeżeli mamy iść razem to tak muszę nie można by bez tego niech już zaczyna u diabła tak byle prędzej”. I czekał. Ale, chociaż bez napięcia, prawie pogodzony, to jednak oddychając szybko i z utrudzeniem. Słuchał kroków i charakterystycznego szurania przedmiotami w głębi domu, błądził wzrokiem po zawieszonych na kołkach w ścianie paradnej uprzęży, po obrazach świętych wystawionych w narożnikach, po grzbietach oprawnych roczników periodyku „POBUDKA” rozmieszczonych na półce obok puszek od cukierków „G. Łandrina” jeszcze z rosyjskiego importu sprzed pierwszej wojny, służącej teraz do utykania w nią zaszuszonych wiechetek z dnia Matki Boskiej Zielnej, a myśli jego mówiły spokojnie i chłodno: „Będę musiał postawić kwestię pro-

wadzenia oddziału. Tylko od razu, bez zbędnych ceregieli. Nie mam takich aspiracji. Rzeczywiście nie mam wcale". I wstał z krzesła, przeszedł raz i drugi przez pokój, siadł potem na ławie za dębowym stołem, mając przed sobą wzorzysty kilim buczacki na ścianie, a na nim na środku ryngraf z dwoma skrzyżowanymi pod spodem szablami, i pomyślał: „Żeby tylko nie powiedział, że to ja jestem winien, albo wuj... bo daliśmy Karpatce zwierzchnictwo nad większą 'samoobroną'...". A wtedy z głębi wnętrza Pankala wynurzył się znowu. Na stole pojawiły się skrojone równo pajdki chleba na drewnianym talerzu i dwie szklance z grubego szkła. Huknął wybijany spodem dłoni korek butelki, naczynia napełniły się prawie po wierzch przezrystym płynem o różowawym odcieniu, rozszedł się ostry zapach żytniej samogonki i Pankala powiedział: „Na zdrowie". Kiedy powoli wypił zawartość szklanki nie czując wcale ognia, na odwrót, pozbawione smaku zimno spływające przez gardło w dół (lecz z przymkniętymi oczyma czekał, aż zacznie je czuć w samym żołądku), posłyszał, jak Pankala odzywa się po raz drugi: „Nie moja rzecz teraz, panie dzieju, wietrzyć skąd wiatr jutro, lub pojutrze zawieje. Kiedym ja po pierwszej wojnie dosługiwał się chorążego, to nie za politykę, a za szczerą wojaczkę, pan wie. Mówiło się niepodległość i tyle. Wiedziało się jaka i wszystko było jasne. Nie jak dziś". Więc dźwignął powieki i popatrzył na mówiącego z pewnym zdziwieniem. Gardło miał teraz pełne parzącego smaku, pokój wirował wokół równomiernie, nieśpiesznie, a myśli pojawiały się i znikwały w tym samym tempie: „O co mu chodzi do czego zmierza nie zmierza do tego do czego przypuszczałem że zmierza do ustalenia winy za...", aż stopiły się w jedno ze znieruchomiałym, nie słabnącym, ani nie nasilającym się ogniem w środku i poczuł odprężenie; Pankala dawno już mówił znowu i teraz miał jego własnych myśli, słowa chorążego falowały w rytmie kołysania się pokoju: „Nie wiem ja, czy takie utrzymywanie naszymi małymi oddziałkami wioski ma większy sens. Nie damy rady, proszę pana. Tylko większe ośrodki samoobronne mają szanse przetrwania. I to jeszcze pod warunkiem wsparcia przez oddziały z lasu. Za dużo zrobiło się zamętu. Nawet jeśli Niemcy zechcą wkrótce postawić tu u nas we wiosce posterunek. A najpewniej zechcą skoro uruchomią gorzelnię. Nie na wiele nam się to zda, proszę pana. Wilcza to opieka. Tyle że może wtedy czas jakiś sami nas nie rozwalą i może nie pozwolą tej czerni od tryzuba". A Paweł chociaż czuł, że głowę ma trzeźwą i jasną, bo zapadające w nią zdania Pankali były notowane przez mózg dokładnie i rozumiane, to jednak własne myśli i własne usta odmawiały mu posłuszeństwa. Musiał swe myśli, krzyczące coraz

bardziej, wprost wlec za słowami Pankali, ledwo nadążając: „Do czego zmierza u diabła o Karpatkę nie chodzi więc do czego nie do tego do czego”, gdy tymczasem usta, mimo że mu się poruszały, nie mogły nic wymówić. W końcu jednak zapytał: „Do czego pan zmierza, panie Pankala?”. A wtedy właśnie Pankala odpowiedział: „Chodzi mi o Karpatkę...”. I szybko sięgnął po butelkę, nalał do obu szklanek po trzy czwarte, nie czekając sam wypić zawartość swojej duszkiem, odstawił, przytknął do ust pajdę chleba, głośno wciągnął przez nią powietrze, potem odchylając się daleko do tyłu zapytał: „Wie pan gdzie Karpatka poszedł?”, i nawet nie czekał na odpowiedź — jak gdyby wiedział, że jej nie otrzyma, skoro on, Paweł, pozbywszy się podejrzenia, że sprawa ta będzie wałkowana, został teraz zaskoczony podwójnie i podwójnie zdumiony — a sam sobie na swe pytanie odpowiedział: „Dokładnie, to pan nie wie, ja również nie, ale domyślamy się oboje. On poszedł tam, gdzie nie muszą myśleć, jaki ten kraj będzie po wojnie. I gdzie nie muszą liczyć wrogów na pęczki, bo mają jednego: Niemca. Oni nie patrzą ani w przeszłość na to, co się stało i czego nic z pamięci nie wykreśli, ani zbyt daleko w przyszłość na to, co może się stać. Tam gdzie idą są same obietnice, a że mgliste, cóż to szkodzi. Byłe wojnę wygrać i wszystko się ułoży, tak im powiadają. Ale jak wygrać, dobrze, czy źle, o tym się milczy. No i mają się tam czym bić, bo przez bliski front im przerzuca. Więc on się, panie, zważał z czerwonymi. Jest nietutejszy, z Wielkopolski, czy ze Śląska, inaczej na to wszystko patrzy. I na sojusze i na wrogów. Dla nich zawsze nie Wschód, a Zachód był groźniejszy, pan przecież wie...” i teraz dopiero nachylił się do poprzedniej pozycji, znowu ku niemu, Pawłowi, i zamilkł, ale nie było widać, żeby czekał na potwierdzenie swego stanowiska. „A pan dlaczego z synami tam nie idzie, panie chorąży?” zapytał po chwili Paweł. I raptem zobaczył na twarzy Pankali uśmiech. W uśmiechu tym wprawdzie była tylko ironia zmieszana z zawstydzeniem, niemniej był to jakiś tam uśmiech. Postyszał: „Ja pochodzę stąd, pan dobrze wie, i już raz tu przeżyłem okupację sowiecką”, tę odpowiedź pełną rozgoryczenia i pamiętliwości, a gdy wtrącił: „Ależ ja też, panie Pankala, o co chodzi?”, to stary: „Zrozumiałe, nie ma o czym mówić” odparł i potem: „Chciałem tylko, żeby pan do serca zbytnio nie brał słów, jakie chłopaki nagadały. Trudno im nieraz pojąć, że bicie się polega także na bronienu kawałka ziemi, wioski i stanu liczebnego naszej ludności, bo przecież wszystkim jednak zależy, i z prawa, i z lewa, żeby nas jak najmniej zostało. Jak nas wybiją, to później nie będzie się o co spierać, no nie? Po to mówię to wszystko, żeby kwasów niepotrzebnych nie było”

i zmrużył oczy. Po chwili się zaśmiał. Jak przedtem w uśmiechu tylko, tak teraz w jego śmiechu było coś ostrego, nie gorycz nawet, prędzej pogarda: „Młodym zdaje się, że ojczyzna ich potrzebuje, a to mała prawda. To oni potrzebują ojczyzny”. A wtedy Paweł podniósł się z krzesła. Nie powiedział nic z tego, co miał w głowie ułożone. Podziękował za poczęstunek i tylko od drzwi: „Jutro wyruszyć się nie zdąży. Może pojutrze. Zapewne ktoś jeszcze do nas dołączy. Ludański miejsce zborne wyznaczył w turchanowskich lasach. Dobranoc”, i znowu wyszedł w deszcz.

Chrobak z Hanczarem oderwali się od stojących we wrotach stodoły mężczyzn, cisnęli papierosy w błoto, karabiny lufami do dołu zarzucili na ramiona i okrywając je połami brezentowych płaszczy, dołączyli do niego. Szli potem za ogrodami poprzez wygony wiejskie i folwarczną koszarę dla bydła, od czasu do czasu wpadając na siebie i potykając się o grudę. Od bramy Paweł szedł już sam. Przed domem zatrzymał się i patrzył chwilę w czarne okna i czarne zamknięte drzwi z rozpaczliwą nadzieją, że jakiś znak czuwania, życia, obecności wzbudzi w nim cokolwiek: żal, albo odwrotnie, radość, cokolwiek bądź, byle by nie czuł tego przynębiającego chłodu w sobie, ale nic się nie stało. Był zupełnie sam w czarnej nocy.

VI

Od brzasku byli już w drodze. Pręga lasu zbliżała się, przejaśniała, wznosiła wzwyż, aż znaleźli się tuż, jak pod ścianą, która nagle się rozstała, pochłonęła ich, wreszcie wydostali się na szlak pokryty trzaskami z obciętych gałęzi, znak, że niedawno przeszli tędy drwale (zapachniało żywicą i grzybami prującym się z wilgotnego mchu), a Paweł ciągle jeszcze ogarniał spojrzeniem tamtą krótką chwilę, kiedy za bramą popędził konia: na wprost sina, parująca tafla stawu, przeciwny brzeg ledwo przezierający przez mgłę, skwir zbudzonej rybitwy w sitowiu przy grobli, komin gorzelni czarny, sięgający w dziecienną różowość nieba rozpiętą nad nim wysoko, natomiast w lewo, w tumanie białym, jak mleko, wieś: srebrne iskierki rosy na słomianych strzechach i gontach, cisza, tylko jeszcze dalej pies, który zerwał się z łańcucha i długimi susami sadył przez gromadzkie pastwisko ze skowytem przywołującym wspomnienie jesiennych gonów.

Równocześnie jednak z chwilą tą ogarniał także cały poprzedni dzień, niby galop wyraźnych aż do bólu obrazów:

Wozy kryte pałubami pod eskortą Węgrów z Iłłowki ruszające z podjazdu. Ogrodnik przepędza kury z więdnących klombów. Ksiądz proboszcz Lipiec z Białej, który przywłókł się do Gleb pieszo nad ranem, ostrzeżony wcześniej przez dobrych ludzi, że wkrótce przyjdą po niego hajdamacy, stojąc przy oknie w sieni pośpiesznie odmawia brewiarz i zatroskanym wzrokiem spogląda w niebo. „Masz trochę czasu? Chodź, zagramy roberka z dziadkiem” proponuje wuj August zaraz po śniadaniu, „Trzeba się rozprężyć. Może wieczorem, jeśli fury powrócą z Krzyżtopola, będziemy mieli jakiś list od naszych pań. Nie musisz być taki niespokojny”. Patrzy wujowi prosto w oczy. „Nie jestem wcale niespokojny”. Od Katarzyny, oczywiście, nie może spodziewać się listu, ale matka bez wątpienia napisze. Wbrew jednak temu, co z przekonaniem myśli, ma drobną nadzieję, że Katarzyna do listu matki dopisze parę słów. A na folwarku Wasylko Hanczar ze starym Pankalą ukradkiem ładują na wóz worki wypełnione mąką i gryczaną kaszą; wiozą je do opustoszałego przysiółka za Glebami, ażeby ukryć tam na zimę. Niebo jest wietrzne, lecz ciepłe jeszcze. Hałaśliwy sejmik wróbla w białodrzewiu na skraju parku. „Czy nie lepiej w baka?” pyta proboszcz niepewnie. Dziobata twarz Saszki Prokopity wyciąga się w zamyśleniu za wozami dworskimi zmierzającymi drogą na Charłapy, stamtąd zaś prosto ku Krzyżtopolowi. Saszka drapie się po głowie, mówi do kogoś za płotem, że wyszedł jedynie „*podywytsia*”, czy pany uciekają, czy nie. „Nie uciekają” stwierdza po chwili sam do siebie, a twarz jego wyraża zwątpienie w coś, nie wiadomo jednak w co. U Hawryły pod brogiem suka się szczeni, dzieci robią zgiełk. Z kuźni dolatuje strachliwy kwik pierwszy raz podkuwanego dwulatka, posapuje kowalski miech. Pop Martynienko na skraju swego sadu zbiera opadłe jabłka, odzywa się ostrożnie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Słońce odbija się matowo w jego oleistym oku, łypie nim na strony i w ślad za nim, Pawłem, rzuca: „Gadają, że jakoweś nieszczęście przytrafiło się Antypce...?”. A w domu z kuchni tłusty zapach. Znowu na obiad będą pierogi. I myśli: „Od kiedy Katarzyny nie ma, Paraska robi wszystko po najmniejszej linii oporu”. Gdy zagląda do bawialni, ksiądz z wujem tną w karcięta, w przerwach zaś kłóćą się ponuro na tematy polityczne. Potem krótki deszcz przy jasnym niebie i przy słońcu. W stodole u Pankali przeczyszczanie łuf, oliwienie zamków. Zjawia się ślusarz Imach, tatarczuk z Hańcza-Czacz, czasowo przebywający w Glebach u siostry. Zna się na rusznikarstwie, na poczekaniu dokonuje różnych napraw. Na bel-

kach siodła i juki. Troczenie w juki broni, pucowanie siodła, polerowanie sprządek i wędzideł. Zgłaszają się nowi ochotnicy do oddziału. Feduszycki, Tyszka, Hudyka, Zachwiej. Ostatni przynosi z sobą dubeltówkę, do której ma parę paczek breneków. Nie wszyscy jednak dysponują końmi. Waškowski na folwarku przygotowuje dyskretnie cztery odpasione wałachy. „Wuj będzie biadał, ale się pogodzi”. Niebo zwolna zaciąga jednolita szarość. W domu: „Nie zagapiaj się” mówi do niego wuj, „Trzeba skoczyć do gorzelni, pogadać ze szkopami, co i jak...”. Więc idzie do gorzelni. Typy podejrzone, lecz w miarę spokojne. „Ważne żeby ruszyć produkcję spirytusu, a wszystko będzie dobrze” mówi jeden z nich podający się za pół Polaka. „Ruszy się” odpowiada mu. Znowu jest w domu. Listy, listy. Wuj wysłał je najbliższą okazją. Do matki, do Katarzyny. W obu pozdrowienia dla ciotek. Do stryjenki Małgorzaty same kłamstwa. Po południu jedzie do przysiółka obejrzeć schowki na żywność. Utyka jednak między zabudowaniami na skraju jaru. W miejscu, gdzie Nestorowicz pilnuje drogi wybucha strzelanina, pojedyncze kule przelatują z ostrym gwizdem. Zeskakuje z konia, Hanczar również. Biegną i zapadają w zaroślach lubaszek. Przejrzały owoc gnije na ziemi. Po przeciwnej stronie widać paru leżących ludzi, można ich łatwo wziąć na muszkę. „Poddajcie się bulby, bo wystrzelamy was, jak zające!” krzyczy przez zwinięte w trąbkę dłonie. Głos przez jar odkrzykuje po rosyjsku: „*Ot, mierzawiec, u ciebia bulby i partizany wsie rawnyje!*” I leżący tam sowieccy partyzanci podnoszą się (jest ich pięciu) i zbliżają; w oczach tylko ciekawość, więcej nic. Krótka wymiana zdań; są patrolom rozpoznawczym jakiegoś większego oddziału, pytają, kto oni dwaj z Hanczarem, odpowiada, że z tutejszej samoobrony. Prosi, żeby nie przechodzili przez Gleby, że Niemcy uruchamiają gorzelnię, w związku z czym przypilnują wsi przed ukraińskimi faszystami, ludność odetchnie, nie należy więc ich płoszyć. Kiwają głowami nie bardzo rozumiejąc, potem pytają, jak umocniona jest linia kolejowa na Krzyżtopol. Odpowiada im, że bronią jej patrole Ostlegionu, Ukraińców, Węgrów, Niemców, bunkry i gniazda karabinów maszynowych, w ogóle trudna do sforsowania. Odchodzą w kierunku doliny Meki Pańskiej. Pankala z Nestorowiczem, trzymający dotychczas z ukrycia Sowietów na muszkach, zbliżają się; razem wracają do wsi. Wiatr szumi w nie zebranej z pola kukurydzy, niby deszcz. Na dziedzińcu gorzelni jakaś furmanka, to przywieziono Niemcom ich rzeczy z miasta. Schodzą się chętni ze wsi, pytają o pracę. W domu w bawialni ksiądz z *Ostdeutscherbeobachter*'em na kolanach milczy przymknawszy oczy. Na stronie, gdzie doniesienia o „planowych wycofywaniach się Niem-

ców” na linii wschodniego frontu, ołówkiem zakreślone nazwy miejscowości. Głos wuja, jak gdyby do księdza nie dochodził, gdy mówi: „Wróć i znowu będą chcieli narzucić nam przekonanie, że wyrządzenie krzywdy człowiekowi przez człowieka może być zniesione z dnia na dzień przy pomocy rewolucji. Mój Boże, jak gdyby coś, co już jest totalną krzywdą, mogło jakąś krzywdę unicestwić. Oczywiście, lud będzie się musiał temu poddać. Oczywiście, oczywiście... Jest za głupi, żeby potrafił zrozumieć, że to oszustwo i za słaby, żeby mógł zrobić coś innego. No tak... Ale przeżyje to, przecierpi, przetrwa i pozostanie tym samym. Bo ma cudowną zdolność przetrwania. Przeżyje, zmiele, przetrawi i wypluje. Okaze się na pewno mocniejszy niż my, którzy już teraz wiemy, że to fałsz, gdy on jeszcze nie wie nic. Mocniejszy, mimo że skłonny jest uwierzyć w to, w co my z góry nie wierzymy, już dzisiaj przez to tracąc ojczyznę”, a wzrok księdza Lipca podnosi się znad gazety, wędruje na twarz wuja, nie zatrzymując się mija ją, na chwilę spoczywa nieuważnie na jego, Pawła, twarzy i gaśnie, i pustoszeje, i głos rozpaczliwie zmęczony mówi: „Pan, sędzio, to już tak, jakby to się dokonało...”. Więc wtedy Paweł odwraca się od obu siedzących mężczyzn i zostawia ich samych. Potem porządkuje u siebie w pokoju listy i fotografie, pakuje do kartonu, a karton odstawia na szafę. Do plecaka pakuje zapasową bieliznę, sweter, kilka par skarpet, lornetkę, nieprzemakalny płaszcz. Krótkie wahanie. Wychodzi. Krąży po domu, zagląda do pokoju Katarzyny; pusto i obco. To ssące uczucie w piersi znowu. Obrazy już prawie wszystkie zdjęto, jeszcze tylko trzy portrety pędzla Damela w saloniku, ale i one ustawione pod ścianą, przygotowane do wyniesienia. Nakręca odruchowo patefon, nastawia igłę na leżącą na podstawce płytę: Koncert skrzypcowy E-dur Bacha. Słucha chwilę, potem podnosi membranę, a płyta okręca się nadal z cichym szmerem i znowu to dziwne ssanie w piersi. Wychodzi z domu tylnym wyjściem. Jest pochmurno, ale ciepło. Rozgląda się, jakby tego, na co patrzy, nigdy dotychczas nie widział. Jest bardzo cicho. Nawet ptaki milkną zwolna. A jeszcze nie dawno w czasie podwieczorków podawanych tu przy stoliku pod drzewami, o krok od grząd z lobelią i balsaminem, tyle było rozmów. Pod arkadami werandy w obramowaniu z bukszpanów zakwitają astry. Na słupach pergoli biegnącej aż do dawnego tenisowego kortu zwisają girlandy dzikiego wina, którego liście żółkły i szcerwieśniały. Pali papierosa jednego, potem drugiego. Nie może się pozbyć myśli o Katarzynie. Cierpną mu nogi, więc przechadza się wokoło domu. Akacje i sosny, świerki i białodrzew zazwyczaj tworzyć gęstwinę głęboko zieloną, nabierającą wraz ze

zmrokiem granatowego prawie zabarwienia. Spogląda po oknach, są zamknięte, wciąż ciemne. Okna bawialni też. A przecież jeszcze przed tygodniem albo dwoma, gdy tylko gaśta ostatnia smuga słońca, zapalano wszystkie lampy, jak gdyby serce tego domu biło właśnie tam. Wreszcie od folwarku ktoś idzie. Lecz to tylko Hanczar przyprawdza łącznika przybyłego od Laudańskiego: mają, ciągnąc na miejsce zbiórki w turchanowskich lasach, zapasać za Czołbią w jarach i czekać, aż dołączy jeden z konnych oddziałów Draży. Dalej pójdą razem. Wymieniają z łącznikiem rozpoznawcze hasła i znowu jest sam. „Lackie Sioło” przypomina sobie. „Niedaleko za Czołbią ukrywa się w Lackim Siole, lekarz Żyd, do którego Katarzyna jeździła niedawno. Dlaczego? Czyżby była chora?”. Odpęda tę myśl, odpęda z wściekłością, lecz mimo to pozostaje w nim ona gdzieś ukryta. W domu jest już po kolacji, więc je w kuchni sam. Z bawialni do sieni szparą pod drzwiami wydostaje się światło. Przy stole siedzi jeszcze ksiądz Lipiec, a choć kanapa zaścielona już do snu, nie wydaje się, aby chciał się położyć. Nie wycofuje się, proboszcz zaś nie robi nic, żeby się go pozbyć. Siedzą potem długo w milczeniu nad odkorkowaną butelką jabłecznego wina i sączą je wolno małymi łykami z kieliszków. Wie, że proboszcz odszedł ze swej parafii nie dobrowolnie i nie powinien już tam wracać, ale że rano poprosi zapewne o konie z pojazdem i powróci. Wie, że proboszcz o tym myśli, jednakże nie pyta go o nic. „Och, będzie chciał, abym go kawałek drogi odprowadził, albo nawet pojechał z nim razem i na miejscu przekonał się sam, że on musiał powrócić, i dlaczego musiał” myśli, ale proboszcz niczego takiego mu nie proponuje. Zastanawia się więc, co ma jeszcze do omówienia z wujem Augustem i w pewnej chwili zdaje sobie sprawę z faktu, że proboszcz już dawno nie milczy i że dźwięk jego głosu kołysze nim, jakby siedział w łodzi unoszonej coraz gwałtowniejszą falą, choć prawie go nie słucha. Wreszcie jednak: „Mogą księdza zabić” mówi i głos ma bezosobowy, nawet nie zainteresowany, a głos proboszcza łagodnie natychmiast, zaczyna rozpływać się, jak po niezmierzonej przestrzeni napełnionej powagą i mrokiem, gdy tymczasem on, Paweł, myśli o ostatniej swej w Czupryni rozmowie nocnej z Teodorem Czerestwienskim i że: „Oni wszyscy mówią o tym samym. Odchodzą lub zostają, ale mówią o tym samym i tak samo” myśli, bo proboszcz kontynuuje: „Trzeba zapłacić za przekleństwo asymilacji, czy też niedostatecznej asymilacji. Bóg może chce nas pokarać za porzucenie mowy przodków, a może za to, że odchodząc od *lingua vulgaris* odgradziliśmy się nową mową od tego ludu, żeby nie dzielić z nim swych przywilejów i dóbr. Nad każdym z nas mówiących po

polsku zawisła klątwa obcości. Nawet jeśli znaczna część z nas to zwykli chłopci cierpiący taką samą jak ten lud biedę i upokorzenia. Bo nasza mowa jest mową panów. Nie trzeba było w ogóle asymilować się, albo zasymilować trzeba było wszystkich i do końca. I oczywiście nie tylko pod względem językowym. Jak daleko sięga moja pamięć, widziałem, znałem i współżyłem z Rusinami. I tymi, którzy zwą się Rusinami, jak my tego chcemy, i tymi, którzy zwą sami siebie Ukraińcami. Miałem do nich stosunek, jaki ma się do powietrza, pogody, deszczu, drzew w ogrodzie albo do codziennej modlitwy lub do snu. A potem, to był jakiś strajk rolny parę lat przed wojną, i zobaczyłem ich nie jako coś zwyczajnego, codziennego, jak ludzi takich jak ja, ale niby cień, pośród którego żyję i żyją podobni mnie, ci lepsi, pełnoprawni obywatele państwa. Jako cień, od którego bije śmiertelny chłód. Zrozumiałem, że rozdaliśmy się i umieraliśmy w nim nie dostrzegając go, nie czując, dopóki nie zmienił się w głęboko czarną noc. I że nie ma dla nas teraz spośród tego cienia wyjścia, można go tylko spróbować czymś rozproszyc. Ale rozproszyc ów cień możemy jedynie my, rodowici synowie tej ziemi. Ani ludzie z Zachodu, ani ze Wschodu. Jedynie my, własnymi rękoma i własnym sercem, bo jesteśmy tych ludzi z cienia najbliższymi braćmi. Oczywiście jeżeli nie jest już za późno. Jeżeli obce siły nie spróbują owego cienia wykorzystać przeciwko nam i naszych braci wcale z niego nie wyciągając, nas samych również na zawsze weń nie wepchną. Ale jeszcze podejmować trzeba każdy możliwy wysiłek, niezależnie od tego, czy on skuteczny będzie, czy nie. To sprawa obowiązku. Dlatego wracam do Białej na swe probostwo”. Ksiądz ma włosy zwichrzone, oczy pałające niezdrowym blaskiem. Lecz jest w nich i ból, i wtyd również. Potem on, Paweł, zostawia go bez słowa, oddala się, a za nim, jakby krok w krok, idzie łagodny, mimo to mocny głos księdza, który mówi do samego siebie. Znajduje wuja w jego pokoju na górze. Tyle jeszcze mają sobie do powiedzenia, a wymieniają parę tylko zdawkowych zdań o gospodarstwie, o gorzelni i że będzie przysyłał wiadomości przez „umyślnego”, albo sam zajrzy do dworu, kiedy się da. Pyta coś o matkę, a także o zdrowie Katarzyny, ale wuj nie odpowiada mu, nie rozumie pytania, bo przecież już parokrotnie o tych sprawach rozmawiali. Wychodzi od wuja. Później, nie zdejmując ubrania kładzie się u siebie na łóżku i rozmyśla. Nie może odczepić się od myśli o Katarzynie, od niepokoju, prawie od podejrzenia; tyle myśli, że na sen nie starcza czasu i brzask zastaje go z otwartymi oczyma. Wuj czeka na niego w sieni, widać również nie spał. Ściskają sobie krótko na pożegnanie dłonie zaglądając bez słowa

w twarze. Owych myśli, w których jest Katarzyna i jego wątpliwości, myśli na które nie starczyło nocy, teraz też nie potrafi się pozbyć. Za bramą dołącza do czekających jeźdźców.

Teraz zaś, kiedy minęli już porżnięte rozpadlinami zagajniki, odniósł wrażenie, iż przypominając sobie wczorajszy dzień i wyjazd z Gleb, udało mu się tamten niedokończony nocą wątek myśli zakończyć. I postanowił, że gdy tylko zapadną za Czołbią — jak chciał Laudański — w jary, żeby czekać na dołączenie ludzi Draży, spróbuje przedostać się do Lackiego Sioła i tego Żyda, lekarza, do którego Katarzyna jeździła, znajdzie i dowie się prawdy. A potem było już południe. Z doliny wynurzyła się obwarowana przez banderowców wieś Kamienna, gdzie od paru miesięcy znajdowała się ich podoficerska szkoła; trzeba było wieś ostrożnie objeżdżać kryjąc się za wzniesieniami gruntu. Później wjechali na tereny dawnych latyfundiów książęcych, na których większość wsi zniknęła z powierzchni ziemi w trzydziestym dziewiątym i czterdziestym roku tak, że nawet ślady upraw pozostały do szczytu step, już tracący swą intensywną zieloność z początku września, kiedy to na nowo wybują po suszy zroszony wtedy falą deszczy, teraz żółknący, pokładający się i skłębnięty; i nad jakimś strumieniem w nie głębokim parowie zatrzymali się, napoili konie, sami zjedli co nieco, krótko pogadali, gdy zaś konie obeschły, dosiedli i ciągnęli dalsze dwie, albo trzy godziny pod wiatr z południowego wschodu zapowiadający jedną jeszcze, ostatnią zapewne falę ciepła, jak gdyby lato, tak jak ludzie, skazane na nieuchronne odejście, odejść nie chciało i powracało. Dopiero po południu znaleźli się na linii wyznaczonych na spotkanie jarów.

Wiatr rósł. Konie tuliły uszy, skacząc na spętanych przednich nogach chowały się pod urwisko osłaniające jar od równiny, ogień furczał pod kociołkiem płomieniem rozpraszającym się, że trzeba było czekać na wrzątek długi, a zachód czerwieniał, zwiastując wiatr jeszcze porywistszy nocą. Już więc tego dnia nie ruszył się z obozowiska i zajrzenia do Lackiego Sioła poniechał. Wysłał tylko na objazdkę Hanczara z Nestorowiczem, ażeby zbadał, co z okolicznych osiedli zostało, teren pacyfikowany był przecież od paru miesięcy, pobliskie wsie wpierw przeczesywali z mieszkańców Niemcy, potem Ukraińcy, potem jedni i drudzy razem, nie mówiąc już o tym, że wcześniej, w czterdziestym roku połowę ludności NKWD wytransportowało za Ural (a choć z czasem niektórzy powracali, jakby wynurzając się z głębin jakiegoś białego, zimnego piekła i osiadali na starych śmieciach, to jednak okolica przypominała pustynię raczej, niż ową ziemię jeszcze niedawno dającą zboże i ludną, przez którą można było wprawdzie

przejsć boso i butów od nikogo nie dostać, lecz nakarmionym zostało się do syta w każdej po drodze chacie) i gdy po zmierzchu wysłani wrócili — zameldowali, że w Czołbi stacjonują schutzmanni, budynek policji zajmuje oddziałek Wehrmachtu pilnujący kolejowego przejazdu i tychże właśnie schutzmannów, zapuściwszy się zaś dalej widzieli ciągnące się w kierunku Lackiego Siola połacie zaoranych pól, więc jacyś ludzie tam pewnie żyli. Na noc wystawili czujki na wzgórzach i tak przy koniach, każdy z siodłem pod głową, pokotem leżąc wokół wczesnie wygasłego ogniska, posnęli.

Szum i łoskot kotłującego się nad głowami żywiołu zmiłkł rano, niebo pojaśniało, były to ostatnie przebłyski lata. Ale tego dnia Paweł też nigdzie nie ruszył się z jaru, w którym obozowali. Sporadyczne strzały, jakie odzywać poczęły się na północnym wschodzie, koło południa zmieniły się w gęstą palbę, jakby paru chłopów naraz tłukło cepami po grochowinie, a nocą gdzieś za Czołbią zapłonęły lasy. Nazajutrz znowu strzelano, na horyzoncie zaś widać było sunące drogą niemieckie auta pancerne. Potem od człowieka, który przybłąkał się stamtąd, zatrzymanego przez czujkę i bełkoczącego jak zaszczute zwierzę, dowiedzieli się, że doszło do starcia między Niemcami, a oddziałami partyzantki sowieckiej niejakiego Maksimowa i że Niemcy próbują Sowietów wypchnąć na tereny otwarte za Sertem. Niewiele sam prawdopodobnie wiedział, albo też nie miał pewności w jakie ręce trafił, nie chciał gadać, aż Nestorowicz zapytał: „Co robić, zadołować, czy jak? Pójdzie przecież taki, jeszcze o nas doniesie”, a Paweł: „Co pan sądzi, panie chorąży?” do starego Pankali, ten zaś ze złością: „Czort jego, co taki doniesie. Prędzej sam pory obesra, niż do nich pójdzie. Pewnie nawet nie wie, gdzie się znajduje”, i kazali mu iść, on jednak wspiał się na wzniesienie, rozejrzał dookoła oszalałym, pełnym jakiegoś ognia wzrokiem, pomedytował i powrócił; tak, był to chyba ocalały z pogromu, samotnie tułający się po okolicy Żyd.

Wieczorem śledzili przesuwające się na horyzoncie kolumny wojskowe, z braku ciepłego jadła pili gorzałkę, a gdy już ściemniało, dalekie odgłosy urwały się, jakby toporem ktoś odrabiał; słychać było nawet delikatny poświst wiatru w rozpadlinach. I Paweł znowu, gdy budził się, myślał o Katarzynie, chociaż wtedy rano po opuszczeniu Gleb był przekonany, że wątek ten zakończył, urwał, że odepchnął się od niego, ale widać nie. Przed świtem więc zdał owo dzielone z Pankalą zwierchnictwo nad ludźmi w jego ręce, osiodłał Tamarę i nie tłumacząc gdzie, ale jedynie, że na krótko, że wieczorem chyba, no, najpóźniej to o świcie następnego dnia będzie z powrotem, wyruszył na

wschód. Nawet przez chwilę w głowie mu nie zaświtało, że nim wróci, minie dużo więcej, niż tydzień, w tym czasie niebo na nowo zaciągnie się zimną oponą deszczowych chmur, naprawdę nastanie już jesień, i że ich w jarze nie znajdzie.

Nie myślał, że cisza, jaka nastąpiła od wieczora oznacza zupełne odejście Niemców, tylko że walki chwilowo ustały lub przesunęły się gdzieś dalej. Zrazu jednak ciągnął wprost ku polnej drodze biegnącej od lasów w stronę Czołbi terenem równym i odkrytym. Gdy do niej dotarł, zlustrował lornetką okoliczne manowce i wypatrzył na jednym ze stoków paru mężczyzn w łapserdakach, wyglądających na chłopów, zajętych majstrowaniem przy wraku pancernego samochodu; połowa z nich miała na plecach karabiny. Wtedy zawrócił ku lasom i ich skrajem, ponownie kierując Tamarę na wschód, szerokim zakolem objechał cały ten odkryty dla oka teren. Trzeba było paru godzin, zanim z prawa minął ukrytą w dolinie Czołbię, a potem, wciąż jadąc niezbyt ostrym truchtem (rzeńskie ciepło podjesienne poranku zmieniło się za dnia w upał; klacz spotniała), wciąż skrajem lasu, zobaczył pierwsze trupy pośród karłowatych głogów, trupy rozrzucone byle jak, w cywilnych lub półwojskowych łachach, niektóre dość świeże, niektóre zaś już w stadium psucia, tu i ówdzie pozostawiony, rozbity, nie nadający się do niczego sprzęt wojskowy i inne, trudne do określenia resztki czegoś także, i przyśpieszył, i pokłusował, i później znowu zobaczył grupę mężczyzn wyglądających na miejscowych chłopów, dźwigających jakieś żelastwo ku jednej z leśnych zatok; i skręcił bardziej w gąszcz, skąd zalatywało nie wywianym dotychczas swądem spaleniźny, zaczął napotykać pośpiesznie wykonane rowy strzeleckie, na wrak czołgu się natknął, na którego bocznej płycie nie zatarte widniały zacieki krwi, aż w końcu las urwał się nad doliną przeciętą pasmem zieleni znaczącym meandry strumienia, który płynął przez rozlewiska zarosłe nenufarem i oddzielone od siebie groblami, a dalej rozrzucone szeroko po obu stronach wody, stały chaty. Wiedział, że Lackie Sioło narodowościowo wprawdzie dość mieszane, było do niedawna zupełnie spokojne, ale obserwował wieś długo, nie wychylając się zza gałęzi. Przypomnienie Katarzyny wzmogło w nim niecierpliwość, także sprawiło, że odżyły poprzednie obawy. Uwiązał wtedy w zaroślach klacz, węzełek i sztucer odtroczone od siodła schował nie opodal pod korzeniami drzewa i zaczął schodzić ostrożnie z pochyłości, uzbrojony jedynie w pistolet zatknięty za pasek pod marynarką.

Wokół panowała cisza, ledwo gdzieś zagdakała kura trzepocząc się w stosie wyrzuconego za stodołę popiołu, gdzieś zachrobotał łańcuchem o budę pies, lecz nie zaszczekał nawet, na prze-

ciwległym zaś krańcu wsi za wodą miarowo i uspokajająco turkotał obracany przez woły kierat. Szedł zapłociami, ścieżką wśród pokrzyw i pierwszą chatę minął nie wypatrywszy w obejściu żywego ducha, choć w ogródku schła na sznurze między jabłonkami dziecięca, pracowicie wycerowana bielizna, a na trawie bieleła się w słońcu pościel, drugą, zamkniętą na głucho zaszczypką też minął, dopiero przy trzeciej przystanął zobaczywszy przez okno w głębi kuchni kobietę krzątającą się nad garnkami, lecz zatrzymał się tylko na krótko, bo zaraz pochyłony przebiegł sad, przesmyk podwórza i wtedy kobieta krzyknęła nie głośno, on zaś w teje samej chwili kiedy dwoma lub trzema susami przeskakiwał zagraconą sionkę, zobaczył jeszcze, jak kobieta cofa się i znika w drzwiach do izby, kiedy już jednak wewnątrz kuchni się znalazł, ciągle zresztą w ruchu, ciągle jak gdyby biegnąc, ona z tamtych drzwi na powrót się wynurzyła i ze prawa jej dłoń powoli wyciągająca się zza szerokiej spódnicy, trzyma starego typu długi rewolwer, jaki widywał przed wojną w cyrkach, i zaraz ta dłoń się zatrzymała, zmierzyła w niego nie drgając, a oczy kobiety głębokie niby podwojony czarny otwór lufy też mgnieniem powieki nie drgnęły nawet, zapatrzone w niego bez wściekłości, bez zaskoczenia, bez jakiegokolwiek zgrozy, ale i bez litości, czy pobłażania. Odezwała się: „Czego pan tu szuka?” ze zniecierpliwieniem, którego przecież nie było w jej spojrzeniu i wtedy oprzytomniał, oderwał od jej oczu i otworu lufy wzrok, zatrzymał się (bo przedtem przez sekundy, jakie minęły od kiedy przeskoczył sionkę i znalazł się był wewnątrz kuchni, wprawdzie stał, to jednak ciągle jeszcze biegnąc pochyłony i choć ten rewolwer, z którym weszła, widział, zdawał się wcale nań nie patrzeć, myśląc tylko, czy trafił tam, gdzie jeździła Katarzyna, i po co jeździła), więc zatrzymał się, to zdanie wypowiedziane przez nią: „Czego pan tu szuka?” powtórzył szeptem wsłuchując się uważnie w jego brzmienie, jakby badał akcent jakim zostało wypowiedziane, aż wreszcie odparł: „Chciałbym się czegoś napić”. I już naprawdę więcej na kobietę nie patrząc skierował się do kubelka z wodą na stołku za piecem, zaczerpnął chochlą, zapytawszy wprawdzie, czy można, lecz nie czekając wcale na odpowiedź, napił się, a dopiero później odezwał się znowu: „Schowajcie ten rewolwer, dobra kobieto” i powtórnie odwróciwszy się do niej twarzą, zadał dwa pytania na raz: „Wiesz jest bez mężczyzn, czy jak...?” i: „Nie wiecie, gdzie tu mieszka lekarz?”, ona zaś to pierwsze pominęła i odpowiedziała z namysłem, z jawnym niepokojem od razu na drugie: „Lekarz? Jaki lekarz. Tu nie ma żadnego lekarza...”, a on: „Wiem, ukrywa się”, powiedział tonem nie dopuszczającym sprzeciwu, że chyba nawet nie mogłaby

przypuścić, iż uda jej się mu nie odpowiedzieć, albo odpowiedzieć nie tak, jak chciał, i znowu: „Wiem, ukrywa się. Muszę go zobaczyć”, a wtedy oznajmiła słabo: „Pierwsza chałupa od nas w prawo. To u sołtysa” i gdy potem, odwracając się raz jeszcze od drzwi powiedział: „Schowajcie rewolwer” i: „Dziękuję”, to zobaczył kątem oka, że jej ręce opadają wzdłuż bioder bezwładnie, choć jak przedtem stoi nieruchomo, i że w jej wzroku było wołanie po tych wszystkich mężczyzn, którzy gdzieś odeszli zostawiając ją bezradną.

Więc wkraczając w obejście sołtysowego domostwa wskazane przez nią, szedł już ostrożnie. Kobięcie, która i tutaj na skrzyż jego kroków odwróciła się od garnków nie dał cofnąć się w głąb, choć miała ten zamiar ujrzawszy go w drzwiach. Zaraz od progu rzekł: „Szukam doktora”, ciągle tonem nie dopuszczającym sprzeciwu: „Muszę z nim natychmiast się zobaczyć”, a ona poczerwieniała na twarzy, powieki zatrzepotały jej nerwowo, spojrzeniem badawczym, taksującym przemknęła po nim od stóp do głowy, lecz tylko cicho odparła: „Na górce. Niech pan idzie. Ale on jest chory. On nie może nigdzie wychodzić”.

Zaraz potem w pokoiku na stryszku mężczyzna kościstej, masywnej niby tragarz budowy, dźwignął się na jego widok z pościeli, siadł opuszczając na podłogę nogi, stopami szukał po omacku butów (nie, nie był to żaden Żyd), i Paweł powiedział: „Niech pan leży, doktorze. Niech pan leży spokojnie. Chciałem zadać parę pytań. Niech pan leży, jedynie parę pytań, nie więcej...” a wówczas tamten osunął się z ulgą z powrotem na poduszkę, pobruźdzona, blada twarz zapadła mu się znowu, przykknął oczy, jakby od razu, posłyszawszy, że Paweł mówi po polsku, przestał się nim interesować i musiało upłynąć sporo czasu zanim, oczu nie otwierając, powiedział wolno, z usprawiedliwieniem: „Płuca, pan rozumie... Jesień idzie. Zawsze gorzej...” i po chwili: „Nie przypominam sobie pana...?”, jak gdyby pytając. Toteż Paweł — chociaż zrazu przypatrywał się choremu milcząc, słuchał bowiem przez uchylone okno, jak kobieta, którą był zostawił na dole wychodzi na podwórze i potem, jak na dworze głosy dwóch albo trzech kobiet złączyły się w jedno, prędko oddalały, aż ucichły — przysiadł w końcu obok łóżka i zaczął wyjaśniać, że istotnie się nie znają i po co tu przybył, mimo że jeszcze do tejże nieomal chwili sam nie bardzo wiedział po co (oczywiście, pytać o Katarzynę, ale jakie wątpliwości i niepokoje chciał w sobie uciszyć, tego nie wiedział ani jadąc do Lackiego Siola, ani teraz), aż ten leżący na wznak oczy otworzył, spojrzął ogromnie zmęczony i sam zapytał: „Ta kobieta... Siostra? Zona? Ona zginęła?” i natychmiast je zamknął, czyniąc, widocz-

ny na twarzy, wysiłek, żeby sobie przypomnieć, i z namysłem: „Nie, nie znam... Jak pan mówi? Z Gleb? Nikt do mnie z tamtych stron nie przychodził. To chyba dość daleko. Ja nie tutejszy, nie wiem, ale do Krzyżtopola chyba znacznie bliżej? Nie, nie pamiętam, żeby jakaś kobieta przyjeżdżała stamtąd, skąd pan mówi, i to jeszcze własnymi końmi. Takie pacjentki się pamięta. Bo do mnie, to same baby wiejskie, ranni, poturbowani, pomeczeni w pogromach, ot co... Ale... żeby...” i skrzypnęły drzwi. Odwracając błyskawicznie głowę Paweł ujrzał wysokiego, chudego, twardego jak rzemień mężczyznę, który stoi na progu boso, zagroziwszy sobą całe przejście. Tylko że głos lekarza na łóżku zatrzymał tego w drzwiach: „Wszystko w porządku, Damian. On do mnie”, i Paweł spojrzał na leżącego, ale ten oczy już zamykał. Więc nawet nie pochwycił jego wzroku. Dopiero, gdy oddalające się kroki ucichły na dole, nie otwierając ich, podjął przerwany wątek z wysiłkiem na nowo, że nie, drugiego lekarza w Lackim Siole nigdy nie było, skądże by w takiej dziurze, on zaś nie Żyd, tak, też się ukrywa, w ogóle o lekarzu Żydzie w tej okolicy nie słyszał, gdyby natomiast jakaś kobieta własnymi końmi, dama, nie, zapamiętałby na pewno, z Tuczapska, tak, z Tuczapska dwa, albo trzy tygodnie temu przyjeżdżała jedna, skierował ją do szpitala w Krzyżtopolu, on takich zabiegów nie wykonuje, nie ma warunków, zresztą jest wierzący, kościół nie pozwala, oczywiście, że dama, własnymi końmi, lecz nie z Gleb, z Tuczapska, bez wątpienia, ktoś z tutejszych znał ją z widzenia, mówiła, że straciła męża, no, chyba w pogromie, tam przecież był pogrom, druga z nią nawet przyjechała, starsza, nie żeby stara, starsza, może dwa, może trzy tygodnie już od tamtego czasu będzie, dokładnie nie powie, nie, nie robił nic, zbadał, zalecił szpital, nie, żadnego drugiego i do tego Żyda nie ma — jednakże drzwi ponownie skrzypnęły ostro, ten bosy, chudy mężczyzna stał w nich, jak przedtem, powiedział: „Lepiej, żeby dał pan już spokój, on chory” cicho, bardzo stanowczo, więc Paweł mruknąwszy: „Dziękuję” podniósł się z ociąganiem.

Siedział później w kuchni na dole nad talerzem zacierek na mleku, którymi został poczęstowany, naprzeciw tego chudego mężczyzny, również jedzącego, obserwował jego żonę krzątającą się spokojnie, jej ruchy powolne, zdecydowane, zarazem sensowne i nakładający się na okna, na drzewa za oknami i drewnianą ścianę stodoły za drzwiami pierwszy cień zmierzchu, myśląc: „Teraz już nigdzie się nie zajdzie, ani nie zajędzie, za późno”, jak o kimś drugim, nie o sobie, i że zasnęłyby tak, siedząc na ławie, wsparty łokciami o stół, nie tracąc z oczu spokojnie wykonywanych przez kobietę kuchennych czynności, ale nie zasy-

piął. Nie był śpiący. Nie był także zmęczony. Stracił jedynie poczucie upływu czasu, bo kobiety nie było już w kuchni, odgłosy jej krzątania dochodziły z sąsiedniej izby: zaścielała łóżka, spulchniała uderzeniem dłoni poduszki i przestawiała z miejsca na miejsce jakieś sprzęty, mężczyzna zaś siedział na progu, dopalał fajkę i zmierzch pogłębił się na tyle, że ledwo rozpoznawał rysy jego ciężkiej, chłopskiej twarzy. Nie był wcale zdziwiony, gdy siadając obok niego, usłyszał: „Może pan przenocować w stodole. Tego konia, co go pan w lesie zostawił, tośmy sprowadzili tu do stajni. I tę dobrą sztukę broni i rzeczy, które były pod drzewem schowane, też ludzie znaleźli i przynieśli. Ale może pan być spokojny, ja o nic nie pytam”. A wówczas (jakby tamto, co usłyszał, przeznaczone było dla kogoś drugiego), powiedział: „Muszę dostać się do Krzyżtopola” i zrazu tylko zmrok przysypywał drzewa szeleszczącą liśćmi ciszą. Później odezwał się znowu: „Żeby objechać teren zajęty przez Ukraińców i ten, w którym operują Niemcy, stracę ze dwa dni” głosem pełnym zastanowienia, ale chłodnym, obojętnym, jak gdyby głośno rozmyślał nad piętrzącymi się cudzymi trudnościami. Głos mężczyzny był tak samo chłodny i obojętny: „Tak, istotnie, trudno będzie, jeśli pan musi dostać się tam wcześniej. Teraz jednak niech pan idzie spać”. Wtedy, starając się poprzez zmrok odgadnąć jego twarz, zapytał nie panując nad sobą: „Dlaczego mam iść spać?”. Mężczyzna powiedział: „Pan się śpieszy, no nie? No, to rano będzie w sam raz” i wskazał ruchem głowy stodołę bez ponawiania zaproszenia, tylko już w drzwiach: „Dobranoc”. Więc potem, chociaż kładąc się na zmiędlonej stercie w sąsiedku, Paweł myślał jeszcze, że winien czuwać, nasłuchiwać, aby słyszeć, co dzieje się w pobliżu, w każdym razie nie spać, tym bardziej, że spać przecież mu się nie chciało, to nawet nie spostrzegł się, jak z myślami tymi zasnął, urwały się nagle, ustępując zupełnej ciemności i pustce.

Było jasno, gdy otworzył oczy i ten sam, co wczoraj, mężczyzna stał obok pochylając się i wpychając pod sieczkarnię zapięty w pokrowiec sztucer, który on, Paweł, zostawił był dnia poprzedniego ukryty na skraju lasu. Mężczyzna spostrzegł, że on otworzył już oczy i się odezwał: „Jedzenie na drogę żona już zapakowała. A o konia i broń proszę się nie turbować. Zadbamy. No i przepustka z posterunku żandarmerii jest na trzy dni”, wraz z węzełkiem podróżnym podając mu złożony na czworo druczek. Gdy odczytywał na nim swoje imię i nazwisko wypisane niewprawną ręką, zastanawiał się przez chwilę skąd on to wszystko wie, ale nie zapytał, tylko, dlaczego do Hańcza-Czacz, przecież musi jechać do Krzyżtopola, aczkolwiek było mu

zgoła obojętne na jaką miejscowość została wystawiona, byle prędzej wyruszyć, a mężczyzna powiedział, że jeżdżą tam miejscowi do roboty przy budowie lotniska, wyjaśnienie zaś wydało się logiczne, i już na podwórzu dorzucił: „Do Krzyżtopola i tak pan bezpośrednio nie dojedzie. Ostatnio kawał miasta spalili. I klasztor. Wsiądzie pan na skrzyżowaniu, gdzie trakt skręca na Hańcza-Czacz. Dalej trzeba pieszo. Niech pan uważa”. Dopiero na rozdrożu w pobliżu przystanku, stanąwszy pośród mężczyzn czekających na autobus, zaczął myśleć: „Uważać? No, oczywiście, stale trzeba uważać. Chyba nie chciał przez to czegoś szczególnego powiedzieć...?”, lecz wkrótce przestał, z jego sercem bowiem działy się jakieś dziwne rzeczy — może sprawił to zaduch benzyzny, trzęsienie na wybojach autobusu, docieklive spojrzenia pasażerów, może upał, tak niezwykły o tej porze roku, pełen czegoś gęstego, lepiałego się, o swoistym zapachu, jak gdyby w okolicy płonęły lasy, albo lasy i w dodatku składy gumy, może zresztą wszystko to razem sprawiło — bo czuł, jak szamocze mu się w piersi, płuca zaś ledwo wpompowują powietrze do środka. I naprawdę nie myślał więcej o tym, co go czeka, dokąd zmierza, nawet cel podróży stał się dlań niezbyt w końcu jasny.

Myślał później, że dał się ponieść nerwom, niesprecyzowanym podejrzeniom, czy przecuciom. Stać się to musiało w momencie, kiedy opuszczał z zebranymi przez Pankalę ludźmi Gleby, albo wcześniej, kiedy nazwa Lackiego Siola przez kogoś w domu wypowiedziana (może przez niego samego tylko pomyślana), nie wiadomo dlaczego skojarzyła mu się z Katarzyną. Te podejrzenia, czy przecucia już wtedy zawładnęły nim z niezrozumiałą mocą, chociaż zbyt mało było prawdopodobne, żeby naprawdę mogły jej dotyczyć, to zaś, co zobaczył w Krzyżtopolu, też wcale nie musiało mieć z nią cokolwiek wspólnego... — zawsze przekonany był bowiem najgłębiej, że kobietom po opuszczeniu Gleb nic złego się nie stało, nawet nie mogło, wuj wiedziałby i nie zataiłby przed nim. Powtarzał sobie w duchu, że Katarzyna z matką i ciotkami siedzą w mieście zaszyte gdzieś bezpiecznie u znajomych, mimo walk, które tam miały miejsce i mimo zniszczeń, jakie widział, a wuj wytransportowuje do nich teraz właśnie z Gleb następną partię rzeczy na przechowanie; że siedzą bezpieczne, powtarzał sobie w duchu, czekają na wiadomości, które miał im przesłać przez wuję, albo nawet, że się razem z wujem u nich któregoś dnia zjawią. Fakt, że kobiet w Krzyżtopolu nie potrafił odnaleźć, mógł przypisywać tylko pośpiechowi i swojemu niezrozumiałemu stanowi, jakby z pogranicza choroby, temu, co zaczęło się z nim dziać już w autobusie, pogłębiło zaś jeszcze, kiedy wysiadł na skrzyżowaniu i autobus, zostawiając za sobą

trąbę rudego pyłu, ruszył w kierunku Hańcza-Czacz za zakurzoną szybą uwożąc odwrócone z ciekawością, podejrzliwe twarze pasażerów.

Uświadomił to sobie nazajutrz. Po dniu i nocy, w czasie których wędrował bez chwili wytchnienia. Po tej wędrowce z Lackiego Siola do Krzyżtopola i potem po Krzyżtopolu, spustoszo-
nym, pełnym wojska, mimo to sprawiającym wrażenie miasta opuszczonego, jakby już było po sądzie ostatecznym i końcu świata. Po wędrowce po znanych miejscach i w poszukiwaniu znanych ludzi. I po wędrowce z Krzyżtopola z powrotem. Właśnie po tej nocy uświadomił sobie, znowu stojąc o świcie na skrzyżowaniu traktów w oczekiwaniu na autobus, ażeby zabrał go tam, skąd przybył. Po nocy, którą starał się później wypchnąć prędko z myśli, jakkolwiek nie przychodziło to łatwo. I w końcu uwierzył, że się w ogóle nie zdarzyła w jego życiu, że spał, chorował, że śniła mu się tylko, a gdy wreszcie ruchem ręki zatrzymał nadjeżdżający, ten sam co poprzedniego dnia autobus, tyle że tym razem pusty, gdy wsiadł, okazał przepustkę, zapłacił za przejazd i pogrążył się w ceratowe siedzenie, to zasnął naprawdę i naprawdę śnił, że nigdzie nie jeździł, z rodziną zaś wszystko jest tak, jak go był zapewniał wuj August, że jest. Więc przebudziwszy się na krzyk szofera, że są na miejscu, w którym życzył sobie wysiąść, wysiadł zupełnie uspokojony.

Niebo było ciężkie, chłodniejsze, chmury ołowiane, a w mglistym świetle Lackie Siolo wydało się inne, niż wczoraj. Ten spokój nie opuszczał go nawet na chwilę, gdy rzucił na ramię swój węzełek podróży i skierował się do wsi zapłociami; nie chciał wpadać ludziom w oko, już bowiem widać było, jak gdzieś tam w zagrodach krzątają się przy porannym obrządku. Myślał jedynie, żeby dosiąść Tamary, ruszyć, jak najspieszniej wrócić do jaru za Czołbią, gdzie zostawił towarzyszy czekających na dołączenie szwadronu od Draży i razem dotrzeć na zborny punkt wyznaczony przez Laudańskiego. Ale jeszcze nie zaraz dosiadł Tamary i nie zaraz wrócił.

Wkrótce leżał w stodole, w której już niedawno raz spał, spał znowu, mimo że oczy miał cały czas otwarte, widział nad sobą wysokiego, chudego, twardego mężczyznę, który, jak mgliście sobie przypominał, był w tej wsi sołtysem, jego żonę widział podającą mu w kubku coś gorącego do ust, co pił łapczywie i co ściekało mu na szyję, później widział także twarz pobrużdżoną, zmęczoną, bardzo bladą, która, jak pamiętał, należała do chorego doktora mieszkającego w izdebce obok stryszku; leżał mówiąc, że zaraz mu to przejdzie, że zaraz wstanie, przeklinając, krzycząc, że przecież zostawił gdzieś na pustkowiu oddział, że czekają nań

nie wiedząc co z nim, i Laudański również w turchanowskich lasach, gdy on tymczasem włóczy się, jak głupiec i jak szczeniak myśli o kobiecie, która odeszła nie zostawiając na pożegnanie nawet kartki, gubi ją, znowu szuka, i tak bez końca, jakże długo tak można, zapewne dawno temu wyjechała na zachód kraju do krewnych, a oni tam w jarze, gdy Laudański, o Boże, toż postąpił jak dezterter, krzyczał, czy też wydało mu się, że krzyczał leżąc na słomie w chłopskiej stodole, miotając się w gorączce, tylko, że zaraz, jeszcze chwila, jeszcze jeden wysiłek i na pewno mu to przejdzie, na pewno wstanie...

Ale gdy się wreszcie podniósł, spostrzegł, że nie leżał wcale na słomie w stodole, natomiast w przestronnej, wybielonej dobrze izbie i że szyby w oknach były zaciągnięte strużkami spływającego deszczu zasłaniającego widok i światło. Wtedy dowiedział się, że przechorował równo tydzień, jednakże zrazu niezbyt zdawał sobie sprawę z tego, co działo się w nim przedtem i jak tu trafił. Przypomnił sobie dopiero nazajutrz, gdy mu przyprowadzili kłacz i oddali sztucer, pozdrawiając na drogę i o nic nie pytając, jakby wiedzieli, że pytać nie należy i, gdy wśród drobno siąpiącej mżawki ruszył przez dolinę Lackiego Siola w górę pochyłości, a potem w las.

Był jeszcze bardzo osłabiony i ledwo utrzymywał się w siodle. Zimno, które sączyło się pod ubranie na ciało uświadamiało, że ostatecznie nastąpiła nowa pora roku, że wyjeżdżając z jaru pod Czołbią w złudnych być może, chwilowych tylko resztkach lata, znalazł się obecnie bez żadnego przejścia w samym środku jesieni, jak gdyby został oderwany tajemniczą siłą od czegoś, co na skutek niezmiennych praw, jakim ziemia musi podlegać, następuje także w nas samych, lecz przychodzi zwykle stopniowo, a przez to ból, który zadaje, wydaje się łagodniejszy. „To chyba jest październik... Czas pełnowodzia...” pomyślał spoglądając na tonące w dżdżu wertepy rozciągające się od lasu, aż ku wzniesieniom na horyzoncie, gdzie musiała znajdować się Czołbia. O Katarzynie zrazu nie myślał. Ani o matce. Tym bardziej o ciotkach. Czuł dreszcze i nieznaczny powrót tego bólu, jaki czuł tam, w Lackim Siolu w stodole, w której leżał, czy też w izbie, dokąd go ci ludzie, kiedy przytomność stracił, przenieśli. Starał się zapamiętać nad nim. Rezygnując z objeżdżania odkrytego terenu skrajem lasu, ruszył na przełaj, a zimne fale dżdżu od razu pochwytyły go, zakofysały nim i jak gdyby poniosły. „Pomyliłem miejsca i chronologię czasu” myślał.

Później zastanawiał się długo nad minionymi dniami i jedno dłań było pewne. Już powiatowy Krzyżtopol nie stanowił azylu

jakiegoś względnego chociażby spokoju. Świadczyły o tym ślady, które widział. Podejrzewał, że walki w mieście rozgorzały, gdy Niemcy przystąpili do likwidacji resztek Żydów powyłapywanych po wsiach, lub zwiezionych z sowieckiej strony Zbrucza. Prawdopodobnie przy tej okazji urządzili także pogrom polskiej ludności, zapewne przy pomocy ukraińskich faszystów. Jeśli do akcji włączali się partyzanci usiłując przerwać okrażenie i im się to w pewnej mierze udało, może ileś tam ludzi zdołało unieść głowę. Może był jeszcze jakiś atak na garnizon SS przy dworcu, na co wskazywałaby ilość zburzonych w tamtej okolicy domów. Może okrażeni i przeznaczeni na zagładę ludzie zdobyli skądś broń i się bronili. A może było zupełnie inaczej, bez wątplenia jednak wuj ukrył przed nim część prawdy. Lecz dlaczego wysłał tam kobiety? Wszystko to przelatywało mu przez głowę niezrozumiałe, nie dając spokoju, mimo że: „Śniło mi się” powtarzał sobie tak, jak przed chorobą w autobusie, teraz w rytm kołysania się w siodle, chcąc usmierzyć raz na zawsze zgubny lęk, ażeby nie przerodził się w coś gorszego, co — wiedział — sparaliżuje mu wolę i zaćmi rozsądek, „Śniło mi się tylko. Poddałem się nerwom, jakimś niepewnym skojarzeniom, wszystko będzie dobrze, dobrze, dobrze... Będzie dobrze... „wciąż powtarzał, jadąc po linii prostej przez równinę, aż zbliżył się w okolice miejsca, które opuścił był przed dwoma prawie tygodniami. Stępa podjechał wzniesieniem obserwując po kolei jary i trafił w końcu na właściwy, gdzie zostawił swoich ludzi. Teraz jednak nie znalazł w nim już nikogo, a tylko kręgi szerniałego popiołu w wypalanej darni znaczyły miejsca po ogniskach. Ślady kopyt końskich wypełniła już po brzegi woda, odciski podbitych gwoździami butów także, deszcz przyklupił mocno trawę, zacierał zwolna wszystko, choć wałające się kupy końskiej mierzwy rozładowanej przez wilgoć wydawały jeszcze silną, amoniakalną woń. „Byli i ci od Draży”. Ale nie chciał myśleć o tym, co oni pomyśleć sobie mogli nie mogąc się doczekać jego powrotu i zmuszeni wyruszyć dalej bez niego.

Zatrzymał się dopiero po godzinie drogi nad płynącą w kierunku w jakim i on zmierzał, strugą. Wezbrany nurt był mętny od niesionego lessu, nurzał gałęzie wikliny, kładł szuwary i bełkotał głośno w podmytych korzeniach drzew. Znalazłszy odpowiednie na brzegu miejsce, odtoczył od siodła plecak, wytrzepał z załamań i szwów płaszcz wodę, potem, siadając pod brzuchem stojącego cierpliwie zwierzęcia, posilił się. Deszcz ustawał i powiał ostry wiatr. W promieniu wzroku widział tylko zapuszczone, od dawna nie tknięte kosą łąki, gdzieś między nimi połacie występowały pól przecięte miejscami pasem tarniny

lub głogów, gdzie przedtem były miedze, jeden z nich podcho-
dził nie opodal do strugi, na przeciwległym zaś jej brzegu ciągnął
się dalej w step, i domyślił się, że musiała biec tamtędy polna
droga, bo z wody wystawały głowyce ogniem nadgryzionych pali
mostu. W pewnej chwili wydało mu się, że właśnie tam z zarośli
wynurzył się człowiek, zrobił parę kroków w kierunku wody
i cofnął się natychmiast; nie miał pewności, bo wciąż czuł się
jeszcze słabo. „Ciągłe chyba jestem na obszarze przedwojennych
domen książęcych” myślał. I od czasu do czasu drżał całym cia-
łem. W bezkresnych, pustych manowcach było coś nieubłagane
surowego, pozbawionego litości i domagającego się śmierci. Jakby
wycisnęły na nich na zawsze swe piętno wszystkie niepohamowa-
ne ludzkie namiętności, wybuchy nieokiełznanej nienawiści, bez-
rozumnych dążeń i nieuniknionej, nie do odwrócenia krzywdy.
Myślał o licznych niegdyś tutaj wsiach, zamieszkałych przez rol-
nych robotników, Ukraińców, albo zrutenizowanych osadników
z innych stron Rzeczypospolitej, których wielu dało się podszczuć
do nieszczęsnej rebelii wpieryw Sowietaom, potem Niemcom i wła-
snym hałaśliwym prowodyrom, szlachetne dążenia narodowe tego
ludu topiących w mordzie i gwałcie, brukających rabunkiem i
ogniem, hańbiących je na zawsze. Myślał, jak ten ślepy, prymi-
tywny żywioł ruszony ze swego łożyska wpieryw bałamutnymi
hałłami klasowymi, następnie narodowościowymi i rasowymi, w
których jedno było wspólne: nienawiść, rozlał się po okolicy.
Jak ludzie ci skwapliwie zabrali się do unicestwienia wszystkich,
którzy cokolwiek posiadali. Jak rzucili się do wyrzynania żydow-
skich osad. Jak potem ruszyli na ziemiańskie dwory, dworki
dzierzawców, co zasobniejsze futory, gdy zaś tych nie stało, za-
brali się do rabowania i niszczenia pospolitych chłopskich zagród,
i nie tylko tych, gdzie mówiło się po polsku, także swoich współ-
plemieńców i współwyznawców, aż w końcu sami między sobą
zaczęli się mordować, bo bezrozumny żywioł jest jak fale, które
jeżeli nie rozbijają się o brzeg, same siebie zalewają. Myślał o tym,
że ten bez mała przez dwa powiaty ciągnący się obszar opusto-
szał już w ubiegłym roku, bo reszta, która wyniosła z nieszczęs-
nych walk życie, rozbiegła się, albo potworzyła pojedyncze bandy
i ruszyła gdzieś dalej. „Czern” szepnęła. Choć przecież patrząc
na tę ziemię zdawał się widzieć w niej, jak gdyby obraz również
własnego życia, obraz skarłowaciały i spotworniały zarazem,
mimo to jednak prawdziwy, obraz całego swojego kraju, swego
ludu, który nie może przyjąć, wytworzyć i zbudować niczego
dobrego, żeby wpieryw nie kłócić się o to, nie skakać sobie wzaj-
jemnie z pięściami do oczu i nie utoczyć morza własnej krwi.
„Nie umieją znieść nie tylko nieszczęścia, ale i dobra, i szczęścia.

Uciekają od tego do gwałtowności, pijatyk, bójek, mściwości, niszczenia, fanatycznej modlitwy, albo równie fanatycznych, politycznych idei. Choć w dobrym i poświęceniu odzywa się w nich zwykle to samo uniesienie i siła, co w złym, w nienawiści i zemście” myślał. Potem także myślał, czy pojęcia dobra i zła, które dotychczas uważał za jednoznaczne, są takimi rzeczywistościami. I czy dobro nie może okazać się kiedyś złem, a zło dobrem. I czuł lęk przed możliwością odwrócenia się tych pojęć. Zapatrzony w bezkresną pustkę czuł również jałowość swoich myśli. Bo było w tej pustce coś domagającego się śmierci, jak gdyby śmierć mogła być dla niej wybawieniem. Właściwie może nawet w tej pustce była już śmierć...

W końcu się przemógł, dźwignął z ziemi i narzucił na ramiona płaszcz. Podpiął Tamarze ciasniej popręg, dosiadł i pojechał brzegiem. Ale koło zarośli przy szczątkach mostu klacz zastrzygła uszami i dała szczupaka w bok, a zaraz potem pogonił za nim karabinowy strzał, tylko że on nie zwrócił nań większej uwagi, niż na ten jej nagły skok; pędził dalej nie odwracając się, przecież człowiek, który posłał za nim kulę mógł być tak samo wrogiem, jak swoim, skądże by zresztą miał wiedzieć kim on, Paweł, jest, kłusujący przez pustkowie, w końcu kto był teraz dla drugiego swoim, a kto wrogiem, wszystko się pomieszało; i nie miał czasu na wdawanie się w pojedynek tylko po to, aby się tego dowiedzieć. Wiatr obsuszył go, ale pod wieczór znów zaczął naciskać ukośnie mżawką. Spał pod samotnym drzewem na skraju lasu, spletaną klacz słysząc cały czas przez sen, jak chrapie, stąpa w miejscu i jak w pobliżu przebiega niekiedy ostrożnie grubsza zwierzyna. Gdy się budził, nie widział w ciemności nawet śladu światła, jak gdyby i ta okolica wyludniła się od krańca do krańca, a jedynie, kiedy już świtać zaczęło, zobaczył w głębi czarnego, przepastnego nieba wracające ze wschodu bombowce. Było zimno, mglisto i wilgotnie. Przed sobą miał prawie takie same, jakie przebył wczoraj już bezdroża, z kępami zarośli oraz niewielkich lasków gdzieniegdzie, i pomyślał, że może nawet trafi na szlak swego oddziału, bo musiał on chyba tędy przechodzić; rzeczywiście trafił od razu po kwadransie. W wąskim przesmyku między dwoma zagajnikami liczne, dość świeże jeszcze odciski kopyt odbiegały promieniście od miejsca, w którym rozharatany trup konia z wypaloną na zadzie literą „G” — znak Gleb — leżał głęboko w błocie, naznaczony za uchmem śladem kuli od dostrzelenia, a tam, gdzie zagajniki się urywały, zobaczył strzelecki dół i uchodzący zeń długi rów zygzakowato wijący się gdzieś het za świerszczynę, pusty obecnie, ale rozrzucone na ziemi gilzy po nabojach zdradzały niedawne sta-

nowisko CKM-u. „Nie musiała to być zasadzka, mógł to być zwykły przypadek” pomyślał.

W południe minął kolejno dwie spalone do szczytu wsie, nieco później trzecią, w której tylko cztery chaty stały jeszcze wraz z zagrodami całe; starą kobietę, gdy podeszła na jego widok do płotu, zapytał, czy przechodził tędy oddział partyzancki, lecz nie otrzymał odpowiedzi, jakby go nie słyszała. Zajrzawszy do jednej z zagród pojął, że jest opuszczona na zawsze, owe pozostałe również, a odwracając się za siebie zobaczył, jak stara idzie środkiem drogi wiejskiej w ślad za nim, wymachuje rękoma, niby skrzydłami wiatraka, z ustami szeroko otwartymi, jakby krzyczała, tylko że nie wydawały najślabszego nawet dźwięku. I spał konia, i popędził. A potem, ciągle jadąc tą samą polną drogą, mijał już cwałem te różne pokurzyśka przysiółków, wsie, gdzie wśród ruin stało niekiedy parę ocalałych, lecz opuszczonych zagród, a nawet tę wieś, w której dym wijący się z wielu kominów zdradzał obecność mieszkańców. Dopiero, kiedy bezdrzewna okolica znowu zaczęła zwierzać się na horyzoncie lasami, spytał raz jeszcze o swoich ludzi.

Było to przed zmierzchem i od dłuższego już czasu siedział na miedzy pod rozłożystymi gałęziami leszczyny. Tamara stała z tyłu dobrze osłonięta, skubała trawę, a on słuchał, jak wędziła chroboczą w jej pysku i cierpliwie obserwował samotny futor przy drodze. Dom mieszkalny między zabudowaniami stał zwalisty, mocny, zbudowany z bali na solidnej, ceglanej podmurówce i okna miał zaopatrzone w silne okiennice, które nie były zamknięte. Z komina wolno w górę uchodził dym, ale nikt nie pokazywał się na zewnątrz. Czekał, czy może ktoś nadejdzie od pół lub lasu, jednakże nikt nie nadszedł, dym zaś uchodził równo, jakby stale podsycany. A potem poczęło zmierzchać i pomyślał, że nie ma potrzeby czekać dłużej i wstał. Wynurzył się z ukrycia w leszczynie, poszedł przez obrane z kolb, lecz nie wycięte z badyli poletko kukurydzy i się zbliżył. Dom był wciąż jeszcze nie oświetlony, gdy okrążał go, żeby zajść od frontu. Nie usiłował zachowywać się wcale ostrożnie. I dlatego, wspiąwszy się na wysoki ganek — drzwi nie zamknięte na skobel, zostawiając za sobą, żeby było widniej, szeroko otwarte — od razu z głębi posłyszał kroki. Prawie także natychmiast zobaczył w sieni młodą, dorodną kobietę w jaskrawo niebieskiej bluzce zatrzymującą się w pół kroku przed nim, jak patrzyła na niego i za niego, poza jego plecy, wprost przez otwarte drzwi na ganek. I nie było w niej niepokoju, a tylko jakieś zaskoczenie i, jak gdyby rozczarowanie. Powiedziała: „Chciałbym się dowiedzieć, czy przechodził tędy partyzancki oddział i dokąd ta droga opodal

prowadzi". A ona, zanim jeszcze skończył: „Niech pan stąd idzie, bo zawołam męża”, i drgnął, bo wypowiedziała to najczystsza polszczyzną, bez śladu rusińskiego przyśpiewu, ale już o tym nie myślał i powtórzył swe życzenie. Powiedziała po raz drugi, tylko ostrzej: „Niech pan idzie. Natychmiast! Niech się pan wynosi!” i choć wiedział, że w domu tym nie ma jej męża, że najpewniej nikogo prócz niej nie ma, cofnął się o krok, i dopiero wtedy powtórzył po raz trzeci: „Czy przechodził tędy partyzancki oddział? Polski oddział...?”, ona zaś szła za nim już z krzykiem, ten krzyk narastał, błyskawicznie zmieniał mowę, był najpierw w dialekcie, potem ukraiński, a jeszcze potem w ogóle nieartykułowany. Więc powoli odwrócił się i poszedł ku drzwiom. I kiedy przekraczał próg, poczuł to uderzenie przez plecy, które wymierzone było jakimś twardym podłużnym przedmiotem i z siłą, że gdyby wymierzył je mężczyzna, zwałiby się zapewne z nóg. Zresztą i tak się zachwiał. Ale równocześnie z powrotem odwrócił się do niej i uchylił przed uderzeniem następnym. Ona stała wciąż krzycząc, ciało jej nawet nie drgnęło, to tylko twarz jej była w ruchu i ten ruch był krzykiem, a wtedy oczy przesłonił mu gorący, czerwony cień i posłyszał zaraz tępy odgłos własnej otwartej dłoni, już odrywający się od twarzy kobiety i jak ona wali się na podłogę. I kopnął w sam środek tego krzyku i nienawiści. Idąc później do ukrytej w leszczynie klaczy, słaniał się na nogach, a usta miał pełne czegoś, jak mydliny. Postanowił już więcej nie pytać nikogo o drogę. Dopiero, kiedy wieczór ustąpił nocy i znowu zanurzył się w las, poczuł się lepiej. Nie zatrzymywał się dopóki nie zaczęło padać, a droga nie zatarła się w ciemności zupełnie. Wówczas zjechał z niej i po omacku znalazł nie wielkie, nie zarośnięte krzakami miejsce. Gdy zsiadł i spętał klacz, wciąż jeszcze czuł nie do pokonania wstręt. Po głowie kołatały się myśli, których nie potrafił poskromić. Niewiele z nich rozumiał. W pewnej chwili jego usta powiedziały głośno: „Jest źle. Jest gorzej, niż myślałem. W każdym razie o wiele gorzej, niż u nas, w okolicy Gleb”. Zasnął tak, jak się był położył na ziemi, podkładając pod siebie gumowy płaszcz i derkę, bez żadnego okrycia na wierzchu. Spał tak twardo, że nie słyszał przed świtem przetaczającej się pobliską drogą samochodowej kolumny, ani jak gdzieś, również niedaleko, została ona o świcie zatrzymana karabinowymi strzałami, jak zawróciła, odpowiadając gęstym, bezładnym ogniem i znów przetoczyła się drogą, którą przejechał na początku nocy. Ale gdy wreszcie podniósł powieki był zupełnie trzeźwy, jakby wcale nie spał, a czuł, i wszystkie tamte nocne dźwięki miał dobrze utrwalone w mózgu.

Ruchy jego rąk były sprawne, sprawniejsze, niż zawsze, gdy Tamarę siodłał, a gdy poprowadził ją przez las, stały się prócz tego czujne. Zwolna połać lasu, jaką zostawiał za sobą, wypełniała się wraz ze świtem ludzkimi głosami, lecz i przed sobą wydawało mu się, że je słyszy, tylko że wiedział, iż te za nim należą do zatrzymanych gdzieś na drodze Niemców i że czekają oni, aż się do końca rozwidni, by zaatakować powtórnie i utworować sobie przejście przez las, te zaś przed nim, to swoi. Nie miał co do tego wątpliwości i w miarę, jak od tamtych za plecami odgłosów się odrywał, przyspieszał bieg klaczy i mniej dbał o trzaskające pod jej kopytami gałęzie. Lecz po jakimś czasie i te przed nim głosy ucichły. Wkrótce skończył się również las. Urwał się ostro przed zupełnie pozbawionym drzew obszarem podnoszącym się wzgórzami, między którymi rysowały się głębokie, o gliniastych albo kredowych ścianach parowy poprute wodą dawnych powodzi, i okolica była pusta, jak tylko sięgnąć okiem. Aczkolwiek głosów, które wyprowadziły go z lasu, dawno już nie było, to jednak miał je ciągle w sobie tak, jak miał je w sobie nocą, kiedy spał, teraz uchodzące jedynie od niego zwolna w głąb tamtych parowów i, żeby nie stracić z nimi więzi do końca, pognął Tamarę wyciągniętym kłusem, wiedząc, że swoi w tamtym kierunku odeszli, że odchodzą coraz dalej, tym razem zaś nie wolno mu ich zgubić. Kłusował tak z godzinę bez mała. Ciągle wiedział, że są, ale nie wiedział gdzie, dopóki nie podjechał pod zbocze porośłe żółtą turzycą wtapiającą się, niby fala płynnego starego złota w szarość deszczu. Bo wtedy ich zobaczył. Jak nieruchome punkciki na ruchomym tle wilgotnego powietrza i przesuwającej się do tyłu ziemi. Dogał oddział dopiero około południa przy przeprawie przez Radę, chociaż wpierw posłali w jego stronę, gdy się zbliżał, parę kul.

Później stary Pankala mówił, że sądzili, iż jest z konnego patrolu kałmuckiego, który włókł się przez las razem z niemiecką samochodową jednostką i deptał im po piętach. Mówili, że ledwo go rozpoznali, tak bardzo był zmieniony. Musiał długo tłumaczyć swą nieobecność, że wpierw kogoś szukał, potem chorował, a w końcu chyba zgubił drogę. O Krzyżtopolu nie wspominał ani słowem. Mówili, że kiedy odczekali tydzień i nie wracał (a zapuszczali się w okolicę na zwiady parokrotnie, wachmistrz Kuprian zaś, gdy przyprowadził konnych od majora Draży, wysłał nawet zwiadowcę do samej Czołbi), to zgodnie doszli do wniosku, że został pojmany przez Niemców i przepadł z kretelem. Dopiero wtedy wyruszyli. Ale zrazu nie jechali prędko i robili dłuższe postoje, które w końcu Kupriana zaczęły niecierpliwie, zwleknięcie bowiem wplątywało ich w niepotrzebne potyczki;

stracili konia, sporo amunicji, jeden zaś z ludzi, strangret Feduszycki z Gleb, został ranny w ramię, i choć z koniem nie było biedy, mieli zapasowe, to jednak Feduszycki potrzebował lekarza, którego — jak twierdził Kuprian — nie znajdzie się prędzej, niż na punkcie zbornym w turchanowskich lasach, więc tegoż dnia przyspieszyli. Wachmistrz Kuprian, to był ten, który dowodził konnymi z jazłowieckiego pułku ułanów Draży. Paweł przywitał się z nim, skoro tylko sforsowali rzekę Radę, poznając w barczystym olbrzymie, mężczyznę, z którym zetknął się nocą w Perczatach, kiedy zrzucony został z konia i rozbrojony; tego mężczyznę o szerokiej, tatarskiej twarzy, który, jeśli się nie pilnował, zaciągał i mieszał słowa rusińskie do polskich. Kuprian od razu poinformował: „Właściwie, to my znamy się od czasów przedwojennych, panie Woynowicz. Przyjeżdżał pan z ojcem do nas nad Zbrucz latem na przepiórki”.

Już zostawili za sobą dolinę Rady, droga biegła wśród wrzosowisk i deszcz siąpił bardzo drobno. Jechali w zwartym ordynku, na przedzie chorąży Pankala, ludzie z Gleb tuż za nim, za nimi jazłowieccy, a na samym końcu on, Paweł, i wachmistrz Kuprian. Wachmistrz pytał: „Pamięta pan, jak nieraz prowadził ja was, żeby można było popatrzeć się poprzez rzekę na bolszewicką stronę?”. I Paweł sobie przypomniął. Kuprian, to było przecież tylko imię, teraz widać używane jako partyzancki pseudonim. Dziwne, że wtedy nocą nie poznał był w mężczyźnie, który potem zwrócić kazał odebraną mu broń, owego przewodnika, Kupriana Szyłę, prowadzącego uczestników letnich polowań nad brzeg Zbrucza. Było to u któregoś z panów Sas-Terleckich, których domeny rozciągały się dawniej również po drugiej stronie rzeki, więc wycieczki kończące się spojrzeniem poprzez granicę cieszyły się zwykle dużym u ich gości powodzeniem. Przypomniawszy sobie jakiś niezbyt słoneczny, choć ciepły dzień, kawałkę jeźdźców podjeżdżających na koniach do wału ziemnego górującego nad doliną rzeki, panie i panów zatrzymujących się i spoglądających z wysokości końskich grzbietów i wału na wodę, na pusty, zasiekami tu i ówdzie ogrodzony brzeg przeciwległy, zabronowany pas ziemi tuż poza brzegiem i dalej na wielkie pustkowia smutnych ugorów bez wsi i bez człowieka. Środkiem nurtu, głębokiego w tym miejscu i spławnego — raczej bardziej po wschodniej jego stronie — płynęły tratwy, na tratwach siedzieli oryle, nad orylami zaś stali strażnicy w szpiczastych czapach bolszewickich na głowach, wsparci o długie karabiny typu z pierwszej wojny światowej, zaopatrzone w cienkie, jak żądła, bagnety. Widząc przypatrujących się im z wału nad polskim brzegiem ludzi, strażnicy ci wydawali jakiś krótki rozkaz i so-

wieccy oryle obsługujący tratwy odwracali w stronę przeciwną głowy. Tak było zawsze, i tak widok ten utrwalił mu się w pamięci. Nie potrafił nigdy pojąć, czego ci na tratwie i ich strażnicy się boją, czy też na co nie wolno im patrzeć, albo czy owo patrzenie na zachód i ludzi tam stojących mogłoby im czymś zagrozić, lub w czymś zaszkodzić. Odpowiedział wachmistrzowi: „Tak, pamiętam. I jak odwracali głowy”. Wachmistrz Kuprian Szyła spojrział na niego zdumiony, po chwili jednak nagle roześmiał się głośno: „No tak, nawet je odwracali od nas”, bo sobie też przypomniał. Zaraz potem posmutniał; już jechali w milczeniu.

Przy przeprawie przez bród, wśród glebowieckich ludzi spostrzegł Paweł przybłądę, który przyczepił się do nich jeszcze w jarze za Czołbią i zapytał go, co zamierza u nich teraz robić, ale męczyzna miast odpowiedzi, połą przeraźliwie wyłataną, spełnioną marynarką, wycierać zaczął szybko mokry od potu bok konia, na którym dopiero co jechał, jakby przestraszony, że mu go każe odebrać. Patrzyli na siebie i milczeli, tak go Paweł zapamiętał: szybkie nerwowe ruchy chudej, kiedyś bez wątpienia delikatnej, nie nawykłej do fizycznej pracy ręki, która teraz tylko się boi i dla której ten spocony bok konia jest ostatnią deską ratunku. I oczy, które widziały tyle, że zdawało się, przestały już widzieć cokolwiek. Dopiero później jeden z młodych Pankalewiczów mu wyjaśnił, że to taki jeden z Krzyżtopola, z orkiestry w smulowym zajeździe obok bydłęcego rynku i że Smula już onegdajszego roku jesienią żandarmi ukraińscy rozwalili, ten zaś tułał się od tamtego czasu po ludziach i lasach, więc pozwolili mu iść z sobą dalej.

Potem na drugim brzegu znaleźli sobie osłonięte miejsce na postój, podsypali do parcianych torb owsa, zawiesili je koniom na łąby i zajęli się wypakowywaniem z plecaków prowiantu, gdy tymczasem Szyła z chorążym Pankalą wyznaczili zmiany nocnych wart. Już wieczorem przy ognisku znów go pytali, jak to się stało, że gdzieś w drodze zachorował, i gdzie zachorował, i kto go leczył, i kto ukrywał, o różne takie sprawy, jakby nie bardzo wierzyli, a on nie potrafił im nawet, na co chorował, odpowiedzieć; zdaje się myśleli, że dostał się do niewoli i choć uciekł, wstyd mu do tego się przyznać. Lecz i tym razem o Krzyżtopolu nie powiedział im słowa: ani co widział, ani co usłyszał. Tym bardziej o tym, jak galicyjska dywizja tam sobie okrutnie pohulała. Potem nie mógł zasnąć, i czuł, że nie zapomni, ani nie zazna spokoju prędzej, zanim gdzieś nie dowie się czegoś pewnego o rodzinie. I co było z Katarzyną przedtem, co było z tym lekarzem, czy rzeczywiście gdzieś jeździła. Ale mówił sobie, że opuścił Głęby nie po to przecież, żeby uganiać się po okolicy za swoimi sprac-

wami, musi więc wziąć się w karby i przestać o tym wszystkim myśleć. Wiedział, że gdyby nawet wyznał tym ludziom gdzie był i po co, nie zrozumieliby albo nabraliby, słusznie, jeszcze większych podejrzeń i licho wie, co pomyśleć by o nim mogli. Naza-jutrz rano jednak nikt więcej nie pytał go o nic i wydało mu się, że nieufność, jaką wyczuwał w wieczornej rozmowie, była tylko wyimaginowana przez niego samego.

Deszcz ustał zupełnie, ociepliło się, nawet wyjrzało wkrótce zza chmur blade słońce; a oni niebawem zanurzili się w turchanowski las. Trzymając się skraju doliny rzeki ciągnęli w dół jej biegu prawie do samego południa, potem zbczyli nieco na wschód, minęli kamieniołomy i tam natknęli się na pierwsze strażę oddziałów Laudańskiego, ale z nim samym zobaczył się Paweł dopiero po południu, kwaterował on bowiem ze sztabem parę kilometrów dalej w leśniczówce. Rozlokowawszy w szałasach i ziemiankach ludzi, Paweł pojechał do dowódcy, już z pierwszych jednak słów z nim zamienionych, zorientował się, że uprzedził go Szyła meldując o jego zaginięciu pod Czołbią i że z tego właśnie powodu przybyli tak późno. Wyznał wtedy Laudańskiemu, że był w Lackim Siole i powędrował później do Krzyżtopola. Nie powiedział jedynie o lekarzu, Żydzie, którego szukał, ani też kogo szukał w mieście i że nie znalazł nic poza niepewnym, dwuznacznym śladem. Tylko że Laudański przyjął jego opowieść obojętnie, nie pytał o nic. Nawet, gdy Paweł powiedział że gorzelany Karpatka opuścił Gleby, wprowadzając chyba do czerwonych pa-rosobowy oddział samoobrony. Laudański zdawał się mieć zaprzątniętą głowę czymś już zupełnie innym. Paweł oddalił się z uczuciem, że od tej chwili zaczął działać w trybach maszyny wojennej nie samodzielnie, a jako jedno maleńkie kółko podporządkowane ruchowi kółek innych. I że jego własne sprawy nic teraz nie znaczą, błędąc wobec spraw wojny. Życie partyzanckie zaczęło się dlań teraz naprawdę. Oddziały chodziły nękać Niemców ubezpieczających tory linii kolejowej biegnącej przez Krzyżtopol na Ostróg-Proskurów, albo słyły odpiierać ataki Ukraińców na odległe nieraz wsie i on brał w tych akcjach codziennie udział. Laudański został tym czasem awansowany przez dowództwo okręgu z podpułkownika na pułkownika i luźne ugrupowania partyzanckie, które ściągnęły na punkt zborny, formowały się w brygadę. Przyszły też wieści, że nowe, silnie uzbrojone grupy nacjonalistyczne melnykowców, czy może banderowców, przybyły aż spod Lwowa, rozlały się po okolicy i zaczęły szturmować samoobronne warowne wsie. Wzmogło to napływ ochotników i przyspieszyło łączenie się drobnych jednostek; do brygady przyłączył się także ze swym pułkiem ułanów jazłowieckich major

Draża i przecucie wszystkim mówiło, że wkrótce zaczną się krwawe boje o wsie na zimowe leże. Działka wymontowane z wraków czołgów walających się po polach i lasach przerabiano pośpiesznie na działka polowe, gromadzono skąd się dało amunicję, w tym też czasie posłał Paweł Chrobaka z dwoma jeszcze ludźmi do Gleb po skrzynki z pociskami, które ongiś wykopali na czartoriusowym cmentarzyku, a potem ukryli w pankalowej stodole, i wtedy również rozstał się z Tamarą, klacz bowiem okulała; gdy wysłani wraz z Chrobakiem powrócili, opowiadali, że dwór zostali zamknięty na cztery spusty, opieczętowany przez Niemców, gdyż jeszcze przedtem sędzia ewakuował się ponoć do miasta, gorzelnia już znowu nieczynna, gdyż ci, co ją uruchomili, uciekli, a ze wsi następnych parę rodzin uszło w nieznaną z dobytkiem, jaki tylko dało się na fury załadować. Jednocześnie dowiedział się w sztabie, że wkrótce będzie miała miejsce akcja na krzyżtopolskie więzienie, aby odbić „politycznych” i spróbował nakłonić Laudańskiego, by pozwolił mu wziąć w niej udział, pułkownik jednakże, otrzymawszy właśnie rozkaz opuszczenia lasów i pomaszerowania przez zamieszkałe okolice pomiędzy rzekami Radą a Sertem, a także zagarnięcia kogo się da z małych ośrodków samoobronnych i wyprowadzenia brygady na zachód ku obu Iłowkom, Tatarskiej i Ruskiej, Chrapuniowi i Glebom, potem zaś jeszcze dalej, ku Sodom, chciał mieć go, jako znającego dobrze tamtejszych ludzi i strony, przy sobie. Paweł musiał przyjąć pominięcie go w akcji na Krzyżtopól w milczeniu, ale ów krótki w nim spokój, który wcale zresztą spokojem nie był, chwilowym zobojętnieniem po chorobie, ośpieniu, a równocześnie wyostrzeniem wszystkich zmysłów, jakie w człowieku działają, aby nie ulec w walce, samemu natomiast zabić, ów stan z pogranicza uśpienia i furii zarazem, którego nie pojmie nikt poza drugim żołnierzem, ustąpił po tym zawodzie nagle i poczuł się jak ktoś, kto tonąc patrzy na bliski brzeg, resztą sił próbuje płynąć ku niemu i widzi, jak fala zagarnia go i rzuca z powrotem w głębinę.

Było to zaraz następnego dnia. Strzegąc dojścia do brodu, od rana odgryzali się melnykowskim „strilciam” podchodzącym tu i ówdzie dość blisko, Niemcy się jednak nie pokazywali. Bezustannie szuścił w liściach drobny deszcz, rzeka wciąż wzbierała, mętniała, czuło się ziąb ciągnący z nieba, ziemia parowała, wiatr wiał ledwo, ledwo, a w południe poprzez trzask pojedynczych strzałów, z bardzo daleka, z północy napływać zaczął ponury huk dział. Po południu uzyskali przez łącznika wiadomości od Laudańskiego, że względny spokój, jaki panuje na odcinku przeprawy, zawdzięczają starciu się Niemców z partyzantami sowiec-

kimi, do którego doszło poza obszarem turchanowskich lasów. Potem przesieką od strony, gdzie huczały działa przygalopował człowiek na spienionym koniu, zawczasu już krzycząc po polsku, żeby go puścili bliżej, i zapytał ich, czy można skorzystać z brodu. Mówił, że część ich zgrupowania dopiero co oderwała się od niemieckiej pozycji i maszeruje śpiesznie ku rzece. Wysłany do Laudańskiego Hanczar przyniósł wkrótce odpowiedź, że jeśli czerwoni chcą, to mogą przechodzić, gdy tylko do końca ewakuuje się z obozowiska ludność cywilna, więc oddział sowiecki nadciągnął po niecałej godzinie. Byli tam Rosjanie, Polacy, Ukraińcy, nawet przeróżni Azjaci także, zbiegowie pewnie z jenieckich obozów, i to od nich właśnie odłączył się mężczyzna na koniu — był to glebowiecki gorzelany Karpatka — i podjechał do Pawła. Chwilę patrzyli na siebie milcząco i uważnie, zanim Karpatka powiedział, jakby chciał się usprawiedliwić: „Nie obchodzą mnie wiele różne londyńskie, czy też moskiewskie gadania. Walczę i to jest teraz najważniejsze, proszę nie mieć do mnie pretensji”. A Paweł: „Pan nie z tych stron, panie Karpatka. Nie zna pan tej ziemi. Cóż, będziemy próbowali każdy po swojemu...” odpowiedział, i nic więcej, krótko jeszcze stali naprzeciwko siebie, obaj nie wrodoży, a jednak nie zgodni, nie mający sobie nic do powiedzenia, zrezygnowani, pełni złych jak gdyby przeczuć, i tak się rozstali. Ludzie z sowieckiego oddziału oddalili się przez las ku przeprawie, zniknęli tak, jakby ich nigdy na tej ziemi nie było. Karpatka zaś wraz z nimi. Została tylko młoda nieznamoma kobieta, którą Paweł spostrzegł dopiero przed wieczorem, gdy usłyszał, jak Szyła krzychał: „Ta skądże się wzięła? prostytutka? Syfilityczna? Rozstrzelać każe!”, a jakiś mężczyzna z kobietą leżący pod drzewem oderwali się od siebie, ona wstała szybko, zapięła płaszcz i milczała, mężczyzna zaś, gdy Szyła dalej pieklił się i groził, począł tłumaczyć cierpliwie, że to przypadek szczęśliwy, że się spotkali, ona bowiem z jego wsi i prosił, żeby mogła zostać. Wachmistrz chwilę powrzeszczał jeszcze, wreszcie odszedł. Paweł jednak nie odszedł od razu. Długo nie mógł oderwać oczu od kasztanowych włosów tej kobiety wijących się miękko i zasłaniających kark, gdy uciekając przed jego upartym wzrokiem przechyliła głowę i ukryła twarz na piersi mężczyzny. Gdyby chwilę przedtem tej twarzy był się nie przyjrzał, a zobaczył tylko same włosy, pomyśleć by mógł, że to Katarzyna. Przez parę sekund poddawał się złudzeniu, że jest nieco do niej podobna, aczkolwiek, gdy zrobił jeszcze parę kroków ku obojgu, to przecież od razu stwierdził, że wcale, że jest zupełnie, ale to zupełnie inna; poczuł nawet ostrą woń zmęczenia, jaką wydzielala, posłyszał głos z zaśpiewem, lecz chropawy, prosty, prawie niemiły, a mimo to

nie odchodził, patrzył, słuchał, przestali nań bowiem zwracać uwagę, słysząc jak rozmawiają ze sobą spokojnie, tylko że jak gdyby chciwie, nienasyconie, choć nie podnosząc głosu ani razu, robiąc miarowe przerwy, aby słowa drugiego mogły nabrać znaczenia i wagi, aż w końcu nie mógł dłużej tego znieść, zaklął cicho i odszedł za Kuprianem Szyłą. Wtedy właśnie Katarzyna, dość długo już nieobecna w jego myślach, wróciła.

W nocy, gdy tylko zacisnął powieki zaraz była przy nim. Na dworze w ciemności za szafasem znowu z gałęzi sypał się drobno deszcz, ale on przebywał tam, w Glebach, w krajobrazie białym od słońca, w tamtej odległej chwili, kiedy przywiózł był Katarzynę z Czupryni od Czerestwienskich, objechał klomb, zatrzymał konie przed podjazdem i wyciągnąszy rękę, próbował pomóc jej wysiąść z koczobryka, a ona jego dłoń ominęła sztywno i wysiadła sama. Szła potem wyprostowana w stronę schodów i ganku, nie widząc i nie wiedząc, że odprowadza ją wzrokiem. Miała na sobie, zgodnie z okupacyjną modą krótką sukienkę, spod której wysuwały się dojrzałe nogi młodej, wysportowanej i wypielęgnowanej kobiety, nie zupełnie jeszcze zdającej sobie sprawę z faktu, że właśnie została naprawdę wdową. Tam gdzieś na ganku czekała na nią matka, już chyba wtedy świadoma tego, co się stało, tam też, z któregoś z okien, spoglądały na nią obie ciotki. Ale on nie widział ich teraz, a tylko Katarzynę, jak zmierza ku schodom, zatrzymuje się w pół drogi, wiatr krótkim podmuchem szarpie jej sukienką, jak jej bezwładnie opuszczone wzdłuż bioder ręce ozywają na mgnienie oka, przytrzymują podwiewający materiał, robi parę dalszych kroków i zaczyna wstępować na stopnie nagle przyspieszając, tam wyżej przecież czekała na nią matka i może był w niej już płacz, z którym do matki się śpieszyła, w każdym razie jeśli nawet nie, to w matce był on na pewno. Więc żeby nie widzieć łez odwracał głowę. Odpychał od siebie szum deszczu jednostajnie spływającego z igliwia za szafasem, uparcie powracał z ciemności w światło, choć tam też odwracał głowę i odprowadzając aleją konie z koczobrykiem na folwark miał w oczach Katarzynę jedynie, jak idzie samotnie ku schodom trochę sztywno, niezdecydowanie, i śliski jedwab materii owijający się wokół jej nóg, gdy dmuchnął wiatr, a także jego blady błękit. I może właśnie w tej chwili dopiero uświadomił sobie, że nigdy przedtem nie wiedział dlaczego błękit owej delikatnej kraty był dla niego tak pełen uroku nieomal wyjątkowego. W zasadzie nie lubił niebieskiego koloru. A mimo to zawsze tak samo urzekał go i zawsze na widok sukienki, w której szła przez podjazd w to przedpołudnie, nieoczekiwanie zupełnie stawała mu w oczach epoka krynolin, koronek, falban, czepków

z blondy, zapachu lawendy, jakiegoś szczególnego spokoju i ciepła, aż zrozumiał wreszcie, że w ten sposób dawała w nim znać o sobie skryta, naiwna nieco tęsknota za światem odległym, w jego wyobraźni ustabilizowanym, pewnym, bezpiecznym, było to nieustępliwe pragnienie, ażeby własne jego życie uregulowały tamte prawa, prawa, które winny dalej rządzić domem w Glebach, że była to tęsknota, aby własne jego życie za przyzwoleniem tej kobiety — do niedawna jeszcze należącej do brata, choć wiedzieli, że nie żył, tylko nie mówili tego głośno, kobiety niosącej w sobie właśnie cały spokój, stabilizację i ciepło, jakich pragnął — zmieniło swój dotychczasowy rytm i weszło w stadium, które przygotował przez te lata, od kiedy przestał się spodziewać, że Aleksy wróci i wydało mu się, że to on ma obowiązek i prawo zająć opuszczone przez brata miejsce. Tak więc, kiedy podciął konie i odjechał unosząc w sobie obraz jej niepewnych, sztywnych, niezdecydowanych jeszcze kroków, szarpnięcie sukienki przez wiatr i ów krótki moment, jak przyśpieszyła, jakby chcąc prędzej dostać się do domu i jakby naraz na coś się zdecydowała, a najdłużej blady, delikatny błękit materiału oblepiającego się w podmuchu wiatru wokół bioder i nóg, to wtedy właśnie to stadium pierwsze zaczęło się ostatecznie dopełniać.

Nie wierzył nigdy przedtem, że ona może mu być przeciwną. Nie wierzył, że może nie być dostatecznie przygotowana na wkroczenie w owo nowe stadium jego życia z nim razem. Nie wierzył także, iż może tego nie pragnąć, a już zupełnie nie przyszło mu do głowy, żeby mogła pragnąć czegoś nie tyle wręcz odwrotnego, ale nawet nieco innego, i na pewno nie uwierzyłby, gdyby mu ktoś to powiedział. Uważał, że jego następstwo po Aleksym przy boku tej kobiety jest oczywiste, zrozumiałe i nieuchronne, nie próbując nawet kiedykolwiek zadać sobie pytania: dlaczego. Uważał, że jest ono nie tylko zgodne z jej własną wolą, ale i z naturą domu w Glebach, i nie tylko dlatego, że jest bratem Aleksego, ale że jest doń podobny tak, iż gdyby wskrzesić zmarłego i postawić ich obok siebie, zapewne wyglądałoby niby bliźnięta. Może właśnie to podświadomie zwalniało go z zadawania sobie samemu jakichkolwiek pytań w rodzaju: „Dlaczego? Czy rzeczywiście jest tak, jak sobie wyobrażam?”. Jego następstwo przy niej po Aleksym wydawało mu się tak oczywiste, tak nieuchronne i tak spokojnie, z taką oczywistością zaakceptowane przez nią, że nawet nagłego wejścia między nich, tuż przed dopełnieniem się owego pierwszego stadium, kuzyna Piotra Czerestwińskiego, nie traktował zrazu wcale zbyt poważnie. Naprawdę, to chyba było to nie bolesne jedynie uczucie zazdrości, jakiś zwykły prymitywny odruch samca na zbliżanie się drugiego, od-

ruch wynikający nie z pobudek obronnych, poczucia zagrożenia, czy cierpienia, jakie zadaje niepewność, lub lęk przed nadciągającym niebezpieczeństwem, albo możliwością utraty, a z samej natury ciemnego instynktu zmuszającego niekiedy mężczyznę zupełnie pewnego siebie, pewnego stanu swego posiadania i swej mocy do czegoś w rodzaju warknięcia, do zagrania roli w scenie zazdrości, która nie jest bynajmniej prawdziwa, bo jest mimo wszystko grą, nawet jeśli nie zupełnie świadomą i z góry przemyślaną. Jeżeli nie zrobił wcześniej nic, żeby owo stadium dopełnić, to dlatego, że czekał, aż Aleksy umrze w Katarzynie powoli do końca, aż stanie się w niej ulotnym wspomnieniem jakiegoś światła, które, jeśli jeszcze w przyszłości błysnie nocą, lub zgaśnie w środku dnia, nie wywoła żadnego bólu, ani wstydu, ani poczucia winy, a będzie zaledwie znakiem potwierdzającym, że coś dokonało się już raz na zawsze. I wiedział, że to nastąpi, jeżeli tylko owego powolnego, nieodwracalnego umierania w niej Aleksego nie spróbuje przyspieszyć nieopaczny słowem, niepożądanym gestem, czy niecierpliwością. I potrafił być cierpliwy. Spokojnie pogrążał się w płynącej fali czasu, w przypiływie i krystalizacji uczuć, w tym czymś, co unosiło go niby silny, wciąż pogłębiający się nurt rzeki, ale nurt niespieszny, choć nieuchronnie spływający do celu. Było to wspaniałe, świadome poddawanie się jego niosącej sile; nie, wcale nie uległość, po prostu przyjęcie go, pewność gdzie zaprowadzi, afirmacja. I znajomość praw, które tym czasem kierują. Naprawdę nie starał się przyspieszyć jego biegu ani raz. Ani wówczas w głębi tych ciemnych pokoi na poddaszach, kiedy w środku nocy jednocześnie znajdowali się z Katarzyną w przerażonym uścisku, doskakiwali do okna i drżąc spoglądali zza papierowej zasłony w wąwóz ulicy, którą czarne sowieckie „*worony*” przejeżdżały cicho, przystawały i pochłaniały w swym wnętrzu wyprowadzanych na zsyłkę z mieszkań ludzi, potem zamykały się tak samo cicho i cicho ruszały ku swemu straszliwemu przeznaczeniu, a oni długo jeszcze stali zroszeni zimnym potem, bliscy sobie, zdani tylko na siebie, zjednoczeni pragnieniem przetrwania. Ani później, kiedy nowa faza okupacji, tym razem niemieckiej, wyzwoliła nowe, tyle że nieco inne okropności i różniąc się zaledwie nieco w metodach organizacji śmierci, im jednakże, właśnie im, nielicznym, potrzebnym okupantowi do ujęcia w karby gospodarki tej ziemi, dała chwilowe złudzenie przedwojennej stabilizacji, pozwoliła powrócić do Gleb, jak na wyspę nadziei, by mogli naśladować normalne życie. Nie starał się biegu tego nurtu, jego wyznaczonego przez los czasu przyspieszać ani w wieczornych rozmowach, kiedy przechadzali się aleją słuchając zamierających głosów wsi, ani wśród milczenia,

kiedy patrzyli na gasnący zachód nad stawami, ani na leżakach na werandzie, ani w jadalni przy kominku, ani przy nastawionym patefonie, ani w mieście, ani w lesie, ani wśród pól i łąk na tych wspólnych długich kawalkadach koń za koniem, albo obok siebie, strzemię przy strzemienu. Wszystko, co się stawało, stawało się, następowało po sobie z naturalną kolejnością i stopniowo, jak następowanie, odchodzenie miesiący, mijanie pór roku, jak rozwijanie się z pąka liści, wychylanie się z kielicha kwiatu, i to było dobre, że nic nie przynaglało go do tych gorących uścisków i wilgotnego, gorącego dotyku warg, drżącego dotyku poszukujących się rąk, suchości w gardle, szumu krwi, szybkiego, potem zamierającego nagle oddechu, szalonego jęku ściśniętej krtani. I tak zapewne byłoby długo jeszcze. W cierpliwym czekaniu, aż nurt owej rzeki sam doniesie jego i ją do celu. Gdyby nie tamten list. To zawiadomienie Czerwonego Krzyża o identyfikacji w Katyniu zwłok Aleksego, które było przecież oczywiste, tak czy tak musiało nadejść, a którego ona zapewne już dawno się spodziewała. Może nawet nie ów list, ale fakt, że musiał go jej zawieźć do Czupryni Czerestwienskich, skąd nie powróciła na noc. A właściwie, tak naprawdę: gdyby nie przejął się zbyt szczerze swą rolą zazdrosnego kochanka. Zresztą, czy była to rola odgrywana jedynie? Czyżby wtedy, tego chociażby jednego dnia nie był szczerzy? W każdym razie, kiedy ominęła jego wyciągniętą rękę, wysiadła z koczobryku sama, kiedy wyprostowana, nie odwracając się doń więcej szła ku schodom, a już na pewno, kiedy odprowadzając konie, w oczach niósł jej niepewny, chwiejny, a potem nagle pewny i zdecydowany krok, ruch materiału sukienki wiatrem zdmuchniętej z bioder i nóg, ten ruch spowijający i obnażający zarazem, i błękit owej kraty wywołującej w nim zawsze wzmożoną tęsknotę za spokojem i ciepłem, wówczas (może na skutek raptownego, szalonego podejrzenia, ukłucia zazdrości, uczucia lęku, czy też zagrożenia, a może tylko na skutek tego, że mylnie ocenił czas biegu nurtu, któremu poddawał się od miesiący i któremu, jak mu się zdawało także ona się poddawała), pomyślał, że dzień, że chwila ta oznacza jakiś milowy kamień, do którego dotarli i owo pierwsze stadium domaga się już ostatecznego dopełnienia.

Dopiero później, nocą, zanim jeszcze pożałował swego czynu, zrozumiał, jak bardzo się pomylił, odrywając się od jej ciała zimnego, na którym skóra paliła, jak w gorączce, ale nie znaczyło to nic, albowiem skóra ta rozpięta była nad niebytem, nad obcością tak wielką, że niewyobrażalną, tym większą, że nie przeczuwaną przez niego nigdy przedtem. Kiedy tam leżał z nozdrzami pełnymi woni jej włosów i opanowało go pierwsze nie-

dowierzanie, nawet co do własnej tożsamości. Kiedy jej oczy pociemniały od mroku i jak gdyby uciekły od jego nieodwracalnego czynu, któremu to czynowi ona nie miała siły zapobiec. Kiedy nie powiedziała już więcej ani słowa, nie uczyniła najdrobniejszego gestu, najłżejszego ruchu, pogrążona w nieobecności, w bezwolnym ni to przyzwoleniu, ni odmowie pozostawiając mu na pastwę ciała bezwolne, bez krwi, niemal bez ścięgien i muskułów, nawet bez kości. Kiedy pozostawiła mu siebie nawet i bez serca, choć czuł i słyszał, jak łomocze jej w piersi, tylko że jakoś tak luźno, jakby oderwało się i wcale nie było jej własne. I kiedy jego wargi łaknące ciepła znowu spoczęły na jej skórze, a czując żar, natrafiły równocześnie na chłód płynący z wnętrza; i choć jej ręce, ramiona, piersi, brzuch, uda, ona cała, nie stawiały żadnego oporu, osunął się słaby, obezwładniony, pozbawiony nagle wszystkiego tego, co niósł w swoim sercu płynąc dotychczas spokojnie i pewnie z owym nurtem tej powolnej rzeki, która zbliżała go, jak myślał, do pewnego celu; i miotając się po wielkiej próżni w sobie, nie mogąc pojąć, że wszystko to dzieje się naprawdę, pojął jednocześnie — w tym ostatnim ułamku sekundy zanim posłyszał jej śmiech — jakim nadludzkim, nie do pokonania wysiłkiem staje się pożądanie, skoro zostanie wydane na pastwę świadomości.

Bo potem właśnie był ten śmiech unoszący się, wytryskujący z jej ust, choć pozostały one nieruchome. I usta, i oczy, i ona cała. Śmiech, który smagał jego nagość, jego słabość, jakkolwiek być może wcale jego nagości i słabości nie dotyczył. Ale o tym pomyślał dopiero znacznie później. Kiedy już nie czując tamtego upokorzenia, a tylko otwierającą się przed nim chłodną pustkę, w swej grozie i niedowierzaniu spoglądając w nią, cofnął się był, nagle otworzył powieki, ocknął i widząc, że Katarzyna oddycha spokojnie, pogrążona we śnie, wstał i zaczął się ubierać. I wpierv pomyślał o dniu, który minął, że ów dzień zapoczątkowany został listem donoszącym o śmierci jej męża i jego brata, i o tym, że choć śmierć ta nastąpiła dawno temu, nastąpiła jak gdyby ponownie tego właśnie dnia. Pomyślał o podłości swego czynu, o złamaniu obyczaju, pogwałceniu zasady. Także o hańbiącym upadku własnej woli. Ale człowiek przecież nie jest nawykły długo myśleć ani o podłości własnego czynu i upadku swej woli, ani o zaślepieniu pożądania i zachłanności serca, ani wreszcie nie lubi czynić sobie zbyt długo wyrzutów sumienia z tej racji. I z pomocą przyszedł mu wówczas telefon od Mikołaja Fiodorowicza z Czupryni, że kuzyn Piotr uciekł z domu. Telefon który odebrał na wpół ubrany, jeszcze drżąc zapewne z tamtej zgrozy, niedowierzania, a może nawet słabości także, już czując jednak,

jak pod wpływem słów płynących ze słuchawki wszystko w nim tężeje na kamień zmieniając się w zimną nienawiść, tak że gdy później ubierał się do końca i z daleka patrzył na spokojną, rozprężoną twarz śpiącej, ledwo odcinającą się od bieli poduszki, myślał, szeptał jedynie: „On uciekł dla niej. On mnie uprzedził być może. To przez niego ona mnie odepchnęła. Zostałem oszukany”, bo takie wyjaśnienie źródła własnej porażki było znosienniejsze, łatwiejsze do przyjęcia i zaakceptowania. A chociaż nazajutrz, czy po dwóch, trzech dniach lub po tygodniu odrzucił je ze wstrętem, w głębi podświadomości pokutowało ono długo, budziło go nieraz ze snu w środku nocy falą gorąca, nagłym zamknięciem wdzierając się później między nich w połowę zdania, bolesnym zamarciem ich ciał przerywało rozkosz czerpaną z posiadania, jak ranę otwierało dni pełne unikania się wzajemnego, albo poszukiwania i wyrzutów.

W każdym razie owo pierwsze stadium ich stosunku wtedy właśnie, tamtej nocy dopełniło się ostatecznie. I to było najokrutniejsze. Pozostawiło w nim mieszaninę oszołomienia, złych przeczuć, świadomości niedobrego zbiegu okoliczności i zawinionej przez siebie klęski. Pozostawiło go odartym z wszelkich uczuć, i pragnień, jak gdyby pozbawionym kantów i ostrości, płaskim niby kamień wyrzucony z głębin na brzeg morza. Bo jakkolwiek stadium drugie zaczęło się wkrótce i przyniosło z sobą nieoczekiwane spełnienie wszystkiego, czego nie spełniło pierwsze, zabrakło mu już sił i odwagi do pełnego przyjęcia tego daru. Jeżeli w stadium pierwszym pod jasnym, gorącym, dzikim słońcem płynął środkiem spokojnego, nieśpiesznego nurtu do pewnego celu, to podczas stadium drugiego błąkał się na dnie chłodnej doliny pozbawionej światła, w mroku, we mgle, w szarości, bez nadziei znalezienia właściwej drogi z powrotem na tamten nurt, który gdzieś przecież w głębi owej doliny płynął, nawet bez pragnienia trafienia doń. I pewnie dlatego też teraz znajdował się nieodwracalnie pośród wyziębionej równiny, gdzie nie było nic. Ani rzeki, ani domu, ani drzewa, ani tej kobiety, w ogóle nic.

To stadium drugie ich wzajemnego stosunku zaczęło się po dwóch dniach o świcie, kiedy do Gleb przywiózł był Piotra i jeszcze bardziej chcąc go upokorzyć zaprowadził na piętro do gościnnego pokoju, a potem zamknął drzwi na klucz. No nie, może trochę później. Kiedy odprowadziwszy konie do stajni mył ręce w studni, stajenny podawał mu właśnie coś do ich otarcia, a w bramie z parku prowadzącej na dziedziniec folwarczny ujrzał nagle Katarzynę w wieczorowej jeszcze sukni, jakby w nocy w ogóle się nie kładła, jak stoi sztywno z głową podniesioną

wysoko na pięknej, ale naprężonej do granic wytrzymałości szyi, napinającej się nad drobnymi, zarysowanymi mocno ramionami, które były nieomal skurczone, jakieś ściśnięte; i zaskoczony spostrzegł, że jej obnażone do połowy, szczupłe, krągłe ręce też są ściśnięte, przyciśnięte do boków i że w ogóle ona cała jest w tym momencie taka: skupiona, ściśnięta, złożona dokładnie, dłonie do bioder, udo do uda, kolano do kolana, kostka do kostki, niby statuetka z brązu wymodelowana według geometrycznych prawideł patrząca prosto na niego, a jednak na coś bardzo dalekiego. I miał wrażenie, że czeka na jakieś słowo, którego on nie zdoła wymówić. Może zresztą jeszcze później zaczęło się to drugie stadium. Kiedy pobiegł za Katarzyną, na jej krzyk otworzył tamte drzwi do pokoju na piętrze, gdzie Piotra był zamknął, wpuścił ją do wnętrza i zostawił ich samych, w nim zaś coś nagle się załamało, bo nie czuł więcej nawet śladu poprzedniej nienawiści do kuzyna, ani żalu do niej. W jakimkolwiek zresztą momencie to się stało nieważne, już owo stadium drugie trwało, kiedy zeszała ze schodów i na dole w sieni stanęła naprzeciw niego.

Spojrzał na nią uważnie i zobaczył u niej w oczach to, co spodziewał się zobaczyć i co wielokrotnie widział, kiedy domyślała się, że chce on jej coś ważnego powiedzieć, ale nie powie, bo duma, pycha, a może zwykła wstrzeźliwość, lub delikatność dotychczas mu zabraniały. Jej podniesiona złotawoświatlista smągła twarz z nieco ostrym zarysem podbudowy kostnej pod skórą naciągniętą gładko, lecz jeszcze naznaczoną śladem owego wzburzenia sprzed chwili, które nie pozwalało powrócić rysom do zwykłej miękkości, dalej pełna była tamtego czekania na jakieś słowo, na głos chociażby. Jej oczy patrzyły wprost. Ale tamten ich lodowaty, czysty błękit był teraz zastąpiony przez ciemniejszy, głębszy, zawikłany, zagubiony i zmacony. A wtedy nagle, nie robiąc kroku, żadnego ruchu, nie zbliżając się i nie zmieniając wyrazu twarzy, ani oczu, zapłakała bezgłośnie. Wstrząsnęło to nim, jakby gdzieś w pobliżu przeszła burza, raptem przebrzmiała i nastąpiło uciszenie żywiołu. Cisza aż huczała w uszach.

Zdawało mu się, że trwało to bardzo długo. Stał nie mówiąc ani słowa, a ona wciąż jeszcze płakała, już go nie widząc poprzez łyż. Dlaczego płakała? Czy dlatego, że nawet na progu spełnienia jego pragnień uważała, że sprzeniewierza się Aleksemu, ale nie miała siły zapobiec temu, co i ona uznała za nieodwracalne? Może dlatego, że nie kochała Aleksego naprawdę, a naprzeciw niej stał mężczyzna bliźniaczo doń podobny i nie potrafiła wyzwoić się od jego władzy w tym domu? A może dlatego, że

Piotr Czerestwieski pozostawiony w pokoju na piętrze, młodszy od niego, Pawła, a nawet od niej młodszy też, nikogo jej nie przypominający, stał się dla niej symbolem jakiegoś nowego, swobodnego życia, w które nie umiała sama wkroczyć? Czy może dlatego płakała, że niegdyś, nie przeczuwając, co los jej zgotuje, rozstała się z chłopcem jeszcze, a obecnie znalazła Piotra Czerestwieskiego mężczyzną o parę lat za późno i nie mogła doń wyjść bez wspomnień i w całej swej niewinności? Czy może wreszcie dlatego, że Piotr ją tam, w tym pokoju na piętrze odepchnął od siebie, a on, Paweł, stał teraz naprzeciw niej, jak przeznaczenie? Mniejsza zresztą, jaka była przyczyna. Łzy błyszczące w jej wielkich oczach, w tej twarzy bezgranicznie poważnej świadczyły nie o sercu wyschniętym i zimnym, a gorącym i dowodziły, że bez względu na to, jaką decyzję podjęła, ta decyzja nie przyszła jej lekko i na drogę, na jaką wstępowała, wstępowała z bólem, lecz nie litując się nad sobą. Potem podniosła raptem twarz jeszcze wyżej i uświadomił sobie, że patrzy na niego uparcie, tak samo jak on na nią i serce stopniowo stanęło mu w piersi. Ona powiedziała cicho: „Pawle” pierwszy raz tego dnia (w ogóle pierwszy raz od tamtego dnia, od owej nocy jego dotkliwej porażki) zwracając się doń wprost po imieniu, „Pawle. Nie zostawiaj mnie samej, Pawle”, oto co posłyszał, jak powiedziała cicho, słysząc jej oddech niespokojny, nierówny, krótki. I wtedy, jakby jednym odruchem wiedzeni zbliżyli się do siebie, otoczył ją ramieniem i czując to całe ciepło kobiecego ciała zamknięte w swym uścisku, poprowadził ją do jej pokoju. I chociaż: „Teraz już możesz” powiedział wśród jeszcze nieobeschłych do końca łez, nie wymienili ani jednego pocałunku. Jej wargi bowiem tylko rozchyliły się nieznacznie i wydobyło się z nich coś w rodzaju prędkiego westchnienia, czy też powściąganego jęku.

I to było drugie stadium. Nie umiał tego wykorzystać. Nie umiał wyciągnąć właściwych wniosków z jej osamotnienia w tym starym domu przywalonym, jak zwałami gruzu, tradycją, wśród którego ścian czuła się obco, bo „swojskość” nabyć w nim mogła jedynie więzami biologicznymi. Nie umiał wyciągnąć wniosków z jej potrzeby oparcia w kimś silnym na tej ziemi zawsze zakrwawionej, gdzie domy trzeba było odnawiać po pożarach i meblować co lat dwadzieścia, skąd nie potrafiła uciec sama, spętana jakąś nie do przewyciężenia niemocą, a może przyzwyczajeniem. Ani z chęci posiadania przez nią własnego gniazda, którego posiadanie nie byłoby z góry uzależnione warunkiem urodzenia syna, przez co, to coś naturalnego i wspaniałego, czym jest macierzyństwo, stawało się jako warunek, ponizające. Ani z jej pragnienia kierowania się w życiu własnym zdaniem i wolą. Ani

z potrzeby tkliwości. Nie umiał nawet wyciągnąć wniosków z samego faktu swego podobieństwa do Aleksego. Przecież nie wyszła za Aleksego ani dla majątku, ani specjalnej pozycji społecznej, bo tego dawno już oni, Woynowicze, nie mieli i, jakkolwiek o jej uczuciach do brata niewiele, albo w ogóle nic nie wiedział, to jednak krok ten niegdyś podyktowany być musiał jakimś nadziejami, i on, tak do Aleksego podobny, mógł je teraz spełnić skoro żył, zajął miejsce tamtego przy niej, a przynajmniej mógł nadzieje te poznać, żeby ją zrozumieć, czego też potrzebowała nade wszystko. Ale nie uczynił po temu prawie nic. Albo w ogóle nic. Wspomnienie nocnej, głupiej porażki męskiej mu nie pozwalało. A może nie to jednak, a wstyd, że wszystko to zdarzyło się w dniu, w nocy, kiedy Aleksy umarł dla niej po raz drugi. Że on, Paweł, jego brat rodzony wstąpił w ten dzień, w tę noc z sercem wzburzonym, w bezwstydzie i zachłanności gwałcąc obyczaj i zasady, śmiąc ponadto wmawiać sobie, że Aleksy oddał mu ją niejako ostatnią wolą zza grobu na własność, bo zwykle pożądanie i zachłanność szuka dla swych uczynków sankcji prawności, legalności i dobra. I wtedy, kiedy dla ratowania siebie i jej, winien był ową noc pogrzebać w niepamięci raz na zawsze (bo jeśli młoda, zdrowa kobieta i młody, silny mężczyzna, oboje żądni życia, przetrwania wojennej zawieruchy i dotrwania do czasów lepszych mieszkają pod jednym dachem i łączy ich nie tylko wspólny stół, ale niekiedy i sypialnia, przede wszystkim zaś obopólne poczucie niebezpieczeństwa, to w końcu wydarzenia między nimi wcześniej, czy później potoczyć się muszą normalnym trybem przyjmując pomyślny obrót), on, jak porażony jakąś zakaźną chorobą, rozpamiętywał tamtą noc i swą klęskę długo, podsycał swą nieufność i zazdrość o Piotra, po powrocie z bezowocnej podróży do Katynia po ciało Aleksego, jak ranę rozdrapywał swą winę wobec brata, aż wszystko to razem otoczyło ich niby magiczny krąg, którego nie potrafili przestąpić, przywaliło ich i położyło się głębokim cieniem na ich związek. Nie potrafił wykorzystać nawet tego jednego nie oczekiwanego przez siebie wcale momentu po powrocie z wypadu na prowokatora Poczajewa, kiedy Katarzyna opacznie zrozumiała jego intencje i krótko była być może szczęśliwa, gdyż zapewne ona też chciała wydostać się z przeklętego kręgu i aby ich życie przeniknąć mogła ufność i wzajemne oddanie. Owego momentu, kiedy zatrwożony wiadomością, jakiej udzielili mu na folwarku, że nocą we dworze była wataha czubaryków, oddał prędko w ręce stajennych konia, pognął do domu, a potem wpadł do jej sypialni i widząc, że jeszcze śpi, siadł z ulgą na krawędzi łóżka.

Resztki czerwieni świtu rozpraszało już wtedy prędko za oknami słońce. Jej twarz na poduszce była pozbawiona wszelkich ostrości i tak spokojna i łagodna, jak u dziecka. Włosy tak zdumiewająco miękkie i bujne — czego w dzień trudno się było domyśleć, gdyż spinała je zawsze wokół głowy ciasno — oplatały swobodnie szyję, światło poruszało się po kasztanowych zwojach i choć nie wyciągnął ręki, odniósł wrażenie, że przemykają mu się pomiędzy palcami, jak coś najprawdziwiej żywego. Wpatrywał się w leżącą długo, bez słowa i jego wzrok musiał w końcu przeniknąć przez jej sen. Aż otworzyła oczy, obróciła się raptownie do niego całym ciałem i to się stało. Wyciągając ramiona zaśmiała się dźwięcznie, nisko i gardłowo. Tak śmieje się kobieta pod wpływem szczęścia, nigdy przez uprzejmość, a nawet, gdy jest bardzo wesoła. Tego śmiechu nie podobna udawać, ani się nauczyć. Zdarza się to jej raz, najwyżej parę razy w życiu. Tylko wtedy, gdy coś przedostało się w samą głąb jej serca i szczęście wzbiera w niej naturalnie, jak oddychanie. Kiedy kobieta tak się roześmieje, mężczyźnie objawia się jakaś czysta, piękna prawda o jej naturze. Tak właśnie było tego rana, gdy Katarzyna zarzuciła mu na szyję ramiona jeszcze ciepłe od snu. Roześmiała się całą sobą i błyszczącymi, rozszerzonymi oczyma, a blask spłynął na jej policzki. Ten śmiech był dla niego. Ale nieopacznie powiedział jedno zbędne słowo, nie to słowo, jakie należało powiedzieć, imię Piotra, i że odprowadził go do jego domu, do Czupryni, a ów śmiech zgasł. Było to tak, jakby ktoś zatrzasnął przed nim drzwi. I on został na zewnątrz. Wydało mu się, że jej nie ma, choć ciągle jeszcze była w tym samym miejscu, w pół siedząc, w pół leżąc na łóżku, a jej głos, gdy przemówiła znowu, zabrzmiał jakiś zwolniony i daleki.

Teraz wspomnienie tamtego poranku i jej śmiechu było dla niego nieomal wstrząsem, bo to wszystko, co w nim ów wstrząs wywołało, poszło od razu wówczas po tamtym poranku w niepamięć, przywalone udręką następnych dni. Jednakże zdołał przecież teraz ujrzeć zagubiony obraz ponownie skroś czarnej, zimnej nocy otaczającej połowy szalas, usłyszeć dźwięk tamtego śmiechu poprzez szum deszczu i dzikie zawrodożenie jesiennego wiatru. I choć uniesienie znikło natychmiast, czuł przez chwilę wszechogarniający przypływ tkliwości, tkliwości przeplecionej z żalem, jak gdyby ta tkliwość była jego ciałem, a żal żyłami i nerwami. Potem coś nienazywalnego wezbrało, podniosło się i zalało go falą smutku. Rozumiał, że wtedy zmarnował swą ostatnią szansę posiadania Katarzyny naprawdę i zatrzymania jej przy sobie. Bo jeśli nawet na krótko później posiadał, już było za późno, aby ją zatrzymać. Już podjęli decyzję. Ona wyjazdu na zachód

kraju, on pójsia do partyzanckiego oddziału. Decyzje zresztą wynikające mniej z ich swobodnego wyboru i woli, niż z sytuacji w jakiej się oboje znajdowali, z doznanego zawodu i konieczności, z odwagi i poczucia honoru. Więc później już nic nie mogło zapobiec zrealizowaniu tych decyzji. Bo zanim naprawdę należeli do siebie, powiedziała: „Wiem, musisz iść do lasu, pójdiesz”, on zaś potwierdził, bo ona wiedziała, że złożył przysięgę i ich osobiste sprawy, jeśli dotychczas ich nie zdołali ułożyć, przestały się w końcu liczyć. Nawet jeśli tam w domu śmierci u Czerestwiskich stryjenca Małgorzacie odmówiła wyjazdu z nią do Wielkopolski, twierdząc że zostaje, nie znaczyły te słowa już wtedy nic, być może były chwilowym odruchem tylko, a może próbą odwleczenia odjazdu. I musiał on prędzej, czy później nastąpić. Więc w ten sposób zaczęło się trzecie stadium. Bez niej. A jednak nie opuszczało go ciągle jeszcze przekonanie, nie do odparcia przeświadczenie, że ona dalej jest, że nie odeszła zupełnie, że jest nawet blisko. Pojął to teraz, przypominając sobie wszystkie chwile kończące jedno i zaczynające następne stadium. Pojął, że dzisiejsza noc była po prostu przedłużeniem tamtych dawnych dni i nocy, że ta dzisiejsza noc rozrachunku trwała w tamtych przez cały czas, nawet wówczas, kiedy on odsuwał się od nich, czy odrzucał je; ale były jak ziarna, które wyrzucasz, a kiedy później powracasz tą samą drogą, spostrzegasz, że wyrosły w rośliny.

Na dworze słychać było kapanie deszczu po igliwiu i liściach, teraz już zacichające. Mimo to serce biło mu mocno i poczuł, że w żyłach zaczyna krążyć nowa krew. Przez chwilę był zupełnie oszołomiony wspomnieniami i jak gdyby zamroczony. Wydawało mu się nawet, że widzi Katarzynę, jak tamtej nocy, nocy dlań teraz nie jednej, konkretnej, ale skupiającej i sumującej wszystkie inne razem. Jej twarz tak bardzo znaną, nieomalże znaną na pamięć, każdą zmarszczkę, bruzdkę, każde mimiczne załamane i wypukłość, a jednak wcale nie znaną dotychczas. Do tej teraz chwili. Jej twarz tak przecież kochaną, choć nigdy przedtem nie rozumiał tego równie jasno i silnie, jak obecnie. I wydawało mu się, że Katarzyna mówi coś do niego cicho. „Jezu” powiedział na głos, „Jezu”, tak wrażenie było bliskie i realne. Siadł na swym posłaniu z mchu i jedlinowych łapek przepętniony gwałtownym uniesieniem. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się coś podobnego. Żeby wiedział, że jej nie ma od dawna, a równocześnie, iż wypływa z ciemności na światło. Że jest na progu poznania rzeczywistej, bezwzględnej prawdy. I wreszcie odzyskał oddech. Ale nic takiego nie nastąpiło.

Stał w otworze wyjściowym szałas i krople wody, choć

deszcz już nie padał, spływając z gałęzi kapały mu na kark. Noc przerzedzała się, świtało. Uniósł głowę. Nie słyszał więcej nic z tego, co słyszał przed chwilą. Do jego uszu docierała tylko nieskończona ilość głosów ludzi, zwierząt i wprawionych w ruch przedmiotów. Wdychał czysty, bogato zróżnicowany zapach wyziębionej ziemi, czasem przepływał przez niego tuman mgły, obejmował go, czuł na policzkach jej wilgotny dotyk i myślał: „Jezu, o Jezu!” widząc, jak partyzanckie obozowisko ożywa z wolna, a od strony rzeki Rady nadciągają nowe tabory eskortowane przez strażę, za nimi zaś gromady uciekinierów wiejskich i stada bydła. Sylwetki ludzi zacierały się w szarości przedświtu. Konie parskwały niegłośno, skrzypiały ośki i hołobie, szczekała broń, piach skrzypiał pod butami i kopytami. Gdzieś nad lasem krążył wysoko niemiecki samolot zwiadowczy. A jednak, gdy ponownie zacisnął powieki, Katarzyna, jak przedtem była w pobliżu. Była nawet wtedy, gdy znów oczy otworzył. Przyglądała mu się z niezmierną uwagą. Jednakże zaczęła się cofać, oddalać. Usiłował iść za nią, lecz była szybsza. A potem tylko: „Chodźmy stąd” zdążyła jeszcze powiedzieć, zanim stała się zupełnie przezroczysta, rozpływająca się w świetle świtu, ulatująca, jak sen, albo nawet jedynie krótkie wspomnienie snu.

TOM III

I

Czuł, jak zeń życie powoli ucieka. Wróble poderwały się furkotliwą chmarą, poleciały do tyłu i zginęły w szarej oćmie gdzieś na przeciwległym brzegu rzecznych rozlewisk zarośniętych brzezina. Ręce zbrukane miał po łokcie zaschniętą posoką. Słyszał daleki krzyk komendy tamtych: „*Ohoń!*”, jak wielokrotnie już, jak nieomal ustawicznie słyszał w czasie tego dwutygodniowego marszu od doliny rzeki Rady do Sertu. Słyszał, jak po liściach i gałęziach trzaskają kule, i krzyk prowadników też słyszał: „*Syny Ukrajiny, wpered! Hura!*”. Ale nie był chyba ranny. Przynajmniej nie przypominał sobie, żeby mu się to przydarzyło. Bo pamięć mówiła coś innego.

O świcie wyniósł spod obstrzału wachmistrza Szyłę obficie broczącego krwią i nie starczyło mu wtedy czasu, żeby się obmyć, gdyż właśnie jeden z warujących za stogami na czatach wrzasnął: „*Chłopci ratujcie sia, melnykiwci okrużyły nas! Tylko patrzeć, budut nastupaty!*” już biegnąc do wsi; i zastąpił mu drogę, trzasnął na odlew przez pysk, żeby nie wywoływał paniki i zawrócił go na stanowisko; jednakże wkrótce sam ich zobaczył w tym srebrnosinym świetle (bo był dopiero świt); ze trzy albo cztery sotnie, jak szeroką tyralierą szli od Chrapunia rozłasowanymi nocnym deszczem bruzdami po orce, bagnety nasadziwszy na sztorc na kabeki, gnając przed sobą żywą osłonę ze schwytych pozawczoraj w leśnych ziemiankach Żydów, miotających się, wołających z daleka: „*Szijsz nys! Ribojny szeł ojom, szijst nys! Pojlisze brido, szijst nys!*”, choć nie na wiele to się zdało, całe bowiem przedpole zaminowane było dokładnie, ginęli więc rozrywani w wybuchach na strzępy; na drodze zaś, za tarniną, już wyładowywały się niemieckie ciężarówki, toteż kazał zaraz wycofywać się swoim na granicę Hłowki Tatarskiej za osłonę z kup darni i patycza podsypanych ubitą ziemią, bo międzylesie nie

było do obronienia; a potem w chacie sołtysa, w kuchni na plecionej wiklinowymi prętami pryczy, popluwając gęstą krwią umierał Kaprian Szyła przytomnie z godzinę albo i dwie; ta tętnica po lewej stronie jego szyi to klęśła, to pęczniała na przemian, niby żywa pijawka wyrzucona na suchy brzeg, żyły grubymi węzłami cisnęły się na czoło zarosnięte nisko białą, spotniałą szczecią włosów, oczy patrzyły mętnie i niespokojnie; gdy tymczasem na skraju wsi trzy działka polowe zostawione w odwodzie przez majora Drażę ostrzeliwały się zajadłe, bo przecież porucznik Tałach musiał jakoś opanować tę cholerną sytuację, żeby cywilnym dać czas na wyewakuowanie się w kierunku rzeki; i maszynowa palba wzmagająca się z kwadransu na kwadrans, gdyż chyba weszli do akcji również i Niemcy; więc w końcu posłał do majora z pytaniem, co robić, czy dostanie jakieś posiłki, ale Draża, że gównno (pułk jego osłaniał tył brygady już od paru dni, był utrudzony), że sam ręce ma pełne roboty i że buduje śpiesznie most na przeprawę; a gdy po raz drugi zajrzał do Szyły, to oczy wachmistrza wyokrąglały jakoś tak ptasio, szukały w jego, Pawła, twarzy tej odpowiedzi, której nie mógł mu dać; słyszał jak stary prychnąc dolną wargą pod sterzący wiecheć wąsa oddycha płytko, jakby serce wypełniało mu całą pierś po brzegi; lecz powiedział wachmistrzowi ostrożnie: „Nie bójcie się Kuprian, nie puścimy ich tutaj”, kładąc na jego rozpalonym czole dłoń; choć wtedy właśnie, na przekór temu, co mówił, zajęczały pękające szyby, sołtysowa targnęła skopiec z rozgrzanego pieca i szum z mleka chlapanął na podłogę, detonowały gdzieś opodal pociski, a usta wachmistrza rozwarły się nagle, jakby chciał wreszcie coś ważnego powiedzieć, czego przedtem nie mógł; ale że dobiegło do niego, Pawła, szybkie, płochliwe wołanie z nadworu: „Woynowicz! Podporucznik Woynowicz!”, to wyleciał z chaty, jak z procy; a stał tam już konny ze sztabu brygady, wręczył pakiet z nowym rozkazem i pocwałował dalej, on zaś wcale nie czytając, wsadził to w kieszeń, kanonada bowiem w dole rzeki zagrała znowu, tym razem zwielokrotniała, jakby Niemcy podciągnęli nie wiem ile artylerii; widać było, że pociski koszą szczyty buków, otrząsają w dół gałęzie, więc tak, jak i przedtem, obmyć się nie zdążył, zresztą podniósł się jakiś zbiorowy krzyk, musiał pobiec na zapłocie; i zobaczył, jak odkrytym polem ku wsi, przez miny i gęste trzaskanie kul gnała w forszpan chłopska taratajka; chłop batożył pryskające pianą konie, dobywając z nich ostatki sił; jeden z ludzi leżących w sadku, poderwał się na nogi i niby wariat, albo co: „Wyleci muzyk w powietrze, czy nie wyleci?” chichotał śmiechem cienkim, kogucim, jakby chciał iść o zakład, tak że nawet ci, którzy siedzieli na strychach i da-

chach też przerwali na chwilę ogień i spozierali, niby na widowisko, a tylko od strony ukraińskiej i niemieckiej dalej prażono niemiłosiernie; lecz wóz z chłopem był już za wałem ziemnym samoobrony i usłyszał zziąbane tłumaczenie tamtego, że przyjechał on do tego seła po doctora, błagalne, płacziwe, i któryś z ludzi pobiegł na odcinek Tałłacha zapytać, czy felczer Rosen z Trembowli jeszcze żyw, bo od nocy nikt go na oczy nie oglądał; wówczas zaś do wozu zbliżył się wyszpanowanym krocziem ten cholerny Rózkowski z ochrony sztabu brygady, zawsze weszący, gdzie nie trzeba, zdradę i wrzeszczy na chłopka, jak jaki zupak: „Wy co, Polak?“, choć chłopek: „*Ja ne znaju, proszu wilmożnoho pana, ja do doktora pryjichaw*“, a Rózkowski: „Dureń! Polak, czy nie Polak?“, a chłopek dopiero wtedy przestraszony — bo przedtem, kiedy gnał przez to minowe pole pod obstrzałem, to nie wydawał się wcale — sepleniącym głosem: „*Szczoznaczyt'sia Polak? Szczo bude z tym doktorom?*“, a Rózkowski: „Ukraińiec?“, a chłopek: „*Do czorta, jaki tam Ukraineć, pane*“, a Rózkowski zszarpując empi z ramienia: „To jak, u jasnej cholery?“, a chłopek: „*Ja miscewyj, pane, ja rymskij katotyłk*“, prawie z płaczem; więc odepchnął tego skurczybyka dwójkarza Rózkowskiego i potem, zrywając derkę okrywającą wóz, zajrzał na dno, bo coś się tam w słomie ruszało: to była kobieta; zobaczył oczy biegające od twarzy do twarzy, źrenice wydawały się fioletowe w tych jej ciemnych, prawie że czarnych oczodołach, na które coraz to opadały podsinione powieki, kiedy między jednym a następnym spojrzeniem prześlizgującym się po ich twarzach spoglądała w dół, tak że on również spojrzął w dół za jej wzrokiem i zobaczył wzdęty brzuch i że to właśnie to tak się ruszało; a gdy znowu oczy podniósł, ostra linia ust kobiety wydłużyła się, podgięła gwałtownie ku górze, drgając; i po raz drugi spojrzął na jej brzuch, a potem jeszcze niżej, gdzie rozrzucone w słomie nogi, na chwilę zatrzymując w zdumieniu spojrzenie na stopach kobiety, drobnych, wąskich, obutych w miejskie buciki na wysokich obcasach; i słysząc, jak chłopek mruczy: „*Howory do hory, a hora horoju. Czort znaje, jak jomu howoryty, szczozy zrozumiw, że toho doktora zara tu wo potribno*“, krzyknął: „Prowadźcie ich do Rosena, u diabła, prędzej!“, i chłopca, i kobiety, i koni, i wozu już nie było; lecz nawet wtedy nie znalazł chwili dla siebie, by zakrwawione ręce umyć, mimo że to koryto z wodą w obejściu sołtysa upatrzył sobie wcześniej, bo skoro tylko ruszył w tamtą stronę, kolana mu raptem zeszywniały, na progu sołtysiej chaty stał bowiem wachmistrz rżęząc; właśnie sygnaturka we wsi za rzeką wydzwoniła południe, Szyła zaś stał ogromny, srebrny w mglistym świetle, w rozchełstanej

koszuli, z piersią podwiązaną czarną harasową chustą, spod której wyłaziły bandaże zacieknięte krwią zmieszaną z sieczką i ościami siana, wyciągał ręce i, gdy on, Paweł, do niego podbiegł, osunął mu się w ramiona szepcząc: „*Ne załyszajte mene, chłopcí, na Chrysta, Pawluk'*”; i zaraz dotaszczył go z powrotem w głąb chaty na prycze, i Kuprian przycichł, tylko pierś podnosiła mu się jak góra, wzrok chwycił się ikonostasu w kącie, a potem zaczął wyraźnie: *Zakopajte, Pawluk*. Przecie oni nawet ciała nie uszanują. *Chot'by zakopaty w zemlu*. Myż jednego klejnotu, Pawluk, pomnij. *A jak ne skonaju, dostril mene, brate'*”; lecz wachmistrz zdążył, to były ostatnie jego słowa; pierś podniosła się jeszcze raz, wypuścił powietrze szerokim, ostatnim westchnieniem, przykleśł; jakiś brodaty partyzant od Tałłacha, co zaszedł, by wziąć centralkę telefonicznej linii, przeżegnał się trzykrotnie i powiedział do tych, co podeszli do drzwi: „*Zbynuww nasz Szyła'*”; i od razu wachmistrza pochowali pod jabłónką w sadzie, właśnie w tym korycie z podwórza, wpierw wychlupnąwszy wodę, w której on, Paweł, miał się umyć, dół zaś wykopali głęboki, bo pilnował cały czas, i później stał jeszcze, gdy już usypali kopczyk, patrząc na ziemię, na bezlistny sad, na pajęczne nitki polatujące w powietrzu, snujące się białawo nad zwiędłym żeburynem w bajorze za płotem, jak południe dogasało niemrawo i mgliście, nie słysząc nic, tylko że wiatr szeleści w pędach koniopłochu przy ścieżce; niebo zaś zdawało się zielone, a słońce czarne, gdy tak patrzył wtedy; i stał długo, chociaż ta palba na skraju wsi nie cichła ani na chwilę; i dopiero później, znacznie później poczał słyszeć ją na nowo, bo mimo, że nieprzyjaciel odstąpił na skraj lasu wypuszczając na przedpole wykrywaczy min i strzelano do nich zajadle, to sądząc po innych odgłosach, bitwa przesunęła się ku rzece i Tałłach już nie tak nerwowo kończył ewakuację; zganiano na majdan resztki co zdrowszego bydła, konie co lepsze, odparzaki i ochwaty zostawiając, potem poczęło się wyludniać, coraz bardziej wyludniać między chałupami i w obejściach, aż wreszcie oprzytomniał i wyszarpnął z kieszeni ten papier z rozkazem, jaki mu dawno temu przysłało ze sztabu brygady, przeczytał i pakując w usta gwizdek jął ściągać ze stanowisk swych ludzi, „*Cofamy się za rzekę!*” krzycząc, gdy Chrobak skoczył do chaty sołtysa po jego plecak i kozuch, bo już postanowił co i jak, i do Chrobaka: „*Ty ze swoim plutonem zostajesz ze mną'*”, do reszty zaś: „*Ruszajcie na przepawę!*”, potem jeszcze, żeby zostawili jeden erkaem, granaty, zapas naboji; i to był dosłownie ostatni czas, nieprzyjaciel bowiem wcale nie odstąpił, lecz zaszedł wieś od zagajników, bokiem, że ledwo zdołali ujsć mu dołem, gdzie na szczęście był

znowu wał ziemny samoobrony, tej dworskiej, a choć stacjonowała tam kompania Węgrów, to jednak nie mieszała się do walki i oficerowie stali jedynie na wale, przypatrując się spokojnie bitwie przez lornetki (dziedzic Kaniowski między nimi, Paweł poznał, choć z pół kilometra było); a później na drodze do rzeki spotkał klnącego wysłannika od majora Draży, że już dolina zaminowana, nieprzyjaciel podchodzi, i droga zaminowana też, on jeszcze tylko ich jednych przeprowadzi, ostatni czas, „Do cholery ciężkiej, gdzieżeście tak długo marudzili? Trzeba osłonić ogniem przeprawę, żeby się z tego wykaraskać. Z tysiąc cywilbandy czeka na przejście, a bydła, a koni, a wozów, jasny gwint! Laudański wściekły! Hajdamacka potołocz już ta wo!” pieklił się ten człowiek; i Paweł rzeczywiście zobaczył: Ukraińcy, potem i Niemcy jęli wysypywać się z lasu na skraj doliny; lecz w końcu zdążył na ową pozycję, część swoich odesłał, resztę, drużynę cekaemu rozstawił po przeciwnej stronie stoku znajdując tam płytki rozdół; okopali się prędko, już było ich tylko dziesięciu; zaczęło mżyć, w głąb doliny wpełzła mgła, pochyлина gołoborza i niżej stok również się nią zasnuły; słychać było huk wylatującej na minie ciężarówki, na drodze zgrzytnęła rozdzierana blacha, potem wybuch benzyny targnął powietrzem, pola minowe w dolinie też pomrukiwały detonacjami raz po raz, wiatr dmuchał spalenizną; i wtedy spostrzegł, że w swojej umazanej krwią na brązowo ręce trzyma czarny bucik kobiecy na wysokim obcasie; przypomniał go sobie od razu, choć nie mógł odszukać w pamięci momentu, tej sytuacji, kiedy znalazł się on, ów tak dobrze zapamiętany czarny bucik z laki w jego dłoni, gdzie i kiedy podniósł go był z ziemi; i odrzucił go od siebie nieomal ze wstrętem, wydał mu się bowiem, jak jego własne ręce zakrwawiony, choć przecież naprawdę był czarny, nowiuteński, elegancki i czysty, a to tylko własne ręce tak mu się lepiły; i w tejże samej chwili zobaczył, jak Chrobak zaczyna wstrzeliwać się ostro w jakiś niewidoczny dla niego punkt doliny, a usta ma Chrobak czarne, czarne niby smoła, usta innych ludzi też widział czarne, i że niebo jest czarne, i las, i całe gołoborze, i nawet mgła zasnuwająca dolinę, jedynie słońce, które już raz czarne było, kiedy stał nad mogiłą wachmistrza Szyły (tak, że wcale by się nie dziwił obecnie, gdyby takie ujrzał powtórnie), tym razem, niby biała, zimna kula staczało się za horyzont; i choć jeszcze zdążył wydać rozkaz, żeby ci, którzy są niepotrzebni, wycofywali się za rzekę i widział, jak pryskają pojedynczo zygzakowatym biegiem z przysiadami, to już poczuł, że powoli życie zeń wycieka, aczkolwiek przedtem posłyszał wyraźnie daleki okrzyk komendy tamtych: „*Ohon!*”, jak po liściach, po gałęziach nad głową trzaskają kule,

i nowe okrzyki tamtych, pewnie prowidników: „*Syny Ukrainy, wpered! Hura!*”; i wtedy dopiero coś w nim raptem, jak gdyby pękło w środku z trzaskiem, tak, że przez moment nie widział nic, nawet nie słyszał nic i wokół nastał ogromny, wszechogarniający spokój, ale na krótko, bo potem znowu słyszał, widział, a słońce nie było już białe, dolina zaś i las czarne, ani gołoborze, ani mgła, ani buki na skraju po przeciwnej stronie też nie były czarne, i miał wrażenie, że przez tamten jeden moment, którego nie mógł pojąć, ani sobie wytłumaczyć, znajdował się pod ziemią, albo pod wodą i że nawet nie oddychał, teraz natomiast się stamtąd wynurzył, zachłusnął powietrzem, dźwiękami, różnorodnością barw światła; i oparłszy na kłodzie karabin trzymał oko na szczyrbince i muszce tak długo, aż znalazł cel i strzelił, i strzelał do ostatniego posiadanego naboju; a później powtórnie napłynęła cisza zupełna i słuchał jej, że zatracił poczucie czasu, aż się wreszcie ocknął i była rzeczywiście cisza, cienko dzwoniła w uszach.

Potem krótki podryw wiatru odwiął z pochyłości mgłę, zdmuchnął wyższe, zalegające dolinę warstwy jej oparów i wówczas (już żadnych halucynacji wzrokowych, żadnych słuchowych) ujrzał mokre od deszczu, połśniewające w wieczornym świetle niemieckie hełmy, jakby żelazne, czarne, odwrócone do góry dnem garnki płynęły po białawo sinym tumanie cierpliwie i nieprzerwanie przez gołoborze naprzód. Zajadła strzelanina z prawa i lewa dolatująca od tyłu, lecz nie posuwająca się już więcej w głąb lasu kazała przypuszczać, że ostatnie szwadrony pułku majora Draży, który osłaniał cofanie się brygady, uskoczyć zdążyły za rzekę, i zaraz głucha detonacja wysadzanego mostu rozerwała powietrze na strzępy. „A więc się skończyło” pomyślał. Chciał krzyknąć do leżącego opodal Chrobaka, że zrobili już swoje, mogą również popróbować szczęścia, wyjść z kotła, na nich teraz kolej, nie są tu więcej potrzebni, ale wybuch granatu rzuconego gdzieś w pobliżu w rozdół oszołomił go, ziemia ostrym zrywem podniosła się do oczu, i tylko szeptać począł: „Strzelaj! Czemu nie strzelasz? Strzelaj, u diabła!”, zanim sobie uświadomił, że cekaem milczy od dawna, że nawet milczał już wtedy, kiedy pierwszy raz spostrzegł w dolinie hełmy płynące na powierzchni mgły i zaraz doszedł do przekonania, że musiał po eksplozji granatu dłuższy czas być ogłuszony i nic nie widział, bo obecnie Chrobak nie leżał, a siedział na ziemi oparty plecami o kupę gałęzi, z kolbą cekaemu ściągniętą na brzuch, kierując wylot lufy w niebo i głowę zadzierając, jakby tam w chmurach czegoś wypatrywał, z ustami otwartymi niby we śnie.

Spróbował się dźwignąć (znowu las był czarny, i ziemia, i

dolina, i niebo, i zachodzące słońce również, tylko że obrzeżone białą, promieniującą światłem obwódką), wreszcie się to udało, choć lewa ręka, którą chwycił za pieńkę wykonała kilka przedziwnych płasających ruchów i opadła; i nie pojmując jeszcze, co się stało, ani tego rozrywającego mięśnie bólu — którego przedtem nie czuł wcale, mimo, że ubabrany był krwią po łokcie od samego rana — począł pełznąć przez leżące nieruchomo ciała do Chrobaka, gdy zaś dopełził, uniósł się, potrząsnął nim, a potem patrzył ze zdziwieniem, jak ten osuwa mu się bezwładnym ciężarem na ramię i znowu poczuł ten co przedtem ból, że byłby może zemdłał, ale wciąż szeptał z wściekłością: „Strzelaj! Strzelaj, głupcze! Strzelaj!” i słyszał swój szept, aż w końcu spostrzegł, że w taśmach nie ma ani jednego naboju, i przestał.

Bólu już nie było, choć to lewe ramię i rękę miał przygniecione czymś ciężkim, i płytki wykop, las nad wykopem, szeroki pas gołoborza poniżej zasnuty mgłą widział teraz normalnie, niesłychanie plastycznie i wyraźnie. Jakby cały świat, dotychczas ograniczony, ściśnięty zewsząd, zamknięty i mały, nagle rozwarł się i zogromniał. Widział niebo obwisające pojedynczymi chmurami, wzdęte jesienną nawałnicą. Nieruchome wieżycy ciemnych sosen też. A nawet zwabione raptowną ciszą stado wron, jak poderwały się nad bukami po przeciwległej stronie doliny i kracząc, ciągnęły nieśpiesznie górą coraz bliżej i bliżej. Ale jeszcze wyraźniej niż widział, słyszał ich zachrypnięte, drewniane głosy. I wtem, co było ogromnie dziwne, przypomniał sobie ojca. Jego czerstwą, czerwoną, zmienioną gniewem twarz, gdy mówił do matki: „Nasi ojcowie byli bliskimi kuzynami, więc jeśli ja ożeniłem się z tobą, czego mój ojciec nigdy by mi nie wybaczył, gdyby wówczas żył, to dlatego, żeby ta ziemia dalej została przy nas. Ale żeby ją utrzymać pługiem, a nie nacjonalistyczną polityką”, aczkolwiek ta twarz ojca wydała mu się teraz podobna do szerokiej tatarskiej twarzy Kupriana Szyły, gdy mówił: „*Zakopajcie*, Pawluk. Przecie oni nawet ciała nie uszanują. *Chajby zakopały w ziemi*. Myż jednego klejnotu, pomnij, Pawluk. A jak nie *skonaju*, *dostril*, Pawluk”. I już w końcu nie wiedział, czy to twarz ojca, czy wachmistrza zbliżała się do niego skądś z daleka. I raptem, usłyszane ku swemu zdumieniu słowa umiejscowił w czasie, to była jedna z podsłuchanych przezeń rozmów prowadzonych między zwaśnionymi rodzicami wtedy, kiedy ojciec nie chciał zgodzić się na kandydowanie w wyborach. Zaraz sobie przypomniał także łyzy w oczach matki, rozwartych szeroko, jak gdyby nie mogły pomieścić całego wyrazu zawodu i niedowierzania, i jak gdyby chciały zagarnąć w siebie postać ojca ujrzaną pierwszy raz naprawdę, i jej krzyk: „To tylko dlatego ożeniłeś

się ze mną? Dla tego majątku?”. Chociaż twarz matki, oczy ogromnie powiększone, mogły nie być wcale twarzą i oczyma matki, ale kobiety na wozie, gdy zerwał z niej derkę i patrzyła na niego, na twarze stojących opodał, to znów na własny ruszający się brzuch i swoje rozrzucone na słomie nogi w czarnych lśniących lakiem bucikach. W końcu jednak wszystko to nie było zbyt ważne, bo poczuł, jak się w nim coś teraz rozpręża, słabnie, taje, jakieś żałosne roztkliwienie nad samym sobą, i posłyszał zrywający się z własnej krtani szloch, że to właśnie on musiał być owym dzieckiem poczętym kiedyś bez miłości. I wydało mu się, że ojciec rzeczywiście zaraz nadejdzie, pochyli się nad nim nisko i, chcąc naprawić tamtą wyrządzoną mu krzywdę, powie, że to nieprawda, co był matce powiedział w gniewie, i już słyszał kroki, były to ciężkie kroki paru ludzi, trzask gałęzi, czyjeś potykanie się o korzenie i wtedy ta myśl o ojcu przepadała tak nagle, jak się nagle pojawiła.

Zamknął oczy. Kroki zbliżyły się, obeszły wykop, zatrzymały się nie opodał ponad wykopem, potem od tego miejsca, gdzie ścichły oderwały się tylko pojedyncze, jeszcze bardziej się zbliżyły i kopnięty cekaem zwałił mu się na plecy. Posłyszał niegłośną rozmowę po niemiecku, prowadzoną obojętnym, znużonym tonem, której znaczenia nie mógł pojąć (nie poddawała się tłumaczeniu, jedynie ten obojętny, znużony ton rozumiał) i posłyszał jeszcze trzask zapalki i głośne, jak po wielkim utrudzeniu westchnienie, wydmuchnięte z płuc razem z dymem papierosa, a potem już nic więcej.

Gdy się znowu ocknął, dotkliwe zimno przenikało go na wskroś. Bólu nie czuł, jedynie twarde, jak kłoda, obce ciało na grzbiecie i kołatała mu się po głowie myśl, pytanie, dlaczego nie może rozewrzeć powiek, aż wreszcie przemógł odrętwienie i wydzwignął się spod przygniatającego go ciężaru, wyczołgał się spod niego z wysiłkiem i odwrócił. Wtedy zobaczył niebo posypane gęsto gwiazdami, rysujące się na jego tle szczyty sosen i świerków, i pojął, że oczy miał otwarte od dawna, leżał tylko dotychczas twarzą zwrócony ku ziemi, przywalony martwym ciałem Chrobaka. Potem pojął jeszcze, że nastąpiła już noc i jest tak cicho, że słysząc w górze świst wiatru przepędzającego za las czarne chmury. Dalej nie odzywał się w nim żaden ból, nawet gdy spróbował wstać, ani później, gdy wstał, czuł jedynie jakieś zapadłe głęboko na dno świadomości wydarzenia, zapewne ważne i nie do cofnięcia, ale nie mógł ich sobie w żaden sposób przypomnieć, tak iż w końcu poniechał. Sweter miał pokryty białą szronu, a lewy rękaw stwardniały, ścięty zamrozem w skorupę, że kiedy nacisnął, to aż chrupnęło, niby szkło. Oczy dawno

nawykły do ciemności, więc widział rozrzucone wzdłuż wykopu ciała swoich ostatnich podkomendnych z drużyny cekaemu, a gdy spojrzął w dół pochyłości gołoborza zdało mu się, że widzi tam leżące ciała również, nieruchome i oszronione, chociaż mogły to być pieńki zrąbanych drzew. Lecz przeszywające go do szpiku w kościach zimno było tak dotkliwe, że odbierało zdolność myślenia o czymkolwiek innym; nie mógł opanować wstrząsających nim drgawek, przy każdym oddechu, jakby igły lodu wbijały mu się w płuca, toteż starał się oddychać jak najpłycej. Z trudem omijając leżących poszedł przez wykop ku stercie chrustu, zabrał się do rozgrzebywania drzew, nie uświadamiając sobie, dlaczego to robi, aż natrafił nogą na coś miękkiego, podniósł z ziemi swój półkożuszek i wdziewać go jął na siebie w panicznym pośpiechu, z lękiem, że nie zdąży, a wtedy, wsuwając w rękaw lewą rękę, poczuł znowu ostre, gwałtowne ukłucie bólu w przedramieniu. Ale znowu go w myślach pomiął, wciąż jeszcze nie był dlań dość ważny, w kożuszku bowiem od razu mu się wydało, że zimno zeń ustępuje, w ciało zaś, jak gdyby wlewa się nowa, gorąca krew.

Pochylony nisko, obmacując dookoła ziemię, krok za krokiem posuwał się wzdłuż wykopu i już nie omijał leżących trupów, przeciwnie: zatrzymywał się i starannie przeszukiwał ich nasiąknięte chłodem kieszenie. Potem miał parę naboji i jeszcze tych parę, które tkwiły w porzuconych karabinach; rozładowywał manipulując ostrożnie prawą ręką, opierając lufę o ziemię, kolbę zaś ściskając między kolanami. W końcu znalazł także swój własny karabin, nawet pistolet, choć wystrzelany do ostatka, znalazł i plecak leżący obok pustej skrzynki po granatach, jak go był zostawił przed ostatnią potyczką, w którym — pamiętał — znajdował się koc, napoczęty bochenek chleba i kawałek wędzonej słoniny z wczorajszego zaprowiantowania, a potem: „Powiniennem ich zakopać” szepnął do siebie bezwiednie, patrząc na zabitych, ale równocześnie inna myśl ostrzegała: „Skoro Ukraińcy nie zebrali z pola broni, ani nie obdarli trupów, wrócą rano zapewne. Żeby splądrować pobojuwisko”, i dźwignąwszy plecak z karabinem, wyskoczył z wykopu i ruszył w głąb lasu.

Zanim dotarł do rzeki zrozumiał, że został sam jeden, a stanąwszy nad jej brzegiem i patrząc na rumowisko belek, poszarpane przęsła, na bystro pieniący się w ciemności przy palach nurt, również i to, że nie przejdzie, zresztą nawet gdyby przeszedł i tak bez konia nie daleko by zaszedł i nie wiedziałby, gdzie szukać brygady. Już przestał o tym myśleć. Ziemia wokoło była zryta, wydeptana butami, wymieszana kopytami koni i racicami bydląt, niby ciasto, a nocny przymrozek począł ścinać ją twardą

polepą. W dole biegu rzeki widać było między drzewami zapalone reflektory wojskowych ciężarówek oświetlające skraj lasu, dalej wieś, gdzie Niemcy i Ukraińcy założyli zapewne na noc swe obozowisko, z przeciwnej zaś strony ciemność stała gęsta i nieprzenikniona. Gdy znowu ruszył, w zagłębieniach ziemi trzasnął mu pod podszewami sucho cienki lód. Brzeg i odkryte miejsca pośród szuwaru też odcinały się od ciemności białawo cienką zmarzliną, trawa pokryta była wszędzie szronem i chrzęściła, i łamała się, jak wysuszona. Już nie marzył i oddychał powietrzem jak źródlaną wodą. Ponownie ta nieszczęсна twarz ojca zbliżyła się do niego, a właściwie twarz Kupriana Szyły, obrócona nieco w bok i pozbawiona kropli krwi, wklęsnięta w ramię, jakby zasnął, zanim go wówczas nakryli płaszczem w tym korycie, z którego w pierw wylali wodę, nim opuścili w wykopany dół. Ojciec głowę podobnie miał wciśniętą w ramię, tylko że leżał na stole, gdzie złożyli go chłopci, przydźwigawszy do domu po owym strzale, oddanym doń w plecy, gdy wyszedł z wyborczego lokalu, i, choć to było tak dawno, że wydawało mu się, zapomniał zupełnie, twarz wachmistrza Szyły powtórzyła tamten obraz, jakby w jego umyśle dwie fotograficzne klisze nałożyły się nagle na siebie. Czuł, że chcą mu coś obaj powiedzieć, i ojciec, i Kuprian Szyła, ale nie mogą, ponieważ ich usta skuł wieczny mróz, i nie mógł pozbyć się myśli, że to, co mu chcą powiedzieć, ma teraz dla niego jakieś niebywale ważne znaczenie. Posłyszawszy raptem za plecami dalekie strzały i domyśliwszy się, że we wsi rozstrzeliwują pojmanych z bronią chłopów, albo zagarniętych w obławie partyzantów, otrząsnął się z majaków i przyspieszył kroku.

Szedł w górę rzeki, to zbliżając się, to oddalając od niej, potem las z wolna się przерzedził. Przeciął jakąś drożynę i od tego miejsca grunt zaczął się podnosić zmieniając w prawie odkryte, sterczące między niskimi zaroślami usypiska kamieni, w porośnięte chwastami szutrowiska i doły zalane jeszcze w czasie ulewnych deszczy wodą, teraz zaś ścięte skorupką chrupkiego lodu i błyszczące, aż spostrzegł, że bezdroże to jest mu dobrze znane, bo zaszedł do zatopionych starych kamieniołomów w pobliżu Iłowki Ruskiej. „Gdzieś w głębi tego terenu znajduje się Sokali jar” przypomniał sobie i że być może nawet dalej stoi tam ta pół szopa, pół stodoła po Sokalach, myślał, która stała nad strumieniem w jarze latem, lecz nie pamiętał już, czy zmierzał tu świadomie, czy sprowadził go na to pustkowie zwykły przypadek. Dopiero teraz odczuł cały ogrom wyczerpania, strachu i wysiłku, jakim przypłacił wędrówkę od tamtego wykopu na skraju doliny nad Sertem i przez las. Ledwo znajdował w sobie tyle

siły, żeby krok za krokiem iść naprzód, choć ból nie odzywał się w nim na nowo, a ramię było jedynie stwardniałe, ciężkie i bezwładne, niby wahadło. Nie czuł ani głodu, ani pragnienia, nie chciało mu się również spać. Ale przysiadłszy na ziemi, aby trochę odetchnąć, w tej postawie półsiedzącej z podkurczonymi pod brodę kolanami, oparty o plecak, zasnął natychmiast, kiedy tylko zamknął oczy, i miał niejasną nadzieję, czując jak zasypia, że gdy je później otworzy, zobaczy swój pokój w Glebach, albo chociaż ścianę zacisznej ziemianki leśnej, czy szałas, i będzie mu ciepło i bezpiecznie. Przebudziwszy się jednak, ujrzał nad sobą jedynie zsiniały przestwór nabrzmiewający płatami chmur, stłoczonymi czarno na widnokręgu, a wokoło siebie kamieniste pustkowie pokryte zwarzoną nocnym zamrozem roślinnością i w fałdach terenu resztki brudnego śniegu. Zimna mżawka sypała się w niebieskawym świetle świtu, jak popiół, i marzyła w zetknięciu z ziemią. Trząsał się, choć był cały wewnątrz rozpalony, a ręka piekła go i pulsowała gorączką, jakby rękaw był dla niej za ciasny; gdy łądował na ramię plecak i karabin, nogi się pod nim ugięły.

Z pierwszą ukośną smugą zamglonego, jesiennie-zimowego słońca na niebie, spostrzegł u swych stóp jar z rozlanym szeroko strumieniem w środku i, stojący opodal krzywo, jakby chciał się wspiać na urwisko, Sokalowy drewniak. Także, że przestało już dździć, zerwał się wiatr i znowu wieje lodowatym chłodem. A potem był na dole, odemknął wierzeje, wtoczył się do wnętrza i na pewno byłby zaraz upadł, gdyby nie pewność, że nie prędko się wtedy zdoła podnieść, i zaczął w nowych dreszczach z pośpiechu i lęku, że nie zdąży, ściągając z siebie wszystko, zrywać swe zaskorupiałe łachy z rany, aż ją obnażył i później rozebrany do pasa powłókł się do strumienia i długo przemywał rękę. Lodowata woda i zimny wiatr chłuszczący skórę oprzytomniły go na tyle, że na nowo zdał sobie sprawę ze swej sytuacji i że z nikąd nie może oczekiwać pomocy. Przedramię było przestrelone na wylot, choć przedtem sądził, że dostał odłamkiem granatu. Brzegi rany już obrzmiały, ale gdy odmokła w wodzie, znowu ją krwawić; wróciwszy do stodoły, owiązał rękę, drąc na pasy zapasową koszulę, i wreszcie się ubrał. Spostrzegł jeszcze dawne ślady po ogniu na klepisku, niedopalone drwa pod ścianą, rozgrzebaną stertę starej słomy i suchej otawy, i pomyślał, że już musiał minąć kawał czasu, od kiedy Sokalowa stodoła przestała służyć partyzantom. Ale to była jego ostatnia przytomna myśl, bo od razu, kiedy tylko zakopał się w sianie, zasnął twardo.

Potem czuł narastający łomot pulsu i jak gorączka rozprze-strzenia się od ręki na całą resztę ciała. Powiedział sobie: „Lepiej

będzie jeśli wstanę. Może trzeba zmienić opatrunek”. Dźwigając się z siana zauważył, że wewnątrz pełne jest słońca przedostającego się przez uchylone wierzeje i pomyślał, że w czasie, kiedy spał, rozpogodziło się, lecz zaraz odkrył, że blask bije ze wschodu, a przecież, gdy zasypiał był ranek, więc musiał już minąć cały dzień i cała noc. Ale się nie zdziwił. Od tamtej bowiem chwili na skraju doliny, kiedy major Draża, osłonięty ogniem jego drużyny cekaemu odszedł i kiedy zabrakło strzelających i amunicji, a cekaem Chrobaka zamilkł ostatecznie, ciemność, światło, i różne odcienie ciemności i światła następowały po sobie w zmaconej, nielogicznej kolejności, odgradzone od siebie jedynie ruchem jego własnych powiek. Wystarczyło przecież, żeby je był zamknął i potem otworzył, a znajdował się od razu w zupełnie innym miejscu w czasie. I dlatego pomyślał nawet, że może to nie tylko jeden dzień i jedna noc minęły, ale więcej, bo kiedy zasypiał, był dżdżysty późnojesienny świt, a teraz z nadworu ciągnęło ostrym mrozem i przy wierzejach leżała nawiana do wnętrza przez wiatry wysoka zaspą śniegu. Zmienił opatrunek, później rozpakował plecak, wyjął koc, stwardniały chleb i słoninę. Żuł i przełykał z trudem, nie mogąc się zdecydować na pójście nad strumień i zacerpięcie w menażkę wody. Zasypiał w trakcie tego żucia i przełykania, i wciąż słyszał krakanie wron w pobliżu. W końcu zasnął naprawdę. Zdawało mu się, że budził się dość często ponieważ odczuwał ból, gorąco albo zimno, lub odczuwał głód albo pragnienie. Wtedy przeżuwał nowy kęs swego prawie skamieniałego chleba, lub słonej wędzonki i czołgał się do śnieżnej zaspą, nabierał w garść śniegu i łykał. W czasie tych jego krótkich przebudzeń raz jarzyło się słońce, raz przebłyskiwał księżyc i gwiazdy. Aż wreszcie przebudził się na dobre, wygrzebał się z siana, kozucha i koca, wyłuskał się, wyplątał, jak gdyby z jakiejś starej zużytej skóry, zostawiając ją na ziemi, i uprzytomnił sobie, że nie jadł już nic od dawna. Nawet od bardzo dawna.

Wyszedł przed stodołę i rozejrzał się dookoła. Słońce stało wysoko na południu i świeciło zimnym, białym blaskiem. Cały świat w kopnym śniegu był biały i zimny. Nigdzie nawet śladu żywej istoty, znikąd żadnego dźwięku oprócz bełkotu wody na kamieniach w żłobinie między oblodzonymi brzegami strumienia i spadania pojedynczych kropeł z sopli wiszących u okapu dachu.

Wróciwszy na swój barłóg, siedział bez ruchu patrząc na ślady ognia na klepisku może z godzinę, a może dłużej; w głowie nie miał nic, żadnej myśli. Potem sięgnął po plecak i wysypał jego zawartość na ziemię. Odłożył na bok czystą bieliznę, skarpety i przeliczył w pudełku zapałki. Wziął lniany strzęp, który kiedyś był ręcznikiem, mydło, lusterko, pędzel, w maszynkę do

golenia śpiesznie wkręcił nową żyletkę, następnie poszedł nad strumień i dygocząc z zimna ogolił się i umył, ciągle nie rozumiejąc dlaczego to wszystko teraz robi. Twarz, która wyjrzała do niego z lusterka nie miała nic wspólnego z jego własną twarzą, nie należała nawet do kogoś dawniej znajomego i zapomnianego, nie należała w ogóle do nikogo. Nie zastanawiał się również i nad tym, co mogło to oznaczać; po prostu owa twarz nie interesowała go wcale. Gdy zmieniał opatrunek, odkrył, że nie odczuwa prawie bólu, że rana ściągnęła się, zwarła i nie jest już zaogniona. W kieszeni znalazł swój zegarek na rękę stojący na godzinie trzeciej dwadzieścia; schował go z powrotem. Badając zawartość drugiej kieszeni natrafił na trzy chude, zmietoszone papierosy. Zapalił jednego, zakręciło mu się w głowie i zdusił go o ziemię. Obojętnie patrzył na czarny ślad. Potem uświadomił sobie wreszcie, o czym myślał cały ten długi czas, kiedy golił się, mył, przebierał w czystą bieliznę, rozkruszał zaschniętą krew na swetrze, zmieniał opatrunek i zakładał na siebie sweter na nowo. O tym, że nie jadł już nic bardzo dawno, gorącego zaś jeszcze dawniej. Ogarnęły go znowu słabość i znużenie, ale wiedział, że nie zaśnie. Że ta myśl o jedzeniu nie pozwoli mu na sen. Za pas zatknął więc swój pistolet bez jednego naboju, wdział kozuch i zawiesił na ramieniu karabin. Nie szedł nawet szybko, nie śpieszył się, zatrzymał się na krótko dopiero, gdy minął rozległe manowce opustoszałych i zasypanych teraz śniegiem kamieniołomów. Na ostatnim ze wzgórz otaczających to uroczysko, skąd jego wzrok powędrował bardzo daleko nie znajdując nigdzie żadnego oparcia. Przed nim, pod smagławiejącym niebem, rozciągała się aż po horyzont biała, gładka równina, którą złobiły tu i ówdzie rozpadliny i jary, ale nie do odróżnienia dla oczu, stopione w jedno z polami i łąkami, słaby wiatr sunął po jej stwardniałej pokrywie drobno błyszczącą osędzieliną, dzwonił delikatnie, a z lewa, gdzie stały oszadziałe od pni po korony i nieruchome, jak wielkie martwe ptaki o rozpostartych skrzydłach. Czuł, że z każdym oddechem staje się pełniejszy bezmiaru przestrzeni, ciszy i nieruchomości. Od dawna nie zaznał takiego uspokojenia; przedłużyłby tę chwilę na zawsze. Ale drogą, podnosząc śnieżną kurzwę przemknęły chłopskie sanie, musiał przypaść do ziemi i tamto wrażenie przysło. Gdy zniknęły w oddali, podniósł się i w miejscu, gdzie równinę przecinał strumień, wszedł na odwiany ze śniegu wiśny lód i skierował się nim ku drodze, nie zostawiając za sobą śladów. Słońce stało jeszcze dość wysoko, kiedy do niej dotarł i potem wolno stygło za garbami horyzontu, lecz była już prawie noc, gdy wreszcie zobaczył mury dworskiego parku

w Glebach z szeroko rozwartą bramą wjazdową w środku. Cały czas kroczył rozjeżdżonymi sanna koleinami nieśpiesznie i nie przestając wypatrywać, czy ktoś nie nadjeżdża, żeby zdążyć uskoczyć w zarośla, teraz zboczył szybko przez majdan przy gorzelniku ku stawom, nie myśląc już o zachowywaniu ostrożności. Poza tym jednym pierwszym spojrzeniem nie popatrzył więcej w kierunku dworu, nie odwrócił się nawet. Chciał jak najprędzej dojść do tej drugiej drogi, prowadzącej do wsi. A potem już tam był.

Cały czas przedtem nie odstępowało go przekonanie, że wszystko tutaj winien zastać zmienione, a nie zmieniło się nic. Z prawa za gumnem ciągnęły się czworaki, z lewa chałupy komorników, karczma, dalej zagrody samodzielnych gospodarzy i nad otoczeniem, jak dawniej, górowała pękata bania cerkwi. Szedł środkiem drogi. Ale ani cicho, ani głośno, po prostu tak, jak idzie zwykle człowiek wracający do domu albo z domu dokądś w pobliże zmierzający. Pod butami skrzypiał mu śnieg. Skrzypiała skóra kozucha i pas karabinu ocierający się o skórę. Słyszał też świst swego oddechu, który jednak nie był ani śpiesniejszy, ani głośniejszy, niż zawsze. Nie miał żadnego sprecyzowanego dokładnie zamiaru, nie zastanawiał się wcale nad tym, co winien był uczynić. Zapewne, gdyby w którymś z okien świeciło się jeszcze, podszedłby i zapukałby. Zresztą, być może, wystarczyłby mu jakiś ruch w jednym z obejść, drobny znak życia, czuwania. Lecz wieś była zupełnie ciemna. Zdawała się pogrążona w głębokim bezpiecznym śnie. Nawet żaden pies nie zaszczekał, ani nie zabrzęczał łańcuchem. Znały jego kroki dobrze i nie widziały potrzeby opuszczać swych ciepłych legowisk. W ten sposób dotarł do przeciwległego jej krańca. Wtedy także nie odwrócił się, jak nie odwracał się, gdy mijał mur i rozwartą na oścież bramę dworskiego parku. Skoro dotychczas nie zdarzyło się nic, co by umożliwiło sprecyzowanie się w jego głowie celu do jakiego zmierzał i do tego celu pchnęło, to ta wieś, ci ludzie śpiący w swych chatach, wszystko to nie było mu więcej do niczego potrzebne.

Przed nim w podbitej bielą śniegu ciemności ciągnęły się drogi między polami. W prawo — ku dolinie Męki Pańskiej i dalej do Czupryni. Na wprost — ku dawno opustoszałej slobódce i do Krzyżtopola. W lewo zaś do obu futorów braci Czartoriusów i do Białej. Skręcił w tę lewą, choć nie mógł sobie przypomnieć, czy Czartoriusowie wywedrowali z ostatnią falą uchodźców, czy zostali. Myślenie sprawiało mu zbyt dużą trudność. Jednakże, gdy znalazł się przy pierwszym z nich, należącym do starszego z braci, minął go bez spojrzenia; przed jego oczyma pojawił się obraz opowiedzianego mu przez kogoś pożaru i uwy-

rażnił się ostro. Potem stał już przy drugim futorku, opierał się o furtkę, patrzył w głąb podwórza i w głowie szeregowały mu się zdania, które chciał, czy też powinien był powiedzieć, lecz gdy furtkę odemknął, wszedł na drewniany ganek i zatrzymał się przed drzwiami, nic z nich w nim nie zostało. Tylko zastukał w milczeniu.

Nie zastanawiał się, czy czekał długo, czy krótko, nie słuchał czy zza drzwi, albo w głębi domu odezwie się jakiś szmer, nie patrzył również na ciemne okna, czy w którymś z nich nie błysnie światło. Opierał się plecami o futrynę i spoglądał na niebo, na matowy wstępujący księżyc w pierwszej kwadrze, i parokrotnie ponawiając stukanie powtarzał obojętnie: „Będzie padał śnieg. Może rano, a może jeszcze przed świtem. Rozpada się na długo”. Aż nagle drzwi ustąpiły do tyłu bez uprzedniego trzasku zasuw, bez skrzyknięcia zawiasów i zobaczył w wypełnionej czarnym powietrzem ramie sylwetkę kobiety niewiele mniej czarną, ledwie się od tej czerni odcinającą i jak gdyby zupełnie bez twarzy, i zamarł w połowie szybkiego, wszechobjemującego spojrzenia spowodowanego być może tym, że choć umysł jego wciąż zajęty był jeszcze myślą o bliskiej zadymce, to jednak oczy nie mogły się doczekać, kiedy ciemność przenikną i nieruchomej sylwetce tkwiącej w głębi odbiorą jej anonimowość. Ale, gdy powiedział: „Sława Jezu Chrystu”, a zaraz potem szybko: „Przyszedłem się ogrzać. Za chwilę pójdę. Proszę się nie bać”, przestało to być dlań ważne. Kobieta cofnęła się równocześnie z jego słowami i własnymi słowami: „Niech pan wejdzie”. Wydobyły się one z jej gardła, jakby nie zostały wypchnięte przez oddech, lecz na odwrót, wraz z oddechem wciągnięte do płuc, bo głos zanim się zdążył podnieść do normalnego brzmienia stoczył się nisko i przepadł, niby w pustej beczce, tak że następnych jej słów nie zrozumiał, nie usłyszał nawet. W tych pierwszych już jednak usłyszał wstrząs i że go rozpoznała. I wszedł do sieni nie dlatego, że stracił ją z oczu, ale że ogarnęła go nagła ciekawość i potrzeba zaspokojenia ciekawości, czy ona powie coś więcej, bo kobiecego głosu, zdawało mu się, nie słyszał tak dawno, że zapomniał, i wtedy drzwi zamknęły się za nim, szcęknięta zasuwka i nie widząc nic w ciemności, a słysząc prędko, zadyszany oddech, poczuł ręce kobiety na swoich ramionach i rękach, jej ciepło na szyi, i zmieszane z głośnym, histerycznym szlochem słowa posłyszał: „Och, po co pan przyszedł? Przecież oni przyjdą. Toż pana zabiją! Po co? Niech pan ucieka. Cóż ja mogę panu pomóc, o Boże!”, jak gdyby zatrzasnąwszy za nim drzwi, zerwała w sobie jakąś tamę i teraz szloch na przemian ze słowami wpływał z niej gwałtowną, nie do powstrzymania falą. Więc po-

przednia ciekawość jej słów i brzmienia głosu zniknęły w nim natychmiast. Właściwie to nawet zniknęły już wcześniej. Gdy poczuł ręce oplatające mu ramiona i szyję, wraz z ciepłem oddechu, który aż parzył, i gdy przez chwilę poddawał się tej przenikającej do głębi niemocy, jaka go ogarnęła, następnych, wypowiedzianych przez kobietę słów nie słysząc wcale. Ale tylko przez chwilę. Bo zaraz powiedział: „Nikt mnie nie widział”. I odsunął kobietę od siebie szorstko. A wtedy podłoga zaskrzyphiała pod jej oddalającymi się krokami, gdzieś z odległego wnętrza domu doleciał do niego szmer przesuwanych po drewnie przedmiotów, trzask zapalniczki, szklany pusty chrobot zdejmowanego z lampy naftowej cylindra, światło wydobyło z ciemności prostokąt drzwi, stół, kilka krzeseł, kawałek podłogi, i kobiecy głos z daleka powiedział: „Niech pan wejdzie, proszę”, lecz tak, jakby to powiedziała już zupełnie inna kobieta.

Zdejmując kozuch i odstawiając pod ścianę karabin, powiedział: „Więc jestem, wróciłem...”, równocześnie roześmiał się krótko, nieszczerze, sam tego śmiechu nie pojmując. Spojrzał na kobietę dopiero, kiedy siadł na kanapie, i poznał ją natychmiast, choć stała po przeciwnej stronie stołu osłaniając od siebie lampę dłonią i całe światło kierując na niego; to była żona gorzelanego Karpatki, która uciekła od męża zeszłej jesieni z młodym Czartoriusem. Przyglądała mu się rozbieganymi oczami pełnymi udręki, zdumienia i jak gdyby oczekiwania, że wydało mu się, że pragną, aby raz jeszcze zapewnił, więc powiedział, zapewnił: „Proszę się nie bać. Naprawdę zaraz sobie pójdę”, lecz odpowiedziała na to: „Nie. Nie boję się. Nie o to mi chodzi”, mimo, że wyraz jej oczu nie zmienił się wcale, i dopiero, kiedy tę rękę cofnęła, a światło wyłoniło z cienia całą twarz, pozbył się reszty wątpliwości: ona była szalona. Ale w pokoju obok coś zakwiliło cicho (jak młody kot, albo dziecko, o, właśnie, jak gdyby dziecko), a wtedy oczy kobiety stały się normalne, przysgasyły, zostało w nich tylko spłoszenie, i zakręciwszy się w miejscu, wybiegła, po chwili zaś posłyszał niegłośny, czuły głos, jak coś szeptała: tak, tam rzeczywiście spało dziecko.

Doznał wrażenia, jakby w pokoju, w którym się znalazł, od miesięcy nikt nie mieszkał (choć nie był brudny, ani nie panował w nim nieład), a tylko, niby wydeptaną ścieżką, przechodził od czasu do czasu środkiem nie tykając niczego, i gdy ujawszy lampę poszedł za kobietą do sąsiedniego, oświetlił jego wnętrze, w głębi zaś łóżko, na którym zapewne spała, zanim zastukał, a obok drugie, gdzie spało zaróżowione i pulchne niemowlę, pierwsze wrażenie się wzmocniło: jedynie te oba łóżka

świadczyły o obecności ludzi w tym domu. „Nikogo więcej tutaj nie ma?” zapytał cicho, bo była ubrana, jakby się w ogóle nie kładła, a przecież nie mógł stać tam przed drzwiami i pukać aż tyle czasu, żeby ubrać zdążyła się aż tak starannie. „Nikogo więcej nie ma?” powtórzył. „Nie ma” odpowiedziała. „A Michał?” zapytał o młodego Czartoriusa, jeszcze bardziej ściszej głos. „Zabili podczas sierpniowego pogromu Nikoryczy” odpowiedziała szybko, ostro i nie patrząc. Potem poszła ku niemu, omijając go jednak, a gdy odstepił od drzwi, ona je ostrożnie zamknęła i odezwała się już innym tonem: „Tutaj chłodno. Ale w kuchni został chyba w piecu żar”.

Niosąc lampę ruszył za kobietą w kierunku drugich drzwi. I wtedy właśnie to powiedział: „Nie jadłem już parę dni”, tylko dlatego, że sobie raptem przypomniał zdanie pomyślane, czy nawet wypowiedziane głośno jeszcze w Sokalim jarze, kiedy się był przebudził, bo naprawdę nie czuł teraz wcale głodu, w ogóle nic prócz senności. Lecz już byli w kuchni, w ciepłe, w zapachu ciepła i jadła, bezpieczeństwa i sytości, od którego odwykł, i od razu, kiedy siadł na ławie za stołem, pograżył się w nim, zapadł niby w miękki puch, a chociaż zdawało mu się, że nie zamykał oczu, musiał chyba zasnąć na krótko, bo potem w piecu buzował ogień, z popielnika wąską smużką snuł się dym, w garnczku na fajerkach coś bulgotało, później (jakby jego wzrok nie nadążył rejestrować żadnych pośrednich czynności kobiety), stał przed nim talerz z parującymi kluskami na mleku, ona zaś na drugi talerz nakładała z patelni gorące hreczane placki, i jadł zmieniając się zupełnie, bez reszty w pokarmowy przewód odczuwający wyłącznie smak, ciepło, pęcznienie, wsysanie, zbieranie soków, nabrzmiwanie, trawienie, sytość, rozkosz. Nieznaną, wielką rozkosz. W końcu nic już nie było więcej do zjedzenia, to wszystko zaś w nim wewnątrz nie ulegało najmniejszemu nawet zahamowaniu, dalej gryzł, żuł, łykał w swych myślach, aż posłyszał, że kobieta coś do niego mówi i udało mu się znowu na nią spojrzeć, a wtedy dopiero to ustało.

Siedziała naprzeciw, oddzielona szerokością stołu, położywszy na krawędzi piękne, długie, ale spracowane i zaczerwienione ręce, i wciąż mówiła coś, czego nie słyszał, w każdym zaś razie w żaden sposób nie mógł zrozumieć, choć nie spuszczał z niej oczu. Miała głębokie cienie pod powiekami i niezdrowe rumieńce. Wzrok jej był niby to tylko spłoszony, nic więcej, no, może smutny trochę i zatroskany, ale wewnątrz, gdzieś głębiej przytała się trwoga, trwoga i czujne czekanie. Jej czarna suknia, która kiedyś musiała być elegancka i w której być może przychodziła z mężem do dworu, a może służyła jej na wyjście do ko-

ściola, wydawała się szara i podniszczona. Włosy, mimo że czyste i starannie wyszczotkowane, spięte miała jedynie z tyłu w niedbały węzeł. Teraz, nie patrząc na niego, ale na swe ręce i krawędź stołu, mówiła dalej, a on ciągle jeszcze niczego nie rozumiał. Aż nagle podniosła w górę twarz i na niego spojrzała. Prosto, otwarcie, jakby chciała go wybadać. Więc zrobił ten wielki wysiłek, dźwignął się z owego ciepłego, sytego, sennego puchu, w którym się był znajdował, wydobył się zeń i zapytał: „To nikt tutaj ze swoich nie został? Wszyscy już odeszli? A oni tak dają wam spokój?”, i wtedy, właśnie wtedy to się zaczęło.

Jej powieki poczęły rozwierzać się szeroko, coraz szerzej, oczy patrzyły teraz na niego białymi, pożyłkowanymi, bez źrenic nieomal gałkami, które zdawały się uciekać w głąb, do tyłu, a usta rozciągnięte wulgarnie, otwarte, jak do krzyku, odstały od mocnych zębów. I głos, który wydobył się z gardła był krzykiem, choć na pewno nie zabrzmiał głośniejsz niż szept: „Spokoju?! Tygodnia nie ma, żeby któryś nie przyszedł, nie zwałił się na mnie, jak knur. Żeby nie przychodzili w trzech, czy w pięciu i nie zamęczali, i nie pastwili się pijani po bandziorsku do samego rana. Samotnej kobiecie żaden nie przepuści. Żaden pastuch, żaden parobek przejść nie da. Zmordują”. I ten krzyk, szept, którym wyrzuciła z siebie całe to okropne wyznanie, prostackimi, chłopskimi słowami, urwał się nieartykułowanym dźwiękiem w gardle, jakby przełknęła ślinę, albo przygryła język i cofnięte oczy powróciły znowu na swoje miejsce z wyrazem przestachu, że powiedziała za wiele, albo, że w ogóle powiedziała to, co kobieta nie powinna mówić mężczyźnie, który znał ją w innych czasach i innej sytuacji. On jednak na nią nawet nie patrzył. Powieki miał opuszczone i zaciśnięte, jakby spał. Spojrzał ponownie dopiero po długiej chwili. Gdy się znowu odezwała. Teraz, wyciągając z siebie głos z trudem i wysiłkiem, mówiła już tylko o tym sierpniu w Nikoryczy, kiedy ta cała jej historia się zaczęła, a może skończyła, bo pewnie zaczęła się wtedy, kiedy opuściła męża i uciekła z Michałem Czartoriusem, ale przecież go kochała, i dzisiaj też zrobiłaby to samo, jednakże tam w Nikoryczy pod koniec sierpnia, kiedy Niemcy opuścili miasteczko, banderowcy zaś je zajęli, zaczęło się to, co nie było już życiem, człoganiami się może, czepianiem życia, nie, nie dla siebie, skończyłaby ze sobą dawno, lecz była w ostatnim miesiącu, wkrótce miała rodzić i to małe w niej chciało żyć, nie było przecież winne, że zostało poczęte; i jak przechowywali ją zrazu Starorusy z muzyckich chałup na Zaserciu, znajomi Michała, kiedy jego zabito w pierwszej godzinie pogromu, jeszcze nawet nim banderowcy klasztor Bazylianów zdobyli, choć przecież

Michał nie był katolikiem, ale na to nie zważali; ci zaś co ją przechowali, to nie mogli długo, sami się bali, Laszkę mówili ukrywasz, sameś Lach, więc ledwo przez wrzesień, urodzić jej tylko pozwolili i zaraz trzy dni potem, a słaba była, jeszcze chodzić nie mogła, wywieźli do Gleb; dobry bądź co bądź byli, bo w końcu na drogę wywieźć by mogli, albo nawet kazać po prostu, żeby poszła sobie precz; a co by sama zrobiła, chora, słaba, z tym maleństwem na ręku, jeszcze do tego chorowało, bo pokarm się w niej zepsuł, ta gorączka, ten strach, rozpacz, sama jedna jak palec, nikogo bliskiego na świecie, do męża wrócić nie mogła, ani nie chciała, zresztą jego też nie było; jak się później okazało, gdy ją tutaj przywieźli i z wozu zsadzili, już nikogo ze swoich w Glebach nie było, choć dwór, to stał jeszcze nie ruszony, tyle, że pusty i opieczętowany przez Niemców; ale już się zaczęli, czyhali już na sposobną chwilę; tylko ekonom Waśkowski i stary Hanczar chodzili wciąż koło wszystkiego nie pozwalając nic tknąć, i trzymali ludzi twardo i zaklinali na Boga, i grozili także, że jak znowu czasy się odwrócą i państwo przyjdą, to końca kary nie będzie; i dali jej klucz od mieszkania męża przy gorzelni, bo mówili, że słuchy chodzą, że do czerwonych przystał i więcej nie wróci; spokoju było z miesiąc albo i mniej, lecz cóż to za spokój, co rusz to przeciągali przez wieś Niemcy, to Ukraińcy, melnykowcy, bulbowcy, albo banderowcy, czy też partyzanci sowieccy, albo inne czubaryki, któż wie jacy, ukraińscy czerwoni partyzanci też, to znowu czerwoni nasi, albo nasi nie czerwoni, a najczęściej zwykła tłuszcza, co buszować i palić by chciała, licho wie jakiej nacji; ale jeszcze dobrzy ludzie bronili, reszta zaś czekała, nastawiała uszy na wschód i na zachód, choć już ci i owi, przeczniejsi wynosili się co prędzej ze wsi, zbierali dobytek na wozy, zganiali bydłęta i konie, i ciągnęli do Iłowki, bo tam pono spokojniej, do Kondratowej albo do Sasowa; wynieśli się Żarkowie, Bondarczuki, Łomiankowsy, Galatowie, z dziesięć albo i więcej rodzin, bo szli tam, gdzie była nasza samoobrona; i jak musiała uciekać, opowiadała, i jak kryła się na strychu nad gorzelnią, gdy bandyci nadciągali, gdyż co do wypicia było, to wcześniej wypili, zdemolowali i więcej do gorzelni nie zaglądali, więc tam bezpieczniej się czuła; dziecko przechowywała masztalerza Zbroża stara matka, co u niej Czartoriusowie ochwaconego konia i dwie wysoko cielne krowy zostawili, jak odjeżdżali; a ona na tym strychu nieraz to z parę dni i nocy przeleżała, na wsi pokazując się tylko o zmierzchu; taka, co to od męża uciekła i jeszcze z cudzym dzieckiem wróciła, to tylko plunąć i kopnąć można, ale przecież dobrzy ludzie pamiętali o niej i zginąć nie dawali, ani dziecku też; nie tak jak teraz,

gdy wszyscy zastraszeni, już teraz nie bardzo wiadomo, kto dobry, a kto zły — opowiadała monotennie, z trudem, głos zaś w miarę jej opowiadania twardniał i to spojrzenie znowu poczęło uciekać wstecz, jak gdyby tam wewnątrz siebie, gdzieś w środku swej czaszki widziała złoza tych wszystkich obrazów: ucieczek, przemykań chyłkiem przełazami i opłótkami wsi pod złowrogimi, drwiącymi spojrzeniami bab, dwuznacznymi spojrzeniami mężczyzn, tych godzin, dni i nocy spędzanych na zawalonym rupieciami, zakurzonym strychu, godzin pełnych wstuchiwania się w ciszę, w kroki, w głosy, i musiała je, te obrazy wydobyć, aby mu je ukazać, zbyt długo leżały tam samotnie i zbyt często się przypominały, nie dawały spać, żyć, więc musiały być wydobyte, i to tylko przypadek sprawił, że to on właśnie stał się świadkiem wydobywania ich na światło, gdyż mógł nim być każdy inny człowiek, byle odrobinę życzliwy, byle nie przyszedł jak tamci, nie w tych, co tamci zamiarach, bo gdyby się nie wydobyły, ona by oszalała zupełnie — i głosem twardym, ostrym mówiła, że ten pierwszy okres skończył się, gdy jego, Pawła Woynowicza matka, któregoś dnia przyjechała do Gleb, ten okres nie najgorszy jeszcze, bo nie był on najgorszy, skoro dopiero wtedy nastąpiło gorsze, jeśli już najgorsze nie było to, co zdarzyło się w Nikoryczy w sierpniu, jak Michała Czartoriusa jej zabili, ale kiedy jego, Pawła Woynowicza, matka przyjechała, to wszystko zmieniło się od razu, bo pomyśleli, że jeśli ona, pani Woynowiczowa, jest sama, to dziedzic gdzieś widać zginął, więc samej starej dziedziczki bać się nie ma potrzeby; trudno powiedzieć dla czego przyjechała, stelmach, stary Hanczar mówił, że z panią Katarzyną w Krzyżtopolu były obie bezpieczne, może więc resztę mebli chciała tylko wywieźć, może jeszcze co, co zakopane było, w każdym razie przyjechała i Bóg widać jej nie ostrzegł, a tego samego dnia trzech hajdamaków z tej ich galicyjskiej dywizji na przepustkę do wsi przybyło, syn najmitki Sewrukowej, Iwan, poddiaczych Wasowów starszy syn, jak mu tam, Nikodem chyba i Kuźma Brent, nieślubny Brenciny z tamtej wojny jeszcze po jakimś chłopie zza kordonu; i ona od razu wiedziała, że coś się niedobrego święci, gdy podpitych mołojców spotkała, bo ten Wasow krzyknął za nią: „*Ty, Karpatkova pobaczysz nymi w weczir, przydut do tebe komandyry spaty!*”, ale uciekła i zaszyła się na gorzelnianym strychu, co zawsze; i pewnie by tam pozostała przez resztę dnia i noc, tylko że Zbroża matka przybiegła i mówi, że ci trzej wiedzą już, gdzie ona siedzi, kędyś się bowiem między ludźmi rozniosło, i do siebie prowadzić ją chciała, żeby w innym miejscu ukryć, jednakże nie doszły, bo tłum już od strony wsi ciągnął i drogę im przeciął; miejscowych co nieco

i z okolicznych wiosek też sporo było, przecież zbuntowana hołota całymi tabunami hulała po okolicy; więc pomknęła na dziedziniec folwarczny, a stary Hanczar na stryszku nad stajnią ją zamknął; i patrzyła jak ten tłum przez bramę się przewalił, jak śpiewali i krzyczeli, śpiewali i krzyczeli, samogonu widać popili sobie przedtem zdrowo; i ten poddiaczycy Wasow z Sewrukiem przewodzili, choć Sewrukowa biegła za synem, u rękawa mu się wieszała i po rękach całując próbowała powstrzymać; a ekonomo Waškowskiego to zaraz przy bramie kłonicami utłukli, bo stał na środku i błagał, i do opamiętania przywoływał, co widziała z bliska, wyraźnie (O, tak, jak pana teraz!), gdyż cały czas na tym stryszku nad stajnią siedziała, przez otwór po sęku wyzierając na zewnątrz, czy nie przyjdą jeszcze bliżej i jej szukać nie będą, czy aby nie podpalą, albo co, pełna zgrozy, półprzytomna od tego wszystkiego; więc widziała dokładnie, jak stary Waškowski, który jeszcze, gdy w legionach Piłsudskiego służył, już podobno był wiekowy, stoi przed bramą, rozkłada ręce, próbuje ten podniecony, żądny zniszczenia tłum powstrzymać, i jak zaklina na wszystkich świętych i jak łomoczą kłonicy o kości, jak pada w błoto i tłum po nim przechodzi butami; bo nic ich już powstrzymać nie mogło, kiedy raz krwi zakosztowali (Pan słucho? Bo może by się nie wazyli, gdyby wiedzieli, że pan żyje); i potem ruszyli na folwark i nie minęło nawet pół trzecie pacierza, jak podobnie załatwili stelmacha Hanczara, choć dopóki stał naprzeciwko tłumowi i patrzył ludziom prosto w oczy, to jeszcze coś w nich takiego było, strach albo co, nie śmieli, ale gdy dostał kamieniami i się ugiął, i patrzeć przestał, to zatratowali od razu, jak przedtem Waškowskiego; i potem zaraz, co jeszcze na folwarku do wyrabowania zostało, to wyrabowali doszczętnie; niejeden z miejscowych chciał powstrzymać, ale Wasow, i Sewruk, i Brent, te hajdamaki z galicyjskiej dywizji zakrzyczeli innych, a hołoty, co ściągnęła zewsząd, jakby czując żer, zbyt dużo było; i samogonu zbyt dużo było, i chciwości, bo już przedtem na rabowaniu żydowskiego mienia się poduczili, i podjudzacy też zbyt dużo było, i przeświadczenia o bezkarności, bo jaźni bożej zaś mało; więc poszli od razu z folwarku do dworu, i tamci i miejscowi też, któż w końcu rozróżni kto skąd, nie podobna; i krzyczeli, żeby tych, co nie krzyczeli, zagłuszyć; i Brent puścił serię z automatu w zegar nad gankiem, tak to i ten zegar stanął natychmiast i stoi na tej samej godzinie do dzisiaj; a potem wyprowadzili panią; i póty było, jak z Hanczarem, że patrzyła im jeszcze w oczy, to ją tylko ciągnęli przez schody i podjazd pod ramiona trzymając, bo może iść już o własnych siłach nie mogła, ale później Wasow z tyłu się zaczął

i kołem uderzył w plecy, to przestała już więcej patrzeć, wyciągnęła ręce, lecz nawet się nie podparła, gdy na kolana padła; i zaraz zatratowali ją butami, jak tamtych dwóch, i kłonicami, i orczykami (Pan słuca? Dlaczego pan nie słuca?); i potem krzyczeli; i potem się śmiali; i potem powlekli na folwark za stajnię, gdzie obetonowana kałabania; i potem za ręce i nogi unieśli, i tam panią wrzucili (Dlaczego pan nie słuca?); no więc potem rabowali dwór i ładowali różnorakim dobrem wozy; i potem palili książki i cięli obrazy; i potem tłukli porcelanę i świnił gdzie się dało; i potem musieli ogniem zaproszyć, bo się zajęło piętrowo; i potem dach się zawalił z lewej strony i to ich stamtąd wypłoszyło, ktoś zresztą, powiadano, doniósł im, że paru fernali wydobyło ze schowków obrzynki i jedynie czekają pomocy z Kondratowej, żeby uderzyć i rozprawić się z hołotą; więc skończyli prędzej; i potem ze zdobyczą wracali przez park i śpiewali, i znowu krzyczeli, i odgrażali się jeszcze głośniej, niż przedtem, że wszystkich tych, co z Lachami trzymają podpalą; i potem na majdanie przy gorzelni rozdzielali łupy — „Czy pan słyca? Na Boga Jedyne! Pan słuca? Dlaczego pan nie słuca?! Przecież powinien pan wiedzieć! Czy to pana nic a nic nie obchodzi?!” wołała zdumiona, zrozpaczona, ale czy słucał, czy nie słucał, obojętne, bo przecież i tak widział wyraźnie, mimo że naprawdę widziała jedynie ona patrząc stamtąd, z tego stryszku przez otwór po sęku, drząc, pocąc się, tracąc zmysły ze strachu, podobnie jak patrzyła na niego teraz, z tym odwróconym wstecz wzrokiem siedząc naprzeciw i opowiadając — jak potem zwolna wszystko ucichło, w parku ucichło, bo we wsi nie, we wsi huczeli do samego rana, a dwór się nie dopalił, spadł nocą ulewny deszcz, to ugasił; i jak od tego dnia, spokoju już więcej nie zaznała, ludzie dobrzy pochowali się niby myszy, a może już w ogóle dobrych ludzi zabrakło; i uciekła z mężowskiego mieszkania przy gorzelni do futuru Michała Czartoriusa, zawsze to nieco dalej od wsi, myślała wtedy; Zbroźnowie oddali jej konia, żeby było czym rzeczy przewieźć, i jedną krowę, żeby mleko miała dla dziecka, ale krowę to prędko inni zabrali i zaszlachtowali, bo cóż z tego, że mieszkała dalej, dalej czy bliżej, wszędzie hołodrańcy dojdą; i przychodzili się pastwić; natomiast we dworze było już pusto, tylko dzieciarnia czasem zagładała, żeby obstukać tynki, czy państwo czegoś nie zamurowali; a ona, dziedziczka, jego matka, to jak tam leżała, tak i wciąż leży w tym cuchnącym dole, Waśkowski zaś i Hanczar, to z tydzień tylko albo i dwa, aż popuchli na ście, lecz później przeciągał tędy oddział naszych, więc zakopali ich i krzyżyk postawili; a ci tutaj, to się pastwili, pastwili jak ogiery, po wódce

i na trzeźwo, pastwili się, pastwili, o Boże, jak pastwili... Aż Paweł nagle poderwał się z zydła i chwytając Karpatkową przez stół za ramiona potrząsnął nią i krzyknął: „Dość! Już dość! Prze-
stańże wreszcie! Dość!”, i wtedy zamrugła powiekami, jakby się obudziła, zamilkła i spojrzała normalnie.

Patrzyli teraz na siebie bez słowa, jak gdyby nie znali się wcale i pierwszy raz widzieli dopiero. Z białego czoła kobiety lał się pot na czarne, jakby osmolone brwi i oczy, dygotała całym ciałem i dłonie miała zaciśnięte. Potem wstała, zrobiła nieokreślony ruch ku lampie, może chciała objaśnić knot, ale rozmyśliła się i cofnęła w stronę wygasłego pieca. Wówczas powiedział prędko: „Na mnie już czas. Mam kawał drogi przed sobą”, lecz choć ona odpowiedziała zaraz: „Dobrze”, skwapliwie i ze zrozumieniem, nie podniósł się zza stołu; jego ciało było bez czucia i bezwładne. Po chwili nie było jej już w pobliżu. Za ścianą na dworze huczało porywicie, wiatr trząską okiennicami, na zapleczu czał się zatęchły mrok, chrzęściła kukurydza zawieszona na tyczce pod okapem i ciągnęło od niej suchą tabaczną wonią, a skądś z daleka, przez komin, napływał jednostajny, warkliwy, dziki poświst. Potem kobieta znowu stała przed nim. Miała na sobie waciak bez rękawów, na głowie wełnianą chustę, na nogach juchtowe, z cholewami buty i: „Jestem gotowa” powiedziała. „Nu...” mruknął wtedy jakoś tak po chłopsku, dźwigając ciężko z ramienia głowę. „Co — nu?” zapytała ostro. „Ot” rzucił nie nadając temu żadnego określonego znaczenia, wciąż bowiem jeszcze nie mógł przezwyciężyć niemocy własnego ciała. Lecz ona powiedziała ponownie: „Jestem gotowa” i nagle nieco oprzytomniał, bo dopiero teraz jej słowa do niego dotarły. „Chyba źle mnie zrozumieliście” powiedział, „Idę do lasu. Mój oddział wprawdzie rozbity do szczętu, ale w końcu znajdę gdzieś swoich”, „Tak przypuszczałam” powiedziała na to spokojnie. „Rozumiem” on na to, „W Krzyżtopolu, czy gdzieś tam... Są takie miejsca jeszcze... Byłoby dla was tam bezpieczniej, niż tutaj. Lecz nie mogę odprowadzić. Sam muszę się ukrywać”. „Wiem” powiedziała ona, „Wiem. Pójdę z panem. Od dawna wszystko spakowane, gotowe do drogi. Konia mam, wybroniłam”. A wtedy on strząsnął z siebie tę niemoc do reszty, wstał i powiedział twardo: „Chyba nie mówicie poważnie, kobieto. Zima. Jestem ranny. A wy macie dziecko, niemowlę... Przecież nie zostawicie”. Nie dała mu jednak dokończyć. Szła groźna ku niemu, omijając stół, z ustami znowu pełnymi krzyku, chociaż tak, jak wówczas, na samym początku, od razu zmienił się on, ten jej krzyk, w głuchy, złowrogi szept: „W sobotę przyszli tutaj pijani. Ono się rozpląkało. Wyrzucili je przez okno w śnieg”, a potem dopiero głós-

niej, jakby nabierała zwołna sił: „Pan nas nie może zostawić. Oni je któregoś dnia zadepczą”, i już przy nim, wprost mu w twarz: „Pan musiał tutaj przyjść. Wiedziałam. Bóg zesłał. Wiedziałam, że ktoś swój wreszcie przyjdzie i nas zabierze. Chryste Panie, niech pan nas nie zostawia!”, nagle tym krzykiem, szeptem przechodząc w jakiś zawodzący szloch bez jednej łyzy, i w jej źrenicach rozlało się całe bezmierne cierpienie, upodlenie i trwoga, których — wypowiadając przedtem wszystko, czego pamięć chciała się pozbyć — nie zdołała mimo to jeszcze wypowiedzieć do końca, że nie wytrzymał, odwrócił się prędko, żeby nie widzieć, co znowu zacznie dziać się z jej wzrokiem, i ujawszy ze stołu lampę, ruszył z kuchni do pokoju, później, dalej na nią nie patrząc, zupełnie pomijając jej obecność i nawet o niej nie myśląc, wdział kozuch, przepasał się i zarzucił na ramię karabin.

Dopiero, gdy wyszedł z domu i przystanął przed gankiem, ponownie posłyszał kroki kobiety: szła wydeptaną przez podwórze ścieżką. Słyszał skrzypiący pod jej butami śnieg, następnie trzaskanie otwieranych wrót i, jak długo szeleści gdzie przegarniana słoma. W świetle wiszącej na kołku naftowej latarki zobaczył wreszcie, że kobieta, ciągnąc za hołoble, stara się wyprowadzić z wnętrza stodoły krótkie płozy z nadwoziem i że nie może dać sobie rady z ich ciężarem. Patrzył na te jej usiłowania obojętnie, bezmyślnie i nie ruszając się z miejsca. Po niebie płynęły pędzone wiatrem chmury z jasnymi szczytami, podobne do oblodzonych gór. Księżyc nie było widać ani rąbka. Porywiste podmuchy nie miały teraz ostrości, lecz wydawały się miękkie i wilgotne. „Będzie długo padało. Zaniesie, zawieje...” pomyślał. Czuł, jak ziębna mu nogi. Ciągle jeszcze stał obojętny, trochę bezradny, przede wszystkim jednak obojętny, a potem ruszył przez podwórze, otworzył furtkę i wyszedł na drogę. Popatrzył w ciemność, gdzie leżały Gleby: nie widać tam było nic, nie błyskało najmniejsze światło, czarna dał przypominała zwartą ścianę lasu. Zrobił parę kroków i się zatrzymał. Po chwili jakaś prędko, choć nie sprecyzowana do końca myśl, której nie chciał, a nawet się przelał, kazała mu zawrócić; wracał, mimo że się jej zaraz pozbył. Znalazłszy się powtórnie przed czartoriusowym domem, spostrzegł, że jest on cały wewnątrz oświetlony. Kobieta taszczyła z piwnicy naładowany czymś do pełna worek i nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Drzwi były wszędzie pootwierane, wewnątrz już wyziębione przewiewem. Szedł z pokoju do pokoju, aż posłyszał głośne tykanie ściennego zegara. Wtedy wyjął z kieszeni swój zegarek, nakręcił go, nastawił wskazówki i zapiął pasek na przegubie dłoni. „Którego dziś mamy?” rzucił w stronę mijającej go z nowym tobołkiem na ręku Karpatkowej,

ale nie posłyszał żadnej odpowiedzi, więc pomyślał: „W każdym razie jest dziesięć minut po piątej”. Potem był znów na podwórzu i widział, że sanie są już załadowane, w hołoble i duże stoi wprzęgnięty krępy, łaciaty koń, a kobieta mocuje używy w kleszczynach. Gdy minęła go bez słowa, niknąc w głębi domu, zbliżył się do konia i pogładził pieśczośliwie dłonią jego gruby kark. Koń zarżał cicho. Dotknął zamszowych, ciepłych chrap, jeszcze raz pogładził po karku; myślał o czymś dalekim i bezpowrotnie zaprzepaszczonym. Poczuł ogromne znużenie. Przetarł oczy, jakby siłą budził się ze snu i, choć głowę nadal miał pustą, prawie bez jednej myśli, zdjął z kołka latarnię i poszedł do stajni.

Długo później przeszukiwał opróżnione skrzynie na obrok, aż znalazł resztki śrutu, a w śpichlerzyku za stajnią trzy napoczęte worki z owsem. Ta jego nagła zapobiegliwość dalej nie była kierowana żadną myślą, nie przyświecał mu też żaden cel. Nawet, gdy zaopatrzył się w bat, a ze stosu popłatanych szor i zmleci wydobyl siodło i zaniósł to wszystko na sanie. Dopiero zdmuchując latarkę i posłyszawszy: „Niech pan jej nie zostawia. Zabrałam do niej całą bańkę nafty” raptem, jak gdyby był ocknął z odrętwienia, powiedział z zastanowieniem: „Bańkę nafty, mówicie? O tak, jak najwięcej nafty”, a wtedy kobieta odłożyła trzymane na kolanach zawiniątko na siedzenie, bez słowa zeszała z sań i skwapliwie zawróciła do ciemnego już domu. Rzekł do siebie cicho, lecz z naciskiem: „Bańka nafty. Bańka nafty. To dobrze”. Gdy się pojawiła z powrotem, niosąc spore blaszane naczynie i poinformowała, że zostało w nim jeszcze ze dwa, albo trzy litry, tylko powtórzył: „To dobrze. Bardzo dobrze. Zabierzcie to również...”, jednakże głosem, którego nie mógł poznać, a potem otworzył bramę, wyprowadził zaprzęg na drogę, zawarł bramę kołem, furtkę zamknął na skobelek, ujął lejce i bat, i cmoknął na konia. Koń zapał się i ruszył. Szedł obok sań, a kobieta siedziała nieruchomo na koźle, trzymając na kolanach okutane w baranicę podłużne zawiniątko. Nie obejrzała się w stronę opuszczanego futoru, on też nie. Wiatr łagodniał i robił się coraz wilgotniejszy. Od niewygojonej do końca rany w ręce czuł rozchodzący się tępy, ciągnący ból; zimno przenikało przez kożuch i raz po raz wstrząsały nim dreszcze, podpiął więc mocniej koźnicz i wcisnął na uszy czape.

Nim wjechali do wsi, chwycił nozdrzami gorzki, cienki zapach dymu użytej na podpałkę słomy i posłyszał głodny, przytulny skowyt psów. Gdy zaś zbliżył się do pierwszych chałup zobaczył, że spoza zasłon na oknach przenika już niepewnie naftowe lub karbidowe światło; z kominów wraz z dymem sypały

się w górę tu i ówdzie rdzawe iskry, a za szymbami przesuwaly się ludzkie cienie. W podwórzach słyhać było gdzieniegdzie ciężkie człapanie wracających od udoju bab, gdzieś parobek odpyskował burkliwie gospodarzowi, gdzieś kaszłał ktoś głośnie i odpluwał flegmę. Rzucił lejce siedzącej na koźle kobiecie, a sam wsparł się ręką o kłonicę i pomagał koniowi. Potem jakiś człowiek wynurzył się z mroku, zbliżył do płotu i, przecierając zaspane oczy, patrzył na drogę za sunącymi nieśpiesznie saniami, jednakże Paweł szedł spokojnie, obojętnie, i nawet, gdy tych podchodzących do płotów, spoglądających za nimi i usiłujących rozpoznać kto jedzie pojawiało się, w miarę zagłębienia się w wieś, coraz więcej, nie odchylił ani razu głowy w bok, jakby nie widział, albo go w ogóle nie interesowali. Dopiero nie opodał dworskiego muru, skręciwszy w kierunku drogi ku obu Iłowkom, Tatarskiej i Ruskiej, gdzie grunt obniżył się nieznacznie, opadając w dół, wszedł do sań. Dotknął batem grzbietu konia i zapytał cicho: „To chłopiec, czy dziewczynka?”. „Dziewczynka” odpowiedziała kobieta tak samo cicho, jak on. Poczęło prószyć śniegiem i zaczynało świtać. A wtedy koń szarpnął, jakby coś zwietrzył, albo się przestraszył czarnego otworu w murze po bramie, i Paweł pierwszy raz spojrział w tamtą stronę. Na mur, na wyłamaną bramę, na głęboki przycinek alei biegnącej ku podjazdowi, na dwór, niewidoczny wprawdzie teraz z drogi, ale przez niego wyczuwany, przeczuwany w ciemności, i powtórnie na wyłamaną bramę, aż raptem tamto wszystko powróciło w nim, jak wezbrana fala powodzi.

I widział: brama wjazdowa zatrzeszczała, stęknęła i padła, a oni wdarli się, runęli w głąb alei, jakby ktoś z nagłą otworzył służę. To tam właśnie przebiegli po ciele ekonoma Waśkowskiego. Tylko jakiś wyrostek zatrzymał się na chwilę, wyszarpnął z kamizelki starego zegarek na łańcuszku i pogonił zaraz za resztą. Gromada ruszyła w pierw w kierunku folwarku. Stelmach Hanczar zaciskając pięści szedł im naprzeciw przez podwórze dysząc prędkim zajęczym oddechem. Starcza głowa trzęsła mu się, a oczy łzawiły. Oni byli już w środku parku. Baby pętały się z boku w przejściach, alejkach i na trawnikach popiskując z daleka podjudzająco. Wasow wyskoczył do przodu, w biegu ściągnął z siebie wojskową bluzę i krzyczał: „Chodu do grobu!”. Za synem z tyłu szybkim rąbanym kroczeniem dreptał poddiacz w waciaku i spodniach ze zrzebnej czesunczy; niósł worek na bataanie. Chłopi, cisnąc się ławą, zwalili już płot. Dzieciarnia w sadzie oblepiła drzewa i rwała orzechy. Dziadek cerkiewny Filipko rąbał starą sliwę przy murze. Twarz stelmacha Hanczara napęczniała czerwienią. Usta otwierały się i zamykały, jakby nie mógł przełknąć

czegoś bardzo twardego. Jego zaczipowany głos nie znajdował ujścia. A potem zatrzymał się i oni też się zatrzymali. Świsnęły w powietrzu kamienie. I Paweł posłyszał miękki, plaszczący trzask. Raz, drugi, dziesiąty. Hanczar zalał się krwią na twarzy. Lecz jeszcze nie upadł. Stał rozcierając wielkie łzy na policzkach i z tym swoim głosem wreszcie sobie poradził, bo począł krzyczeć: „Ludzie, o ludzie!”. I znowu poleciały z furkotem kamienie i zgiął się w pół, chwycił za brzuch, już na nich więcej nie patrząc. Wtedy właśnie podskoczyli ku niemu wszyscy naraz i go sobą nakryli. Zakotłowało się na ziemi, ucichło i od razu pobiegli dalej, a on, stary stelmach Hanczar tam został, wdeptany w błoto, skłębiony, jak worek wypełniony rozdżamganą dynią. Zastarzałym, kwaśnym łojem ziało z muzyckich karków i ropiejących kołtunów. Wionęło gorzałką. Wyszarpywali już wrota w stajniach i oborach. Posypały się batogi, kopniaki, rzemienie. Rozległ się kwik koni. Świnie w chlewni stękały pod ciosami drągów. Potem zostali na folwarku tylko starcy i brzuchate baby, ładując na plecy co się da. I na wózki podtoczone przez wyrostków. Na koniach odjeżdżali galopem chłopcy bijąc prętami i łańcuchem zwierzęce boki. Szczęknęła seria z automatu Brenta. Zabrzęczało sypiące się szkło z zegara nad gankiem. Tłum szedł zwartą masą do dworu. Lecz zanim tam wtargnął i nim zrobił to, co zrobił później, zatrzymał się na krótko przy podjeździe i krzyczał coś do zapuszczonych żaluzjami okien. Wreszcie jednak wtargnął do środka, wbiegł. Ludzie przepychali się, gnietli obtłukując w ciżbie tynk ze ścian i zaraz ją stamtąd wyprowadzili, jego matkę, siwą, zgarbioną, białą na twarzy, jak płótno, ale patrzącą na nich prosto i bez lęku. Wyprowadzili trzymając pod ramiona, unieśli, bo na pewno sił nie miała, żeby iść sama, i ten tłum nawet rozsunał się nieco na strony, dając przejście tym, co ją prowadzili, nieśli, powłócząc jej nogami po żwirze. I dopiero wtedy młody Wasow podbiegł z tyłu chyłkiem i dźgnął ją kołem w plecy, tak że od razu upadła, a raczej uklękła, podpierając się zapewne rękami. A te dwie części tłumu natychmiast połączyły się znowu, zwały wokół niej ciasno i Paweł posłyszał twardy, głuchy łoskot kłonic i kijów. I zbiorowy podjudzający krzyk i śmiech. A potem wszystko raptem ucichło. I tłum odstaąpił tworząc krąg, a ona, jego matka, leżała tam wśród nich. Skulona, rozłamana jakby na dwoje, z kolanami pod brodą, z rękoma zaplecionymi obronnie na piersi. Lecz Wasow coś powiedział. Więc ci najbliższej stojący dźwignęli ją i powlekli za ręce aleją. Po tym żwirze i ściółce opadłych, jesiennych liści, aż na dziedziniec folwarku i za stajnię. Tam uchwycili ją także za nogi. I przekrzykując się wzajemnie rozhuścili wysoko

nad kałabanią. A ta mętna, zielonkawa ciecz bryznięła na boki, gdy cisnęli, rozlała się na beton, cofnęła do środka, pochłaniając ciało. Ale jeszcze je widział długo, mimo że w końcu nawet koła przestały rozchodzić się na powierzchni i wygładziła się zupełnie. Potem już nie chciał widzieć, nie mógł. Jak gdyby stamtąd odszedł, uciekł. I tylko widział, jak zachodzące słońce podświetliło chmury i żółty poblask zapylił okolicę. Jeszcze na dworze trzaskały drzwi, okna i podłogi. Jeszcze z piętra wyrzucali na ganek złożone meble, zapłonęło ognisko na klombie, w żar leciały książki, obrazy, a oni drąc się między sobą o sprzęty i pościel, ładowali prędko wozy. Jeszcze młodzież zapijała się winem znalezionym w piwnicy. Widział baby szczące z pogardą do porcelanowych waz. I że jakiś staryk targając na sobie koszulę i wrzeszcząc, osłaniał pokojówkę Różę. Ale zdzielił go po uchu fornal Buczany i dziewczynę mu zabrał. I potem, jak pęczniał rumor i ścisk. Jak buchnął śwąd i czarny dym. I usłyszał dzwon cerkiewny, gdy w środku wsi ducknął na jedną stronę, lecz od razu umilkł. Chłopstwo wysypywało się z dworu, skacząc z okien i tłocząc się u drzwi. Płomienie biły z wnętrza pełznąć prędko po suchej winorośli na dach. Trzaskały krokwie. Potem zrab pierwszego piętra zachwiał się z lewej strony, skwirząc gwoździemi zjechał do dołu, żeby po chwili zapaść się z hukiem do środka, niebo zaś zasnuło się szaro sadzą. I widział, jak naładowane wozy, rozjeżdżając trawniki, poczęły zawracać ku wsi na ukos przez park. Jak baby idące gromadą rozgestykulowane i podniecone, gadały jedna przez drugą. A pijani chłopci śpiewali: „Tam na łuzi stała kałyna, tam bulbowska szaliła drużyna”. Aż lunął deszcz. Ale krzyczeli i śpiewali dalej. I pobłyskujące w mroku i w rudym odbłasku płomienia ich białe, mętne oczy widział. I ich dłonie. I znowu powróciło tamto. Ten rozkołysany ruch ich rąk, i ujrzał ciało matki. Jak podrzucone w górę spada w dół, niby kamień. I tę rozstępującą się zielonkawą ciecz ujrzał, jak rozchodzą się po niej długo, bardzo długo kręgi, jakby nie mogła się w żaden sposób uspokoić i wygładzić. I znowu. Podrzucający ruch ich rąk, opadanie ciała, chlupot gnojówki. I jeszcze raz. Jakby obraz powtarzać miał się w nieskończoność. Aż raptem postyszał w pobliżu czyjś głos.

Drgnął. To był głos siedzącej obok kobiety. Spojrzał na nią. Ona też spoglądała na niego. Z niepokojem, a nawet z pewnym lękiem. Zrozumiał, że o coś go pytała. Nie mógł przypomnieć sobie o co, a powiedzieć jej tego nie mógł, bo usta miał ścierpięte, szczęki zaś, jak gdyby porażone skurczem, nie do rozwarcia. Ale powtórzyła swe pytanie i wówczas dotarło ono do jego świadomości. Pytała się, czy nie jadą zbyt wolno, mrok

ustępował, mogli się więc na kogoś na drodze natknąć. Kiwnął w milczeniu głową i podciął batem konia. Sanie szarpnęły i sunąć poczęły prędzej. Rozkłębiony wiatr miotał się w białej roztoczy. Wreszcie ten zacisk ust i szczęk ustąpił. Ponownie spojrzął na kobietę, na jej zawiniątko trzymane na kolanach i zapytał: „To ona, mówicie, krzyczała, gdy ją rzucili na ziemię?”. Kobieta odpowiedziała cicho: „Krzyczała. Więc dlatego. Przez okno i w śnieg”. Zapytał jeszcze raz: „Jak krzyczała? Co?”, jakby odpowiedzi wcale nie usłyszał, ale usłyszał przecież, bo dodał, wyjaśnił: „Pytam o moją matkę, nie o waszą małą”. Wtedy ramieniem wyczuł, że kobieta zaczyna drżeć. „Już panu wszystko mówiłam” powiedziała opornie. Patrzyła na niego teraz oczyma, które były parą zaszczutych zwierząt, udręczonych i miotających się, jakby chciały się wyrwać i uciec. Wyczuł że i on sam również drży. Może to właśnie od niej i jemu się udzieliło. „Chciałbym wiedzieć dokładnie” powiedział. „Nie chcę” powiedziała kobieta, „Nie chcę tego więcej!” krzyknęła. Wydało mu się nagle, że wyskoczy z sań na drogę. Położył szybko dłoń na jej ramieniu. Zaciśnął. Posłyszał syk bólu i oprzytomniał. Puścił ramię kobiety i tylko powiedział zmęczonym głosem: „Dobrze. W porządku”.

Podpędził konia. Nie mógł poprzez śnieżycę dojrzeć nieba. Pomyślał: „Wkrótce zasypie wszystko, zawieje”. Powoli dniało.

II

Na krokwiach i wspornikach osiadało wczesne mętnoszare światło. Zresztą odgadłby nawet w ciemności, co kobieta robi. W skrzyni sań, gdzie miała posłanie, poruszyły się miękko baranice, odwróciła się na bok, wyciągnęła rękę i po omacku, wpół śpiąc wykonywała przy dziecku różne czynności posłuszna ślepemu, wewnętrznemu nakazowi, potem rozległo się głośne, łakome mlaskanie wraz z towarzyszącym mu zasapanym oddechem podnoszącym się wyżej i wyżej, aż poza słyszalność.

Zamknął oczy próbując usnąć powtórnie. Światło jednak, mimo uszczelnionych mchem szpar między deskami, drażniło przez powieki. Myślał o czekającej go niebawem wędrowce, odejściu stąd, o całej tej zbliżającej się udręce drogi i poszukiwań. Bo choć nie wiedział jeszcze gdzie pójdzie i kogo szukać będzie, wiedział, że iść musi.

Przez ten tydzień, od kiedy do Sokalego jaru sprowadził był tych dwoje, kobietę i dziecko, jego czas odmierzały posiłki, które mu kobieta przyrządzała na skąpym ogniu rozpalanym na klepisku, zmienianie rano i wieczorem opatrunków, droga nad strumień, żeby się umyć, i z powrotem — parę kroków w tę stronę, parę w tamtą, oto wszystko. I sen. To było bardzo dobre: spać, nie dawać do siebie dostępu myślom. Ta spaczona, rozeschnięta, na wpół zrujnowana stodoła zmieniała się prędko w coś, co zdawało się zaciszne, przytulne, a nawet ciepłe. Nie mógł pojąć, jak kobieta tego dokonała. Zresztą nie próbował. Nawet nie rozmawiali ze sobą. Nie prosiła o żadną pomoc, ani radę, nie chciała od niego w ogóle nic. Była tylko obecna. To też było dobre. Że nie musiał o niej myśleć, a była obecna. Na drugi bowiem, albo trzeci dzień, kiedy obudził się z jednego z tych swoich twardych, niezależnych od pory snów, i stwierdził, że nie ma jej w pobliżu, a także nie ma konia, ani sań, odczuł pustkę tak zaskakującą, że trudno mu było się z nią oswoić. Jednakże w stosie skór przy niewygasłym jeszcze palenisku zapłakało wówczas dziecko. I pomyślał, że skoro dziecko jest, to kobieta nie mogła odejść daleko; odetchnął z ulgą. Płacz małej niepokoił go, wyszedł więc przed stodołę i czekał aż kobieta wioząc chrust powróciła koło południa. Wtedy pierwszy raz odezwał się do niej. Pierwszy raz od tamtego czasu, kiedy ją tutaj przywiózł. Powiedział, żeby nigdy nie oddalała się bez jego wiedzy, a ona odpowiedziała pokornie, że chciała tylko wykorzystać śnieżycę, że zawieje prędko ślady, lecz, oczywiście, jeśli on sobie życzy, nigdy więcej to się nie powtórzy. Powiedział, że tego właśnie sobie życzy. Potem znowu nie rozmawiali ze sobą wcale, a on poddawał się bezwolnie, biernie temu monotonnemu rytmowi posiłków, opatrunków i snu pomiędzy posiłkami i opatrunkami.

Wiedział o kobiecie niewiele więcej nad to, co mu tamtej nocy sama wyznała. Nie miał pojęcia, czy pochodzi ze wsi, czy z miasta. Czy jest tutejszą, czy sprowadził ją Karpatka z zachodniej Polski, skąd sam niegdyś przywędrował, wpiern na posadę gorzelnego w domenach książęcych na granicy Wołynia i Podola (bo za sowieckiej władzy ukrywał się w Krzyżtopolu), potem na podobną w Glebach. Paweł nie przypominał sobie, czy już przybył z żoną, czy dopiero później się był ożenił. Katarzyna opowiadała mu wprawdzie kiedyś o romansie Karpatkowej z młodym wdowcem Czartoriusem, chyba jednak nie wspomniała nic o jej przeszłości. Nie wiedział nawet, jak kobiecie jest na imię. Ale nie interesowało to go wcale. Tak jak niegdyś, tak teraz. Nie myślał o tym, co było dzisiaj, wczoraj, czy przed tygodniem, nawet przed miesiącami. Kiedy nie jadł i kiedy nie spał, leżał

całymi godzinami bez ruchu. Myślał o tym, co było przed wieloma laty. Co bezpowrotnie minęło dłoń wraz ze śmiercią matki, przepadając w tamtym gąszczu wydarzeń. Ale jego myśli były tylko błędzeniem po przeszłości, nie potrafiły na niczym zatrzymać się dłużej. Dotykały różnych twarzy i zaraz uciekały dalej.

Niekiedy ze swego legowiska patrzył na kobietę, jak rąbała drwa albo rozpaliała ogień, jak dźwigała z przerebli w oblodzonym strumieniu wodę, albo nasypawszy w zgrzebną torbę owsa, zawiązywała ją koniowi na łbie. Patrzył również jak gotuje, jak rozwiesza wypraną bieliznę, jak siadając przy ogniu obnaża pierś i karmi swoje niemowlę, nie dostrzegając, jak gdyby wcale, jego obecności. Patrzył nawet, gdy ona na niego patrzyła, bo wiedział, że go nie widzi. Nie przyszło mu nigdy do głowy, żeby ją zapytać o cokolwiek. Ani na jak długo jej starczą zabrane z futuro zapasy, ani jak znosi te prymitywne warunki dziecko, a tym bardziej, jak wyobraża sobie swą z dzieckiem przyszłość. Żył w przeświadczeniu, że sama wszystko wie najlepiej i że z wszystkim sobie poradzi. Jej ruchy były zawsze spokojne, celowe, kierowane i kontrolowane jakąś podświadomą wiedzą, a twarz wyrażała skupienie i pewność, że czas, któremu ona nadaje swoisty rytm, jest jej sprzymierzeńcem. Najczęściej jednak wcale nie musiał na kobietę patrzeć, słuchając bowiem rozlicznych szmerów i szelestów towarzyszących wykonywanym przez nią czynnościom, wiedział, co robi, jeśli zaś niekiedy nie, to nie próbował odgadnąć ich znaczenia. I znowu pogrążał się w tej swojej wędrówce myśli po odległych rejonach, które zostawił był za sobą, aż któregoś dnia pojął, że były teraz już tylko białą, zimną topielą, która po dwudziestu trzech latach dosięgła go i zatopiła, że wydawało się wprost niewiarygodne, iż jeszcze żyje, ale nazajutrz przyszło mu do głowy, że zanurzony w niej na nowo, może jednak w ten sposób przeanalizować i sprawiedliwie ocenić niektóre swoje czyny, spełnione i niespełnione zamierzenia, winy, zasługi, zdarzenia ważniejsze, mniej ważne, a nawet te zupełnie błahe, gdy tymczasem terażniejszość i przyszłość przedstawiały się jak chaotyczny ruch wypadków, jak bezkształtność i ciemny wciągający wir, a później jeszcze przyszło mu do głowy, że tylko w tamtej przeszłości mógłby znowu odnaleźć siebie. Właśnie chyba wtedy po raz pierwszy pomyślał, że najwyższy czas, żeby już stąd odszedł. Wciąż jednak było mu ciepło, syto, dobrze i nie umiał wydobyć się z półsnu, półjawy, z tej bezpiecznej nieruchomości. Otwierał oczy i widział, jak koń z pyskiem zanurzonym w swym worku przedmucha pośny obrok, a kobieta obiera ziemniaki, płucze je, wrzuca do garnka, mieszając z kaszą, i wydawało mu się, że cała pachnie mlekiem i owsianą słomą.

Zamykał oczy, a jego myśli dalej błądziły po przeszłości. Zjawiali się jacyś krewni, czasem Piotr, czasem ciotki, raz nawet Katarzyna, dwa, trzy razy matka. Otwierał oczy, a kobieta przewijała właśnie dziecko, albo spierzchniętymi, posiekanymi z zimna rękami rozwieszała na belce pieluszki. Znowu zamykał oczy, potem znowu je otwierał, czas przesuwiał się, a on nie powziął żadnej decyzji.

Teraz jednak, próbując jeszcze raz zasnąć i czując, że mu się to nie uda, pomyślał ponownie, iż trzeba iść i powtarzał tę myśl parokrotnie, żeby się wreszcie zmieniła w postanowienie. Później dźwigał się ze swego legowiska. Wierzeje uchylone na łokieć wpuszczają z nadworu do wnętrza jasne, słoneczne światło. Odgarnięta od wejścia zaspas śniegu zaświeciła milionami drobnych igiełek mrozu; ani śladu zadymki, ani śladu chmur na niebie. Jak zawsze zjadł w milczeniu śniadanie, potem do samego południa kręcił się po stodole bez widomego zamiaru i celu; czego się dotknął było zrobione, zrobiła to już wcześniej i lepiej kobieta. Potem znowu jadł, był syty, czuł ociężałość i że morzy go sen, lecz uświadomił sobie wtedy właśnie, że gnębi go myśl, jaki jest miesiąc i dzień miesiąca, bo nie zapytał dotychczas o to. Nie zapytał i teraz, gdyż gnębiła go nie tylko ta jedna myśl, ale parę innych jednocześnie. Co się mianowicie stało z kłaczą Tamarą, którą jeszcze z turchanowskich lasów na podjesieni, okulawioną odstawić kazał Chrobakowi do Gleb. Czy Kaniowscy dalej siedzą w Iłowce Tatarskiej stacjonując u siebie pułk Węgrów. Czy kobieta słyszała coś może, co dzieje się z Czerestwieskimi. Czy rusiński zaścianek Sasowiczów ocalał, czy też, jak wiele innych, dawno został już spalony. Myśli te sprawiły, że nie zagrzebał się w sianie, aby przedrzemać do wieczora, jak to robił w poprzednie dni, ale wdziawszy kozuch poszedł włóczyć się po okolicznych wzgórzach powstałych niegdyś z usypisk przy kamieniołomie, i spoglądał od czasu do czasu na białą równinę ciągnącą się w stronę rodzinnej wsi, to na las nad rzeką i w dół, gdzie kryła się pośród buków Iłowka Ruska, to wreszcie na gościniec łączący obie te wsie, którym tego popołudnia nikt nie jechał. Potem wiele z tamtych myśli gdzieś przepadło. Pozostała jedynie ta o Tamarze i nie mógł się od niej przez dłuższy czas uwolnić. Począł wspominać ileż to dróg i bezdroży na tym wczesnym koniu przegalopował i przypomniała mu się nieprawdopodobna, zdawałoby się, historia opowiedziana przez pastucha Iwana Hryłę, że w roku trzydziestym dziewiątym zabrał Tamarę wraz z paroma innymi końmi do Tuczapska oddział sowieckich żołdatów i traf chciał, że kiedy dwa lata później uciekali przed Niemcami, kozak, jeżdżący na niej, padł w potyczce na drodze

do doliny Męki Pańskiej, klacz zaś powróciła sama do swej dawnej stajni. Ale zanim zbliżył się wieczór i z tej myśli nie pozostało nic, lub prawie nic, bo silniejsze było poczucie nowego głodu wywołanego myślą, że kobieta pewnie już czeka z wieczornym posiłkiem. Wrócił więc do jaru i sokalowej stodoły, która stała się dlań teraz jedynym miejscem na świecie, gdzie wiedział na pewno — znajdzie zaciszną, ciepłą i nasyci głód, i rzeczywiście tak było: ciepło, zacisza i nasycił głód, tylko że pierwszy raz od tamtej nocy, kiedy kobietę przywiózł, spostrzegł, iż ona na niego nie patrzy. Oczywiście, nigdy nie zauważył, żeby unikała jego wzroku. Już więcej nie powtórzyła się ta szalona ucieczka jej wzroku wstecz, w głąb czaszki, nigdy więcej jej usta nie rozwarły się do krzyku, który był szeptem tylko, ale gorszym, groźniejszym niż krzyk, i gdy patrzyła, to jej wzrok wydawał się prosty, spokojny i ufny. Jednakże — był pewien — ona go dotychczas nie widziała wcale. A teraz patrzyła inaczej. Równie prosto i otwarcie, lecz wzrokiem spłoszonym, zaniepokojonym, zdradzającym jakieś napięcie oczekiwania. I teraz widziała. Jak gdyby dostrzegła go naprawdę.

Kiedy zjadł, odłożył na bok pustą blaszaną, ona zaś nie ruszyła się z miejsca, żeby pozmywać, a siedziała nie opodal przy ogniu, ciągle na niego spoglądając; chciał nawet zapytać, czy coś zaszło, czy może o czymś zapomniała mu tam w futorze Czartoriusów powiedzieć, co teraz jej się przypomniało, ale poczuł raptem mocny, nieprzepartry głód tytoniu. Wstał, odszukał w kącie swój plecak, wyłuskał zawinięte w chusteczkę dwa wymięte, wykruszone do połowy papierosy, a gdy wrócił do ognia i zapalił gorejącą szczapką, kobieta wydobyła z sań okutane w koc dziecko, siadła naprzeciwko, przewinęła je i zaczęła karmić. Obserwowała go, jak pali i jej wzrok był już nie tyle spłoszony, ile pełen narastającego lęku. On zaciągał się dymem mocno, przetrzymywał go długo w płucach, potem wrzucił niedopałek w płomienie ogniska i już tylko przypatrywał się w milczeniu kobiecie i dziecku, i jak ono zasypia. Zapytał nagle: „Jak ci na imię?”, ale chociaż odpowiedziała zaraz, że Łucja, nie zwrócił na jej odpowiedź uwagi, nawet na to, co dalej mówi, zwolniona jak gdyby pytaniem od długotrwałego milczenia, bo chyba w ogóle nie słyszał, że do niego mówi, i od razu zadał następne: „Nie przypominasz sobie, jacy to chłopcy zabrali moje konie? Była między nimi taka roślina, gniada anglo-arabka Tamara”, a ona wciągnęła w siebie głośno powietrze i zakrztusiła się nim, jakby nie mogła go z powrotem z płuc wypuścić, tak że przez chwilę przyglądał się jej surowo z dezaprobatą, aż wreszcie to minęło i powiedziała: „Oni pana zabiją”. Wtedy spojrzął na nią uważniej, niż dotych-

czas, bo właśnie dopiero teraz uświadomił sobie, co chciał zrobić, że istotnie chciał, że postanowił i że musi tam iść. Powiedział wstając od ognia: „To moja rzecz. Nie zabiją”. Potem wprawdzie zrobiło mu się czegoś żal i dodał nieco łagodniej: „Wróć”, lecz zaraz: „No więc jak, nie pamiętasz?” znowu zapytał niespodziewanie ostro o Tamarę. A ona stała już także. Właściwie nawet cofała się już z tym dzieckiem na rękę od ognia w mrok, w głąb stodoły. I mówiła szybko, jakimś zadyszonym głosem: „Te najlepsze rozdzielili między siebie Wasow i Sewruk. Brent także. Ale on, to od zaprzęgu starszej pani. A te pod wierzch chyba tylko tamci dwaj. Ale Wasow na drugi dzień przepił swoje do jednego koniokrada z Łoszakowej. Więc jeśli któryś koń został jeszcze, to jedynie u najmitki Sewrukowej. I pewnie że został. Sewruk, służy w tej galicyjskiej dywizji, mnóstwo batawni zewsząd nałapie i do domu wozi. Więc i koni do zwózki potrzebuje. Ale pan nie powinien”. I zamilkła patrząc na niego rozszerzonymi oczyma, a on: „Dobrze, dobrze, kobieto” powiedział niezbyt uważnie. Bo już dopinał kożuch, przepasywał się i przebierając palcami dzwoniące w kieszeni naboje, jakby chciał je obliczyć, a nawet pomnożyć, zawiesiwszy na ramię karabin, szedł do wyjścia. Tylko że przedtem przypomniał sobie jeszcze o bańce blaszanej, którą zabrali opuszczając futór, wyciągnął ją z sań, zapakował do plecaka, a potem naprawdę był gotów, choć nim znalazł się na dworze, znowu pogonił za nim głos kobiety: „Niech pan chociaż weźmie z sobą konia. Przecież jest siodło”, ten głos wezbrany równocześnie udręką i resztką nadziei, lecz nie odwrócił się, rzucając za siebie: „Wróć nad ranem...”, i był na zewnątrz, zawarł mocno wierzeje i ruszył przez jar nawet nie myśląc że na koniu byłoby znacznie dogodniej i szybciej, bo pamiętał, że postanowił iść, a nie postanowił wcale, że wróci z powrotem, mimo że zdanie o powrocie nad ranem wyżebrała od niego oczyma.

Rozejrzał się po okolicy dopiero na skraju urwistego wznie-sienia obok kamieniołomów. Strumień wypływający z Sokalego jaru w miejscach, gdzie nie zamarzał, a gdzie na oblodzonych kamieniach tworzył wiry i oparzeliska, dymił sino. Wzgórza stały w księżycu twardo, ostro obrysowane na tle nieba. Wydostawszy się poza nie wpadł w wiatr, który z chrzęstem szorował białą kurzawą osędzieliny skutą mrozem pokrywą ziemi. Poszukał sobie potem zejścia na równinę, gdzie rosły niskie zarośla i idąc wśród nich, żeby jak najmniej zostawiać na widoku śladów, doszedł do drogi. Była grubo zawiana, ledwo tknięta w środku dwoma wąskimi koleinami od płóz, między którymi leżały zmarznięte gałki końskiego łajna. Przydrożne drzewa kładły się pod nacis-

kiem wiatru, szumiały ponuro. Na telefonicznych prętach przytulone do siebie spały czarne w nocnym świetle, naburmuszone czyżyki. Wydłubał pacynki lodu tające za cholewami. W ustach czuł jeszcze smak papierosa i znowu zachciało mu się palić. Poszedł koleiną i uważał, żeby nie zbaczać. W górze migotały gwiazdy, a połówka księżycy miała stalowomglistą zimną otoczkę. Gdzieś bardzo wysoko, niewidoczne zrazu dla oka, przebijały się z ciężkim, utrudzonym warkotem przez powietrze samoloty i wreszcie je zobaczył na granatowym niebie, gdy już ginęły na widnokręgu po przeciwnej stronie równiny. Biegnącym pod linią czarnych lasów torem przeleciał równie czarny, zaciemniony pociąg. Nie widział go, ani nie słyszał, ale rozpoznawał po smudze iskier zostawianych przez lokomotywę. Odwrócił się i odprowadzał go wzrokiem, aż zniknął w ciemności i kiedy tam, gdzie zniknął zapaliła się po pewnym czasie na niebie łuna, zastanowił się, czy pociąg wysadzili w powietrze partyzanci, czy też płonie za lasem jakaś wieś. „To byłoby w pobliżu Krzyżtopola” pomyślał obojętnie.

Wskazówki zegarka pokazywały dopiero kwadrans na ósmą, gdy ujrzał z daleka Gleby. Jeszcze gdzieśświeciło się w oknach, a między chałupami i gospodarskimi drewniakami przesuwawały się raz po raz, na wysokości ręki, podwórzowe lampki, niesione przez niewidocznych ludzi. Cały czas, nawet po wyjściu z sokalej stodoły, a również później, kiedy jar opuścił i kilometr za kilometrem od tamtego miejsca się oddalał, czuł ciepło, zacisną, sytą przytulność, jakiej zaznawał przez kilkanaście dni i żył w niej, jakby we śnie, teraz zaś znowu spoglądał na swą wieś i tak, jak gdyby się był przebudził. Było mu znowu zimno, wiatr wpadał za kołnierz, kotłował się pod kozuchem i na skórze cierpł szparkim dreszczem. Ale zacisnął pas, poprawił na ramieniu karabin, przetarł ręką kłujący zarost na twarzy, i przeskoczywszy drogę, jeszcze bardziej zbliżył się do wsi. Gdy zrównał się z dworskim murem, nie dochodząc jednak do bramy, przystanął i począł nasłuchiwać; pomyślał, że jest zbyt wcześnie. W mroźnej mgiełce stały gumna, tu i ówdzie parowały pryzmy mierzwy, kwik charaszonych prosiąt zalatywał od szlachtuza młodego Uźwija. Niedaleko w jednym z czworacznych okienek migało światło. Dudniła głucho stępa. „To chyba u furmana Skotnickiego”. Potem w sonej poświacie za najbliższym czworakiem posłyszał powolny odgłos siekiery rozwalającej drewno w capki, a obok, w zahaconej liśćmi szopie ociążałe poruszanie się mężczyzny pośród postękiwań krowy i chrumkania świń. Gdzieś z otwartych drzwi buchnęła nagle w mróz wysoka dziewczęca supitka: „Czarna kura pieje, kowalka się śmieje, kowalczyki kuja,

panny wyskakują...” i drzwi z hukiem zatrzęsnięto. Poczłł zadowolony, prząsny zapach ludzkiego osiadłego życia. Po pewnym czasie jego doznania ukonkretniły się. Poczłł zapach dymu i jedzenia. Tłustego, gorącego jedzenia. Wędzonkę i prażuchę. Ale tym razem nie wywołało to w nim żadnego wstrząsu, wrażenie było słabe, ledwo muskające świadomość, i znowu powtórzył obojętnie: „Jeszcze wcześnie. Zbyt wcześnie”, i odwrócił się, celowo nie patrząc na ciemniejący za bocznym murem folwark, gdzie były stajnie, a za stajniami ta zamarznięta teraz kałabania, w której matka. Dopiero po dłuźszym namyśle wkroczył w wyłamaną bramę dworskiego parku. Drzewa były w białych czapach, a krzewy do połowy zawiane. Z trudem wyciągając buty z kopnego śniegu, poszedł aleją w głąb.

Patrząc z daleka, wydawało mu się, że dwór stał, jakby nie-
tknięty, uśpiony tylko i czarny. Dopiero zbliżywszy się ujrzał puste wnęki okienne, na wpół zwałone kominy i że z lewej strony piętro jest przykleśnięte, pozbawione dachu, jak gdyby do wewnątrz wduszone niszczycielskim żywiołem. Wiatr kołatał oberwaną żaluzją, z cieni-
kim gwizdem mocował się z okapem i gdzieś trzaskała o mur cynowa rynna. Przed podjazdem przystanął na chwilę, cały zmieniony w słuch, potem ruszył dalej. Nie skradał się. Nie było nic tchórzliwego, ani nawet ostrożnego w jego krokach, po prostu szedł cicho, bo był to jego zwykły sposób poruszania się, i u stóp ganku przystanął ponownie. Właśnie wtedy spojrzął z łękiem na ziemię pokrytą sypkim śniegiem i uświadomił sobie, że stoi w miejscu skąd uszło na zawsze życie matki. Już, już zaczęło w nim tamto wszystko powracać, ale przetarł szybko twarz, odpychając od siebie wspomnienie, i ów daleki jęk dochodzący do niego z głębi ciemności ustał. Pokrywa śniegu była gładka, nieskalana, nie zdradzała teraz nic, żadnego śladu. Jak gdyby to, czego dowiedział się wówczas w czartoriusowym futorze, nie było prawdą albo dotyczyło kogoś zupełnie innego, jakiegoś innego Pawła Woynowicza, który dawno zniknął już po tamtej stronie ciemności. Jedynie serce mu się ścisnęło.

Gdy wchodził po schodach, pod podeszwami przez śnieg zachrząściło szkło; podniósł wzrok na zegar nad gankiem, ale nie dojrzał jego tarczy. Nie było drzwi, widać chłopci wyjęli je i wywlekli na opał, a może, aby wysztukować nimi jakiś tam płót lub dach, podobnie przecież robili w trzydziestym dziewiątym roku. Sień zawiana po kostki wionęła zimnem i śmiercią. Teraz dopiero jego kroki zadudniły, wzbudzając powtarzający się pogłós: echo płytkie, a zarazem głębokie, jakie rozlega się w pozbawionych mebli pomieszczeniach. Już drugi raz w swym życiu widział ten dom w półruinie, jednakże wtedy, w czterdziestym

pierwszym, gdy Sowieci wycofali się, a wkroczyli Niemcy, nie zdawała się tak posepna. Ież takich milczących ruin oglądał w ostatnich miesiącach, chociażby w najbliższej okolicy? Ież jeszcze ujrzy? Osypcze, Stoczek, Mohyły, Hajnówka, Herniaki, Waćławówek, Czuprynia, Hańcza-Czacz, Sudy, Smerdiaki. Spalone, spustoszone wsie i miasteczka. Śluzowate, pozieleniałe trupy pływające w studniach. Wiatr wygwizdujący na zwęglonych belkach. Pustka ruin cuchnąca rozkładającym się ludzkim mięsem. Fala dojmującego smutku podpłynęła mu pod gardło.

W pokojach było jasno od księżyca, szeleściły na ścianach ponaddzierane tapety, po kątach wały się papiery, kawałki tłoczonych opraw książkowych, potłuczona porcelana, strzepy garderoby, wstążki, puzderka, kartoniki po czekoladkach, połamane ramy obrazów, tu i ówdzie większa szafa lub kredens, które widać nie dały się ruszyć w czasie pogromu, samotne i groźne, jak na pobojuwisku. Zaniechał wejścia na piętro, schody bowiem tarasowało w połowie rumowisko z cegieł i zapadłego stropu, i wolno mijając dawny gabinet ojca, po ojcu, później zajęty przez Aleksego, ledwo spojrzął na tę stertę grubych ksiąg, które winny stać na półkach nad biurkiem, kolejno, latami, a zwalonych teraz na podłogę, choć wydawało się, że same o to proszą, o to jedno spojrzenie, otwierają się na tych pożółkłych stronach, gdzie obok rejestru wypłat, dniówek, deputatów oraz długów całej wsi, każdego z mieszkańców Gleb z osobna znajdowały się nazwiska, imiona, daty urodzin, ślubów i wreszcie śmierci zamykającej wypłaty i długi w skończony raz na zawsze rachunek, a także zwięzłe, suche w swej lakoniczności zapiski, kto z kim chodzi, ku komu się kto ma, że ten z tym się waśni, że tamten tamtemu odbił dziewczynę, uwiódł żonę, i o niejednej bójce, dźgnięciu nożem w karczmie i podpaleniu również; bo gdyby spojrzął, przystanął, podniósł z podłogi którąś z nich, może by niejedno wyczytał z owych zapisków zrudziałym atramentem robionych przez Aleksego, przedtem przez ojca, a jeszcze przedtem przez dziadka i pradziadka, i może znalazłby dla siebie jakąś przestrożę, czyjeś może przeczucie potencjalnych możliwości tego, co tu się stało, owego nieszczęścia, i świadectwo sprawiedliwości lub niesprawiedliwości czynów ich, Woynowiczów, tutaj, gdzie panowali i żyli od tak dawna, że już nikt nie pamiętał, nawet oni sami, kiedy panować zaczęli, i zdołałby być może osądzić; ale nie, nie chciał. Był już bowiem obok sypialni matki. I znowu posłyszał w sobie ów tak dobrze zapamiętany jęk, a nawet przez moment zdawało mu się, że widzi jej wyciągające się ręce, choć jęk był silniejszy niż obraz, że prawie mu się poddał. W głowie zahaczało, krew uderzyła do skroni i pomyślał, że upadnie, zdo-

był się jednak na powtórny, brutalny wysiłek: skoncentrował całą wolę, żeby jęk docierający doń zdusić, mimo że był głośniejszy, niż tamten jęk, który posłyszał, gdy stał na podjeździe, ale powtarzał sobie z uporem: „Nie teraz, tylko nie teraz. Jeszcze zbyt wcześnie. Jeszcze czas”, tak że w końcu począł on w nim cichnąć, lecz ciągle jeszcze go słysząc, chociaż coraz dalszy i dalszy, spróbował pomyśleć o czymś innym: „Tu się urodziłem. Tu, w tym pokoju rozległ się mój pierwszy płacz. Tu był początek mego świata. Stąd zrobiłem pierwszy mój krok”, tylko że nic to nie pomagało i odepchnął się od futryny, i zataczając, jak pijany, ruszył w głąb korytarza, a wówczas dopiero i tamten przedśmiertny jęk matki ucichł w nim naprawdę.

Stał przed prostokątnym, zaciemnionym do połowy otworem, z którego wylewała się na korytarz księżycowa poświata, i to był jego pokój: wpółuchylone jesionowe drzwi z ozdobną intarsją z czarnego dębu w neogotycki ornament, na podłodze teczka z harmonijką widokówek z Karlsbadu, między oknami przekrzywiony widoczek Gleb pędzla Siostrzeńcewicz, gdańska szafa pod ścianą, jak niegdyś, a w środku na stercie rozdeptanych papierów, zniszczonych deszczem, zawiewającym widać całą jesień przez okna bez szyb, fotel z wyłamaną jedną nogą. Ustawił go podpierając tomami encyklopedii Orgelbranda. Poczłł nowy przypływ tytoniowego głodu. Zdawało mu się, że drażniąco łechce go w nozdrza zalatujący skądś zapach chłopskiej machorki-samoróbki. Spojrzał na zegarek. Miał naprawdę bardzo dużo czasu. Poprzez otwory okienne widział białą płaszczyznę z rzadka poprętykaną drzewami, niby widma, i jak węsząc przy ziemi, skrada się jej środkiem lis. „Mój Boże, już i one wiedzą, że tu nie ma ludzi” pomyślał. Wtedy przypomniał sobie, że dawno, gdy był jeszcze chłopcem w kotlinie za oknami rozlewał się płytki staw, po którym pływały na wpeł oswojone krzyżówki i latem od wody szły świetlane smugi drgające na suficie, zimą zaś, wielkie przestrzenie śniegu, pokrywające staw wraz z rozciągającymi się za nim łąkami tworzyły na zewnątrz pokoju pejzaż z kryształu i alabastru. Obraz pod powiekami nabierał wyrazistości: staw, te przestrzenie pełne powietrza, zielona, mglista kreska zacierającego się widnokręgu i wpadający do stawu od strony południowej dość wartki strumień. Zapamiętał, że budził się niekiedy w księżycowe noce i słucał, jak strumień pruje się z szumem przez zatchnięty ciszą świat, jakby był razem z tym światem naprawdę ze srebra. Poświatą owita woda zdawała się wtedy cięższa niż za dnia. Było jej więcej i rozlewała się szerzej, cała od brzegu do brzegu roztopiona w księżycu. Lecz matka skarżyła się na plagę komarów i w końcu ojciec kazał staw zasy-

pać, a strumień skierowano skrajem parku do stawów rybnych przy gorzelni. Od tego już czasu, pamiętał, okna jego pokoju osłonięte pasiastymi markizami, stwarzającymi łagodny półmrok we wnętrzu, wychodziły przed dom na zupełnie płaską, ozdobioną jedynie klombami przestrzeń. Pod samym murem rósł potem wiosną heliotrop i nikocjana. Sosny za lewym narożnikiem domu wydzielaly w upalne dni swąd ociekającej z pni żywicy. Na klombie kwitła szafirowo lobelia i żółto balsamin. Za prawym narożnikiem akacje o brunatnych pniach w podłużne pręgi, wieczorami nabierające blasków metalowych, rudych i zielonych, jesienią pokrywały gałęzie jaśniejszymi pękami nasion. Matka zносиła mu do pokoju i ustawiała wszędzie na meblach maisenowskie bibeloty, jakieś malachitowe fidrygałki, lub chińskie figurynki z kości, którymi obdarowywał ją ojciec. Miała upodobanie do półtonów i szczegółu, lubiła drobne kwiatki i drobne przedmioty, a kolory złamane i zamglone. Gdy był zupełnie mały ubierała go w sukienki. Później długo jeszcze czesała niby dziewczynkę. Wtedy ruchy jego były miękkie i ciche. Gniewały ojca. Przynosił mu na ścianach broń myśliwską i mapy Romera. Już dawno zapomniał to wszystko, a teraz stało przed oczyma, jak żywe. A najżywiej te lata najwcześniejsze, kiedy po zachodzie niebo gorzało nad parkiem od krwistej łuny, posoka odbijała się w wodzie stawu i na tle pożaru widnokregu brzegi oczeretów i trawniki zdawały się ciemne i matowe. Bał się wówczas tego pokoju i chciwie łowił uchem dalekie odgłosy z głębi domu. W końcu zasypiał rozżalony swą samotnością, lecz kiedy budził się czasem w środku nocy powtórnie, a świecił okrągły, zaczerwieniony księżyc, to nie bał się już wcale. Był przecież niewinny, jego rąk nie splamiła krew i nigdy by nie uwierzył, że kiedykolwiek splami. Słuchał milczenia parku za oknami i szumu strumienia, jak wlewa się w staw. Wszystko wokoło było tak wielkie, wspaniałe i niezapomniane. Nie rozumiał wtedy jeszcze, że szum tej wody jest równocześnie szelestem przelewającego się czasu, z którym powoli, niepostrzeżenie, ale nieodwracalnie odpływa od niego cała beztraska i szczęście tamtych lat...

Drgnął czując na swym karku czyjś wzrok. Równocześnie usłyszał za plecami miękki jakiś szmer i odwrócił się błyskawicznie, wyszarpując z kieszeni pistolet. Nacisnął spust. „Chrystu świątyj! Niechże pan nie strzela!” krzyknęła na to ciemna postać z głębi drzwi, „To pan żyje?”, a on: „Wasyłko!?” tamten zaś znowu: „Chrystu świątyj! Toć my sia przestraszyli, kto tu po nocy łązi. O włos byłby mnie pan rozwalił”, a on: „I tak naboju nie było, zapomniałem” wyszeptał opuszczając pistolet, który był

zimny, że przenikał aż do kości, i zbliżyli się ku sobie sztywno; wyteżając wzrok patrzyli na siebie, jak ludzie dawno umarli, nieoczekiwanie spotykający się na innym świecie. Wreszcie Paweł pierwszy przytomniał, położył Wasylce Hanczarowi rękę na ramieniu, przycisnął go do siebie, a Hanczar: „Nie trzeba, panie Pawle, nie trzeba” powiedział, „Myślał ja, że pana już zakatrupili”, Paweł zaś: „O swoim ojcu wiesz?”, a Hanczar krótko: „Wiem wszystko”, i rozdzielili się, i znowu patrzyli na siebie, aż Paweł sobie uświadomił, że gdyby nie usłyszał był wcześniej głosu Wasyla, nie poznałby go, tak wydał mu się odmieniony, zarośnięty, z jakimiś tatarskimi wąsikami, październycznymi, jak szczeń na prosiaku, z twarzą wynędzniałą, i szepcząc: „Kiedy to ostatni raz razem byliśmy? Z miesiąc, albo chyba więcej będzie...”, dopiero teraz zorientował się, że szepce. Hanczar odpowiedział głośno: „Od pięciu dni my tutaj. Ja, Kondratowicz Jarosław, pana Wasilija z Kondratowej syn, i nasz Stefański, najciężej kontuzjowany”, i znowu dotknął jego ręki, jakby chciał się upewnić, że on, Paweł, przed nim rzeczywiście żywy stoi. „Prędzej bym ducha się spodziewał” powiedział na to Paweł odgadując jego myśli. Hanczar wyjaśnił: „Chorąży Pankala wysłał nas na objazdkę pod Łoszakowski zaścianek i jak tam nas własowcy przydusili do toru, to tylko z ośmiu, my trzej wyszli cało”. „Straciliście łączność z brygadą?” zapytał Paweł. „Z kim tu teraz łączność, panie” — odpowiedział Hanczar — „Laudański zapadł daleko za Sertem w lasy, a inni komendanci pewnie toż samo. Jeden pistolet maszynowy i kabek na trzech nam ostał, że zdychać przyszłoby łącno, gdyby nie stary Hryła, pan wie, pastuch. Zaopatrzenie nam daje. Kryjem się tutaj, we dworze”. Więc Paweł: „No to prowadź, Wasylko, pogadamy później”.

Wtedy Hanczar ujął go ostrożnie pod łokieć i pociągnął korytarzem ku schodom w sieni. Od księżycy było jasno jak w dzień. „Stopnie są powyłamywane” ostrzegł już na piętrze, z lekka popychając go między zwalone deski i krokwie stropu w otwór nad podłogą, od którego musieli na kolanach pełznąć jakiś czas metr za metrem pod nowym rumowiskiem, i nagle byli w prawej części domu, a Paweł prostując się spostrzegł na wprost szparę światła pod zamkniętymi drzwiami i posłyszał za sobą: „To tutaj” głos Hanczara, który zaraz dodał: „Pożar tylko tamtą stronę ogarnął. Strawił strop i odciął dostęp dalej, toż czego swołocz na samym początku nie nabuszowała, już się ostało”. Więc otworzył te drzwi, przed którymi się znaleźli, i to był pokój wuja sędziego.

W blasku nakapanej na pudełko od zapatek ślipuszki zoba-

czył, jak z kozetki dźwiga się brodaty młody człowiek, a drugi, równie brodaty, w którym, mimo zarostu, od razu rozpoznał glebowieckiego chłopca Stefańskiego, unosi się na łokciach z otomany. Twarze obu mężczyzn wyrażały zarówno ulgę, jak zdumienie. Okno było osłonięte szczerlnie samarkandzkim dywanem, w pokoju stały całe meble, na ścianach wisały obrazy i fotografie, wewnątrz pachniało kwaśno kumyśnym chlebem i machorką. Gdy uściskał obu mężczyznom dłonie, przypatrywali się sobie w milczeniu. Po jakimś czasie dopiero, pierwszy odezwał się młody brodac z kozetki: „My się już znamy, panie Woynowicz. Byłem tutaj raz latoś. Zaś przed wojną, to przychodził pan do nas ze swoim kuzynem, tym ruskim z Czupryni, na ryby”, a Paweł bez trudu przypomniawszy sobie mężczyznę z otrzymanym kulbaki, przepasanego patrontaszem, który przywiózł niegdyś do Gleb rozkaz stawienia się na nocną akcję przeciwko Poczajewowi. Czując, jak twarz zadrgała mu i się ściągnęła, powiedział prędko, cicho: „Wiele zmieniło się, chłopcy. Wtedy my górowaliśmy nad okolicą, teraz ona góruje nad nami”, a mimo, że nerwowe drgawki zaraz opanował, zgarnął je jednym bezwiednym ruchem ręki, to jednak zauważyli i masywna, koścista twarz chłopca Stefańskiego, tak samo się skurczyła, zadrgała, zaciśnięte zaś oczy broniły się przed łzami. „Żonę mu powiesili i matkę” wytłumaczył Hanczar, „Córkę zaś wywlekli i... pan wie”, a Paweł odwrócił się, żeby na Stefańskiego nie patrzeć. Zrzuciwszy z ramienia karabin siadł na kozetce. Mężczyźni zbliżyli się, stanęli kołem naprzeciw niego i milczeli, aż powiedział: „Siadajcie, u licha. Ranni? No, mówże, Hanczar!”. „Kondratowicz w biodro, ale mu sia goi. A Stefański w brzuch dostał. Ja miałem postrzał po wierzchu, po żebrach”. I ponownie zapanowało długie, ponure milczenie. Każdy z nich ważył jakieś słowa, ale ich nie wypowiedział. Wreszcie on, Paweł, się odezwał: „Tamtego dnia, wiecie, osłaniałem przejście przez rzekę pułku Draży. Z całej drużyny cekaemu zostałem chyba sam jeden, jak palec. I to dlatego jeszcze, że uznano mnie za trupa”, a że znów nikt nie powiedział nic, pomyślał o tym dalekim już teraz dniu, kiedy został sam, kiedy wpiery umarł wachmistrz Szyła, o rozkazie, który wykonał być może zbyt późno i dlatego utracił część ludzi, i o Rożkowskim z ochrony sztabu, jak to on zabrałby się do roboty, gdyby wiedział, jak z tym rozkazem pułkownika było, i o jakimś czarnym buciku brzemiennej kobiety, który odrzucił od siebie, choć przecież do krwi tak przywykł; i przypomniał sobie stojących nad wykopem Niemców, gdy leżał twarzą do ziemi tracąc przytomność, ich głosy utrudzone, puste, obojętne, jak gdyby chłopów po znojnym dniu sianożęcia; i ciało stajennego Chrobaka na swoich plecach,

twarde niby drewno, zmarznięte, kiedy przytomność odzyskał; i rozumiał dlaczego oni, Hanczar, Kondratowicz i Stefański nie mówią o sobie, on sam przecież również nie chciał, zbyt byli do siebie podobni, zbyt podobne były ich dzieje, stało się z nimi to, co bywa niekiedy z ludźmi, którzy znając się nawzajem i do siebie upodabniając rozumieją się doskonale bez pomocy wymiany doświadczeń, przy czym ta naturalna ludzka potrzeba porozumienia się słowami stopniowo u nich zanika tak dalece, że gdy się już w końcu odezwą, to ich słowa znaczą zbyt wiele, albo w ogóle nic, maskując jakąś krańcowo odmienną myśl, lub zastępowana jest wymową oczu, które bezgłośnie mówią często znacznie więcej niż słowa; a potem jakby się ocknął, spojrzął na siedzących przenikliwiej i zapytał: „Nie wiecie przypadkiem którego dziś mamy? Tak długo lizałem się z rany, że straciłem rachubę czasu”. Odpowiedział Kondratowicz: „Dzisiaj jest osiemnasty grudnia”. Cisza panowała przez chwilę zupełna, a on, jakby rozleniwiony ciepłem pomieszczenia, myślał dalej, teraz tylko ze zdziwieniem: „Osiemnasty? A więc za parę dni opłatek, życzenia, wieczerza, barszcz i smażony karp, choinka, podarki pod choinką, zapalone świece, śpiewanie kolęd, potem rozdzwonioną saną wśród śniegów jazda na pasterkę do miasteczka”, aż posłyszał przedzierające się przez jego myśli pytanie, czy ma ochotę zapalić, a Kondratowicz, nie mogąc doczekać odpowiedzi, kuśtykał już do stołu po torebkę samosiejki, Hanczar zaś podsuwał pudełko z gilzami i tłumaczył: „Ostało się jeszcze po panu sędzim”. Zapalili i w milczeniu obserwowali spod oka swoje twarze. „Kto się tutaj jeszcze trzyma z tej strony Sertu?” zapytał w końcu Paweł, bo przecież nie można było odkładać tego w nieskończoność, to cisnące się na usta pytanie ktoś musiał wreszcie wyrazić głośno. Ale nie odpowiedzieli mu od razu. Siedzieli zadumani, jakby wazyli odpowiednie słowa i szukali najodpowiedniejszego, od którego należy zacząć. Dopiero, kiedy dopalili i sięgnęli do torebki po nowe szczypty tytoniu, Hanczar powiedział prędko, jakby przynagłał go jakiś wewnętrzny przymus: „Pan z Czupryni ostał. Młody się ostał, pan wie, pański kuzyn, Piotr Czerestwieski. Siła on ludzi zebrał, a teraz sroży się, jak jaki wilk, i chodzi, i wsie pali. On jeden z tej strony Sertu. Niemcy wyznaczili duży prajs za jego głowę. On tylko ostał na nich wszystkich”, i zamilkł, chcąc widać jemu, Pawłowi, dać czas na ochłonięcie z pierwszego zdumienia, z tego wstrząsu, jaki doznał i na przyjęcie tej wiadomości. On jednak wpieryw pomyślał tylko: „Więc tak go znalazłem, tak go znalazłem...”, a potem słuchał ich ciężkich oddechów. Czuł ich badawcze spojrzenia na swojej twarzy, wiedząc nawet, co myślą. Że: „On wie od nas dużo więcej. On

mógłby wytłumaczyć, dlaczego właśnie ten szczeniak. Skąd na to znalazł w sobie tyle siły. On jeden wie, co było między nimi naprawdę. Między Czerestwieskimi, a Woynowiczami. A ściślej: między nim, Pawłem Woynowiczem, a tamtym, Piotrem Czerestwieskim. Ludzie mają oczy, dużo wiedzą. On sądzi, że nie wiemy, że nie ma przyczyny, abyśmy myśleli inaczej, niż reszta ludzi, ale byliśmy przecież bliżej. Widzieliśmy więcej”. I wydawało mu się, że słyszy, a może istotnie słyszał: „Myślę, że powinien pan wiedzieć o tym”. Tak, to chyba głos Hanczara.

Ale nie unosi głowy, żeby sprawdzić. Myśli dalej tępo, barbarwie: „Oni się myślą. Nie wiem nic więcej nad to, co oni już sami wiedzą. Nie było chyba między mną, a Piotrem nic takiego, co mogłoby dodatkowo wpłynąć na jego zachowanie się teraz”. I spogląda w dół na nogi tych ludzi w starych zniszczonych spodniach, w zdartych, strzępiących się onucach przyciętych z jakiejś aksamitnej kotary, potem podnosi głowę, przygląda się chudej wysmaganej niepogodami i przeżartej wewnętrznym niepokojem twarzy Wasylki Hanczara. Wydaje mu się, że dostrzega w niej zawód. Słyszy nagle głos Kondratowicza: „Jak zabili starego Mikołaja Czerestwieskiego, to on, ten pański kuzyn, poszedł z ludźmi porucznika Hułłasa. Mówili nawet, że zwariował od tego wszystkiego, co tam się u nich w Czupryni stało. A potem od Hułłasa uciekł i gdzieś się błakał, aż znowu wypłynął, już nie sam”. A wtedy odzywa się znowu Hanczar: „To nie było wcale tak. On nie zwariował, tylko wykombinował sobie, że musi sam dostać w ręce tego Gawryluka Semena, pan wie. Więc go szukał”. Stefański kiwając głową wtrąca się zażenowany tym, co musi powiedzieć. Mówi: „Panu, to przykrość słuchać, ale przecie i tak cała okolica wiedziała, jak i co z tym Gawrylukiem było. Więc on, ten pański kuzyn, co jest bratem tego bękarta bat’ki Gawryluka, chciał to może jakoś sam załatwić. Ale może było całkiem inaczej, bo powiadają, że nasamprzód, to Gawryluk miał go w swoich łapach, kiedy rozwalął Nikoryczę”. Lecz Hanczar ucina krótko: „Może tak, a może nie tak było. Bo w Nikoryczy, to pewne on tylko coś mu powiedział”. I nagle wywiązuje się między nimi ostry spór: „Kto Gawryluk?!” „Co tam mógł on mu powiedzieć? Brednie!”. „Żeby mu nie laź drugi raz w drogę. Bo teraz to on, Gawryluk, sam już jest Czerestwieski”. „Breszesz!”. „Nie breszę. Ludzie powiadają, że on każe się teraz tak nazywać. A że starego, to właśnie on wykończył, bo stary nie chciał go uznać i do majątku dopuścić”. „Wcale nie tak! Starego wykończyli biali Rosjanie z Ruskiej Oswoboditelnej Armii. Nie chciał wejść do jakiegos tam ich komitetu wyzwolenia od Sowietów, co rezyduje w Ka-

mieńcu Podolskim”. „Coś ty! Słyszał ja, że to gawrylukowych robota. Zresztą nikt starego Czerestwińskiego nie rozwalił, a on sam się otruł. Czuprynię im tylko rozwalono”. „Tych, czy tamtych robota, na jedno wychodzi. W każdym razie od śmierci tego starego to się zaczęło”. „Wcześniej. Jeszcze w Nikoryczy. Kiedy Gawryluk z Piotrem Czerestwińskim się spotkali”. „Niech ci będzie, spierać się nie muszę”. „Prawda, że nie ma o co. Bo gdyby tak na zdrowy rozum wziąć, okazałoby się, że zaczęło się jeszcze wcześniej”. „Ja myślę. Gdy stary Czerestwiński, albo też ten młodszy, jego syn Teodor, czy ktokolwiek zresztą z nich był, powiedział mu, jak to jest z nim, Piotrem Iwanowiczem Czerestwińskim, i jak to z Gawrylukiem. Że jednej oni po ojcu są krwi”.

I on, Paweł, słyszy, jak poszczególne zdania wypowiedane przez każdego z nich stapiają się w jedno, brzmiąc w tym zimnie, wśród ich rozkłębionych, parujących oddechów donośniej, wyraźniej, ostrzej, choć naprawdę każdy mówi z osobna, reprezentując odrębny punkt widzenia i inne środowisko (bo Stefański, to chłop, chleborób wyrosły z tej aż kwiczącej często na przednówku biedy, w której grzęzła od pokoleń większość jemu podobnych, ledwo co piśmienny, dokszałcony dopiero w wojsku, a Hanczar, wprawdzie skończył sześć albo siedem klas, ale poza ościenne powiaty nigdy nosa nie wychylił, natomiast Kondratowicz jest chodackowym szlachcicem na jakiejś tam półtrzecia włóki, niczym więcej się nie różniący od zasobniejszego chłopca, niż owym anachronicznym szlachectwem, które tu, na tym zapadłym krańcu Europy wciąż jeszcze ma znaczenie społeczne), tyle że różnice ocen zwolna też się zacierają, w miarę jak opowiadana przez nich historia przestaje być tylko dla niego, a opowiadają już ją na nowo sobie samym. Znają przecież dobrze pointę. Polskie oddziały Armii Krajowej i podporządkowane jej Bataliony Chłopskie odeszły za Sert dążąc do koncentracji w innym miejscu. Cały powiat wydany został na pastwę sfanatyzowanej czerni spod znaku trójzęba, halickiego lwa i prawosławnego krzyża, różnych odcieni band faszystów ukraińskich, niemieckich tajniaków, łapizydów, pacyfikatorów w mundurach SS i Wehrmachtu, zwykłej hołoty żądnej łupów i gwałtu, oraz nastanych przez gen. Begmę prowokatorów z za Zbrucza. Został człowiek obcy. Nie związany z tą ziemią żadnymi silniejszymi węzłami krwi, młody, zdawałoby się, chłopak jeszcze. I to on właśnie trzyma tę tutejszą patołocz, jak gdyby na muszce karabinu. Oni więc muszą odpowiedzieć sobie, jak do tego doszło. Skąd wzięła się jego siła, odwaga i zdecydowanie. Muszą od nowa zanalizować tę historię, choć zapewne analizowali już nie raz. Poszukując

jej początku, sądzą, że wyjaśnią dalszy jej bieg. Siedząc naprzeciwko, wpatrując się w niego, Pawła, badawczo i wyczekująco. Bo jest Piotra Czerestwińskiego kuzynem. Jak gdyby chcieli, aby się przyłączył do ich opowieści i też powiedział, co sądzi. A on, choć jeszcze nie sądzi nic, to jednak słucha, myśli i widzi. Widzi i myśli słuchając ich głosów, które mimo że milczy, są jego własnym głosem też. A więc to wszystko dzieje się, jak gdyby ponownie.

Znowu ten pierwszy dzień Piotra w Czupryni, gdzieś chyba pod koniec wiosny, kiedy Piotr przyjechał z przeciwnego krańca kraju, z Wielkopolski od rodziny swej matki, jeszcze wciąż pod damską opieką przedwojennej guwernantki, jeszcze chłopak, jeszcze pełen nieskalanej niczym naiwności i wiary w prostotę świata (choć nie musiały minąć trzy miesiące, aby przeistoczył się w dojrzałego mężczyznę, który potrafi zabijać), wprowadzie już z wiedzą, że wiele zmieniło się wokół niego od trzydziestego dziewiątego roku, to jednak równocześnie i pewną nadzieją, że w Czupryni u jego dziadków zmieniło się najmniej, gdyż, być może, nadzieję tę w sobie przez poprzednie trzy lata uporczywie podtrzymywał, wzdragając się wkroczyć zbyt wcześnie w wiek męski, co przecież było udziałem każdego młodzieńca w tym okrutnym czasie. A więc z początku były tylko ceremonialne posiłki przy wspólnym stole, te lekkie, nie zgłębiające istoty ówczesnych prawdziwych nastrojów rozmowy o sąsiadach, o wydarzeniach rodzinnych w okolicznych dworach wziętych pod niemiecki Liegenschaft, ploteczki o znajomych. Rozleniwiający upał. Przejazdki łódką, partie krokieta, lub tenisa, łowienie ryb, opowiadania o koniach, psach i polowaniach. Wieczorem celebrowanie herbatek w babcinym saloniku przy świecach i muzyce. Być może jeszcze długie opowieści Teodora Czerestwińskiego, gawędziarza należącego do tego wymierającego już typu naukowców, którzy potrafili swe dociekania zaprawić poezją, a nawet szczyptą fantastyki. O wojnie prawdopodobnie nie mówiono wcale, albo rzadko. Przynajmniej nie przy nim, Piotrze. Komentarzami na temat wiadomości łapanych z londyńskiego radia dzielono się dyskretnie, najczęściej, gdy nie było go w domu, a gazet niemieckich, czy też polskich „gadzinówek” zazwyczaj nie czytano. Wojna pognęła dalej w głąb bezkresnego Wschodu i ich, Czerestwińskich, więcej nie dotyczyła. Należeli oni do ludzi, którzy szczerze jeszcze wówczas wierzyli (chcieli wierzyć), że te dwa krwawe kolosy, niemiecki i sowiecki pożrą się w końcu nawzajem, wykrwawią, by potem na gruzach obu imperiów zatriumfować mógł znowu Zachód, Europa i najszczytniejsze ideały, jakie Europa i Zachód wytworzyły. Więc on, Piotr, jeśli nawet zrazu

miał może wątpliwości, czy rzeczywistość jest taka, jak sobie wymarzył, prędko postarał się ich pozbyć i chętnie poddawał się złudnej atmosferze bezpieczeństwa i trwałości społecznego porządku; w jego życiu wtedy było jeszcze tylko miejsce na westchnienia i miłość. Zwłaszcza kiedy o zmierzchu szedł z Katarzyną nad potok i tam się kąpali, albo siadając na skarpie spoglądali na okolicę mając przed sobą widok na dolinę, wieś za doliną, a za wsią daleko występowały pola i łąki z pastuszymi ogniskami. Podkochiwał się zresztą w Katarzynie już w latach chłopięcych, a właśnie wówczas po swoim przyjeździe do Czupryni, chociaż z chłopięciami nie zupełnie wyrósł, to jednak był przystojnym młodzieńcem o ciemniejszym prędko zaroiści, nad wiek rozwiniętą inteligencją i zamglonym melancholią spojrzeniu, ona zaś zdążyła owdowieć.

Wszystko im sprzyjało: niebo bezchmurne, ledwo okwitły bzy i jaśminy, już sypała kwieciami karagana i akacjowce, i czeremcha tak odurzająco pachniała. To była wiosna szczególna. Dookoła szalała wojna, tam zaś, jak na wysepkę otoczoną zewsząd bezkresną wodą, zdawały się nie docierać nawet jej przytłumione echa. Wiosna z drozdami wyśpiewującymi w księżycowej poświacie, ze szmerem wodotrysków, strofami wierszy recytowanymi w panińskim Katarzyny saloniku, z firankami wzdymającymi się bezszelestnie w ciepłym, pachnącym powietrzu. Ale przecież ta cała śmieszna sielanka nie mogła trwać długo, zwłaszcza że Katarzyna jeździła w odwiedziny do Czupryni najwyżej raz lub dwa w tygodniu. Zatem prędej czy później Piotr musiał się czymś konkretnym zająć. Być może sam przeniknął przez ów zakłęty krąg murów otaczających ich park, może zaczął rozmawiać we wsi z chłopami, może służba nie zawsze chciała milczeć o tym, co starzy Czerestwienscy pragnęliby, aby pozostało w dyskretnym cieniu. Więc już wtedy zapewne dowiedział się o istnieniu Semena Gawryluka i jego poczynaniach. A jeśli nawet ci nowi Piotra rozmówcy świadomie unikali sugerowania związków krwi między watażką i rodziną Czerestwienskich, to owo groźne nazwisko na pewno powtarzało się w ich relacjach wielokrotnie. Przede wszystkim jednak powtarzało się słowo wojna, które w tych stronach miało tragiczne znamię bratobójczych rzezi, i to musiało zapoczątkować niszczenie tego nastroju bezpieczeństwa i trwałości społecznego porządku, któremu zrazu tak chętnie się poddawał. Potem bez wątpienia musiał dowiedzieć się o zesłorocznym najściu nacjonalistów na Czuprynię i o śmierci ich rezydentki, pani Ireny, wdowy po nauczycielu śpiewu czy tańca, prawdopodobnie przyjaciółki Teodora Czerestwienskigo, tej pięknej pół Polki, pół Rosjanki. I zapewne były

rozmowy z Niko Fiodorcukiem, jego przyjacielem z dzieciennych lat, który chyba opowiedział mu, co w Czupryni się działo zanim on, Piotr, przyjechał, a już bez wątpienia co stało się z ich rówieśnicą, wspólną przyjaciółką z lat przedwojennych, córką Piotra piastunki, którą nazywali Drugą Julią, wtedy właśnie brzemienią po zgwałceniu przez Gawrylukowych bandytów i w początkach obłędu. I potem mogła być jeszcze jakaś dwuznaczna wymiana zdań z Katarzyną; coś przecież o tym wspomniała. Sceneria ciągle jeszcze chyba ta sama: księżyc nad parkiem, gałąź brzozy wyrysowana na niebie niby delikatną akwarelą, zapach dogasającego upału, szmer wiatru, ich kroków, ta lekka, nie dotykająca niczego zbyt długo rozmowa przepleciona być może wspomnieniami ich wspólnie spędzonego dzieciństwa, może robieniem jakichś planów na przyszłość, i wtedy nagła łuna na horyzoncie, nagłe milczenie, zmartwiałe twarze obojga i bezwiedny, już nie do cofnięcia jej krzyk: to fatalne zjawisko Gawryluk. Lecz on, Piotr, chyba jeszcze nie wiedział. Domyślał się może, ale nic pewnego. Prawdopodobnie zaczął dopiero zestawiać sobie różne fakty. Że Gawryluk był utrzymywany niegdyś w ekskluzywnych internatach i posyłany do najlepszych szkół właśnie za pieniądze Czerestwieskich. Jakieś rozdzźwięki sprzed wojny między swoimi rodzicami. Może jeszcze jakieś niedomówione słowo, znaczące spojrzenie któregoś z sąsiadów, albo pokątne szeptu służby. Potem, oczywiście, dużo dała mu do myślenia rozmowa z dziadkiem, do którego poszedł z nadzieją i wiarą, że dowie się wszystkiego, co on, jego jedyny wnuk, wiedzieć był powinien, która to rozmowa nic mu nie wyjaśniła (gdyż dziadek zbyt go mętnymi ogólnikami o rozpadzie starego świata, a powstawaniu nowego, rodzącego się w pożodze i bólach), natomiast głęboko go dotknęła, od dziadka odsunęła i pozostawiła samotnym. Więc później musiały być pytania stawiane stryjowi Teodorowi albo znowu Nikowi Fiodorcukowi, i któryś z nich wreszcie mu powiedział. Tę całą okrutną prawdę, że on, Piotr Czerestwieski jest bratem tamtego, splotzonego z jakiejś ukraińskiej kobiety, jeszcze za Zbruczem na Ukrainie i przywleczonego po pierwszej wojnie przez jego własnego ojca do Polski. Tę prawdę, do której być może już był przygotowany, jednakże nie stała się przez to wcale mniej szokująca, i to chyba dlatego zmienił się wtedy od razu tak bardzo, że powaśnił się nawet z nim, Pawłem, odsunął po kolei od wszystkich prócz Nika, snuć zaczął nierealne plany zemsty na watażce, a potem uciekł z domu i próbował samodzielnie nawiązywać kontakty z partyzantami Laudańskiego, co skończyć mogło się dla niego fatalnie, gdyby nie przypadek, że dowódca

leśnej siatki akowskiej był człowiekiem miejscowym i znał Piotra, jak i jego rodzinę sprzed wojny.

„To Niko Fiodorczyk powiedział mu wszystko” mówi Hanczar. Nie, chyba jednak stryj Teodor, przypomina sobie Paweł, Niko by nie śmiał. Zresztą może było jeszcze inaczej? Może Piotr domyślił się jeszcze wcześniej. Już po tej pierwszej rozmowie z Niko Fiodorczykiem. Wtedy, kiedy Niko opowiedział mu o zgwałceniu Drugiej Julii, o zeszłorocznym zgwałceniu i zamordowaniu pani Ireny, a także niejasno chyba wspomniął jak to Gawryluk zasadzał się nawet i na Katarzynę. Więc kiedy w czasie owego wieczornego spaceru z Katarzyną zobaczyli rozlewającą się na horyzoncie łunę (zdaje się płonął Stoczek) i Katarzynie wyrwało się bezwiednie z ust nazwisko watażki, to on może posłyszał w jej głosie coś, czego tam wcale nie było, a co tkwiło jedynie w nim samym, czego bał się dotychczas zrozumieć do końca. Może po prostu posłyszał nie tylko grozę, ale jakieś wyzwanie jeszcze, i zaczerwienił się (mimo, że w poświęcie księżycowej trudno byłoby z całą pewnością odróżnić rumieniec od bladeści), i stał wyprostowany, gniewny, choć pokorny, bo ten gniew nie mógł pozbawić go pokory, skoro przeczuwał, czy też się domyślał, jaki między nim a tamtym człowiekiem istnieje związek, i zapytał, szepnął: „Powiedz mi dlaczego on tak uporczywie poluje na kobiety z naszego domu? Co to ma znaczyć?”, i jeszcze coś, czego nie mogła sobie później przypomnieć, kiedy jemu, Pawłowi, opowiadała, jak ją Piotr zapytał, jak szepnął pokornie, ze wzrastającą pokorą nawet, wskazującą, że być może nie tylko przeczuwał i się domyślał, ale już wówczas wiedział, iż Gawryluk jest jego bratem i że właśnie ów fakt jest napędową siłą poczynań watażki. Że dlatego tak uporczywie pragnie mieć, zdobyć i posiadać wszystko, co było dotychczas jego, Piotra, udziałem, a czego tamtego, Gawryluka, pozbawiono. Więc przez owo pytanie Piotr chciał się zapewne w swojej wiedzy tylko umocnić. Pragnął posłyszeć w odpowiedzi Katarzyny potwierdzenie tego, do czego sam już był wcześniej doszedł. W każdym razie — obojętne, jak to dokładnie przebiegało — to potwierdzenie przecież musiał wkrótce otrzymać i bez wątpienia otrzymał. I mało ważne również, czy jeszcze wtenczas, kiedy Katarzyna zaniepokojona jego stanem przyjeżdżała częściej do Czupryni, wzbudzając tym taki lęk w nim, Pawle, czy też później, kiedy już jej na to nie zezwalał, kiedy krwawe pogromy w okolicy rozmnożyły się i nagle ten sztuczny nastrój bezpieczeństwa podtrzymywany w tamtym domu, prysł. W każdym bądź razie Piotr poczuł wówczas, jak to wszystko o czym marzył: spokój, stabilizacja, pewność, to do czego dążył jadąc do dziadków na Kresy, a także to, z czym

więzało się jego wyobrażenie własnej przyszłości: dom, majątek, stanowisko, miejsce w społeczeństwie (w które on, pół Rosjanin, pół Polak wrośnie, a ono go przyjmie, tak że nie zazna już nigdy, jak jego ojciec, owego przerażającego ich, Czerestwienskich, poczucia obcości), rodzina, przyszła rodzina własna może też, przede wszystkim zaś tradycja, duma rodowa, świadomość trwania w historii, w ogóle trwanie — wszystko to rozpada się w gruzy, rozwiewa bezszelstnie w powietrzu, jak dym z palonych przez jego brata wsi okolicznych, tonie w krwi toczonej przez tamtego, nie zostawiając po sobie nic, czego można by się jeszcze uciepić. I wtedy właśnie chyba przyszło mu na myśl: „Tylko ja to mogę sam załatwić”. Bo on ów fakt przyjął prawdopodobnie jako karę za winę swego ojca, która jego samego dotknęła.

„Jemu chyba wtedy przyszło do głowy, że tylko on może Gawryluka zabić” mówi Kondratowicz. „Nie, jeszcze nie” myśli Paweł. On się brzydził krwią. Był za dobrze wychowany. Tacy ludzie muszą najpierw to z siebie zrzucić. Może więc później. W czasie swojej ucieczki z czupryńskiego domu i tego krótkiego, nieudanego partyzanckiego występu, kiedy trafił do Laudańskiego. A może jeszcze później. Dopiero, kiedy patrzył na sobaczą śmierć Poczajewa. Kiedy wreszcie zwymiotował z siebie w przydrożnym rowie to całe swoje dobre wychowanie, nienaganne manieri, humanitarne mity, jakimi nafaszerowała go rodzina i sceptyczny pobłażliwy stosunek do świata, w którym oni, Czerestwienscy, trwać mogą bez względu na to, jakie wstrząsają nim konwulsje. Może one, owe konwulsje i jemu się wówczas udzieliły. Ale zapewne wciąż jeszcze był pół młodzieńcem, pół mężczyzną załamany tylko swoją partyzancką naiwną eskapadą, trochę bezradnym, nie potrafiącym u nikogo znaleźć rady lub pomocy, zwłaszcza, że rodzina się rozjechała, w Czupryni został z nim sam dziadek, Mikołaj Fiodorowicz, i być może on, Piotr, wciąż jeszcze czekał, aż ten starzec, który przez tyle lat był jego wzorem, dumą i zaszczeplił mu swoje ideały, porozmawia z nim, niby równy z równym, powie, co należy czynić i pomoże. Bo on w dalszym ciągu nie rezygnował jeszcze. Chciał wiedzieć, jak wielka jest wina jego ojca i jak wielka musi być za nią kara. Chciał wiedzieć, czy jeśli spróbuje po swojemu ową winę zmyć, zmieni to w czymkolwiek sytuację ogólną. Czy, jeśli rozpędzone koło bratobójczych rzezi obracać się będzie dalej (a nie był przecież głupcem, wiedział, że nie da się zatrzymać), to ta wina zostanie, utrwali się, czy też nie. Bo on pragnął żyć w zgodzie z sobą samym przez resztę życia. Już się zdecydował, ale potrzebna mu była wiedza, czy jego decyzja przyniesie jakiś społeczny pożytek. Więc zapewne na cierpliwym czekaniu na zdanie dziadka

minęły te prawie dwa tygodnie kiedy byli ze sobą sami, dwa najbardziej martwe tygodnie od dnia zabicia Poczajewa do dnia wyjazdu do Nikoryczy. Aż Piotr musiał zrozumieć, że dziadek nie powie mu nic takiego, co on pragnąłby od niego usłyszeć. I że Mikołaj Fiodorowicz się boi. Gdy on, Piotr, zdążył przez parę tygodni swego pobytu w Czupryni gwałtownie, nieodwracalnie wrosnąć w tę ziemię i jej sprawy, w to wszystko co wokół się działo: w mordy, rzezie, pacyfikacje, w nienawiść, poczucie winy ogarnęło go i przygniotło, jego dziadek, Mikołaj Fiodorowicz, jak gdyby wyminął go, zaszedł już gdzieś dużo dalej na swej drodze, niż on, Piotr, i bał się. Piotr później opowiadał o tym sędziemu. To było krótko przed jego, Piotra, odjazdem do Bazylanów w Nikoryczy. Zmierzch, odurzający zapach rozpiętej na murach glicynii, zapach papierosów w gilzach palonych przez dziadka jeden po drugim, na trawnikach za oknami świetliki. Ta zaufana, złożona prawie z samych „białych” Rosjan służba pakująca w kufry pamiątki rodzinne, najcenniejszą starą broń, starodruki, zbiory archeologiczne Teodora Czerestwieskiego, obrazy, porcelanę, wszystko to, co można było (nie ogołocając pałacu, żeby nie zwrócić uwagi dochodzących do pracy ze wsi) zdjąć ze ścian i ukryć w tamtejszych przepastnych piwnicach. I zadumany, nieobecny wyraz twarzy tego sędziwego starca, który przeliczył się osiadając w Polsce po rewolucji, gdy miał jeszcze dość pieniędzy, aby urządzić się, jak zamożny polski ziemianin, a za mało strachu, aby zwiewać, jak najdalej od tych stron i zacząć życie rentiera w Szwajcarii lub Francji chociażby. Czy też może dlatego, że popełnił tę kardynalną pomyłkę, wracając tutaj ponownie wczesną jesienią w czterdziestym pierwszym roku, mimo tamtej wrześniowej nauczki. I wówczas jakieś pytanie Piotra. Zapewne pytanie o to, czy owo pakowanie, które widzi, oznacza ucieczkę. I odpowiedź, której sam musiał sobie udzielić, skoro jego dziadek milczał, i skoro go nawet nie dostrzegł. Odpowiedź wynikającą ze znajomości życia Mikołaja Fiodorowicza. On przecież nigdy nie uciekał. Nawet w czasie tamtej rewolucji. Przegrał w walce, wycofał się, ale nie uciekał. I w końcu Piotr (może jednak padły wreszcie jakieś słowa) zrozumiał, że dziadek uznał, iż tym razem wali się nie tylko jakiś tam świat w ogóle, lecz ten najbardziej trwały, twardo przetrzymujący dotychczasowe zawieruchy świat Czerestwieskich. Że wali się przysypując ich, a oni giną pod jego gruzami. I nagle tamte wszystkie pytania przestały być ważne, i kiedy Mikołaj Fiodorowicz zaproponował mu wyjazd do Nikoryczy (skąd od Bazylanów zabrać go wkrótce miała matka), to on się poddał, zgodził bez oporu. Zrozumiał, że dziadek boi się o niego. To był prze-

cież ostatni lęk, jaki temu starcowi jeszcze w życiu został. Więc nie chciał mu już odbierać resztek nadziei, że chociaż on jeden, jego wnuk zdoła być może ocaleć, fizycznie ocaleć, i dlatego pojechał, więcej o Gawryluku, winie swego ojca i karze za nią z dziadkiem nie mając ochoty mówić, a nawet przy nim o tym nie myśląc. Tylko że po paru dniach był w Nikoryczy pogrom, później zaś w Czupryni, zresztą może jeden i drugi równocześnie, i on, Piotr, uznał wtedy, że od tego dnia żyć musi na własny rachunek.

„Oni się tam jednak w Nikoryczy z bat'ką Gawrylukiem spotkali” mówi Hanczar. Oczywiście, spotkali się, Paweł o tym pamięta, wielu widziało i opowiadało. Miasteczko w płomieniach, oszalała bieżąca zewsząd nadciągającej tłuszczy, żeby zagarnąć dla siebie jak najwięcej, już wszczynającej między sobą boje o podział łupów. Gawryluk nadjeżdża na motocyklu z przyczepą, w mundurze niemieckiej formacji „Nachtigal” z oficerskimi naszywkami (niektórzy twierdzili, że w mundurze nacjonalistów ukraińskich spod znaku Bandery), Piotra do niego doprowadzają w jednej z owych wąskich uliczek przyklasztornych. „Oni ze sobą rozmawiali” potwierdza Kondratowicz. Tak, zapewne, rozmawiali. Może Gawryluk postanowił się nad nim jeszcze jakiś czas popastwić? Rozkazując oprowadzić go po miasteczku, żeby sobie popatrzył, może chciał pochwalić się swoim dziełem. Może była to jakaś forma zemsty, sycenie się bezbronnością przeciwnika? Może miał zamiar dopiero później go wykończyć. „Ja myślę, że Gawrylukowi nie stało odwagi, kiedy go zobaczył. Brat przecie” zastanawia się Stefański. Też tak być mogło. Nie odważył się strzelać do bezbronnego człowieka swej krwi. W każdym bądź razie wówczas chyba Piotr, jeśli nie zrozumiał jeszcze, że sam też jest silny, to podświadomie to w sobie wyczuł. Nie uląkł się przecież tamtego, bo splunął mu pod nogi, a tamten nawet nie sięgnął do kabury po broń, zniósł tę obelgę, przyjął ją. Zapewne Piotr nie oczekiwał wcale takiej reakcji, chciał może tylko skrócić swoją mękę. Więc to musiał być zwrotny moment w Piotra życiu, nie ma dwóch zdań. To nagłe i krótkie poczucie siły już w nim pozostało, nawet gdy został sam, zdany na strażnika, czy strażników, którzy go prowadzili po pustoszonem i dobijanym miasteczku, jakby nie bardzo wiedzieli, co mają z nim począć i potem zamknęli w jakimś domu wraz z wybranymi z tłumu kobietami, przeznaczonymi przed zamordowaniem do po hulanki na noc. A później coś się stało. Oni pod wieczór zaczęli te kobiety wyprowadzać. Dzielili się nimi. Ale tych, co chcieli kobiecego ciała było więcej, niż kobiet. I choć męczyli je tak długo, że strzelając po wszystkim w brzuch, dobijali już

tylko ludzkie ochłapy wstrząsane podświadomymi jedynie drgawkami, to jednak tych czekających swojej kolejki nie ubywało i zaczęli się o nie między sobą bić. Wtedy Piotr stamtąd odszedł. Może zbyt byli zajęci swoim procederem i nie zauważyli, może widzieli, ale rozeszło się wśród nich, że nie wolno go tknąć, w każdym bądź razie on odszedł spokojnie, powoli, nie przyspieszając wcale kroku, nawet gdy przedzierał się przez zasłane martwymi ciałami ogrody i strażę posłały za nim parę kul, nie wiedząc kto w ciemności, nie opowiadający się hasłem, idzie. Nie czuł w sobie nie tylko potrzeby pośpiechu, lecz także strachu, ani wściekłości, ani bólu, ani żalu, ani łkania, nic w ogóle, bo musiał wcześniej odkryć, że nagle przeistoczył się jak gdyby w innego człowieka, jak gdyby zmienił skórę, osobowość, wszystko, ledwie sam siebie poznawał, i drżał aż z podniecenia, tak to go przejęło. A potem był już daleko za miasteczkiem. Zapewne nie pamiętał wcale, jak znalazł się po przeciwnej stronie wąwozu, gdzie obozowali ci, co w miasteczku nie zdołali się pomieścić, i skąd również dochodził świdrujący w uszy krzyk gwałconych kobiet, którego wrzawa dzikiej libacji przy śpiewach, okowicie i dźwiękach bandurki nie była w stanie zagłuszyć, ani jak ruszył wystepowiały ugorami w stronę Czupryni. Ludzie potem powiadali, że on opowiadał, iż nawet nie pamiętał, jak dotarł do jarów, między którymi droga skręcała do Tuczapska, jak zбочzył, omijając Tuczapsk, bo pewnie posłyszał tę dogorywającą strzelaninę przy — wtedy właśnie obleganej — tuczapskiej plebanii, ani nie pamiętał, jak znalazł sobie jakiś skrót, żeby obejść zbójckie futory Łuczaków i Horków zajmujących się przed wojną spędem na Wołyń kradzionych koni, a teraz dostarczaniem Niemcom ukrywających się po lasach Żydów. Ni stąd, ni zowąd zorientował się, że już nie idzie powoli, jak przez miasteczko i za miasteczkiem, ale biegnie równym, wydłużonym kłusem niby koń, i że biegnie tak dość dawno, bo łuna znad Nikoryczy ledwie dogasająco czerwieniła skraj horyzontu i noc kłoniła się ku brzaszkowi. Chyba jednak nie pomyślał wcale gdzie biegnie. Te jego raz wprawione poza wolą w równy, prędkie ruch nogi same go niosły, być może jedynie dalej zachłystywał się odkryciem swej siły, kiedy zmierzył się z Semenem Gawrylukiem i ujrzał jego dzieło, tym odkryciem, że nagle stał się kimś innym, niewiele albo prawie nic z tamtym poprzednim mającym wspólnego, i pewnie myślał, że musi to sobie wszystko gdzieś spokojnie powtórnie rozważyć, kiedy znajdzie na to jakieś odpowiednie miejsce. Dopiero o świcie posłyszał strzały i zorientował się, że aczkolwiek dalej biegnie, tego ruchu raz rozpedzonych mięśni nie mogą powstrzymać, to jednak od czasu do czasu przystaje, pomiędzy

jednym, a następnym skokiem do przodu nasłuchuje, przypada do ziemi, potem znowu przemyka pochyłony zaroślami, albo miedzami wśród zbóż, i to już było rano, było jasno i spostrzegł, że jest w Czupryni, natomiast strzały słyszane przedtem, rozlegały się tuż za murem parku i od strony pałacu.

„To był Gawryluk”, mówi Hanczar, „Pewnie Gawryluk zostawił nieco swoich, żeby dodusili do szczytu Nikoryczę, a sam z którąś z sotni podskoczył wykończyć starego Czerestwińskiego. Za jednym zamachem. Niemcy przecie wycofali się do Krzyżtopola, żeby mu nie przeszkadzać i miał wolną rękę”. Paweł myśli: „To nie mogło być tak”, ale nic nie mówi. Tymczasem Kondratowicz oponuje ostro. Mówi do Hanczara: „Ta ty słuchaj, mówię ci ja, że to nie gawrylukowi ludzie, ale ci biali Rosjanie z ROA. Albo mogli to być Niemcy. Wiadomo, stary ukrywał broń dla Laudańskiego”. Lecz o takiej ewentualności Paweł nie chce myśleć. Czuje że drży. Jest wprawdzie piekielnie zimno, jednakże wie dobrze, iż drży wcale nie z zimna, bo przypomina sobie szpicla Antypkę i co Antypko mógł Niemcom donieść, i mówi: „Dajcie spokój, wszystko jedno kto, teraz to nieważne”. „Nie ważne, nie ważne, a co w końcu ma być ważne?!” stawia się Stefański. „Nie ważne” ucina Paweł. Ważne, żeby on nie musiał o tym myśleć, jeśli już tyle razy udało się uniknąć odpowiedzi na pytanie, kto, w jakim celu dokonał najścia na Czuprynię i od analizowania własnego w nim (tym najściu) udziału, ale myśl wciąż nie jest posłuszna, nie chce od kulawego szpicla odskoczyć i widzi tę chwilę, jak go ustrzelił przez winorośle (tylko że parę miesięcy za późno) i kapiącą spod stropu nad gankiem antypkowej chaty krew widzi, a potem spadający miękki tłumok ciała, w końcu jednak uwalnia się od obrazu i znowu jest przy kuzynie w Czupryni. Był już dzień, prawie południe, kiedy Piotr przedarł się przez linię atakujących i dotarł w pobliże pałacu. Chyba chcieli wziąć Mikołaja Fiodorowicza żywcem, zbyt bowiem długo to trwało; broniących się było tam w środku niewielu, dziwne, że nie wyduszono ich granatami. Jednakże kiedy Piotrowi udało się wreszcie przedostać do wnętrza pałacu, nikt już z nich chyba nie żył, stary Czerestwiński też, tyle że nie skończył od kuli, a od trucizny, którą sam zażył, więc to naprawdę wyglądało tak, jakby wiedział, że chcą go żywego i postanowił im nie dać tej satysfakcji, kiedy w końcu przyszli, wdarli się do środka, zdobyli ten tak dobrze umocniony i broniony dom, którego nikt już wtedy nie bronił. Piotr musiał tam być, gdzieś się wewnątrz ukrywał, widział wszystko i wiedział kim oni, ci napastnicy byli. I to nie mogli być ludzie z ROA, jak Piotr, tegoż jeszcze wieczora starał się wmówić polskim party-

zantom od Hułłasa, co nadciągnęli z odsieczą, słysząc echa obłążenia. Nie mogli to być także Niemcy. Napastnikiem był bez wątpienia Gawryluk. Bo skądże by później to wytrwałe, zaciekle chodzenie Piotra gawrylukowymi śladami? Tylko że on nie mógł hułłasowym ludziom powiedzieć prawdy. Gawryluk był przecież jego bratem, a więc wnukiem tamtego, już nie żyjącego, i on, Piotr, stojąc nad zastygłym, zeszywniałym w fotelu trupem swego dziadka (jak go ci partyzanci zastali) uważał, że starzec załatwienie owej zawikłanej sprawy rodzinnej zostawił w spadku wyłącznie jemu, toteż nie miał zamiaru tych polskich partyzantów w nią wciągać.

Mówi Kondratowicz: „Jak pan chce. Niech będzie, że to zrobił Gawryluk”. „Wcale tego nie chcę, tak sądzę” odpowiada on, Paweł, na to, a Kondratowicz: „Może być”, a on: „A nie musi?”, a Kondratowicz: „Wcale nie musi, no, ale może... Zresztą Hanczar też podobnie sądzi. Że to Gawryluk”, i jego wzrok zatracza swą poprzednią ostrą przenikliwość, gdy dalej ciągnie: „W każdym razie pański kuzyn od Hułłasa prysnął bardzo prędko. Jak tylko doszedł do siebie po tej śmierci starego Czerestwińskiego i zniszczeniu domu. Mówiono, że ukrywał się w zrujnowanej Czupryni”. I Paweł widzi: on, Piotr, musiał znaleźć sobie odpowiednie miejsce, żeby w spokoju kilka rzeczy rozważyć. Widocznie u Hułłasa w oddziale takiego miejsca nie było. A może cele Hułłasa miał inne. Więc uciekł, czy też po prostu odszedł, i nikt o to nie miał doń pretensji; partyzanckiej przysięgi przecież nikomu nie składał. Zresztą zapewne zrazu nie miał jeszcze żadnych sprecyzowanych planów. Ale wrócił do Czupryni. Jak gdyby na dawny, ledwo co ostygły trop. Od popa, z którym Czerestwienscy byli zaprzyjaźnieni dowiedział się, że dziadka pochowano, że rodzina wywiozła na Zachód, co jeszcze rodzinnego dobra ocalało, jego zaś gdzieś szukają po okolicznych miasteczkach, a więc nie tam, gdzie trzeba. Do Gleb nie chciał iść. Zapewne powiedziano mu, że Katarzyna ze świekrą wyjechały do Krzyżtopola. Poszedł więc na skraj angielskiego ogrodu, który ciągnął się bez mała kilometr za pałacem, łącząc dalej z pustkowiem porośniętym burzanem, nogi go same zaniósły w to miejsce, gdzie za stawami w trzcinach i zaroślach ścieżki wydeptane przez dzikie kaczki prowadziły do tego ulubionego przez niego zakątka przy zwalonym dębie, obok którego był jeszcze szałas po starym strzelcu dziadka, Czerkwasiu, z ułożonymi w krąg kamieniami i żelaznym rusztem, pamiętającym czasy, kiedy nie raz piekli na nim z Nikiem Fiodorcukiem ustrzelonego w okolicy ptaka. Wczołgał się do wnętrza, usiadł tam, opierając plecami o wilkliwą plecionkę ścianki i zaczął myśleć. Bo jeszcze nie potrafił

dojść z tym wszystkim, co przeżył, do ładu. Jeszcze nie uświadomił sobie, do czego jest zdolny. Czuł, że jest silny, nie mniej silny, niż Semen Gawryluk, ale na razie wiedział jedynie to, do czego tamten jest zdolny, natomiast do czego on, Piotr — wciąż jeszcze nie wiedział. Szukał odpowiedzi, wyjaśnienia pośród tego czegoś w sobie, co było jego własnym, skromnym doświadczeniem. Lecz nie znajdował. Więc później zaczął szukać w tym, co musiało być doświadczeniem życiowym jego brata po ojcu, Semena Gawryluka. Przed oczyma miał ciągle tę scenę: Gawryluka we wrogim mundurze rozpartego w przyczepie motocykla i siebie, stojącego pod strażą, w poszarpanym ubraniu, z rozwichrzonymi włosami, nadpalonymi rękami po pożarze w klasztorze; ich obu, jego i siebie naprzeciwko, braci, przedziwnie podobnych, jakby różne matki zamiast umniejszyć to podobieństwo, jedynie je uwydatniły, zwielokrotniły identycznie cechy, ukazując w Gawryluku jego, Piotra, twarz taką, jaką będzie za parę lat; i w uszach miał ciągle tę rozmowę: krótkie, rwane, staccato padające i odpychające się nawzajem zdania, żeby zapobiec, aby się sobie nie rzucili do gardła: „Więc tak płacisz...”, „Jak widzisz”, „Nie boisz się?”, „Czego”, „Że i tobie w końcu za to zapłacę?”, „Kto?”, „Chociażby ja”, „Ciebie już nie ma”, „Jestem, skoro ze mną rozmawiasz”, „Wystarczy, że wpakuję ci jedną kulkę”, „Tego nie zrobisz”, „Zrobię jeśli zechcę”, „Nie zechcesz”, „Dlaczego nie miałbym zechcieć?”, „Bo musimy się jeszcze raz spotkać”, „Za słabyś dla mnie, chłopcze”, „Niech ci się nie wydaje”, i długie milczenie, i kilkakrotny skurcz i rozkurcz zmarszczek wokół oczu jego brata, Semena, i wreszcie: „*Uże ty ne Czerestwieskij, my Czerestwieskije*”, i jego, Piotra, splunięcie wraz ze słowami: „Spróbuj się przekonać”, i nowy skurcz i rozkurcz tych zmarszczek pod oczyma tamtego, i prędki gest dłoni w stronę strażnika: „*Widwedy jeho i ne daj zabywaty*”, i głośny warkot motoru uwożącego watażkę w głąb jednej z uliczek, w głąb tego dymu, krzyku przedśmiertnego ludzi, huku wystrzałów i dzikich wrzasków bandytów zadających mękę i śmierć. Więc wreszcie Piotrowi po owych trzech, albo czterech dniach w szałasie — kiedy tylko nocami wyczołgiwał się na krótko i wędrował na plebanię po żywność, a tak, to siedział i myślał wciąż o tym samym — przyszło do głowy, że doświadczenia jego brata mogą być i jego własnymi doświadczeniami. Że mogą być spożytkowane. I uświadomił sobie w końcu do czego jest zdolny. To mu było potrzebne, z tym mógł żyć dalej, skoro sobie uświadomił. I od razu postanowił co zrobić. Więc już nie musiał tam siedzieć dłużej i opuścił szałas za stawami wędrując dalej. „Ktoś mu pewnie ze służby Czerestwieskich

został” mówi Kondratowicz i zastanawia się. A potem ciągnie: „Może nie wszystkich napastnicy wybili, jak zrazu się mówiło? Zresztą może on miał wiernych sobie ludzi we wsi? Połowa Czupryni, to przecież parcelanci po Firlejach, gospodarze całą gębą, chcący ładu, nie skorzy do rozboju. Widziano go potem w okolicy. Raz nawet, czy dwa razy w Krzyżtopolu. Później powiadano, że ukrywał się w ziemiankach u Żydów wśród błot na Zaserciu, a później jeszcze, że w Motrenieńskim borze. Ale to już nie sam. Z Łoszakowej Polacy do niego szli. Rusini pono też licznie. Broń miał. Cały arsenał z lochów spod pałacu wy dobył”. Paweł na to: „Nikt jej stamtąd wcześniej nie wyciągnął?”. A Hanczar: „Na to trzeba by było znać plany podziemi. Budowla przecie stara. Firlejowie budowali się ze trzy setki lat już będzie temu i to jeszcze na wcześniejszych fundamentach”. Kondratowicz dodaje: „Przejsia, zakamarki, zdradliwe zapadnie, kto by tam trafił. Kto by się zresztą odważył leźć. A u Czerestwieskich broni własnej było sporo, poza tym Laudański magazynował tam to, co miał z angielskich zrzutów. Więc on, gdy znalazł sobie ludzi, od razu posiadał dużą siłę uderzenia”. I znowu opowiadają wszyscy trzej naraz, jak to najpierw poszło z dymem parę chałup we własnej Czerestwieskich Czupryni; widać byli to ci, co trzymali z nacjonalistami albo z Niemcami, czy może na skutek jakichś dawniejszych porachunków. A potem poczęły kolejno płonąć wsie, które dawały ludzi i zaopatrzenie watahom Gawryluka i innym banderowskim albo melnykowskim. I tak przez całą resztę tego suchego, gorącego września, który był bliźniaczo podobny do września w trzydziestym dziewiątym roku; ani kropli deszczu, niebo bez chmur, rozpalone, dyszące upałem. Dymy bijące równą smugą w górę w coraz to innych, niekiedy dość oddalonych od siebie miejscach, jak gdyby ulubionym zajęciem tego oddziału było przerzucanie się błyskawiczne z jednego na drugi kraniec powiatu, wyskakiwanie i atakowanie w najbardziej nieoczekiwanych punktach. Aż do pierwszych śłot w drugiej połowie października i na początku listopada, kiedy ten ich proceder nabrał cech okrutnych. Bo już Gawryluk i Niemcy zaczęli robić na niego obławy. Ale nigdy nie było wiadomo dokładnie kto tropi, a kto jest tropiony, kto komu depcze po piętach. I już nie tylko płonęły chaty, ale i spędzani do chat ludzie. Żeby nie marnować kul. Krew za krew. I Paweł widzi tę gromadę, tę zbieraninę męczczyzn z okolicznych wsi, z których w każdym było zapewne coś z wilka nie mającego odwrotu dokądkolwiek, ani kogokolwiek bliskiego, bo im rodziny wcześniej już wymordowano, i gryzących jak wilki, tyle że nie na ślepo, ale z pełną nienawiścią przemyślnością, zdecydo-

waniem, sprytem, chytrym planem, a na ich czele tego wilka, tego do niedawna jeszcze szczeniaka jeżdżącego pod opieką guwernantki, teraz nagle dorosłego, dojrzałego, świadomego swej dojrzałości, który coś takiego musiał mieć w oczach, że go słuchali i za nim szli. I choć Paweł cały czas — słuchając głosów Hanczara, Kondratowicza i Stefańskiego zarzucających go swoimi opowieściami, właściwie zaś tą jedną opowieścią rozłożoną na głosy, i swojego głosu też, bo ich głosy były równocześnie i jego głosem — stara się oddalić od siebie to, co go jeszcze tej nocy czeka, powtarzając w myślach z uporem: „Jeszcze czas. Jeszcze za wcześniej”, to jednak własny cel, z jakim do Gleb dziś przywędrował, tamto własne postanowienie z Sokalego jaru, coraz natrętniej dobija mu się do świadomości, zwłaszcza, że wydarzenia opowiadane teraz, mieszają się z wydarzeniami dawnymi, wrośniętymi głęboko w pamięć, dotyczącymi wprawdzie innych miejsc i osób, ale upodabniającymi się pod wpływem ich opowieści; i już nie wie, czy słyszy opowieść o pustoszonych przez kuzyna Piotra Czerestwińskiego wsiach, o podpieranych w podpalanych chatach kołem, żeby nikt żywy nie wyszedł, drzwiach i okiennicach, o pamiętliwym, zawziętym odwecie, o dostrzeliwanych gdzieś bulbowcach, melnykowcach, banderowcach, Niemcach, różnych tajniakach, żandarmach i hilfspolicajach, czy też słyszy o ostatnich godzinach własnych Gleb, o pożarze rodzinnego domu, o matce; aż w końcu tamten obraz z pamięci nakłada się na obrazy tworzone przez opowieść siedzących naprzeciw mężczyzn, przesłania je, wszystko inne niknie, a przed oczyma pozostają tylko Gleby, dworski ganek, schody, matka wleczona ze schodów na podjazd, i wśród krzyków i śmiechu tłumu słyszy jej, matki jęk, czy może jej milczenie, tak podobne do jęku, i łomot razów spadających na ciało słyszy, potem zaś w sobie samym, głęboko wewnątrz, jak echo: ten jęk i łomot zmieszane razem.

Zerwał się z kozetki, postąpił krok, jak ślepiec, że mężczyźni poderwali się również i cofnęli. „Na mnie już czas. Nie myślałem, że kogoś spotkam. Pół nocy na gadaniu nam zeszło”. Zimno i ich zdumiony wzrok otrzeźwiły go. Hanczar powiedział: „Jeśli pan idzie do wsi, to ja razem”. Ale odsunął go od siebie łagodnym ruchem: „Zostaniesz tutaj. Wszyscy zostaniecie. Wrócę za parę dni”, i już postanowiwszy, już wiedząc dokąd czas mu iść, dodał: „Jesteście tutaj bezpieczniejsi, niż ze mną, w mojej kryjówce w Sokalim jarze”, a Kondratowicz: „To jak będzie?”, „Czekajcie”, a Hanczar: „Ale pan idzie do wsi?”, „Daj spokój Wasyl. To moja sprawa. Wasza sprawa wylizać się jak najprędzej z kontuzji”. I wtedy zapadła głęboka cisza. Taka cisza, że za oknem osłoniętym szczelnie samarkandzkim dywanem dało się

słyszeć wyraźnie cienkie pogwizdywanie wiatru. Gdzieś w kominie również. Oddechy mężczyzn znowu rozkłębiły się, jakby dyszeli pocąc się z zimna i jakby siłą powstrzymywali cisnące im się na usta słowa. „Nie uciekam, powrócę” powiedział cicho, prawie szeptem. Ich twarze jednak dalej wydawały się nieporuszone i sztywne. Wyminął ich wzrok, i już twardo, i spokojnie: „Potrzeba nam żywności, broni, potem musimy złapać nowe kontakty i znaleźć nowe kryjówki. Nie wszystkich z tej strony Sertu wyprawili na drugi świat, prócz młodego Czerestwienskigo. W każdej wsi mamy jeszcze swoich ludzi. Musimy tylko dobrze poszukać. Dlatego spokojnie, chłopcy”. Więc jak gdyby to wy-czekujące napięcie z ich twarzy nieco ustąpiło. „Rozumiem” powiedział po chwili Hanczar. „To dobrze, że rozumiesz, Wasyl” odpowiedział mu na to i zapiął kozuch, zarzucił na ramię plecak i wzięwszy karabin, ruszył za Hanczarem do drzwi. Wyszli na korytarz. Kiedy Hanczar przeprowadził go przez rumowisko zawalonego stropu, już na schodach odezwał się raz jeszcze: „Trzymaj się, Wasyl. Nie jest aż tak źle”, ale wypadło to słabo i wtedy, bez słowa więcej zostawił go na półpiętrze, spoglądającego poprzez mrok jak on, Paweł Woynowicz, schodzi ze schodów i oddala się przez dudniącą echem sień. Zachrząściły ponaddzierane tapety, z nadworu wionęło mrozem i światłem księżyca. Dopiero przy otworze przy drzwiach śnieg nawiany na podłogę zagłuszył jego kroki. Nie odwrócił się, choć wiedział, że Wasylko Hanczar wciąż tam w głębi stoi i patrzy za nim, jak gdyby nie mogąc się pogodzić, że traci go z oczu.

III

Teraz znowu był sam. Suche, palące liźnięcie twarzy przez wiatr. Mroźny ukrop rozlał się, ostro przeniknął przez skórę. Łamliwy skrzyp szkła pod podeszwami butów, ostatnie stopnie ganku, skrzyp śniegu i oto znów było to miejsce, gdzie wówczas powalono matkę; oczy matki wyrażające bezmierne zdziwienie, że przydarzyć się to mogło właśnie jej, związanej z tymi ludźmi od urodzenia więzami najsilniej wiążącymi, nienawiścią i miłością (których siła równoważyła się zwykle), i strachem przed obcymi, przed wyzuciem przez obcych z ojcowizny, i poczuciem zrośnięcia z tą ziemią na śmierć i życie, poczuciem noszenia w sobie

jej przekleństwa, jej przeznaczenia, fatalnego losu wynikłego z położenia w poprzek tej jak gdyby bramy między Karpatami a nieprzebytą poleską topielą, przez którą Wschód parł zawsze na Zachód rzucając wciąż świeże zastępy dzikich, żądnych podboju wojowników, za którymi ciągnęły niezmiennie przez wieki ludy chciwe łupów i krwi; nawet związanej z tymi ludźmi pychą i wyniesieniem, upadkiem i upokorzeniem, jak wiąże los wyniesionego z upadłym, dumnego, pyszniącego się z upokorzonym i podeptanym; a nawet związanej z tymi ludźmi wspólnym wstydem i pohańbieniem przez najeźdźców, i jeszcze więzami krwi, nie tylko pobratymstwa, zapewne pokrewieństwa również. I zaraz jej ręce stygnące w jakimś nieodgadnionym geście, zobaczył, i podkurczone nogi, i szyję skrzywą, i twarz nachylającą się ku ziemi, twarz w pył rozmielonym niezliczonymi stopami, w brudzie. I nie do zniesienia, prędką myśl przeszła mózg: „Matka błagała o litość? Nie, to nie prawda!”. Szarpnął w bok głowę, aż chrupnęły kręgi karku.

Od drzew podświetlonych księżycem wybiegły mu naprzeciw cienie; nagle zobaczył ich ruch na srebrze i bieli, ich wyciąganie się ku niemu, wydłużanie, jak gdyby chciały go pochwycić, i ich gesty nabierające wielorakiego znaczenia. Potem ogarnął go mrok alei. Słyszał swoje kroki, zbyt głośne. I jeszcze raz była przy nim matka: upadła rozłamana, jakby na dwoje, przyklekła okrążona zewsząd tłumem, i jej ręce podniesione ku nim ujrzał. Lecz dygocząc, niby w febrze i czując zawrót głowy, powoli, z uporem uwalniał się z głębin tego zimnego, tchnącego śmiercią i hańbą wiru. I jak przedtem był już tylko szum wiatru podrywającego się krótkimi, ostrymi smagnięciami, lodowate tchnienie wnikające do wnętrza ciała, tylko skrzyp śniegu pod butami, rozkołysane konary i gałęzie, i wreszcie, niby wyrąbany na księżycową roztocz, otwór: brama w czarnym murze ogrodowym. Minął ją i owionął go czysty, napływający od pól strumień przejrzystego powietrza bez cieni i widziadeł. Mróz tężał, aż trzaskały przydrożne drzewa. Wkrótce policzki i broda pokryły mu się chrząstkim, twardym nalotem szronu.

Zaraz za gorzelnią skręcił z drogi na otwarte, kurzawą osędzieliny zasnuwane wygony i omijając opłotki czworaczne, wy dostał się za chałupy komorników. Cała wieś zdawała się być zakopana w śniegu nieomal po strzechy, zacichła, śpiąca twardo, jakaś, jak gdyby nieżywa, a chociaż niedaleko od Sewruków przystanął na dobrą chwilę i wciągnął w płuca powietrze, aż do bólu w trzewiach, czując jak nozdrza rozszerzają mu się i zwężają czujnie, właśnie tak: rozszerzają, niby u wyżła i zwężają na przemian, to nic prócz bezwonnego powietrza nie mógł w nie uchwycić. Rów-

niez nic nie słyszał. Zanim nie przeskoczył sewruczego płotu z patycza i, grzęznąć wśród zasp, nie zbliżył się do obory (którą, zapamiętał, onegdajszego roku młody Sewruk pobudował za pieniądze z wrażego żołdu), stojącej na styku z ich chałupą. Bo tam usłyszał brzęk łańcucha i, jak pies szarpnął budą, aczkolwiek nie szczeknął wcale. Zobaczył go wkrótce czółgającego się z najeżoną sierścią, kręcącego niepewnie wyleniałym ogonem, ale gdy poklepał go po łbie, pies się uspokoił. Więc już szedł ku oborze służącej tutaj i za stajnię, bo innego budynku prócz nędznej drewnutni w pobliżu nie dojrzał, już zrzucił z ramion plecak (choć nie ciążył wcale, ledwo o nim pamiętał, dopiero, gdy stuknął o ścianę blaszonym dźwiękiem, zaraz usuwając go ze swej świadomości ostatecznie, jak coś niepotrzebnego, przedwczesnego), już, nacisnąwszy kolanem wrota, cierpliwie począł je odryglowywać i oto po chwili stał w ciemnym, ciepłym, amoniakalnym zaduchu wnętrza, posłyszał charakterystyczny brzęk łańcuchów, głuche tupnięcia w słomianą ściółkę, suchy szelest przesuwających się po dnie żłobu aksamitnych warg, i czując, że się nie pomylił, że Sewruk rzeczywiście trzyma tu konie, nie starając się nawet tej ciemności wnętrza wzrokiem przeniknąć, cicho zagwizdał — był to początek, trzy pierwsze dźwięku kurantowej arii ze „Straszego dworu” Moniuszki, do których Tamarę przyzwyczaił od źrebięcia — więc nim jeszcze przebrzmiały, posłyszał gniewne szarpnięcie z głębi, tak silne, że stęknęła belka przytrzymująca łańcuch, i równocześnie niecierpliwe chrapanie gotowe zaraz zamienić się w rżenie. Kierując się na to chrapanie, ruszył naprzód ocierając się o zwałiste zady koni, ono zaś w miarę, jak się zbliżał, cichło. Potem stał w przegrodzie przy boku swej długopęciennej klaczy, urodzonej w jego stajni przed siedmioma laty, wyhodowanej i ujeżdżonej przez niego samego, poddawał się chwytającym go za kozuch wargom, pozwalał wdmuchiwać sobie rozgrzane powietrze w twarz i słuchał, jak wydawała jakieś nie zwierzęce dźwięki, prawie jak dziecko albo szloch kobiety, tak że na jeden krótki moment zapomniawszy zupełnie po co przyszedł; przyciągnął jej głowę do siebie i z czułością przyciskał policzek do miękkiej sierści, aż natrafił palcami pieszczącymi jej szyję na pas pętli, odpiął go i łańcuch opadł z brzękiem. Klacz zawróciła w ciasnym miejscu; stąpała tuż za nim, wciąż dotykając chrapami jego ramienia. Gdy znalazł się na przeciwległym krańcu budynku, wyciągnął z kieszeni zapałki, skrzesał i w rozchybotanym blasku zobaczył za skrzynią na obrodek dery wraz z siodłami beładnie rzucone na stos. Lecz musiał zużyć całe pudełko do końca, zanim wreszcie udało mu się wybrać siodło odpowiednie, najwięcej bowiem było ozdobnych, na-

bijanych mosiężnymi guzami, masą perłową i srebrem albo górskim kryształem, nie nadających się już jednak do jazdy, widać wyrabowanych z pamiątkowych zbiorów jakiegoś bogatszego dworu. Siodłał Tamarę znowu w zupełnej ciemności. Lecz słyszał równocześnie, jak ze zgaśnięciem ostatniej zapalniczki, do zmieszanych z sobą wielu dźwięków: szelestu końskich pysków wygarniających z dna żłobu obrok, do oddechów, do głuchych, pojedynczych tupnięć w ściółkę i do bliskiego pochrapywania Tamary, dołączył się jeszcze jeden, nowy dźwięk. Napłynął on przez wrota od podwórza; to ktoś śpiesznie odsunął rygiel u drzwi chałupy.

Klacz chrapnęła czujnie i potrząsnęła nerwowo głową, ale nie próbował jej uspokoić, gorąca bowiem fala czegoś dusznego podpłynęła do gardła, zatykając krtań, przez całe ciało, przez łydki, uda i plecy przebiegły mu ostre prawie że bolesne drgawki i poczuł, jak wprost cierpnie na nim skóra. Tylko że nie trwało to zbyt długo. Po ciszy, jaka zapanowała w podwórzu po trzasku rygla, ozwało się powolne człapanie po śniegu, i wtedy to wszystko, co trzymało go niby w kleszczach na uwięzi, to gorące, gęste, rozedrgane i duszące, czego nie umiał nazwać, ustąpiło natychmiast. Tamara wprawdzie wciąż jeszcze chrapała czujnie, lecz on ten popręg zaciskał pod jej brzuchem już zupełnie spokojnie (jak gdyby tamtego dźwięku w ogóle nie słyszał), bez pośpiechu, starając się, aby derka pod siodłem leżała równo, i tak samo z trzęzłą, zakładał ją spokojnie, uważnie nieco flegmatycznymi ruchami nawet, myśli mając teraz zajęte wyłącznie pasami i zapinkami, bo kiedy owe pierwsze, szurające kroki pośłyszał, poznał był, że to kroki starej kobiety. Wreszcie Tamara była naprawdę gotowa, z wodzami zarzuconymi na kark, ale jej nie poprowadził. Od wrót odemkniętych szerzej, niż je był przedtem zostawił, prócz smugi księżycowego światła, wpadał teraz jeszcze do wnętrza blask naftowej lampki, ona zaś, ta kobieta, trzymając ją za druciany uchwyt, unosząc na wysokość głowy i wyciągając do przodu, stała tam bez ruchu wpatrzona w niego niewidzącym, nieulekłym, bo nieświadomym wzrokiem lunatyczki pogrążonej we śnie.

Więc zrobił krok i coś już musiało czaić się w jego spojrzeniu, nie tyle żądanie, ile może powściągliwe oczekiwanie, tylko że ona nie umiała, czy też nie chciała go rozpoznać, albo wiedziała od początku, ale nie miało to najmniejszego wpływu na wyraz jej twarzy i oczu. Dopiero, kiedy się do niej zbliżył i powiedział: „Odsuń się, stara kobieto”, mówiąc to ani głośno, ani cicho, obojętnie, nieuważnie, dopiero wtedy Sewrukowa (bo że była to Sewruka matka, domyślił się słysząc jej człapanie przez

podwórze), szarpnęła się do tyłu i odskoczyła na dźwięk jego głosu, niby zdmuchnięta przez wiatr. Więc ją wyminął. Klacz puścił przodem luźno. Potem się odwrócił. Cofnął o krok. Podniósł plecak leżący pod murem, otrzepał go ze śniegu i przytroczył do siodła. Kobieta stała nieco z boku trzymając swą lampkę uniesioną teraz jeszcze wyżej, niż przedtem, jak gdyby chciała mu nią przyświecić, mimo że od księżyca było dostatecznie widno, w drugiej zaś ręce zaciskała opuszczony lufą do ziemi nagan, i oczy dalej miała śnięte, białe, jakies jak gdyby prawie zupełnie bez źrenic, tak że nie mógłby odpowiedzieć, gdyby się na tym choć przez chwilę zastanowił, czy patrzyła na niego, czy też nie, ale nawet mu w głowie pytanie takie nie zaświtało, bo myślał jedynie o blaszance w plecaku i że stracił mnóstwo czasu, którego nie byłby pewnie stracił, gdyby nie spotkał swoich ludzi zamkniętych w pokoju wuja sędziego na piętrze dworu. Teraz, gdy już o nich raz pomyślał, od razu przypomniał sobie, że są prawie bezbronni i przesuwając po karku Tamary dłoń z czułością, równocześnie z jakimś odcieniem litości nieomal, gdyż nigdy jeszcze nie była jucznym koniem, powiedział: „Poczekaj, Tamara, stój tutaj spokojnie”, uciszając paroma następnymi ruchami ręki niespokojne jej pochrapywanie, i zostawiwszy klacz, ruszył przez podwórze w kierunku chaty, a Sewrukowa, z tą lampką wysoko uniesioną, potykając się o zmarznięte grudy śniegu i starając się nadążyć jego krokom, człapała tuż za nim milcząca.

Dopiero, kiedy z gnojnego przedchacia wkroczył do pachnącego zaprzętym kozusznym ciepłem i baraním łojem alkierzyka, kiedy posłyszał z pobliskiej izby szelest siennika, a właściwie nie tylko posłyszał, ale i zobaczył, jak coś tam się w głębi rusza na przypiecku, posłyszał także za plecami oddech tej starej kobiety: brzmiał on tak, jak gdyby stękała. I nagle jej zmieniony, ciężko przedzierający się poprzez ten przykry stęk głos posłyszał: „*Wona ne winowata, pane. Dopiero szczo odruzuju sia. Wona ne winowata*”. Lecz powiedział, jak przedtem, krótko, spokojnie: „Odsuń się, stara, kobieto”, po chwili zaś jedynie: „Poświeć”. Tylko że chociaż wyskoczyła z tą lampką do przodu od razu i przyświeciła, jak kazał, wcale nie zamilkała. Bełkotała zmienionym głosem mieszając słowa polskie i rusińskie: „*Ne winowata, młodycia przy nadziei. Pomytuj sia pane. Pomytuj sia. Wona młodycia, ne winowata. Wona zaliszajetsia, win ż wid'izdit...*”. A on słuchał jej głosu cierpliwie, prawie nie rozumiejąc o co jej chodzi, nawet nie próbując, jako czegoś, co jest wydłużonym jedynie, chrapliwym dźwiękiem, czy jednym długim ciągiem dźwięków, nie mających żadnego logicznego znaczenia, aż począł

to odczuwać, niby przykre brzęczenie natrętnego owada nad uchem. Wtedy powiedział: „Przestań” bez nacisku zresztą, niegłośno, i wreszcie zamilkła. Stała w całej szerokości drzwi do izby, tak że musiał powiedzieć po raz trzeci: „Odsuń się, stara kobieto”, znowu głosu nie podnosząc. Potem wyciągnął rękę po nagan trzymaną przez nią w zaciśniętej dłoni i powiedział: „Daj”, a ona uniosła dłoń osłabłym, zwolnionym ruchem, broń oddała nie patrząc na niego wcale i odsunęła się od drzwi, jak kazał, tylko że tę lampkę trzymała już niżej, niż przedtem i oczy jej nie były już, jak przedtem mętne, bez koloru, ale czarne niby węgiel, jakby żrenice rozlały się na całe białka i wypełniły oczodoły po same brzegi.

Wówczas wszedł do środka izby. Tam była druga kobieta. Młoda i nieznajoma. W marnym, rozpylonym świetle zobaczył ją na przypiecku zasłanym siennikiem siedzącą w kukki, właściwie klęczącą, a naprawdę to ani siedzącą, ani klęczącą, ale w pół-przyklekłą, w pół uniesioną, jak gdyby chciała poderwać się, wstać, uciec i raptem coś zatrzymało ją i unieruchomiło w miejscu. Patrzyła na niego z lękiem. Przytrzymała na piersiach zdobną haftami koszulę i jej nastoperczone nad uszami, jak u dziewczynki warkocze były błyszczące, chwytające światło, tak samo jak i oczy, a powieki trzepotały. Już miał cofnąć się na powrót do kuchni. Nagle coś takiego się w nim stało, że utracił jak gdyby cały oddech. Aż się zakrztusił. Nie mógł oderwać wzroku od tej przytrzymywanej tak kurczowo na pełnych, wysokich piersiach koszuli, która była prawie przezrzysta, przebijająca biel ciała, uszyta z delikatnego, cienkiego materiału. Przez chwilę zdawało mu się, że w płucach braknie mu siły do złapania nowego oddechu, że nie ma tam wewnątrz ani odrobiny powietrza i zaraz mu pękna. Poczul gwałtowny chłód. Jak go ogarnia. Potem jednak złapał wreszcie trochę tchu, jeden płytki wdech. I zrobił wolno krok w stronę tej młodej, nieznajomej kobiety i się zatrzymał. Płuca raptem znowu miał pełne powietrza. A potem krok za krokiem zaczął iść przez izbę, równocześnie przesuwając kciukiem bębenek w odebranych starej naganie i sprawdzając, czy nabity do końca; słyszał jego metaliczny, twardy trzask wraz ze zgrzytem mechanizmu, a za sobą ponownie narastający bełkot starej Sewrukowej, tak że powiedzieć musiał po raz drugi: „Przestań” i poskutkowało. Więc ten ostatni krok albo dwa zrobił w zupełnej ciszy. W ciszy i zimnie, które tak, jak i ta cisza, było teraz w nim całym. Aż w końcu przystanął tuż nad kobietą i posłyszał siano w sienniku, którym wymoszczona miała legowisko. Jak szeleści gniecione kolanami, chrzęści, szeleści i ugina się głośno pod jej ciężarem, i zobaczył, że ona się poci. I jak ten

różowy, niemal że przejrzysty batyst koszuli, od którego nie mógł oderwać wzroku, zaczyna gwałtownie oblepiać ciało. Brzuch pulsował, pęczniał, niby gorący chleb i zapadał się mokry. Uda dygotały, niby galareta. Więc znowu posłyszał w ciszy szelest, chrzęst i szelest siennika pod jej kolanami. Nic więcej tylko ten suchy szelest i chrzęst. Lecz wówczas trzymana z tyłu przez starą lampka musiała chyba zachybotać w jej ręce. Rzuciła bowiem krótki, mocniejszy refleks światła i nagle pojął, że się pomylił: to nie była koszula nocna Katarzyny. Haft nie był wcale ręczny, a maszynowy, fabryczny. Musiała pochodzić z rabunku skądinąd. Katarzyna czegoś takiego nigdy nie nosiła. Więc ogarnęła go raptem ogromne znużenie; pomyślał, że upadnie. Ale szarpnął się do tyłu, wyprostował gwałtownie i to na chwilę pomogło.

Potem wsunął nagan do kieszeni kożucha, odwrócił się do Sewrukowej i nie dojrzał jej twarzy, światło bowiem padało wprost na niego. Jedyne jej ręce zaciśnięte na uchwycie lampki widział. Powiedział prawie cicho, bardzo wolno: „Zapał tamtą lampę, kobieto”, wskazując głową. Wewnętrzne zimno było nie do zniesienia. Zaprzagnął z tym skończyć jak najprędzej. „Długo to potrwa?”. Błysnął płomyk, stara założyła klosz i zrobiło się jaśniej. Młodą kobietę wykreślił już z pamięci zupełnie. „Gdzie Iwan chowa broń? W komorze? Prowadź. Wyciągnij wszystko...”. Zapachniało miodem, sadłem, skrzyło go w żołądku, ale wrażenie było nikłe, zostawiło tylko czczość; wciąż dotkliwie zdawał sobie sprawę ze swego ogromnego znużenia i że musi je opanować. Sewrukowa odsuwała worki z mąką, podała mu pudełko z amunicją do nagana, z kąta wytaszczyła, sapiąc i ledwo sobie radząc niemiecką skrzynkę z nabojami pomalowaną w ochronne kolory, worek z czymś podłużnym, ciężkim, zza belki dwa snajperskie karabiny i myśliwski sztucer z lunetą, lecz nie ruszył się, żeby jej pomóc. Przetarł czoło. Było wilgotne. Powiedział: „Prędzej”, ale nie przynaglał wcale jej, a siebie. Gdy cofnął się ku drzwiom chcąc przywołać młodą kobietę, poczuł zaskoczenie, stała bowiem na środku izby, od dawna pewnie tam czekając, już w narzuconej na siebie sukni, tyle że bosa jeszcze i, zanim w ogóle coś zdołał powiedzieć, mówiła doń rozdygotanym szeptem: „Ja już... Kacabajki tylko musim założyć. Już, już...” skwapliwie, jak gdyby z góry wiedziała, czego od niej teraz chce. Potem, już do końca ubrana, dźwigała z komory worek, stara zaś ciągnęła przez próg skrzynkę z amunicją i ten chroboczący, przykry, stękliwy jej oddech rozległ się jeszcze bardziej wzmocniony. Przeczekał, aż oddały się obie w głąb podwórza, żeby nie słyszeć, i dopiero później stanął przed chatą w mrozie, w ostrym kłującym wietrze i z ulgą nadstawił pod jego uderzenia twarz. Patrzył na kobiety

troczące do boków Tamary ciężary i uspokajał klacz. Otworzył tekturowe pudełko oddane mu przez starą, przesywał naboje do kieszeni, pudełko odrzucił i patrzył, jak wiatr poniosł je w śnieżną zaspę. Słuchał jego ponurego pohukiwania za węgłem i patrzył też na niebo. W końcu wszystko było gotowe. Podszedł do Tamary i już sam umocował resztę broni przy siodle. Obejrzał się na chatę Sewruków pobłyскуюjąca kwadracikami światła w oknach i przypomniał sobie raptem, że to przecież nie kto inny, ale właśnie Iwan Sewruk należał do najważniejszych w jego „bandzie”, gdy kiedyś, w latach dzieciństwa, bawili się na okolicznych łąkach całą wiejską gromadą w „policjantów i złodziei”, ale wspomnienie, jak gdyby tylko musnęło drażniąco świadomość i zaraz przepadło. Kobiety stały z opuszczonymi wzdłuż bioder rękami, wpatrywały się w jego usta z napięciem i uwagą, chcąc zapewne odgadnąć jego następne żądanie, lecz to obojętne znużenie przenikało go teraz całego jeszcze silniej, niż przedtem. Powiedział do kobiet jedynie: „Idźcie spać. Lepiej nie wychodźcie do rana z chaty. Idźcie spać”, i chociaż stara buchnęła mu do kolan i zaniósła się głośnym, histerycznym pochlipywaniem: „*Pane! Tutki niczoho waszoho ne maje. Nic prócz koni. Uspokoić sia proszy. Ij Bobu! Ja jemu ne dała! Ja jemu ne kazata!*”, to odsunął ją, bo nie miało to już żadnego znaczenia. Cofnął się jeszcze bardziej, żeby nie dotykała jego nóg i cmoknął na Tamarę. Przeważając ją za uzdę, skierował się za opłotki.

Wracał przez ośnieżone wygony dłużej i nie tą samą drogą. Zagubił swoje poprzednie ślady. Zasy wydawały się bardziej kopiaсте, nogi cięższe, gdy zapadały się pod zamarznąłą skorupę śniegu i musiał je unosić wysoko, żeby przetrzeć sobie nowy szlak. Tamara stąpała spokojnie, jakby rozumiała, że tak trzeba, choć ładunek obijał jej boki. Wciąż oddychał głęboko, równo i myślał teraz wyłącznie o tych trzech zamkniętych na piętrze domu i że musi jak najprędzej zdać im całą broń. Zdjął rękawicę i pomacał worek. W środku znajdował się chyba karabin maszynowy typu „Diektiarewa” z zapasowymi talerzami, a może nawet i dwa takie karabiny, jeśli druga lufa nie była po prostu jakimś kabkiem tylko. Znowu ominął łukiem czworaki. Były pogrążone w ciemności, jak i cała reszta wsi. Jedyne księżyc w górze świecił nieco jaśniej. Potem wydostał się na równoległą do muru parkowego drogę i zbliżył do bramy. Tamarę uwiązał do drzewa w cieniu kapliczki, przykazując stać spokojnie i poszedł przez park do dworu. Starał się iść wąską, wydeptaną w śniegu ścieżką w samym środku alei, żeby nie zostawiać nowych śladów, i nie podchodząc do ganku, zagwizdał początek swej kurantowej arii, której znaczenie Hanczar przecież znał. Wprawdzie od zоста-

wionej przy drodze Tamary odległość była dość znaczna, ale raptem przestraszył się, że klacz gotowa usłyszeć, zerwać cugle i przybiec. Więc po chwili poszedł przez podjazd i, z siłą tłumionym drżeniem, ku schodom; zastanowił się, czy już zawsze z tym samym uczuciem mijają będzie to fatalne miejsce. W sieni, zadzierając głowę w górę zagwizdał raz jeszcze. Najpierw ukazał się Hanczar, za nim Kondratowicz niosący w jednej ręce onucki, w drugiej buty. Powiedział im krótko, co zaszło i żeby szli za nim. „Co z tamtym?” zapytał Hanczar, gdy Kondratowicz obuwał się pośpiesznie. „Niech śpi spokojnie” odparł i już bez słowa ruszyli przez park. Za kapliczką Tamara stała nieruchomo, tak jak ją był zostawił; spod jej brzucha szła para. Kazał im zaczekać na wydeptanym, wyslizganym saniami miejscu na środku drogi, sam podprowadził klacz i zdjął ładunek. Dla siebie ze skrzynki z amunicją wyciągnął tylko jeden pakiet z nabojami. Gdy chował go w plecak, brzęknęła bańka.

Był wciąż ogromnie znużony i miał tak niewiele czasu. „Nie mam już siły” myślał. I: „Nie powinienem...” myślał. Ale czuł, że to dawno postanowione i zapadłe w jego świadomości, co wypchnęło go z bezpiecznego ciepła legowiska w sokalowym drewniaku tam w jarze, nie da mu spokoju. Poruszał ręką w plecaku i dalej słyszał, jak blacha brzęczy, a wewnątrz niej chłupocze. Hanczar z Kondratowiczem czekali, czy im coś rozkaże, ale nie miał nic do rozkazania; odpiął kozuch, zza pasa wydobył parabelkę i mówiąc: „Przywiązałem się do niej”, podał ją Hanczarowi z pewnym ociąganiem. Tamten wziął pistolet z równym ociąganiem i ważył w dłoni milcząc. „Nie masz co medytować. I tak nie ma do niej naboju. Jeżeli jeszcze kiedyś trzaśniemy jakiegoś oficerka i się znajdą, to mi oddasz. Na razie przechowaj tu u was”. „Może mamy coś zrobić dla pana?” zapytał Hanczar. „Nie. Zanieście tylko ten cały majdan do siebie. Możecie z tym wytrzymać nawet oblężenie. Ale odpukać”. Gdy załadowali zdobywcę na ramiona i stali jeszcze, wciąż czekając, co więcej im powie, powiedziała: „Idźcie już. Z Bogiem” i potem patrzył cierpliwie, aż zniknęli mu z oczu w mroku pod świerkami.

Jak długo był z nimi, tak długo nie znał siły tego znużenia, jakie ogarnęło go pierwszy raz u Sewruków, a potem ani przez chwilę nie opuszczało. Teraz jednak przygniotło go i nie mógł się z niego otrząsnąć. Ale wreszcie dosiadł klaczy, trącił butem jej bok, ona zachrapała delikatnie, spinając mięśnie, jakby do skoku, ruszyła ostro i wtedy pomyślał: „Niech decyduje” popuszczając luźno wodzy. Nie skręciła ani do dworu, jakby rozumiała, że nie ma po co, ani na folwark, jakby wiedziała, że w stajni nie czeka jej ciepło i żłób pełen obroku, ani na gościniec do Ił-

łówki, lecz prosto ku wsi, i zdał się na jej wolę; lecz nie skierował jej już opłotkami, a pozwolił galopować środkiem wiejskiej drogi, w mroźnej ciszy bowiem nie było nic więcej prócz przeciągłego pohukiwania wiatru w płotach, kominach i strzechach, nawet psy nie szczekały. Doświadczył po raz drugi tego samego wrażenia, co przedtem, że wieś leżała zakopana w śniegu, jak gdyby od dawna nieżywa; tylko wiszący u siodła plecak obijał mu się o kolano i blaszanka dzwoniła niegłośnie. Gdy obnażył z rękawa przegub dłoni i spojrzął na zegarek, odczytał kwadrans na piątą. Pomyślał: „Mam niewiele więcej, niż pół godziny czasu. Wkrótce zbudzą się kobiety, żeby iść do porannego udoju”. Przejeżdżając obok chaty Sewruków, dostrzegł kątem oka, że jest równie ciemna, jak chaty sąsiednie, i pomyślał, że u Sewruków będzie ciemno najdłużej. „Ale trzeba się śpieszyć” mówił sobie, aż minął cerkiewkę, przyhamował, okrążył ją przy cmentarnym murku, potem wjechał na zapłocie futuru poddiaczego Wasowa, zsunął się z siodła, uwiązał do kieratu za stodołę Tamarę i zgrabiłymi palcami rozsypawszy plecak, wydobyl zeń bańkę. Potrząsnął nią i znowu posłyszał chlupotanie wewnątrz. „No to już to załatwiłem, mam już całą swą nienawiść poza sobą” powiedział głośno, wsłuchując się w ten chlupot i myśląc: „Nawet jeśli nie uda mi się tego zrobić. Bo nigdy nie miałem nadziei, że naprawdę zrobię. Ze starczy mi woli. Mam już poza sobą całą swą nienawiść”, a jednak czuł, że mimo poprzedniej niemocy, mimo niedawnego znużenia, obojętności tkwiło to w jego umyśle idąc z nim razem od Sokalego jaru, galopując od dworu przez wieś połączone w jednej uprzęży z przekonaniem o konieczności zrobienia tego. „Trzeba się śpieszyć” powtórzył sobie jeszcze raz. Ale ruchy miał spokojne: powolne i precyzyjne.

Karabin przeszkadzał mu, więc zawiesił go u siodła, sewrukowy zaś, odebrany starej kobiecie nagan, zatknął za pas. Obszedł stodołę od przełazu i zajrzał na podwórze. Pies warknął, ale gdy cisnął węń zlodowaciałą grudą śniegu, schował się do budy i zamilkł. Stał chwilę, patrzył na chałupę, na bierwionowe drzwi i równie solidne, zawarte na głucho okiennice, na jasną, świeżą strzechę nie porośniętą jeszcze mchem, na ceglany komin bez dymu. Przypomniał sobie, że poddiaczy pobudował się na nowo zaraz po przepędzeniu z tych stron Sowieców, którzy stacjonując przez półtora roku w plebanii, cerkwi i w jego obejściu, zdewastowali mu gospodarzkę do szczytu, i że — jak się tu i ówdzie mówiło — miał widać sporo zakopanego gdzieś dobrze grosiwa, jeśli na tę budowę zakupił drewna aż z borów panów Sas-Terleckich, jodłowego, smolistego, bele jedna w drugą, jak maszty, ciężkie i wyborowe. Pies znowu wystawił łeb z budy, więc

raz jeszcze cisnął weń śnieżną grudą. Podszedł do stojącego na środku podwórza wozu, wyjął orczyk i luśnię. Podparł tym drzwi chałupy i odkręcił z bańki nakrętkę. Potem chlapnął naftą na drzwi i na ścianę. Obszedł chałupę polewając po drodze okiennice. Boczne kuchenne drzwi jak zwykle tutaj, otwierane w przeciwnieństwie do głównych, do środka, wystarczyło zamknąć na zwisający z nich skobel. Następnie oblał okiennice po przeciwnej stronie chałupy. Wprawdzie starał się iść cicho, to jednak śnieg skrzypiał pod butami i dźwięk ten przebijał się nawet przez szum wiatru. Ale wewnątrz chałupy było tak milczące, jak gdyby w niej nikt w ogóle nie mieszkał. Tylko że on wiedział dobrze, jakie to złudne: zaraz będą wrzeszczeć i skomleć. Resztę nafty wychlusnął na strzechę. A potem sięgnął w zanadrze po pudełko z zapalnikami. I wtedy poczuł zimny pot występujący mu na czoło, pudełko bowiem było puste. Przypomniał sobie: zapalniki zużył u Sewruków, przyświecając nimi, gdy wybierał siodło dla Tamarzy. Więc gorączkowo przeszukał kieszenie, od razu zresztą wiedząc, że to beznadziejne i już nie zachowując więcej uprzedniej ostrożności, pobiegł przez podwórze, a pies tym razem wynurzył się z budy całej, wywłókł łańcuch i zaszczekał za nim zajadle, lecz on nawet nie przyhamował, nawet nie zwrócił ku niemu głowy, a dopadł do uwiązanej u kieratu klaczy, wydobył z plecaka paczkę z nabojami i ją rozerwał. Były w niej tylko naboje zwykłe. A przecież pamiętał mgliście: gdzieś miał jeden albo dwa z rudymi spłonkami, zapalające. Więc wytrząsnął z kieszeni na dłoń tych kilka, które zostały mu jeszcze z pogromu pod Iłowką Tatarską, one jednak też były zwykłe. Wtedy posłyszał niegłośny trzask z podwórza i jak pies znowu ujada. I złapał karabin, i ruszył biegiem z powrotem, i gdy minął węgiew stodoły zrozumiał, że ów trzask, to szarpanie klamki u drzwi chałupy, i już czuł, jak w nim wszystko dygocze i że do oczu cisną się palące łzy. Krtań miał zupełnie wysuszoną. Na drzwi napierał ktoś teraz całym ciałem od środka, a za nim, w głębi zamkniętego wnętrza ozwały się zduszone ludzkie głosy. Więc byli tam, budzili się już ze snu, gdy tymczasem jemu wydało się, że cały świat wiruje przed oczyma. Ale otarł oczy jednym błyskawicznym ruchem, podniósł karabin do barku i strzelił w te drzwi, a huk, jak pęknięcie lodu na strumieniu, rozszedł się głucho po okolicy. Teraz nie czekał już dłużej. Strzelił drugi raz, trzeci, stale mierząc w drzwi, choć już więcej nikt na nie z tyłu nie napierał, i nagle czwarta kula pomknęła z sykiem zostawiając różową smużkę w powietrzu, ściana chałupy buchnęła od niej w tejsze samej chwili jasnym, niebieskawym płomieniem i wiatr cisnął w górę snop rudych isker. Od razu zajęła się strzecha. Zanim

dopełnił komorę naboju nabojami z kieszeni, chałupa stała w ogniu, niby kupa wysuszonego chrustu, od podwali, aż po zręby.

Patrzył na rozprzestrzeniające się płomienie szeroko otwartymi oczyma nie widząc ich, jedynie wszechogarniającą jasność, lecz widzieć nie musiał wcale, były one w nim samym, wewnątrz, a z tym gorejącym stosem nie mały wiele wspólnego. Po jakimś czasie poprzez warkliwy szum ognia przebił się do jego świadomości zduszony krzyk, ale jeden, jak gdyby stopiły się w nim, w tym jednym krzyku, wszystkie krzyki Wasowów razem: mężczyzn, kobiet i dzieci, i zaraz znowu przestał słyszeć cokolwiek, co nie było jedynie tym huczącym na wietrze żywiołem. Otrzeźwił go dopiero nagły brzęk rozbijanego szkła i zobaczył wtedy całą chałupę naprawdę. Starali się przedrzeć do okien. Poderwał się z miejsca i jak pies wokół stada obiegać począł płomienie czujnym, mściwym truchtem, patrząc w miejsca, gdzie domyślał się okiennic. Potem znów był na podwórzu. W środku ognia raptem otworzyła się wąska szczelina i ta jasność, którą widział dotychczas nieskalaną, została przecięta gwałtownie przez pół cieniem. Wywalona od wewnątrz okiennica padła na topniejący od żaru śnieg, sycząc, buchając parą, w tej zaś szczelinie ognia stanął człowiek płonący niby głownia i skoczył. Może był to mężczyzna, może kobieta, w każdym razie dorosły. On, Paweł, nie potrafiłby powiedzieć dokładnie, choć patrzył na niego już stojąc bez ruchu, jak gdyby przykuty do miejsca. I widział, jak tamten unosi się na łokciach, próbuje pełznąć i nabierając z ziemi dłońmi śnieżnej bryi, zanurza w niej twarz. Wtenczas dopiero podniósł karabin i mierząc powoli, uważnie poszukał tego człowieka na muszce. Lecz nie strzelił jeszcze. Szeptał coś prędko, gorączkowo, i wreszcie, gdy z hukiem stoczył się z góry kawał płonącego dachu przywalając nogi pełznącego, i gdy posłyszał krzyk, zrozumiał, że cały czas modlił się, aby Bóg nie zmuszał go do skracania jego męki. Głosów z wnętrza chałupy więcej już nie słyszał. Strzecha zapadła się skwiercząc w głąb i ta wąska szpara w stosie żaru od razu zamknęła się na nowo. Płomienie rozdmuchiwane przez wiatr przerzuciły się na stodołę, błyskawicznie pełży na sąsiednią oborę i dalej po plecionych płotach z patycza i chrusciskach. Na niebie zakwitł blask. Dopiero teraz usłyszał długie, dzikie rżenie Tamary.

Wypadł na tył gospodarskiego obejścia, odwiązał od kieratu klacz. Wiatr i tutaj niósł już iskry z płatami gorejącej słomy poszycia stodoły. Więc wskoczył na siodło i pognął ku pobliskiej cerkwi. Tylnym przełazem wjechał na cmentarz i przez zawalony grubo śniegiem badylasty gąszcz łopuchów, pomiędzy oszronione

drzewa, nagrobki i krzyże, aż do głównej ścieżki. Było jasno, jak w dzień. Nie dojeżdżając do przedcerkiewnego placu, skręcił pod boczny murek. Nie mógł oderwać wzroku od pożaru. Słyszał krzyki mężczyzn, zawodzenia kobiet. Wydało mu się, że nagle cała wieś teraz wyległa, cała krzyczy i miota się na drodze. Ludzie nadbiegli i w pół ubrani albo w kożuchach narzuconych byle jak na bieliznę, stawali przed obejściem Wasowych objętym ogniem wraz ze wszystkimi zabudowaniami gospodarskimi, patrzyli w płomienie i milkli, potem zaczęli krążyć w kółko, niby w jakichś obłąkańczych piasach, i znowu krzyczeli, zaś na stronie zawietrznej krzątano się gorączkowo, aby nie dopuścić do przetrzucenia się ognia na sąsiednie futory. Było nawet jaśniej, niż w dzień. Nawet tu, gdzie on stał, choć od blasku osłaniały go drzewa. Ciało Tamary przeszywały prędkie drgawki, jak gdyby chciała skoczyć do przodu i pogalopować. Górą wciąż leciał silny wiatr, huczał przeciągle wśród cmentarnych drzew i nagrobków, krzyż na baniastej wieżycze cerkwi warczał ponuro. Widział, jak drogą ze środka wsi, co chwilę nadbiegał ktoś nowy. Podjechał bliżej, nie mogąc oprzeć się sile przyciągania ognia, czując, jak traci całą władzę nad sobą. A potem jeszcze bliżej, choć kryjące go krzewy i drzewa rzedły. Gdy jednak nagle w murku odgradzającym plac przedcerkiewny od drogi zapiszczała furtka i ktoś wpadł w alejkę, sadząc długimi susami w stronę dzwonnicy, pewnie by uderzyć w dzwon, przestały go już one dłużej osłaniać. Nie zrobił żadnego ruchu, nie szarpnął wodzy, nie dotknął nawet boku Tamary butem, to ona sama, przygryzając z wściekłością wędzidło, wyskoczyła spod drzew i dała szczipaka do przodu, piersią prawie zwalając z nóg podbiegającego człowieka. Musiał całą mocą przyciągnąć wodzy, żeby go nie zatratowała. Ale tamten już się poderwał z klęczek. Stał sekundę może, lub dwie i patrzył. Potem zaczął cofać się prędko tyłem, nie opuszczając wzroku ani z jeźdźcą, ani z konia, a Tamara z siłą napierała nań aż do samej furtki, bo tam odwrócił się wreszcie i wypadł na drogę. I chwyciwszy się za głowę, krzycząc coś niezrozumiale, popędził jak szalony pomiędzy chałupy i znikł. Dopiero wtedy klacz przystanęła. Zaryła przednie nogi w śnieg, aż sypnął jej się spod kopyt. Jednakże byli teraz poza furtką, w pełnym świetle i on, Paweł, siedział pochylony w siodle nieco do tyłu, w poprzek na udach trzymając karabin, i patrzył już nie na gorejący stos obejścia Wasowych, lecz na żywy tłum, który odwrócił się na krzyk tamtego człowieka, zwarł się w jedną gromadę i zamilkł.

Poczuł nagle, jak coś w nim rośnie, wzbiera, jak to zimno, które przeniknęło go tego dnia raz lub dwa razy tam u Sewruków, a może nawet przenikało cały czas wraz z ogromnym znużeniem

i obojętnością — tylko że on nie zawsze zdawał sobie z tego sprawę, albo też nie chciał, czy nie mógł — ustępuje prędko. Dotknął boku klaczy końcem buta, żeby postąpiła naprzód, a ona posłusznie postąpiła na środek drogi. I znowu stanęła sama. I wciągnęła rozdętymi chrapami ze świstem swąd pogorzeli. On zaś zaciskając na karabinie dłonie szukał celu. Oświetlona pożarem droga wypełniona była zaskoczeniem, lękiem i paniczną ucieczką, choć nie ruszał się z miejsca nikt. Ale nie widział tego, bo przed oczyma stała mu matka. I słyszał tylko tamten okrutny, złowrogi łoskot kłonic i kijów spadających na jej plecy. I widział jej ręce podniesione do oczu, jakby nie chciała ujrzeć, rozpoznać ich twarzy. A on musiał. Przecież szukał teraz celu. Łoskot kłonic i kijów nie ustawał w nim ani na chwilę. Był to jedyny dźwięk, który słyszał, zwłaszcza, że w tłumie nie odezwał się nikt, ci natomiast, co z daleka nadbiegali spóźnieni, milkli natychmiast, kiedy go dostrzegli, tak że w tę wszystko obejmującą dookoła, absolutną ciszę zaledwie z trudem wciskał się huczący odgłos pożaru. Wreszcie podniósł karabin i posłyszał, jak twardo szczyknął zamek. Wzrok pobiegł po lufie i natrafił na muszkę. Dalej szukał celu. Tylko że już wówczas nagle pojął, że dzieje się z nim coś, czego nie potrafił przedtem przewidzieć. Te wszystkie zwrócone w jego stronę twarze, zastygłe, zmartwiałe, bez krwi, bez życia, skamieniałe zupełnie, w których nawet oczy nie żyły, bo były nieruchome i jakby nieprawdziwe, te wszystkie twarze zwały się raptem, stopiły się w jedną twarz. W twarz anonimową. A chociaż słyszał w sobie wewnątrz ciągle tamten łoskot kłonic i kijów, nie znajdował już on w nim żadnego odzewu. W tej anonimowej twarzy wsi nie mógł nawet odszukać twarzy Kazimira Brenta, ostatniego z trójki, o której opowiadała mu Karpatkowa. Jeszcze raz uniósł karabin i jeszcze raz wytężył wzrok. Aż do bólu. Ale zrozumiał, że to bezcelowe. Mógł tylko strzelać w tłum na ślepo. Tymczasem Tamara znowu postąpiła parę kroków do przodu i ten tłum, nie spuszczać z niego wzroku, począł się rozstępować. Karabin wtedy sam opadł mu z powrotem w poprzek łęku siodła na uda, opadł bezwładnie i ciężko, a on przeraził się, że za chwilę coś się stanie, zacznie krzyczeć, albo jak kobieta zanieś się głośnym, bezsilnym szlochom i, żeby temu zapobiec, nacisnął kolanami na boki klaczy ostrzej. Mimo to jednak to się stało. Nie, nie wydał z siebie żadnego dźwięku, to nie. Poczul tylko te łyzy, które chciał powstrzymać, jakby mu wystąpiły na skórę, przecisnęły się przez nią i spływały nie z oczu, lecz z całej twarzy niby gorący pot, choć Tamara ruszyła od razu posłusznie przed siebie środkiem drogi, a zamilkły, sparalizowany, zmartwiały tłum rozstępował się coraz

szerzej, dając wolny przejazd. Kiedy poczęła mijać dopalający się stos obejścia Wasowych, wyciągnęła szyję i zarżała. Nie spoglądając na boki, ani nie odwracając się do tyłu, przegalopował kilkadziesiąt metrów, a potem gwałtownie zawrócił w miejscu i znowu, przez ten stojący wciąż tak samo chłopski tłum (wciąż nieruchomo, wciąż na poboczach) ruszył opustoszałym środkiem przez wieś ku Iłowce Tatarskiej. Blask pozostał daleko za nim, a potem jedynie długo widział jeszcze przy blednącym księżycu czerwoną łunę na niebie. Wstawał szary, zimny świt i dawno zgasły gwiazdy, gdy znalazł się na granicy Iłowki Ruskiej.

Zboczył z przetartej drogi na ścieżynę prowadzącą do lasu, na której widniały dość świeże ślady sań, zostawione zapewne przez chłopca zwożącego wczoraj chrust, i kluczył po przysiekach z dobry kwadrans jeszcze, nim zdecydował się wprowadzić Tamarę w wartki nurt niezamarzniętego w środku łożyska strumienia, którym dowiodła go, brnąc po kolana w wodzie, do kamieniołomów i Sokalego jaru. Gdy zeskakiwał z siodła przed drewniakiem, spostrzegł, że przez uchylone wierzeje ciągnie smużka dymu. Trzymając klacz za uzdę wszedł do środka. Na kozłach nad ogniskiem wisił sagan, z którego unosiła się para, po przeciwnej zaś stronie siedziała kobieta karmiąc niemowlę. Nie powiedział do niej nic, ale odwrócił się i wyjrzał raz jeszcze na zewnątrz. Niebo różowiło się w dali, nie była to już jednak łuna, a wschodzące słońce. Przymknął wierzeje i, ciągle nie mówiąc nic, odprowadził Tamarę w kąt, gdzie za saniami stał uwiązany do kołka łąciaty mierzyn Czartoriusów. Potem postawił pod ścianą karabin, zrzucił z siebie kozuch i siadł przy ogniu, wyciągając zgrabiące ręce, aby je ogrzać. Kobieta sięgnęła po leżącą obok wełnianą chustę, prędkim ruchem okryła główkę dziecka i swą obnażoną pierś. Zrobiła to pierwszy raz od tego tygodnia, od kiedy byli razem. Patrzyła jednak spokojnie i ufnie. Jej wzrok nie był, jak zwykle przedtem, zwrócony jak gdyby tylko do wewnątrz, ale również i na niego. Widziała, że wrócił, tak jak był jej przyobiecał.

Przymknął oczy. Pragnął choć na chwilę zasnąć. W głowie żadnego dźwięku, żadnego obrazu, pustka. Ciepło ogniska rozluźniało napięte mięśnie, grzało mocno przez podeszwy butów. Później leżał zawinięty w derki i baranice na otawie, w ostrym zaduchu końskiego potu od derek i w zapachu skóry. Oczy miał otwarte. Kobieta nachylała się nad nim, coś mówiła, ale widział tylko niewyraźny zarys jej postaci, a głos jej dochodził z ogromnego oddalenia. Nie rozumiał słów. Jeszcze niczego w życiu tak bardzo nie pragnął, jak tej odrobiny snu teraz. Zdawało mu się, że powiedział do kobiety: „Odejdź”, bo już po chwili jej nie

widział. A potem w głowie przewaliło się nagle tamto wszystko raz jeszcze: warkliwy odgłos ognia, szum wiatru, krzyki uwięzionych w chacie Wasowych, własne strzały, to wycie pełzającego po śniegu człowieka, galop koński, wrzawa tłumu chłopskiego wyległego na drogę i zaskoczenie, i milczenie, i rozstępowanie się. Aż wszystko ucichło. Wtedy zamknął ponownie oczy. Ta cisza trwała. Czekał, czy nie wedrze się w nią jakiś nowy dźwięk. Ale nie. Trwała zupełna, niezmienna. Teraz dopiero poczuł, że zaśnie.

IV

Tego dnia zaświtała mu w głowie dziwna myśl: „Každy z nich mógłby mnie wtedy ująć, jeśli by tylko ruszył z miejsca. Zastrzeliłbym trzech, najwyżej pięciu, lecz dostaliby mnie w swe ręce. Wszyscy chcą, żeby mnie nie było, żeby już nie żył, a kiedy wreszcie sam się zjawiam, stoję przed nimi i patrzę prosto w oczy, jak gdybym mówił im: no więc jestem, czekam — uciekają. Jakby istniała jakaś inna, ale to zupełnie inna reguła, według jedynie której można mnie ująć i zabić, jeśli zaś spotkanie następuje w niezgodzie z nią, nie potrafią i są bezsilni”. Potem przez chwilę miał wrażenie, iż rozumie na jakiej zasadzie działa Piotr Czerestwiński. Dlaczego jest tak groźny i nieuchwytny. Widać ich regułę zabijania przejrzał i nie dopuszcza, aby mogli zastosować ją wobec niego.

Następnego dnia myślał: „Gdyby chociaż spróbowali przyznać się do niej głośno. Gdyby mieli tę odwagę... Byłaby nie tak haniebną regułą. Ale czyż można głośnić otwarcie, że nie umie się uderzać inaczej, niż z ukrycia jedynie? Jeśli jednak na inną regułę walki nie potrafią się zdobyć...? Więc gdyby się przyznali... Może wtedy dobrowolnie odszedłbym... Pozbywając się bez bólu wszystkich innych uczuć do nich prócz pogardy. I może wtedy nigdy nie wracałbym tam. Poszedłbym w zupełnie odwrotnym, niż droga do nich kierunku. W ogóle odszedłbym poza obszar ich świadomości i pamięci. Ale tak to nie mogę. Dopóki sami nie wyjawią tajemnicy swej przemiany. Dopóki nie wyjawią dlaczego przez lata są serdeczni, gościnni, przyjacielscy, bezinteresownie udzielają pomocy i bez unizności o pomoc poproszą, dlaczego są szczerzy, otwarci, pełni prostoty i bez skrytych, podstępnych intencji. I dlaczego potem nagle z chwili na chwilę

wszystko się w nich zmienia. I zadają cios nożem w plecy, lub strzelają zza węgła. Bo przecież to nie pierwszy raz. Jak gdyby, co ileś tam lat, musiała odezwać się w nich kainowa krew. Nawet jeśli domyślam się dlaczego tak jest, to nie wystarcza. Muszę wiedzieć, i to od nich. Nigdy nie odejdę na zawsze, dopóki się nie dowiem. Będę powracał i powracał, i w końcu ktoś kogoś przetrzyma. Ja, mój syn, wnuk, albo oni, ich synowie, czy wnuki”.

A jeszcze później, któregoś z następnych dni, pomyślał: „Na pewno ktoś przetrzyma. I wtedy ci, co pozostaną, spojrzą sobie pierwszy raz prosto w oczy. Może to będzie dopiero po bardzo wielu latach, ale nie szkodzi, nie ma nic lepszego na rany, niż czas, i to będzie na pewno. Ci, co pozostaną spojrzą sobie prosto w oczy, i ze zdumieniem, ze zgrozą poza siebie w przeszłość. Może nawet wtedy to, co dotychczas wydawało się dobre, okaże się złe, a złe dobre...? Nikt odgadnąć dziś nie zdoła. Zanim jednak ten czas nie nastanie, nie pozostaje nic innego, niż to okrutne rzemiosło uprawiane i przez nich, i przez nas... I tak musi być...”.

Nocami gdzieś pod lasem wyły wilki, wiatr zdawał się uderzać w ściany sokalego drewniaka silniej i uporczywiej, niż w dzień, a na strumieniu trzeszczał lód. Jednej z takich nocy zbudziwszy się słuchał mrozącego krew w żyłach wilczego głosu przemieszanego z warkliwym szumem wiatru w zrębach skalnych pobliskiego kamieniołomu, słuchał także oddechu kobiety, która zakopana w baranicach i sianie spała przy dziecku czujnie, buzdziła się gdy zapłakało, lub zaszlochało przez sen, przemawiała doń, nikomu więcej, niż im dwojgu znanym językiem, i myślał, że winien i to dziecko, i tę kobietę usunąć ze swego obecnego życia, gdyż kobieta, zwłaszcza zaś dziecko, zniewalają, pozbawiają siły i wszystko, co zazwyczaj proste, przestaje przy nich być takie. Pamięć tej nocy pierwszy raz nie przemówiła doń głosem Katarzyny, ani nie przywiodła przed oczy jej twarzy (bo głos matki, ten głos pełen zawodu, żalu i bólu nie krzyczał w nim już od czasu ostatniego powrotu z Gleb, także twarz matki pobladała rozpaczą i bezsilną nie ukazywała się więcej, przepadła bowiem wtedy w huczących na wietrze płomieniach, we wrzasku tamtych, zamkniętych w chałupie ogarniętej ogniem), ale Katarzyna nie zjawiała się dopiero teje nocy po raz pierwszy. Więc pomyślał, że to dobrze, że się nie zjawiała i potem powtórnie, że śpiącej w pobliżu kobiety i jej dziecka musi pozbyć się jak najrychlej. A kiedy to pomyślał i postanowił, poczuł w sobie spokój, płynącą z postanowienia nową moc i że ten obecny spokój jest właśnie prawdziwy, gdy tymczasem ów doświadczany przed pójściem do Gleb,

sycił się obcym ciepłem, cudzą wdzięcznością i radością z powrotu do życia, był więc jedynie uśpieniem woli, czyli fałszywy. Lecz nazajutrz, kiedy przygotowywać się zaczął do pójścia do Iłłowki Tatarskiej, z oczu Karpatkowej wyrzał strach większy od tego jaki w nich zobaczył, kiedy oznajmił przed paroma dniami, że idzie, nie mówiąc gdzie, a poszedł do Gleb. Musiał teraz powiedzieć, że spodziewa się, iż Iłłowka ocalała, stacjonował tam przecież jesienią oddział honwedów węgierskich, ci zazwyczaj nikogo ruszyć nie dadzą, ma więc nadzieję spotkać swoich, ale nie umniejszało to jej lęku, nawet gdy dodał, że żywności dla koni starczy skąpo na tydzień, dla nich natomiast na dzień, dwa najwyżej, a nawet gdy polecił, żeby nie oddalała się z jaru ani o krok, i żeby dbała o Tamarę, bo pójdzie pieszo; zresztą zostawił nie tylko konia, również karabin.

Jeszcze późnym popołudniem był w lesie nad rzeką, ominął pola minowe broniące bokami dostępu do spalonego mostu, a krótko po zapadnięciu zmroku dotarł do wałów ziemnych i zasieków z kolczastego drutu otaczających większą część wsi wraz z domem właścicieli, Kaniowskich. Później w jednej ze zrujnowanych chat nieopodal jaru przeczekiwał, aż ściemni się zupełnie. Słuchał docierających z zamieszkałej strony odgłosów, które nie były zwykłe, bo rozlegało się ich więcej, niż zazwyczaj zimą przy gospodarstwie, kiedy ludzie prędzej kończą wieczorne obrządzanie bydła, podsypują na noc koniom, spożywają kolację i udają się na spoczynek, były też donośniejsze, ale instynkt, czy może ich znajomość, tak naturalna u niego, wieloletniego mieszkańca wsi, mówiły mu, że nie ma wśród nich głosów żołnierzy, i cierpliwie czekał, aż przycichną, nie cichły jednak długo, słyszał je bowiem tak samo nasilone, a nawet bardziej, gdyż wiatr ustał prawie, od lasu zaś nie ciągnął żaden poszum, tylko mróz delikatnie dzwonił tocząc po zamarznętej pokrywie pól śnieżną kurzawę. Jeszcze później więc, kiedy ruszył przez nadrzeczne łągi (bo na wale za zasiekami chodzili pewnie nocni stróże) i przedostał się do wsi ukradkiem po przybrzeżnym pasie lodu, to także nie śpieszył się, myśląc, że najwidoczniej dość wczesna jeszcze pora, że zegarek nastawiony w futorze Czartoriusów, nie regulowany od tamtej nocy, wskazuje czas niedokładnie, tak że w końcu, kiedy się był znalazł w pobliżu dworskiego ogrodu i folwarku, uspokajanie się, zamieranie tych, dotychczas słyszanych głosów, wprost go uderzyło swą nagłością, gdyż zanim nawet dotarł do pierwszych chłopskich chat, już wszystko pograżyło się w ciszy zupełnie. Ale dopiero zobaczywszy, jak są rzęsiście oświetlone, zatrzymał się z przecuciem, iż zapomniał czegoś niezmiernie ważnego.

Cała wieś wyglądała tak, jak gdyby jej mieszkańcy raptem zapomnieli o nakazie zaciemniania okien, za szybami przesuwały się liczne ludzkie cienie, a potem gdzieś stamtąd, z jednej z chat popłynęła pieśń; to było kołęda „Przybieżeli do Betlejem...”. Zrozumiał wtedy, że trafił do Iłłowki Tatarskiej na wigilijny wieczór i uczucie słabości, jakie go zrazu ogarnęło, było tak wielkie, że nie wystarczyło oprzeć się o mur, musiał zdobyć się na wysiłek, żeby prędko pozbyć się myśli o kobiecie i jej dziecku zostawionych na zaśnieżonym pustkowiu Sokalego jaru (nie myśli o własnym domu, o nieżyjącej matce, o wuju i ciotkach, ani o Katarzynie, aczkolwiek bowiem pojawiła się ona jeszcze onegdajszej nocy, to zaraz w bladym świetle świtu rozplynęła się znowu, ostatniej zaś nocy nie śnił jej wcale), właśnie krótkiej, rozpaczliwej myśli o tamtych dwojgu zostawionych, kobiecie i dziecku, musiał się pozbyć, bo z wszystkich kobiet i dzieci, jakie tułały się jeszcze na śmietniku jego pamięci, te dwie istoty były najrealniejsze.

Iłłowiecki dwór był podobnie, jak chłopskie chaty, jasno oświetlony. Na tle nieuchwytniej, miękkiej ściany mroku, za szybami wysokich weneckich okien, za półprzejrzystymi firankami również przesuwały się cienie, ten zaś niezbyt głośny, szemrzący, nastrojowy, radosny i zadumany jak gdyby gwar świąteczny przedostawał się stamtąd nieomalże dosłyszalnie na zewnątrz. I niebo się rozjaśniło, bo zza horyzontu wynurzył się księżyc, i były gwiazdy, i noc zaczynała się pełna skupienia, poczucia bezpieczeństwa, jak gdyby stworzona została, żeby trwać później w pamięci. Ale posłyszawszy za plecami skrzyp śniegu, obejrzał się prędko i zobaczył idących wojskowych w luźno narzuconych na mundury płaszczach. Więc jednak się pomylił, byli tu także obcy.

Rzucił się błyskawicznie ku schodom, przeskoczył stopnie i pchnąwszy drzwi znalazł się w nagrzanym wnętrzu sieni, a w świetle, które padało z pustego jeszcze salonu, ujrzał matkę dziedzica Kaniowskiego, staruszkę chyba osiemdziesięcioletnią, jakby już tam na niego czekała, żeby wprowadzić w głąb domu i zaprosić do świątecznego stołu, małą postać w czerni, z mglistą, rozmazującą się w siatce zmarszczek twarzą, żółtą, jak płomyk świecy, chwiejącą się nad koronkowym trójkątem żabotu podpiętego pod szyję maleńką perełką, ale z oczyma w tej twarzy badawczymi, zdumionymi, niedowierzającymi i załknionymi też. I te uczucia zdumienia, niedowierzania i lęku były jeszcze przez chwilę w jej głosie (nawet, gdy już oczy stały się zdecydowane), przynajmniej w pierwszych słowach: „Mój Boże, Paweł Woynowicz?! Ty żyjesz, chłopcze?”, a potem zaraz chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą: „Chodźmy. Stacjonują u nas węgierscy żoł-

nierze. Oficerowie będą na wili. Nie może im się Paweł tak pokazać”.

Energicznie prowadziła go ku schodom i na górę, tam zaś do swojego chyba pokoju, bo ów nikły, ale charakterystyczny dla starości zapach lawendowej wody, zasuszonych kwiatów, ziół, owocu pigwy wkładanego między bieliznę w komodzie i lekarstw, przesycił całe powietrze. Stała naprzeciw niego zamknąwszy wpierw drzwi, popatrzyła chwilę i nagle zapłakała bez łez: „Paweł już wie o swoim domu?”, pełna dzikiego żalu, wściekłości, a on: „Tak, wiem, byłem w Glebach”, a ona. „Po co matka tam wracała? Po co teraz? Sama!”, on natomiast szybko: „A wuj?”, na co ona: „Nic Paweł nie wie? Sędziego aresztowali i do obozu wywieźli. Powiadają, że gdzieś pod Lublin, do Majdanka”, więc on: „Nic nie wiedziałem. Nic. Byłem jak ślepy, odcięty od wszelkich wiadomości o rodzinie” i po chwili: „A ciotki? Czy może pani słyszała coś o ciotkach, czy żyją?” pytał bez oddechu, z hamowanym lękiem stopniując swą wiedzę, przekonany, że zaraz pytać będzie musiał dalej, to pytanie o Katarzynę wreszcie postawi i jeszcze jedna odpowiedź uderzy weń niby kamień, ona już jednak w łzach z oczami zamazanymi, półwidzącymi raptem opuściła głowę, sięgnęła do rękawa po chusteczkę i dopiero ocierając twarz, powiedziała: „Nie wiemy nic pewnego, panie Pawle. Proszę wierzyć. Syn, kiedy był w Krzyżtopolu, od jednych słyszał, że pana ciotki i bratową Niemcy zabrali, ale od innych, że udało im się zbiec. Jeszcze zaś inni mówili, że ktoś od Czerestwieskich się nimi zajął i stąd wywiózł. Nic w każdym razie pewnego...”, a więc tego ostatniego pytania nie musiał już zadawać.

Potem staruszka się opanowała, otarła łzy i poprawiła włosy; kazawszy się mu rozgościć, sama opuściła pokój. Stał na wprost lyszajowatego lustra w starej ramie, widział w nim twarz swą dziką, zarośniętą, szerniałą, spierzchniętą od wiatru i mrozu, ponuro zdeterminowaną i niewiarygodnie obcą; zamknął oczy, oddychał głęboko i równomiernie, aż powróciła doń świadomość miejsca, w jakim się znalazł i charakteru dnia, dzięki czemu wydało mu się znowu, że słyszy przenikający mury wigilijny gwar z jadalni i czuje całą szczególną atmosferę tego wieczoru. Po jakimś czasie w korytarzu powtórnie zabrzmiały kroki i ten ktoś z tamtej strony położył na klamce rękę, jak gdyby się wahał, albo siłą powstrzymywał, i drzwi się nie otwierały. Więc już wtedy powinien był wiedzieć, że nastroju, jaki zwykle się po wieczorze tym oczekiwać, nie da się długo zachować. Bo przecież minęła tylko minuta, no, dwie, trzy najwyżej, jak oderwał się od odpowiedzi, jakie otrzymał na swe pytania, i od pytań,

jakich nie zdołał zadać, a już posłyszał, że w krokach na korytarzu była ta sama, co w jego własnym przed chwilą głosie, niepowstrzymana, rozpaczliwa chęć dowiedzenia się prawdy i w owej krótkiej ciszy, jaka nastąpiła za drzwiami był lęk przed tą prawdą, i cofanie się, i niecierpliwość, i nadzieja również. Aż wreszcie pchnięte drzwi otworzyły się z rozmachem, stanął w nich dziedzic Kaniowski, niegdyś jak tur mężczyzna, teraz wyglądający prawie starczo, z żółtymi fałdami skóry obwisającymi z podbródka na kołnierzyk, z wątrobianymi plamami na twarzy, i już od progu mówił: „Co za szczęście, kochany panie Pawle. Toż to dla nas tak, jakby nasz Stefan na ten dzień do domu powrócił!”, czepiając się go bladymi, ale pałającymi oczami, bo od razu, nawet nie pytając, chciał mu wydrzeć całą wiedzę, jaką posiadał czy mógł posiadać o jego synie, więc tylko pomyślał: „Boże. Gdybym chociaż mógł mu powiedzieć, że ich Stefan przeżył tamten odwrót przez Sert”, i gdy zaraz Kaniowski, tak jak przypuszczał, zapytał, to skłamał, że nigdy się z jego synem osobiście w lesie nie zetknęli, byli w innych oddziałach, wszystko jest chyba dobrze, nie słyszał, żeby coś złego mu się przytrafiło, tymi słowami i tonem jakim przemawiała niedawno stara pani Kaniowska, bo choć wiedział, że we wzroku mężczyzny ujrzy zawód, to i ulgę też. A potem do pokoju weszła żona gospodarza i podała rękę zimną, zdrętwiałą, i powiedziała: „Niech się pan pośpieszy, zaraz kolacja”, głosem pełnym znaczenia, bo chyba nie to miała na myśli, a jej wzrok, spotkawszy się z jego wzrokiem, uciekł gdzieś prędko w bok. Więc zrozumiał, że jego własna sytuacja nie jest niczym wyjątkowym i od tamtej, szarpiającej serce niepewności, w jaką wprawiły go słowa matki Kaniowskiego, oderwał się ostatecznie.

Potem nie musiał się z nikim witać, nikt go też o nic nie pytał, najwidoczniej niespodziewane — jak jego — odwiedziny, nie należały tu do rzadkości, a zebrani w jasno oświetlonym salonie krewni gospodarzy i obcy, chyba uciekinierzy z innych miejscowości, wśród których było trzech oficerów węgierskich, cierpliwie stali pod ścianami, albo w milczącym ożywieniu siedzieli na dwóch kozetkach i fotelach, najwyraźniej na coś, czy na kogoś czekając; paru przechadzało się skrajem dywanu, rozmawiając półgłosem i tylko gromadka dzieci, których nie znał, prawdopodobnie należących do przyjezdnych, hałasowała w pobliżu drzwi od jadalni, z nikim ze starszych się nie licząc. Pachniało dostatkim, dobrym tytoniem, delikatną wonią perfum, było jasno, ciepło, radośnie. Aż wreszcie ktoś wbiegł z sieni krzycząc: „Gwiazda! Przewodnia gwiazda!” i wtedy nagle wszyscy zaczęli mówić naraz, te drzwi do jadalni zostały uroczyście otwarte, za

nimi zaś Paweł zobaczył zielone drzewko przystrojone bibułkowymi girlandami, watą, staniolem, piernikami z lukrem, orzechami, różnobarwnymi kulami z dmuchanego szkła i srebrzystymi dzwoneczkami, po środku pokoju zastawiony obficie jedzeniem stół, wzdłuż stołu sześcioramienne świeczniki, w których świece zapalała właśnie służąca, i pomyślał prawie dziecinnie: „Więc jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze cudowna atmosfera tego święta nie przepadła zupełnie”, i zaraz był tradycyjny opłatek, życzenia pełne życzliwości, które składał on i jemu składali nawet ludzie nigdy przedtem nie widziani, podniecone, przez całą długość pokoju, nawoływania dzieci nie dających się nikomu uciszyć, tłok i śmiech wokół choinki, potem przy stole siedział na miejscu, które, jak pamiętał, zajmował dawniej nieobecny teraz młody Kaniowski, i wyobrażał sobie, że znalazł się w swym rodzinnym domu, że jest matka, że wuj, że ciotki, że Katarzyna też przy nim tu jest, mając równocześnie jakieś przeświadczenie, że owo puste miejsce przy stole po synu gospodarzy i w ich sercach, nieoczekiwanym swym przybyciem wypełnił przynajmniej na jedną chwilę. Nawet rozmowa prowadzona po niemiecku przez panią domu z węgierskimi oficerami, nie psuła wieczoru. Wydawało się zresztą, że owi żołnierze, nie z własnej przecież woli na służbie wroga, widzieli, iż stało się coś niezwykłego w tym otoczonym wojną miejscu, czego nie pojmą i w czym, jako obcy, nie mogą uczestniczyć, dlatego też mówić muszą, zwłaszcza, że używają wrogiego języka, półgłosem i nie wolno im nikomu narzucać zbyt manifestacyjnie swej obecności. Później był barszcz z uszkami, ryby, pierogi z grzybami i kapustą, kutia, śliwkowy kompot, dla dzieci upominki pod choinką, kolędy śpiewane na głosy przy akompaniamencie fortepianu, i choć przez śpiew zmieszany z wesołym gwarem słyszał te słowa: „Front zachodni tak zachodni słuchałem wczoraj BBC zapomniałam nastawić jak stanął w październiku jeszcze proszę pana między Neapolem a Rzymem słyszałam wczoraj nie przedwczoraj bo wczoraj nie ruszył się z miejsca tak od października a Sowici nie słuchałam słyszałem że Sowici też słyszałem Witebsk i Żytomierz zdążyli odbić to czytałem dawno już Niemcy się przyznają gdzie w gazetach co pan trzeba czytać gdzie między wierszami Sowici panie pod Kirowogradem” — to je od siebie odpychał, chciał chłonąć jasność światła naftowych lamp, pełzanie po ścianach i obrusie żółtego blasku świec, zapach wosku, sztucznych ogni, jedzenia, brzęk talerzy, sztućców, śpiew dzieci zgromadzonych wokół choinki i ich śmiech, bo wiedział, że wieczór ten wkrótce minie i znowu znajdzie się na mrozie, w śnieżnej zawierusze, w samotności ze swoimi sprawami, które rozstrzyga jedynie karabin. Lecz były, natrętnie pełży

zewsza, oplątywały go: „Trzaski jak słuchałem w pobliżu ktoś się kręcił a Sowietci są teraz na linii Dniepru pewien szpicel więc trzeba wydłużyć antenę odcięli Niemcom nawet Krym nie pomaga proszę pana na zachodzie bez zmian tak tak na zachodzie gdzie na zachodzie słyszałem między Neapolem a Rzymem mój Boże nie ruszają ani kroku to pomaga gdy wydłużyć to zależy od aury panie słuchałem przedwczoraj czy kiedyś nie nie pamiętam żeby mówili tylko o ujściu Dniepru było lepiej wczoraj to słyszałem będzie ofensywa co do aury nie będzie będzie ale na wschodzie proszę pana” — i doświadczył dojmującego przeczucia, że mimo nadludzkich wysiłków narodu coś kończy się na zawsze, i zażęsknił za jakąś ręką, obojętnie czyją, która swoim dotknięciem powstrzymałaby go od upadku i wyzwoliła z chaosu, w jakim brnął, przedierał się do światła mając wprawdzie wiodący cel, ale bez nadziei, że będzie on zrealizowany. Naturalnie dłoń tę odepchnąłby z dumą, ale zapewne przywróciłaby mu siłę i upór w spełnianiu obowiązku niezależnie od tego, czy ma to sens, czy nie. Nic jednak takiego się nie zdarzyło.

O północy szli na pasterkę. Dzwoniły dzwony, wewnątrz kościoła pachniało kozuchami chłopów, kadzidłem, brzęczały dzwonki ministrantów, grały organy i jarzący się blask świec wionął na zaczerwienione twarze ludzi tajemniczym tchnieniem. Powrócił wewnętrznie uspokojony. To trwało w nim jeszcze, kiedy na piętunku w pokoju, który mu przygotowano na noc, objaśniał knot w lampie, zdjął buty i, czekając na pościel, przygotowywał się do snu. Bo wtedy zapukano do drzwi i na progu stanęła staruszka, matka gospodarza. I spojrzała badawczo. I powiedziała: „On nie żyje. Paweł nie musi przede mną udawać. Bałam się, że Paweł coś im powie. Nie trzeba, żeby teraz się dowiedzieli. Nie trzeba. Łatwiej będzie im wytrwać. Dziękuję, że Paweł niczym się nie zdradził...”. I już z tamtego uspokojenia nic nie pozostało. Bo zanim jeszcze pojął, że ta stara kobieta pełna gniewnego żalu, uporu i dumy mówi o swoim nieobecny wnuku, Stefanie Kaniowskim, o którego tak dopytywali gospodarze, uświadomił sobie, że został przez los w tym domu przez parę wigilijnych godzin obdarowany czymś, co mu się nie należało i już widział, że ich oszukał naprawdę. Toteż, kiedy niosąc pościel weszła synowa staruszki, maskując zmieszanie powiedział: „Proszę wybaczyć. Nie mogę u państwa zatrzymać się na noc”, i żeby nie protestowały, szybko: „W połowie drogi stąd do Gleb ukrywam pewną kobietę. Uciekła z dzieckiem z pogromu. Nie wiedziałem, że zostawiam tych dwoje właśnie na wigilię. Idąc tu nie wiedziałem, jaki dziś dzień”, i opowiedział po krótko całą historię, że chciałby tych dwoje tu do nich, do Iłłowki sprowa-

dzić, po to przyszedł, chciał się dowiedzieć, czy można, one zaś ciągle zaskoczone nagłością jego decyzji i zawiedzione, patrzyły w milczeniu.

Dźwigał później plecak wypełniony żywnością, na ciele czuł dotyk czystej bielizny, nowe buty ze sztylpami grzały stopy i ogarniała go senność. Kaniowski przeprowadzający go do szańca przez pikiety Węgrów, ciągnął wątek tamtych rozmów przy stole; za zdawkowymi zdaniami wyczuwał jego miotające się myśli: „Od kiedy AK wycofała się za Sert, naszych zostało niewiele. Paru. Może parunastu. Tu, tam, samotni w ostępach i na bezdrożach. Ludzie tylko w większych wsiach. Samoobrona. Jeszcze trochę niedobitych Żydów po lasach i jarach. I młody Czerestwiński ze swoimi. Ale nie wiadomo czego chce. Pali i wiesz, oto wszystko. Nie wiem, co pan pragnie zdziałać sam... Nikt nie rzekłby złego słowa, gdyby pan chciał się stąd wynieść. Przecież pan wyczuwa, co w powietrzu wisi. Mogę postarać się o lewe papiery”. A on, Paweł: „Nie mogą wszyscy uciekać. Naród...”. A Kaniowski: „Naród? Naród jest zmęczony, wykrwawiony. Przyjmie każdą nową sytuację. Byle bez Niemców. Przyjmie każdą niepodległość, nawet pseudo”. A on: „Nie pierwszy raz nasz kraj stanął na drodze Wschodowi prącemu na podbój Zachodu”. A Kaniowski: „Wielkie słowa! Ale tym razem nie stanie. Opuszczony przez wszystkich”, i drwiąco, z tym samym brakiem litości dla niego, Pawła, co dla siebie: „Pamięta pan sławetne wybory z końca października w trzydziestym dziewiątym roku? Te wybory, co gdyby je zrobili tak samo na przykład w Szkocji, to wykazałyby, że Szkoci aż w 99,9 procentach o niczym więcej nie marzą, jak tylko o odłączeniu od Anglii i przyłączeniu do ZSSR. Zrobią nam takie powtórnie. Tak to się skończy, gdy wejdą. Zachód nawet palcem nie kiwnie. Ja do niczego nie nakłaniam. Chcę tylko, żeby pan wiedział. Mógłbym pomóc, gdyby chciał pan stąd wyjechać do centrum kraju”. A on znowu: „Nie. Wszelka słabość bierze się z ucieczek i kompromisów”. Tylko że już sam sobie nie wierzył. Byli przy drucie kolczastym maskowanym tu i ówdzie chrustem, z szopy obok wyszedł ktoś, może Węgier, a może jakiś chłop wyznaczony na wartę przez wiejską samoobronę; poznavszy dziedzica cofnął się. Niebo z lekka wyblakło, ale Paweł nie wiedział, czy zanosí się na śnieg, czy świtać zaczyna, księżyc zaś nił w roztoczy chmur. Kaniowski powiedział: „Niech pan nie zboczy z drogi. Teren, gdzie broniliście dostępu do przeprawy, nie rozminowany”. A on w zamyśleniu: „Straciłem tam pod przysiółkiem najlepszych ludzi z Gleb”. I myśl, przypomnienie jednym z tych wszechobejmujących spojrzeń prędko musnęła ów dzień, kiedy sam był ranny, kiedy umie-

rał wachmistrz Szyła z tatarską twarzą, z którym jednego byli herbu, jakaś kobieta rodziła na wozie, jej mąż, czy ojciec mówił dwójkarzowi ze sztabu: „*Ja ne Ukraineć, ja miscewyj, pane*”, Chrobak wstrzeliwał się w dolinę do ostatniego naboju w taśmie, a on doń krzyczał: „Strzelaj, strzelaj, głupcze! Dlaczego nie strzelasz!?” choć Chrobak nic już nie słyszał, i drgnął, zauważył, że Kaniowski nań patrzy, jakby na coś czekał. Prędko wyciągnął doń rękę; potem odwrócił się bez słowa.

Poszedł, zanurzył się w szarość pól przeciętych kreską drogi, widząc w dali ponad wzniesieniem las. Myślał szybko: „Pytając, czy nie chciałbym stąd zwiać, on przypominał sobie swego syna, który postanowił tu zostać. Cokolwiek mówił, ani na chwilę nie tracił z pamięci tamtego”. I wydawało mu się, że też słyszy tętent konia, którym syn Kaniowskiego odjeżdżał na wezwanie ludzi z lasu, galopując od swego dotychczasowego wcielenia: złotego młodzieńca zajętego końmi, psami, polowaniem, grą w karty i dziewczynami do wcielenia nowego, po którym pozostanie pamięć, podarty sztandar partyzancki, karabin zaszyły rdzą, spłowiała furazerka, przepocona, zdobyczna kurtka khaki i przekonanie ojca o spełnionym obowiązku wobec ziemi, która była ich i której nie należy bez walki zostawiać obcym. „A mimo to ukazał mi możliwość wyboru”.

Mijał już przysiółek, tak zawzięcie broniony tamtego listopadowego dnia. Puste chaty przeświecające na wskroś przez powyłamywane drzwi i okna powietrzem i bielą śniegu. Zdarte poszycia strzech, powalone płoty, zapach starej nie zwietrzałej do końca spalenizny. Przed obejściem sołtysa, gdzie w sadku pochowali wachmistrza, nie zatrzymując się, zdjął z głowy czapkę i wpół bezwiednie, kierowany nawykiem z dzieciństwa szepnął: „Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci...” ale słowa te wydały mu się liche i mało warte. Potem znalazł się w dolinie, a las wspinał się na stok zakończony pagórkami, za którymi była nowa dolina i rzeka. I myślał: „Człowiek może zrobić wszystko. Może zrobić rzeczy, których nie powinienby robić kierując się zdrowym rozsądkiem. Może zrobić rzeczy, które być może niczego nie zmieniają, jeśli je robi. Może nawet zrobić rzeczy, które są dla niego nie do zrobienia”. A potem, stojąc na wzgórzu ogarniętym bladym, zimnym świtem, odwrócił się za siebie. Niebo, na którym nie widział już ani jednej gwiazdy, było jak coś bezwładnego, nieżywego, dolina leżąca poniżej pod jego nogami wydała się ciemna i nieprzenikniona w głębi, nie zdradzająca miejsc, gdzie walczyli, ukrywająca wszelkie ślady po walce, i pomyślał, że wygląda niby dno nicości, jakby ludzie, którzy tam padli, nawet zanim jeszcze

padli, nie byli wcale ludźmi, a od samego początku zimnym po-
piółem okrywającym ziemię, żeby na zawsze została szara i mil-
cząca; idąc zaś dalej brzegiem rzeki i potem lasem, za którym
zaczynały się pofałdowane bezdrzewne manowce, myślał, że ma
przed sobą ciągle jeszcze to, co już za sobą zostawił, monotonną
straszną dal będącą nicością, pochłaniającą zachłannie i okrut-
nie, i obojętnie wszelkie życie, dal, którą on jednak, zrodzony
przez tę ziemię, musi przemierzać w tę stronę i z powrotem,
na wprost, na ukos, w kółko, w poprzek pomiędzy określonymi
dokładnie granicami widnokregu, mimo nieograniczoności nieogar-
nionego świata. „Nic na to nie poradzę” powiedział sobie. „Nic
na to nie poradzę”, i to było wszystko, nie zastanawiał się nad
swoimi słowami, nie chciał, nie musiał, nie widział potrzeby, ani
sensu, wszystko przecież zostało z góry ukartowane, jakby przez
kogoś, nie przez niego, przez kogoś kto nie był zresztą z krwi
i kości, przeciwnie, czymś płynnym, nieuchwytnym, zaprzieszło-
ścią, przeszłością, teraźniejszością i przyszłością jednocześnie,
czymś płynnym absolutnie, przemykającym się przez palce, nie
posiadającym oddzielających konturów, niemniej konkretnym:
historią, którą wyssał z mlekiem matki, wyrósł w niej i czy
chciał, czy nie chciał żył nią, była w nim, kierowała jego krokami
i odejść od niej dobrowolnie nie potrafiłby. A później poczuł,
jak przelatuje przez niego ostry, zimny wiatr, równocześnie gwał-
towny i spokojny, był to bowiem wiatr świadomości własnego
przeznaczenia. Odwiewał od niego, jak gdyby były czadem tylko,
wszelką rozpacz i beznadziejność, a także te wszystkie pełne lęku,
tragicznych tworów wyobraźni i rozwiązań, myśli o dniach, które
mają nadejść. Poczuł, że wiatr ten cofa go także do krzepiącej
chwili, kiedy siedział w blasku padającym od świateł i słuchał
śpiewu kołęd. I przypomniał sobie twarz staruszki, matki Ka-
niowskiego, znającej prawdę o swoim wnuku, spoglądającej na
niego, Pawła, surowo, taksującą nieomal, jak gdyby chciała wy-
badać, czy nie zmogły go wątpliwości, czy wytrwa, cokolwiek
się zdarzyło w jego własnej rodzinie i czy nie cofnie się tam,
gdzie pozostałby tylko wstyd. Zapragnął ją zobaczyć znowu i coś,
czego ona oczekuje, powiedzieć; pragnienie było czymś więcej, niż
pragnieniem, było także spokojnym przekonaniem, pewnością, że
mu się to uda. Potem myślał jeszcze o czekających nań w glebo-
wieckim dworze mężczyznach i senność, która nie pozwalała mu
odpowiadać, kiedy odprowadzający go Kaniowski zadawał pyta-
nia, a która później nie opuszczała go ani na sekundę w czasie
drogi przez las, przepadała.

Ale jednak zasnął, gdy tylko powrócił do drewniaka w Soka-
lim jarze. Karpatkowa, która czujna, na suchy skrzyp jego butów

odrywających się od śniegu, odemknęła wierzeje, popatrzyła wy-
czekująco z twarzą skupioną i napiętą. Gdy się zbliżył, powie-
działa: „Tu był ktoś” i wskazała na śnieg, który przez czas, kiedy
go nie było, prawie już zaproszył ścieżynę przetartą od drew-
niaka do strumienia. Zobaczył ślady zwierzęce. „To był pies”
powiedział do kobiety. „Pies i człowiek” sprostowała kobieta,
„Tylko że człowiek się nie zbliżył. Stał, o, tam, przy strumieniu,
a pies przybiegł, węszył, lecz tamten gwizdnął i się oddalili”.
Patrzyła z napięciem wciąż rosnącym, on zaś stał bez ruchu, nie
odrywał wzroku od psiego śladu prowadzącego w kierunku stru-
mienia i tam łączącego się z innym, ludzkim, ale nie czuł lęku,
tylko potrzebę głębszego zastanowienia się. Równocześnie nie do
pokonania niechęć do tego. I po chwili ta senność, która, jak
mu się zdawało, przepadła, kiedy zbliżał się do Sokalego jaru,
znowu się pojawiła. Już wiedział, nie miał wątpliwości, choć za-
pytał: „Jaki to pies? Rudy spaniel?”, nawet niezbyt uważnie
słuchając potwierdzenia, nawiedziło go bowiem przytłaczające
uczucie niemożności oderwania się od spraw, które przypuszczał,
zostawił, porzucił z chwilą odejścia z domu do oddziału. Bo to
było właśnie to. Nowe spotkanie z człowiekiem, którego pierwszy
raz widział wtedy, po śmierci Mikołaja Fiodorowicza Czeres-
twińskiego, kiedy z Katarzyną siedzieli na schodach czupryń-
skiego dworu i w głębi alei ujrzeli ciemne kontury ludzkiej
postaci. „To nic nie znaczy. To był pies z Czupryni. To nic nie
znaczy... Naprawdę...” mówił wiedząc, że senność, z którą nagle
nie może dać sobie rady (wprawdzie nie spał całą noc), jest tylko
stanem obronnym przed myśleniem o znaczeniu tego, co się
stało, „To był człowiek od pana Piotra Czerestwińskiego. Nic
ci nie grozi. To może nawet był sam Piotr Czerestwiński. Ten
z Czupryni, słyszałaś...” i wszedł do szopy, i zaczął zrzucać z sie-
bie kożuch, wierzchnie odzienie, buty, i już w podkoszulce i kale-
sonach zagrzebał się w końskich derach, następnie leżąc ze skrzy-
żowanymi na piersiach rękami, skostniały, zimny, czując jak zim-
no spowija go ołowianą powłoką, przenikające do kości i kobietę
mając ciągle jeszcze w promieniu wzroku, jej twarz przejętą,
niedowierzającą, szarą jak u trupa, ale już nie patrząc na nią,
dodał: „On szuka kogoś zupełnie innego, niż mnie. On szuka
mojej bratowej. Może myśli, że ja ją gdzieś zabrałem, gdzieś
ukryłem, że może porzuciłem, może skrzywdziłem... Czy ja wiem
zresztą co? Tobie nic nie grozi”. A potem z wielką ostrożnością
obrócił się wśród zimna i suchego chrzęstu siana na bok, zamknął
oczy, zacisnął powieki. „Tam w plecaku jest żywność, węz...”.
Zasypiał z wolna. Miał przeświadczenie, że ostatnio o czymś istot-
nym, co przedtem stanowiło treść jego życia, zapomniał, albo też

usiłował zapomnieć, to zaś, co się teraz w czasie jego krótkiej nieobecności w Sokalim jarze zdarzyło, wykazało absurdalność tych usiłowań.

V

Te ślady na śniegu widział we śnie. Obudził się po południu i czekał mając nikłą nadzieję, że mężczyzna, ktokolwiek to zresztą był i cokolwiek w rzeczywistości chciał, może wrócić. Wieczorem długo rozmawiał z Karpatkową. Właściwie to pierwszy raz od tamtej nocy, kiedy znalazł ją w czartoriusowym futorze, mówił z nią tak długo, otwarcie i bezpośrednio. Wyjaśniał, co trzyma go samego w tej okolicy teraz jeszcze, gdy matka nie żyje, a po innych bliskich nie zostało śladu. Nie mówił o obowiązku, ani o honorze, ale o przywiązaniu i że na spustoszonej tej ziemi zbyt wiele jeszcze swoich zostało, którzy nie mają się gdzie poza nią podziać, a idąc na tułaczkę pod inne niebo, będą już zawsze, jak bezdomne psy. Siedząc naprzeciwko młodej kobiety przy ognisku zastanawiał się głośno nad tym, na co można liczyć, na co liczy miejscowa ludność zespolona językiem, tradycjami i więzami krwi z Rzeczpospolitą, uszczuplona przecież już na początku wojny przez sowieckiego okupanta o przeszło dwa miliony wywózkami na wschód, później zaś masakrami po więzieniach i obozach, zwłaszcza w chwili wybuchu zatargu sowiecko-niemieckiego. Na co może liczyć ta ludność obecnie, jeszcze bardziej przetrzebiona przez Niemców i nacjonalistów ukraińskich. Nie umiał ani sobie, ani kobiecie dać jednoznacznej odpowiedzi. Odpowiedzi pewnej. Nie wiedział, czy go zrozumie, ale mówił, że klęska Niemiec jest nieuchronna, nastąpi to prędzej czy później, za rok, dwa, bo oszukana przez swych polityków Europa obudziła się, w końcu więc zrzuci z siebie i wypali jak gorącym żelazem całą tę hańbę na swym cielem, ale że kraj, ich kraj ojczyzny, który wykrwawia się najbardziej i którego synowie walczą na wszystkich niemal frontach o swoją i cudzą wolność, w chwili zwycięstwa zostać może oszukany i utracić może tę wolność ponownie. Ze nawet może, stając się pozornie zwycięzcą, pokonanym być na zawsze. Oni tu na Kresach już raz wschodniego sąsiada widzieli z bliska. Od tamtego września do połowy czterdziestego pierwszego roku doświadczyli bolszewickiej władzy na własnej skórze aż nadto, cokolwiek pewni politycy o fakcie tym

mówią i w przyszłości powiedzą. Mówił kobiecie, że jeśli armie zachodnie nie ruszą się i nie przyjdą wcześniej, stanie przed wyniszczonym narodem hamletowskie pytanie: być, czy nie być. Że trzeba śpieszyć się z oczyszczeniem terenu z faszystowskich band ukraińskich, ocalić jak największą ilość ludności i być może przygotować powstanie, żeby ubiec zagarnięcie władzy przez Sowietów i ich agentów. Że, aby ocalić przyszłą niepodległość tego kraju, trzeba się będzie zdobyć na niejedno cierpienie i wyrzeczenie, niejeden trud i niejedną walkę. I że jeśli ocalić się tej przyszłości nie da, trzeba przynajmniej ratować własną godność. Wszystko to mówił tego wieczoru głosem spokojnym, ale jak gdyby trawiony wewnętrzną gorączką, a ona słuchała uważnie i, gdy jej potem powiedział, że wkrótce odprowadzi ją do Iłówki Tatarskiej (której Kaniowscy nie porzucili jeszcze), że będzie tam bezpieczniejsza, niż zdana tylko na niego, na bezludność miejsca i przypadek, przytaknęła: „Dobrze, tak będzie najlepiej”.

Mimo to jednak nie opuścił Sokalego jaru zaraz. Wciąż jeszcze nie mógł pozbyć się myśli, że tamten nieznamy i znajomy zarazem, powróci być może i że może owa okrutnie, nagle zerwana nić osobistych jego, Pawła, spraw, a także spraw Katarzyny i kuzyna, Piotra Czerestwińskiego, ta nić zerwana i zagubiona pośród namiętności wojny, w zawierusze bratobójczych walk, na nowo się zawiąże. Dlatego czekał. Ostatnim wypadem do Gleb, łuną, jaka rozlała się na niebie dał głośno znać o sobie okolicy. Robił teraz świadomie wszystko, aby ta wieść o nim nie przepadła w czymś zapomnieniu. Wędrował leśną ścieżką ku torom, gdzieś w pobliżu Chrapunia przeskakiwał nasyp w bardziej zadeptanych miejscach pomiędzy bunkrami, zakradał się do futurów, w których oparcie mieli grasujący banderowcy albo hilspolicjanci wyznaczeni do pilnowania krzyżtopolskiej linii kolejowej, i gdzie trzeba posyłał kulę, lub podkładał ogień. Nie działał wcale na ślepo, była to przecież jego okolica, znał ją jak własną kieszeń, jej mieszkańców też, wypełniał więc jak gdyby z góry zaplanowane zadanie, jak gdyby z długiej listy, z rejestru ludzi i tak już przeznaczonych do tego, żeby ich czyny wobec własnej społeczności były osądzone, odkreślał poszczególne pozycje; nie zadawał sobie pytań w rodzaju: czy ma dostateczne prawo, czy też nie, nad istotą zaś dobra i zła, oraz winy i kary, że kara niekiedy może być nową winą i że złowrogim ogniowom tego łańcucha nie ma końca, nie zastanawiał się w ogóle. Te swoje wypadki, mimo znacznieszego niebezpieczeństwa, wołał przedsiębrać w dzień, bo wiadomo jak to jest, kiedy cel ma się dokładnie określić i uważa człowiek, że dopóki nie spudłuje, nie zrobi czegoś na ślepo, dopóki nie uderzy bezmyślnie obok, a odwrot-

nie, trzymać się będzie powziętych założeń, dopóty jego działanie jest zupełnie sprawiedliwe; wolał wypadły te przedsiębrać w dzień, bo w ciemności, gdy człowiek się gdzieś zakradnie, wszystko z konieczności bierze na słuch, na czucie, najwyżej na węch: wewnątrz chat wioną ostygniętymi ziemniakami, hreczaną mąką, kiszoną kapustą, schnącymi onucami, tytoniem, babskim potem, ledwo można wychwycić w powietrzu nagrzanym oddechami zaprzętą, charakterystyczną woń żołnierską, chrapanie, które dociera zza drzwi trudno określić do kogo należy, gdy zaś się już coś w końcu namaca, to to coś zaczyna się od razu poruszać, krzyczeć, trzeba szybko strzelać, zbyt wiele później gnębi wątpliwości, czy aby nie popełniło się pomyłki. I w swych wędrówkach nie zbliżał się nigdy więcej do Gleb; wiedział, że tamtym trzem, ukrytym we dworze trzeba dać czas na dostateczne podkurowanie się i że na razie, może tylko ściągnąć na nich swą obecnością niebezpieczeństwo. Lecz to, co robił, nie przynosiło zamierzonego rezultatu; ów człowiek, którego powrotu się spodziewał i który trzymał go wciąż jeszcze w Sokalim jarze, dalej się nie zjawiał. W ten sposób minął mu Nowy Rok; chyba ponownie jął tracić rachubę czasu. Któregoś dnia jednak dzwony z cerkiewnych dzwonnicy okolicznych zagrzmiały bliżej i dalej, i sobie uświadomił, że oto nastały święta Bożego Narodzenia według ruskiego obrządku.

Wtedy właśnie zdarzyło mu się wyjść na noc. I wtedy też zdobył trochę nowych wiadomości. Później nie bardzo pamiętał dlaczego wybrał się do kolonijki położonej obok Iłłowki Ruskiej, mieszkało tam przecież jedynie trzech nieszkodliwych, sprzed wojny jeszcze Niemców, którzy kupili ziemię z parcelacji (młodzi mężczyźni poszli do Wehrmachtu, ich żony były wciąż brzemiennie, starzy pilnowali gospodarki, po cichu pędzili bimber na handel i starali się nie wadzić żadnej nacji), prócz nich gospodarował tam jakiś pół Ukraińiec, pół Polak, zajmujący się bimbrowym pośrednictwem, w którego zagrodzie zatrzymywać się zwykli miejscowi posterunkowi i inna zbrojna hołota, dalej zaś był już tylko cmentarz, gdzie obok płotu mieszkał jeszcze grabarz z liczną rodziną. Być może wspomnienie wieczoru sprzed kilku nastu dni w domu Kaniowskich, pchało go w ten znowu uroczysty dzień w pobliże świętującej ludzkiej gromady, w każdym razie niebawem po stężeniu ciemności zostawił kłacz uwiązaną do drzewa przy rowie melioracyjnym za kieraciskami „bauerowskich” folwarczków, ale do właściwej wsi nie dotarł.

Ani głosu, ani światła nigdzie. Dopiero przy cmentarzu zatrzymał go nie jego własny szelest; było to tak, jakby człowiek przegarniał nogą trzaski. Gdy się odwrócił, poza nim z komina

jednego z niemieckich domów snuł się dym ledwo widoczny w czarnym powietrzu, ciągnęło zapachem sadzy, jak ze zrębów kuźni, za budynkiem stajennym parowała gnojówka, ale to nie stamtąd ów szelest dolatywał, a zza płotu cmentarza. Wtedy uskoczył ze ścieżki i przycupnął pod oszadziałym krzaczkiem. Patrzył jak w marnym świetle ćwierć księżyca rozmazanego mrozną mgłą wytelepał się z głębi chaty grabarza mężczyzna rozebrany niby do rosołu, tylko w spodniach i koszuli. Mężczyzna ów zataczając się ruszył przed siebie, po omacku przebrnął czeluść między podwórzową szopą a cmentarnym płotem, słysząc zaś skrzyp drzwi, przysiadł raptownie, wy dobył zza cholewy coś w rodzaju „walterka” i strzelił w ciemny otwór sieni, ale w odpowiedzi szczęknął stamtąd karabin, po którym ten w koszuli pchnął przed siebie ręką i padłszy twarzą ku dołowi, rył czubkami butów śnieg, aż znieruchomiał. Z cmentarza szumiało drzewami, badylastym suszem nagrobnym, w chacie grabarza coś się kotłowało, potem od oszronionej zahaty odbiły się jak kulki dzieci i schylając się pod zwisającymi gałęzmi, klucząc między grobami poгнаły przez puszysty śnieg ku cmentarnej furcie.

Paweł stał chwilę jeszcze bez oddechu: może zobaczy kogoś, może zrozumie co się tu dzieje. Następnie paroma długimi susami przesadził wolną przestrzeń, odtrącił nogą rozpląszonego w przejściu trupa, zrobił ostrożnie kilka kroków pod ścianą drewni, bacząc, żeby na coś się nie zwalić (obok skrzyń leżały łopaty, koromysło, kosze do dźwigania ziemi, pozoszone skądś ramy okienne z szybami, zakopcone rury i kuchenne blachy rzucone na kupę) i wreszcie zobaczył, jak u progu chaty stanął ktoś czarny i wielki. Sam wtedy również musiał zostać zauważony. I rozpoznany. Głos niedonośny, ale silny zawołał doń poprzez podwórko: „Jeśliście Woynowicz z Gleb, to bez strachu. Możecie podejść”, i poznał Dolatę od Laudańskiego, owego kaznodzieję, jak mówili jedni, czy też sekciarza, jak zwali go drudzy. Więc się zbliżył. Wyteżając wzrok postali chwilkę milcząc. Z głębi chaty dał się słyszeć twardy chrzęst grochownicy w sienniku, przewracanie się jakiegoś grata i długi jęk. Mała, okrągła niby orzech głowa Dolaty wykonała błyskawicznie pół obrotu (tymczasem kwadratowy korpus pozostał bez ruchu, trzymany w ręku karabin też ani drgnął), rzucił do wnętrza izby głosem łagodnym, choć szyderczym, żeby ten tam jakiś wychodził, szedł szukać swojej rozbieganej po okolicy bachorni i uprzątnął trupa, zanim żandarmi nadejdą, a potem pociągnął jego, Pawła, energicznie ku dróżce przy cmentarnym płocie; od najbliższego z niemieckich futurów dudniły już ciężko po grudzie buciory i ktoś omiatał śnieg snopem ręcznej latarki. Przemówił

dopiero, gdy wydostali się na pole: „Namnożyło się chciwych żeru; kruki. Latają stadami nad każdym pobojuwiskiem, a wracają do domu dopiero po obdarciu zabitych. Ten człowiek był kiedyś uczciwym grabarzem. Teraz zapragnął się nagle wzbogacić. Szpicla mi ściągnął na głowę. Myślał, że interes ubije”. Szli trochę okrężną drogą w kierunku brzeziny, skąd Paweł był przybył, a Dolata zamilkł, jakby dopiero obecnie rozstrząsał w myślach to spotkanie. Gdy się znaleźli wśród pierwszych drzew, przystanął, przysiadł na kolbie karabinu i piętach, następnie przytrzymując lufę między kolanami, chuchnąwszy w pierw w zgrabię palce, skręcać zaczął papierosa. Po pewnym czasie zapytał: „Byliście pewnie ranny? Bo przepadliście. Zostawili was u chłopów na kurowanie? No tak, a teraz?”, lecz nie czekał na wyjaśnienia, „Rozsypali się my, ten tu, ten tam, jak piasek, czy co...?”, a potem: „Poprowadził ja, miesiąc temu będzie, zwiad na Sudy i Sasów. Ludzie moi pod tamtejszym obozem odbili gnanych drogą sowieckich jeńców, mnie zaś osaczyli żandarmi. Odciepli od reszty, taka oto bida. Teraz to do Laudańskiego dalej, niż do Pana Boga. Ponoć przerzucił się z brygadą na teren województwa lwowskiego”. „Może pan zechce do mnie się przyłączyć? W Iłłowce Tatarskiej jeszcze samoobrona działa. Jest parunastu. Poza tym mam trzech ludzi w Glebach. Sam siedzę w Sokalim jarze, pan wie, gdzie się poznaliśmy przed tym wypadem na młodego Poczajewa”. Ale Dolata krótko: „Dziękuję. Mam swoje miejsce i swoją robotę”. „A to dlaczego? Nie moglibyśmy tej roboty odwalić razem?” Paweł z naciskiem. „Nie. Powinniście tych swoich ludzi prędko stamtąd ściągnąć i ruszyć w ślad za brygadą. Jest rozkaz, żeby wszystkie siły akowskie skupiały się w głębi kraju”. „No, tak... pewnie... Dużo tu jeszcze naszych?”. „Jest paru. Harcownicy, czy jak? Może zatraceni? Każdy goni osobno po znanych sobie ostępach i bezdrożach, kulkę wypuści, czerwonego kura podłoży, błysnie tu, błysnie tam, jak iskra i nagle zgaśnie powieszony na telegraficznym słupie, lub opalonym z gałęzi konarze drzewa. Cóż za różnica?! Albo rozstrzelany pod murem przez Niemców lub zabity w walce z ukraińskimi faszystami, czy też ludźmi szupo. Żadna różnica. Śmierć! Przeklęte słowo: śmierć, może to nawet koniec wszystkiego?”. Dopalał skręta w zamyślnym milczeniu i głowę miał opuszczoną. Po jakimś czasie parzącego mu usta peta wcisnął w śnieg, wstał, otrzepał waciak z półroztopionych lodowych pacynek, zarzucił na plecy karabin, a potem powiedział: „Jest tu jeszcze jeden taki. Sporo ludzi ma. Znacie. Był wtedy z wami nocą przed tą rozmówką Poczajewa. Któryś z tych Moskali z Czupryni. To będzie wasz krewny, co? Ostatnio go widziano za

Seredecem i Łopuszną. Muszę wiedzieć jakimi drogami chadza, naszymi, czy nie naszymi. Czas teraz taki, że zwłaszcza to wiedzieć trzeba. A wy z tymi, co mówicie, ciągnijcie lepiej od razu za brygadą. Samotnie nie ma tu czego szukać” i machnął ręką, i powiedział jeszcze: „Z Bogiem”, i tyle go Paweł widział; wsiąkł w ciemność, jak widmo, może był nim istotnie?

Przez chwilę jeszcze czuł to podniecenie, jakie mu się udzieliło, gdy Dolatę zobaczył, gdy szedł z nim, rozmawiał, a zwłaszcza, gdy Dolata powiedział o Piotrze; teraz ustępowało, i czuł, jak drobne drgawki przemykają mu przez ścięgna i mięśnie nóg, napiętych i gotowych, żeby bieć za tamtym oddalającym się skrzypieniem butów na śniegu, ale powoli się uspokoił, w pobliżu nie słyszał już nic, wiatr tylko pogwizdywał wśród brzoźowych witek, i widział, jak za niemieckimi futorami, przy cmentarzu błyskały śwatełka: najwidoczniej zwabieni strzałami zandarmi z Iłłowki Ruskiej przeczesywali dookoła teren. Więc odszukał Tamarę i pojechał. Jeszcze nie było północy, gdy powrócił do Sokalego jaru i rzucił się na swe legowisko. Przewracał się z boku na bok i rozmyślał o wszystkich samotnie przebiegających pustkowie mężczyznach, o Dolacie, o Piotrze Czerestwienskim, o tym kimś nieznanym, którego oczekiwał w jarze od wielu dni bezskutecznie (jak gdyby tamto jego pojawienie się z psem było czym wymysłem kobiety, w co by pewnie w końcu uwierzył, gdyby sam wtedy nie widział śladów nad strumieniem); i wydawało mu się, że przez ciszę nocną przenikają dźwięki kroków, że chodzi ktoś w pobliżu. Więc zrywał się, narzucał kozuch i wyskakiwał przed drewniak, ale na dworze szeleścić tylko przewiewany wiatrem śnieg, w dali huczało ponuro, lód na strumieniu trzaskał; i zamykał wierzeje, i w nagłej ciszy jeszcze głośniej wybuchał wtedy w kącie pośród siana i baranic, kaszel dziecka, a uspokajający szept kobiety brzmiał bez silnie, choć równocześnie żarliwie, jak modlitwa. Potem za późno już było na sen. Leżał na wznak i czekał aż się rozwidni, starając się kaszlu dziecka nie słyszeć. Tylko że słyszał go nawet, gdy naprawdę dawno ustał. Ledwo więc poprzez zadymkę przetarł się szary poranek, obudził kobietę i powiedział, żeby się zbierała i składała swe rzeczy.

Prowadząc zaprzężone w czartoriusowego mierzyna sanie, z Tamarą uwiązaną do kłonicy wyszli potem z jaru, jakby pierwszy raz od długiego czasu na światło, choć dzień był przecieź mroczny, nawisający chmurami, słońce ledwo nad widnokregiem szkarłatne, roztapiające się i nie dające blasku. Kamienie, obłamy skalne, uschłe łodygi kukurydzy i badyle na miedzach powlekał szron, niebawem zaczęło śnieżyć i mróz nieco zelzał. Jechali na

przełaj przez bezdroże, niekiedy zeskakując z sań, pomagając koniowi przebić się przez kopne zaspy, cały czas wśród krakania podrywających się spod kopyt wron, prosto w kierunku lasu. Nie rozmawiali. Syk płóz przepoławiał jak gdyby ciszę, okolica była pusta, tylko te wrony, kawki, gawrony, czasem pojedynczy kruk, nawet jednej żywej duszy po drodze, na skraju kniei ślady jeleni, tu i ówdzie świeży wilczy ślad. W Iłowce Tatarskiej znaleźli się krótko przed południem; wjechali otwarcie, nikt ich nie zatrzymał. A potem już Karpatkowej i jej dziecka nie było. Ani mierzyzna, ani sań, ani nawet Tamary, bo po zatrzymaniu się przed dworem klacz zabrał ktoś do stajni za oficynami. Znowu siedział w pokoju, gdzie mu już ongiś zaścielono łóżko, ktoś przydzwigał za nim plecak, kozuch i zawinięty w derkę od konia karabin, w piecu buzował ogień, przez uchylone drzwiczki sypał na podstawkę z mosiądzu iskry, w powietrzu pachniało nagrzewającym się szybko zamieszkałym niedawno jeszcze wnętrzem, żywiczne deski podłogi pachniały i igliwie, na stole bowiem postawiono w wazonie parę świerszczynowych gałązek posypanych staniolem i watą; i przypomniał sobie tamten wieczór spędzony w tym domu. Ale już z owego podniosłego nastroju wigilijnego nie powróciło doń nic. Bo myśl powędrowała z powrotem do Sokalego jaru, ku psim i ludzkim śladom zostawionym na śniegu, stamtąd do pokoju wuja sędziego w Glebach, gdzie czekali nań, liżący się z ran towarzysze; posłyszał, jak któryś z nich mówi: „On jeden został z tej strony Sertu. Pański kuzyn, ten ruski. Trzyma całą okolicę na muszce”, a potem z Gleb też się wyrwała, powędrowała poza Morteniński bór do Czupryni: i siedzieli we dwoje z Katarzyną na tych schodach pod kolumnami, z których jedna była roztrzaskana, z głębi alei ktoś się zbliżał, cień mężczyzny obrysowany nikłym blaskiem księżycy przystanął pod platanami wydłużony, zdawało się, w nieskończoność pręgą dubeltówki przewieszanej przez plecy, i on, Paweł, szepnął: „Nie Piotrze. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Mikołaja Fiodorowicza. Nic takiego nie uczyniłem, co plamiłoby mi ręce. Być może przez Antypkę dowiedzieli się o broni w waszych piwnicach... Więc tyle mojej winy, że nie kropnąłem szpicla wcześniej. Wybacz. Katarzyna też z tym nie ma nic wspólnego. A teraz wiem o niej tyle, co i ty, albo jeszcze mniej...”; i zaraz myśl przeskoczyła dzień, albo dwa, przez uchylone drzwi do salonu zobaczył starą panią Czerestwiewską siedzącą w pobliżu trumny męża, ciepło palących się świec wionęło nań stamtąd nieprzemijającą falą makabrycznego zapachu świeżej jedliny i ciętych, przywiedłych przez noc kwiatów; niepewność, popłoch znowu powróciły, lecz szepnął: „Nie, to nie moja wina”, i już był

dzień następny: stał nad trumną opuszczaną w głąb dołu, zachrobotwały liny trąc się o dłonie grabarzy, od wsi, z białej wieży cerkiewnej wprost ku błękitnemu niebu oderwał się wraz z gołębiami i kawkami dźwięk dzwonów, popłynął w czystym powietrzu, Katarzyna skłoniła głowę, zdawało się, że płacze, ale nie płakała, słuchając chusteczkę mięta w dłoni, na wieko trumny wraz z pierwszymi grudkami ziemi spadły kwiaty rzucone przez nieznanego, który odwrócił się zaraz i odszedł ledwo on, Paweł, zdołał mu się przyjrzeć, tętent galopującego konia uniósł go od cmentarnego ogrodzenia, jakby był przywidzeniem w upalnym powietrzu, on zaś chyba powiedział: „To ten, co wtedy, w nocy. To... od Piotra... on żyje... on go przysłał”, bo Katarzyna być może takich słów pragnęła, czy mu się zdawało, że pragnęła. Ale wtem dały się słyszeć głośne kroki i powrócił do rzeczywistości. Jakaś dziewczyna służebna wniosła na tacy obiad, zakreśliła drzwiczki pieca, potem nakrywszy obrusem stół, rozłożyła talerze i powiedziała: „Smacznego. Pani kazała, żeby się pan stąd nie ruszał. Do naszych Madziarów przyjechali Niemcy z powiatu. Nie trzeba im przed oczy leżeć”, a odchodząc: „Toaletta jest obok, pierwsze drzwi z korytarza na prawo” poinformowała. Więc zjadł, a potem aż do zmęczenia przemierzał wzdłuż i wszerz pokój, zdjąwszy wpierw, żeby nie dudniły kroki, buty i wreszcie, gdy siadł opodal pieca, by zapalić papierosa, było już ciemno; nawet nie spostrzegł kiedy zapadł wieczór, a ta sama dziewczyna, co przedtem, wniosła naftową lampę, zasłoniła okno, zabrała ze stołu talerze od obiadu, na ich zaś miejsce zastawiła kolację i od drzwi powiedziała: „Dobranoc”.

Dopiero koło północy zajrzał Kaniowski: „Tak pięciu Niemców... Trudno dociec na jak długo... Zachowują się spokojnie, kątów nie przeglądają, niemniej trzeba mieć się na baczności”. Przyniósł ze sobą skrzyneczkę detektorowego radia, akumulator, zamknął drzwi na klucz, do skrzyneczki podłączywszy słuchawki w skupieniu szukał na kryształku igłą czegoś, co wśród trzasków, gwizdów i bełkotu można by zrozumieć, aż posłyszeli spikera mówiącego po rosyjsku o walkach toczonych pod Krzywym Rogiem, głos był wyraźny, bliski (nadawała swój program nocny Moskwa), a Kaniowski powiedział usprawiedliwiająco: „Nie mogłem wcześniej, żeby Londyn złapać. Zresztą, cóż oni teraz... Kazania na pocieszenie... czekać i wytrwać”, a raptem z hamowaną rozpaczą: „O, jak brali Afrykę, albo ta historia z Badoglio i zajmowali Sycylię, tak, serce rośnie, kiedy się słuchało”, i zwinął instalację, ale jeszcze rozmawiali chwilę. Paweł bał się, że znów zapyta o syna, nie, nie zapytał, chyba jednak cały czas o tym myślał; w ich słowach i oczach nie było spokoju i wzajemnego

zaufania. Wreszcie Kaniowski dźwignął się z krzesła, z narożnej szafki wyjął gąsiorek z wódką, kieliszki i ponalewał. Obserwując go Paweł myślał, że widziany od tyłu, wydaje się on młodszy, niż w rzeczywistości. Myślał, że ludzie bardzo często starzeją się od przodu, tak jakby najpierw zanurzali się w czas twarzą, rękami, torsem, a następnie dopiero karkiem i plecami, bo w plecach Kaniowskiego była jeszcze siła i młodzieńczość, tak że z trudem przychodziło mu uwierzyć, że dopiero co w oczach tamtego widział załamanie. Wypili bez słowa, nie stuknąwszy się nawet. Potem poszedł.

Wszystko co był powiedział o ruchach na froncie, przepadło od razu, gdy tylko Paweł został sam. W głowie nic prócz myśli o śnie. I położył się, i zaraz usnął. Następnego dnia podobnie. Żadnych rozmyślań, dociekań, refleksji. Kaniowski zajrzał dwukrotnie, żeby donieść, co robią stacjonujący we dworze Niemcy, że co prawda węższą wśród chłopów za powiązaniem z partyzantką i podejrzliwie przypatrują się swoim węgierskim sojusznikom, lecz nie można narzekać, zachowują się przyzwoicie, poza tym nie miał mu wiele więcej do zakomunikowania, prócz rady, żeby jadł, odpoczywał i spał, oto co najważniejsze. Dziewczyna, wciąż ta sama, paliła w piecu, przynosiła posiłki, zbierała ze stołu puste talerze, mówiła: „Proszę pana. Dziękuję panu”, w końcu: „Dobranoc panu”, i zasypiał zaraz po zjedzeniu kolacji, słysząc ruch wraz z przytłumionymi hałasami dochodzącymi z parteru, i spał twardo, bez przebudzeń do rana. Więc w ten sposób minął mu jeszcze jeden dzień i jeszcze następny. Ale nie mogło to przecież trwać długo. Pierwszy raz, kiedy ten jego kamienny sen został czymś przerwany nagle — był dopiero wieczór; dom Kaniowskich ledwo co zdążył zacichnąć po kolacyjnym gwarze. Wprawdzie wymykając się do toalety usłyszał jeszcze dochodzący z dołu brzęk naczyń zmywanych w kuchni i ospałą rozmowę dwóch, albo trzech kobiet, ale głosy te prędko umilkły, później tylko gdzieś za rzeką zaterkotał bergman, trzy może cztery razy odpalił mauzer i znowu nastąpiła w okolicy cisza. Jego własny spokój był już jednak zmacony. Choć nie wiedział czym, bo ani głosami kobiet z dołu, ani dalekimi strzałami. Gdy po pewnym czasie zbudził się powtórnie, musiała naprawdę nastać noc, wewnątrz domu bowiem panowała cisza absolutna, jedynie na dworze ktoś — pewnie strażnik — chodził miarowo, i znowu odnalazł w sobie tamto nieokreślone uczucie: niepokoju? niepewności? może obawy przed czymś?; było ono silniejsze, teraz ugruntowane głęboko, i nie ustępowało. Więc się poruszył na łóżku. I usłyszał suchy chrzęst materaca pod sobą wraz z niegłośnym jękiem sprężyn, wystarczyło jednak znieruchomieć ponownie, żeby

natychmiast prócz chrupkiego skrzywienia ugniatanego butami śniegu na dworze nie słyszeć nic więcej, lecz musiał zdobyć się na spory wysiłek, aby opanować nerwy. Bo zanim jeszcze otworzył oczy, nawet nim uświadomił sobie, że sen pierzchł bezpowrotnie, już wiedział, że nie obudził go odgłos kroków na dworze, tym bardziej zaś cisza domu. Więc wreszcie dźwignął się ostrożnie i siadł, i trwał tak czas jakiś, aż ten szmer w korytarzu posłyszał wyraźnie. Ten szmer, który być może słyszał wcześniej przez sen. Zresztą nie tylko szmer. Chyba także pukanie. A teraz szmer się powtórzył: to były kroki, niewyraźne, pełne wahania, zaczynające oddalać się w głąb korytarza. Więc zerwał się z łóżka i skoczył do drzwi, a one, te kroki, zatrzymały się, szybko powróciły i już pukanie nie zabrzmiało ponownie, drzwi się natomiast cofnęły. I zobaczył cień, a dopiero później, że to kobieta; widząc go stojącego nieopodal, przestąpiła próg, zamknęła za sobą ostrożnie drzwi i wtedy poznał w niej Karpatkową.

Powiedział: „Myślałem...”, nie wyjaśniając, co myślał, tylko się cofnął, szukał zapałek i nie mógł ich znaleźć, ona zaś: „Niech pan nie zapala. Okno nie osłonięte” powiedziała i zakłopotany poniechał. „Zupełnie zapomniałem... Przecież Kaniowscy obiecali, że się zaopiekują. Czy małej lepiej? Tak ostatnio kaszłała...” powiedział. Jej głos brzmiał uspokajająco: „Zdrowa, dzięki Bogu. Mnie wzięli do pomocy w kuchni. Nikt nie pyta skąd, ani kim jestem. Pan zziębnie, piec dawno ostygł. Pańską klacz podkuwali dziś na ostro hacelami. Starsza dziedziczka kazała. Od razu pomyślałam, że pan niebawem odjeżdża”. Więc wtedy, aczkolwiek nikogo nie prosił o świeże podkucie Tamary, w ogóle nie ustalał przecież z nikim, czy odjedzie z Iłłowki jutro, czy dopiero za tydzień, powiedział: „Tak, niebawem. Zmarnowałem dużo czasu”, i niegłęboko odetchnął.

Już leżał na powrót w łóżku, znalazł wreszcie w kieszeni spodni zapałki, papierosy także, trzasnął o pudełko, płomyk zamigotał, zgasł, lecz wystarczył ów krótki błysk, aby zobaczyć, że twarz kobiety jest blada, wyczekująca, skupiona, poważna, oczy zaś utkwione w jego twarzy z wyrazem zdecydowania, choć, jak głos, łagodne. Zapalił drugą zapałkę, przytknął do koniuszka papierosa, osłaniając dłonią płomyk i ujrzał dwie iskierki rozjarzające się w oczach, które były w nim utkwione i zaraz zgniółł papierosa o podłogę, wiedział bowiem nie tylko dlaczego ona przyszła, ale również dlaczego sam nie jest tym faktem zaskoczony. Potem powiedziała to otwarcie, gdy siadła obok i płaszcz okrywający jej ramiona się osunął, a jeszcze potem, nie mówiąc nic więcej, pochyliła twarz nad jego twarzą tak nisko, że prawie się zetknęły. Skłamał: „Nie czekałem na to...”. Patrzyła na niego,

jak nigdy przedtem, jej włosy pachniały mocno, wionęło od niej ciepłem, i powiedziała zbyt głośno, ostro: „Czymże kobieta mogłaby się odwziąć...?”, a choć zaraz jak gdyby sobie samej zaprzeczyła: „Och, to nie tak. Wcale nie tak. Tylko, że nie zobaczymy się już więcej”, to gdy ta twarz znalazła się powtórnie przy jego twarzy i zobaczył jej wzrok pełen uniesienia, pomyślał o kobiecie, prawiecznym symbolu kusicielskiego węża, a ona powtórzyła: „Nie zobaczymy się już więcej” ze spokojem w głosie, z nieodpartym przekonaniem, i wtedy poczuł jakąś dynamiczną, nieubłaganą, ślepą siłę przebiegającą jak niewidzialny fluid od jej silnych rąk do jego dłoni, przesuującą się w górę ku jego ramionom, barkom, plecóm, i poczuł jej ramiona, ich prośbę, nawet jak gdyby lęk przed odtrąceniem, i ufność też, i oczekiwanie, i zdecydowanie, i w owym zdecydowaniu resztki kobiecej nieśmiałości, później zaś jedynie to zdecydowanie pełne łagodności, nic więcej, bez jednego słowa, bez tchu prawie, spokojny, powolny ruch jej bioder i że jest dobrze, jeszcze lepiej, i wszystko, choć inne i obce, znajome zarazem, i w końcu najlepiej, aż odzyskała ten na chwilę zatrzymany oddech, i ogromny spokój poczuł rozprężający ścięgną, ciemność od razu nabrała tej naturalnej, co przedtem, barwy, spłynęła chłodnym srebrem przefiltrowanym przez szron na szybie, jednakże gdzieś stamtąd, z dołu słyszeć się dało, jak miarowo chodzi ktoś po śniegu.

To mu wkrótce przypomniało, aczkolwiek wciąż jeszcze leżał opleciony gorącym ciałem tej obcej kobiety, tamtą noc latem. Ową noc, kiedy ostatni raz był sam z Katarzyną, kiedy siedzieli przy sobie na schodach w Czupryni, oparci o roztrzaskaną kolumnę, kiedy usnęła z głową na jego kolanach, on patrzył w ciemność alei drgającej niezliczonymi światełkami owadów, nasłuchiwał kroków, które rozbrzmiewały ostrożnie na żwirze (tak jak teraz zbliżały się, to znów oddalały, niekiedy nawet milkły zupełnie, ale i wówczas słyszał je dobrze), potem Katarzyna przebudziła się, czujnie słuchali tych kroków razem i szeptał: „Piotrze, nie zabrałem ci jej. Ona sama mnie wybrała. Zresztą należała do mnie zawsze”, może coś innego, nie był nawet pewny, czy naprawdę szeptał, mogła to być tylko myśl o szepcie, nie spełniona wcale, bo gdyby szepł jego usłyszała, powiedziała by: „Tak”, albo: „Nie”, a milczała i czuł drobne, krótkie dreszcze, niby w gorączce wybuchające w jej ciele i zaraz gasnące szybko, i przypomniało mu to, jak godzinę lub kilka godzin wcześniej szli razem tą poszarpaną granatami aleją, jak wbiegli do kamiennego, spustoszonego w pogromie domu Czerestwienskich, ona parę kroków przed nim, nawołując: „Piotr! Piotrze! Jesteś tu? Piotr!”, i z tym wołaniem przez rumowiska sal i pokoi, aż

na piętrze znaleźli to ciało, lecz nie Piotra, i dopiero wtedy właśnie ucichło w niej wszystko, jakby straciło mowę i czucie. Ale zaraz spod tych drzwi, gdzie stał patrząc na siedzącego w fotelu starca, na Katarzynę pochylającą się nad trupem, jak gdyby mu wydrzeć jeszcze chciała wiedzę i prawdę, którą ze sobą zabrał, myśl cofnęła się z raptownym poczuciem winy, z poczuciem czegoś niejasnego, nigdy nie wyjaśnialnego, nieczystego i powtórnie był tam na dole, na schodach, siedział oparty o kolumnę, trzymał głowę Katarzyny na kolanach, ona obudziła się, głowę uniosła, milczała, te kroki zaś w głębi alei (rzeczywiste, czy wymaginowane, wszystko jedno, do tej chwili je przecież słyszał) brzmiały ostrożnie coraz bliżej i bliżej na żwirze tak, jak teraz na śniegu tam za oknem; za wszelką cenę zapragnął się od nich wyzwolić, coś może takiego powiedział, szepnął, chyba poruszył się na łóżku, jęknęły sprężyny, ten sprzeciw, wściekłość i żal jednocześnie napinały mu mięśnie, bo nagle leżąca teraz przy jego boku kobieta szepnęła: „Cicho, cicho. To pewnie jeden z wartowników węgierskich, co chodzą tu i pilnują”, też bowiem słuchała rozbrzmiewających za oknem kroków czując, że on słucha, i jej ręce zbliżyły się tym podświadomym gestem obietnicy na spotkanie jego rąk, ich ramiona ponownie splotły się, znowu jej ruchy były wszechobejmujące, zdawało mu się, że kołyszę nim dźwięk jej głosu i znowu nastawał spokój.

Później nie ruszał się, nic także nie mówił. Wdychał głęboko ten drażniący zapach, jakby świeżo oprawionej wywiórczej skórki, wyczuwał równomierną pracę swego serca, powolny przepływ krwi w żyłach i był przepełniony wielką ciszą, zdawało się na zawsze. Nie słyszał żadnych kroków w pobliżu, w ogóle nic. Nawet, gdy ona, myśląc, że on śpi, wydzwignęła się spod jego ramienia i z uwagą nachyliwszy nad jego twarzą swą twarz z szeroko otwartymi ciemnymi oczyma, w których była wiara, że jego ciało będzie ją pamiętać jeszcze wtedy, kiedy on sam ją już zapomni, szepnęła: „Śpij, śpij...”, a potem wysunęła się z łóżka, szybko narzuciła koszulę, na koszulę zaś płaszcz i wyszła. Był pełen ciszy i spokoju nawet, gdy uświadomił sobie, że jej nie ma, a nawet wówczas jeszcze, gdy szelest po niej za drzwiami ustał bezpowrotnie. Dalej leżał bez ruchu, leżał tak bardzo długo. Ale nie zasypiał, nie mógł. Więc potem zaczął domyślać się, że spokój, jakiego doświadczył przywróciła mu tylko na krótko, w rzeczywistości bowiem był on przecież utracony wcześniej, w ogóle zanim do niego przysła; może nawet już przed dwoma dniami, kiedy rozmawiał z Kaniowskim. Teraz jeszcze czuł gorące ciało kobiety przez jakiś czas całą swoją samotną rozpaczą, lecz wkrótce wszystko to zatarło się z wolna. Nawet nie próbował

w wyobraźni przywołać jej na nowo, wiedział, że bez skutku, była obca, wyobraźnia zatem pozostanie ślepa i niema. Więc musiał zejść powtórnie w tamtą ciemność, żeby odnaleźć Katarzynę. Na grząskie, wciągające, bagienne dno do myśli zagęszczających się w obrazy i zdarzenia, od których nie oderwie się dopóki będzie żył. I był tam, i szedł, i widział:

Rozklekotany autobus niknący na zakręcie traktu burorudą smugą w kierunku Hańcza-Czacz. Wcale nie patrzy za nim długo. Stoi obok rowu, zarzuca na plecy podróżny węzełek obserwując osiadające kłęby pyłu. Suche miotły traw, badyle przywiedłej dziewanny i kępy szczawiu pokrywają się białosiną warstewką. Szepcze do siebie: „No, teraz to będę wreszcie wiedział, czy była w ciąży, czy nie, czy jeździła z tym do lekarza, i czy to zrobiła, o Boże, czy to zrobiła. Rozmówię się z nią ostatecznie... Powiem...”, ale nie bardzo wie co. A wyruszając z Lackiego Sioła, jeszcze wiedział na pewno. Myśli: „Mógłbym sobie przypomnieć, gdyby mi na tym bardzo zależało”. Teraz mu jednak nie zależy. Spogląda na wzgórza na horyzoncie spowite w upalną mgiełkę: powietrze jest białawe, zgęszczone, zasnuwane jakby pajęczyną dymu. Nozdrza łapiące woń podobną do woni rozgrzanej miedzi albo spalonej gumy cofają się, drgają wzbraniająco i z odrazą; nie czuje żadnego wiatru, tylko tę dziwną woń, ale nie zastanawia się nad nią. Krew szumi w nim bardzo powoli. Idzie krokiem nie śpiesznym, bezwiednie utrzymując się w jej rytmie. Może właśnie to niezastanawianie się nad drogą, nad sensem celu do jakiego zdąży, czy też nad własnym stanem przynosi mu ulgę. Idzie tak, aż do pokurzyńska młynówki nad strugą, która paręset metrów dalej wpada do Sertu. Przystaje, nie poznaje zrazu miejsca, bo drzewa nie są tymi drzewami, które tutaj widywał jeżdżąc do miasteczka, brzeg rzeki, do którego zbiega droga nie ten sam, przeciwnie również nie ten i w perspektywie wzroku horyzont inny, gdyż zwykle od rzeki widać już było ponad wzgórzami dolinę Krzyżtopola, dwie albo trzy wieżycy świątyni, kominy paru fabryczek, mleczarni miejskiej, cegielni i kruszarni kamienia na dalekim przedmieściu Taranog nie opodal unickiego cmentarza. Ale potem poznaje.

Pozostawia za sobą młynówkę, dochodzi do Sertu, przysiadła nad wodą na zwalonym pniu. Powietrze jest pełne dzwonienia ptactwa, w trawie cykają koniki polne, jak w sierpniu. Zamyka na chwilę oczy, zwolna znowu je otwiera i widzi, że drzewa i brzegi rzeki, a przede wszystkim rzeka, wszystko to jest takie same, jak dawniej. Wprawdzie brzeg jest opustoszały, wierzby poczerniałe, jakby ktoś dla zabawy podłożył pod każdą z nich ogień, miast mostu na ponadpalanej palisadzie przerzucona tkwi

kładka, a chaty wikliniarzy w dole rzeki odarte są ze strzech, ale wie już, że nie zblądził. To tylko widok okolicy zdeformowany został przez czas i wypadki, jakie tu miały miejsce. Ta ostatnia jego myśl jest oceniająca, nieomal zimna. Nie ożywia się nawet, kiedy po niespełna godzinie pod podeszwami butów czuje kocie łby ulicy podmiejskiej i widzi pierwsze wybebeszone wnętrza domów. Nie przyspiesza nawet kroku. Pod murami leżą trupy psów z osmaloną sierścią, w przełazie między domami krowa z wyrzuconymi do góry racicami wybałusza martwe oczy, w podwórzach pościel wdeptana w śmietniki i popiół, szkło z okien pod nogami, pobite lustra, garnki, butelki, drut do bicia śmietany, papiery, zrudziałe książki, tynk, połamane krzesła, zgięty lichtarz, niedopalone do końca pończochy dziecięce, guziki. Później podkopcone sady, trawa w sadach zapajęczona, zapyłona popiołem, w suchym podszyciu agrestu milczkiem buszują szpaki, odgłos kroków trwoży je, a zapach ciągle ten sam: miedź i guma. A jeszcze później kupy gdzieniegdzie czegoś skłębionego, powleczonego pyłem i pleśnią. Jakby trupy w łachmanach. Gdzieniegdzie na parapetach też. W pozycji siedzącej. A przez pozbawione szyb okna sypie się sadza, po izbach zaś pustych i przestronnych latają kolorowe motyle, migocząc w powietrzu, jak wstążki dziewczęce. Ale jemu wciąż jeszcze wydaje się, że to nic nie znaczy i że wkrótce będzie wreszcie wiedział wszystko, co chce wiedzieć. Bo zobaczy matkę. Bo rozmówi się z Katarzyną. I dopiero znalazłszy się na Chocimskiej, gdzie mieszkają kobiety, coś dociera do jego świadomości. Gdy staje przed wypaloną secesyjną czynszówką pani Berger, gdzie ma znaleźć je wszystkie: matkę, Katarzynę i obie ciotki. Pojmuje, że cały ów widok znaczy coś, czego nikt z rodziny nie brał pod uwagę szukając tu schronienia. Że przez Krzyżtopol przejść musiał ten sam niszczący życie wichler, jaki przeleciał przed niespełna miesiącem przez parafialną Nikoryczę i Tuczapsk, czego tam był w jedną z niedziel świadkiem.

Wtedy jego myśl cofa się błyskawicznie, a on przyciska pięść do ust, włączając w nie z powrotem swój krzyk. Widzi znów tamte ulice, którymi wkraczał w głąb miasteczka. Teraz dopiero sobie przypomina, że po drodze spotykał prawie samych wojskowych. I że mu się przypatrywali jeśli nie od razu niezyczliwie, czy podejrzliwie, to ze szczególną jakąś ciekawością. Jakby był inaczej, niż należało ubrany, albo na twarzy wypisane miał skąd idzie i do jakich ludzi należy. Że każda z tych paru osób cywilnych, które minął, dostrzegłszy go, przyspieszyła kroku, jakby umykała. Widzi, jak w sklepiku, gdzie zajął, aby się czegoś napić, tę szklanekę maślanki stawiała przed nim sprzedawczyni trzę-

sącą się ręką, monet zaś zostawionych na sklepowej ladzie nie tknęła, dopóki on stał i pił. I jak przystanął przy klasztornej furcie, zauważywszy, że jest otwarta i jak zajrzał na dziedziniec. Jak poczuł lufę karabinu na swych plecach i się odwrócił, zobaczył patrol esesmanów z galicyjskimi emblematami i ich zawiedzione miny, bo przecież papiery miał w porządku, a przepustkę do samej Hańcza-Czacz. Widać jego świadomość wszystko to przedtem skrzętnie, acz zupełnie bezwiednie zanotowała. Przypomina to sobie stojąc przed czynszówką pani Berger, gdzie mieszkać miały matka, Katarzyna i obie ciotki, lecz gdzie mieszkać nie mogą, gdzie nikt mieszkać już nie może; dom jest strawiony pożarem, z podwórza wionie smród trupi i przejścia tarasują sterty zetlałych belek.

Stara kobieta w łachmanach uskakuje mu nagle z drogi, gdy rusza ścieżką wśród gruzu przez sień. Słyszy swój głos pełen napięcia, pytający ją o właścicielkę domu, a później i o matkę i Katarzynę. Głos starej jest jakby nie jeden, ale rozszczepiony na dwoje. Ten rzeczywisty: bełkotliwa odpowiedź na jego pytanie, drugi: echo krzyku kobiety szalonej, odzywające się w nim samym. Tak zresztą myśli: „Ona nie jest normalna. To niemożliwe, że nigdy nie mieszkała tu matka, ani Katarzyna, ani ciotki. Że nie mieszkała tu nawet pani Berger. Przecież nie mogłem pomylić domu”. Krzyk starej kobiety wzbiera w nim, narasta, rozsadza płuca, za chwilę połączy się w jedno z własnym jego krzykiem, który już czuje znowu podchodzący pod gardło, ale wtedy słyszy, że ma iść szukać na Kolejowej, że pod numerem trzynastym i nagle w pobliżu trzaska strzał, a ona przepada wśród ruin.

Teraz biegnie. Na ulicy Końskiej jakiś przechodzień ucieka przed nim w boczny zaułek, na Końskim Rynku bezludnie, znowu szkło pod nogami, pierze fruujące w powietrzu, gazety z szelestem podwiewane na bruku słabym podmuchem wiatru. Przy ulicy Andrzeja Boboli targowisko: kilkudziesięciu nędzarzy i parę nędzarek handluje starymi rzeczami; odwracają za nim głowy. Zwalnia. Obok skrofuliczne dzieci cisną się wokół basenu przeciwpożarowego i na pokrytej zielonkawymi liszajami wodzie puszczają łódki z brudnego papieru; parę większych gra w piłkę ze świńskiego pęcherza. Kłótnia chłopięca pod murem browaru o pozbawione szprych koło od roweru. Środkiem jezdni z głośnym śpiewem maszerują niemieccy żołnierze. Zwalnia zupełnie. Mija targowisko. Wymuszonym, wolniejszym krokiem przechodzi obok olejarni Farnasika, widząc pokropiony kulami mur, wyłamaną blaszaną bramę fabryczną, szklany dach hali zwalony do środka. Znowu coraz więcej domów z rozprutym wnętrzem. Na-

wet te, wyglądające na zamieszkałe, z firankami w oknach i skrzynkami kwiatowymi, stoją ciche, jakby mieszkańcy ukryli się i nie chcieli, żeby ich zobaczył albo o cokolwiek zapytał. Czuje skurcz wokół serca. Potem tory. W ich perspektywie dworzec, wokół dworca i na peronach kotłujący się tłum, ale nie musi się wcale zbliżać: to wojskowi z frontu, lub na front, albo te watahy cywilności ewakuującej się pod opieką Niemców ze wschodu diabli wiedzą dokąd, która go nic nie obchodzi i od której niczego się nie dowie. A za torami teren dawnego obozu żydowskiego; tutaj pustka już pełna. Słońce blednie, zapada zmierzch. Przysiada na jakimś murku, nikogo w pobliżu, nikt nań nie patrzy, zapala papierosa; słyszy wszystko, co się tu dzieje, nawet widzi, gdy tylko zamyka oczy, szczelnie przyciskając powiekami. Odór trupi uderza go w twarz. Całe ciało lepkie, mokre, w pachwinach gorąco. Wreszcie wstaje i idzie naprzód chwiejnym krokiem.

Za dawnym obozem żydowskim uliczki zdają się być zamieszkałe, wewnątrz domostw, w podwórzach za zamkniętymi bramami, jakby coś żyło; ciągnie stamtąd wonią marnego tłuszczu, pomyj i zatęchłej bielizny. Zwolna okrążają go biegnące z ciemności bezcielesne głosy, rozmawiające, wykrzykujące, śmiejące się w języku, który nie jest jego językiem, choć tak podobny. Na i tak już suchych zębach i wargach, zasycha mu powietrze. Za chwilę będą nie tylko głosy, ale i poruszający się ludzie. Zawraca biegiem do narożnika przy przecznicy, przystaje we wnęce drzwiowej jakiegoś sklepika, a głosy zbliżają się wolno. Słyszycy drażniący szepet kobiet, chwytają go on miękko za gardło, widzi: idą dwie kobiety i trzech mężczyzn; ogniki papierosów błyskają przed nimi w ciemności. Ale jednocześnie słyszycy nadciągający z przeciwnej strony patrol. Odrywa się więc od wneki, kroczy ciężko naprzeciw tamtej piątce, ściska pod marynarką pistolet. Widzi, że go zauważyli, odstępują na bok; ich głosy milkną. Kroczy tak, jakby chciał na nich wejść. Kobiety stoją przy murze, mężczyźni wyczekująco przed nimi. Gdy ich wreszcie mija, odstępują jeszcze o krok, dając mu przejście. Przez chwilę czuje ich wzrok wbity w siebie, zapach ludzi mieszkających w domach, taniego materiału, potu, perfum i ich strach, mimo że on jest jeden. Potem nawet tego nie ma, a za plecami żadnego dźwięku. Podrywa się do nowego biegu dopiero na Placu Zawiszy i biegnie tak wzdłuż Kolejowej długo, aż trafia na dom oznaczony numerem 13-tym. Nie zwalnia nawet w bramie i jego kroki dudnią między murami, jakby ktoś biegł w ślad za nim, i czuje światło na twarzy, mruży porażone nagłym błyskiem oczy, czuje szarpnięcie za ramię i wreszcie przystaje. Słyszycy znajomy, ale jakiś

ułomny, ni to męski, ni to kobiecy głos: „Tutaj, za mną” i po chwili: „Szybciej”. Ta ręka prowadzi go w ciemności, skrzypią drzwi, w nosie kręci od zapachu wyschniętego drewna, farb i pokostu, błyska zapalnik i światło od zapalanej świecy rozwidnia wnętrze.

Rozgląda się i już wie. Może kiedyś tu nawet był, może nie, w każdym razie tak sobie wyobrażał to miejsce. Na ścianach krzyże i rzeźby świątków, stół stolarski po środku, narzędzia w drewnianych pudłach; okna są szczelnie osłonięte kocami. Przypomina sobie, że to zakład wyrobu dewocjonalii, a zarazem jedna z konspiracyjnych melin Laudańskiego. I tę starannie, acz staromodnie ubraną kobietę też sobie przypomina (bo z uniesioną w górę świecą stoi przed nim kobieta o męskiej, kanciastej twarzy), wie, że należy ona do „siatki” Laudańskiego, tylko że w żaden sposób nie może sobie uprzytomnić gdzie i kiedy się z nią zetknął. Patrzy na nią bez zdziwienia, jakby z góry wiedział, że to właśnie ją miał spotkać. Ona ogląda go od stóp do głowy świdrującym spojrzeniem, twardym, jak powierzchnia diamentu i mówi: „Mógł pan ściągnąć mi na głowę całą watahę hilfspolicii”. Każe mu siąść, sama też siada i pyta kto go przysłał. Nie odpowiada jej jednak, a sam ją pyta, czy wie, co stało się na Chocimskiej 21 w domu pani Berger. „Mieszkała tam moja rodzina”. Spojrzenie kobiety jeszcze bardziej twardnieje. Pyta go z ociąganiem o nazwisko. Gdy je wymienia, ona wzrusza ramionami z ulgą, odpowiadając, że nie słyszała nic o takiej rodzinie, jeszcze raz pyta kto go przysłał, więc chociaż to nieprawda, przyciszonym głosem mówi jej, że Laudański i że ma się tu u niej dowiedzieć co się dzieje w mieście, a wtedy ona po raz drugi wzrusza ramionami i mówi prawie ze złością: „Sam wiedzieć powinien jaka sytuacja. Skoro ściągnął całe ubezpieczenie do lasu, to winien był wiedzieć, co z tego wyniknie. Widać inną wojnę chce prowadzić, niż trzeba. Ostrzegaliśmy go nie jeden raz”, a później opowiada, jak Niemcy nazwozili Żydów z Zbrucza, jak ich zaczęli grupami wykańczać w gruzach i że od polskich uciekinierów ze wsi miasto wprost pękało, więc co młodszych żandarmeria wyłapywała na roboty do Reichu, aż któregoś dnia kilkudziesięciu uciekło z transportu, zabarykadowało się u Farnasika w olejarni, licho wie skąd broń się znalazła i od tego się zaczęło; pogrom trwał potem trzy dni. „Trudno teraz wiedzieć z kim naprawdę Laudański trzyma, bo różni, powiadają, są u was ludzie” mówi kobieta porywczo i podrywa głowę, jakby zdumiona, że jej głos czyni więcej hałasu niż zamierzała, on zaś czuje się osaczony, nie wie co powiedzieć, nie rozumie jej zarzutów, nie tego zresztą pragnął się dowiedzieć i, już nie słuchając,

myśli: „Ona musi wiedzieć. Tamta na Chocimskiej nie skierowałaby mnie tutaj bez powodu” i pyta znowu, i kobieta zrazu nie odpowiada, patrzą w swoje twarze zmęczone, lecz uparte, jakby każde z nich chciało z drugiego coś wydrzeć, potem mówi: „Lepiej, żeby pan już sobie poszedł” łagodniej, czego się po niej wcale nie spodziewał.

Siedzi mimo to nadal, wsłuchuje się w ledwo uchwytny szelesty, których dom jest pełen. Patrzy na porysowane szparami i pęknięciami ściany, na świątki wiszące na ścianach, spoglądające na niego oczami ożywionymi chybotającym płomykiem świecy, nie patrzy natomiast wcale na kobietę. Słyszy tylko jej przyspieszony oddech, a w sobie wewnątrz dalekie, ale rozpoznawalne głosy najbliższych, dopominające się o pamięć i wiedzę. Wreszcie to dręczące go pytanie zadaje znowu. „Byłem na Chocimskiej. Jakaś stara, wariatka, czy jak, nie mam pojęcia, powiedziała, że tu znajdę wszystko... Może odpowiedź? Może nawet rodzinę?”. Lecz kobieta na to krótko: „Tu na pewno nie. Nic nie wiem. W tamtej dzielnicy były walki. Dużo ludzi zginęło, część wywieźli do obozów, młodych na roboty, dziewczęta pogwałcili zgoniwszy do budynków szpitalnych i u św. Jerzego, albo zabrali do żołnierskich burdeli. Zresztą część z tych, którzy przeżyli gdzieś się rozbiegła; nie wiem gdzie...”, i: „Niech pan już sobie idzie” nalega, więc żeby tę rozmowę jeszcze przeciągnąć, mówi, że mu się chce pić, cały dzień kropli wody w ustach nie miał, a kobieta na to wstaje i bez słowa wychodzi.

Czuje, jak w głowie mu się mąci. „Co u diabła dzieje się ze mną?”. Postanawia, że będzie tak długo nalegał, aż się czegoś w końcu dowie, ta kobieta na pewno wie więcej niż mówi, potem już w ogóle nie myśli. Pot leje mu się spod pach i spływa do bioder, choć nie rusza się, po prostu siedzi do chwili, kiedy w głębi domu, czy też tego mieszkania, trzaskają gdzieś drzwi. Wtedy otwiera oczy. Uświadamia sobie, że chyba spał przez pewien czas, bo świeca, której był spory kawałek nim oczy zamknął, wypaliła się prawie do samego dołu, a jej płomyk chybotce gwałtownie, jakby dmuchał weń przeciąg. Jeszcze się nie rusza, ale słyszy w pobliżu szepty.

Z czarnej pieczary pamięci wypełza ku niemu męska twarz staromodnie ubranej kobiety, która wyszła, gdy powiedział był, że mu się chce pić; już mu się zdaje, że ją wkrótce zidentyfikuje, że będzie wiedział o niej wszystko, lecz nie może, trud jest nie do pokonania, wionie doń tylko stamtąd czymś groźnym, jakimś nieokreślonym bliżej niebezpieczeństwem, ostrzeżeniem, i wreszcie podrywa się przewracając z hałasem krzesło, dmucha w świecę, opada go nieprzenikniona ciemność, biegnie w tej ciemności do

okna, płacze się w osłaniających je kocach, za sobą słysząc nie szept tym razem, ale głos, i wcale nie kobiecy, męski, i szarpie ramę okienną, a gdy ta ustępuje z brzękiem szyby, przerzuca na zewnątrz nogi, obsuwa się na rękach i skacze w dół.

Za sobą słyszy rozzwierający, nieartykułowany krzyk kobiecy. Potem strzał i ciszę. Jego kroki dudnią, obijający się o plecy węzełek wtóruje im głośno, własny oddech też. Oddala się coraz bardziej od tamtego miejsca, krok mu się wreszcie wyrównuje, brzmi jak kłus konia; tę drogę do torów i od torów do Chocimskiej, którą w przeciwną stronę robił z dwie godziny, przebywa w kilkanaście minut, wkrótce jednak słyszy nie tylko echo własnych kroków, ale i kroki rzeczywiste. Uprzypomina sobie, że jest dawno po godzinie policyjnej, widzi sylwetki ludzi, lecz oto Chocimska. Wtedy, jakby wiedziony węchem, nieomylnie trafia na dom pod numerem 21-szym i wpada w podcienie bramy, ta stara zaś, zwariowana, którą widział po południu, jakby tam na niego cały czas czatowała, popycha go ku zrujnowanym schodom, krzycząc: „Coście z nią zrobili?! Mordercy!”. Lecz wyszarpuje się z jej rąk, wspina po piętach, aż miast stropu widzi nad sobą odsłonięte niebo, i pada między dźwigary w pył, w gruz, w popiół, słysząc łoskot własnego serca, jakby — kiedy jego ciało znieruchomiało — ono samo, z ciała uwolnione bieгло dalej w górę, lub toczyło się w dół schodów z powrotem. Po pewnym czasie jednak już wie, że to nie jego serce, ale rzeczywiście jakieś ciało toczy się tam po zrujnowanych schodach i nagle słyszy z dołu krzyk. Jest to krzyk mężczyzny w języku niemieckim, kobieta może paru mężczyzn jednocześnie, zaraz potem krzyczy zresztą, jej głos jest podobny do słyszanego przed kilkunastoma minutami na Kolejowej, i strzał słyszy również. Później cisza nastaje natychmiast martwa i długa. Leżąc, wciąż w tym pyłe pomiędzy dźwigarami, nie myśli w ogóle, nie cierpi, oczy ma otwarte, a nad nim jest niebo i kruche, delikatne gwiazdy świecące bolesnym, nie słabnącym blaskiem, jakby przyświecały światu, którego wszyscy mieszkańcy wymarli. Wydaje mu się, że to niebo i gwiazdy słyszały ostatni odgłos stóp Katarzyny gdzieś tutaj stąpającej po podłodze, a potem ostatnie trzaśnięcie drzwi. Ale to było dawno. Teraz między belkami przesypuje się popiół ze szmerem cichnącym do poziomu reszty ciszy, a nawet opadającym poniżej, on zaś leży w tej ciszy, w tym opuszczeniu, nie mogąc się poruszyć i ciągle jeszcze nie myśli, jak gdyby wola i czucie usnęły. Ale wreszcie odnajduje swoje ręce, nogi i pierwsze myśli mówiące mu: „One tu były. Mam takie przeczucie, że one tu były. Nie wiem tylko kiedy. I czy do końca”, aż wstaje i idzie wyciągając przed siebie ręce, jak ślepiec albo lunatyk. Zrujnowana

sień na dole jest pusta. Dopiero spojrzawszy w kierunku podwórza — widzi.

Więc potem idzie ku tej kupce czegoś leżącego na ziemi, przystaje nad tym i się pochyla. To ta stara kobieta, którą już dwa razy spotkał wśród tych gruzów bełkoczącą ledwo zrozumiale, oszalałą, ale żywą. Teraz stoi nad jej stygnącym ciałem. Pochyla się jeszcze niżej, przewraca je twarzą do góry, widzi jakby dopiero pierwszy raz naprawdę. Bo gdyby nie siwe włosy, można by powiedzieć, że jest to twarz wcale nie stara, nawet dość młoda, wygładzona obecnie tchnieniem śmierci, złagodniała, normalna. I znowu, jak tam na Kolejowej, gdy patrzył na kobietę w świątkarskiej pracowni, zmuszony jest pomyśleć: „Skąd ja ją znam? Skąd znałem? Co się ze mną dzieje? Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć?”, i przenika go zimno, bo na palcu zabitej dostrzega pierścionek z rubinowym oczkiem, będący niegdyś własnością Katarzyny. To zimno wstrząsa nim drugi raz i trzeci, cały kurczy się w zetknięciu ze stygnącym na ziemi ciałem, ale świadomie oddycha głęboko, coraz głębiej, nie cofa się, ściąga pierścionek z jej palca, podnosi do oczu, myśli: „Tak, ten sam”, a potem myśli gdzieś zapadają się węń z trzaskiem, jest ciemność, po chwili dopiero, i to dość długiej są znowu lepkie od potu, gorące, szybkie: „Więc to... czyżby... to... pani Berger... to niemożliwe... o Boże...”, i odruchowo wkłada pierścionek do kieszeni, dźwiga ciało, wlecze do jednego z tych wpółzasypanych gruzem otworów piwnicznych i obiecując sobie: „Jutro pogrzebię”, zsuwa je do środka, czuje z wnętrza buchającą ku niemu falę trupiego odoru i wtedy tak od razu, z miejsca podrywa się do nowego biegu.

Później jest już za miastem. Jest świt. Gdy staje nad rzeką, patrzy do tyłu, patrzy w niebo, patrzy także przed siebie i siada na brzegu przy kładce przerzuconej ku drugiemu brzegowi w miejscu, gdzie dawniej był most. Po pewnym czasie sięga do kieszeni, lecz nie znajduje tam nic. Jest przekonany, że wkładał pierścionek zabitej do kieszeni, a jednak go nie ma. Siedzi dość długo, aż chłodna rosa zaczyna pokrywać mu włosy. Myśli znowu się pojawiają, jakby budziły się z letargu. Płyną w głowie bardzo ocieźlałe: „Może to nie było wcale tak. Coś się ze mną tylko niedobrego dzieje. Dwie znajome, a nie rozpoznane kobiety. Dwa krzyki przedśmiertne. Dwa strzały na różnych krańcach miasta. Miasto, jak ze snu. Jakby wcale nie to. Wszystko jest zbyt nieprawdopodobne, żeby mogło być prawdziwe. Mam pewnie gorączkę, mam gorączkę, mam...” i usypia na moment, i zaraz się budzi, bo już wschodzi słońce, żołą krzyczy w zaroślach, wiatr kołysze trawą znacząc na niej płowe smugi, rosa zapala

tysiące światełek, potem gasną, bo wysycha z wolna w słońcu. Dalej siedzi w pobliżu kładki, patrzy, jak pod powierzchnią wody smużą się srebrne ryby, a brązowa pałka trzciny chwieje się w pobliżu brzegu popychana prądem; siedzi w ten sposób dość długo i ciągle myśli: „To chyba nie tak, coś nie tak, nie tak...”. Powtarza to sobie jeszcze, gdy na skrzyżowaniu traktu krzyżtopolskiego z traktem do Hańcza-Czac przystaje, aby złapać powrotny autobus. Jest znowu obojętny, otepiały, nie czuje nic prócz gorączki w ciele i miękkiego kurzu drogi oblepiającego jego spoconą skórę, tylko że oddycha teraz swobodniej, szerzej, a wiatr przemywa mu twarz i oczy (jest przecież człowiekiem wsi, więc z dala od ulicznych bruków, od ceglanych wąwozów miejskich powietrze musi mu w końcu przywrócić zdolność trzeźwego myślenia), lecz w głowie wciąż to samo: „To chyba nie tak, coś nie tak...”, nic więcej.

Teraz też tak myślał. Leżał na wznak zeszywniały, zziębnięty, wśród szmeru kroków na śniegu za oknami, jak gdyby wśród ciepłego szeptu pamięci i mówił sobie: „Byłem chory. Już pewnie wtedy w Krzyżtopolu byłem chory, nie zaś dopiero po powrocie do Lackiego Sioła u tych ludzi. Mogło mi się to i owo przywidzieć. Mogło mi się przywidzieć wszystko”, a tą myślą, jakkolwiek mało zdecydowaną, bronił się przed zupełnym pograżeniem w odrętwieniu, w które wciągały go noc, samotność, tęsknota (bo człowiek dopóki żyje i oddycha, nigdy się nadziei nie wyzbywa do końca, nawet jeżeli nie zdaje sobie z tego faktu sprawy). Księżyc za oknem wisiał bleśszy, na szybie rozkwitły kwiaty zamrozu podświetlone z zewnątrz poświatą wielkiego śniegu; chłód zdawał się ścinać całe powietrze, pościel, jego kości, szpik w kościach, wszystkie mięśnie, każdy oddech ulatujący obłoczkiem pary ku górze i szmer tego oddechu również. Było mu tak zimno, iż ledwo mógł uwierzyć, że niedawno obejmował rozgrzewające ciało kobiece, że poruszało się ono, oddychało obok niego, że pulsowało żywą, gorącą krwią; był w takim stanie, że czując, jak skóra pręży mu się i jak gdyby cofa w zerknięciu z wyiębioną powłoką pierzyny (choć podtrzymywał ją kurczowo pod brodą) powiedział, może nawet głośno: „Co za przeklęta noc! Czyż nie ma sposobu uwolnienia się od tego, na co nie mam już wpływu?” z wściekłością, że to, co niedawno zaszło w tym pokoju, zmusiło go znowu do przypomnienia sobie bezowocnych poszukiwań Katarzyny, choć naprawdę było tak, jak gdyby szeptał nie on wcale, lecz ktoś drugi, bo on wciąż jeszcze oddychał umyślnie głęboko, próbując wchłonać w siebie te ledwo już wyczuwalne, przedziwne jakieś fluidy zostawione przez tamtą obcą kobietę w powietrzu, w pościeli i w nim samym też, i za-

trzymać je w sobie jak najdłużej, podtrzymując tym iluzję istnienia Katarzyny, wraz zaś z jej istnieniem iluzję możliwości przywrócenia porządku tego świata. Ale kleszcze zimna dalej zaciskały płuca, jego wyostrome zmysły słyszały oddech wiatru w wygasłym piecu, stukot o ziemię sopli obłamywujących się od okapu dachu, suche trzeszczenie drzew na dworze, jak trzeszczenie lodu na rzece w obcęgach mrozu i nieustający skrzyp butów tego, który chodził tam gdzieś po śniegu. Świat, gdyby nie owe niemilknięce kroki, wydawałby się zupełnie pusty. „Przekłeta noc. Nigdy nie zgodzę się z myślą, że Katarzynę spotkał tak haniebny los. Jak matka. Albo jeszcze haniebniejszy. Nim ją zabili” mówił sobie leżąc wciąż na wznak ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, teraz nawet nie drżąc, tak był skostniały. „Przekłeta noc, przekłeta noc... Któż to tak ten świat zanieczyścił, u diabła”, powtarzał: „Długie, długie pasmo takich samych lat. To jest to małe osobiste piekło, po którym będzie się błędziło bezustannie w poszukiwaniu śladów. Tylko jedno pewne. Że kiedyś skończy się to śmiercią. Za ile? Za czterdzieści? Za pięćdziesiąt. Nie wiele mniej niż trzecią część mam już poza sobą. A jakież jest ich sens? I jakież tych następnych? Przekłeta noc!”, powtarzał, aż wyskoczył z łóżka, otworzył szafkę i wyjął gąsiorek z wódką zostawiony tam przez Kaniowskiego. Upił jeden duży łyk, zatchnęło mu oddech, oparł się o ścianę i czekał, kiedy palący płyn przestanie spływać do żołądka i równomiernie rozejdzie się po całym organizmie, następnie przytknął gąsiorek raz jeszcze do ust, pił nie oddychając, łyk po łyku, aż naczynie opróżniło się zupełnie. Potem minęła minuta, może nawet dwie, zanim płuca zdołały znowu zaczerpnąć płytki haust powietrza. Żar rozrywał wewnątrz, krew rozgrzewała się i zaczynała krażyć w żyłach prędeż, lecz po wierzchu skóra pod dotykiem jego palców była bez czucia, miotana wstrząsami, jak gdyby ze środka przez jej martwą powłoczkę coś żywego próbowało się wyzwolić. W końcu być może to coś wyzwoliło się, uszło, żar wydostał się na zimną, martwą skórę, rozlał się i wszystkie widziadła, w których nie było przecież ulgi, lecz tylko udręka, przepadły; serce biło równomiernie w rytm oddechu.

Nazajutrz zbudził się dobrze koło południa, oszołomiony po alkoholu i ocięzający. Taca ze śniadaniem stała na stole, wystygłe mleko ściągnął gruby kozuch, pokój był już nagrzwany, choć nie słyszał, kiedy zapalano w piecu i zakręcono drzwiczki. Zegar na dole w sieni wydzwaniał niecierpliwie kwadranse, dolatujących skądś głosów nie mógł rozróżnić, w każdym razie jednak był w nich jakiś nowy element, którego wczoraj jeszcze nie było. Słyszał ryk bydła, nawoływania, skrzypiała pompa, raz po raz

rozsypanywał się po stwardniałej grudzie łoskot kół furmanki. Gdy wyskoczył spod pierzyny i podbiegł do okna, zobaczył na skraju iławskiego parku ciężarowe samochody kryte „tygryskami”, na drodze za parkanem jakiś ruch, w brudnej bryji rozbełtanej racicami kłębiące się bydło, konie, krążących między końmi ludzi w baranicach, wozy przetaczające się przez wieś i skręcające na majdan za dworskimi gumnami, nad wszystkim zaś nawisłe, jednolicie sine niebo i niepewnie polatujące w powietrzu tu i ówdzie pojedyncze płatki śniegu.

Nie tykając śniadania ubrał się, a potem, mimo że nie zapomniał prośby gospodarza, aby nie opuszczał facjaty, zszedł ostrożnie na parter. Za drzwiami jednego z pokojów słyszał później głosy obojga Kaniowskich i jakiegoś mężczyzny piorunujące w gwałtownej wymianie zdań, w których ten nowy, trudny do nazwania ton był również obecny. Uchwycił słowa „ofensywa”, „Wołyn”, „okrażenie” i nagle strzeliło mu do głowy, czy aby wczorajsze podkuwanie jego klaczy, o czym dowiedział się był w nocy od Karpatkowej, nie miało jakiegoś związku z tym, co mówili; myśl otrzeźwiła go. Te głosy jednak oddaliły się w głąb domu, słów nie mógł już zrozumieć, wreszcie się urwały. Odemknąwszy drzwi nie zrobił nawet kroku dalej, zatrzymany zamyśloną twarzą starej pani Kaniowskiej, dziwną w rozprasającym się świetle, ostudzoną, jak maska odlana w brązie o surowym wyrazie; gdyby nie otwarte oczy staruszki, przypuszczałaby, że śpi, ręce bowiem trzymała na książce bezwładnie i oddychała tak słabo, że ledwo unosiła się tkanina jej sukni. Stał dopóty, dopóki swego zamyślonego wzroku nie oderwała od okna, od śniegu za szybami, tych paru nagich, czarnych pni i osypującego się białego kurzu z gałęzi, bo nie było tam nic więcej, a dopiero wtedy się poruszył. Prześliznęła się po jego postaci nieuważnym spojrzeniem, rzucając je na niego od dołu, ukośnie z pochylonej twarzy, wcale nie zaskoczona, że go widzi i przemówiła niezbyt głośno, jakby do siebie samej: „Wczoraj bolszewicy przekroczyli na Wołyniu Zbrucz i weszli w granice naszego kraju”.

Ale zrazu się nie odezwał, stał mrugając oczyma, oszołomiony, jakby powtórnie się upił, trwało to nie dłużej nad dwie, trzy sekundy, gdyż buchnął w nim płomień krótkiego, niekontrolowanego zadowolenia, radości, że to już, że nareszcie, i zgasł natychmiast, na jego zaś miejsce wykuł się skądś, wypełził na wierzch sprzeciw pełen niepewności: „Nie, nie możliwe. Nie. To się już stało? O Boże, już!” i otworzył usta, jakby przygotowywał się do zadania pytanie najważniejszego: „Kiedy dojdą tutaj?”, nie wiedząc co jest silniejsze, czy to paraliżujące wspomnienie bol-

szewików z lat początku wojny, czy ból, jaki rozlał się po ciele i został. Wtedy jednak wzrøk staruszki spoczął na nim znowu i jej głos posłyszał znowu: „Ile to czasu minęło od tamtego dnia, gdy poprzednio tu weszli? Cztery lata? Tak, cztery lata i trzy miesiące. Cztery lata i trzy i pół miesiąca nawet. Niechże Paweł zamknie drzwi. Zimno. Jeszcze ktoś go zobaczy. O Boże... Cztery lata. I trzy i pół miesiąca”, i stał otoczony przez pełen napięcia jej oddech, aż powiedziała: „Niech się Paweł zbliży, niech usiądzie”. I nagle pojął, że nawet najbardziej wyrozumowane, logiczne argumenty i chłodna ocena sytuacji przemawiające za tym, żeby uznać to, o czym usłyszał, za chwilę przełomową, która przyspieszy koniec wojny, zrzucenie straszliwego jarzma, pozbycie się Niemców, wraz zaś z nimi całego koszmaru ostatnich lat, nie usuną bólu, zawodu i smutku, czerpiących nieustanną pożywkę w przeszłości kraju, domu i własnej rodziny, z doświadczeń, które były także doświadczeniami tej starej kobiety, odślaniającej w swej pamięci poprzednie forsowanie Zbrucz, siedemnastego, owego tragicznego września, 1939 roku, odślaniającej uparcie, by sobie samej odpowiedzieć: „Cztery lata i trzy i pół miesiąca temu”, obliczywszy dokładnie, nieomal co dnia, nieskłonnej nawet jednego opuścić (z taką samą dokładnością — wiedział — liczyć będzie do końca życia i można ją pozbawić wszystkiego, ale nie doświadczenia, którego ona nie potrafi ani nie śmie zapomnieć, bo w tej samej chwili przestałaby istnieć), i pomyślał, że nowe zetknięcie się tych dwóch diametralnie odmiennych narodów wrogo wobec siebie usposobionych od wieków, nie tyle może z powodu różnicy języka, religii, stopnia ekonomicznego rozwoju i dobrobytu, ile inności kultur, mentalności ludzkiej i zupełnie przeciwstawnego rozumienia takich pojęć, jak demokracja, wolność, tolerancja, szacunek wzajemny i prawo; że to nowe zetknięcie się, myślał, któremu obecnie przyświeca nawet wspólny cel: walka z Niemcami, wprawdzie łączący we wspólnym złudzeniu, to jednak nie dający ani chwili zapomnienia o chciwości, pożądania cudzego, zbrodni, ucisku i doznanych niesprawiedliwościach w latach minionych — przynieść może (to zetknięcie się) w efekcie ostatecznym jeszcze więcej cierpień i jeszcze więcej wszelkiego nieszczęścia.

Ale wreszcie to coś, co od paru sekund nakazywało mu zbliżyć się i sięść, dosięgło go, przeniknęło przez uskakujące myśli: to był głos staruszki, który powstarzał poprzednią kwestię, więc postąpił parę kroków w głąb pokoju, siadł na przeciw niej i czekał, co nastąpi: był przygotowany zarówno na wybuch gniewu, jak na łzy. Posłyszał tylko obojętne pytanie: „Jak Paweł się czuje? Paweł chyba wróci do Gleb...?”, choć ten nowy ton,

jak we wszystkich głosach, które od rana słyssał, w jej głosie był teraz także. Ale wciąż jeszcze w milczeniu błędził wzrokiem po pokoju: stół, cztery krzesła, szafa z lustrem zaszytym bielmem, staroświecka skrzynia okuta żelaznymi kwiatai, pękata komoda, kanapa okryta buczačką makatką, nad kanapą zaś drobiazgi bez znaczenia zatknięte za matejkowską kopię „Stańczyka”: czarno-złoty kotylion, wianek z kocanki, kilka nieśmiertelników, i znowu stół, cztery krzesła, szafa z lustrem, znowu te drobiazgi zatknięte za kopię obrazu; cały czas czując swoje myśli, jak się wikłają, pędzą naprzód, cofają się, znowu pędzą naprzód, niby szalone obejmując po drodze zarówno posępnie zadumaną postać królewskiego błazna, jak i kotylion, i wianek, i nieśmiertelniki też, i wreszcie powiedział: „No, więc mamy to poza sobą. Tę niepewność, skąd to nadejdzie. Ze wschodu, czy z zachodu. Wiemy czego się teraz trzymać”.

I od razu był wolny od złowrogich złudzeń, to też było dobre — najgorzej karmić się złudzeniami. Bo tamto, co czało się już od miesięcy w oczach prawie każdego: nieubłagane przeznaczenie — realizowało się teraz w rzeczywistości, zbliżało się nie do powstrzymania. „Trzeba wiedzieć czego się trzymać, na co można liczyć, przeciwko czemu podnieść trzeba pięść”. A wtedy dłonie starej pani wzniosły się na chwilę do skroni gestem pełnym siły opanowującej rozpacz; jej głos, gdy się wreszcie odezwała, był spokojny i godny: „Nie liczę, żeby oni od tamtego czasu zmienili się cokolwiek. Jestem tylko dość stara i niewiele tracę. Dlatego nie chcę uciekać. Poza tym jestem ciekawa. Bo widziałam ich wtedy, po siedemnastym września, jako okupantów, a nigdy nie widziałam jako aliantów. Więc, mimo że syn i synowa mają zapewne rację, nazywając mnie wariatką, nie odjadę w głąb kraju. Chociaż tak bardzo pociemniało tu od wczoraj. Niech Paweł popatrzy: część narodu wyszła ze swoich domów i wsi, idzie drogą z daleka i lamentuje. I nikt nie wie, kto ma rację, czy ten, co zostaje, czy ten, co ucieka. Ale w moim wieku nie muszę już dokonywać wyboru. Czy Paweł rozumie? To stało się podobno wczoraj, ale tu u nas zaroilo się od ludzi dopiero przed świtem. Nasi wyjechali wozami w kierunku na zachód, a Niemcy, i ci ich różni mazepincy, to już i w tę stronę, i w drugą; zupełnie powariowali. Gdy wstałam i spojrzalam za okno, to usłyszałam naszą mowę. Potem przyszli jacyś partyzanci z gwiazdami na czapkach i pytali, co my za jedni; nic z ich twarzy nie można było wyczytać. Ciągłe padał śnieg, więc się cofnęłam i zastanawiałam się, czy jest jeszcze jakieś miejsce na ziemi, gdzie ludzie uśmiechają się i nie boją jutra, że będzie gorsze od dnia dzisiejszego. Syna wciąż nie było, choć zegar wybił

siódmą, więc ubrałam się i wybiegłam na dwór... Chciałam się rozejrzeć, bo gdzieś we wsi ktoś strzelił i przyszło mi na myśl, że mogli go zabić żandarmi... Zawsze, jeśli tylko ruch się zaczyna na drodze, żandarmi jak spod ziemi wyskakują. Potem stanęłam przy kościele, wozów pełno, ludzi pełno, dziecięcego drobiazgu rojącego się w sianie na wozach pełno, a ci nasi Węgrzy powychodzili z kryjówek, zaczęli robić porządek i Niemcy też wkrótce zjawili się znowu. Ludzie twarze mieli wymizerowane i śnieg tajał, jak łyż. I mówili, że uciekli z przyfrontowej strefy. Ale nie przed ogniem... Strach ich gnał przed tym, co już zaznali w czterdziestym i czterdziestym pierwszym. Wtedy odnalazł się syn i przywiózł znajomego, co zabrał się na cudzym wozie aż zza Wiśniowca. Opowiedział, że był już po tamtej stronie, jednakże bolszewicy, gdy wkroczyli, to rozbili naszych, a nasza administracja, co się na godzinę, albo dwie ujawniła, została przez ich wojennego komendanta zaraz rozwiązana i wyaresztowana. Tam chłopci jedynie niektórzy zostają po wsiach, najprostszy naród, który sam już nie wie, co ma robić. Ale ja też nie odchodzę. Jestem dość stara... Należy mi się grób na własnej ziemi. To syn i synowa. Może Paweł też nie. Nie wiem tylko, czy tak trzeba, czy nie trzeba, bo Paweł jest młody. Paweł nawet, gdy odejdzie, to tak, jakby został”.

Więc wtedy pochylił ku jej twarzy swoją. Ona nie poruszyła się i siedziała w fotelu nieugięta, niepokonana, świadoma tego, co powiedziała; jej spojrzenie było dalej niezgłębione. Teraz on powinien był coś powiedzieć, wiedział nawet co. Ale nie patrzyła na niego, a wprost poprzez niego, jak gdyby był przezroczysty, w przestrzeń pokoju, w głąb własnych myśli błędzących gdzieś bardzo daleko, i może go wcale nie widziała. Więc te słowa, które miał na ustach, cofnęły się, a on sam już szedł ku drzwiom. I dopiero tam, nie zwalniając kroku, spojrzął za siebie, raz jeszcze zobaczył wyprostowane niezłomnie plecy staruszki, tył jej głowy wystający ponad oparcie fotela, bo nie odwróciła się, może nawet nie spostrzegła, że się oddala, i po raz ostatni wyobraził sobie jej twarz, niby maskę z brązu, zaciśnięte usta pełne przekonania i oczy spoglądające w przestrzeń. I już wiedział, że nie musi powiedzieć ani, że tak, zostaje, ani, że nie, nie zostaje, nie chciała przecież tej odpowiedzi wcale słyszeć, nie była jej ona potrzebna.

I już był w sieni. I zaraz na schodach. Zza balustrady wychylała się zaafierowana twarz Kaniowskiego i zrobił krok ku niemu, ale jeszcze się zatrzymał, bo słyszał, a może zdawało mu się, że słyszy tamten stary, cierpliwy, zadumany głos kobiety w opuszczonym pokoju, jak słabnie, jak zanika, aż wreszcie w ogóle już

go nie było. „No, tak, tak, to na mnie najwyższy czas”, i minął Kaniowskiego nic do niego nie mówiąc. Ale pomyślał jeszcze, że od lat, jak go zna, nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek przedtem zwrócił uwagę, iż jest on zupełnie siwy. I również, że to właśnie pokolenie Kaniowskiego wpływało decydująco na losy kraju w roku dwudziestym, gdy trzeba było odpiierać watahy Budionnego, lecz że obecna wojna, to już nie tego pokolenia sprawa, bo jak długo można, pokolenie, to dwadzieścia lat i śmiecie, oto co. A potem pomyślał, jak wszystko diabelnie się skomplikowało. Dopiero w pokoiku, odczekawszy, aż tamten stanie tuż za nim, odwrócił się: „Czas. No, nie? Czas, żebym poszedł swoją drogą. Ale nie mogę być sam. Muszę iść do Gleb. Zostawiłem tam w ukryciu swoich ludzi. Każdy człowiek jest teraz potrzebny. Pan to rozumie? Nie mogę być sam”, i zamilkł zmęczony wielością wypowiedzianych na raz słów.

Potem siedział przy stole, jadł wystygły obiad i dopiero wtedy Kaniowski powiedział: „Oczywiście, rozumiem, nie może pan być sam. Wiem, co to jest tułanie się po lasach i gnucie tygodniami w leśnych kryjówkach, w ziemiankach, we wszach, w zimnie, na gołej ziemi, fioła samemu można dostać...”, a potem ani słowa więcej na ten temat, jedynie, że owo przerwanie frontu na Wołyniu, to nic innego, tylko sowiecki przyczółek do mającej niebawem nastąpić ofensywy i że Niemcy pewnie zaczną oczyszczać teren topiąc go do reszty we krwi, więc oni, Kaniowscy, odchodzą z Iłłowki w najbliższych dniach, i jemu, Pawłowi, radzą do Gleb, jeśli już musi, iść zaraz, bo później nie będzie taki wypad w ogóle możliwy. I wprawdzie Paweł pomyślał, że mógłby powiedzieć: „Boję się”, albo: „To nie jest takie proste”, i że gdyby tak powiedział, byłoby to uczciwe, lecz odrzucił tę myśl. W milczeniu zbierał swoje rzeczy do plecaka i, widząc, że gospodarz go obserwuje, powściągnął, wstrzymał ostrożnie oddech, aby nie stał się zbyt głośny zbyt prędko. „Wprost pan nie dojedzie. Trzeba drogą okrężną, lasami. Przygotuję zapasów tyle, ile na konia da się wziąć. A kozuch, to niech pan założy na odwrotną stronę, żeby wyglądało bardziej z chłopska”. I to już było wszystko, wszystko zostało powiedziane. Jeszcze tylko szybkie uściski dłoni i wstrzemięźliwe słowa pożegnań, a ich czas także nadszedł niebawem.

Było to godzinę, może półtora później. Kuchennym wyjściem Kaniowski wyprowadził go na zaplecze domu i powiódł przez podwórze. Powiedział: „Tutaj jeszcze zostaje moja matka. Wie pan... ona mówi, że nasz Stefan, gdyby wrócił i nikogo nie zastał, byłoby źle. Nie da sobie staruszka nic powiedzieć. A prze-

cięż Stefan... żadnej wiadomości, żadnego znaku życia...". Spojrzał wzrokiem pociemniałym z bólu. Za oknem jadalni, blisko przy szybie, ujrzał Paweł nieruchomą twarz jego żony, ręce wzniosła gestem pełnym zastanowienia i niewypowiedzianych pytań; w jej wzroku odbił się wysiłek, jak gdyby coś sobie usiłowała przypomnieć i tak pozostała mu w pamięci.

Pachniało mokrym śniegiem, rozmarzniętą w pobliżu mierzwą, przy pompie kręcił się parobek przestawiając kubły. Gdy odwrócił się raz jeszcze u domowi, tamto okno było puste, za to na schodach oficyny stała Karpatkowa, dłonią przytrzymując pośpiesznie narzuconą na ramiona futrzaną bekieszę, jej silna niezbyt wysoka postać wychylała się za ceglane obmurowanie ganku, i coś było w niej takiego, że musiał przystanąć, a wtedy ciepła, znajoma fala ogarnęła go na krótko (żadnej niezaspokojonej tęsknoty, żadnej pożałliwości, tylko ta fala ciepła) i czuł to jeszcze, kiedy schody już opustoszały. Potem stajenny podprowadził przysposobioną do drogi Tamarę, osiodlaną i objuczoną z przodu i z tyłu siodła, przeszli z Kaniowskim przez park do wału i zasieków, tam podali sobie dłonie, powiedzieli oczami wszystko, czego nie zdążyli słowami, dosiadł klaczy, minął druty, okołokop za drutami, zawiąną grubo śniegiem łąkę i odjechał ku rzece.

Nie obejrzał się dopóki czuł, że wieś widać jeszcze; gdy wreszcie był już pewien, że zniknęła za drzewami, spojrzął do tyłu i przekonał się, że jedynie parę wstęg dymu obciążonego wilgocią snuło się po ziemi między sosny, nic więcej. Rzucił okiem na zegarek, dochodziła trzecia. Za nim i przed nim była niebieskość, zieloność, biel boru przysypanego śniegiem, cisza, wrona kiwająca się na drogowskazie, potem zjechał z drogi w knieję, bo w perspektywie zobaczył ciągnącą na zachód furmankę, za nią zaś drugą i trzecią, i pomyślał, że najbezpieczniej byłoby ruszyć do Gleb przez Białą (zajrzy na plebanię do księdza Lipca), lasy będzie miał prawie cały czas po drodze, jeśli zaś nie lasy, to teren porznięty jarami, łatwo gdzieś zapaść, ukryć się, i tak też zrobił.

Było już koło szóstej, sponad godzinę jechał w mroku bardziej drogę leśną wyczuwając, niż ją widząc, gdy postyszał: „Halte! Halte! Nu, zatrzymaj się ty jaktamwam”, lecz nie zdążył szarpnąć klaczy do tyłu, ani spaść jej, by pogalopowała do przodu, bo zrozumiał, że jest otoczony.

Później, gdy ci, przez których został pojmany, prowadzili go pod karabinami na skraj polany (pewnie zbłądził i wpakował się w sam środek ich leśnych kryjówek), z jakichś nor nagle,

spod ziemi — jak gdyby wieść o nim rozbiegła się lotem błyskawicy — z głębi największej ciemności wypętać zaczęła od razu niewiarygodna wprost na tym pustkowiu ilość czarnych, zarosniętych, pejsatych ludzi, gromadą cuchnącą potem, brudem, nędzą i upodleniem otoczyli go ciasno, dotykając nerwowymi rękami, drżącymi palcami, obmacując chwytnie ze wszystkich stron, szarpiąc, szepcząc, szwargocząc między sobą i wydając gardłowe, zdławione okrzyki; po kilkunastu minutach, już w słabym świetle ognia w ziemiance też, wyłazili z sąsiednich pomieszczeń wciąż nowi, wpółubrani, gestykulujący, rozespiani, krzycząc jak opętańcy, zarówno mężczyźni, jak kobiety, było ich tylu, że wkrótce pogubił się w twarzach i pozbył złudzeń, że łatwo wyjaśni nieporozumienie; i wpatrywali się weń dziko i nieufnie, z wściekłością i rozpaczą, że zostali odkryci, z niedowierzaniem, że tylko przypadkowo, powtarzając sobie z ust do ust jego słowa, gdy mówił staremu, do którego został doprowadzony, skąd się tu znalazł, ten zaś tłumaczył im niezmiernie cierpliwie, rozstrząsając jego słowa na wszystkie możliwe sposoby, wszystkie „za”, wszystkie „przeciw” (będąc dość osłuchany w żargonie zorientował się wkrótce, że nie znajdzie wśród nich nikogo, kto pochodziłoby z okolicznych stron i poświadczyłby kim jest, albo jego nazwisko), aż wreszcie to się skończyło. Czarna ta, kłębiąca się, hałaśliwa masa, jak gdyby odpłynęła zmęczona, zwolna wsiąkając przez podziemne korytarze do sąsiednich ziemianek i ów stary, pomarszczony Żyd, który go cały czas indagował po polsku i tłumaczył na żargon, powiedział, że na noc przyjedzie tu ktoś, kto będzie mógł zdecydować o jego dalszym losie.

Blask słabego ogniska wyciskał z mroku sępie tylko twarze pozostałych w ziemiance, ich rysy ukształtowane jednakim losem, jedną myślą przetrwania, przeniknięte i zabarwione tą samą udręką; oparty plecami o ścianę dobrze oszalowaną warstwą wikliny wydawał się nie bardziej widoczny dla nich, niż oni dla niego, ale wiedział, że żaden jego ruch nie uchodzi ich uwadze. Obok niszy służącej za palenisko siedziała w kucki kobieta z dzieckiem przy piersi, która już znajdowała się tu, kiedy go sprowadzono (i od tamtego czasu nie zmieniła pozycji, zapatrzona w ogień, kiwająca się nieprzerwanie w przód i w tył całą górną połową ciała, przypominająca swym wyglądem poczerniałą figurę z wosku, tak samo niemowlę na jej rękach), po przeciwnej zaś stronie ognia na zydlu siedział jeden z mężczyzn, z których mięśniami zapoznał się jeszcze w lesie, gdy ściągnęli go z konia, najbliżej starzec, który go przesłuchiwał, i z rwącej się rozmowy między młodym a starym, wyławiał niekiedy jakieś znajome słowo, lecz zauważył, że wędrujące ku niemu spojrzenia nie mają już tego,

co przedtem, napięcia i że głosy narad w sąsiednich ziemiankach cichły coraz bardziej. Mógł więc wreszcie na chłodno rozważyć swą sytuację. Mógł także pomyśleć o swoich szansach i co zrobi, albo co oni zrobią, jeśli ten na kogo czekają, pewnie ich przywódca, nie da wiary jego wyjaśnieniom.

Potem młody wstał, wyszedł, kobieta kołysała się z dzieckiem wciąż tak samo w przód i w tył, jej oczy były mętne, nie widzące, stary zaś wcale nań nie patrzył, ale gdy się tylko poruszył, zaraz podniósł na niego wzrok i powiedział: „Tu nasi wszędzie pilnują. Co pan chce?”, więc szarpnął się do tyłu i powiedział: „Koni. Koniowi trzeba dać coś. Owies jest w worku. Worek przy siodle”, co tamten, zupełnie pominął, a dopiero po jakimś czasie, poprawiając patykiem ogień, ożywił się, przysiadł bliżej i zapytał: „Co słyhać na świecie? Pan powie na świecie wciąż ta sama bieda, nu tak, ale co słyhać na świecie z dobrymi ludźmi? Czy ich jeszcze zostało? Człowiek przykłada ucho do ziemi i słyha, słyha. Wciąż czeka, kiedy wreszcie armaty usłyszy, kiedy front się przewali, kiedy koniec nastanie tej męki. Czasem po nocy, to nawet już słyszy, i zaraz sobie pomyśli, czy starczy dobrych ludzi, żeby zaprowadzić sprawiedliwość...? Jak według pana, starczy?”. A wtedy wezbrała w Pawle tępa jakaś złość, popatrzył na zagadującego, przypatrzył mu się uważnie, chwilę mocował z sobą, byłby go uderzył, ale warknął tylko przez zęby: „Dajcie wy mi spokój, durny. Taki stary i durny!” i ułożył się na płask na liścianej ściółce, obracając twarzą do ściany. Trzaskał ogień i kobieta zanuciła coś cicho. Mimo to potem za swoimi plecami, jakby stary wiedział o co mu chodzi i znał jego myśli, słyszał w dalszym ciągu cichy, smutny, jednakże uparty głos: „Co za człowiek! Jaki nerwowo! Tyle słowa było, że wkrótce spotkają się ze sobą sprawiedliwość i dobra wola. On nie wierzy!”, i zaraz szur, szur w liścianej ściółce, jakby przysiadł tuż obok i znowu: „Bo jeśli ksiądz z Białej potwierdzi, co pan powiedział, że pana zna, to w porządku. Żaden interes rozwalać przyzwoitego człowieka. Nu, bo nam trzeba uważać. Co rusz, to szupowiec jakiś chodzi, co rusz — śmierć. Ale pan nie musisz się bać”. Więc nie zmieniając pozycji, tak spod tej ściany Paweł powiedział: „Niczego się nie boję, chcę tylko odejść w spokoju. Front idzie, Sowieci przebili się na Wołyń, nie mam wiele czasu. Muszę jeszcze skoczyć do Gleb, tam mój dom. Nie jedno mam jeszcze na głowie. Wy, Żydzi, siedzicie tu pod ziemią, żaden ani w prawo, ani w lewo się nie ruszy, niech sobie inni wojują, a jeszcze przeszkadzacie”, ale stary nie reagując na zaczepkę, natomiast z wyraźnym zadowoleniem, że się do niego w ogóle odezwał: „Niepotrzebnie się pan rozdrażnia” powiedział,

„Skoro front idzie, pan mówi, to pośpiechu nigdzie nie ma. Idzie, to przyjdzie, może będzie w końcu dobrze”. „Jak dla kogo” — on na to. A stary: „Jak dla kogo — co?”. „Jak dla kogo — dobrze. Pewnie dla was tak, dla nas jeszcze nie”. Na to stary: „Jakby pan tak w lesie z rok, dwa zdychał w ziemi, we wszach, w wilgoci, smrodzie i o głodzie, to też by czekał, jak zbawienia duszy”. „Pewnie. Ale że nie czekam, to nie dlatego, że w ziemiance rok, dwa nie zdychałem, a z innego całkiem powodu”. Na to Żyd: „Nie moja klasowa sprawa wiedzieć z jakiego. Rozumiem pana rozdrażnienie. Ale gdyby tak się zastanowić nad tym frontem, co pan powiedział, że się zbliża, to mogłoby się nie jedno między nami wyjaśnić”. „Co wyjaśnić?! Tu jaczekka jakaś, czy jak? Co u cholery ciężkiej wyjaśnić!”. Na to Żyd: „Co doprowadziło do sytuacji, że idzie pan stąd pod prąd. Bo brygada pułkownika Laudańskiego, którego pamiętają ci i tamci z polskiej niepodległości, to poszła sobie na zachodnią stronę Sertu”. „A ja w przeciwną, widać tak musi być!”. Na to Żyd: „Właśnie. Więc to kupy się nie trzyma, co pan mówi, nic na to nie poradzę”. „Nie pana prawo sądzić nasze plany. Bekniesz stary, gdyby coś mi się miało stać. On się dowie, nic wam wtedy nie pomoże”. Na to Żyd: „Ja panu powiem, nie ma co grozić, nie wiadomo, co może być”. „Właśnie, nie wiadomo, to chciałem usłyszeć” i dźwignął się z tej kupy liści pod ścianą, i usiadł do starego twarzą. Ale tamten już mówił znowu: „Pan sobie myślisz, czerwone wojska idą, więc Żydki głowy podnoszą, jak za tamtej sowieckiej władzy. Nu, nie ma co ukrywać, tak było. Znowu Żydki włożą czerwone opaski na ręce, znowu mundury enkawude przywdzieją, obsiądą sądy i każdy urząd. Tak sobie pewnie pan myślisz. Bo to właśnieście sobie Polaki zapamiętali. Ale ja mówię panu, opłakana chwila, kiedy to się stanie. Jeszcze raz naród żydowski sam siebie oszuka. To są jego dwie najtragiczniejsze miłości: Niemcy i komunizm. Bo Żydzi czekają na ten front wschodni, żeby jak najrychlej już się przetoczył, proszą Boga, modlą się, tęsknią, marzą we śnie i na jawie. Czy pan się dziwi? Pan się nie dziwi, bo pan jest człowiek inteligentny. Po tym, co Niemcy Żydom zgotowali... takie piekło na ziemi, takie ciemności, takie cierpienia, pan się nie może dziwić. Po takiej ciemnej nocy każda zmiana ma sens, wszystko wydaje się jaśniej oświetlone. Pan rozumie dlaczego stary Żyd to wszystko mówi...?”, i machnąwszy w kierunku kobiety siedzącej przy palenisku ręką: „Ona nie słucha, ona tak prawie, jak nie żywa... Zastrzelili jej męża na rogatce w Sudach, a starsze dziecko mazepiniec zatratował butami. Jej to na głowę się rzuciło, panie. Zresztą ona nie umie po polsku, tylko po nie-

miecku”, znowu wprost do niego, Pawła: „Więc pan wie dlaczego stary Żyd to mówi wszystko? Dlatego mówi, żeby pan nie został człowiekiem ze złością do niego. To są dwie najtragiczniejsze miłości Żydów, przyznaje stary Żyd, Niemcy i komunizm. Cały prawie naród żydowski wyginął przez tę pierwszą. Więc stary Żyd sobie tak myśli, żeby przez tę drugą nie było gorszej biedy. Bo jest gorsza rzecz niżli śmierć. Ludzka krzywda. Stary Żyd się boi, żeby Stalin nie zechciał znowu żydowskimi rękami robić tu w Polsce swojego porządku. Stary Żyd wie, że tak będzie i płacze. Bo choć czas i rozum uczynią swoje, i czas się kiedyś odmieni, to jednak zatruta pamięć zostanie na wieki. Nic nie uchodzi bezkarnie i za wszystko trzeba płacić, choć płacą zwykle nie ci właśnie, co zawinili, ale to już inna sprawa. Dlatego stary Żyd płacze jeszcze bardziej. Bo kiedy człowiek patrzy w tę straszną noc, jaką ludzie zgotowali ludziom i myśli, że może zapaść noc następna, która może być nie mniej straszna, to robi rachunek przed sobą samym i nie może sobie wybaczyć czegokolwiek, co było grzechem wobec współbraci, wśród których żyło się i których się kochało. Czasem pocieszam się dobrą myślą, że po doświadczeniach tej wojny coś jednak się odmieni, ale wiem, że pociecha jest kłamstwem, a kłamstwo trucizną podawaną samemu sobie” i raptem urwał w pół zdania i wstał.

Paweł podniósł wzrok. Wędrując ze spojrzeniem starego Żyda zobaczył w czarnym tunelu prowadzącym do wyjścia na dwór ludzką oszronioną postać. Był to mężczyzna o chudej, ascetycznej, osmaganej wiatrem twarzy. Posłyszał: „No, co tam?”, jak ten przybyły powiedział po polsku do wnętrza ziemianki złym głosem i wtedy od razu poznał w nim człowieka przygarbnętego w zeszłym roku w jarze pod Czołbią do swego oddziału, owego człowieka, o którym mu powiedzieli, że grał przed wojną w orkiestrze w restauracji Smula w Krzyżtopolu i który brał udział z nim razem w jesiennym marszu brygady od Rady do Sertu.

Idąc później przy kłaczach, żeby tamten, nie mający konia i idący pieszo nie musiał biec, z trudem torował sobie drogę przez wiatr i rozrzedzone, zimne, zapyłone księżycowym światłem powietrze. Kostniały palce, pęczniała tchawica, słowa rwały się przy ustach, gdy mówił i gdy pytał. „Ona jest młoda?” pytał. „Czy młoda? Pewnie młoda” mówił ten dawny jazzbandzista od Smula, „Skoro Niemcy ją zamknęli w burdelu dla swoich żołnierzy, to chyba młoda. Teraz to trudno powiedzieć. Pan przecież wie, co te kobiety muszą przeżyć z tymi bandytami z hilfspolicji i Werhmachtu. I co oni z nich w końcu robią!”. A on pytał uparcie: „Jak jej na imię, albo jakie jej nazwisko?”. Więc tam-

ten, pociągając cicho nosem odpowiedział: „Hm... imię? Nie pomnę, nie... Chociaż zapewne słyszałem. Bo nazwiska, to nie”. A on: „Może Katarzyna?”. A tamten: „Nie. Katarzyna nie. Jakoś inaczej”. A on: „Na pewno?”. A tamten: „Wiem, co mówię. Co też panu przyszło do głowy! Że to ktoś z rodziny?”. A on: „Tak myślę”. Na to tamten: „Nie sądzę. To Rosjanka, słyszałem. Ten Czerestwiński pewnie tylko dlatego pozwolił jej zostać u siebie w oddziale. Tam u niego nie ma miejsca dla kobiet. Jak on je Niemcom odbił, to te, co od razu same się nie rozbiegły, porozysłał gdzie trzeba: Żydówki do Żydów, Polki do Polaków. To nie ta, pan lepiej nie myśli”. Na to on po chwili: „Pan mnie pociesza, a mnie to sprawia jeszcze większy ból. Bo niechby to nawet była ta. Ale mam przeczucie, że już jej twarzy nigdy nie zobaczę”, i przystanął. Musiał siłą skierować swoje myśli na coś innego, na różne wspomnienia bez porządku, byle jaśniejsze, żeby nie upaść na kupę śniegu w skrajnym przygnębieniu i nie krzyżeć. Potem znowu szli. Jego towarzysz milczał nie mając więcej ochoty udzielać mu jakiejś nowej gorzkiej wiadomości. Kiedy przed godziną zjawił się w ziemiance (to właśnie on oczekiwany był przez ukrywających się Żydów), nie tylko rozproszył wkrótce wszelkie podejrzenia, że on, Paweł, został tym ludziom nasłany przez szupo, ale później jeszcze, wiedząc skądś, że Woynowicze, spokrewnieni są z Czerestwińskimi, opowiedział mu o tym spotkaniu z Piotrem Czerestwińskim, kiedy ten, na sam koniec swej działalności w tych stronach, wysadził w powietrze rodzinny dom w Czupryni, by nic za sobą nie zostawić i ruszył ze swoimi za Sert. Szczegół po szczególe Paweł odtwarzał sobie z tej relacji okrutne dzieje kuzyna z ostatnich miesięcy, podświadomie, z uporem zmierzając do uchwycenia nici mogących je łączyć z jego własnymi dziejami, lub swoich najbliższych, aż tę nić uchwycił, najbardziej bolesną, ale przeczuwaną, skoro tak uporczywie pytał, nić losu Katarzyny, i teraz, kiedy miał ją już w dłoni, nie chciał ciągnąć wątku dalej.

Obaj szli ku Białej, każdy ze swoim celem, niebawem mieli się rozstać i bez wątpienia mieli sobie wiele jeszcze do powiedzenia, a milczeli. Zbyt głęboko zakorzeniła się w każdym z nich świadomość, że słowa mogą odstąpić obszary pamięci, które na zawsze winny pozostać w ciemności, bo zbyt dotkliwie ranią. Dopiero na skraju lasu Paweł zapytał: „Pan też zajrzy do księdza Lipca?”, lecz jego towarzysz zawiesiwszy karabin na karku, potarł tylko czoło, zamyślił się głęboko, jakby nagle życie w nim na chwilę zamarło, potem kiwnął głową ruchem pozbawionym znaczenia, nie mówiąc ani słowa. Wyszli z lasu krętym, osuwającym się w dół korytem wysuszonego mrozem strumienia i trzymając

się blisko siebie skręcili w debrę, ażeby zgubić za sobą ślad. Tamara prychała cicho, ostrożnie i szeroko stawiała nogi na lodzie, jej podkowny dzwoniły. Było jasno od księżycy, a wiatr dął tu na otwartej przesterzeni z jeszcze większą siłą. „Moglibyśmy wsiąść obaj razem na konia. Nie byłoby wprawdzie wygodnie, ale szybciej” zaproponował Paweł trzymając dłoń przed ustami, żeby je osłonić, jego towarzysz jednak powiedział tylko: „Nad ranem wiatr zelżeje, będzie cieplej”, jakby propozycji wcale nie dosłyszał. Szedł przodem, patrzył na śnieg pod nogami, kiwał się równomiernie, zupełnie, jak gdyby szedł w takt śpiewanej w myślach pieśni i od czasu do czasu podrywał raptem głowę w górę, uważnym spojrzeniem obiegał strzeliste drzewa nad debrą to z tej, to z drugiej strony, cienie sine i podłużne pod drzewami, i znowu patrzył pod nogi; białosiną drogą w łożysku strumienia opadała coraz stromiej w dół. Gdy Paweł zobaczył czarne kikuty chałup i zapytał wskazując na pogorzele: „To jaka miejscowość?”, jego towarzysz spojrzał jakoś zbyt długo na niego, zanim odpowiedział: „Jaka? Wieś Biała. Jesteśmy na miejscu”, i wtedy przystanęli za krzakami. Wiatr przeginał białe drzewa nad strzechami i zawijał, i przeganiał w dal trąby białej, sypkiej kurniawy. Potem tamten dał znak, że mogą iść dalej.

Wkrótce minęli kościółek wśród zwałów śniegu, w którym przekopane były wąskie ścieżki i Paweł zauważył przez postrzelony witraż lampkę oliwną na łańcuchu, palącą się płomykiem ledwo przeświecającym przez czerwone szkło, prawie nie dającym światła. Plebania przytała się za pozamykanymi szczelnie okiennicami, żeby nie przyciągać oczu włóczących się ludzi, ale z komina uchodził w górę wartko jasny, dobrze przegrzany dym i niekiedy wypadało parę iskier. Uwiązawszy klacz do drzewa, stanęli z bronią gotową do strzału na progu, zapukali, czekali długą chwilę, aż ktoś za drzwiami zaszurał buciskami i wyszeptał: „Kto tam?”, a na to ten długi, chudy, ascetyczny Żyd, Pawła towarzysz, przyciskając się do futryny powiedział niezbyt głośno: „Niech ksiądz otworzy. To ja, Baumriter. Niech ksiądz otworzy prędko”. Cisza za drzwiami przedłużała się, aż znowu rozległo się szuranie, nieco głośniejsze. Potem: „Nie gadaj! Baumriter! Też mi!”, odezwał się tamten głos chcący być zapewne jeszcze szeptem, już jednak nie panujący nad sobą, „Baumriter nie żyje od tygodnia. Sam widziałem, jak ci z kripo go wygarnęli. Zabieraj się stąd!”, lecz towarzysz Pawła mówił cierpliwie: „Niech ksiądz nie fiksuje! Nie mogę nie żyć, skoro stoję za drzwiami, chyba logiczne. Przed tygodniem, to wygarnęli Izaaka Sportowego, a ja następnego dnia byłem tu jeszcze u księdza. Niech ksiądz pomyśli, to sobie przypomni, nie mam czasu na długie

głędzenie. Wiem, że u księdza jest ta biedna Lula Marks, co zwie się obecnie Łucja Maliniak. Muszę ją widzieć, bo mam dla niej lekarstwo i zaraz sobie pójdę. Niech ksiądz znowu nie zaczyna swoje”, gdy tymczasem głos za drzwiami sprzeciwiał się: „Nie ma tu nikogo prócz mnie i ty sobie odejdz w spokoju”, więc ten znowu cierpliwie: „Niech ksiądz puści, bo inaczej będzie źle. Nie można tak wiecznie sterczeć na mrozie”, a za drzwiami: „Źle? Źle powiada, łobuz, bandyta! Z tobą źle będzie, tylko nie zaczynaj!” więc Baumriter, już do siebie: „Krew by załała!” i do niego, Pawła: „Czasem parę dni wystarczy, żeby człowiekowi rozum do końca odebrało”, a wtedy on, Paweł: „Niech ksiądz otworzy, co się z księdzem dzieje? Tu także ja jestem, Paweł Woynowicz!” krzyknął i zaraz z głębi sieni dały się słyszeć szepty głośniejsze, niż przedtem, niecierpliwie, gniewne nieomal i nagle drzwi z trzaskiem skobli ustąpiły do tyłu, na progu ujrzeli postać w sutannie wznoszącą w górę naftową latarkę oświetlającą nią ich twarze, wpatrującą się w nich płonącymi, dzikimi oczyma, był to ksiądz Lipiec, i Baumriter powiedział z wyrzutem: „Co też ksiądz wyprawia, naprawdę mnie już nie poznaje?”, i weszli do środka. Ksiądz, usunąwszy się z drogi i na tamtego Żyda w ogóle nie patrząc więcej, powiedział z nagłym ożywieniem: „Patrzcie, ludzie, Paweł! Dopiero co, trzy dni będzie rano, jak u mnie twój wuj, sędzia był. Ten ci to ma talent do ucieczek! Właśnie Niemcom z transportu do Lublina zwiął. Szukał tu ciebie bezskutecznie, a teraz pociągnął za Sert do lasów, gdzie pono zapadł Laudański, bo byli tacy, co mówili, że cię u niego ostatnimi czasy widzieli”, i to było już wszystko, bo kiedy tylko to powiedział, jego ożywienie przypadło bez śladu, wzrok przestał być wzrokiem człowieka widzącego, a stał się ślepy, jak u kreta. Potem ksiądz Lipiec opuścił trzymaną w górze latarkę, ruchami niepewnymi, nie trafiającymi zaryglował drzwi i już na nich obu więcej nie zwracając uwagi, jakby zniknęli z jego pola widzenia, poszedł do pokoju i usiadł w fotelu w kącie, gdzie w pobliżu żelaznego piecyka z czerwoną od żaru rurą, której koniec wpuszczony był w drzwiczki kaflowego pieca, leżała na kozetce jakaś kobieta okryta po brodę kołdrą, a tuż obok stało teraz w pozycji wyczekującej, obronnej dwóch mężczyzn w łachmanach.

Więc jakiś czas mierzyli się z tamtymi dwoma jednakowym wzrokiem, napiętym, przewiercającym na wskroś, jakby przez skórę dobrać się chcieli sobie nawzajem do wnętrza i odgadnąć, czego mogą spodziewać się jeden po drugim; tylko oczy kobiety nie wyrażały nic, widać było, że gorączka aż trzeszczy w jej głowie, fale ognia szły przez policzki na spotniałe czoło, mimo to

trzęsa się z zimna; i tak samo oczy księdza Lipca, który siedział u jej wezgłowia, wzniesione w górę, jakby się modlił, mętne jednak, jakieś śnięte, nieprzytomne. Później przybyły z Pawłem, Żyd, Baumriter, zaczął krzątać się, jak u siebie w domu. Wydobył z kieszeni pudełko ze strzykawką, poszedł bezbłędnie i pewnie w ciemność dalszych pomieszczeń plebanii, wkrótce wrócił z pudełkiem napełnionym wodą i stawiając je na fajerkach piecyka nad buzującym ogniem, zapytał stojących i jak gdyby czekających na coś mężczyzn: „Wy uciekinierzy, bojowcy, czy co? Mówicie po polsku?” i zaraz do tego bliżej, czarnego, zarośniętego, niby niedźwiedz: „Ty Żyd jesteś?”, a wtedy odezwał się nie ten zagadnięty, lecz drugi: „Nie, on Polak i ja też Polak. Niech pan nie mówi o nim Żyd. Straszne słowo z gęby wyleci, nie wiadomo kto usłyszy i wielka bieda, kiedy się tak wygląda, za przeproszeniem, jak on. My na robotach w Rosji byli, ale teraz, jak się Niemcy wycofali, to my prysnęli im z transportu. Tam u nich straszny bałagan, od kiedy czerwoni pchają się naprzód, panie”, a Baumriter zapytał znowu: „To dokąd idziecie?” i tym razem odpowiedział ten czarny: „Do Krzyżtopola, bo my stamtąd”, a Baumriter zaraz: „Na jakiej ulicy mieszkałeś?”, tamten zaś: „Na Rybakach. To taka krótka uliczka na przedmieściu Taranrok”, a Baumriter: „No właśnie. Stąd mi twoja twarz była znajoma. Twoja matka prała u doktora Arnsztejna i posyłała cię do liceum ojców Pijarów. A potem pojechałeś do Lwowa”, tamten zaś: „Zgadza się. Matka podobno teraz sprzęta w starostwie”, a Baumriter: „To wyście tę Lułę Marks znaleźli?”, na co tamten: „My. Koło Wyżkowa, za spalonymi gumnami. Już miała gorączkę i pokładała się w śniegu. Tyle powiedziała, że ukrywali ją ukraińscy chłopci w Ipohoryłach, ale kiedy przyszli po nich banderowcy i zaczęła się strzelanina, to ona zeskoczyła ze strychu i uciekła ogrodami. Licho wie, jak długo się tułała, chyba z tydzień, albo i dwa, niech ich spali pomsta”.

Wtedy Pawłowi wydało się, że słyszy ze dworu dolatujący dźwięk, jakby furtka klapała, cofnął się z pokoju nie przerywając mężczyznom rozmowy, zarepetował karabin, odrygłował drzwi i wyszedł. Ogarnął go znowu wiatr i śnieżny kurz zsypywany przez wiatr z dachu. Tamara stała pod drzewem skręcając ku niemu łeb aż do oporu rzemienia i wciągając z niepokojem głośno powietrze; jej oszadziały brzuch i szyja dymiły, nad plebanią przeciąg świstał w kominie, a opodal natarczywym, monotonnym pukaniem zamykały się i otwierały drzwi chlewika. Spoglądał chwilę na drewniany budynek, jakby tam wewnątrz chodził upiór; żadnego innego dźwięku nie było, tylko ten, więc odwiązał klacz i poprowadził pod dach, potem wsunął rękę do łubów przy

siodle, namacał i wydobył jeden z pakunków które na drogę dał mu w Iłłowce Kaniowski. Nie zdejmując z klaczy siodła, a rozluźniwszy tylko popręg, powrócił na plebanię. Baumriter kończył właśnie robić chorej zastrzyk. Wszedł w krąg światła, rzucił na stół przyniesioną żywność i pierwszy raz, od kiedy tu się w ogóle wewnątrz znalazł, odezwał się: „Kto głodny niech je, proszę”. Patrzył obojętnie, jak mężczyźni dzielili nożem zmarznięty na kość chleb i mięso, odparzali nad ogniem, zdjawszy z piecyka fajerki, a potem dotknął ramienia księdza i powiedział: „Chciałbym, żeby ksiądz też coś zjadł”.

Proboszcz otworzył oczy, może nie spał wcale, prędzej już się modlił i spojrzał zupełnie przytomnie. Potem wstał z fotela, ale zaraz ponownie nań opadł i rozkaszał się zaciskając ręce na kolanach; całe jego ciało w rytm tego kaszlu podrygiwało, jakby go ktoś mocno bił po plecach. Gdy Paweł powtórzył: „Chciałbym, żeby ksiądz też coś zjadł”, podniósł się po raz drugi. Kaszel wprawdzie nie przestawał nim miotać, lecz zaciskał usta, więc wydawane przezeń dźwięki były głuche i przytłumione. Podeszedł do okna, uchylił zasłony i spojrzał na dwór, jakby tam w okiennicy znajdował się otwór, przez który coś można było zobaczyć. Paweł zapytał: „Kiedy ksiądz jadł ostatni raz?” a ten nie odwracając się odpowiedział: „Chłopi nieraz coś przyniosą. Nie martw się o mnie chłopcze”, więc Paweł: „Ksiądz stąd powinien iść” powiedział, „Myślę, że ksiądz zaraz powinien iść ze mną. Idę teraz do Gleb, ale potem, gdy tylko załatwię, co trzeba, pociągnę dalej, żeby odnaleźć brygadę Laudańskiego. Ksiądz powinien iść ze mną. Tu pewna śmierć”, ksiądz zaś odwrócił się do niego twarzą i powiedział: „Nie”. Oddech miał krótki, głośny, osaczony, a oczy mu się śmiły. Wtedy Paweł pomyślał: „Co tu się musiało dzieć. To dopiero trzy, cztery miesiące, jak ostatni raz rozmawiałem z nim w Glebach i jak grał z wujem w baka, czy faraona. Co tu się musiało dzieć... On jest wykończony. On jest szalony”, a jakby na potwierdzenie jego myśli ksiądz powiedział: „Nie mogę stąd iść, ustąpiłbym pola szatanowi. On podszeptuje im co mają czynić, judzi ich do zła, gna do grzechu, ale oni boją się mnie jeszcze i on też. Nie żądaj ode mnie, żebym się poddał, ażeby ustąpił pola. Chyba, że i ciebie szatan opętał”. A potem głosów mężczyzn za plecami Paweł nie słyszał, może umilkły i wydało mu się, że jest z księdzem Lipcem sam na sam w wielkiej, dusznej, gęstej ciemności, z tej ciemności zaś dochodziły do niego słowa napełniające go smutkiem i grozą: „Widziałem bestyję występującą z morza, mającą siedem głów i rogów dziesięć, a na rogach jej było dziesięć koron, a na głowach jej imię bluźnierstwa. A ta bestyja,

którąm widział, podobna była rysowi, a nogi jej, jak niedźwiedzie, a gęba jej jako gęba lwia; i dał jej smok moc swoją i stolicę swoją, i moc wielką. A widziałem jedną z głów jej, jakoby na śmierć zabita; ale rana jej śmiertelna uleczona jest. Tedy się dziwowała wszystka ziemia, i szła za oną bestyją. I kłaniali się onemu smokowi, który dał moc bestyi; kłaniali się też bestyi, mówiąc: Któż podobny bestyi? Któż z nią walczyć może? I dane są jej usta, mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa; dana jej też jest moc, aby władzę miała przez czterdzieści i dwa miesiące. I otworzyła usta swoje ku bluźnierstwu przeciwko Bogu, aby bluźniła imię jego, i przybytek jego, i tych, którzy mieszkają na niebie. Dano jej też walczyć i zwyciężać ich. I dana jej moc nad wszelkim pokoleniem, i językiem, i narodem. I będą się jej kłaniać wszyscy mieszkańcy na ziemi, których imiona nie są napisane w księgach żywota Baranka zabitego od założenia świata. Jeśli kto ma uszy, niechaj słuca. Jeśli kto w pojmanie wie, w pojmanie pójdzie; jeśli kto mieczem zabije, musi i on być mieczem zabity. Tuć jest cierpliwość i wiara świętych”.

Potem, kiedy już panowała jakiś czas cisza, a ksiądz Lipiec siedział znowu w fotelu u wezglowia chorej dysząc niegłośno, ten Żyd, który z nim, Pawłem, przyszedł, Baumriter, nachylił mu się do ucha i powiedział: „Mówiłem panu, to tak u niego... A teraz coraz gorzej. Ale rezuny okoliczne go się boją, nie tkną, święty człowiek”, a później: „Dziękuję za poczęstunek. Więc pan do siebie?”, a Paweł: „Do siebie” i dodał zaraz: „Życzę panu spełnienia się, jak najprędzej tego, na co tak czekacie. Przewalania się przez te ziemie frontu. Tamtym waszym w lesie w ziemiankach też tego życzę. I tej kobiecie”. Odstąpił od fotela, cofnął się.

Kobieta na kanapie była teraz przytomna, z jej twarzy drobnej, bladej patrzyło uważnie, z powagą dwoje czarnych oczu, w których drgało coś i błyszczało; ze swoimi płowymi włosami wcale nie wyglądała na Żydówkę, tylko usta miały to beznaziejne pogodzenie z losem w bezmiernie smutnym ich skrzywieniu, jak znamię tej rasy. Podali sobie z Baumriterem ręce. Paweł już chciał iść ku drzwiom, ale jeszcze powrócił, nachylił się nad księdzem siedzącym, jak przedtem przy chorej i słuchał przez chwilę uspokojonego, równomiernego oddechu, nachylając się tak bardzo nisko, że prawie dotknął jego czoła, potem odskokczył, teraz naprawdę poszedł ku wyjściu, w sieni szybko wziął spod ściany karabin i zaraz był za drzwiami, wyprowadził klacz z chlewika, podpiął ciaśniej popręg, był w siodle i ostro przegalopował pośród resztek wsi rzucających w księżycu na śnieg swe wykoślawione cienie.

VI

Głuchy tępy odgłos, jaki posłyszał zdaje się od razu, kiedy minął ostatnie wśród zgliszczy sterczące kominy, samotne ściany podparte zaspami śniegu i pochylone pod jego ciężarem płoty, ten odgłos, który — jak tylko oderwał się gdzieś z boku od skraju wsi, tak cały czas uparcie ciągnął w trop za nim — nie był odgłosem kopyt Tamary, nie był nawet tego odgłosu echem, brzmiał niby echo echa, ani daleko, ani blisko, i wyczuwał w nim i słyszał jakąś desparcką natarczywość. Ale nie popędzał klaczy i nie starał się go pozbyć. Również nie zaniepokoił się. Zbliżywszy się jednak do rozwidlenia drogi, powodowany wewnętrznym, ledwo uświadamianym nakazem, nie skręcił na równinę w stronę Gleb, jak zrazu zamierzał, ale pojechał na wprost wijącym się między brzeźniakami na rozpadlinach nieprzetartym szlakiem tak, że na krótko przestał ów odgłos, tętent za sobą słyszeć, albo przynajmniej prawie przestał, bo wprawdzie dalej był on jednostajnie niemilknący, to już nie tak natarczywy. Ujechawszy ze dwa, albo trzy kilometry, gdy w głębi doliny znowu ukazała się wieś, zresztą podobnie, jak Biała opustoszała i wypalona, zwolnił. Stępa zbliżył się do górującego nad otoczeniem budynku rozłupanej skorupy cerkwi, zatrzymał klacz przed wyszczerbionym portykiem, przed rozwartymi wrotami ukazującymi w głębi — pod roziskrzonym niebem wiszącym w górze zamiast stropu — pustkę wnętrza rozpościerającą się wśród złuszczonej, obłazających z polichromii ścian, wytłuczonych witraży w oknach, okiennic obwisłych oraz zwisających z muru wystrzępionych płócien z nabożnymi sentencjami, i ledwo stopę wyciągnął ze strzemięcia, wprowadził tam klacz i przysiadł w przedśionku na przegniłej podłodze, już ten odgłos — który przedtem na krótko, jeśli nie przestał słyszeć w ogóle, to prawie przestał — usłyszał teraz ponownie, wzmocniony nadto bardzo, tym razem jednak jako zupełnie nieśpieszne, utrudzone końskie człapanie między opłotkami, i chociaż nic nie postanowił, czekał. A potem ów człowiek, postać ciemna, okutana w baranicę, ów mężczyzna nie wysoki, nie niski, jadący na małym, chłopskim, ale muskularnym koniu zbliżył się do cerkiewnych wrót również i nie tykając karabinu przytroczonego u prawego strzemięcia lufą w dół, zeskoczył na ziemię i zaraz zawiąło od niego zapachem skóry, dziegciu, przepoczonej kulbaki i kozucha. Lecz Paweł nawet nie drgnął, gdyż dawno już wiedział. Siedział z kolanami podkurczonymi pod brodę, plecami oparty o wypchane owsem łuby, otoczony obłokiem pary z parującej całym ciałem i wydmuchującej mu parę wprost na

twarz klaczy i, pełen skupienia i baczej, napiętej ciekawości patrzył na tamtego, jak się zbliża, jakby patrzył na siebie samego wychodzącego w postaci upiora z głębi ponurego, bezbolesnego piekła. Nie drgnął, nie ruszył się nawet, kiedy Piotr Czerestwieski stanął o krok, choć jego myśli, jakby przecząc ogólnemu bezruchowi ciała, gnały teraz naprzód jedna przez drugą rozszalałe, niepowstrzymane, bo wreszcie to było to ostateczne wyrwanie się z męczącego bezwładu dni spędzonych pod dachem Kaniowskich, z cierpliwego bezruchu owych godzin czekania wpierv w żydowskiej ziemiance na człowieka, który zdecydować miał o jego losie, później zaś w drodze z tym człowiekiem i u księdza Lipca na wyjaśnienie czegoś, czego wyjaśnienie potrzebne mu stało się do odzyskania spokoju, nieledwie w ogóle, żeby żyć. Ale nie drgnął, nie ruszył się nawet wtedy jeszcze, kiedy któraś z tych jego myśli oblekła się w końcu w dźwięki i usłyszał, jak mówi do Piotra: „Wiedziałem, że to ty, czekałem na ciebie. Od dawna czekałem na to spotkanie”, a tamten z wolna osunął się na pięty, przykucnął i spojrział nań tak, jakby rzucił się całym wzrokiem, całą siłą oczu, jakby od razu chciał nimi go zagarnąć albo przewiercić na wylot i nie pozdrawiając, ani nie mówiąc nic w tym rodzaju, powiedział: „Ja również. Szukałem cię. Wreszcie chyba dowiem się, co zrobiłeś z Katarzyną”. Więc Paweł dopiero wtedy poruszył się i oddychając i wdychając zimne, jak wyziew z lochu, powietrze, poczuł, że wszystkie myśli, od których przed chwilą jeszcze w głowie aż mu się kłębiło, gdzieś raptem przepadły, uciekły.

Potem upłynęła godzina, może nawet dwie, księżyc nie świecił już tak jasno, jak przedtem, czerwieniejąc, zapadając w mglisty opar i zaczynało drobno prószyć śniegiem. Oni wciąż siedzieli pod ścianą w cerkiewnym przedsionku naprzeciw siebie prawie nie zmieniawszy pozycji od tamtej chwili, i już także nie widzieli się tak dobrze, jak przedtem, ale Piotr Czerestwieski wyteżał wzrok i wpatrywał się w jego twarz z wyrazem natarczywości i lęku, gdy on, powiedziawszy wszystko, co o Katarzynie wiedział, powtarzał tylko teraz bezwiednie: „Nie wiem, nie wiem, nic więcej nie wiem...”, dziwiąc się, jak jego głos brzmi szczerze, prawdopodobnie i przekonywująco. Bo przecież wiedział dużo więcej, niż mówił. Była to wprawdzie wiedza nie nabyta dzięki znanym sobie faktom, znał ich bowiem zbyt mało, albo wcale, ale poza faktami, wynikała i ukształtowana z domysłów, przeczuć, czyichś niedomowień, szeptów, czyichś ukradkowych spojrzeń i wreszcie własnych fatalnych snów. Mimo to wiedza pewna i straszna. Więc, aby nie dzielić jej z kuzynem, powiedział: „Sądziłem, że to właśnie ty wiesz o Katarzynie. I więcej, niż ja. Przy-

najmniej o okresie, kiedy z moją matką i z ciotkami znalazła się w Krzyżtopolu, czy później, kiedy moja matka wróciła do Gleb, a ona w Krzyżtopolu została. Bo ja nic się w mieście nie dowiedziałem nad to, co dotyczyłoby wszystkich mieszkańców. Co się z nimi tam działo. Ale ty...”, a Piotr Czerestwieski: „Co — ja?” a on: „Ten twój człowiek... Ten, którego przysłałeś jeszcze wtedy do Czupryni, kiedy grzebaliśmy twego dziadka. Przecież niedawno znowu za mną się włóczył. Myślałem, że chcesz mi coś przekazać. Więc nasłałeś go tylko po to, żeby sprawdził, czy ona jest lub nie jest ze mną?”, a Piotr prędko, ostro: „Jaki człowiek, jaki człowiek?!” i oczy zwięzły mu się nagle, „Nikogo nie nasylałem. Nikt z moich za tobą się nie włóczył. Teraz twój ślad złapałem przypadkowo u Żydów. Gdy dali znać, od razu pojechałem, żeby cię dognać. Ale nigdy przedtem, żadnego człowieka, o czym ty mówisz?”, więc on: „No tak, nie ty...”, jakby z mimowiedną ulgą i przymknął oczy, i odchyliwszy do tyłu głowę, oparł ją o mur i mówił powoli, cicho, nieomalże do siebie: „Tego człowieka widziałem zaledwie trzy razy... Nie, nawet dwa... Ten trzeci raz przecież, przed paroma dniami, kiedy zajrzał do Sokalego jaru, to widziała go jedynie kobieta, która wraz ze mną znalazła w jarze schronienie. Ale to był ten sam człowiek. Z waszym psem z Czupryni” i chwilę milczał wstrzymując oddech, i potem jeszcze ciszej: „Więc jeśli on nie był od ciebie, to to znaczy tylko...”, a Piotr wtedy tak samo cicho, uważnie: „Że od Gawryluka?”, a on: „Tak, też tak sądzę — od Gawryluka. Jeśli nie sam Gawryluk. Ale chyba... nie, niemożliwe... zresztą... nieważne. Więc jeśli on jej szuka również, wniosek stąd, że jej nie dostał w swoje ręce. Jeżeli... Jeżeli nie szuka już tylko ciebie...?”, bo przecież nigdy nie zapomniał o tamym masowym mordzie kobiet w klasztornych podziemiach i że młode i ładne wyłapywali już wcześniej do żołnierskich burdeli o czym mu ongiś nocą w krzyżtopolskiej wytwórni dewocjonalii mówiła ta obca i znajoma zarazem kobieta, zanim poszła po wodę, ponieważ powiedział, że ma pragnienie, i chyba jeszcze wielu innych mu mówiło, czego się oni tam dopuścili, co robili z takimi młodymi kobietami, gdy je wygarnęli w łapance, co robili, gdy się do tego nadawały i później, gdy się nadawać przestały, gdy już były tylko zużytym, zmiętym ścierwem, seria maszynowego pistoletu i do dołu, i następne, i znów to samo, co w pamięci nosząc stale żywe, palące, jak ogień, usiłował mimo wszystko nie tykać myślą, żeby nie zmąciła umysłu i nie zniszczyła do reszty woli trwania, nic jednakże Piotrowi nie powiedział, ani jednego słowa, krzyk uwiązał mu w gardle, pomyślał bowiem, że kuzyn wie bez wątpienia tyle samo, ile on wie i jeżeli

nie mówi, to zapewne nie widzi potrzeby odnawiania ran, nic to im nie da, śladu Katarzyny nie wskaże, ani nie zapytał, kim jest ta, o której nadmienił żydowski partyzant, znajdująca się w kuchni oddziale, nie miała przecież znaczenia, skoro nie była Katarzyną, ani również nie zapytał czy ma on nadzieję, że Katarzyna żyje, bo wtedy musiałby przyznać, że sam nadzieję postradał, że stało się to prawdopodobnie wówczas, kiedy wśród ruin podwórza na Chocimskiej w Krzyżtopolu z palca trupa starej kobiety zdjął Katarzyny pierścionek, którego wprawdzie później przy sobie nie znalazł i mógł z łatwością uznać za senne przywidzenie, lecz nie potrafił i wierzył, iż widział, trzymał w dłoni, schował do kieszeni, albo nawet włożył na własny palec, ani nie powiedział kuzynowi, jak wielokrotnie mówił sobie samemu: „Kochałem ją. I ona zdaje się w końcu mnie pokochała. Lecz jej nie pomogłem, nie ustrzegłem jej, pozwoliłem odejść, zatracić się, straciłem ją... Już ledwo pamiętam jej twarz, choć nigdy nie uwolnię od niej pamięci. A może ty... może ty ustrzegłbyś ją...”, bo takie wyznanie, oskarżenie samego siebie nie przyniosłoby ulgi żadnemu z nich, i tylko przetarł zaciśniętym kułakiem powieki odpędzając precz tamte obrazy i powiedział: „Po tej nocy w Krzyżtopolu... dniu i nocy, wiesz, kiedy jej szukałem... jej i całej rodziny... nigdy nie przestałem, gdzie się dało, dopytywać...”, a Piotr spokojnie, beznamyślnie, aczkolwiek czujnie: „Ale zaprzestałeś poszukiwań”, a on po chwili: „Tak... Lecz chorowałem. Potem przebiegałem się z brygadą Laudańskiego od Rady do Sertu. Potem byłem ranny i jak wreszcie wróciłem do sił, zima już nastała. Chodziłem to tu, to tam, tylko że ślady poginęły, nikt nie umiał nic powiedzieć...”, zdawkowo, nieprzekonywująco, jakby los Katarzyny uważał za przypieczętowany, choć wcale tak nie było, a Piotr: „Na ogół ludzie kłamią jedynie w sprawach ich obchodzących”, a on zaskoczony, ostro: „Chyba nie sądzisz...?”, a wtedy Piotr: „Dobrze” powiedział i wydawało się przez chwilę, że jednak coś z tego, co on mówi, zdołał aprobować, albo już stały mu się obojętne wszystkie jego tłumaczenia i racje, „Dobrze. Nie szukasz jej więcej. Zaprzestałeś. Dobrze” mówił z zastanowieniem, „Ale pewnie wiesz, co dalej będziesz czynił. Że masz wciąż jeszcze jakiś cel”, więc on: „Ciągnę do Gleb, a potem za Laudańskim”, Piotr zaś ze szczególną zaciętością: „Ja jeszcze to i owo zrobię, zanim mnie stąd przepędzą. Może Katarzyny ślad znajdę, może nie. W każdym razie jest tu jeszcze sporo nie zakończonych spraw” i urwał.

Powoli wyprostował się. Stał chwilę kołysząc się z nogi na nogę, jakby dla pobudzenia w nich krwi zakrzepłej od zimna, poprawił na sobie kozuch, podpiął go ciasniej rzemieniem i po-

szedł ku stojącemu przed cerkiewnymi wrotami swojemu koniowi. Paweł zrazu myślał, że to, co kuzyn powiedział, to było wszystko, że już nic więcej powiedzieć sobie wzajemnie nie mogą (prawda, mają coś, bardzo wiele, wiedzą o tym oboje, ale nie mogą) i zaraz kuzyn skoczy na koński grzbiet i odjedzie. Nie zrobił tego jednak. Wydobyl coś z kieszeni przy siodle, powrócił, okazało się to manierką w szarym filcowym futerale, odkręcił korek, podał mu ją bez słowa, później stał nad nim, jak przedtem przestępując z nogi na nogę, cały czas, kiedy on ostrożnymi łykami pił lodowany samogon, aż poczuł, że myśli znów pędzą, uciekają, i oderwał manierkę od ust, i oddał ją kuzynowi, i na krótko przymknął powieki, bo cerkiewny przedsionek, schody, zaśnieżony dziedzińczyk przedcerkiewny, niski mur dalej oddzielający go od drogi, wraz ze sterczącymi z zasp szkieletami chłopskich chat, wszystko to zakotyssało się, a gdy otworzył znowu, Piotr znowu siedział w kucki naprzeciw niego i mówił: „Nie powiem, że kiedykolwiek sądziłem, że możesz dołączyć do mnie. Ja mam swoje miejsce, ty swoje, to pewne. Więc ciągniesz za Ludańskim...”, na co on: „Tak, za Ludańskim, pewnie właśnie tak się stanie”, a Piotr: „Ludański za Sertem i jak tylko front trzaśnie, będzie, niestety, odchodził dalej na zachód, bo nie pozwoli, żeby ogarnęli go czerwoni. Nie mówię, czy to dobrze, czy źle, ale tak będzie”, na co on: „To dobrze, że nie mówisz. Bo tego nikt nie wie. Zmiana miejsca nie musi być dezercją. Może jeszcze czas nam coś da, coś zmieni, czy odwróci, może zachowane tam gdzieś, nie rozproszone nasze siły...”, a Piotr z tą swoją wrodzoną zimną arogancją zaśmiał się nieprzyjemnie: „Sądziłem, że tak właśnie myślisz” i wtedy on wybuchnął, krzyknął: „Co ty wiesz, co ja myślę! Sprzymierzeńcy dawno nas przehandlowali! Trzeba z tego wyciągnąć wnioski! Trzeba mieć odwagę zmiany miejsca, zmiany spojrzenia, zmiany stosunku do niejednego, żeby nie ulec do końca. Może to teraz najcenniejsza i największa odwaga”, a Piotr znowu z tym samym śmiechem, choć w słowach ich obu nie było nic śmiesznego: „Tylko że ja ze zdobyciem się na taką odwagę poczekam. Jeszcze zdążę. Nim dzień kłęski, którą nam gotują, nadejdzie, mam wiele do zrobienia. Nie zostawię tu nic, co mogłoby im służyć. A po tym dniu... po tym dniu... mój Boże, być może trzeba będzie stać się jednym z nich...?”, śmiech natomiast, z którym mówić zaczął, gasł w trakcie, jak mówił, wreszcie zgasł zupełnie, w oczach została mu tylko ślepa wrogość i jakiś mściwy cień. Przez pewien czas przyglądali się sobie, jak żołnierze, którzy usiłują przemknąć się spod morderczego ognia do okopu, a dopiero potem on, Paweł, powiedział niegłośno: „Ty jesteś także szalony”, przyła-

pując się na myśli, że ostatnimi czasy mianem szalonego zdarzało mu się tak często nazywać różnych spotykanych ludzi, że obecnie nie był już wcale pewien, czy to właśnie jemu samemu rozum się nie miesza.

Więc teraz on wstał, naprawdę nie mogli sobie nic powiedzieć więcej. Stojąc spojrzął z góry na siedzącego kuzyna, na jego ściągniętą twarz polśniewającą bladością, starannie wygoloną, zimną, jak maska, i uświadomił sobie, że ten chłopak, tak znajomy niedawno jeszcze, tak mu bliski, jakby był rodzonym bratem, mimo wszystkiego, co ich na krótko niegdyś rozdzieliło: kobieta; ten chłopak, którego jeszcze przed niespełna rokiem uczył przywiązania do tej ziemi i rozumienia jej naprawdę, teraz odszedł tak daleko, że już ledwo go poznawał, i stał się kimś nieznanym, zagadkowym, nie mającym z tamtym wiele albo w ogóle nic wspólnego, tak że nic nie mogłoby mu wyjaśnić tego, nad czym tylokrotnie się zastanawiał (nawet on sam Piotr Czerestwiński, wciąż jeszcze w kucki siedzący na przegniłej podłodze cerkiewnej przysypanej gruzem i śmieciami o pół kroku u jego stóp, nie potrafiłby mu wytłumaczyć, a prawdopodobnie, gdyby próbował, on z kolei nie pojąłby chyba), jakie to zmiany w nim, jego kuzynie zaszły, w czym tkwi istota owego fenomenu, że idą za nim ludzie, trzymają się go, ślepo go słuchają podporządkowani mu we wspólnym zagrożeniu, lęku, wspólnej nienawiści i straceńczej determinacji pragnący nie zostawić za sobą nic, co mogłoby służyć wrogowi, jak nie pojąłby zresztą wiele jeszcze innych rzeczy, którymi go kuzyn zaskakiwał, bo chociaż myśleli, jeśli nie tak samo, to prawdopodobnie podobnie i mówili tym samym językiem, to jednak wypowiedane słowa miały u każdego z nich inne znaczenie i przypisywali im odrębny sens. Teraz jedynie dręcząca niepewność, który z nich ma naprawdę rację (może nawet tylko, który z nich wybiera właściwszą drogę), nie pozwalała mu powiedzieć: „Żegnaj Piotrze” i powiedział: „Bywaj zdrów”, i dodał: „Muszę jechać, jeśli chcę przed świtem tam dotrzeć. Pewnie się spotkamy, gdy przeżyjemy. Bywaj zdrów”. Zbliżył się do klaczy stojącej cierpliwie pod ścianą, poprawił trzęźle, sprawdził popręg, łuby z owsem na powrót przytroczył do siodła, gdy zaś się odwrócił, kuzyn również już stał, ale nań nie patrzył, a gdzieś skroś cerkiewnych wrót na drzewa, martwą wieś i na śnieg.

Potem strzeżenie przy strzeżeniu wyjechali na drogę i Piotr ściskając kolanami konia skierował go w stronę skąd przybył. Powiedział, nagle się odwracając: „Będę szukał Katarzyny tak długo, aż ją znajdę. Ją albo ślad po niej, albo wreszcie tego, który mi powie, co z nią zrobił” i Paweł zadrżał, bo wydawało mu się przedtem, że kuzyn sprawę Katarzyny zamknął ostatecz-

nie, zakończył, odsunął w krąg tych wszystkich spraw, których rozwikłanie wykraczało poza ich obu realne możliwości, a teraz uprzytomnił sobie, że cały czas, kiedy rozmawiali o rzeczach nie dotyczących jej bezpośrednio, kuzyn o niej myślał bezustannie i być może przede wszystkim, i nawet, usłyszawszy słowa kuzyna, zachłysnął się, rozkaszał się nabierając w płuca zbyt wiele i nagle zbyt zimnego powietrza, bo chyba przypisał im podwójne znaczenie, i wyczuł, że coś takiego uzewnętrzniło się w jego głosie, kiedy z kolei on odezwał się do Piotra: „Nie wiem, czy tego kogoś znajdziesz”, a Piotr: „Znajdę” odparł spokojnie, choć w jego twarzy znów była tylko ta ślepa wrogość szukająca ujścia w skurczu mięśni i zaraz, nachylając się ku niemu: „Może ci pomóc z matką?” zapytał szybko, on zaś powiedział równie szybko: „Nie, nic nie trzeba. Bywaj zdrów”. Przez długą chwilę patrzyli na siebie milcząc, ze wzrastającym napięciem, z uwagą domagającą się jakiegoś słowa, z oczekiwaniem na coś, z napięciem tak wielkim, straszliwym, że mogło poruszyć góry, lecz nic się nie stało. Wreszcie kuzyn odwrócił się od niego powoli, a Paweł zauważył wtedy, że linia jego pochylonych pleców i głowy staje się raptem tragiczna i niema. Później zauważył jeszcze krótkie skinienie głowy kuzyna, ruch przytakujący, a może bez znaczenia, i zaraz ręka kuzyna poklepała szyję konia, ten skoczył do przodu i począł oddalać się drogą cwałem w stronę rozstaju i Białej, unosząc przygarbionego, jakby przyrośniętego do siodła jeźdźca. Odprowadzał ich wzrokiem, aż rozplłynęli się w sianej bieli nakrytej mrokiem nocnego powietrza. Potem długo jeszcze spoglądał w to miejsce i dalej, gdzie przeczuwał, gdzie oczami wyobraźni widział w ciemności, jak pędzą. Przez chwilę męczyła go myśl, że kuzyn chciał mu w czymś pomóc i że ta propozycja pomocy odnosiła się do czegoś niezmiernie ważnego, co on, Paweł, miał zrobić; wydało mu się nawet, że wówczas wiedział w czym kuzyn chciał pomóc, ale teraz zapomniał. Nie mógł sobie również przypomnieć, co mu na to odpowiedział.

Patrzył na cerkiew, której miedziana kopuła świeciła niebieskawo w księżycu i na chmury raz po raz napływające z zachodu i przepływające nad nią tak nisko, że podwójny krzyż na jej szczycie prawie w nich niknął. Gdzieś poza granicą widoczności, poza sinobiałą przestrzenią pól, albo zapewne jeszcze dalej rozszekały się psy, zdradzając obecność ludzi; głosy rozbrzmiewały i konały pośród jarów i w suchych bałkach do połowy wypełnionych śniegiem, posępne i zajadłe. „Zawsze działa się podobnie” myślał o Piotrze sięgając pamięcią do tych czasów, kiedy obaj, jeszcze jako chłopcy, wiedli urojone spory, lub rzeczywiste niekiedy walki na pięści, których przyczyny zwykle w końcu nie-

bardzo dla nich samych były jasne, później zresztą robiąc najczęściej to samo, tylko każdy z nich na swój własny sposób, czy też dochodząc do celu różną tylko drogą. I raptem przypomniał sobie jakąś różnicę zdań, co do kierunku, jaki obierze lis pędzony przez wściekle ujadające psy (musiało to być późną jesienią, bo siedzieli obok koni pod osłoną stromeego urwiska na pokrytej szronem stwardniałej po wierzchu ziemi, niebo zaś było szare i niskie), a ujadające głosy coraz bliższe i donioślejsze nakazywały skoczyć, jak najprędzej na siodła i przygotować strzelby, tymczasem spór przewlekał się i na koniec obu im było wiadomo, że sfera minie ich niewidzialna naganiając lisa na Mikołaja Fiodorowicza i że już przegapili tę swoją wspaniałą szansę, tylko że jeden by się drugiemu do tego nie przyznał; i wcześniej, chyba było to w czasie zimowych wakacji, może w Czupryni, może w Glebach, a może jeszcze w którymś z innych okolicznych domów, w jakiś taki zimowy wieczór w salonie zapełnionym znajomymi od dziecka kobietami i mężczyznami, i obok drugi pokój, gdzie dziewczęta i chłopcy również znajomi od dziecka, i tańce wśród światła, muzyki, śmiechu, podniecającego nawoływania i strofowania matek, kiedy oni obaj tymczasem w najdalszym kącie nie mogli pogodzić się, czy walca zaczyna się z prawej, czy lewej nogi, i choć jeszcze w ogóle nie tańczyli, zabawy tej trochę się wstydząc, trochę nią pogardzając, niewiele brakowało, żeby przez tę niemądrą różnicę zdań nie poprzysięgli sobie tam w kącie dozgonnej nieprzyjaźni; i także przypomniał sobie gryzący dym z wilgotnego drewna w nieruchomym powietrzu, w którym podlatywały gdzieś tam, białe pasemka babiego lata i Nika Fiodorczyka długo dorzucającego do ogniska wiązki zeschniętej trawy wraz z łądykami trzciny, dopóki płomień nie buchnął wysoko złociste, strzelające, i paru chłopców rusińskich sobie przypomniał śpiewających smętnie: „*Kozak konia napowaje, diwcza wodu natywaje. Wandruj, wandruj diwcza z namy, z mołodymy kozakamy*”, których mutujące głosy w minorowych tonacjach pobrzmiwały jęklonie, a oni siedzieli na piętach w milczeniu wpatrzeni w ogień, bo przed chwilą postanowili wprawdzie zgodnie ku ogólnemu podziwowi nie wracać do miasta do szkoły i wyruszyć w daleki świat, ale Piotr wybrał drogę południową uparłszy się uciekać do Rumunii i tam w charakterze majtka zaciągnąć się w Konstancy na statek, on zaś drogę północno-zachodnią wybrał, chcąc jechać do Gdyni, gdzie ojciec jednego z kolegów szkolnych był kapitanem statku, więc na pewno mógł pomóc w ich zamierzeniach, przynajmniej radami, i stamtąd dopiero wędrować dalej; i jeszcze te spory o psy, o konie, o strzelby i wędki, o samochód Aleksego i o samochód Teodora Czerestwińskiego;

i później te dni z sierpnia i września 1939 roku sobie przypominał kiedy on, Paweł, wstąpił do Ligi Obrony Przeciwlotniczej, natomiast Piotr był za młody, dlatego nie przyjęto go i w związku z tym obraziwszy się, nie przyjeżdżał prawie przez miesiąc do Gleb, aż do dnia, w którym granicę wschodnią zaatakowali i przekroczyli Sowietci; lecz wreszcie ocknął się z zamyślenia, poprawił czapkę i przycisnął palcami powieki, aż do bólu w gałkach ocznych, zastanawiając się ze zdumieniem dlaczego pamięć powtarza tylko epizody z czasów, kiedy jeszcze byli wszyscy, albo prawie wszyscy bliscy i znajomi od dzieciństwa: matka, brat, ciotki, wujowie, Katarzyna, Piotr ze swą siostrą Konstancją, różni koledzy i przyjaciele, których imiona wprawdzie już pozapominał, lecz nie zapominał zdarzeń, co ich złączyły na zawsze, epizody jednak chyba błahe i tak dalekie, że wprost zakrawające na bałamutną bajkę, natomiast zatrzymuje się ta pamięć załęczniona, niepewna, a nawet z niechęcią na wrześnieiowej granicy tamtego lata, kiedy nagle tak gwałtownie dojrzeni, i zaraz przestał o tym myśleć, bo tętent konia, na którym jechał kuzyn (choć zdawało mu się, że przed chwilą jeszcze słyszalny w głębi ciemności) nie rozlegał się już na pewno, psy gdzieś tam daleko też nie szczekały więcej, w nocnej ciszy jedynie szmer wiatru było słyszeć, może śniegu, a może wiotkich nagich gałązek przydrożnych brzoź, więc wtedy coś na podobieństwo westchnienia wyrwało mu się z piersi, „Ruszaj” powiedział głośno do Tamary i pochylił się w siodle.

VII

Czerwony, żarzący się księżyc nikł teraz gdzieś za cmentarzem, za debrą. Prószyło śniegiem coraz bardziej. Spojrzał na zegarek, była szósta, więc pomyślał, że ma jeszcze z godzinę zanim zacznie świtać, gdy wydeptaną przez chłopów skroś zeschniętego łąbusia ścieżką wijącą się brzegiem zamrożonych stawów dotarł wreszcie do drogi między białodrzewiem. Musiał głowę wcisnąć w ramiona, tak dmuchał tu wiatr, sypiąc w twarz kłującą kaszę. Zawiało także rozrzedzonym dymem słomy podłożonej gdzieś w hacie na rozpałkę do pieca, woń gęstniała, wzmagala się w miarę, jak zbliżał się do Gleb. Chociaż nie miał żadnych prynczuć, było w nim wewnątrz coś, co odbierało spokój, przeciwieństwo tamtego wystudzenia wszystkiego aż do obojętności, jakie odczuwał przed miesiącem, kiedy tu przywędrował, żeby

tylko odebrać klacz, spalił zaś Wasowych, albo jeszcze wcześniej, kiedy zaszedł do futoru Czartoriusów i od Karpatkowej dowiedział się o śmierci matki. W głowie miał przeciągły, monotony szum, jakby napełniona była wiatrem, który miotał się po niej w zamkniętej zewsząd pustce, więc coraz to nachylał się do szyi Tamary i przemawiał: „Cicho, cicho mała, cicho, no...”, bo dźwięk własnych słów jego samego uspokajał. Potem wydało mu się, mimo oczy, że w dali stoi ktoś przezroczystym cieniem i na niego czeka, i rozumiał, że niezależnie od wszystkich innych powodów, jakich było przecież kilka, musiał tutaj wrócić chociażby jedynie dla tego sponiewieranego ciała matki.

Jadąc stępą miedzą dotarł do stert omłóconych pozazeszłej jesieni, tam skręcił na drożynę biegnącą skrajem basztanu, minął wykrzywioną brzoźkę nakrytą śniegiem, wkrótce były obalowania żrebiętnika, z prawa wyskoczył z mroku mur i ponad niego wystoperczone drzewa parku w białym zapyleniu ścielącej się od pół zamieci, a na wprost, zanim cokolwiek zobaczył, wpiersz żelaznym, niemiłym chrobotem zawiasów dała znać o sobie rozchybotana wiatrem brama. Pchnął wtedy rękę do kieszeni, nagan parzący zimnem, jak żywym ogniem zaciążył mu w dłoni, ocele podków Tamary zmacały pod śniegiem bruk, i przystanął na skraju folwarcznego podwórza.

Bramie chroboczącej teraz za plecami wtórowały dźwięki dolatujące doń z przodu i z boku, odcięte jak gdyby od reszty świata czworobokiem z budynków i muru, mieszczącym w swych granicach jakiś odrębny świat, ale wszystkie jednak świadczące o pustce, opuszczeniu, zupełnym zapomnieniu: chrzęst drzwiczek odmykającego się na wietrze dymnika nad stajnią, szelest śniegu uderzającego gdzieś o rynnę, brzmiały, jak szum deszczu, albo coś na podobieństwo szeptu, śniegu sunącego z łagodnym podmuchem z miejsca na miejsce, przybierającego w mroku kształty coraz to nowe, niedorzeczne, odślaniającego bruk, tworzącego zaspę, i jeszcze głuche trzaski odźwiernika w kurniku albo gołębniku, a także pojękiwania kutej z żelaza bramy prowadzącej z folwarku w parkową aleję. Przymknął oczy i choć siedział w siodle nieruchomo, a Tamara też nie zrobiła ani kroku dalej, czuł jakiś absurdalny ruch bez posuwania się naprzód, bez przerwy i bez możliwości wyrwania się z zamkniętego kręgu otaczających go dźwięków, wśród których, zdawało mu się, że słyszy również dolatujący z przeszłości tamten daleki chlupot zielonkowej cuchnącej cieczy z kałabani za stajnią, gdzie ciśnięto ciało matki, i bezwiednie modlił się o jakiś promyk światła, co swym dotknięciem wyzwoliłby go z czarnego chaosu pamięci. Potem, nie otwierając oczu, z wielką ostrożnością dotknął raz jeszcze

nagana, przesunął dłonią po jego powierzchni gładkiej jak lód, zgrabiętymi palcami zmacał bezpiecznik i odbezpieczył, a wtedy zwolna, jak gdyby na skutek tego zimnego dotknięcia, absurdałne poczucie ruchu i unieruchomienia zarazem, ustąpiło. Odczekał chwilę i podniósł powieki.

Trąciwszy Tamarę butem w bok, posłyszał stuk jej podków w miejscach odwianych ze śniegu i nagle sobie uświadomił, że to, co dotychczas brał tylko za huczący, za przewalający mu się w głowie iluzoryczny dźwięk, słyszy teraz wyraźnie także gdzieś na zewnątrz, oderwane od siebie, uniezależnione, i zdumiał się, i ścisnęło go pod sercem, bo był to wprawdzie dźwięk tak samo monotony, jednostajnie brzmiący, jak ten, który słyszał przedtem, i to wyłącznie w sobie, jednakże o wiele bardziej niepokojący, sprawiający wrażenie, jakby daleko stąd, het za horyzontem toczyły się po kamieniach naładowane ciężko wozy, leciały samoloty, waliła artyleria, albo po prostu ktoś naraz miał żyto tysiącami żaren. Więc trącił Tamarę butem raz jeszcze i przyspieszyła. I natychmiast tam, gdzie między budynkiem stajni, a wozownią ciągnął się wyszczerbiony mur, uderzyło weń silniejsze jeszcze tchnienie wiatru niosące zapach dymu od czworaków za gumnami. Także w tym miejscu posłyszał szczekanie psów. Rozbrzmiewało ono posępnie głuchym jazgotem pochłanianym przez zadymkę. Lecz już dotarł do bramy, minął ją, na tle szarego powietrza ujrzął ciemne świerki przypominające smutne duchy (psie ujadanie zabrzmiało jeszcze raz, narastało, zbliżało się, jakby zwierzęta spuszczone z łańcucha, odbijało się coraz głośniejszym echem od murów folwarku i nagle się urwało) a spośród drzew wynurzył się podjazd, masyw domu, ze sterczącymi w górę czarno kominami, i gdy zbliżył się jeszcze bardziej, ukazał się fronton obrosnięty zwiędłym jesienią pnączem winobluszczu, teraz przykryty białą okiścią, a na samym środku schody, ganek i postrzelany zegar na tympanonie. Więc przystanął i odczekał, czy coś usłyszy prócz objającej się gdzieś luźno o mur rynny, na ten odgłos bowiem był przygotowany; nie, nie posłyszał nic. Dom nie patrzył już na niego, jak ostatnim razem, pustymi oczodolami wytłuczonych szyb, większość okien zabita była deskami, drzwi zaś do sieni były zamknięte i pionowo na wysokości zamka wzmocnione, jak żelazną sztabą, deską. Był zdumiony, ale nawet nie próbował odpowiedzieć sobie na żadne z pytań, których głowę miał pełną. Dotykając palcami nagana tkwiącego w kieszeni, którego metal powoli nagrzał się, ostrożnie zajechał na tył domu, zsiadł z klaczy, uwiązał ją do balustrady werandy, zbliżył się do szklanych dawniej, teraz zaś założonych tekturą drzwi i je szarpnął. Musiał naprzec całym ciałem zanim puściły.

Chwilę nasłuchiwał, czy wewnątrz nie odezwie się jakiś głos; nie odezwał się, tylko, gdy postąpił naprzód, pod warstwą nawianego przez szpary śniegu zachrzęściło szkło. Po rozsunięciu jednak drzwi z werandy do salonu, spostrzegł, że posadzka jest starannie zamieciona, a o dokonanym tu niegdyś zniszczeniu, przypominały li-tylko deskami opatrzone okna, brak firan, lampa pozbawiona żarówek i kloszy, brak najrozmaitszych drobiazgów na meblach, których rozstawienie usiłowało imitować dawny porządek, i w głowie kształtowała się powoli myśl: „Wrócił wuj August i uporządkował dom”, następnie zaś druga, alternatywna: „Może kwaterowali tu Niemcy i kazali to zrobić sołtysowi”. Idąc korytarzem, do którego tylko od strony sieni wsączało się trochę światła dziennego, otwierał mijane po drodze drzwi, wnętrza zaś pokoi ziały nań mrokiem, szronem, mrozem, zapachem butwienia, niewietrzoną starzyzną i czymś, co nie dawało się nazwać, ale co na pewno nie było zapachem tego domu. Dopiero w bibliotece, gdzie ocalały w oknach szyby, ujrzał na swym dawnym miejscu stojący stół, krzesła obok stołu, książki, wprawdzie niektóre porozdzierane i pozbawione sztywnych grzbietów, to jednak na powrót ułożone na półkach albo jedna na drugiej na stole, jakby zadbała o nie jakaś ręka z zamiarem wprowadzenia wśród nich ładu i zabezpieczenia przed dalszym zniszczeniem. Ale żadnego świeższego śladu obecności człowieka.

W sieni w pobliżu schodów, których część powyżej podestu tarasowały, jak wtedy w grudniu, obsunięte deski, krokwie i giras, zatrzymał się i zagwizdał umówiony motyw z Moniuszki. Powtarzał go parokrotnie, czujnie nasłuchując, ale pod rumowiskiem nic się nawet nie poruszyło (to jedynie od strony werandy niosło się z zewnątrz domu głośnie rżenie Tamary, które umilkło dopiero, kiedy przestał gwizdać) i żaden szmer nie zdradził, aby ktoś tam na piętrze mógł być. Cofnąwszy się do biblioteki, z oprawnego rocznika wyrwał parę gazet. Poskręcał je, wrócił do sieni, zapalił jedną z nich i, trzymając przed sobą płomień, wczuł się pod belki. Na znalezienie przejścia zużył sporo czasu; było dobrze zamaskowane. Wyciągał cegłę po cegle i ostrożnie odkładał na bok krztusząc się dymem. Po drugiej stronie rumowiska uderzyło go w oczy światło, w nozdrza zaś zapach niezwiertzałego jadła, zakisłej chłopskiej machorki i dawno nie splukiwanej klozetowej muszli. Światło padało z otwartych drzwi pokoju wuja Augusta. Jak tamtej nocy, kiedy tu się znalazł, rozmawiał z Wasylką Hanczarem, z Daniłą Stefańskim i Kondratowiczem, na krawędzi stołu stała nakapana na blaszanym pudełku stearynowa ślipuszką wypalona ledwie do połowy, jakby ta sama, co wtedy, ich tylko nie było, aczkolwiek w powietrzu pozostała

po nich woń mężczyzn, którzy musieli się ukrywać, i była jeszcze dość silna.

Stał zupełnie ogłuszony. Dopiero po długiej chwili podszedł do okna, obejrzał szyby, w których było parę zalepionych ugniecionym chlebem dziurek po kulach, otworzył jedną połowę i zaciągając się głęboko, jak papierosem, mroźnym powietrzem, spostrzegł poprzez listewki rolet, że zamieć ustała i nastał pełny dzień. Śnieżna ponowa lśniła oślepiająco, przy werandzie uwiązana za uzdę Tamara dreptała niecierpliwie w miejscu, dokopując się podkutymi ostro kopytami do trawy i ziemi, het za klombem wykiwał spod tui dziki królik i nierówno mereżkował śnieg śladami. Ciągłe jeszcze nic nie przychodziło mu do głowy, dopiero, gdy się odwrócił i znowu spojrzął na pokój. Pomyślał, wtedy, że coś się musiało stać, że odeszli, a odeszli chyba przez nikogo do tego nie zmuszeni, nigdzie bowiem nie widział śladów walki, nie zmieniało to jednak faktu, że nie czekali nań i że musieli mieć ważny jakiś powód, żeby nań nie czekać. Poczł, że dłoń znowu zaciska na rękojeści nagana i że jest mokra od potu; przesunął bezpiecznik i siłą oderwał ją od żelaza. Potem zamknął okno. Powiedział prawie że głośno: „Zabrali całą broń i amunicję, a mnie się moja kończy...”, ale nie była to pretensja, po prostu zwykłe stwierdzenie. Siadł na kozetce, bezmyślnie przyglądał się ścianom, wiszącym jak za dawnych czasów fotografiom i starym mapom, aż na posadzce w kącie spostrzegł zrolowany starannie samarkandzki dywan i przypomniał sobie, że to tym właśnie było wtedy w nocy osłonięte okno. Znowu powiedział głośno: „Aha, więc odeszli w dzień”. Dźwignął się, gdy pomyślał, że zostawił Tamarę na dworze na widoku. A wtedy, sięgając po świeczkę, żeby sobie poświecić przez rumowisko, spostrzegł zapisaną pismem Hanczara kartkę wydartą z notesu, przyciśniętą do stołu puszką. „5 stycznia”, przeczytał, „Od paru dni znoszą na powrót zrabowane stąd meble i sprzęty. Pastuch Hryła nie pokazuje się, nie wiemy, co to wszystko znaczy. Od dwóch dni łażą po pokojach, wstawiają z powrotem okna i okiennice, uszczelniają je deskami, dom pełen huk, ludzi, robią porządki. Nie chcemy, żeby się na nas natknęli. Zostawiamy tę kartkę na wypadek, gdybyśmy się z Panem rozminęli. Idziemy tam, skąd Pan do nas wtedy przybył. Stamtąd dalej na poszukiwanie Laudańskiego. W.H.”.

Zmiał kartkę gestem pełnym rozdrażnienia, rozczarowania, nawet wściekłości, lecz nie pomyślał wcale o tych trzech, że się tak głupio z nimi rozminął i czy ich dopędzi, pomyślał o wsi, o tym, że po spaleniu przez niego obejścia Wasowych, chłopci utwierdzili się w przekonaniu, iż nie ma on zamiaru okolicy

opuścić, działa, chodzi po tutejszych bezdrożach z karabinem i, że to zapewne dlatego zwrócili wszystko, co się jeszcze dało zwrócić i zaprowadzili we dworze jaki taki porządek. Tylko że zaraz nagła suchość w gardle zmusiła go do przełknięcia śliny i wstrząsnął nim ironiczny, gorzki śmiech, bo pomyślał: „Dureń ze mnie! Czekają na czerwonych. Przygotowali kwatery dla czerwonych, ścierwa, psubraty!”, i że wolałby lichy wie jakiego nieszczęścia, niż się o tym dowiedzieć. Ten śmiech jednak prędko w nim zgasł, pozostała upokarzająca nienawiść.

Później wrócił do Tamary. Wprowadził na werandę, zamknął drzwi i zamocował zamek. Uspakajając łagodnym głosem, bo zdenewrowana miejscem, drobiła niespokojnie kopytami, pociągnął ją za sobą do salonu, uwiązał do oparcia jednej z kanap, i uwolniwszy wpieryw z trzęsli, zdjął z grzbietu łuby, siodło, na łeb założył torbę z owsem i pomyślał, że musi najpóźniej nazajutrz — jeśli ma zamiar zatrzymać się tu dłużej — zorganizować dla zwierzęcia furaz. Potem ze świeczką obszedł dom, pokój po pokoju, aż do piwnic. A potem znowu siedział w salonie, w mroku, choć wystarczyłoby zedrzyć z okien parę kawałków tektury, żeby wpuścić do środka światło, i nie zapalił także nowej świecy, bo znalezione na dnie bieliźniarki w sypialni matki, ledwie nadpalone, albo do połowy, były świecami od Komunii jego, Pawła, i Aleksego, pozostałe zaś, domyślił się, płonęły niegdyś przy katafalku ojca.

Patrzył na czarny zimny kominek myśląc, że może należałoby porąbać jakiś mebel i rozpalić, żeby się ogrzać, natomiast o niebezpieczeństwie zdradzenia się widokiem dymu ani przez chwilę, a prócz Tamary spoglądającej na niego znad owsa mądrymi oczami, ze ścian patrzyły nań wzrokiem patetycznym, lecz zupełnie pustym napoleońskie postacie ze sztychów według Verneta, w ironicznym zamyśleniu daleki praprzodek z XVIII wieku z podgoloną wysoko czupryną, w kontuszu polskim z karabelą u boku, namalowany przez Rustema, zmysłowa kobieta w stroju pasterskim z obrazu młodszego Smuglewicza, siedząca w zalotnej pozie na ogrodowej ławeczce, a z daleka, prawie z samego kąta przy oknie Katarzyna ze zdjęcia z dzieciennych lat. Niekiedy zdawało mu się, że gdzieś we wsi wyją psy, syczą płozy sań sunących po śniegu, albo, że wichur wzniesając nową zamieć dmie wśród drzew, ale to nie było to, żaden z tych znanych odgłosów, to słyszał jedynie tamten niepojęty łoskot za horyzontem, tylko że o nim od razu zapominał, bo przecież trwał już tyle godzin, że przywykł do niego i stał się on dlań stałym elementem dźwiękowym otoczenia. I jego spojrzenie powracało do delikatnej, dziecinnej twarzyczki Katarzyny na zdjęciu, i powtarzał: „Kocha-

na, kochana, wystarczyło powiedzieć tak niewiele: poczekaj, kiedyś przecież minie wojna, poczekaj na mnie, nie śpiesz się, wtedy zdążę cię dopędzić, poczekaj, nigdy więcej nie powtórzy się ten czas, na zawsze wykreślę go z pamięci, tylko ty poczekaj i się nie śpiesz...”, bo dopiero teraz zrozumiał, że na spotkanie szczęścia iść należy z czystym sumieniem i nigdy nie oglądać się za siebie, gdzie wszystko zostało już zmięte i podeptane. I wydawało mu się, jakby z oczu dziewczynki nawet teraz jeszcze mógł nań przeniknąć ów niewyczerpany, pogodny spokój utrwalony na zawsze obiektywem w tamtych dalekich latach. A potem twarze na sztychach, portretach i jej twarz na zdjęciu zamazały się z wolna, nie czuł zimna, tylko jakąś lekkość, aż myśli zupełnie się urwały. Ale zaraz ciepły, wilgotny podmuch musnął mu szyję, ocknął się, otworzył oczy i nagle przestając płynąć na spokojnej fali błędnego mirażu, zatrzymał się w miejscu, a nad jego głową pochylała swój omotyany torbą z owsem łeb Tamara, która dmuchała przez materiał upominając się, aby ją z tego oswobodził.

Przeraził się, że przespał nie wiadomo ile czasu, spojrzawszy jednak na zegarek stwierdził, że jest dopiero pierwsza, nie spał dłużej, niż godzinę, „Zresztą nawet gdyby...” pomyślał, „Przecież mam czasu dość. Nigdzie nie muszę się śpieszyć”, bo chociaż przed przybyciem wydawało mu się, że tak, że coś istotnego i pilnego ma do zrobienia, nie mógł sobie teraz przypomnieć co. Tylko że coś się jak gdyby zmieniło w czasie jego snu w otoczeniu, albo w nim samym, nie wiedział dokładnie co, na pozór nic, Tamara stała spokojnie, jak przedtem, uwiązana do oparcia kanapy, mrok panował też taki, jak przedtem, poprzecinany paroma smugami światła padającego od strony werandy, i on, jak przedtem pół leżał, pół siedział opatulony w kożuch i derkę. Więc nie zaraz, ale dopiero po pewnym czasie zrozumiał: było po prostu cicho. Wszystko skurczyło się w nim ze strasznego napięcia, kiedy to zrozumiał. Słyszał szmer biegających po korytarzu myszy, jęk klepek posadzki pod kopytami klaczy, gdy przestępowała z nogi na nogę, odzywających się ze skrzypiącą skargą, nawet cierpliwe skapywanie wody z sopli zwisających z daszka nad werandą. To nie dom więc ucichł tak nagle, ani w jego głowie przestało szumieć męcząco, to dalekie odgłosy zza horyzontu zamilkły.

Odrzuciwszy derkę podniósł się z kanapy. Wciąż jeszcze z wysiłkiem rozważał różne możliwości, wybierał tę najwłaściwszą i nie był pewny swego wyboru. „Coś się stało... Coś się stało” szeptał, „Tylko nie dać się ponieść panice” i przyciskał dłoń do skroni, a to pilne, nie cierpiące zwłoki zadanie, z którym przybył do Gleb, wypłynęło znowu z pamięci. Zapaliwszy świecę

zszedł do piwnicy, spośród ogrodowych rupieci wybrał oskard i łopatę, powrócił, sięgnął pod kanapę, gdzie schował był karabin, ale się odmyślił i zdmuchnąwszy świecę, stał w mroku, bez jednego ruchu, nasłuchując. Potem był na dworze. Na parę sekund musiał przystanąć, żeby nie zwalić się ze schodów i bezradnie mrugał powiekami, aż zobaczył białe pustkowie trawników i klombów, i samotnego gawrona rozgrzebującego śnieg, który poderwał się i pofrunął ku szpalerowi białodrzewia. Jedyne krople spływające po soplach uwieszonych u okapu dachu, padające w śnieg, odzywały się raz po raz sycząco. Wiatru nie było. Na folwarku nie popiskiwała żadna z bram, ani obluzowane drzwiczki dymników. Nie było go również na otwartej przestrzeni za budynkami, gdy wyszedł przełazem za stajnię, gdzie rozciągały się okólniki dla źrebiąt i bydłęca koszara, za którymi w dali czworaki stały w słońcu i bieli. Cisza otaczała go, jak gdyby zdumiona jego wyjściem na dzienne światło, też pełna osłupienia, jak on, i niedowierzająca; w każdym razie trwała jeszcze wtedy, gdy ująwszy w dłonie łopatę jął oczyszczać ze śniegu powierzchnię kałabani, starając się nie myśleć o pohańbieniu, w jakim matka tam w głębi leży, zniekształcona nie do poznania; zresztą trwała nawet i wtedy, gdy zrzuciwszy z siebie kozuch, ujął w dłonie oskard i rąbnął nim w lód. Bo szelestu odgarnianego przez siebie śniegu, ani przyskających spod żelaza lodowatych krup — nie słyszał. Później zresztą w ogóle nie pamiętał, czy słyszał cokolwiek. Widział jedynie, że gdy pierwszy raz ciało oskardem lód, z najbliższego czworaka za źrebiętnikiem wyszedł jakiś mężczyzna, stanął na przychaciu i osłoniwszy dłonią od słońca oczy, zaczął patrzeć ku niemu. Potem bił oskardem w lód raz po razie, wyrzuciwszy tamtego ze swojej świadomości zupełnie, zajęty bez reszty myślą o swej trudnej robocie, że potrwa, że zamarzyło do samego dna i to lepiej, że do dna, bo w lodowatej bryle ciało leży niby w trumnie, i czy zdąży wydobyć je przed zmierzchem (niekiedy najwyżej, rzucając prędkie spojrzenie na niebo, jakby się ścigał z czasem), aż wreszcie, gdy zmęczony, rozprostował grzbiet, i znowu powędrował ku czworakom wzrokiem, to tego człowieka patrzącego nań stamtąd już nie było. W ogóle nikogo nie było na przychaciu czworaka, nawet w głębi wsi między chałupami, ani w podwórzach, ani na drodze, aż do zakrętu przy gorzelni, i nikt się już więcej nie pokazał.

Dopiero znacznie później, z godzinę albo więcej, kiedy tę wyrąbaną bryłę lodu, wbiwszy wpierw w nią oskard, wydobył na wierzch i pociągnął po śniegu, dopiero wówczas, a może nawet jeszcze później, kiedy trzymając za trzonek oskarda skierował Tamarę do przełazu, na dzwonnicy cerkiewnej rozbałakał się dzwon.

Był to pierwszy dźwięk z otoczenia zarejestrowany przez jego słuch. Bo przedtem słyszał chyba tylko własne myśli: „Widać jak za szybą przez jesień pewnie spływała sama deszczówka najtrudniej będzie odciąć od spodu no może nie sama deszczówka ale w każdym razie stajnie opróżnili z koni już tamtego dnia dobrze że leży płasko nie chyba nieco na boku tu trzeba odrąbać i tu a potem wokoło o tak jak za szybą i ma oczy zamknięte nie ma mowy żebym dał radę to parę cetnarów chyba że obłupię z całego lodu broń Boże nie trzeba nie wiem nie śmierdzi wcale końską uryną teraz trzeba Tamarę przyprowadzić żebym miał choć jakąś uprząż poszukać trzeba”. No, może jeszcze słyszał swój oddech ze stękaniem dobywający się z płuc, gdy podwładał bryłę i odrąbywał od betonowej podstawy kałabani. I może swoje kroki skrzypiące na śniegu, gdy chodził po podwórzu, przeszukiwał stajnię i wozownię, na chomało założone Tamarze umocowywał łańcuchy i opasawszy lód linami, cmoktając, powiedział: „No, wio, mała, tylko spokojnie mała, wio, no, wio...”. Naprawdę zaczął słyszeć znowu dopiero po tych słowach właśnie. Gdy zabrzmiał metaliczny, donośny głos dzwonu z cerkiewnej dzwonnicy, jakby wzywał wiernych na wieczorną modlitwę. Wydało mu się wtedy, że równocześnie z tym dzwonieniem wieś jak gdyby ożyła, że słyszy dochodzące z ukrytych w sieni ośmi chat głosy ludzkie, głosy psów, kroki, skrzypienie drzwi i furtek i, gdy się na chwilę odwrócił, zobaczył światło w oknach. Czuł przejmujący chłód przesączający się od dłuższego czasu przez sweter na spocone plecy i pierś, pełznący w dół brzucha, na uda, łydki, do stóp. Podniósł leżący na śniegu kozuch, wdział go, zapiął się prędko i sięgając do kieszeni po rękawiczki, mimo woli dotknął lodowatej lufy nagana, który tam był, choć o nim zapomniał i gwałtownie oderwał palce od żelaza, i oddychał szybko, głęboko. Potem płuca nie potrzebowały już tyle powietrza, ponownie zacmoktał, a klacz pociągnęła spokojnie, bez lęku, on zaś trzymając trzonek oskarda, którego ostrze wbite było w lód, pokierował bryłę przez podwórze, przez park i podjazd, gdzie powiedział: „Prrr mała, stój, prrr...”, bo dzwon cerkiewny we wsi właśnie zamilkł, i znowu przez minutę albo dwie stał w miejscu, łowiąc jeszcze uchem ostatki tego głosu, słysząc, jak cisza na nowo bierze cały świat w swe posiadanie, jakby to był tego świata naturalny stan.

Wreszcie wyrwał się z zamyślenia, wbiegł na ganek, wyłamał i otworzył frontowe drzwi na oścież. Trzymając Tamarę za uzdę krótko przy pysku, wprowadził ją po schodach do sieni, a lodowa bryła, w której było ciało matki, w zarysach widoczne i rozpoznawalne, zamarznęte płasko, z rękami zagiętymi pod

brodą, z głową ułożoną nieco na boku, jakby spała albo dumiała nad czymś, zamknąwszy wpierw oczy, to ciało matki w prostokątnej, ciężkiej, wielkiej, białej, nierówno obciosanej bryle lodu wjechało, ciągnięte linami, do wewnątrz domu.

Jeżeli przed chwilą jeszcze widział na dworze nieźle, to teraz ciemność już zgęstniała i nie widział nic. Zapalił jedną z znalezionych rano gromnicznych świec i odprowadził Tamarę na dawne miejsce do salonu. Potem z pokoju wuja Augusta na piętrze przydzwigał dywan samarkandzki, który niedawno jeszcze służył ukrywającym się mężczyznom do zasłaniania okna, teraz zaś leżał bezużyteczny, i położył w sieni na środku posadzki, a bryłę z ciałem matki wciągnął na wierzch. Po pewnym czasie wszystko było gotowe: klęcznik po prababce, stolik w pobliżu głowy nieboszczki, na nim świeca gromniczna i przyglądając się, jak płomyk chyboce w przeciagu, dobywając tysiące światła z chropawej, jakby posypanej zmielonym szkłem, powierzchni lodu, myślał: „Wszystko jest tak, jak po śmierci ojca. Gdyby palić po jednej świecy, starczyłoby na trzy noce i trzy dni, albo nawet na dłużej” i dopiero wtedy zrobił to, co należało zrobić dawno: przeżegnał ciało i zastanowił się nad jakimiś słowami pacierza, ale nie mógł sobie nic przypomnieć, co by się nadawało. Za to przypomniał sobie, jak po zastrzeleniu ojca matka klęczała tam z boku na tym samym klęczniku, który tu przydzwigał, a on, Paweł, stojąc wtedy w otwartych do sieni drzwiach jej sypialni (bojąc się poruszyć, bojąc się trupa ojca, od którego ciągnęła przykro odrzucająca woń kwiatów i woń w ciepłe płonących gromnic psującej się krwi, nawet jej też się bojąc, przecież żywej jeszcze, pogrążonej w modlitwie), patrząc na opuszczone sine powieki matki, na drżące nieznacznie rzęsy, na zaciśnięte, nieme usta, spostrzegł, że odwróciła ku niemu twarz i poruszyła się, jakby chciała mu coś bardzo ważnego powiedzieć, nakazać, przed czymś przestrzec, czy o czymś pouczyć. Przypomnienie było krótkie, ostre, ale odepchnął je, bo teraz sama leżała w tym miejscu ściśnięta w blado-żółtej bryle lodu, zamarznęta i skowana nią cała, podobnie, jak biblijna żona Lota za jedno spojrzenie wstecz, być może wcale nie z próżnej ciekawości, lecz z bólu i rozpaczki za traconym domem obrócona w słupek soli, tak ona, za ten ostatni powrót pod dach rodzinny obrócona w bryłę lodu, niema na zawsze, zbrukana haniebnie, tak hańbą przygnieciona do ziemi, że gdyby jak ona żarliwie wierzył pozagrobowe życie, nie miałby żadnej pewności, czy po śmierci, jaką jej zgotowano, potrafi wznieść się jeszcze gdzieś nad nim i nad całym światem, jako czysty i ulotny duch.

I od razu przypomniał sobie także tę scenę, kiedy po pogro-

mie u Czerestwieskich, ujrzał Mikołaja Fiodorowicza, jego asce-tyczną, widmową twarz w zielonkawym świetle spływającym od okien, w przeciagu, który rozwichrzył jego białe włosy, spoczywającego w fotelu z dłońmi zaciśniętymi przedśmiertnie na poręczach, z powiekami w półprzymkniętymi za ledwie, tak że widać było w blasku księżyca błysk martwych źrenic i jakieś okrutne szyderstwo, którym dalej witał, mimo że od wielu godzin nie żył, wszystkich zjawiających się przed nim. I następnie przypomniał sobie te cuchnące doły, nad którymi stał latem na leśnej polanie katyńskiej, wypełnione żołnierskimi ciałami bez twarzy, kiedy już nie było dlań ważne, czy jego brat, Aleksy, znajduje się wciąż jeszcze pomiędzy nimi, czy też został wydobyty i zakopany gdzie indziej, bo przestając być rozpoznawalny, upodobnił się do każdego z nich tak samo, że mógł być w nich wszystkich, we wszystkich ich ciałach jednakowo upodlonych strzałem w tył głowy i rzuconych w tę odchłań trującego odoru i zgnilizny. I zaraz przypomniał sobie jeszcze inne śmierci, jakich był świadkiem, albo o jakich słyszał i, patrząc na ową straszliwą bryłę iskrzącą się w gromnicznym świetle, wydawało mu się, że on sam również pograżać się zaczął w tym czymś, co było powolnym zatrzymywaniem się wszelkich naturalnych procesów, milczeniem, zanikaniem, rozpadem i bezruchem. A zresztą może już dawno był martwy? Gdyż przypomniał sobie znowu ów poranek pogromu Gleb. Przeżywał go przecież wielokrotnie w najwyższym natężeniu wyobraźni od chwili, kiedy po strzałach po oknach i szturmie na nie bronione przez nikogo drzwi, wyprowadzili matkę i, gdy na krótką chwilę jej oczy w łzach przestały widzieć, spadły te razy kłonic i żerdzi na jej plecy, aż do chwili ostatniej, kiedy dowlekli martwą do kałabani za stajnią, rozhuścili i rzucili w cuchnącą ciecz; wielokrotnie także usiłując dociec, czy tamte razy spadły jedynie na jej plecy, czy również na jego, starając się je na sobie poczuć, i jak jego własne ciało tonie ciśnięte w gnojówkę, bo gdyby tak było, gdyby to spotkało i jego, znałoby to, iż nie ma wątpliwości co do faktu, czy żyje, czy nie i że tak samo został, jak matka, pohańbiony, a to tłumaczyłoby wiele: ów martwy, spustoszony dom, z którego odeszli wszyscy bliscy jego sercu, to piekło, po którym błędzić będzie musiał po wsze czasy wlokąc za sobą na postronkach ciało matki uwięzione w bryle lodu, to biedne ciało nie mogące już nigdy i nigdzie zaznać spokoju.

Lecz przeogromnym wysiłkiem woli oderwał wzrok i się odwrócił. Mówił sobie: „Trzeba robić, co można jeszcze zrobić. Tylko spokojnie” i starał się, żeby jego płuca przestały zachłystywać się powietrzem. Poczuł również ból. Ale inny, niż dotych-

czas, czysto fizyczny, ból, który był być może i przedtem, aczkolwiek nie dopuszczał o nim myśli, a teraz, kiedy wzrok oderwał od rozjarzonego świecą lodu, wzmógł się w nim do granic wytrzymałości. Więc szepnął cofając się: „Nie miałem nic w ustach chyba ze trzydzieści godzin. Długo tak nie pociągnę. Trzeba się wziąć w garść” i trochę chwiejnym krokiem z sieni wszedł w ciemność korytarza, a potem, trzymając się ściany, dotarł tam, gdzie była Tamara (podniósł rękę, spotkał się z jej wyciągniętym ku niemu łbem, oswobodził ją z opróżnionej już z owsa torby), spod kanapy wydobył plecak, rozsuptał rzemienie i z dłońmi włożonymi do wnętrza plecaka siedział jakiś czas zupełnie bez ruchu, myśląc tylko o swoim oddechu, słuchając z uwagą, jak jest coraz spokojniejszy, później po omacku otworzył jedną z paczek z żywnością przygotowanych mu w Iłłowce Tatarskiej przez panią Kaniowską i zaczął jeść.

Więc przez pewien czas jego umysł pracował zgodnie z zębami, podniebieniem, językiem i przełykiem, i to było dobre, że nie pojawiała się żadna myśl o czymś innym i że tamten stan, w jaki wprawiły go wspomnienia, znikł bez śladu. W czarnej niby smoła ciemności, zgrabiałymi palcami dzielił twarde zmarznęte na podszew mięso, łamał chleb i wkładał do ścierpniętych z zimna ust. Słyszał dochodzącą doń z nadworu ciszę, w niej na czarnym mrozie suche trzaskanie drzew, gdyż soki ożywione przez słońce w dzień zamarzały teraz na nowo i rozdzierały miąższ, poza tym nic więcej, ale wreszcie włożył do ust kęs ostatni i nim go zdążył przegryźć, pośpiesznie przełknął, bo chociaż ta cisza wciąż jeszcze wprost dzwoniła w uszach, to jednak poczuł, że całe ciało raz i drugi napina mu się jakąś wewnętrzną, pragnącą prędko wyzwolić się siłą, kurczy się, znowu napina i, żeby nad tym zapanować, musiał wstać. Zrazu jednak nie usłyszał nic prócz słyszanego już przedtem trzaskania drzew za domem, wewnątrz zaś domu szelestu myszy; nawet, kiedy wyszedł na próg i spojrział w głąb korytarza, na którego krańcu była sień oświetlona świecą, dalej zaś czarny prostokąt zostawionych otworem drzwi na ganek. Dopiero, kiedy postąpił parę kroków. Połyszał wtedy dźwięki, jakby czyjeś nogi grzęzły w śniegu i że zbliżał się człowiek, może dwóch, albo nawet trzech. Dygotał cały, jak w febrze, dopóki — macając po podłodze obok leżącej tam torby z nabojami — nie natrafił także na oparty o nią karabin, który ujął za kolbę, wprowadzicie drewnianą, ale zimną jak lód i gładką jak lód.

Jego prawa dłoń przesuwiała się powoli wzdłuż drewna, aż natrafiła na stal. Potem zmacała zamek. Potem powędrowała wyżej na lufę; jej zimny dotyk palił. Potem znowu zsunęła się niżej i zacisnęła gdzie trzeba, a to wszystko, co działo się od

paru chwil z jego ciałem miotanym wstrząsami, nagle ustało i usłyszał, jak krew, jak gdyby przewaliła się przez służę na płaski teren, krążyć zaczęła w żyłach zupełnie powolnym, uspokojonym strumieniem. Stał w mroku o krok od odemkniętych drzwi i, wskroś zaledwie na łokieć, szpary widział fragment sieni w blasku gromnicy, część lodowej bryły na samarkandzkim dywanie złożonym na cztery i obok niej klęcznik, jak samotnego ducha zostawionego na straży ciała matki, z drugiej zaś strony drzwi na ganek, a w nich prostokątny czarny ekran powietrza, na którym wysoko w górze migotały niewyraźnie różne gwiazdne konstelacje. Stał tak długą chwilę z głową pochyloną, lekko podany do przodu, oddychał już teraz równo, swobodnie i wskazujący palec jego prawej ręki delikatnie wodził po powierzchni języczka spustowego, a chociaż skórę miał na nim szorstką, bez czucia, dotyk wypolerowanej stali sprawiał mu rozkosz. Tylko że prostokąt drzwi wyjściowych na ganek wciąż był pusty i wydawało się, że dźwięki nie powtórzą się więcej. Ale później raz jeszcze się odezwały. Musiało już minąć sporo czasu, w bezruchu scierpły mu nogi, nawet dłonie zaciśnięte na karabinie też, gdy posłyszał to samo skrzypienie gdzieś w połowie podjazdu albo dalej, jakby czyjeś buty grzęzły w śniegu i znowu się od niego odrywały, trudno jednak przychodziło mu ustalić, czy skrzypienie się oddalało, czy brzmiało w jednym miejscu, bo po chwili nie było go zupełnie i cisza zapanowała, jak przedtem.

Więc wrócił w głąb domu, gdzie była Tamara. „Gdyby coś się miało stać, już się stać powinno” myślał układając się na kanapie, okrywając i była w nim teraz tylko niewrażliwość, chłód, obojętność nieledwie, bo nawet, gdy pomyślał: „Cokolwiek się stanie, żywego mnie nie zaskoczą”, to nie w formie postanowienia, raczej zwykłego stwierdzenia, nic więcej, odnoszącego się właściwie do każdej innej sytuacji też, i nie spojrzął na zegarek, wiedział bowiem, że jest po siódmej, może w pół do ósmej i że nie musi się nigdzie spieszyć. Potem zasnął. Gdy się przebudził, szparami w opatrzonych tekturą oknach wciskało się światło księżyca, na zegarku dojrzał trzecią; ledwo pohamował się, żeby nie jęknąć głośno, gdy opuścił nogi na podłogę, tak były zmarznięte i obolałe, i z trudem zdjął buty. Długo rozcierał stopy, potem kulejąc poszedł do sieni. Płomień gromniczny wisiał, jak szczerozłota kropla w srebrno zielonkawym powietrzu nieruchomy, z nadworu bowiem nie wiało przez otwarte drzwi, a bryła lodu świeciła odbitym światłem, jakby cała z górskiego kryształ, lśniąca i gładka. I choć nie czuł żadnego lęku, gardło ścisnęło się coraz silniej i zrozumiał, że gorąco, które czuje nie tylko w gardle, ale również na policzkach, to łyż. Wyszedł na

gank, w księżycowy półmrok, w jeszcze większy mróz, usiadł na schodach, otrzepawszy ze śniegu skarpetki włożył buty, a później wsparłszy kolanami łokcie, patrząc na przestrzeń podjazdu otoczoną drzewami, na aleję ku bramie i słuchając, jak gdzieś we wsi wyje pies, ocierał te łyzy wierzchem dłoni pełen wzruszenia, smutku i tęsknoty, ale one spływały nieprzerwanie, jakby pękła w nim wewnątrz jakaś wysoka tama.

Wszędzie była biała cisza, cała przyroda spała, nie było nikogo z bliskich, którzy ten dom niedawno jeszcze zaludniali, ale przecież ów bliski, własny świat wokół niego i wokół tego domu istniał dalej: podjazd, park, wieś za parkiem, parujące gumna dworskie, wiejskie futory i zagrody, chaty w opłotkach i chruściakach, stęk bitych po święcie Jordan wieprzy, baby skrajające na sitach kaszę na zapieczu, w sąsiedkach zsyp zboża, zaczepliwy chichot młodych, wieczorem i rano muzyka studziennych żurawi, w stajniach kwik i rzenie, bek smutny owiec w bażniku, w soboty kuchni buchające zapachem blinów, w połowie tygodnia gorące piec chlebowe, pieróg z mięsnokapuścianym nadzieniem na niedzielę, cerkiewne pienia, zbiórka pieniędzy na nowy cudowny obraz, ktoś umiera, łyzy i lament, tu zaś chrzciny, tam wesele grzmiące, i tęsknota bandurek, i dziewczęce pietruszkowania, i płacz skrzypek, śmiech basów, huk bębna z brzęczącymi blaszkami, i bicie dzwonów we wsi parę razy dziennie, i zegara nad gankiem dworu, i w karczmie tłum, pokrzykiwania podpitych parobczaków na drodze, noce głucho, pogrążone w twardym śnie, wyjazd o świcie na jarmark do miasteczka, śnieg, szum ogołoconych drzew w sadach, wielki śnieg, zamarzniete stawy, zasypane lasy, w gawrach zwierzęcych głód, wilczy zew w księżycowe noce, niebo roziskrzone w górze, wszystko to zdawało się być trwale, niezmiennie, niezniszczalne, bez względu na to, czy on, Paweł Woynowicz, jest, czy go niema. I patrząc przed siebie w noc, mówił głośno swoje myśli, jakby się spowiadał przed sobą, i nie mógł sobie wybaczyć niczego, co było grzechem wobec tego świata, który tak kochał. Wreszcie jeszcze raz otarł łyzy i wstał. Dalekie psie wycie płynęło przez srebrne od księżycyca, zamarzniete powietrze dźwiękiem dzikim, przejmująco smutnym, poważnym, cichnąc mu w uszach, które powtarzały je szeptem na nowo, jak echo. „Biała cisza, biała zima” myślał ot tak sobie. Czuł wewnątrz w piersi słabość i pustkę, także rezygnację: nigdzie znikąd ludzkiego głosu.

Poprawił knot świecy przy zwłokach matki i przysmykając nieco drzwi z ganku do sieni, wrócił w swój kąt na kanapie w pobliżu Tamary. Czuł nie tylko słabość, również, że jest przez łyzy jakiś oczyszczony. Nie potrafił jednak po raz drugi prędko

zasnąć. Księżyc, jakby sobie poszerzył tamte szczeliny w deskach zasłaniających okna, jak blaskiem świecy napełniał całe to przedziwne wnętrze, w którym pośród kanap, stołu, krzesła, foteli z wyprutymi sprężynami stał na posadzce w mozaikę najprawdziwszy koń, obojętny na spoglądające nań nieruchomo i uważnie oczy z przekrzywionych malowideł, w najodleglejszym kącie wydobywał swym światłem z mroku kominek i coś na kominku, czego w dzień nawet nie zauważył, a także staroświecki melodeon z oderwanym wiekiem, obok konia zaś jego, leżącego na jednej z kanap, zawiniętego w derkę i kozuch, z czapką futrzaną na głowie, z siodłem pod głową i ugiętą w łokciu ręką. Miał oczy szeroko otwarte, przypatrywał się swojemu przedziwnemu otoczeniu i rozmyślał. Ale nie o tym, co go czeka jutro, ani co jutro czeka ten dom. Nie myślał także o tych, których tu nie zastał, o Hanczarze, Stefańskim, o Kondratowiczu, choć przecież na spotkanie z nimi jechał, ani o tym, co będzie jadł jutro i czym nakarmi Tamarę. Nawet nie myślał o zwłokach matki czekających tam blisko, w sieni, aż znajdzie dla nich miejsce na ostateczny spoczynek, mimo że już od paru albo parunastu godzin wiedział, że właśnie po to, przede wszystkim po to przyjechał, wszystko natomiast inne było tylko pretekstem, ani nie myślał, jak ją pogrzebie i kiedy. Patrzył w smugi srebrnozielonkawego światła i zdawało mu się, że widzi przez szpary, a może w rzeczywistości widział, całą wielką przestrzeń za domem, teraz uspioną w głębokim śniegu, latem jednak pokrywającą się zawsze angielskim rajgrasem i kwiatami na klombach, przestrzeń aż do drzew stojących w łagodnym półkolu, gdzie niegdyś, dawno jeszcze w latach jego dzieciństwa, istniał staw, do którego, płynąc w zapachu piołunowych brzegów, wlewał się strumień zapamiętany przez niego tak wyraziście, jakby to było wczoraj zaledwie, szumiący w porze wieczornej głośniejszy, niż w dzień, gadający, szepczący mu bez końca swoje wróżby i przypowieści, i przypomniał sobie, jak ich słuchał w skupieniu, będąc przekonany, że kiedyś ich sens zrozumie, i jak usypiał w tym szumie wierząc, że jest on wieczny, że nie przeminie nigdy, ten szum, dom kołysany nim co dnia do snu, w ogóle wszystko, co go otaczało, a nie wiedział jeszcze wtedy, że po latach, zanim naprawdę usnie snem ostatnim, przeminie też i ten dom. Dopiero dziś, kiedy tamten czas odpłynął tak daleko, kiedy przepadł gdzieś bez ratunku i chyba na zawsze, pojął, że z tą srebrną, bystrą, migotliwą wodą już wtedy zaczynało uchodzić od niego powoli jego własne, jedynie i niepowtarzalne życie. W końcu jednak myśli urwały się i zasnął. Spał spokojnie, nawet bez napięcia, nawet niezbyt czujnie, może i bez snów nawet; pozostało mu po tej nocy wrażenie

jakiegoś bezgranicznego smutku, mglistego, nieutulonego żalu za czymś, nic więcej.

Gdy otworzył oczy był ranek, i to chyba dość późny już, a zegarek stał, widać nie nakręcił go wieczorem. Klacz wodziła rozchwianymi, mięsistymi wargami po oparciu kanapy węsząc głośno, od czasu do czasu podnosiła łeb, aż do naprężenia się rzemienia, szarpała i nieruchomiła, jak gdyby wstrzymując oddech. Wtedy w pobliżu nastawała cisza. I natychmiast zaczynał słyszeć niosący się z daleka huczący odgłos, który brzmiał nieprzerwanie i ponuro. Więc wreszcie wyplątał się z resztek snu, poderwał z kanapy przerażony, bo zrazu pomyślał, jak wczoraj z rana, że z nim coś nie dobrego się dzieje, ale zatkał dłońmi uszy i dźwięk od razu ustał, toteż zrozumiał, że istnieje on zupełnie niezależnie od niego i jest prawdziwy. Co prawda nie brzmiał on tak samo, jak poprzedniego dnia, niby odległy pogłos toczącego się po kamieniach wozu, dziś bardziej przypominał młockarnię w ruchu, albo w ogóle jakąkolwiek inną dużą maszynę zamkniętą w ciasnym pomieszczeniu, to jednak zmusił się do tego, żeby nie zastanawiać się nad jego źródłem, do odrzucenia wszelkiej myśli o nim. Gdy znalazł się w sieni gromnica dogasała kopcac. Zapalił nową, nakapał z niej roztopionym woskiem na stolik i postawił. Chwilę grzał sobie palce zbliżając je do płomienia, potem, jak wczoraj, przeżegnał ciało matki, ale znowu nie potrafił znaleźć w pamięci słów odpowiednich na krótką modlitwę i rozszerzonymi, drżącymi nozdrzami nienawistnie wietrzył koński zapach ciągnący od lodu, choć powietrze zdawało się w pobliżu zupełnie czyste.

Po odemknięciu szerzej głównych drzwi musiał zmrzyć od światła powieki: na dworze było słonecznie, ciepło, zacisznie, jednocześnie mroźno. Gdy oswoił wzrok z rażącą bielą dookoła, aż cofnął się o krok, jego zaś ręka bezwiednie szukać zaczęła kieszeni i gdy ją znalazła, błyskawicznie zagłębiła się tam, chwytając rękojeseć nagana. Zobaczył na śniegu nie tylko wczorajszą podłużną koleinę wyłobioną przez bryłę lodu z ciałem matki, którą tędy przeciągał i ślady kopyt Tamary, ale inne, dużo świeższe, liczne ślady, wydeptane chłopskimi butami i chodakami, idące od alei przez podjazd, rozwidlające się przed klombem w dwie niezależne ścieżki, łukami otaczające go i znowu się łączące w jedną, która urywała się tuż przed gankiem u stóp schodów. Więc od razu przypomniał sobie te słyszane po zapadnięciu zmroku kroki za domem, jak zabrzmiały parokrotnie i się oddaliły, późniejszą ciszę też sobie przypomniał i zrozumiał, że się pomylił sądząc wtedy, że oddaliły się na zawsze, to tylko on ich nie słyszał więcej, a one były i się rozlegały, bo ludzie ci

musieli tu nadciągać przez cały wieczór, może nawet w nocy jeszcze, pojedynczo albo gromadnie i, jak zdradzały to zostawione przez nich ślady, zatrzymywali się przed gankiem u stóp schodów i stojąc tam w milczeniu, zaglądali stamtąd w głąb sieni, gdzie na środku na dywanie samarkandzkim leżała matka, u jej głowy zaś płonęła postawiona na palisandrowym stoliczku gromniczna świeca. I patrząc teraz na to zdeptane przed gankiem miejsce, znowu słyszał głuchy łomot żerdzi i kłonic, który prześladował go ostatnio już zupełnie obsesyjnie, i zastanawiał się co oni myśleli i czuli spoglądając z tego samego miejsca w mroczną głąb sieni, w światło świecy petzające po lodzie i dobywające spod iskrzącej się powierzchni zamrożonej deszczówki i uryny końskiej zarzasy jej sponiewieranego przez nich ciała. Ale wyobraźnia nie poddawała mu żadnego obrazu, żadnego rozwiązania zagadki, więc może tamci, patrzący, nie myśleli i nie czuli nic?

Długo nie mógł oderwać wzroku od ścieżki śladów, jak gdyby miały one paraliżującą moc oczu węża. W oszadziałych gałęziach drzewa w pobliżu gwizdał kos i prócz zwykłych wiejskich odgłosów zza muru, tylko to coś, co przedtem huczało gdzieś bardzo daleko jednostajnie i głucho, teraz niosło się ponuro, niczym nie przytłumione, i znowu porównanie do wozu albo wielu tysięcy wozów ciężko naładowanych, a toczących się po zmarzniętej na kamień grudzie, narzucało się samo przez się. Gdy kos wreszcie umilkł, słyszał już tylko tamten daleki ściskający serce dźwięk i opodał kapanie z dachu wody w śnieg. Wrócił do sieni i potem ukląkł. Zdawało mu się, że właśnie nadszedł ów upragniony czas modlitwy, że znalazł odpowiednie, dawno poszukiwane słowa, wymówi je jak zaklęcia, będzie mu nareszcie lżej, zdawało mu się nawet, że istotnie się modli, ale gdy po pewnym czasie ocknął się zziębnięty na kłęczniku, myśl jego powtarzała jedynie jak automat: „Co oni myśleli, co czuli spoglądając stamtąd na nią?” i nie miała nic wspólnego z modlitwą.

Z przeciwnej strony domu dochodziło niecierpliwe stękanie klaczy i łomot kopyt o podłogę; była głodna. Dźwignął się, poszedł po karabin, przepasał się torbą z nabojami, a potem ruszył na folwark, by przeszukać gospodarskie zabudowania. Było południe, słońce grzało mocno, kapwały już wszystkie dachy i od czworaków niósł się wysoki, dziecięcy śpiew: „*Oj mynuła wże zyma, śnihu, łedu wże ne ma, oj ne ma, oj ne ma, śnihu, łedu wże ne ma*”, ale w powietrzu czuło się wschodni wiatr i że niebawem przyniesie z sobą nowy siarczysty mróz. Gdy śpiew umilkł, słyszał znowu tylko tamto dalekie huczenie gdzieś za horyzontem. Po pewnym czasie wrócił do dworu z wiązką siana, znalezionej na strychu nad stajnią, podrzucił Tamarze, zostawił

ją, bo nie mógł znieść zapachu uryny rozlewającej się wokół niej na posadzce, poszedł do sieni, siadł przy matce na podnóżku klęcznika, karabin złożył obok siebie i patrząc przez otwarte drzwi na podjazd i dalej w głąb alei rozmyślał nad czymś niejasnym, czego sam nie potrafiłby nigdy uchwycić, skonkretyzować i nazwać. Po południu znowu zajrzał do Tamary, przyniósł wody, napił ją, potem powrócił na swe poprzednie stanowisko. Żeby samemu coś zjeść, nie pomyślał, nie czuł głodu, w ogóle chyba nie czuł nic, nawet narastającego wraz z mijającym dniem zimna. Stale słyszał tylko daleki, huczący odgłos znany sobie z rana i z wczorajszego przedpołudnia; chciałby, żeby to był szum w jego własnej głowie, żeby mógł złożyć go na karb swego fatalnego samopoczucia, ale nic z tego, słyszał go bowiem naprawdę, jak narastał ponuro, groźnie, nieustająco. Później, już w pierwszym wczesnym zmierzchu, w niebieskosinych cieniach kładących się od drzew i z nieba, choć jeszcze było dość widno, u wylotu alei, w bramie, spostrzegł ludzką sylwetkę i wtedy wziął do ręki leżący w pogotowiu karabin, odbezpieczył go i złożył ukośnie w poprzek kolan. Patrzył ze spokojem, jak ta sylwetka ludzka zbliża się, rośnie, jak powoli wyraźniej i wreszcie podniósł karabin do barku, żeby się zmierzyć, ale nagle poznał, że to kobieta i broń odłożył. Ona szła nie śpiesząc się, w końcu była już na podjeździe, obeszła klomb i przystanęła przed gankiem. Dokładnie w tym miejscu, gdzie był najmocniej wydeptany butami chłopskimi i chodakami śnieg. Stamtąd spoglądała do wnętrza sieni, i widział, że go widzi, choć siedzi on nisko, bo był dobrze oświetlony świecą, i że ona czeka. Więc wstał i zrobił parę kroków ku drzwiom, a wtedy przedko poprawiła na głowie znanym, wiejskim ruchem chustkę, na nowo splotła ją na krzyż na piersi i również postąpiła naprzód, ale tylko o krok, może o dwa, tak że stanęła tuż przed pierwszym stopniem schodów. Dopiero, gdy odezwał się: „Po co przyszliście?“, uświadomił sobie, że jest ona chyba nie z Gleb, aczkolwiek jej twarz nie była mu obca, z Gleb bowiem znał wszystkie twarze na pamięć, i poczuł rozczarowanie, które ogarnęło go tak przemożnie, że nie dosłyszał, a może dosłyszał, lecz zupełnie nie zrozumiał słów jej odpowiedzi i zapytał ponownie: „Wy nie stąd? Kim jesteście? Co chcecie?“, i posłyszał, zrozumiał: „Pan przecież mnie zna, pan był u nas przed miesiącem w nocy odebrać swoją łoszę. I broń pan zabrał. Ja Sewrukowa“, a mimo, że natychmiast gorąco płomieniem smagało mu plecy, zapytał tak samo jak przedtem niegłęboko i spokojnie: „Żona Iwana Sewruka?“, a ona odparła: „Tak, żona Iwana“, i on: „Tego, co zabił moją matkę?“, a ona: „Tak, tego“.

Ale już nie patrzył na nią wcale. Patrzył na zacierające się zwolna niebo, na którego jednak skraju czysto błyszcząca już planeta Wenus, czuł ostre, długie tchnienie wiatru, zapach mokrego śniegu, myślał, że księżyc, jeśli dziś wszędzie, to prędko zapewne zginie, bo pochłoną go chmury i zastanawiał się nad różnymi rzeczami bez związku i że byłoby dobrze cofać się z życiem gdzieś het wstecz albo w ogóle się nie urodzić, aż jego postać tkwiąca nieruchomo w środku otwartych na oścież drzwi zaczęła rzucać na ganek i schody cień nabierający mocy i głos kobiety przywołał go znowu do rzeczywistości. Niewątpliwie mówiła i pytała także przedtem, tylko że nie słyszał, w ogóle nie słuchał, teraz jednak już słyszał, pytała, czy nie przynieść mu czegoś do jedzenia, czegoś ciepłego, to byłoby dobrze, gdyby cokolwiek zjadł, na pewno jest głodny, powtarzała to niegłośno, lecz z uporem, więc wreszcie odpowiedział jej: „Nie, niczego mi nie trzeba, dziękuję”, a wtedy ona zamilkła i w blasku gromnicznym padającym z sieni widział teraz jej twarz zupełnie wyraźnie nawet, tak prawie, jakby to było światło dzienne, twarz bardzo bladą, szczupłą, naznaczoną zbyt szybką dojrzałością, zarazem pełną dziecinnego skupienia, uważną, przypatrującą mu się bez lęku i nieprzerwanie smutną. Gdy po jakimś czasie ponownie przerwała milczenie, mówiąc, że słychać już front, i tak od paru dni, raz silniej, raz słabiej, robiąc nieokreślony ruch ręką za siebie na wschód, to nagle pojął, że ona mówi o owym huczącym odgłosie niosącym się z bardzo daleka, który prześladowuje go od dawna i że odgłos ten, to artyleryjski ogień, i pierwszy raz wsłuchiwać się weń począł z nietajonym poczuciem paralizującego w nim wszystko lęku, panicznego i atawistycznego. Patrzył na młodą kobietę niemo, prosto w jej oczy, lecz nie widział jej i nie miało dla niego żadnego znaczenia to, co mówiła: „Mój mąż, Iwan nie żyje, panie”, i kiedy, i jak zginął, a potem, „A ja poroniła, panie”, bo wsłuchiwał się tylko w huczący za horyzontem i zbliżający się nieubłaganie front, mówiąc, czy też zaledwie myśląc: „Odejdźcie, nie przeszkadzajcie, kobieto, odejdźcie...” a po chwili kobiety już nie było, podjazd był pusty, nawet nie usłyszał oddalających się jej kroków.

Potem znów siedział na podnóżku klęcznika przy matce z kabinem złożonym w poprzek kolan, słyszał, jak wiatr narasta wśród pobliskich drzew, z przeciwnej zaś strony domu hałasuje Tamara, i z tamtego panicznego, atawistycznego lęku niewiele pozostało, dreszcz drobny zaledwie, który niekiedy przebiegał nieprzyjemnie przez plecy. Aż uświadomił sobie, że już chyba naprawdę nastał wieczór, mrok bowiem zapadł zupełny, że siedzi w świetle na wprost otwartych drzwi stanowiąc doskonały cel

dla kuli, gdyby ktoś chciał mu ją posłać, ale odrzucił tę myśl od siebie obojętnie, mimo to jednak podniósł się, zarzucił na ramię karabin, poszedł do Tamary, wyprowadził przed werandę i dosiadł na oklep. Pojechał na folwark.

Później klacz puszczone luzem na podwórzu chodziła w mroku, obwąchiwała odrzwia pustych stajen, gdy tymczasem on w wozowni, zapalwszy świecę, robił przegląd tego, co tam zostało, a raczej tego, co wprawdzie zabrano, następnie zaś zwrócono z powrotem i co było w dość dobrym stanie, i wybrał niewielki, lekki wóz na gumach, który zwykle służył dawniej do wożenia baniek z mlekiem do mleczarni, narzucił nań ile się zmieściło siana, długo sztukował uprząż, następnie założył dyszle, wprzągł w nie Tamarę i zajechał wozem przed dwór. Chodził jeszcze czas jakiś ze świecą z pokoju do pokoju, zdjął nawet ze ściany zbiorową rodzinną fotografię w ramce, ale po pewnym czasie rozmyślił się i odłożył. Przydzwigał parę desek z rumowiska na piętrze i owinąwszy bryłę lodu z ciałem matki w dywan, owiązał sznurem i z wielkim trudem wciągnął po deskach na wóz.

Przez cały czas, gdy to wszystko robił, słuchał tylko owego dalekiego głosu artylerii grzmiącej za horyzontem, gdy jednak zgasił już świecę i w ciemności zamykał, następnie zaś umocowywał i zabijał gwoździami główne drzwi, zapomniał o nim zupełnie, bo stuk siekiery wydobył z wnętrza domu dźwięk inny, jak spod zamykanego na zawsze wieka trumny (miał go w uszach z niesłabnącą siłą, gdy wyjeżdżał z bramy na drogę i później też), ale bił siekierą w główki gwoździ z wściekłością tak długo, aż żelazo z jękiem smyrknęło z trzonka, upadając opodal. Odwróciwszy się, żeby je podnieść, wprost zatrząsał się cały, gdyż o dwa, trzy kroki, pomiędzy wozem stojącym na podjeździe, a schodami zobaczył czarną sylwetkę ludzką zwróconą w swoją stronę, tak że miał się już rzucić ku niej z tym trzonkiem od siekiery jedynie w dłoni (o naganie tkwiącym w kieszeni zapominając zupełnie), w czas jednak poznał, że to ta sama młoda kobieta, z którą niedawno co rozmawiał, żona Iwana Sewruka i, robiąc gwałtowny półobrót, zatrzymał się. Wydało mu się wtedy, że powiedział do Sewrukowej znowu: „Odejdźcie, nie przeszkadzajcie”, bo niebawem zniknęła, lecz powiedział to zapewne tylko w myśli, usta miał bowiem zdrętwiałe od mrozu, nieme, w ogóle bez czucia. A potem, wsiadłszy na wóz, ruszył aleją przez park wśród ciemnych, zawodzących szumem drzew. W bramie, kiedy odsoniła się przed wzrokiem bezkresna równinna przestrzeń, ostro ściągnął na siebie lejce, powstrzymując Tamarę. Odległa linia styku nieba z ziemią różowiała od ognia rozlewającego się szeroką łuną, a gdzieś tam jeszcze dalej, na wołyńskiej stronie odrywały się

raz za razem od ziemi białe niby gwiazdy pociski, zataczały łuki i opadały. Siedząc bez ruchu na desce w poprzek wozu i łapiąc w płuca mroźne powietrze drobnymi, ostrożnymi haustami, patrzył w tym kierunku. Za nim na sianie leżało ciało matki skute lodem i owinięte w dywan, ciało, które musiał gdzieś dowieźć i gdzieś pogrzebać w miejscu odpowiednim, nadającym się na spoczynek, ten artyleryjski zaś ogień zdawał się go dopędzać. A po chwili poczuł w pobliżu obecność żywego człowieka znowu i rozejrzał się, lecz to była znowu tylko ta, co przedtem kobieta; stała na przeciwnym skraju drogi, obok kamiennej figury Matki Boskiej. Księżyc był odsłonięty, jasny, wieś opodal w zaspach czarna, bez jednego światła, jednakże na oka mgnienie wydało mu się, że również ta wieś przygląda mu się zza opłotków dzieciątkami oczu z zapartym tchem, i po raz ostatni powtórzył: „Odejdźcie, nie przeszkadzajcie”, tym razem nie w myślach, a głośno, prawie pogodzony z tą wszechobecnością żywych ludzi wokoło, bez wściekłości, która wyładowała się, gdy bił siekierą w drzwi dworu, bez nienawiści, która, jeśli kiedykolwiek przedtem była, przepadła ostatecznie przed chwilą, kiedy spokojnie wytrzymał zwielokrotnione spojrzenie wsi zza opłotków. Wiatr podrywał się raz silniej raz słabiej i chociaż przedzierający się przezeń łoskot następującego frontu narastał, donośniał, to jednak mimo to wielka, mroźna cisza panowała nad całą okolicą. Wyostrzony słuch Pawła chwycił łopotanie na wietrze chusty okrywającej głowę kobiety, która stała nieruchomo opodal przydrożnej figury, szelest siana na wozie za swoimi plecami, szept śniegu wokoło, mknącego po zmarzniętej pokrywie pól i przemykającego się pod nogami klaczy, a potem ciskanego przez wiatr dalej i jeszcze dalej, gdzieś w białą bezkresną roztocz. Wreszcie klacz szarpnęła, ruszyła sama, nie powodowana wcale jego ręką, jakby wiedziała, w jaką stronę iść; skręciła w lewo, na zachód i pociągnęła wóz wzdłuż parkowego muru drogą wijącą się ledwo widoczną, niepewną, rwącą się nitką wśród zasp. Ale jeszcze obejrzał się za siebie raz. Najdalej były czarne płoty z patyczka i chaty z białymi czapami śniegu na strzechach rysujące się ostro na tle płonącego nieba, bliżej na rozstaju stały dwie postacie okutane w wiejskie chusty, ale tak nieruchome, że nie mógł odgadnąć, która z nich jest figurą Matki Boskiej, a która żywą kobietą, obie jednako spoglądające za nim i malejące powoli aż zaniosło się nowym śniegiem, zakłębiło, tylko łoskot frontu ciągnął za nim trop w trop i pędził wiatr obojętnie zawierający wszelkie ślady.

Warszawa, styczeń 1964 - grudzień 1967 roku

**A C H E V E D ' I M P R I M E R
L E 1 4 D E C E M B R E 1 9 7 3
S U R L E S P R E S S E S D E
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e)**

Dépôt légal : 4^e trim. 1973

Imprimé en France.

Bibl. Polska
PARYŻ

Cena F. 45